UNIVERSITY OF N.C. AT CHAPEL HILL
00047615268

UNIVERSITY LIBRARY
UNIVERSITY OF NORTH CAROLINA
AT CHAPEL HILL

Digitized by the Internet Archive
in 2025 with funding from
University of North Carolina at Chapel Hill

https://archive.org/details/biesy00dost

TEODOR DOSTOJEWSKI

DZIEŁA

Serja 3. Tom I i II

POD REDAKCJĄ
MELCHJORA WAŃKOWICZA
POPRZEDZONE STUDJUM
ANDRZEJA STRUGA

TEODOR DOSTOJEWSKI

BIESY

1928

Towarzystwo Wydawnicze „Rój"

PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU
TADEUSZ ZAGÓRSKI

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Szpitalna 12

Ciemna noc, choć oko wykol!
Noc zawiejna, wyje wiatr...
Pobłąkało nas złe licho,
Wodzi, zwodzi w polu czart!

. . . . . .

To nie czart, to czarty zgrają!
Kędy gnają? Kto je zwiódł?
Kuma-czarta li chowają?
Kumy-wiedźmy li to ślub?

A. PUSZKIN.

(Przekład Juljana Wołoszynowskiego).

...A było tam stado wielu wieprzów, pasących się na górze: i prosili go, aby im w nie dopuścił wnijść. I dopuścił im. Wyszli tedy czarci od człowieka i weszli w wieprze: i pędem wpadło stado z przykra w jezioro i utonęło. Co gdy ujrzeli, że się stało, którzy paśli, uciekli: i dali znać do miasta i do wsi. I wyszli, aby oglądali, co się stało: a przyszli do Jezusa i znaleźli człowieka, od którego wyszli czarci, siedzącego, ubranego i z dobrą pamięcią u nóg Jego i bali się. I powiedzieli im też ci, którzy widzieli, jako był uzdrowiony od czarta.

(Ewangelja. Łuk. VIII. 32-36).

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Zamiast przedmowy: nieco szczegółów z życiorysu wielce poważanego Stepana Trofimowicza Wierchowieńskiego.

I.

Rozpoczynając opis tych zdarzeń niedawnych, a tak dziwacznych, których świadkiem była nasza skromna i niczem dotychczas niewsławiona mieścina, zmuszony jestem, może przez nieudolność własną, zacząć nieco zoddali, mianowicie od paru szczegółów z życia utalentowanego a wielce poważanego Stepana Trofimowicza Wierchowieńskiego. Niech te szczegóły będą wstępem do niniejszej kroniki. Zdarzenia zaś, które zmierzam opisać, przyjdą później.

Powiem poprostu: Wierchowieński odgrywał wśród nas specjalną rolę, — nazwałbym ją „społeczną", — a rolę tę lubił namiętnie. Myślę nawet, że nie mógłby żyć bez niej. Nie chcę bynajmniej pomawiać go o manierę aktorską. Nigdy w życiu! Przecież sam go szanuję niezmiernie. Było to u niego kwestją przyzwyczajenia, powiedziałbym nawet stałej i szlachetnej inklinacji, która od lat dziecinnych otaczała go marzeniem o pięknej pozie obywatelskiej. Niesłychanie, naprzykład, lubował się w roli „ściganego", poniekąd „zesłańca". Z tych słów tchnie jakiś czar klasyczny, który go uwiódł raz na zawsze. Wywyższając go stale, przez długie lata, w opinji własnej, wyprowadził ostatecznie na piedestał bardzo wyniosły, a niezmiernie łechcący miłość własną.

W angielskiej powieści satyrycznej zeszłego stulecia, niejaki Guliwer, powróciwszy z kraju liliputów, którego mieszkańcy mieli wzrost dwucalowy zaledwie, tak zżył się z własną rolą olbrzyma, iż nawet na ulicach Londynu krzyczał do przechodniów i pojazdów: „Z drogi! Z drogi!" Wciąż myślał, że sam jest olbrzymem, oni zaś — karzełkami, i że może ich rozdeptać. Śmiano się z niego, łajano go. Ordynarni stangreci nieraz nawet śmignęli batem urojonego olbrzyma. Nie było to słuszne, czegóż bowiem nie zrobi z człowieka przyzwyczajenie? Ono to doprowadziło prawie do takich samych objawów u Wierchowieńskiego, lecz w sposób jeszcze bardziej niewinny. Bo poczciwości był człowiek.

Myślę, że pod koniec wszędzie zapomniano już o nim; lecz nie wynika z tego, aby i przedtem go nie znano. Bądź co bądź, należał ongiś do znakomitego grona sławnych działaczy minionej doby i przez czas pewien,—ściślej mówiąc przez krótką chwilę, zbyt gorączkowi ludzie tamtej epoki wymawiali jego nazwisko omal w jednym szeregu z nazwiskami Czaadajewa, Bielińskiego, Granowskiego i wreszcie Hercena, który właśnie wtedy rozpoczynał zagranicą działalność swoją. A jednak działalność Wierchowieńskiego skończyła się prawie w tym samym momencie w którym rozpoczęła, a to z powodu „wichru zdarzeń". Cóż jednak? Wyjaśniło się potem, że nietylko już „wichru", ale i „zdarzeń" żadnych nie było, przynajmniej w danym wypadku. Teraz dopiero, w tych oto dniach, dowiedziałem się z niesłychanem zdumieniem, że pobyt Wierchowieńskiego pośród nas, w naszej gubernji, wcale nie był „zesłaniem", jakeśmy wszyscy myśleli. Nawet żadnej inwigilacji nie było. Jakże olbrzymia jest siła wyobraźni! Przecież on szczerze, przez życie całe, wierzył niezłomnie, że w pewnych sferach boją się go, że każdy krok jego jest strzeżony i notowany, i że każdy z trzech gubernatorów, których mieliśmy wciągu ostatnich lat dwudziestu, — jadąc celem objęcia stanowiska, wiózł ze sobą kłopotliwą myśl o nim, zaszczepioną przy przekazywaniu urzędu przez wyższą instancję. Gdyby ktokolwiek złożył Wierchowieńskiemu niezbite dowody, że niema się czego obawiać, — on, człowiek najuczciwszy, obraziłby się nie na żarty. A był jednak człowiekiem rozumnym, utalentowa-

nym, naukowcem, — chociaż zresztą, co do nauki... słowem, dla nauki zrobił on niewiele, a właściwie zdaje się, że nic. Ale przecież u nas w Rosji zdarza się to z naukowcami na każdym kroku.

Wierchowieński, powróciwszy z zagranicy, zasłynął jako lektor na katedrze uniwersyteckiej pod sam koniec piątego dziesięciolecia. Właściwie zdążył wygłosić zaledwie kilka wykładów, jak się zdaje, o Arabach. Zdążył także obronić wspaniałą dysertację o narastającem między 1413 a 1428 rokiem społecznem i hanzeatycznem znaczeniu niemieckiej mieściny Hanau i o tych nieco mętnych przyczynach, które znaczenie to unicestwiły. Dysertacja ta zgrabnie a boleśnie ugodziła w ówczesnych słowianofilów, i przysporzyła autorowi licznych i zażartych wrogów. Potem, już po utraceniu katedry, zdążył wydrukować, — jakgdyby przez zemstę i w celu zademonstrowania, kogo utracono w jego osobie, — w postępowym miesięczniku, w którym drukowano tłumaczenia z Dickensa i głoszono kult George Sand, początek niesłychanie głębokiego traktatu o przyczynach niezwykłej szlachetności pewnych rycerzy w pewnej epoce, — czy coś w tym rodzaju. W każdym razie myśl przewodnia traktatu była wzniosła i szlachetna. Mówiono potem, że dalszy ciąg traktatu był zabroniony przez cenzurę, i że nawet miesięcznik ucierpiał za wydrukowanie pierwszej połowy. Mogło się zdarzyć i to, czego bowiem nie bywało w owych czasach? Prawdopodobniejszem jednak jest przypuszczenie, że niczego podobnego nie było, że sam autor zbyt był leniwy, aby kończyć swój traktat. Przerwać zaś wykłady o Arabach musiał dlatego, że ktoś (prawdopodobnie z reakcyjnych jego wrogów) w jakiś sposób przyłapał list Wierchowieńskiego do kogoś pisany, z wyłuszczeniem pewnych okoliczności, na skutek czego ktoś inny zażądał pewnych wyjaśnień. Nie wiem, ile w tem prawdy, twierdzono jednak, że w tym samym czasie wykryto w Petersburgu olbrzymie stowarzyszenie antyspołeczne i przeciwpaństwowe, składające się co najmniej z trzynastu ludzi, które omal nie wstrząsnęło posadami ustroju. Zbierano się tam podobno, aby tłumaczyć samego Fouriera. Jak na złość, złapano jednocześnie w Moskwie poemat Stepana Trofimowicza, napisany

w zaraniu młodości, jeszcze w Berlinie. Poemat ten krążył w odpisach pomiędzy dwoma studentami i jednym amatorem. Leży teraz przede mną na stole. Otrzymałem go w zeszłym roku we własnoręcznym, świeżym odpisie, od samego Stepana Trofimowicza, z dedykacją, w pięknej czerwonej safjanowej oprawie. Utwór ten nie jest pozbawiony poezji, a nawet talentu. Nieco dziwaczny, lecz wtedy, mniej więcej w latach trzydziestych, często pisywano w tym stylu. Jest to jakaś alegorja, o charakterze liryczno-dramatycznym, przypominająca drugą część Fausta. Akcję rozpoczyna chór kobiet, potem idzie chór mężczyzn, potem jakichś sił, a wreszcie chór duchów, które jeszcze nie żyły, lecz bardzo pragnęłyby żyć. Te chóry śpiewają o czemś nieokreślonem, najwięcej zaś o jakiejś klątwie, a wszystko zabarwione domieszką wytwornej satyry. Znienacka zmienia się scena i rozpoczynają się jakieś „Gody Życia", na których śpiewają nawet owady. Zjawia się żółw i wygłasza jakieś sakramentalne słowa łacińskie. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, śpiewa wreszcie pewien minerał, a więc przedmiot całkiem nieuduchowiony. Naogół wszyscy śpiewają i śpiewają bez końca, a jeżeli czasem powiedzą coś zwyczajnie, to będą to napewno jakieś nieokreślone zarzuty i urojone pretensje. I znów zawarta jest w tem podobno głębsza treść. Jeszcze raz zmienia się scena i zjawia się dzika miejscowość, a pośród skał błądzi samotnie kulturalny młodzieniec, zrywając i wysysając jakieś trawy, zapytany zaś przez boginkę, poco tak ssie trawy, odpowiada, iż czuje w sobie nadmiar życia, szuka zapomnienia i znajduje takowe w soku tych traw, głównie jednak, to pragnie postradać rozum (pragnienie, być może, zbyteczne). Potem zjawia się znienacka bosko piękny młodzieniec na karym koniu, a za nim podążają niezliczone szeregi rozmaitych narodów. Młodzieniec wyobraża śmierć, a wszystkie narody jej pragną. Wreszcie, już w scenie ostatniej, ukazuje się wieża Babel, a jacyś atleci dobudowują ją do końca wśród pieśni nowej nadziei. A gdy doprowadzają budowlę do szczytu, ktoś z posiadaczy Olimpu, ucieka w sposób niesłychanie komiczny, poczem ludzkość, przejrzawszy, zajmuje jego miejsce i niezwłocznie rozpoczyna nowe życie z pełną świadomością wszechrzeczy. Ten oto

poemat uznany był wonczas za niebezpieczny. Proponowałem Wierzchowieńskiemu, że oddam dzieło do druku, ponieważ w naszych czasach nabrało ono wszelkich cech niewinności. Jednak Wierchowieński uchylił propozycję moją z jawnem niezadowoleniem. Ukłuło go zdanie o niewinności poematu i przypuszczam, że tu kryje się źródło pewnego ochłodzenia stosunków naszych, które trwało dwa miesiące. I cóż? Właśnie wtedy, gdym proponował wydrukować poemat tu, drukują go znienacka tam, zagranicą, w jakiemś wydawnictwie rewolucyjnem i zupełnie bez wiedzy autora. Wierchowieński zląkł się, zwracał się do gubernatora i napisał szlachetnie usprawiedliwiający list do Petersburga. Czytał mi ten list dwakroć, lecz nie wysłał. Nie wiedział, do kogo adresować. Przez cały miesiąc był niespokojny. Mam jednak wrażenie, że w najskrytszych zakątkach duszy jego taiło się zadowolenie. Schlebiało mu to. Kładł się do łóżka z egzemplarzem wydawnictwa, a na dzień chował go pod materac i nie pozwalał służącej słać łóżka. Chociaż oczekiwał z dnia na dzień decydującej depeszy, zachował wyniosłość. Depeszy żadnej nie było. W tym czasie pogodził się Wierchowieński i ze mną, co świadczy zaszczytnie o nadzwyczajnej dobroci jego cichego i niepomnego uraz serca.

II.

Nie twierdzę bynajmniej, aby Wierchowieński nie ucierpiał wcale. Jestem jednak całkowicie przekonany, że mógłby nawet przez sto lat, kontynuować wykłady o Arabach. Trzeba było tylko dać odpowiedniej instancji odpowiednie wyjaśnienia. Uniosła go jednak ambicja. Z niesłychanym pośpiechem nakazał sobie samemu uwierzyć, że karjera jego raz na zawsze jest złamana przez „wicher zdarzeń". A jeżeli mamy już mówić całą prawdę, — istotną przyczyną zmiany karjery była dawna, a teraz wznowiona propozycja Barbary Piotrowny Stawroginej, małżonki generał-lejtnanta, bardzo bogatej niewiasty, która prosiła go o podjęcie się wychowania i wykształcenia jedynego jej sy-

na. Miał to czynić jako wyższy pedagog i przyjaciel. Oczywiście, świetne warunki materjalne nie były także do pogardzenia. Jeszcze dawniej spotkała go ta sama propozycja w Berlinie, wtedy właśnie, gdy po raz pierwszy owdowiał. Pierwszą małżonką jego była pewna lekkomyślna dziewica z naszej gubernji, z którą się ożenił w zaraniu bezkrytycznej młodości. Zdaje się, że ta osoba, skądinąd pociągająca, przysporzyła mu wiele zmartwień, a to dlatego, że brakło mu środków do jej utrzymania i z innych przyczyn, o charakterze zbyt osobistym. Umarła w Paryżu, ostatnie trzy lata życia spędziwszy zdala od niego, i pozostawiła mu pięcioletniego syna, „owoc pierwszej, radosnej, niezachmurzonej miłości", jak się raz, w chwili smutku, wyraził przy mnie Stepan Trofimowicz. Pisklę to zostało niezwłocznie odesłane do Rosji i oddane na wychowanie starym ciotkom w głuchej prowincji. Wówczas Wierchowieński odrzucił propozycję Barbary Piotrowny i rychło, nie doczekawszy się nawet upłynięcia roku, ożenił się powtórnie, i nawet bez żadnej potrzeby, z jakąś mrukliwą berlińską Niemeczką. Nowe małżeństwo nie było jedynym powodem, dla którego propozycję odrzucił: nęciły go wówczas głośne sukcesy jednego z wybitnych profesorów, i sam on rwał się ku katedrze, aby wypróbować własnych orlich skrzydeł. Teraz zaś, gdy połamano mu te skrzydła, musiał wspomnieć o propozycji, którą i wtedy niechętnie wzgardził. Niespodziewana śmierć drugiej żony, po krótkiem, kilkumiesięcznem pożyciu, uprościła sytuację. Zadecydowało o reszcie gorące współczucie Barbary Piotrowny i jej nieoceniona, klasyczna przyjaźń, jeśli wolno w ten sposób przyjaźń określać. Padł w objęcia tej przyjaźni i los jego jego ustalił się na dwa dziesiątki lat. Jeżeli użyłem zwrotu „padł w objęcia", niech nikt, broń Boże, nie myśli o rzeczach lekkomyślnych i zbytecznych: objęcia te należy rozumieć w sensie wysoce moralnym. Najwytworniejsza, najdelikatniejsza przyjaźń połączyła na wieki te dwie niepowszednie istoty.

Stanowisko pedagoga przyjął Wierchowieński z tego również powodu, iż mająteczek, który pozostał mu po pierwszej żonie, — malusieńki, — znajdował się w nabliższem sąsiedztwie ze Skworesznikami, wspaniałą, podmiejską ma-

jętnością Stawroginych w naszej gubernji. Poza tem można było w ciszy gabinetu, nie odrywając się dla wyczerpujących prac uniwersyteckich, poświęcić się nauce i wzbogacić literaturę ojczystą cennemi badaniami. Wprawdzie z badań nic nie wyszło; ale, zato mógł chociaż przez całą resztę życia, przeszło przez lat dwadzieścia, stać w obliczu ojczyzny, jak niemy wyrzut. Autor ludowy tak to określa: — „On, idealista postępowy, stał przed obliczem ojczyzny swojej, jak żywy wyrzut sumienia".

Lecz człowiek, o którym pisał ów autor, miałby prawdopodobnie prawo, gdyby chciał, pozować w ten sposób — chociaż to bardzo nudne. Nasz zaś Stepan Trofimowicz był właściwie imitatorem. Nie ustałby zresztą w takiej pozie, gdyż łatwo się męczył i chętnie wylegiwał. Lecz oddać mu trzeba sprawiedliwość, że nawet w pozycji leżącej zachowywał oblicze wcielonego wyrzutu. Jak na naszą gubernję i to wystarczy. Warto było go widzieć, gdy zasiadał w klubie do kart. Cała postać jego wołała: „Karty! Ja — siadam z wami do jerełasza! Czyż to możliwe? Kto temu winien? Kto rozbił działalność moją i zamienił ją w jerełasz? Ech, ginie Rosja!" — poczem poważnie atutował z kierów.

W istocie zaś miał słabość lekką do kart, i z tego powodu, zwłaszcza w czasach ostatnich nierzadko miewał przykre utarczki z Barbarą Piotrowną, tem bardziej, że zwykle przegrywał. Lecz narazie, nie o tem mowa. Zwrócę tylko uwagę, że miał sumienie drażliwe (przynajmniej w pewnych chwilach), i z tego powodu często ogarniał go smutek. W czasie dwudziestoletniej przyjaźni z Barbarą Piotrowną regularnie trzy lub cztery razy do roku zapadał na „smutek społeczny", jakeśmy to nazywali i jak to lubiła określać Barbara Piotrowna. Był to zwykły spleen. Potem, obok smutku społecznego, słabością jego stał się szampan; lecz wrażliwa Barbara Piotrowna przez życie całe starała się go ustrzec od trywjalnych przyzwyczajeń. Istotnie potrzebna mu była niańka, gdyż czasem dziwactwa jego stawały się już niezrozumiałe. Bywało, że w środku najszczytniejszego smutku znienacka zaczynał się śmiać w sposób zupełnie rubaszny. Bywały chwile, kiedy nawet o sobie samym mówił w sensie humorystycznym. A Barbara Piotrowna niczego

chyba tak się nie bała, jak humorystycznego sensu. Była to niewiasta — klasyk, niewiasta — mecenas, działająca zawsze w imię wzniosłych pobudek. Jej dwudziestoletni wpływ na biednego przyjaciela był niesłychanie doniosły. Należałoby pomówić o niej osobno. Nie omieszkam tego uczynić.

III.

Dziwna czasem bywa przyjaźń. Obaj przyjaciele zjedliby jeden drugiego, i żyją tak życie całe, a rozstać się nie mogą. Rozstać im się *nie wolno:* ten z przyjaciół, który zakaprysi i pierwszy zerwie stosunek, napewno zachoruje, może i umrze. Wiem napewno, że Stepan Trofimowicz niejednokrotnie, po najwięcej osobistej wymianie myśli w cztery oczy z Barbarą Piotrowną, po wyjściu jej, zrywał się z otomany i tłukł pięścią w mur.

To nie alegorja. Tłukł z całej siły, tak że nawet raz odleciał kawałek tynku. Może mnie kto spytać: skąd wiem o tak drażliwym szczególe? A co powiecie, jeżeli sam bywałem świadkiem? A co, jeśli Stepan Trofimowicz nieraz płakał na mojem ramieniu, w barwnych kolorach malując istotę swych przeżyć? (A o czem wtedy nie mówił!) Cóż jednak działo się nazajutrz po takich scenach? Nazajutrz był on już gotów ukrzyżować siebie za tak czarną niewdzięczność. Wzywał mnie do siebie, lub sam do mnie wpadał, jedynie poto, aby mi oznajmić, iż Barbara Piotrowna jest „aniołem dobroci i honoru", on zaś — wszystko przeciwne. I nietylko przede mną tak się zwierzał: niejednokrotnie wszystko to wypisywał w wymownych listach do niej i za własnym podpisem przyznawał się, jak to niedalej jak wczoraj pomawiał ją przed obcą osobą, że trzyma go tylko przez próżność, że zazdrości mu wiedzy i talentu. Pomawiał ją, iż nienawidzi go, i tylko lęka się ujawnić nienawiść, lęka się, aby nie porzucił przyjaciółki, i nie zaszkodził w ten sposób jej literackiej opinji. Pisał dalej, że dziś gardzi sobą, a czeka od niej tego ostatniego słowa, które zadecyduje o wszystkiem. I t. d., i t. d., wciąż w tym samym stylu. Można sobie wobec tego wyobrazić do jakiej histerji dochodzić mogły cza-

sem ataki nerwowe tego najniewinniejszego z pięćdziesięcioletnich dzieci. Sam czytałem jeden z takich listów, pisany nazajutrz po kłótni o jakiś drobiazg, który nabrał jednak cech jadowitych. Przestraszyłem się wprost i błagałem go, aby listu nie wysyłał.

— Muszę... uczciwiej... obowiązek... umrę, jeżeli nie wyznam jej wszystkiego! — odpowiadał gorączkowo, i, oczywiście, wysłał list.

Cała różnica między nimi na tem właśnie polegała, że Barbara Piotrowna nigdyby takiego listu nie wysłała. To inna kwestja, że wogóle do pisania listów miał on słabość, i często pisywał do niej, mieszkając pod wspólnym dachem; a w wypadkach histerycznych nawet po dwa listy dziennie. Wiem napewno, że ona najuważniej odczytywała te listy, nawet jeżeli były dwa dziennie, a po przeczytaniu składała do osobnej skrzynki, segregując je i opatrując jakiemiś notatkami. Niezależnie od tego przechowywała je i w sercu. Potem, przetrzymawszy przyjaciela cały dzień bez odpowiedzi, spotykała się z nim najspokojniej, jakgdyby nic nie zaszło. Zczasem tak go wyszkoliła, że sam już nie ośmielał się wspomnieć o wczorajszem, a tylko przez czas pewien zaglądał jej w oczy. Ona jednak nie zapominała o niczem, podczas gdy on zapominał może zbyt szybko, i czasem, zachęcony jej spokojem, tegoż dnia śmiał się i figlował przy szampanie, gdy przychodził który z przyjaciół. Z jaką żółcią musiała wtedy patrzeć na niego! On jednak nie widział nic. Czasem tylko, za tydzień, za miesiąc, za pół roku, nieoczekiwanie przychodził mu do głowy jakiś zwrot z dawno wysłanego listu, a potem cały list, wraz z okolicznościami nieporozumienia. Wtedy palił go wstyd, i tak dręczył, że wreszcie kończyło się zwykłym atakiem choleryny. Te ataki, przypominające cholerynę, były normalnym u niego rezultatem wstrząśnień nerwowych i stanowiły oryginalny, właściwy organizmowi jego fenomen.

Istotnie, Barbara Piotrowna nienawidziła go dość często; on jednak aż do końca nie zauważył jednej rzeczy: nie zauważył, że stał się dla niej synem, tworem, jakgdyby własnym jej wynalazkiem. Stał się krwią krwi jej, — i wcale nie przez zazdrość dla talentu trzymała go ona przy sobie.

Samo podejrzenie to już było dla niej obrazą. Kryło się w niej nieznośne przywiązanie do tego człowieka, przeplatane nienawiścią, zazdrością i pogarda. Chroniła go od każdego pyłku, niańczyła przez dwadzieścia dwa lata; mogłaby stroskana nie spać po całych nocach, gdyby chodziło o jego opinję poety i działacza. Ona go wymyśliła, więc pierwsza musiała weń uwierzyć. Był czemś w rodzaju jej marzenia... Zato jednak wymagała od niego dużo, czasem chciała, aby był niewolnikiem. Krzywd nie zapominała nigdy. Przy sposobności opowiem dwa zdarzenia.

IV.

Kiedyś, przy pierwszych pogłoskach o skasowaniu pańszczyzny, gdy cała Rosja zatriumfowała i zamierzała się odrodzić, Barbarę Piotrownę odwiedził po drodze pewien baron petersburski, człowiek o olbrzymich stosunkach i stojący u steru. Barbara Piotrowna niezmiernie ceniła takie wizyty, gdyż jej stosunki w świecie, po śmierci męża, rozluźniały się coraz bardziej, a wreszcie przerwały się zupełnie. Baron całą godzinę siedział i pił herbatę. Nikogo więcej nie było, lecz Stepana Trofimowicza zaproszono. Baron coś niecoś słyszał o nim, albo udawał, że słyszał, lecz przy herbacie rzadko zwracał się do niego. Rzecz prosta, że Stepan Trofimowicz nie mógł się zblamować, a sposób bycia miał całkowicie wytworny. Chociaż nie był zbyt wysoko urodzony, lecz los zdarzył, że od dzieciństwa otrzymał wychowanie w pewnym arystokratycznym domu w Moskwie, — był więc wychowany dobrze, a po francusku mówił jak rodowity paryżanin. W ten sposób baron miał zrozumieć od pierwszego wejrzenia, jakimi ludźmi otacza się Barbara Piotrowna, nawet tu, w zaciszu prowincjonalnem. Nie udało się to jednak... Gdy baron potwierdził całkowicie wieści o wielkiej reformie, które rozniosły się niedawno, Stepan Trofimowicz nie wytrzymał, zawołał: hurra! i nawet zrobił jakiś gest, który miał wyrażać zachwyt. Krzyknął niezbyt głośno i nawet z dystynkcją; może zresztą sam zachwyt był zgóry uplanowany, a gest wystudjowany przed lustrem

o pół godziny wcześniej; widocznie jednak coś tu się nie udało, gdyż baron pozwolił sobie nawet uśmiechnąć się zlekka, chociaż natychmiast najuprzejmiej rzucił frazes o powszechnej radości wszystkich serc rosyjskich z powodu tak doniosłego zdarzenia. Wkrótce potem wyjechał, a wyjeżdżając nie zapomniał podać dwóch palców Wierchowieńskiemu. Powróciwszy do salonu, Barbara Piotrowna parę minut milczała, jakgdyby, szukała czegoś na stole. Znienacka odwróciła się do Stepana Trofimowicza i blada, z iskrzącemi się oczami, wycedziła szeptem:

— Nigdy panu tego nie przebaczę!

Nazajutrz spotkała się z przyjacielem, jak zawsze, i już nigdy o tem mowy nie było. Lecz po trzynastu latach, w pewnym tragicznym momencie, przypomniała mu to i zbladła tak samo, jak przed trzynastu laty. Tylko dwa razy w życiu Wierchowieński słyszał z ust Barbary Piotrowny: „Nigdy panu tego nie przebaczę!" Zdarzenie z baronem — to był już drugi wypadek. Lecz i pierwszy jest tak charakterystyczny, i takie miał znaczenie w życiu Stepana Trofimowicza, że nie waham się go przytoczyć.

Działo się to w 1855 roku, na wiosnę, w maju, wkrótce po przyjściu do Skworeszników wiadomości o śmierci generała Stawrogina, lekkomyślnego starca, który zmarł na chorobę żołądka w drodze do Krymu, dokąd dążył do armji czynnej. Barbara Piotrowna została wdową i przywdziała głęboką żałobę. Nie mogła jednak zbyt się martwić. Ostatnie cztery lata zupełnie nie żyła z mężem, z powodu niezgodności charakterów, i wypłacała mu pensję. (Sam generał miał tylko 150 dusz i pobory służbowe, poza tem zaś nazwisko i stosunki; całe bogactwa wraz ze Skworesznikami należały do Barbary Piotrowny, jedynej córki bogatego dostawcy). Niemniej przeto była wstrząśnięta nieoczekiwaną wieścią i pogrążyła się w samotności. Rzecz prosta, że Stepan Trofimowicz nie odstępował jej na krok.

Maj był w rozkwicie. Wieczory — cudowne. Zakwitły czeremchy. Przyjaciele spotykali się co wieczór w ogrodzie i do późnej nocy przesiadywali w altanie, zwierzając sobie wzajemnie myśli i uczucia. Bywały dziwnie poetyczne chwile. Barbara Piotrowna, pod wpływem zmiany losu,

mówiła więcej, niż zwykle. Lgnęła sercem do przyjaciela. Tak trwało przez kilka wieczorów. Znienacka olśniła Wierchowieńskiego dziwna myśl: „Czy ta niepocieszona wdowa nie liczy na niego i czy nie spodziewa się oświadczyn po upłynięciu roku żałoby?“ Było w tej myśli coś cynicznego. Lecz przecież wzniosłość organizacji psychicznej nie wyklucza tendencji do myśli cynicznych, chociażby tylko dzięki wszechstronności rozwoju. Zaczął obserwować, sprawdzać, i zdawało mu się, że tak jest w istocie. Zamyślił się: „Majątek olbrzymi, to prawda, ale...“ Istotnie Barbara Piotrowna nie mogła uchodzić za piękność. Była to niewiasta wysoka, żółta, koścista, o nadmiernie wydłużonej, nieco końskiej twarzy. Coraz wyraźniej wahał się Stepan Trofimowicz, dręczyły go wątpliwości, a nawet rozpłakał się parę razy wobec trudności decyzji (płakał wogóle dość często). Wieczorami jednak, to znaczy w altanie, twarz jego mimowoli zaczęła zdradzać coś kapryśnego i żartobliwego, jakąś kokieterję, a jednocześnie wyniosłość. Dzieje się to zwykle wbrew woli, ale im szlachetniejszy człowiek, tem więcej jest to widoczne. Już nie wiem, co o tem sądzić, lecz prawdopodobnie w sercu Barbary Piotrowny nie zaszło nic takiego, co mogłoby usprawiedliwić podejrzenia Stepana Trofimowicza. A zresztą, czyż zgodziłaby się ona zmienić nazwisko Stawroginej na jego nazwisko, aczkolwiek przez niego samego wsławione? Może było tam trochę kobiecej gry, jakiś odcień nieświadomych pragnień kobiecych, tak naturalnych w pewnych okolicznościach. Nie mogę, zresztą, zaręczyć. Do dziś dnia nikt nie zbadał tajemnic kobiecego serca. Lecz idźmy dalej.

Należy przypuszczać, że Stawrogina wkrótce zrozumiała ten dziwny wyraz twarzy przyjaciela. Była wrażliwa i domyślna, on zaś często bywał niemożliwie naiwny. Lecz wieczory upływały jak dawniej, a romowy wciąż były poetyczne i zajmujące. I oto, gdy noc już zapadła, po bardzo ożywionej i poetycznej rozmowie rozstali się po przyjacielsku, gorąco uścisnąwszy sobie dłonie przy wejściu do oficyny, gdzie mieszkał Stepan Trofimowicz. Zawsze przenosił się na lato z ogromnego dworu Stawroginych do tej oficyny, stojącej już prawie w ogrodzie. Ledwo zdążył wejść

do swego pokoju, w zakłopotanej zadumie wziął do ust cygaro, lecz jeszcze nie zapalił i stanął zmęczony, nieruchomy, przed otwartem oknem, wpatrując się w lekkie jak puch obłoczki, — gdy cichy szmer kazał mu drgnąć i odwrócić się. Stała za nim Barbara Piotrowna, z którą pożegnał się przed paru minutami. Jej żółta twarz była sina, usta zaciśnięte i drżały w kącikach. Przez całe dziesięć sekund, milcząc, patrzyła mu w oczy twardym, nieubłaganym wzrokiem i wreszcie szybko wypowiedziała:

— Nigdy panu tego nie przebaczę!

Gdy w dziesięć lat potem Stepan Trofimowicz opowiadał mi tę smutną historję, a opowiadał ją szeptem, szczelnie zamknąwszy drzwi, — przyznawał się, że tak się wtedy przeraził i osłupiał, iż nie słyszał i nie widział, jak wyszła Barabara Piotrowna. Ponieważ zaś ona sama nigdy nie wspomniała o tem zdarzeniu, a życie szło dalej normalnie, Wierchowieński skłaniał się nawet ku przypuszczeniu, że była to tylko halucynacja przed chorobą, tem bardziej, że istotnie tej nocy zachorował i przeleżał dwa tygodnie. Choroba ta przerwała dalsze przesiadywanie w altanie.

Wmawiając w siebie, że była to halucynacja, Stepan Trofimowicz z dnia na dzień, przez całe życie, oczekiwał dalszego ciągu i rozwikłania. Nie wierzył, aby na tem miało się skończyć. Dziwnym więc wzrokiem musiał spoglądać czasem na przyjaciółkę swoją.

V.

Stawrogina wynalazła dla Wierchowieńskiego nawet strój, w którym też chodził przez całe życie. Był to ubiór wytworny i oryginalny: długi, czarny surdut, zapięty do samej góry, obciskający go elegancko; miękki kapelusz (latem słomiany) o szerokiem rondzie; krawat biały, batystowy, z szeroką kokardą o zwisających końcach; laska z gałką srebrną. Włosy miał długie, spadające do ramion. Był ciemnym szatynem, i dopiero w ostatnich latach zaczął si-

wieć. Brodę i wąsy golił. Podobno w młodości był bardzo piękny. Twierdzę jednak, że i w starszym wieku był wyjątkowo interesujący. Zresztą, cóż to za starość w pięćdziesiątym roku życia? Przez pewną solidną kokieterję nietylko nie starał się odmładzać, lecz nawet podkreślał powagę swego wieku. Wysoki, szczupły, w oryginalnym stroju, o długich włosach, przypominał patrjarchę, a jeszcze więcej — portret poety Kukolnika, umieszczony przed laty w jakiemś wydawnictwie, — zwłaszcza gdy siedział latem w ogrodzie, na ławce, pod krzakiem kwitnącego bzu, oparty o laskę, z książką leżącą obok, poetycznie zadumany nad zachodem słońca. Co do książek, trzeba wyznać, że pod koniec zaczął je zaniedbywać. Ale to już pod sam koniec. Dzienniki i czasopisma, prenumerowane przez Barbarę Piotrownę w dużej ilości, czytywał stale. Zdradzał zainteresowanie dla młodej literatury rosyjskiej, dbał jednak, aby nie poniżyć przytem własnej godności. W pewnym okresie zaczął studjować z zapałem zasady polityki wewnętrznej i zewnętrznej, wkrótce jednak machnął ręką i dał temu spokój. Bywało i tak, że brał ze sobą do ogrodu Tocquevilla, a zboku, w kieszeni niósł schowanego Paul de Kocka. Są to zresztą drobiazgi.

Jeszcze słówko o portrecie Kukolnika: trafił on do rąk Barbary Piotrowny po raz pierwszy, gdy jako dziewczynka była jeszcze w instytucie szlacheckim w Moskwie. Zakochała się w tym portrecie odrazu, zwyczajem wszystkich pensjonarek, zakochujących się łatwo, bez wyboru, zwłaszcza w nauczycielach, przeważnie profesorach kaligrafji i rysunku. Nie chodzi tu o cechy wspólne wszystkim podlotkom, lecz o to, że nawet w pięćdziesiątym roku życia Barbara Piotrowna przechowywała ten obrazek, jako jedną z najcenniejszych pamiątek i może dlatego tylko stworzyła dla Stepana Trofimowicza strój, przypominający wizerunek poety. Zresztą, i o tem nie warto mówić.

W pierwszych latach, raczej w pierwszej połowie pobytu u Barbary Piotrowny, Wierchowieński wciąż myślał o jakimś traktacie i codzień poważnie zabierał się do pisania. Lecz w drugiej połowie wywietrzało mu wszystko z głowy. Coraz częściej mawiał: „Zdaje się, że jestem

dostatecznie przygotowany, materjały mam zebrane, a jakoś nie idzie robota! Nic nie idzie!" — i melancholijnie spuszczał głowę. Niewątpliwie powinno to było otoczyć go w naszych oczach aureolą męczeństwa dla wiedzy. Jemu jednak chodziło o co innego. „Zapomnieli o mnie, nikomu nie jestem potrzebny!" — wybuchał nieraz. Ta spotęgowana melancholja ogarnęła go zwłaszcza około 1860 roku. Barbara Piotrowna zrozumiała, że sprawa przedstawia się poważnie. Sama też nie mogła pogodzić się z myślą, że jej przyjciel jest zapomniany i niepotrzebny. Aby rozerwać go, a także aby przypomnieć o nim współczesności, zawiozła przyjacieli do Moskwy, gdzie miała szereg znajomości w świecie literackim i naukowym. Jednak i Moskwa nie pomogła.

Dziwne były czasy; szło coś nowego, niepodobnego do uprzedniej ciszy, coś niezrozumiałego, co dawało się wyczuwać wszędzie, nawet w Skworesznikach. Rozchodziły się głuche wieści. Zdarzenia były mniej więcej znane, lecz oprócz nich zjawiały się towarzyszące im ideje, a zjawiały się w ilości nadmiernej. To właśnie budziło wątpliwości. Trudno było dostosować się i ściśle dowiedzieć, co znaczą te ideje. Barbara Piotrowna, dzięki kobiecym właściwościom umysłu, usilnie dopatrywała się w tem wszystkiem jakiegoś sekretu. Zaczęła studjować dzienniki, czasopisma, zagraniczne zakazane wydawnictwa, nawet proklamacje, które wtedy właśnie zaczęły się ukazywać. Dostarczano jej tego wszystkiego. Ale od tej lektury jeszcze więcej zamąciło jej się w głowie. Zaczęła pisywać listy; rzadko jej odpowiadano, a zresztą odpowiedzi stawały się coraz mniej zrozumiałe. Stepan Trofimowicz był proszony o wytłumaczenie jej raz na zawsze tych wszystkich idej; lecz otrzymane wyjaśnienia stanowczo nie były zadawalające. Poglądy Stepana Trofimowicza na cały ten ruch były dziwnie wyniosłe: wszystko redukowało się do myśli, że sam on jest zapomniany i niepotrzebny. Wreszcie jednak przypomniano sobie o nim, z początku w wydawnictwach zagranicznych, jako o ofierze i wygnańcu, a potem nawet w Petersburgu, jako o byłej gwieździe w określonej

konstelacji. Porównano go, niewiadomo dlaczego, z Radiszczewym. Potem ktoś wydrukował, że Wierchowieński umarł, — i zapowiedział nekrolog o nim. Stepan Trofimowicz odrazu zmartwychwstał i nabrał otuchy. Wyniosły ton w stosunku do współczesnych znikł natychmiast. Zakwitło marzenie: przyłączyć się do nowego ruchu i pokazać swe siły. Barbara Piotrowna momentalnie uwierzyła we wszystko i zaczęła się krzątać. Postanowiono jechać do Petersburga, nie odkładając ani chwili, tam na miejscu dowiedzieć się gruntownie, zbadać, i w miarę możliwości całkowicie i niepodzielnie pogrążyć się w nowej działalności. Barbara Piotrowna oznajmiła, że chce założyć pismo i poświęcić mu całkowicie resztę życia. Widząc, jak daleko sprawa zaszła, Stepan Trofimowicz shardział, a w drodze zaczął traktować przyjaciółkę nieco pobłażliwie. Barbara Piotrowna nie omieszkała zanotować tego w sercu. Trzeba dodać, że miała ona inny także powód do wyjazdu: chęć wznowienia dawnych stosunków, przypomnienia o sobie w „sferach". Gdyby się nawet nie udało, to spróbować nie zawadzi. Oficjalnym zaś pretekstem od podróży było odwiedzenie jedynaka, który kończył nauki w liceum petersburskiem.

VI.

Cały sezon zimowy spędzili w Petersburgu. Przed Wielkim Postem wszystko pękło, jak tęczowa bańka mydlana. Rozwiały się marzenia, a chaos w głowie nietylko nie znikł, lecz przeciwnie — spotworniał jeszcze. Przedewszystkiem, ze stosunków w świecie nic prawie nie wyszło, chyba w rozmiarach mikroskopijnych i to kosztem poniżających wysiłków. Obrażona Barbara Piotrowna rzuciła się wtedy do „nowych prądów" i urządziła u siebie wieczory. Zaprosiła literatów, i tych sprowadzono do niej całemi pułkami. Potem przychodzili sami, bez zaproszeń. Jeden przyprowadzał drugiego. Nigdy jeszcze nie widywała takich literatów. Byli zarozumiali niemożliwie, ale tak otwarcie, jakgdyby z poczucia obowiązku. Niektórzy (nie wszys-

cy zresztą) zjawiali się pijani, świadcząc w ten sposób nowemu, od wczoraj wykrytemu pięknu. Każdy chełpił się czemś. Na ich twarzach można było wyczytać, że oto przed chwilą odkryli jakąś niesłychanie ważną tajemnicę. Łajali jeden drugiego, widząc w tem punkt honoru. Najtrudniej było dowiedzieć się, co właściwie napisał każdy z nich. Lecz byli tam krytycy, powieściopisarze, satyrycy, komedjopisarze, pamfleciści. Stepan Trofimowicz dotarł do samych szczytów, skąd kierowano całym ruchem. Do tych sterników dostęp był bardzo trudny, lecz Stepan Trofimowicz przyjęty został życzliwie, aczkolwiek nie wiedziano tam o nim i nie słyszano nic więcej ponad to, iż jest on „wcieleniem idei". Tak manewrował, iż udało mu się ściągnąć parę razy tych olimpijczyków do salonu Barbary Piotrowny. Byli bardzo poważni i bardzo uprzejmi. Zachowywali się przyzwoicie. Reszta bała się ich. Widać było jednak, że nie mają czasu na wizyty. Zjawiło się też kilka dawnych znakomitości literackich, obecnych chwilowo w Petersburgu, z któremi Barbara Piotrowna nie od dziś podtrzymywała stosunki najsubtelniejsze. Zdziwiło ją jednak, że te sławy istotne i niewątpliwe zachowywały się cicho, skromnie, a niektórzy z pośród nich lgnąć zaczęli do tej nowej zgrai i płaszczyć się przed nią. Stepan Trofimowicz miał narazie powodzenie. Zaczęto wysuwać go na publicznych zebraniach literackich. Gdy wyszedł po raz pierwszy na estradę, na wieczorze literackim, jako jeden z uczestników, rozległy się frenetyczne oklaski, które nie milkły wciągu pięciu minut. Po dziewięciu latach wspominał o tem ze łzami w oczach, raczej jednak dzięki układowi artystycznemu duszy, niż przez wdzięczność. „Przysięgam panu i nawet gotów jestem się założyć" — mówił mi w sekrecie — „że nikt z tej publiczności nie wiedział o mnie absolutnie nic". Ciekawe wyznanie: miał widocznie bystry umysł, jeżeli wtedy już, na estradzie, tak jasno zdawał sobie sprawę ze swej roli, pomimo upojenia sławą; a jednak widocznie nie miał umysłu bystrego, jeżeli nawet po dziewięciu latach nie mógł myśleć o tem bez poczucia krzywdy. Kazano mu złożyć podpis pod paru zbiorowemi protestami (przeciw czemu — nie wiedział dokładnie). Podpis złożył. Bar-

barze Piotrownie także dano do podpisu coś o jakimś „potwornym czynie". Podpisała. Zresztą, większość tych nowych ludzi, odwiedzając Barbarę Piotrownę, uważała za swój obowiązek traktować ją pogardliwie, nawet szyderczo. Stepan Trofimowicz dawał mi potem do zrozumienia, że wtedy właśnie zaczęła mu zazdrościć. Rozumiała dobrze, że nie powinna wcale obcować z tymi ludźmi, a jednak łapczywie podejmowała ich, z niecierpliwością prawdziwie kobiecą i nawet ciągle czegoś oczekiwała od nich. W czasie przyjęć mówiła mało, chociaż mogłaby mówić. Wolała słuchać. Mówiono tu o wszystkiem: o skasowaniu cenzury i „twardego znaku", o zamianie liter rosyjskich na łacińskie, o wczorajszej karze administracyjnej, o ostatnim skandalu w Pasażu, o konieczności podziału Rosji podług narodowości i stworzenia wolnego związku federacyjnego, o likwidacji armji i floty, o odbudowie Polski po Dniepr, o reformie włościańskiej i proklamacjach, o skasowaniu spadkobrania, rodzin, dzieci, duchowieństwa, o prawach kobiet, o domu Krajewskiego, którego to domu nikt nigdy nie mógł Krajewskiemu wybaczyć i t. d., i t. d. Było to aż nadto jasne, że wśród tej zgrai jest sporo oszustów, niezaprzeczalnie jednak były i jednostki uczciwe, a nawet, pomimo szeregu rysów dziwacznych, pociągające. Ludzi uczciwych trudniej było zrozumieć, niż brutalnych oszustów; lecz niewiadomo było, kto kogo za łeb trzyma. Gdy Barbara Piotrowna zdradziła chęć wydawania pisma, zaroiło się jeszcze więcej wokół niej, lecz jednocześnie rzucono jej w oczy oskarżenie, że jest kapitalistką i eksploatuje cudzą pracę. Oskarżenia te były zarówno bezceremonjalne, jak nieoczekiwane. Stary generał Drozdow, dawny przyjaciel i towarzysz broni zmarłego Stawrogina, człowiek dostojny (chociaż oryginał), którego wszyscy tu dobrze znamy, człowiek niesłychanie obraźliwy i zgryźliwy, lubiący dużo jeść i panicznie bojący się ateizmu, posprzeczał się kiedyś u Barbary Piotrowny z pewnym znakomitym młodzieńcem. I oto ten mu rzekł: „Skoro pan tak mówisz, — jesteś generałem!" A powiedział to w tym sensie, jakgdyby nie mógł znaleźć obelgi gorszej nad słowo „generał". Drozdow oburzył się strasznie: „Tak,

panie, jestem generałem, generałem broni, i cesarzowi mojemu służyłem, a ty, panie, jesteś chłystkiem i bezbożnikiem!" Stał się skandal zupełnie niedopuszczalny. Nazajutrz zdarzenie to przedostało się do prasy, i zaczęto zbierać podpisy pod protestem przeciwko „potwornemu czynowi" Barbary Piotrowny, która nie zechciała wtedy odrazu wyprosić generała za drzwi. W piśmie ilustrowanem ukazała się karykatura, zjadliwie przedstawiająca Drozdowa, Wierchowieńskiego i Barbarę Piotrownę, jako trójcę reakcyjnych przyjaciół; u dołu był wierszyk okolicznościowy, napisany przez jednego z poetów współczesnych. Dodam tu w nawiasie, że istotnie niektóre osoby w szlifach generalskich mają zabawny zwyczaj mówić: „Służyłem cesarzowi mojemu" — jakgdyby ich cesarz był inny, niż ten dla nas, zwykłych poddanych, jakiś specjalny, własny.

Rozumie się, że nie mogło już być mowy o pozostawaniu w Petersburgu, tem bardziej, że i Stepana Trofimowicza spotkało ostatecznie fiasko. Nie wytrzymał i zaczął bronić praw sztuki, lecz coraz głośniej wyśmiewano go. W czasie ostatniej dyskusji literackiej usiłował podziałać na zebranych wymową obywatelską, myśląc, że poruszy ich serca i licząc na szacunek dla „wygnańca". Bez protestu zgodził się, że słowo „ojczyzna" jest niepotrzebne i komiczne, zgodził się także, że religja jest rzeczą szkodliwą, lecz głośno i mocno oświadczył, że buty są mniej warte, niż Puszkin, i to znacznie mniej. Wygwizdano go nielitościwie, tak że rozpłakał się publicznie, jeszcze na estradzie. Był ledwo żywy, gdy go Barbara Piotrowna przywiozła do domu. „*On m'a traité comme un vieux bonnet de coton!*" — bełkotał. Stawrogina pielęgnowała go całą noc, aplikowała krople laurowe i powtarzała do świtu: „Jesteś pan jeszcze potrzebny; przyjdzie czas pański, ocenią pana... gdzie indziej".

Nazajutrz, wczesnym rankiem, zjawiło się u Barbary Piotrowny pięciu literatów, w tej liczbie trzech nieznajomych, których nigdy przedtem nie widziała. Poważnie oświadczyli jej, że rozważyli sprawę pisma i powzięli decyzję. Barbara Piotrowna, jako żywo, nigdy nikomu nie polecała ani rozważania sprawy pisma, ani decydowania. Decyzja

polegała na tem, że Stawrogina, założywszy pismo, ma oddać je wraz z kapitałami im, jako spółce. Sama ma niezwłocznie wyjechać do Skworeszników, zabrawszy ze sobą Stepana Trofimowicza, który już się „zestarzał". Przez delikatność zgadzali się uznać jej prawo własności i posyłać co roku szóstą część zysków. Najwięcej rozczulające było, że pośród tych pięciu ludzi przynajmniej czterej nie kierowali się żadnemi względami materjalnemi, lecz działali jedynie w imię wspólnej sprawy.

— Wyjeżdżaliśmy jak zaczadzeni, — opowiadał Stepan Trofimowicz, — nic nie rozumiałem i pamiętam tylko, że w takt stuku wagonu powtarzałem jakieś bezsensowne wyrazy:

Wieki, wieki, Lwy Kambeki,
Lwy Kambeki, wieki, wieki...

i już sam nie wiem, jak dalej, i tak aż do samej Moskwy. W Moskwie opamiętałem się. Czyżbym rzeczywiście miał tu znaleźć coś innego? O, przyjaciele, — wołał czasem jak w natchnieniu, — nie możecie wyobrazić sobie, jaki smutek i gniew ogarniają duszę, gdy wielką ideę, święcie przez nas zdawna czczoną, porwą ludzie nieudolni i rzucą ją na ulicę takim samym głupcom jak oni, — i oto spotykamy ją na rynku, zmienioną, zszarganą, ustawioną bezmyślnie, bezkształtnie, bez harmonji, zabawkę dla głupich dzieci! Nie! Inaczej było za naszych czasów i nie o tośmy walczyli. O nie, nie o to! Niczego nie poznaję! Lecz powróci nasza godzina i wszystko, co chwiejne, co dzisiejsze, wyjdzie na prosty szlak... Bo gdyby nie, — cóżby się stało?

VII.

Natychmiast po powrocie z Petersburga, Barbara Piotrowna wyprawiła przyjaciela zagranicę. „Niech odpocznie", — a zresztą czuła, że powinni się rozstać na jakiś czas. Stepan Trofimowicz wyjechał z radością. „Odrodzę się tam!" Ale pierwsze już listy z Berlina dźwięczały na

tę samą starą nutę: „Serce mi pęka", — pisał do Barbary Piotrowny, — „Nie mogę zapomnieć o niczem! Tu w Berlinie, wszystko przypomina mi przeszłość moją, moje pierwsze zachwyty i pierwsze męczarnie. Gdzie teraz ona? Gdzie one obie? Gdzie jesteście, dwa anioły, których nie byłem godzien? Gdzie syn mój, mój ukochany jedynak? Gdzie wreszcie ja sam, dawny ja, o mocy żelaznej i jak skała nieugięty, — jeżeli teraz jakiś tam *Andrejeff*, prawosławny brodaty błazen, *peut briser mon existence en deux*"... i t. d., i t. d. Syna zaś swego Stepan Trofimowicz widział wogóle tylko dwa razy w życiu, pierwszy raz zaraz po urodzeniu, drugi raz niedawno w Petersburgu, gdzie młodzieniec miał właśnie wstąpić na uniwersytet. Wiadomo już, że chłopiec przez całe życie wychowywał się u ciotek w o— skiej gubernji, (na koszt Barbary Piotrowny) o siedemset wiorst od Skoreszników. Co się tyczy owego *Andrejeff*, czyli wprost Andrejewa, był to zwykły kupiec tutejszy, sklepikarz, dziwak, archeolog — samouk, namiętny zbieracz starożytności rosyjskich, który nieraz docinał Wierchowieńskiemu swojemi wiadomościami, a zwłaszcza przekonaniami. Ten szanowny kupiec, siwobrody, w dużych srebrnych okularach, nie dopłacił Stepanowi Trofimowiczowi czterystu rubli za nabyte w jego majątku (obok Skworeszników) kilka dziesięcin lasu na wyrąb. Wprawdzie Barbara Piotrowna sowicie zaopatrzyła przyjaciela w gotówkę, wyprawiając go do Berlina, jednak na tych czterystu rublach specjalnie zależało mu przed wyjazdem, prawdopodobnie przeznaczał je na wydatki intymne. Prawie płakał, gdy Andrejew poprosił o odroczenie terminu na miesiąc, mając zresztą całkowite prawo do prolongaty, gdyż uprzednie raty wypłacił o jakie sześć miesięcy przed terminem, na skutek specjalnych nalegań Stepana Trofimowicza. Barbara Piotrowna chciwie przeczytała ten pierwszy list, podkreśliła ołówkiem słowa: „gdzie one obie?", wystawiła datę i zamknęła do skrzynki. Oczywiście wspominał swoje żony-nieboszczki. W drugim liście, pisanym z Berlina brzmiała już nuta odmienna: „Pracuję po 12 godzin na dobę (gdyby choć po jedenaście, mruknęła Barbara Piotrowna), zaryłem się w bibljotekach, spraw-

dzam, notuję, szukam; byłem u profesorów. Wznowiłem znajomość z znakomitą rodziną Dundasowych. Jak zachwycająca jest Nadieżda Mikołajewna jeszcze dzisiaj! Kazała Pani się kłaniać. Jej młody mąż i wszyscy trzej siostrzeńcy są w Berlinie. Wieczorami gwarzymy z młodzieżą do świtu, urządzamy wieczory prawdziwie ateńskie, oczywiście tylko pod względem smaku i elegancji. Wszystko szlachetne. Dużo muzyki, motywy hiszpańskie, marzenia o odrodzeniu ludzkości, idea wiecznego piękna, Madonna Sykstyńska, światło przeplatane cieniem, boć i na słońcu są plamy! Duszą całą jestem z Panią. Tylko z Panią wszędzie, *en tout pays*, chociażby nawet *dans le pays de Makar et de ses veaux*, o którym, pamiętasz Pani, tak często mówiliśmy z trwogą w Petersburgu przed wyjazdem. Z uśmiechem dziś przypominam to sobie. Przejechawszy przez granicę, poczułem się bezpiecznym. Dziwne to uczucie, nowe, po raz pierwszy po tylu latach"... i t. d., i t. d.

— No, to wszystko głupstwa! — zadecydowała Barbara Piotrowna, składając i ten list: — jeżeli wieczory ateńskie trwają do świtu, nie może on przecież po dwanaście godzin na dobę ślęczeć nad książkami. Czy pisał pijany? Jak śmie ta Dundasowa posyłać mi ukłony? A zresztą, niech robi, co chce...

Frazes: „*dans le pays de Makar et de ses veaux*" miał znaczyć: „tam, gdzie Makar cieląt nie ganiał". Stepan Trofimowicz umyślnie w najgłupszy sposób lubił tłumaczyć rosyjskie przysłowia i charakterystyczne powiedzenia na język francuski, chociaż niewątpliwie potrafił je lepiej zrozumieć i przetłumaczyć. Widział w tem pewien szyk, uważał to za dowcipne.

Bawił się niedługo. Nie wytrzymał nawet czterech miesięcy i powrócił do Skworeszników. Ostatnie listy wypełnione były całkowicie wylewami najtkliwszego przywiązania do nieobecnej przyjaciółki i literalnie skropione łzami rozłąki. Są ludzie, którzy niesłychanie zżywają się z domem, jak pieski pokojowe. Spotkanie przyjaciół było pełne uniesień. Na trzeci dzień wszystko weszło w tryb, i może nawet nudniejsze było niż dawniej. „Przyjacielu mój", —

mówił mi Stepan Trofimowicz w dwa tygodnie potem, oczywiście w głębokim sekrecie, — „przyjacielu, odkryłem rzecz nową dla mnie, a straszną: jestem najpowszedniejszym rezydentem *et rien de plus! Mais r-r-rien de plus!*"

VIII.

Potem ucichło wszystko, i cisza ta trwała przez całe ostatnie dziewięć lat. Histeryczne wybuchy i szlochy na mojem ramieniu, powtarzające się regularnie, bynajmniej nie mąciły ogólnego spokoju. Dziwię się, że Stepan Trofimowicz nie utył przez ten czas. Nieco mu tylko nos poczerwieniał. Stopniowo ustaliło się kółko naszych przyjaciół, stale nieliczne. Barbara Piotrowna mało udzielała się nam, lecz wszyscy uznawaliśmy jej patronowanie. Po nauczce petersburskiej zamieszkała u nas już na zawsze: zimę spędzała w swym domu w mieście, lato — w majątku podmiejskim. Nigdy nie posiadała tyle wpływu i wagi, jak wciągu ostatnich siedmiu lat, to znaczy do chwili mianowania obecnego naszego gubernatora. Nasz uprzedni gubernator, łagodny, niezapomniany Iwan Osipowicz, był blisko z nią spokrewniony, a nawet dużo jej zawdzięczał. Małżonka jego drżała wprost na myśl, że w czemkolwiek nie dogodzi Barbarze Piotrownie, a czołobitność gubernjalnego świata tak wzrosła, że zatrącała niemal grzechem. Czuł się więc dobrze i Stepan Trofimowicz. Był członkiem klubu, elegancko przegrywał i pozyskał poważanie ogólne, aczkolwiek wielu widziało w nim „uczonego". Później, gdy Barbara Piotrowna pozwoliła mu zamieszkać w innym domu, poczuliśmy jeszcze większą swobodę. Zbieraliśmy się u niego dwa razy na tydzień; było wesoło, zwłaszcza gdy gospodarz nie skąpił szampana. Wino dostarczał ten sam Andrejew, a rachunek regulowała co pół roku Barbara Piotrowna. Dzień płacenia był jednocześnie dniem choleryny.

Najstarszym członkiem naszego kółka był Liputin, urzędnik państwowy, człowiek już niemłody, wielki liberał, słynący w mieście jako ateista. Ożenił się po raz drugi

z modną i ładną osobą, wziął posag — a miał prócz tego trzy dorastające córki. Rodzinę trzymał w ryzach i zamknięciu, był niesłychanie skąpy i oszczędności swej zawdzięczał posiadanie domku i kapitaliku. Był człowiekiem niespokojnym i niewysokiej rangi; w mieście niezbyt go szanowano, a w wyższych sferach nie był przyjmowany. Miał poza tem zdecydowaną opinję plotkarza, i niejednokrotnie za szerzenie plotek był karany, nawet boleśnie, raz przez jakiegoś oficera, drugi raz przez poważnego ojca rodziny, ziemianina. Lubiliśmy go jednak za bystrość umysłu, za żądzę wiedzy, za specyficzną, zjadliwą wesołość. Nie lubiła go Barbara Piotrowna, on jednak umiał zawsze z nią sobie poradzić.

Nie lubiła także Szatowa, który od niedawna wszedł do naszego kółka. Szatow był przedtem studentem. Po jakiejś awanturze akademickiej, wyrzucono go z uniwersytetu. W dzieciństwie był uczniem Stepana Trofimowicza, a urodził się, jako chłop pańszczyźniany Barbary Piotrowny, syn zmarłego jej kamerdynera, Pawła — i wszystko jej zawdzięczał. Nie lubiła go za hardość i brak wdzięczności i żadną miarą nie mogła mu przebaczyć, że zaraz po wypędzeniu z uniwersytetu nie stawił się u niej; przeciwnie, nie odpowiedział nawet na specjalnie wysłany do niego list i wolał zaprzedać się jakiemuś kupcowi i uczyć jego dzieci. Z rodziną tego kupca wyjeżdżał zagranicę, raczej w charakterze opiekuna, niż nauczyciela; chciało mu się bardzo zwiedzić Europę. Przy dzieciach kupca była także nauczycielka, energiczna panienka, Rosjanka, przyjęta przed samym wyjazdem głównie przez wzgląd na skromne warunki wynagrodzenia. Po paru miesiącach kupiec wypędził ją za „wolnomyślicielstwo". Powlókł się za nią i Szatow i wkrótce poślubił ją gdzieś w Genewie. Żyli razem przez trzy tygodnie, poczem, jak ludzie wolni, rozstali się. Oczywiście przyczynił się do tego brak środków do życia. Długo potem Szatow błądził sam po Europie, żyjąc niewiadomo z czego; podobno czyścił gdzieś buty na ulicach, potem był tragarzem w jakimś porcie. Wreszcie, przed rokiem, powrócił do nas, do gniazda ojczystego i osiedlił się ze staruszką ciotką, którą w miesiąc potem pochował. Bardzo

rzadko i zdaleka obcował z siostrą swoją, Daszą, także wychowanicą Barbary Piotrowny, obecnie jej faworytką, mieszkającą u niej na prawach osoby równego pochodzenia. W naszem gronie Szatow był zawsze ponury i milczący, i czasem tylko, gdy zadraśnięto jego przekonania, chorobliwie ożywiał się i nie umiał hamować słów. „Szatowa należy związać, i wtedy dopiero można z nim dyskutować", — mówił czasem Stepan Trofimowicz, lecz lubił go. Zagranicą Szatow zmienił radykalnie swe dawne poglądy socjalistyczne i wpadł w odwrotną krańcowość. Była to jedna z tych istot typowo rosyjskich, które zwykle znienacka olśniewa jakaś idea i wnet przytłacza je sobą, czasem bezpowrotnie. Ci ludzie nie mogą nigdy poradzić sobie z ideą, a wierzą namiętnie; całe ich życie podobne jest do ostatnich drgawek pod tłoczącym bezlitośnie kamieniem, który już nawpół ich zadusił. Wygląd Szatowa odpowiadał całkowicie jego przekonaniom; był to niezgrabny blondyn, obrośnięty, niskiego wzrostu, szeroki w ramionach, o grubych wargach i jasnych, gęsto zwisających brwiach. Czoło zawsze zachmurzone, a oczy nieuprzejme, zapatrzone gdzieś tępo, jakgdyby zawstydzone. Na głowie miał zawsze wicherek, który nie dawał się zaczesać i sterczał do góry. Miał lat dwadzieścia siedem lub dwadzieścia osiem. „Nie dziwię się jego żonie, że go porzuciła", — zauważyła raz Barbara Piotrowna, uparcie wpatrując się w niego. Nosił się schludnie, pomimo nadzwyczajnego ubóstwa. Do Barbary Piotrowny znów się nie zwrócił o pomoc, a żył na łasce Bożej. Pracował u kupców. Siadywał w sklepach, potem jako pomocnik miał już wyjechać parostatkiem z towarami, lecz przed samym wyjazdem zachorował. Trudno wyobrazić sobie jak straszną nędzę umiał znosić, nawet nie myśląc o tem. Barbara Piotrowna po chorobie jego posłała mu w sekrecie, anonimowo, sto rubli. Dowiedział się jednak skąd te pieniądze, pomyślał, przyjął je i poszedł podziękować Barbarze Piotrownie. Przyjęty został bardzo ciepło, lecz natychmiast zawiódł oczekiwania. Przesiedział zaledwie pięć minut, w milczeniu, tępo wpatrzony w podłogę i głupio uśmiechnięty, i raptem, nie dosłuchawszy końca ciekawej rozmowy, powstał, ukłonił się jakoś boczkiem, niedź-

wiedziowato, zawstydził się jeszcze więcej, przy sposobności potrącił, zwalił na podłogę i strzaskał cenny składany stolik do robótek i wyszedł, ledwo żywy ze wstydu. Liputin zarzucał mu potem, że nie odtrącił wtedy z pogardą stu rubli, pochodzących od despotki — obszarniczki, i nietylko je przyjął, lecz jeszcze powlókł się podziękować. Szatow mieszkał samotnie na krańcu miasta i nie lubił, gdy ktokolwiek, nawet z pośród nas, odwiedzał go. Do Stepana Trofimowicza na zebrania nasze przychodził regularnie i brał tu do czytania książki i pisma.

Zjawiał się na te zebrania jeszcze jeden człowiek, niejaki Wirgiński, urzędnik miejscowy, który nieco przypominał Szatowa, ale w gruncie rzeczy był zupełnie odmienny. Był także familijny. Nieszczęśliwy i bardzo cichy młodzieniec, zbliżający się już zresztą do trzydziestki, o znacznem wykształceniu, chociaż samouk. Był biedny, żonaty, piastował jakiś tam urząd i miał na utrzymaniu ciotkę i siostrę żony. Małżonka jego, jak zresztą wszystkie te panie, miała poglądy najnowocześniejsze, lecz wyglądało to u nich jakoś topornie: była to właśnie „idea, która trafia na ulicę", jak kiedyś z innego powodu wyraził się Stepan Trofimowicz. Wszystko czerpały z książek, i gotowe były na pierwszą głuchą wieść ze stołecznych zakątków postępowych wyrzucać wszystko za okno, o ile tak tam doradzano. Madame Wirgińska pracowała jako akuszerka, będąc panną; mieszkała dość długo w Petersburgu. Sam Wirgiński był człowiekiem wyjątkowo uczciwym; rzadko zdarzało mi się spotkać tak szczery płomień duchowy. „Nigdy, nigdy nie rozstanę się z tą jasną nadzieją" — mówił mi nieraz, a oczy mu błyszczały. O „jasnej nadziei" mówił zawsze cicho, radośnie, pół-szeptem, prawie w tajemnicy. Był wysokiego wzrostu, lecz niesłychanie chudy i wąski w ramionach, a włosy miał niezwykle rzadkie, rudawe. Przyjmował łagodnie wszystkie pogardliwe wycieczki Stepana Trofimowicza z powodu niektórych jego poglądów, replikował zaś zawsze poważnie i często tak trafnie, że Stepan Trofimowicz nie mógł znaleźć odpowiedzi. Wierchowieński obchodził się z nim serdecznie, a zresztą nas wszystkich traktował także po ojcowsku.

— Wszyscy wy jesteście „niedonoszeni", — mówił żartobliwie do Wirgińskiego, — wszyscy wy, chociaż w panu nie zauważyłem tej ograniczoności, którą spotykałem w Petersburgu *chez cez séminaristes*. Ale jesteście „niedonoszeni". Szatow, naprzykład, chętnie byłby „doniósł się" do końca, a jednak i on jest „niedonoszony".

— A ja? — pytał Liputin.

— Pan? Pan jesteś złotym środkiem, który dostosuje się wszędzie... na własny sposób.

Liputin obrażał się.

Opowiadano o Wirgińskim i na nieszczęście nie bez powodu, że małżonka jego, nie przeżywszy z nim nawet roku, oświadczyła, iż udziela mu dymisji i woli Lebiadkina. Ów Lebiadkin, jakaś przyjezdna osobistość, okazał się bardzo podejrzaną figurą, a nawet nie był wcale sztabs-kapitanem, jak siebie zazwyczaj tytułował. Umiał tylko podkręcać wąsa, pić i gadać najrozmaitsze głupstwa, przechodzące najbujniejszą wyobraźnię... W sposób bardzo niedelikatny przeprowadził się do Wirgińskich, zadowolony z cudzego wiktu, jadł u nich i spał, i wreszcie zaczął traktować samego gospodarza z góry. Zapewniano, że Wirgiński, po oświadczeniu żony, miał jej powiedzieć: „Moja droga, dotychczas tylko kochałem ciebie, a teraz szanuję", — wątpię jednak, czy tak klasyczne rzymskie powiedzenie istotnie zostało wygłoszone; podobno, wprost przeciwnie, Wirgiński płakał rzewnemi łzami. Pewnego razu, w parę tygodni po dymisji, wyruszono całą „rodziną", wraz ze znajomymi, za miasto, do lasu. Wirgiński był nerwowo wesół i nawet brał udział w tańcach. Znienacka jednak, bez uprzedniej kłótni, schwycił za włosy olbrzyma Lebiadkina, który właśnie solo tańczył kankana, schylił go do ziemi i zaczął tarzać, z piskiem, krzykiem i łzami. Olbrzym tak się przestraszył, że nawet się nie bronił i przez cały czas szarpaniny zachował milczenie. Potem jednak obraził się z całym zapałem, godnym honorowego człowieka. Wirgiński przez długą noc błagał żonę na kolanach o przebaczenie, nie przebłagał jednak, gdyż pomimo wszystko nie zgodził się przeprosić Lebiadkina; nadomiar złego oskarżony został o ubóstwo myśli i o głupotę, a to z tej racji, że klęczał przed kobietą. Sztabs-

kapitan wkrótce potem znikł i powrócił do naszego miasta niedawno dopiero, razem z siostrą, nosząc się z nowemi już zamiarami. Lecz o tem we właściwym czasie. Nic dziwnego, że nieszczęśliwy małżonek szukał w naszem towarzystwie ukojenia i chętnie przestawał z nami. O swoich sprawach rodzinnych nigdy nie opowiadał. Raz tylko, wracając ze mną od Stepana Trofimowicza, zagadał coś o swojej sytuacji, lecz w tej chwili schwycił mnie za rękę i ogniście zawołał:

— Ale to nic; to tylko prywatny szczegół; takie rzeczy w niczem zaszkodzić nie mogą „wspólnej sprawie".

Zjawiali się w naszem kółku i przygodni goście. Zaglądał żydek Lamszyn, kapitan Kartuzow. Bywał przez pewien czas jakiś ciekawy staruszek, lecz umarł. Kiedyś Liputin przyprowadził będącego na wygnaniu księdza Słońcewskiego, któregośmy przez czas pewien przyjmowali w imię zasady, — lecz wkrótce przestaliśmy przyjmować.

IX.

Mówiono w mieście, że nasza paczka jest ogniskiem wolnomyślicielstwa, bezbożności i rozpusty. Stale podtrzymywano tę opinję. W rzeczywistości zaś była u nas najniewinniejsza, miła, tak bardzo rosyjska, wesoła gadanina liberalna. „Wyższy liberalizm" i „wyższy liberał", czyli „liberał" bez konkretnego celu, możliwe są tylko w Rosji. Stepan Trofimowicz, jak każdy zresztą człowiek dowcipny, potrzebował słuchaczów, potrzebował oprócz tego świadomości, że spełnia szczytny obowiązek propagandy ideowej. Trzeba było zresztą wypić z kimkolwiek szampana i przy dobrem winie wymienić szereg myśli o Rosji i o „duszy rosyjskiej", o Bogu wogóle i o „rosyjskim Bogu" w szczególności; powtórzyć po raz setny znane wszystkim i przez wszystkich zapamiętane rosyjskie anegdoty skandaliczne. Ploteczki miejskie także nie były nam obce, przyczem często ferowaliśmy wysoce moralne wyroki. Potrącaliśmy także o rzeczy ogólnoludzkie, poważnie rozprawialiśmy o przyszłych losach Europy i ludzkości. Przepowiadaliśmy arbi-

tralnie, że Francja, po okresie cezaryzmu, spadnie do roli drugorzędnego państwa, a mieliśmv najzupełniejszą pewność, że stanie się to szybko i łatwo. Papieżowi przepowiadaliśmy stanowisko zwykłego metropolity zjednoczonych Włoch i byliśmy święcie przekonani, że w naszym wieku humanitaryzmu, przemysłu, kolei żelaznych, wszystkie te tysiącletnie zagadnienia są fraszką. „Wyższy liberalizm rosyjski" inaczej tych rzeczy nie traktował. Stepan Trofimowicz rozmawiał często o sztuce, mówił bardzo ładnie, lecz nieco abstrakcyjnie. Wspominał nieraz przyjaciół młodości swojej, przeważnie ludzi, którzy odznaczyli się czemś w historji kultury rosyjskiej, — mówił o nich z zachwytem i czcią, a jednocześnie z odcieniem zazdrości. Gdy już robiło się nudno, żydek Lamszyn, skromny urzędniczyna państwowy, dobry pianista, siadał do fortepianu, a w antraktach udawał świnię, burzę, poród z pierwszym krzykiem dziecka, i t. p. Poto tylko był zapraszany. Gdyśmy wypili zbyt wiele, co się zrzadka zdarzało, wpadaliśmy w stan zachwytu, i raz nawet, przy akompanjamencie Lamszyna, śpiewaliśmy chórem Marsyljanke; nie wiem tylko, czy się to nam dobrze udało. Wielki dzień 19 lutego witany był triumfalnie, i na długo przedtem wysuszaliśmy kielichy na jego cześć. Tak dawno to było. Nie było wtedy jeszcze ani Szatowa, ani Wirgińskiego, a Stepan Trofimowicz mieszkał jeszcze we wspólnym domu z Barbarą Piotrowną. Na parę dni przed tym dniem historycznym, Stepan Trofimowicz zaczął nucić pod nosem znany, trochę sztuczny wiersz, napisany przez jakiegoś liberalnego ziemianina:

„Idą chłopi i niosą topory,
Idą na straszną rzecz"...

czy coś w tym rodzaju, ściśle nie pamiętam. Barbara Piotrowna podsłuchała kiedyś, zawołała: „Głupstwa, głupstwa!" i wyszła rozgniewana. Liputin, obecny przy tem, zjadliwie odezwał się do Stepana Trofimowicza:

— A przykro będzie, jeśli byli poddani rzeczywiście zamącą radość i wyrządzą drobną nieprzyjemność panom obszarnikom.

Wskazującym palcem przesunął po szyi.

— *Cher ami* — dobrodusznie zauważył Stepan Trofimowicz — niech mi pan wierzy, że to (tu powtórzył gest Liputina) żadnej korzyści nie przyniosłoby ani obszarnikom, ani wogóle nam. Wprawdzie głowy przeszkadzają nam cokolwiek budować, lecz i bez głów nie zdobylibyśmy się na żadne budownictwo.

Trzeba zaznaczyć, że wszyscyśmy oczekiwali w dniu manifestu czegoś niezwykłego, w tym rodzaju, jak wspomniał Liputin; myśleli tak nawet tak zwani znawcy ludu i spraw państwowych. Stepan Trofimowicz prawdopodobnie podzielał te przypuszczenia, do tego stopnia nawet, że w przeddzień wielkiego dnia zaczął się wypraszać zagranicę; słowem zaniepokoił się. Minął jednak historyczny dzień, minęło jeszcze trochę czasu, i znów na twarzy Stepana Trofimowicza zjawił się dumny uśmiech. Wypowiedział w naszej obecności kilka cennych uwag o charakterze Rosjanina wogóle i chłopka rosyjskiego w szczególności.

— My, ludzie nazbyt gwałtowni, zanadto pośpieszyliśmy się z naszymi chłopkami, — zamykał Stefan Trofimowicz szereg nieocenionych myśli: — Uczyniliśmy z nich modę, a cały odłam literatury, od kilku lat cacka się z nimi, jak z tylko co wykrytym skarbem. Wieńce laurowe włożyliśmy na zawszone głowy. Wsi zaś rosyjskiej od tysiąca lat zawdzięczamy tylko „kamarińskiego". Znakomity poeta rosyjski, niepozbawiony dowcipu, gdy zobaczył po raz pierwszy na scenie wielką Rachelę, zawołał w zachwycie: „Nie oddałbym Racheli za chłopa rosyjskiego!" Pójdę dalej. Wszystkich chłopów, razem wziętych, oddałbym za jedną Rachelę. Czas wreszcie spojrzeć trzeźwo i nie plątać ojczystego dziegciu z *bouquet de l'impératrice.*

Liputin natychmiast z tem się zgodził, lecz zauważył, że w swoim czasie ze względów taktycznych trzeba było podfałszować trochę i wychwalać chłopów. Że nawet panie z najlepszego towarzystwa zalewały się łzami, czytając opowiastki ludowe o Antonie-biedaku, i niektóre z nich pisywały nawet z Paryża do rządców, aby na przyszłość obchodzili się z chłopami po ludzku.

Zdarzyło się, — że w gubernji naszej i nie dalej jak o 15 wiorst od Skworeszników, zaszło jakieś nieporozumienie, tak że w pośpiechu posłano tam oddział wojskowy. Na ten raz Stepan Trofimowicz tak się zaniepokoił, że nawet nas nastraszył. Wykrzykiwał w klubie, że za mało wojska tam posłano, że trzeba telegraficznie wezwać pomocy z sąsiedniej gubernji. Biegał do gubernatora, tłumacząc mu, że sam nie ma z tem nic wspólnego. Błagał, aby z powodu jego przeszłości nie wplątywano go w tę aferę, i prosił, aby oświadczenie jego zostało natychmiast zakomunikowane komu należy w Petersburgu. Chwała Bogu, że wszystko to szybko przeszło i skończyło się na niczem. Wyznam jednak, że zdziwił mnie wtedy Stepan Trofimowicz.

W trzy lata później, jak wiadomo, zaczęto mówić o zagadnieniach narodowościowych i narodziła się „opinja publiczna"; Stepan Trofimowicz szczerze się śmiał.

— Moi drodzy, — pouczał nas, — wasze „narodowości", jeżeli istotnie narodziły się, jak to zapewniają gazety, to jednak siedzą dotychczas w szkole, w jakiejś niemieckiej Petersschule, przy książce niemieckiej i wykuwają niemiecką lekcję, a nauczyciel — Niemiec stawia na kolana, kiedy trzeba. Pochwalam tego Niemca — nauczyciela. Lecz prawdopodobnie nic się nie narodziło, a wszystko idzie po staremu, to znaczy według woli Bożej. Myślę, że to wystarcza Rosji, *pour notre sainte Russie*. Poza tem, te wszystkie panslawizmy i kwestje narodowościowe, — to wszystko rzeczy zbyt stare, aby mogły uchodzić za nowe. Poczucie narodowościowe, jeśli chcecie panowie, nigdy nie powstało u nas inaczej, jak w postaci wielkopańskich pomysłów klubowych, zwłaszcza moskiewskich. Nie mówię oczywiście o czasach kniazia Igora. Wszystko to z próżniactwa. U nas wszystko z próżniactwa: i dobro i zło. Wszystko z wielkopańskiego, miłego, ukształconego, samowolnego próżniactwa. Powtarzam to od trzydziestu lat. Nie umiemy żyć z pracy własnej. A oni tam rozhałasowali się wokół jakiejś „nowonarodzonej" opinji publicznej! Przyszła znikąd? Z nieba spadła? Czyż nie rozumieją, że dla wytworzenia opinji niezbędna jest przedewszystkiem praca, własna praca, własna inicjatywa, własne doświad-

czenie? Darmo nic nie przychodzi. Jeżeli będziemy pracowali, wytworzymy sobie i opinję własną. Ponieważ jednak nigdy pracować nie będziemy, więc i poglądy będą wytwarzali za nas ci, którzy za nas dotychczas pracowali, to znaczy wciąż ta sama Europa, wciąż ten sam Niemiec, dwuwiekowy nasz nauczyciel. Zbyt wielkiem zresztą nieporozumieniem jest Rosja, aby dało się ono rozstrzygnąć bez pomocy Niemca i bez pracy. Od lat dwudziestu już uderzam w dzwon i nawołuję do pracy! Życie całe poświęciłem temu wołaniu, i sam, szalony, wierzyłem. A teraz już nie wierzę, lecz dzwonię i będę dzwonił do końca, do grobu. Będę targał sznurem, aż nie zadzwonią mi nad moją mogiłą.

Tak, niestety! Mogliśmy tylko potwierdzać. Przyklaskiwaliśmy mistrzowi naszemu, — a z jakim zapałem! Powiedzcie jednak panowie: czy i teraz nie rozlega się wszędzie taka sama miła, mądra, liberalna, stara rosyjska paplanina?

Mistrz nasz wierzył w Boga. „Nie rozumiem, dlaczego mają mnie wszyscy za ateusza?" — mawiał czasem. „W Boga wierzę, *mais distinguons*, wierzę, jako w Istotę, we mnie się uświadamiającą. Nie mogę przecież wierzyć tak, jak moja Nastasja (służąca), lub jak jakiś panicz, wierzący „na wszelki wypadek", lub jak nasz miły Szatow. Zresztą, Szatow — to inna sprawa. Szatow wierzy z przymusu, jako słowianofil moskiewski. Co się zaś tyczy chrystjanizmu, to pomimo całego mego szacunku, chrześcijaninem nie jestem. Jestem raczej poganinem, jak wielki Goethe, lub jak starożytny Grek. Wystarcza już, że chrystjanizm nie rozumiał kobiety, jak to świetnie wyłożyła George Sand w jednym ze swych genjalnych romansów. Co zaś do praktyk, postów i innych rzeczy, nie rozumiem, komu na tem zależy? Niech się starają jak chcą nasi konfidenci, lecz jezuitą nie zostanę. W roku 1847 Bieliński, będąc zagranicą, napisał do Gogola znany list, w którym zarzucał mu w gorących słowach wiarę w „jakiegoś tam Boga". *Entre nous soit dit*, nie mogę wyobrazić sobie nic komiczniejszego, niż chwila, gdy Gogol, ówczesny Gogol, przeczytał ten zwrot... i cały list. Odrzuciwszy jednak na stronę śmieszność sytuacji, i ponieważ zgadzam się z istotą rzeczy, po-

wiem i podkreślę: to byli ludzie! Umieli przecież kochać lud, cierpieć za lud, złożyć mu wszystko w ofierze, a jednak nie poniżać się do niego, nie schlebiać mu w pewnych kwestjach. Nie mógł przecież Bieliński szukać zbawienia w oleju lub w kalarepie z grochem!

Tu się wplątał Szatow.

— Nigdy ci pańscy ludzie nie kochali ludu, nie cierpieli za lud i żadnych ofiar nie złożyli, chociażbyś pan to sobie nie wiem jak przedstawiał na własną pociechę! — zamruczał ponuro, niecierpliwie poruszając się na krześle.

— Co? Oni — nie kochali ludu? — krzyczał Stepan Trofimowicz. — Ależ jak kochali!

— Ani Rosji, ani ludu! — wył już Szatow, błyskając oczyma. — Nie można kochać tego, czego się nie zna, oni zaś nie mieli o Rosji pojęcia. Oni wszyscy, — a pan razem z nimi, — patrząc przez palce, pomineli lud rosyjski, a ten Bieliński przedewszystkiem. Bieliński, jak ów „*Ciekawy*" w bajce Kryłowa, nie dostrzegł słonia w „kunstkamerze", a całą uwagę zwrócił na francuskie żuczki socjalne; na nich też poprzestał. A przecież on był z was wszystkich może najmadrzejszy! Nietylko nie zauważyliście ludu, lecz odwracaliście się od niego ze wstrętem. Jako naród traktowaliście jedynie Francuzów, i to nawet wyłącznie paryżan, i wstydziliście się, że lud rosyjski nie jest taki sam! Oto naga prawda! Kto jednak nie zna ludu, nie zna Boga! Wiedzcie napewno, że wszyscy, którzy przestają rozumieć swój naród i tracą związek z nim, natychmiast, w miarę jak tracą wiarę ojczystą, stają się ateuszami lub obojętnymi. Mam rację! To fakt sprawdzony. I dlatego to i wy wszyscy, i my wszyscy teraz, jesteśmy albo gnuśnymi ateistami, albo obojętnem, rozpustnem bydłem, i niczem więcej! I pan także, Stepanie Trofimowiczu, nie czynię dla pana wyjątku, nawet właśnie o panu mówiłem, niech pan wie o tem.

Zwykle, wyrzuciwszy z siebie taki monolog (a to się z nim często zdarzało), Szatow chwytał czapkę i kierował się do drzwi, w całkowitem przekonaniu, że teraz już wszystko skończone, i że stosunek przyjazny z Stepanem Trofi-

mowiczem zerwany na zawsze. Jednak Wierchowieński umiał go za każdym razem powstrzymać.

— A możebyśmy się tak z panem pogodzili po tych miłych słówkach? — mawiał, dobrodusznie wyciągając dłoń.

Niezgrabny, wstydliwy Szatow nie lubił czułości. Był pozornie grubjaninem, jednak w istocie odznaczał się wielką delikatnością uczuć. Tracił często równowagę, lecz pierwszy cierpiał nad tem. Po wezwaniu Stepana Trofimowicza, pomruczawszy coś pod nosem i podreptawszy na miejscu, jak niedźwiedź, uśmiechał się niespodzianie, odrzucał nabok czapkę i siadał na dawnem miejscu, uparcie wpatrując się w podłogę. Przynoszono, rzecz prosta, wina i Stepan Trofimowicz wygłaszał jakiś toast odpowiedni, naprzykład na cześć któregoś z działaczy minionej epoki.

ROZDZIAŁ DRUGI.

KSIĄŻĘ HARRY. — SWATY.

I.

Istniała na świecie jeszcze jedna istota, do której Barbara Piotrowna przywiązana była nie mniej, niż do Stepana Trofimowicza. Był to jej jedynak, Mikołaj Wsiewołodowicz Stawrogin. Do niego w swoim czasie zaangażowany został Wierchowieński w charakterze wychowawcy. Malec miał wtedy osiem lat, a lekkomyślny generał Stawrogin, jego ojciec, już nie żył z żoną, więc malec wyrastał tylko pod opieką matki. Musimy oddać sprawiedliwość Stepanowi Trofimowiczowi, że umiał przywiązać do siebie pupila. Sekret cały polegał na tem, że sam on właściwie był dzieckiem. Mnie jeszcze wtedy obok Wierchowieńskiego nie było, prawdziwy zaś przyjaciel był mu stale potrzebny. Nie wahał się uczynić swym przyjacielem tej małej istotki, gdy tylko odrobinę podrosła. Tak się jakoś stało, że nie było

między nimi żadnego dystansu. Nauczyciel budził niejednokrotnie w nocy swego dziesięcio czy jedenastoletniego przyjaciela poto tylko, aby we łzach wylać przed nim swe urażone uczucia, lub zwierzyć mu jakiś sekrecik domowy, co było już zupełnie niedopuszczalne. Rzucali się sobie w objęcia i płakali. Malec wiedział, że matka bardzo go kocha, lecz sam nie kochał jej chyba. Rzadko rozmawiała z nim, w niczem prawie mu nie odmawiała, lecz dziecko zawsze boleśnie odczuwało na sobie jej przenikliwe, badawcze spojrzenie. Cały ciężar wychowania i wykształcenia matka ufnie złożyła w ręce Stepana Trofimowicza. Wówczas wierzyła jeszcze w niego. Można przypuszczać, że pedagog musiał nadszarpnąć trochę nerwy wychowanka. Gdy miał szesnasty rok, zawieziono go do liceum. Był wtedy wątły, blady, cichy i zadumany. (Później wyróżniał się wyjątkową siłą fizyczną). Prawdopodobnie zresztą nietylko drobne przygody domowe bywały przyczyną wspólnych nocnych łez przyjaciół. Stepan Trofimowicz zdołał poruszyć w sercu pupila najgłębsze struny i wzniecić w nim pierwszy, nieokreślony nastrój wieczystej, świętej tęsknoty, której zaznawszy, niejedna dusza wybrana nie odda za żadne już tanie uciechy. (Są nawet tacy, którzy wyżej cenią tęsknotę, niż najpełniejszą rozkosz, gdyby nawet rozkosz taka była możliwa.) Dobrze się stało w każdym razie, że wreszcie, może za późno trochę, odłączono pisklę od mistrza.

Młodzieniec przez dwa lata przyjeżdżał z liceum na wakacje. W czasie pobytu Barbary Piotrowny i Stepana Trofimowicza w Petersburgu, młody Stawrogin obecny był nieraz na wieczorach literackich w domu matki. Słuchał i obserwował. Mówił mało, a był cichy i nieśmiały, jak dawniej. Wobec Stepana Trofimowicza zachowywał się wciąż serdecznie i życzliwie, lecz już z pewną rezerwą. Kwestyj podniosłych i wspomnień dzieciństwa unikał w rozmowie. Po skończeniu liceum, wstąpił, na żądanie matki, do wojska i wkrótce przyjęty został do jednego z najświetniejszych pułków gwardji konnej. Nie zjawił się u matki, aby się jej pokazać w mundurze, i rzadko nawet pisywał z Petersburga. Barbara Piotrowna nie żałowała mu

pieniędzy, chociaż po zniesieniu pańszczyzny dochody z majątków znacznie spadły i w pierwszych latach nie wynosiły nawet połowy uprzednich. Miała spory kapitalik, uciułany przezornie na wszelki wypadek. Bardzo interesowało ją powodzenie syna w wyższych sferach stołecznych. Czego sama nie mogła osiągnąć, łatwo zdobył młody oficer, bogaty, i mający przyszłość przed sobą. Wznowił takie znajomości, o których sama nawet marzyć nie mogła, i wszędzie przyjmowano go chętnie. Lecz po pewnym czasie doszły do Barbary Piotrowny dziwne wieści: młodzieniec ni stąd, ni zowąd, zaczął hulać. Nie to było straszne, że pił dużo lub grał; opowiadano o dzikich szaleństwach, o ludziach, przejechanych przez rysaki, o dzikim wybryku z pewną damą z towarzystwa, z którą miał stosunek, poczem znieważył ją publicznie. Zbyt otwarty cynizm ujawnił się w tej sprawie. Nazywano Stawrogina zbirem, mówiono, że znieważa ludzi dla samej przyjemności znieważania. Barbara Piotrowna niepokoiła się i martwiła. Stepan Trofimowicz uspakajał ją, że to są pierwsze burzliwe wybryki zbyt bujnej natury, że morze powróci do brzegów swoich, i że to wszystko przypomina mu młodość księcia Harry, który u Szekspira hula z Falstaffem, Poinsem i Mrs. Quickly. Na ten raz Barbara Piotrowna nie krzyczała: „Głupstwa, głupstwa!", jak zwykła była ostatniemi czasy odzywać się do Stepana Trofimowicz, przeciwnie, słuchała uważnie, kazała sobie dokładnie opowiedzieć, nawet sama wzięła do rąk Szekspira i najdokładniej odczytała to nieśmiertelne dzieło. Nie uspokoiło to jej jednak, a zresztą i podobieństwa się nie doszukała. Nerwowo oczekiwała odpowiedzi na szereg listów swoich. Odpowiedzi przyszły; przyszła też fatalna wiadomość, że książę Harry miał odrazu aż dwa pojedynki, obydwa z własnej winy, zabił na miejscu jednego ze swych przeciwników, drugiego poranił, i za te czyny oddany został pod sąd. Sprawa skończyła się degradacją, pozbawieniem praw służbowych i oddaniem winowajcy w charakterze szeregowca do jednego z pułków piechoty. Tak łagodny wyrok zawdzięczał Stawrogin jedynie specjalnym względom.

W roku 1863 zdołał się jakoś odznaczyć; udekorowano go krzyżem i mianowano podoficerem, a wkrótce po-

tem nawet oficerem. W tym okresie Barbara Piotrowna wyprawiła do stolicy przynajmniej setkę listów błagalnych. Dopuściła się nawet, w tak niezwykłych okolicznościach, pewnych poniżeń. Po odzyskaniu szarży, młodzieniec natychmiast podał się do dymisji, lecz do Skworeszników znów nie zjechał, a do matki przestał zupełnie pisywać. Dowiedziano się wreszcie od osób trzecich, że powrócił do Petersburga, lecz w dawnem towarzystwie już go nie widywano. Zapadł, jak kamień w wodę. Odszukano go wkońcu w jakiemś dziwnem otoczeniu. Przyplątał się do szumowin ludności petersburskiej, obcował z jakimiś urzędniczynami bez butów, z ex-wojskowymi, szlachetnie wypraszającymi od ludzi jałmużnę, z pijakami; odwiedzał ich brudne rodziny, spędzał dni i noce w tajnych spelunkach, w zakazanych norach. Opuścił się, chodził w łachmanach. Widocznie smakował w takiem życiu. Matki nie prosił o pieniądze. Miał własny mająteczek, wioskę generała Stawrogina, która jakiś tam skromny dochodzik dawała, a którą wydzierżawił podobno jakiemuś Saksończykowi. Udało się matce ubłagać go o przyjazd i zjawił się wtedy w naszem mieście. Poznałem go wówczas dopiero, gdyż przedtem nie widziałem nigdy.

Był to człowiek bardzo przystojny, lat dwudziestu pięciu. Przyznam się, że mocno mnie zdziwił. Myślałem, że zobaczę brudnego oberwańca, cuchnącego wódką. Tymczasem był to najwytworniejszy z gentelmanów, jakich widywałem kiedykolwiek. Był ubrany elegancko, a zachowywał się z finezją po wielkopańsku wychowanego człowieka. Wraz ze mną dziwili się wszyscy inni, gdyż całe miasto znało biografję Stawrogina, a nawet najdrobniejsze jej szczegóły. Dziwić się wprost należy, skąd o tem wszystkiem wiedziano, zwłaszcza, że połowa przynajmniej opowieści okazała się prawdą. Wszystkie panie nasze odrazu potraciły głowy. Wyraźnie podzieliły się na dwie grupy: pierwsza ubóstwiała go, druga nienawidziła zapamiętale; ale szalały za nim wszystkie. Niektóre pociągało to, że kryje on napewne w duszy jakąś straszną tajemnicę; innym podobało się, że jest zabójcą. Ujawniło się wkrótce, że posiada niepoślednie wykształcenie, a nawet spory zasób wiedzy.

Tak znów dużo tej wiedzy nie trzeba było, aby nam zaimponować; mógł jednak mówić i o tematach powszednich, o interesujących kwestjach życia codziennego, a sąd miał zawsze wyjątkowo trafny. Dziwne to, lecz od pierwszego dnia wszyscy uznali, że jest to człowiek bardzo stateczny. Nie był zbyt rozmowny, uprzejmość jego pozbawiona była sztuczności, skromny, a jednocześnie śmiały i pewny siebie jak nikt. Nasi eleganci patrzyli na niego z zawiścią i bledli wobec niego. Zdziwiła mnie także jego twarz. Włosy miał jakgdyby zanadto czarne, jasne oczy jakoś zanadto spokojne i świetliste, cerę zanadto delikatną, rumieniec zbyt czysty i barwny, zęby jak perły, wargi koralowe. Chłopiec, jak malowanie, a jednocześnie — dziwnie jakoś odrażający. Mówiono, że twarz jego przypomina maskę; tyle zresztą mówiono o nim i o jego niesłychanej sile fizycznej! Wzrost miał średni. Barbara Piotrowna patrzyła na niego z dumą, a jednocześnie z niepokojem. Spędził u nas pół roku, — spokojnie, napół martwo, dość ponuro. Bywał w towarzystwie i bardzo sumiennie przestrzegał przepisów naszej etykiety prowincjonalnej. Był po ojcu krewnym gubernatora i w jego domu traktowano go, jako bliskiego człowieka. Lecz po kilku miesiącach zwierz pokazał pazury.

Dodam tu w nawiasie, że przezacny Iwan Osipowicz, nasz były gubernator, przypominał trochę babę, lecz pochodził z dobrej rodziny, miał stosunki. Tem się też tłumaczy, że przesiedział u nas tyle lat, stale odganiając od siebie wszelką pracę. Z wylewności i gościnności mógł być raczej marszałkiem szlachty za dobrych starych czasów, nie zaś gubernatorem w naszej czynnej epoce. Mówiono wszędzie, że rządzi gubernją nie on, lecz Barbara Piotrowna. Było to zjadliwe, lecz zupełnie niesłuszne. Czyż mało zresztą wysilano na ten temat dowcipu? A Barbara Piotrowna, właśnie w ostatnich latach, świadomie uchylała się od poważniejszej roli, pomimo olbrzymiego szacunku jaki miało dla niej społeczeństwo, i dobrowolnie zakreśliła działalności własnej granicę. Zamiast spraw publicznych, poświęcała się gospodarstwu i wciągu paru lat zdążyła przywrócić majątkom uprzednią dochodowość. Zapomniawszy o dawnych aspiracjach, jak wyjazd do Petersburga, zamiar wy-

dawania pisma i inne, zaczęła gromadzić dobra doczesne i oszczędzała na wszystkiem. Odsunęła od siebie nawet Stepana Trofimowicza, pozwoliwszy mu wynająć gdzie indziej mieszkanie (o co już dawno ją molestował pod rozmaitemi pretekstami). Stopniowo Stepan Trofimowicz zaczął ją nazywać kobietą prozaiczną, lub, żartobliwie, swym prozaicznym przyjacielem. Nie potrzebuję dodawać, że pozwalał sobie na takie żarty jedynie w sposób pełen szacunku i tylko w bardzo odpowiednich chwilach.

My, ludzie bliscy, rozumieliśmy dobrze, — a Stepan Trofimowicz najdotkliwej z nas wszystkich, — że syn dla Barbary Piotrowny jest uosobieniem nowej nadziei i nowego marzenia. Namiętne przywiązanie do syna datowało od okresu jego powodzeń wielkoświatowych, lecz wzrosło gwałtownie od dnia otrzymania wiadomości o degradacji. Jednocześnie jednak bała się syna, czuła się jego niewolnicą. Łatwo było spostrzec, że obawia się czegoś nieokreślonego, tajemniczego, czego sama nie zdołałaby nazwać, i często, często uważnie wpatrywała się w *Nicolas*, coś kombinując i przetrawiając w myśli... i oto — zwierz wysunął pazury.

II.

Nasz książę raptem, bez żadnego powodu, popełnił dwa niesłychanie zuchwałe wybryki. Rzecz główna polegała na tem właśnie, że wybryki te były zupełnie niemożliwe, do niczego niepodobne, nie takie, jak zwykle, całkiem sztubackie i głupie, i niczem nie dające się wytłumaczyć. Jeden z najwięcej szanowanych gospodarzy naszego klubu, Piotr Pawłowicz Gaganow, człowiek starszy a nawet zasłużony, miał niewinny zwyczaj stale i dobitnie powtarzać: „Co do mnie, nie dam się za nos wodzić. Niechby tam!“ Lecz raz w klubie, gdy w trakcie ożywionej dyskusji powtórzył ten swój aforyzm w gronie gości, (a wszystko to byli ludzie poważni), Mikołaj Wsiewołodowicz, który stał na uboczu, i do którego nikt się nie zwracał, podszedł do Piotra Pawłowiczowa, znienacka schwycił go mocno za nos

dwoma palcami i powlókł za sobą wzdłuż sali kilka kroków. Gniewu do Gaganowa nie mógł czuć. Pomyślałby kto, że jest to typowe sztubactwo, oczywiście, zupełnie niedopuszczalne. A jednak opowiadano potem, że w trakcie tej operacji Stawrogin był zamyślony „jakgdyby nienormalny", — lecz przypomniano to sobie znacznie później. Narazie pamiętano tylko drugi moment, gdy winowajca widocznie zdawał sobie sprawę ze wszystkiego i nietylko nie był zażenowany, lecz przeciwnie, uśmiechał się złośliwie i wesoło, bez cienia skruchy. Podniósł się straszny hałas; otoczono go. Mikołaj Wsiewołodowicz kręcił się na miejscu, nie odpowiadał nikomu, lecz wpatrywał się ciekawie w twarze krzyczących. Potem znów się zamyślił (tak powtarzano przynajmniej), zachmurzył się, podszedł równym krokiem do znieważonego Piotra Pawłowicza i szybkim głosem, jakgdyby z gniewem, wymamrotał:

— Pan, rzecz prosta, zechce mi wybaczyć... Naprawdę, nie wiem, skąd mi strzeliło do głowy... to głupstwo.

Lekceważący ton przeprosin można było zrozumieć jako ponowną obrazę. Hałas wzrósł. Mikołaj Wsiewołodowicz wzruszył ramionami i wyszedł.

Wszystko to było bardzo głupie, nie mówiąc już o tem, że wybryk obmyślony i rozmyślny, jak się to narazie wydawało, był zuchwałą obrazą całego towarzystwa. Tak to pojęli wszyscy. Zaczęto od tego, że niezwłocznie i jednogłośnie wykreślono Stawrogina z listy członków klubu; potem postanowiono zwrócić się w imieniu klubu do gubernatora z prośbą, aby niezwłocznie, nie oczekując rozprawy sądowej, zastosował środki w celu poskromienia szkodliwego gwałciciela, „stołecznego zbira, i włożoną w ręce p. gubernatora władzą administracyjną zechciał uchronić spokój porządnych ludzi naszego miasta od dalszych niebezpiecznych zamachów". Dodawano przytem z niewinną zjadliwością, że może „znajdzie się jakieś prawo i na pana Stawrogina". Frazesem tym chciano dotknąć gubernatora... za Barbarę Piotrownę. Wypisywano to wszystko z rozkoszą. Lecz gubernator był właśnie nieobecny; pojechał gdzieś w okolicę chrzcić dziecko pewnej miłej młodej wdówki, którą mąż pozostawił w błogosławionym stanie: oczekiwano jed-

nak rychłego powrotu pana gubernatora. Nie tracąc czasu, urządzono prawdziwą owację szanownemu a pokrzywdzonemu Piotrowi Pawłowiczowi: ściskano go i całowano; całe miasto składało mu wizyty. Zamierzano nawet wydać obiad składkowy na jego cześć, i tylko na jego własną usilną prośbę zaniechano tej myśli, — zrozumiawszy może, że bądź co bądź człowieka tego pociągnięto za nos, niema więc powodu do zbytniego entuzjazmu.

Jak się to jednak stało? Jak stać się mogło? Znamienna jest okoliczność, że w całem mieście nikt nie tłumaczył zdarzenia obłędem. To znaczy, że od Mikołaja Wsiewołodowicza, nawet w stanie normalnym, oczekiwano tego rodzaju wybryków. Co do mnie, do dziś dnia tego nie rozumiem, pomimo iż wkrótce nastąpiło zdarzenie, które napozór wytłumaczyło wszystko i uspokoiło opinję. Dodam też, że po czterech latach, na moje dyskretne pytanie o wypadku w klubie, Mikołaj Wsiewołodowicz odpowiedział zachmurzony: „Tak, byłem wtedy niezupełnie zdrów". Lecz wróćmy do tematu.

Zaciekawił mnie wówczas ten powszechny wybuch nienawiści do „gwałtownika i stołecznego zbira". Chciano koniecznie dopatrzeć się rozmysłu i wyrachowanego zamiaru obrażenia całego towarzystwa. Widać było, że człowiek ten nikomu nie dogadza i wszystkich przeciw sobie uzbroił. Dlaczego jednak? Aż do tej chwili nie kłócił się z nikim, nikomu nie ubliżył, a był tak uprzejmy, jak *chévalier* z francuskiego obrazu, gdyby ten mógł przemówić. Sądzę, że niecierpiano go za dumę. Nawet panie nasze, które zaczęły od ubóstwiania, rozhałasowały się obecnie gorzej od mężczyzn.

Barbara Piotrowna była przerażona. Przyznała się potem Stepanowi Trofimowiczowi, że dawno przeczuwała coś podobnego, że od pół roku codzień oczekiwała czegoś „właśnie w tym rodzaju". W ustach matki było to zastanawiające wyznanie. — „Zaczyna się!" — pomyślała trwożnie. Nazajutrz po tym fatalnym wieczorze w klubie, ostrożnie lecz stanowczo zażądała od syna wyjaśnień, i pomimo stanowczości w głosie, cała się trzęsła biedaczka. Nie

przespała przedtem nocy, rano zaś chodziła nawet naradzić się ze Stepanem Trofimowiczem i płakała u niego, czego nigdy nie czyniła przy ludziach. Zależało jej na tem, by *Nicolas* powiedział jej przynajmniej cokolwiek, aby przed nią raczył się wytłumaczyć. *Nicolas*, zawsze tak uprzejmy i pełen szacunku w obcowaniu z matką, słuchał czas jakiś zasępiony, bardzo poważny; potem wstał, nie powiedział ani słowa, pocałował ją w rękę i wyszedł. I tego samego dnia, wieczorem, zrobił nowy skandal, wprawdzie zwyklejszy i powszedniejszy, który jednak w związku z nastrojem powszechnym dodał koloru miejskim plotkom i gadaninom.

Nawinął się nasz przyjaciel Liputin. Natychmiast po tamtych wyjaśnieniach z Barbarą Piotrowną zjawił się u Stawrogina i usilnie go prosił o przybycie do niego wieczorem z okazji dnia urodzin żony. Barbara Piotrowna już zdawna z trwogą w sercu patrzyła na tak niewłaściwy wybór znjomości, lecz nie odważała się czynić synowi uwag. Poza Liputinem zawarł on już szereg innych znajomości w tych trzeciorzędnych warstwach naszego społeczeństwa, a może jeszcze niżej, — taką już miał skłonność. W domu Liputina nigdy jeszcze nie był, lecz z nim samym się spotykał. Zrozumiał, że Liputin zaprasza go z powodu wczorajszego skandalu w klubie, i że on, jako postępowiec miejscowy, zachwycony jest tym skandalem, w całkowitem przeświadczeniu, iż tak właśnie należy obchodzić się z gospodarzami klubów. Mikołaj Wsiewołodowicz roześmiał się i obiecał, że przyjdzie.

Gości było bez liku; byli to wszystko ludzie nieznaczni, lecz pewni siebie. Liputin, zarozumialec i egoista, tylko dwa razy do roku zapraszał gości, lecz wtedy już kosztów nie szczędził. Najwięcej honorowy gość, Stepan Trofimowicz, nie stawił się z powodu niedyspozycji. Dawano herbatę, ustawione były liczne zakąski i wódka. Grano w karty przy trzech stolikach, a młodzież, w oczekiwaniu kolacji, urządziła tańce przy fortepianie. Mikołaj Wsiewołodowicz zaprosił panią Liputiną, bardzo ładniutką kobiecinę, onieśmieloną wobec niego, zrobił z nią parę turów, poczem siadł obok niej, porozmawiał z nią, rozśmieszył. Zauważywszy jednak, że kobietka śmieje się ładnie, znienacka, przy

wszystkich, wziął ją wpół i pocałował w usta, trzy razy, do smaku. Wystraszona niewiasta zemdlała. Mikołaj Wsiewołodowicz wziął kapelusz, podszedł do męża, który zupełnie się stracił wśród ogólnego tumultu, burknął szybko: „niech się pan nie gniewa", i wyszedł. Liputin wybiegł za nim do przedpokoju, własnoręcznie podał mu futro i w ukłonach sprowadził ze schodów. Nazajutrz zaś nastąpiło zabawne uzupełnienie tej całej historji, względnie niewinnej, uzupełnienie, które przysporzyło nawet pewnego zaszczytu Liputinowi. Nie omieszkał potem tego zaszczytu wykorzystać.

O dziesiątej rano w domu generałowej Stawroginej zjawiła się służąca Liputina, Agafja, rumiana, wesoła babina, lat trzydziestu, niezmiernie śmiała i pewna siebie. Przysłano ją z poleceniem do Mikołaja Wsiewołodowicza i koniecznie chciała widzieć go osobiście. Głowa go bolała, lecz wyszedł. Barbarze Piotrownie udało się być obecną przy rozmowie.

— Siergiej Wasiljewicz (to znaczy Liputin), — zatrajkotała głośno Agafja, — kazali najpierw kłaniać się i o zdrowie pytać, i jak Mikołaj Wsiewołodowicz spał i jak zdrowie po wczorajszem?

Mikołaj Wsiewołodowicz uśmiechnął się.

— Kłaniaj się i dziękuj, a powiedz twemu panu ode mnie, Agafjo, że on może najrozumniejszy człowiek w mieście.

— A oni na to kazali powiedzieć, — jeszcze pośpieszniej odparła Agafja, — że i sami to wiedzą i wam tego samego życzą.

— Jakto? Jakże twój pan mógł wiedzieć, co ja ci powiem?

— To ja nie wiem, jakim sposobem, ale gdy szłam a już całą ulicę przeszłam, widzę, dopędzają mnie, tak, bez czapki i krzyczą: „Ty, mówią, Agafja, jeżeli tobie rozkażą: „Powiedz panu swojemu, że on najrozumniejszy w mieście", — to ty im na to zaraz odpowiadaj: „Sami bardzo dobrze wiemy i wam tego samego życzymy".

III.

Doszło wreszcie do rozmowy z gubernatorem. Dobroduszny, zacny Iwan Osipowicz właśnie powrócił dopiero i zdążył wysłuchać gorącej skargi klubowej. Niewątpliwie, trzeba było coś przedsięwziąć, lecz trudno było powziąć decyzję. Nasz gościnny staruszek także bał się trochę swego młodego krewniaka. Postanowił jednak skłonić go, aby przeprosił zarząd klubu i osobę obrażonego, i to w sposób zadawalający, a nawet, w razie żądania, na piśmie; potem zaś namówić go uprzejmie, aby nas opuścił, wyjechał, naprzykład do Włoch, i wogóle zagranicę. W sali, gdzie na ten raz przyjęty został Mikołaj Wsiewołodowicz (który zwykle na prawach krewnego, swobodnie łaził po całem mieszkaniu), siedział w kącie Alosza Tielatnikow, dobrze ułożony urzędnik, a jednocześnie domownik gubernatora, i otwierał przy stole korespondencję urzędową; w sąsiednim zaś pokoju, przy oknie obok sali, ulokował się pewien pułkownik, gruby i tęgi, przyjaciel i były kolega służbowy Iwana Osipowicza. Czytał „Głos", nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się dzieje na sali, i nawet odwrócił się plecami. Iwan Osipowicz zaczął mówić, krążąc zdaleka naokoło tematu, półszeptem; wciąż plątał się. *Nicolas* patrzył zpode łba nieuprzejmie, i był blady; siedział nieruchomo, zsunąwszy brwi, jakgdyby mocował się z silnym bólem.

— Serce masz zacne, *Nicolas*, i szlachetne, — mówił wciągu rozmowy gubernator, — jesteś człowiekiem wykształconym, obracałeś się w najlepszem towarzystwie, i tu zresztą zachowywałeś się narazie przykładnie, ku radości drogiej naszym sercom matki twojej... A oto teraz jakieś dziwne i niebezpieczne światło pada na wszystko! Mówię to, jako przyjaciel waszej rodziny, mówię, jako człowiek starszy, twój krewny, szczerze do ciebie przywiązany, na którego nie możesz się obrażać... Powiedz, co skłania ciebie do tak nieposkromionych uczynków, gwałcących przyjęte obyczaje i przekraczających wszelką miarę? Co znaczą te wybryki gorączkowe, nieprzytomne?

Nicolas słuchał niecierpliwie i niechętnie. Znienacka w oczach jego zatliło się coś chytrego i szyderczego.

— Jeżeli o to chodzi, mógłbym powiedzieć, co mną powoduje, — wymówił ponuro i schylił się nad uchem staruszka.

Dobrze wychowany Alosza Tielatnikow oddalił się jeszcze o trzy kroki i podszedł do okna. Pułkownik chrząknął nad „Głosem". Biedny Iwan Osipowicz ufnie, z pośpiechem, nadstawił ucha: był chorobliwie ciekawy. A wtedy stała się rzecz już zupełnie niemożliwa, a jednak pod pewnym względem wyjaśniająca wiele innych. Staruszek poczuł znienacka, że *Nicolas* zamiast wyszeptać mu do ucha jakąś ciekawą tajemnicę, schwycił zębami i mocno ścisnął niemi górną część ucha. Staruszek zadrżał i zabrakło mu tchu.

— *Nicolas*, co to za żarty! — jęknął mimowoli, zmienionym głosem.

Alosza i pułkownik nie rozumieli, o co chodzi, a zdaleka nie mogli dojrzeć; wciąż się im zdawało, że tamci coś szepcą; niepokoił ich jednakże rozpaczliwy wyraz twarzy pana gubernatora. Patrzyli jeden na drugiego, nie wiedząc, czy czas już śpieszyć na pomoc, jak to było na wszelki wypadek umówione, czy też można jeszcze poczekać. *Nicolas* zauważył to prawdopodobnie i ścisnął jeszcze boleśniej.

— *Nicolas, Nicolas!* — jęczała ofiara. — Dobrze, pożartowałeś, i dość już tego!

Jeszcze chwila, a umarłby nieborak ze strachu, lecz potwór zlitował się i wypuścił ucho. Ów strach śmiertelny trwał całą minutę, i staruszek dostał potem ataku. Po półgodzinie *Nicolas* został aresztowany i zaprowadzony na odwach, gdzie go zamknięto w osobnej celi. Dano mu osobnego szyldwacha. Był to środek ostry, lecz Iwan Osipowicz tak się rozgniewał, że gotów był ponieść odpowiedzialność przed Barbarą Piotrowną. Ku powszechnemu zdziwieniu, gdy Stawrogina pośpiesznie, w stanie gorączkowym, przybyła do gubernatora celem natychmiastowego wyjaśnienia sprawy, nie została nawet przyjęta. Musiała wrócić do domu, nie wysiadłszy nawet z karety i nie wierząc samej sobie.

Wkońcu wyjaśniło się wszystko. O drugiej w nocy aresztowany, dotychczas spokojny, (zasnął już nawet) —

zerwał się, zaczął hałasować i walić niemiłosiernie pięścią w drzwi, z szalonym wysiłkiem zerwał kratę żelazną, rozbił szybę i pokaleczył sobie ręce. Gdy dyżurujący oficer przybiegł wraz z wartą i kazał otworzyć celę, aby związać rozwścieczonego więźnia, ten był już u szczytu białej gorączki. Odwieziono go do matki. Cała sprawa stała się jasna. wszyscy trzej lekarze nasi wydali opinję, że i na parę dni przed atakiem chory mógł działać, jak w malignie, i chociaż nie utracił jeszcze świadomości, a nawet przebiegłości, był już jednak niepoczytalny. Fakty potwierdzały tę opinję. Wyglądało na to, że Liputin domyślił się pierwszy. Iwan Osipowicz, jako człowiek wrażliwy i delikatny, był nawet zawstydzony. Wszak widać było, że i on przedtem traktował Mikołaja Wsiewołodowicza, jako człowieka zdolnego popełniać w stanie całkowicie przytomnym największe szaleństwa. W klubie wstydzono się także i dziwiono się, w jaki sposób stało się, że przeoczono jedyne możliwe wytłumaczenie tych cudactw. Znalazło się zresztą kilku niedowiarków, byli jednak o tyle nieliczni, że musieli złożyć oręż.

Nicolas przeleżał dwa miesiące. Sprowadzono z Moskwy na konsyljum sławnego lekarza. Całe miasto składało wizyty Barbarze Piotrownie. Przebaczyła. Gdy pod wiosnę *Nicolas* wyzdrowiał i bez żadnej opozycji zgodził się na prośbę matki wyjechać do Włoch, Barbara Piotrowna poprosiła go również, aby złożył wizyty pożegnalne, i aby zechciał tu i ówdzie, gdzie należy i w miarę możności, wytłumaczyć się. *Nicolas* przystał na to najchętniej. Wiedziano w klubie, że był u Gaganowa, z największą dystynkcją i taktem złożył wyjaśnienia, które tamtego całkowicie zadowoliły. W czasie składania wizyt *Nicolas* był poważny i nawet trochę ponury. Wszędzie przyjmowano go uprzejmie, a jednak z pewnem zawstydzeniem i uczuciem ulgi, że już wyjeżdża do Włoch. Iwan Osipowicz rozrzewnił się nawet, a jednak nie odważył się go uścisnąć przy ostatniem pożegnaniu. Nie brakło i takich, którzy byli do końca przeświadczeni, że Stawrogin bezecnie zakpił sobie ze wszystkich, — a choroba to już inna sprawa. Zajechał i do Liputina.

— Niech mi pan powie, — w jaki sposób mógł pan przewidzieć, co powiem o pana rozumie, a nawet nauczyć Agafję odpowiedzi?

— A w taki sposób, — zaśmiał się Liputin, — że ja pana traktuję jako rozumnego człowieka, mogłem więc wiedzieć zawczasu, co pan powie.

— A jednak to dziwny zbieg okoliczności. A jednak, poczekaj pan! Więc pan, posyłając Agafję, traktowałeś mnie jako rozumnego człowieka, a nie jako warjata?

— Jako najmądrzejszego i najwięcej rozsądnego, i tylko udałem, że wierzę w niepoczytalność pańską... Ale przecież i pan natychmiast zrozumiał moje myśli i wysłał mi przez Agafję patent na przenikliwość.

— Nie, tu pan błądzisz; ja istotnie... byłem niezdrów, — odezwał się Stawrogin, zachmurzony. — Ba! — zawołał — czyż pan myślisz rzeczywiście, że ja w stanie normalnym mogę rzucać się na ludzi? Poco mi to?

Liputin skręcił się i nie mógł znaleźć odpowiedzi. Stawrogin zbladł a może tylko tak się zdało Liputinowi.

— W każdym razie dziwny masz pan układ umysłu, — ciągnął dalej, — a Agafję przysłałeś pan do mnie, aby mi nawymyślać?

— Czyż miałem pana wyzwać na pojedynek?

— Ach tak, mówiono mi, że pan nie uznajesz pojedynków.

— A poco mamy tłumaczyć z francuskiego — skrzywił się Liputin.

— Trzymasz się pan ojczystości?

Liputin najeżył się jeszcze więcej.

— Ha, co widzę? — zawołał Stawogin, zauważywszy na stole, na widocznem miejscu, tom Considerana. — Może jesteś pan furjerzystą? To do pana podobne! Ale czyż to nie jest także tłumaczenie z francuskiego?

— Nie, to nie jest z francuskiego, — ze złością zerwał się Liputin. — To z ogólno-ludzkiego tłumaczenie, a nietylko z francuskiego! Z języka ogólno-ludzkiej republiki społecznej i harmonji! Tak! A wcale nie z francuskiego!

— Tam, do djabła, toć takiego języka wcale niema— głośno śmiał się Stawrogin.

Bywa, że jakiś drobiazg szczególnie przykuje uwagę naszą na czas dłuższy. Główne rzeczy o Stawroginie przyjdą później; tymczasem jednak, jako ciekawy szczegół, podkreślam, że przez cały czas, który Stawrogin spędził wśród nas, najjaskrawiej zarysowała mu się w pamięci niepozorna a nawet podlutka figurka gubernjalnego urzędniczyny, zazdrośnika i despoty, skąpca i wyzyskiwacza, który skrzętnie trzymał pod kluczem resztki obiadu i ogarki, jednocześnie zaś był żarliwym sektantem przyszłej „harmonji społecznej", upajał się po nocach fantastycznemi wizjami przyszłych falansterów, w których ziszczenie w Rosji i w naszej gubernji wierzył, jak w istnienie własne. I to właśnie tu, gdzie sam zdołał uciułać sobie domek, gdzie ożenił się po raz drugi i wziął posag, gdzie, prawdopodobnie, w promieniu stuwiorstowym nie było ani jednego człowieka, nie wyłączając jego samego, któryby w czemkolwiek przypominał obywatela „wszechświatowej, ogólnoludzkiej republiki społecznej i harmonji".

— Mój Boże, z jakiego materjału zrobieni są ci ludzie? — myślał nieraz potem Stawrogin, przypominając sobie niespodziewanego furjerzystę.

IV.

Nasz książę Harry podróżował przez trzy lata, więc w mieście naszem zapomniano już o nim. Wiedzieliśmy tylko z ust Stepana Trofimowicza, że zjeździł całą Europę, był nawet w Egipcie, i dojechał do Jerozolimy. Przyplątał się potem do jakiejś ekspedycji naukowej do Islandji i rzeczywiście wyspę tę zwiedził. Podobno spędził jedną zimę jako słuchacz na którymś z uniwersytetów niemieckich. Rzadko pisywał do matki, — dwa razy do roku, lub jeszcze rzadziej. Barbara Piotrowna nie gniewała się na to i nie czuła się urażoną. Poddała się pokornie i bez skargi takim stosunkom, jakie między nią a synem ustaliły się raz na zawsze, tęskniła jedynie za swoim *Nicolas*, marzyła

o nim. Nie zdradzała się przed nikim z tych tęsknot i marzeń. Oddaliła się nawet, sądząc z pozorów, od Stepana Trofimowicza. Roiła jakieś ukryte plany, skąpstwo jej wzrosło, i coraz częściej gniewały ją przegrane przyjaciela.

Nareszcie w kwietniu roku bieżącego otrzymała list z Paryża od generałowej Praskowji Iwanowny Drozdowej, przyjaciółki z lat dziecinnych. W liście tym Drozdowa, z którą Barbara Piotrowna już od lat ośmiu nie spotykała się i nie korespondowała, — zawiadamiała, że Mikołaj Wsiewołodowicz jest u nich stałym gościem, zaprzyjaźnił się z Lizą (jedyną córką generałowej) i zamierza towarzyszyć im latem do Szwajarji, do Vernex-Montreux, aczkolwiek przyjmowany bywa jak syn rodzony, w domu hrabiego K... (bardzo wpływowej osobistości petersburskiej), bawiącego obecnie w Paryżu. List był krótki i zdradzał wyraźnie swój cel, chociaż nie zawierał żadnych wniosków. Barbara Piotrowna nie namyślała się zbyt długo, zdecydowała się momentalnie i w połowie kwietnia wyruszyła do Paryża, potem do Szwajcarji, wziąwszy ze sobą wychowanicę Daszę, siostrę Szatowa. Powróciła w lipcu sama, pozostawiwszy Daszę u Drozdowych. Same zaś Drozdowe, zgodnie z jej relacją, miały zawitać do nas w połowie sierpnia.

Drozdowowie byli to także ziemianie z naszej gubernji, lecz obowiązki służbowe generała Iwana Iwanowicza (dawnego przyjaciela Barbary Piotrowny i kolegi jej męża) nie pozwalały im odwiedzać znajdujących się tu wspaniałych posiadłości. Po śmierci generała, która nastąpiła w zeszłym roku, niepocieszona Praskowja Iwanowna wyruszyła z córką zagranicę, mając między innemi na celu przeprowadzenie w drugiej połowie lata kuracji winogronowej w Vernex-Montreux. Po powrocie do ojczyzny zamierzała osiedlić się na stałe w naszej gubernji. Miała w mieście duży dom, który od lat szeregu stał pustką, o zabitych oknach. Drozdowowie byli to ludzie bogaci. Praskowja Iwanowna, primo voto Tuszyna, była tak samo, jak jej koleżanka z pensji, Barbara Piotrowna, córką bogatego dostawcy z lat minionych i wniosła mężowi znaczny posag. Sztabrotmistrz w dymisji, Tuszyn, był człowiekiem zdolnym i tak-

że zamożnym. Umierając, zapisał w testamencie jedynaczce Lizie, wówczas siedmioletniej dziewczynce, spory kapitalik. Teraz, gdy Lizaweta Mikołajewna miała już około 22 lat, można było być pewnym, że posiada ze dwieście tysięcy rubli własnej gotowizny, nie mówiąc już o tem, co przypadnie jej po najdłuższem życiu matki, bezdzietnej z drugiego małżeństwa. Barbara Piotrowna była widocznie bardzo zadowolona ze swej podróży. Uważała, że porozumiała się dostatecznie z Praskowją Iwanowną, i zaraz po przyjeździe opowiedziała wszystko Stepanowi Trofimowiczowi; była w rozmowie z nim bardzo szczera, co się już dawno nie zdarzało.

— Hurra! — zawołał Stefan Trofimowicz i klasnął w dłonie.

Był zachwycony, porwany, tem bardziej, że cały okres rozłąki z przyjaciółką spędził w głębokim smutku. Prawie nie pożegnała się z nim przed wyjazdem i nie zwierzyła mu się z planów swoich, jakgdyby w obawie, aby „ta baba" czegoś nie wypaplała. Gniewała się wtedy za znaczną przegraną, o której dowiedziała się wypadkowo. Lecz już w Szwajcarji poczuła, że trzeba będzie po powrocie czemś wynagrodzić opuszczonego przyjaciela, z którym wogóle od pewnego czasu obchodziła się surowo. Niespodziewana i tajemnicza rozłąka zraniła i poszarpała tkliwe serce Stepana Trofimowicza, tu zaś nawinęły się inne jeszcze kłopoty. Męczył go zdawna poważny dług, którego nie zdołałby spłacić bez pomocy Barbary Piotrowny. Poza tem, w maju odwołano wreszcie naszego dobrotliwego gubernatora, Iwana Osipowicza; połączone to było nawet z pewnemi przykrościami. Pod nieobecność Barbary Piotrowny zjechał i objął urzędowanie nowy gubernator, Andrzej Antonowicz von Lembke; w związku z tem, zmienił się stosunek społeczeństwa miejscowego do Barbary Piotrowny, a więc i do Stepana Trofimowicza. Wierchowieński zdążył już nawet zgromadzić parę niemiłych, a cennych spostrzeżeń i bez Barbary Piotrowny czuł się niepewny. Podejrzewał, że zakomunikowano o nim gubernatorowi, jako o człowieku niebezpiecznym. Dowiedział się zupełnie ściśle, że niektóre z pań postanowiły nie bywać nadal u Barbary Pio-

trowny. O nowej gubernatorowej, oczekiwanej na jesień, mówiono, że jest wprawdzie dumna, lecz zato prawdziwa arystokratka (nie jakaś tam Barbara Piotrowna). Wszystkim już było wiadomo, z nieznanego źródła, że nowa gubernatorowa i pani Stawrogina już przedtem gdzieś się spotkały i rozstały się wrogo, i że Barbara Piotrowna chorobliwie nie znosi samego wspomnienia Lembkowej. Pewne siebie i zwycięskie spojrzenie Barbary Piotrowny, ta wzgardliwa obojętność, z jaką wysłuchała ona relacji o nastrojach ogólnych i o poruszeniu wśród naszych pań, pokrzepiły Stepana Trofimowicza i rozweseliły go. Z przymilnie radosnym humorem zaczął jej opowiadać o uroczystościach przy wjeździe gubernatora.

— *Excellente amie*, napewno pani wiadomo, — mówił, figlarnie przeciągając słowa, — co znaczy dygnitarz rosyjski wogóle, zwłaszcza zaś nowokreowany, świeżoupieczony dygnitarz... *Ces interminables mots russes!*... Wątpię jednak, aby danem było pani przekonać się naocznie, co to jest upojenie administracyjne...

— Upojenie administracyjne? Co to znaczy?

— Jest to... *Vous savez, chez nous... En un mot*, gdy się postawi najnędzniejszą lichotę przy sprzedaży głupich biletów kolejowych, lichota ta nie omieszka patrzeć z miną Jowisza na wszystkich, którzy kupują bilety. *Pour vous montrer son pouvoir*. „Zechcę, i pokażę wam władzę moją"... I dochodzi to do jakiegoś zachwytu... *En un mot*, przeczytałem gdzieś, że jakiś djak, w jednej z zagranicznych cerkwi naszych, — *mais c'est très curieux*, — wypędził, ale to dosłownie wypędził z cerkwi poważną rodzinę angielską, *les dames charmantes*, przed samym początkiem wielkotygodniowego nabożeństwa, — *vous savez ces chants et le livre de Job*, — jedynie pod tym pozorem, „że to nieporządek, gdy cudzoziemcy włóczą się po cerkwiach prawosławnych i w dodatku w nieodpowiednich godzinach"... Doprowadził je do omdlenia... Ten djak był w transie upojenia administracyjnego, *et il a montré son pouvoir*...

— Skracaj się pan, jeżeli to możliwe.

— Pan von Lembke objeżdża obecnie gubernję. *En un mot*, ten Andrzej Antonowicz, chociaż jest Niemcem ro-

syjskim prawosławnego wyznania, a nawet, gotów jestem przyznać, bardzo pięknym mężczyzną czterdziestoletnim...

— Skąd panu przyszło do głowy, że on jest piękny? On ma oczy typowo baranie.

— W najwyższym stopniu baranie. Ja uczyniłem jedynie koncesję na rzecz opinji miejscowych pań.

— Dosyć już, Stefanie Trofimowiczu, proszę pana! *A propos*, czy to oddawna nosi pan czerwony krawat?

— Nie, nie... to tylko dziś...

— A chodzi pan na spacer? Robi pan codzień sześć wiorst, jak to panu kazał doktór?

— Nie... Nie zawsze...

— Wiedziałam zgóry! Przeczuwałam to jeszcze w Szwajcarji — krzyczała nerwowo. — Teraz będziesz pan robił nie po sześć, a po dziesięć wiorst! Opuścił się pan niemożliwie, strasznie! Pan się postarzał, nie — zgrzybiał... przeraziłam się pana, gdy go zobaczyłam, pomimo tego czerwonego krawata... *quelle idée rouge.* Mów pan dalej o Lembkem, jeżeli masz pan coś do powiedzenia, i skończ wreszcie, proszę bardzo! Zmęczył mnie pan...

— *En un mot*, chciałem tylko powiedzieć, że jest to jeden z tych początkujących czterdziestoletnich dygnitarzy, którzy do czterdziestego roku życia toną gdzieś w zapoznaniu, a potem znienacka robią karjerę, czy to w drodze szczęśliwego ożenku, czy w inny niemniej hazardowny sposób... On teraz wyjechał... chciałem dodać, że naszeptano mu o mnie odrazu, jakobym deprawował młodzież i krzewił w gubernji ateizm... Zaczął zbierać informacje...

— Czy to tylko prawda?

— Ależ tak. Musiałem nawet zachować pewne ostrożności. A gdy o pani mu opowiedziano, że pani „rządzi gubernją", pozwolił sobie oświadczyć, że „to się więcej nie powtórzy".

— Tak powiedział?

— Że „to się więcej nie powtórzy". *Avec cette morgue*... Małżonkę Julję Michajłownę, ujrzymy tu w końcu sierpnia, wprost z Petersburga.

— Z zagranicy. Spotykałyśmy się tam.

— *Vraiment?*

— W Paryżu i w Szwajcarji. Jest spokrewniona z Drozdową.

— Spokrewniona? Co za zbieg okoliczności! Mówią, że jest ambitna, a ma olbrzymie stosunki.

— Głupstwa. Stosuneczki... Do czterdziestego piątego roku życia przesiedziała bez grosza w staropanieństwie, a teraz wyskoczyła za Lembkego, i cały cel jej życia — to zrobić z niego człowieka. Oboje intryganci.

— Mówią, że starsza jest od niego o dwa lata.

— O pięć. Matka jej w Moskwie obijała u mnie progi. Wpraszała się do mnie na bale, jeszcze za życia Wsiewołoda Mikołajewicza. Jak o łaskę prosiła. A ta pannica często do białego rana siedzi w kącie nie tańcząc, ze swoją opalową muchą nad czołem, tak że nieraz, już o trzeciej godzinie, posyłałam do niej z litości pierwszego kawalera. Już miała dwadzieścia pięć lat, a wciąż ją wożono w krótkiej sukience, jak dziewczynkę. Przyjmowanie ich zaczęło już uchodzić za nieprzyzwoitość.

— Tę muchę widzę jak żywą.

— Mówię panu, przyjechałam i odrazu wpadłam na intrygę. Czytał pan list Drozdowej? Cóż mogło być więcej wyraźnego? A cóż zastaję? Ta idjotka Drozdowa, — zawsze była idjotką, — patrzy na mnie ze zdziwieniem. Niby pyta, poco przyjechałem. Wyobraź pan sobie, jak byłam zdziwiona. Patrzę, a tu się kręci ta Lembkowa, a z nią kuzyn, siostrzeniec nieboszczyka Drozdowa. Rozumiesz pan? Oczywiście, załatałam wszystko, i Praskowja znów po mojej stronie, — ale co za intryga!

— Którą jednak przezwyciężyłaś pani. O, Bismarku!

— Bismarkiem nie jestem, lecz mogę przecie odróżnić fałsz i głupotę. Lembkowa —to fałsz. Praskowja — to głupota. Rzadko widywałam tak skwaszone babsko, a i nogi jej puchną, a nadomiar jest poczciwa. Co może być głupszego, niż poczciwy dureń?

— Dureń niepoczciwy, *ma bonne amie*. Zły dureń jest jeszcze głupszy od dobrego, — szlachetnie oponował Stepan Trofimowicz.

— Może to i racja. Pamiętasz pan Lizę?

— *Charmante enfant!*

— Teraz to już nie *enfant*, lecz kobieta, i to z charakterem. Szlachetna i gorąca, a cenię w niej, że matce nie ustępuje. Z powodu tego kuzyna o mało nie było skandalu...

— Ach tak? Toć on, prawda, z samą Lizą niespokrewniony. Ma jakie zamiary?

— Widzisz pan, jest to młody oficer, małomówny, nawet skromny. Muszę mu oddać pod tym względem sprawiedliwość. Mam wrażenie, że on sam przeciwny jest całej intrydze, a kręciła tylko Lembkowa. Względem *Nicolas* jest pełen szacunku. Rozumiesz pan, wszystko teraz zależy od Lizy. Pozostawiłam ją w najlepszych stosunkach z *Nicolas*, a sam on obiecał tu przyjechać w listopadzie. To znaczy, że intryguje tylko Lembkowa, a Praskowja nic nie widzi. Mówi raz do mnie, że wszystkie podejrzenia moje są fantazją: oświadczam jej w oczy, że jest głupia. Mogę to powtórzyć na sądzie ostatecznym. I gdyby nie prośby *Nicolas*, abym ich opuściła na pewien czas, nie wyjeżdżałabym stamtąd, dopóki nie zdemaskowałbym intrygantki. Umizgała się za pośrednictwem *Nicolas* do hrabiego K., chciała poróżnić matkę z synem. Lecz Liza jest po naszej stronie, a z Praskowją się dogadałam. Wiesz pan, że Karmazinow, to jej krewny?

— Co, krewny madame von Lembke?

— Tak, tak. Daleki.

— Karmazinow? nowelista?

— Tak, tak, pisarz, czegóż się pan dziwisz? Sam siebie ma za wielkiego człowieka. Nadęta figura. Przyjedzie z nim razem, a teraz tam się z nim cacka. Zamierza coś tu u nas wprowadzić, jakieś literackie zebrania. Przyjedzie tu na miesiąc, chce sprzedać ostatni majątek. Z nim zaś miałam się spotkać w Szwajcarji, lecz bardzo tego nie chciałam. Myślę zresztą, że zrobi mi ten zaszczyt i przypomni mnie sobie. Za dawnych lat listy do mnie pisywał, bywał u nas... Stepanie Trofimowiczu, chciałabym, aby pan się przyzwoicie ubierał... Z dnia na dzień stajesz się pan jakiś niechlujny... O, jak mnie pan męczy! Co pan teraz czyta?

— Ja... ja...

— Rozumiem. Jak dawniej — przyjaciele, jak dawniej — pijatyki, klub, karty, i... opinja ateisty. Nie podoba mi się ta opinja. Nie chcę, aby nazywano pana ateistą. Zwłaszcza teraz nie chcę. Nie chciałam i dawniej, bo to wszystko przecież tylko próżna gadanina. Trzeba to raz powiedzieć.

— *Mais, ma chère...*

— Słuchaj pan, Stepanie Trofimowiczu, co do wiedzy jestem wobec pana nieukiem, lecz w drodze dużo myślałam o panu. I doszłam do pewnych wniosków...

— Naprzykład?

— Że nie my z panem jesteśmy najmądrzejsi na świecie, lecz są mądrzejsi od nas.

— To trafne i dowcipne. Są mądrzejsi, to znaczy, że są i nieomylniejsi, czyli, że my możemy się mylić. Czyż nie tak? *Mais, ma bonne amie*, mogę ja, dajmy na to, błądzić, lecz któż mi odmówi ogólno-ludzkiego, naczelnego prawa do wolności sumienia? Toć mam prawo nie być ani dewotką, ani sekciarzem, jeżeli tak chcę, a przecież za to rozmaite typy będą mnie nienawidziły do końca życia. *Et puis comme on trouve toujours plus de moines que de raison*, i ponieważ taka jest moja opinja...

— Jak, jak pan to powiedział?

— Powiedziałem: *on trouve toujours plus de moines, que de raison* i ponieważ...

— To napewno nie pana aforyzm. Skąd to pan wziął?

— To słowa Pascala.

— Wiedziałam odrazu... że to nie pan! Dlaczego pan sam nigdy nie powie czegoś tak krótkiego, a trafnego, a zawsze ciągnie pan w nieskończoność? To daleko lepsze, niż pańskie „upojenie administracyjne".

— *Ma foi, chère...* Dlaczego? Przedewszystkiem dlatego, że nie jestem Pascalem, *et puis...* my, Rosjanie, nie umiemy nic powiedzieć we własnym języku! Dotychczas, przynajmniej, nie powiedzieliśmy...

— Hm! może to nie jest tak! Ale przynajmniej mógłby pan zapisywać takie *bons mots*, zapamiętywać je, tak, na wypadek rozmowy... Ach, Stepanie Trofimowiczu, jechałam z tem, aby z panem poważnie porozmawiać.

— *Chère, chère amie!*

— Teraz, gdy ci wszyscy Lembkowie, ten Karmazinow... Boże, jak pan się opuścił!... Jak mnie pan dręczy! Takbym chciała, aby ci wszyscy ludzie poczuli szacunek dla pana, gdyż nie są oni warci jednego palca pańskiego, a pan? Jak się pan zachowuje? Co oni zobaczą? Co ja im pokażę? Zamiast tego, aby stać, jak żywe świadectwo, jako przekazany nam wzór, otaczasz się pan jakiemś tałałajstwem, nabrałeś pan niemożliwych przyzwyczajeń, zgrzybiałeś pan, nie możesz się obejść bez wina i kart, czytujesz tylko Paul de Kocka, i nic nie piszesz. A oni tam wszyscy piszą; cały czas schodzi u pana na paplaninie. Czyż można, czyż to jest dopuszczalne, przyjaźnić się z takiemi typami, jak pański nieodłączny Liputin?

— Dlaczego on ma być „mój" i „nieodłączny", — nieśmiało protestował Stepan Trofimowicz.

— Gdzie on teraz? — surowo i twardo ciągnęła Stawrogina.

— On... On żywi bezgraniczny szacunek dla pani. Wyjechał do S.; otrzymał tam spadek po matce.

— Zdaje się, że on nic innego nie robi, tylko wciąż otrzymuje pieniądze. A Szatow? Jak zawsze?

— *Irascible, mais bon.*

— Nie znoszę pańskiego Szatowa. Jest zły i zarozumiały.

— Jak zdrowie Darji Pawłowny?

— Pan pytasz o Daszę? A co to panu przyszło do głowy? — ciekawie spojrzała na niego Barbara Piotrowna. — Zdrowa, zdrowa. Zostawiłam ją w Szwajcarji, u Drozdowych. A tam, w Szwajcarji słyszałam niezbyt dobrze o synu pańskim.

— *Oh c'est une histoire bien bête! Je vous attendais, ma bonne amie, pour vous raconter...*

— Dosyć o tem, Stepanie Trofimowiczu, daj mi pan odpocząć. Jestem zmęczona. Zdążymy się nagadać, zwłaszcza o rzeczach niewesołych. Pan zaczynasz ślinić, gdy się śmiejesz... To już jakaś starczość! I wogóle, jak pan teraz dziwnie się śmieje!... Boże, Boże! Tyle nagromadziło się złych przyzwyczajeń! Karmazinow nie będzie

pana odwiedzał! A tu i bez tego wszyscy się cieszą... Pokazałeś pan wreszcie, kim jesteś... No, dosyć już, zamęczyłam się. Mógłbyś pan wreszcie zlitować się nad człowiekiem.

Stepan Trofimowicz „zlitował się nad człowiekiem" i wyszedł skonsternowany.

V.

Istotnie, zwłaszcza w ostatnich czasach, Stepan Trofimowicz nabrał sporo złych przyzwyczajeń. Opuszczał się z dnia na dzień i prawdą jest, że stał się nawet niechlujny. Pił coraz więcej, mazał się, i nie panował nad nerwami. Zbyt stał się wrażliwy na piękno. Twarz jego nabrała dziwnej łatwości zmieniania wyrazu, przechodząc od uroczystego bezpośrednio do śmiesznego, a nawet głupiego. Nie znosił samotności i oczekiwał stale, aby ktoś przyszedł go rozerwać. Trzeba było koniecznie opowiadać mu jakieś plotki miejskie, nowe anegdoty, i codzień coś innego. A gdy nikt z nas przez dłuższy czas nie przychodził, wtedy zaczynał Stepan sennie błądzić po pokojach, podchodził do okna, ruszał w zadumie szczękami, wzdychał, prawie jęczał. Stale męczyły go jakieś przeczucia, bał się czegoś niespodziewanego, lecz nieuniknionego; stał się tchórzliwy; coraz więcej wagi przywiązywał do swoich snów.

Cały ten dzień i cały wieczór spędził nadwyraz smutno, posłał po mnie, był zdenerwowany, dużo mówił, opowiadał, ale jakoś bez związku. Barbara Piotrowna wiedziała oddawna, że nie ma on przede mną tajemnic. Wydało mi się wreszcie, że dręczy go jakaś myśl, której on sam nie może uświadomić sobie. Przedtem zwykle, gdyśmy się zeszli z nim sam na sam i zaczynał biedaczyna skarżyć się przede mną, po pewnym czasie zjawiała się na stole jakaś butelczyna, i stawało się spokojniej. Tym razem wina nie było, i dawało się zauważyć, że Wierchowieński tłumi w sobie chęć posłania po nie.

— I czego ona wciąż się gniewa! — skarżył się bez przerwy, jak dziecko. — *Tous les hommes de génie et de*

progres en Russie étaient, sont et seront karciarze i pijacy, *qui boivent* do stracenia przytomności... a ja przecież nie jestem ani takim karciarzem, ani pijanicą... Zarzuca mi, że nie piszę! Dziwne oskarżenie!... Dlaczego ja leżę? Mówi mi, że powinienem stać, jako wzór i jako wyrzut. *Mais entre nous soit dit*, taki człowiek, który ma grać rolę niemego wyrzutu sumienia, nie ma nic lepszego do roboty, jak wylegiwać się. Czy ona to rozumie?

I zrozumiałem wreszcie ten główny, specjalny smutek, który go obecnie tak natrętnie osaczył. Wciągu tego wieczoru wielokrotnie podchodził do lustra i stawał przed niem. Wreszcie odwrócił się od lustra do mnie i wyrzekł z dziwną rozpaczą:

— *Mon cher*, jestem człowiekiem, który się opuścił...

Istotnie, do tej chwili, aż do tego dnia, miał jedną pewność niezbitą, że pomimo „nowych poglądów" i „zmiany idej" w umyśle Barbary Piotrowny, jest on wciąż czarujący dla jej kobiecego serca, i to nietylko jako wygnaniec i jako sławny uczony, lecz jako piękny mężczyzna. Wciągu lat dwudziestu utrwaliło się w nim to schlebiające mu i uspokajające przekonanie, i może z tem właśnie przeświadczeniem trudniej mu było rozstać się, niż z jakiemkolwiek bądź innem. Czy mógł przeczuwać wtedy ten biedak, jak niesłychana próba oczekuje go w najbliższej przyszłości?

VI.

Rozpocznę wreszcie opis tego zdarzenia, w znacznej mierze już zapomnianego, od którego zaczyna się właściwie moja opowieść. W końcu sierpnia powróciły nakoniec Drozdowe. Ich zjawienie się poprzedzało o krótki przeciąg czasu przyjazd oczekiwanej przez wszystkich ich krewnej, nowej gubernatorowej, i samo przez się zrobiło wielkie wrażenie w mieście. O tych interesujących momentach powiem później; obecnie zaznaczę, że Praskowja Iwanowna przywiozła tak niecierliwie oczekującej jej Barbarze Piotrownie jedną przykrą zagadkę, trudną do rozwiązania: oto *Nicolas* rozstał się z niemi jeszcze w lipcu, i spotkawszy nad

Renem hrabiego K., wyruszył z nim razem i z jego rodziną do Petersburga. (Nb. Hrabia K. miał trzy córki na wydaniu).

— Od Lizawety, że jest dumna i samowolna, nie mogłam się niczego dopytać, — kończyła Praskowja Iwanowna. — Wiedziałam jednak dobrze, że między nią, a Mikołajem Wsiewołodowiczem coś zaszło. Nie znam powodów, ale widzi mi się, droga Barbaro, że tu należy zapytać Darję Pawłownę. Tak myślę, że Lizie stała się krzywda. Rada jestem, że przywiozłam ci wreszcie twoją faworytkę i oddaję ci ją z rąk do rąk.

Te słowa jadowite wypowiedziane były z dziwną irytacją. Widać było, że „skwaśniała baba" przygotowała je zawczasu i zgóry delektowała się ich wrażeniem. Lecz Barbara Piotrowna nie należała do ludzi, którzy dadzą się zdetonować sentymentalnemi efektami i dwuznacznikami. Zażądała stanowczo ścisłych i wystarczających wyjaśnień. Praskowja Iwanowna natychmiast zniżyła ton i wkońcu nawet rozpłakała się i przeszła do przyjacielskich serdeczności. Ta nadwrażliwa i sentymentalna kobieta, zupełnie jak Stepan Trofimowicz, potrzebowała stale szczerej przyjaźni, i główna jej skarga na córkę Lizę polegała na tem właśnie, że „córka nie jest dla niej przyjacielem".

Ze wszystkich wyjaśnień i wylewów widoczne było tylko to, że istotnie między Lizą a *Nicolas* zaszło jakieś nieporozumienie, lecz w jakim rodzaju, o tem nie mogła wytworzyć sobie określonego pojęcia Praskowja Iwanowna. Oskarżenie, skierowane przeciwko Daszy, nietylko całkowicie cofnęła pod koniec rozmowy, lecz nawet prosiła nie przywiązywać żadnej wagi do jej słów uprzednich, gdyż wypowiedziała je pod wpływem nerwów. Naogół wszystko wyglądało niejasno i bardzo podejrzanie. Nieporozumienie, sądząc z jej słów, rozpoczęło się z powodu samowolnego i szyderczego usposobienia Lizy: „hardy zaś Mikołaj Wsiewołodowicz, chociaż bardzo kochał, nie mógł jednak znieść drwin i sam pozwolił sobie na szyderstwa".— Wkrótce potem zapoznaliśmy się z pewnym młodzieńcem, zdaje się, że synowcem twego „profesora", — nawet tego samego nazwiska.

— Syn, a nie synowiec, — sprostowała Barbara Piotrowna.

Praskowja Iwanowna nigdy nie mogła zapamiętać nazwiska Wierchowieńskiego i zawsze nazywała go „profesorem".

— Syn, to syn, tem lepiej, co mi do tego. Najzwyczajniejszy młodzieniec, żywy i bezceremonjalny, lecz nic osobliwego. Tu już Liza zachowała się niewłaściwie, gdyż zbliżyła do siebie tego młodzieńca, aby wzbudzić zazdrość w Mikołaju Wsiewołodowiczu. Nie mam jej tego za złe; zwykły, nawet miły fortel panieński. Ale Mikołaj Wsiewołodowicz, zamiast zazdrościć, sam właśnie zaprzyjaźnił się z tamtym; niby nic nie widzi, niby wszystko mu jedno. To już zabolało Lizę. Młodzieniec wkrótce wyjechał (dokądś tam śpieszył), a Liza zaczęła dogryzać Mikołajowi Wsiewołodowiczowi przy każdej sposobności. Zauważyła, że ten czasem z Daszą rozmawia, i zaczęła warjować, tak, że już i mnie się dostawało nieraz. A lekarze zabronili mi irytować się. Już to zachwalane ich jezioro tak mi obrzydło, zęby tylko rozbolały od niego, reumatyzm zaczął szarpać. Nawet gdzieś czytałam, że od Genewskiego jeziora zęby bolą; taka właściwość. A tu tymczasem Mikołaj Wsiewołodowicz otrzymuje list od hrabiny. Zakrzątnął się i wciągu doby wyjechał. Pożegnali się po przyjacielsku, lecz Liza, odprowadzając go, była zbyt wesoła i lekkomyślna. Śmiała się bez przerwy. Sztuczne to było. Pojechał, — i zaraz zrobiła się zamyślona. Przestała mówić o nim i mnie zabroniła. I tobiebym radziła, miła Barbaro, nie mówić o tych rzeczach z Lizą. Sprawie zaszkodzisz. A jak będziesz milczeć, — sama zacznie. Tak dowiesz się więcej. Ja tak sądzę, że zejdą się znowu, o ile Mikołaj Wsiewołodowicz nie będzie zwlekał z przyjazdem, jak to obiecał.

— Napiszę do niego zaraz. Jeżeli to tylko drobne nieporozumienie, to nie warto o tem mówić. A Daszę znam. Głupstwa!

— Co do Daszy, to przyznam się, że zgrzeszyłam. Były to tylko zwykłe rozmowy, głośno, przy wszystkich. Ale tak mnie ta cała historja zbulwersowała. A i Liza, widzę dobrze, znów z Daszą po dawnemu, serdecznie.

Barbara Piotrowna tegoż dnia napisała do syna, zaklinając go, aby przyjechał przynajmniej o miesiąc wcześniej, niż zapowiedział. W każdym razie pozostawało tu coś niejasnego i niewiadomego. Myślała cały wieczór i całą noc. Opinja Praskowji wydawała się jej zbyt naiwną i sentymentalną.

„Praskowja była sentymentalna przez całe życie, jeszcze na pensji", — myślała — „*Nicolas* nie taki człowiek, by uciec od drwin panieńskich. Tu inny powód, jeżeli istotnie odeszli od siebie. Poco one przywiozły ze sobą tego oficera? Zamieszkał u nich, jak swój. Co do Darji, Praskowja jakoś zbyt szybko się cofnęła: widocznie zostawiła coś dla siebie, czego mówić nie chce"...

Nad ranem w głowie Barbary Piotrowny dojrzał projekt; postanowiła załatwić się odrazu z jedną przynajmniej wątpliwością — projekt nieoczekiwany, a nadzwyczajny. Trudno zgadnąć, co miała na sercu, gdy projekt ten narastał w jej umyśle. Anibym się podjął wyjaśnić wszystkich sprzeczności, które się nań złożyły. Jako kronikarz, poprzestanę na tem, że wyłożę zdarzenia w ich historycznym porządku, i nie moja już wina, jeżeli to lub owo wyda się nieprawdopodobnem. Muszę jednak twierdzić, że Stawrogina nad ranem nie miała już żadnych podejrzeń co do Daszy, — nigdy zresztą ich nie żywiła. Zbyt była jej pewna. Nie mogła skądinąd dopuścić, aby jej *Nicolas* mógł się zakochać w... „Darji". Rano, gdy Dasza, jak zwykle, siedząc przy stoliku, nalewała herbatę, Barbara Piotrowna badawczo wpatrywała się w nią, i wreszcie po raz dwudziesty może od wczorajszego wieczora, powtórzyła sobie:

— Wszystko głupstwo!

Zauważyła jedynie, że Dasza ma wygląd jakiś zmęczony, że jest więcej cicha i apatyczna, niż zwykle. Po herbacie, przyjętym zwyczajem, zasiadły obydwie do robótek. Barbara Piotrowna kazała złożyć sobie ścisłe sprawozdanie z wrażeń zagranicznych, zwłaszcza o przyrodzie, o mieszkańcach, miastach, obyczajach, o sztuce, przemyśle, słowem o wszystkiem, co udało się widzieć. Ani jednego pytania o Drozdowych i o pożyciu z niemi. Dasza, która siedziała obok Stawroginej przy stoliku i pomagała jej wy-

szywać, opowiadała już ze dwa kwadranse równym, monotonnym, trochę słabym głosem.

— Darjo, — przerwała jej znienacka Barbara Piotrowna, — czy nie masz nic szczególnego, o czem chciałabyś opowiedzieć?

— Nie, nic, — powiedziała Dasza po chwilowym namyśle i jasnym wzrokiem spojrzała na Barbarę Piotrownę.

— W duszy, w sercu, na sumieniu?

— Nie, — powtórzyła Dasza cicho, lecz z odcieniem posępnej stanowczości.

— Wiedziałam o tem! Wiedz, Dasza, że nigdy nie zwątpię o tobie. Siedź teraz i słuchaj. Siądź tu, naprzeciwko, na tem krześle, chcę widzieć cię całą. Tak. Słuchaj. Chcesz zamąż?

Dasza odpowiedziała długiem, pytającem spojrzeniem, nie zanadto zresztą zdziwionem.

— Słuchaj; milcz. Po pierwsze, jest różnica wieku, duża różnica; lecz wiesz najlepiej sama, żo to głupstwo. Masz rozum i nie powinnaś popełniać błędów w życiu. Zresztą jest to jeszcze przystojny mężczyzna. Słowem, Stepan Trofimowicz, którego szanowałaś zawsze... A więc?

Dasza spojrzała jeszcze więcej pytająco, i już nietylko ze zdziwieniem, ale z rumieńcem na twarzy.

— Poczekaj, milcz; nie śpiesz się! Masz wprawdzie pieniądze z mojego testamentu, lecz gdy umrę, co się z tobą stanie, nawet przy pieniądzach? Oszukają ciebie, odbiorą ci pieniądze i zginiesz. A z nim — będziesz żoną sławnego człowieka. Teraz spójrz z innej strony: jeżeli ja umrę, to co się z nim stanie, chociaż ja go zabezpieczę? Tobie zaś mogę zaufać. Poczekaj, nie skończyłam jeszcze: on jest lekkomyślny, rozlazły, okrutny, egoista, ma nałogi, lecz ty go szanuj, przedwszystkiem dlatego, że bywają jeszcze gorsi. Przecież nie za szubrawca cię wydaję, nie masz prawa posądzać mnie o coś podobnego. Poza tem, szanuj go dlatego, że ja cię o to proszę, i to ci wystarcza, — ciągnęła z irytacją. — Słyszysz? Czegóż wytrzeszczasz czy?

Dasza wciąż słuchała w milczeniu.

— Poczekaj jeszcze. On jest baba — lecz tem lepiej dla ciebie. Nieszczęśliwa baba. Właściwie kobieta nie powinna go kochać. Lecz warto go kochać za bezbronność, i kochaj go za bezbronność. Rozumiesz mnie przecie? Rozumiesz?

Dasza skinęła głową.

— Wiedziałam o tem, tego się spodziewałam po tobie. On będzie cię kochał, bo musi, musi; powinien ubóstwiać ciebie, — z irytacją w głosie wykrzykiwała Barbara Piotrowna, — zresztą zakocha się w tobie i bez żadnego przymusu, znam go przecie. I sama będę czuwała. Bądź spokojna, zawsze tu będę. Zacznie się skarżyć na ciebie, spotwarzać ciebie szeptem przy pierwszym lepszym znajomym, będzie jęczeć; zacznie listy do ciebie pisywać z jednego pokoju do drugiego, po dwa na dzień, ale bez ciebie żyć nie potrafi, a to główne. Zmuś go, aby słuchał ciebie. Nie potrafisz — to będziesz głupia. Zechce się wieszać, będzie ci groził, a ty mu nie wierz; nie wierz mu, a jednak czuwaj, bo może się nawet powiesić, z takimi to bywa; wieszają się nie z siły, ale ze słabości; nie doprowadzaj go więc nigdy do ostatnich granic, — to główne prawidło w małżeństwie. Pamiętaj także, że to jest poeta. Słuchaj, Darjo: niema szczęścia większego, jak zrobić z siebie samej ofiarę. A oprócz tego sprawisz mi tem wielką przyjemność, a to najważniejsze. Nie myśl, że ja to wszystko wypaliłam bez namysłu. Wiem, co mówię. Jestem egoistką, bądź egoistką i ty. Nie zmuszam ciebie przecież. Wszystko od ciebie zależy. Jak powiesz, tak będzie. No, czegóż milczysz? Mów cokolwiek.

— Wszystko mi jedno, Barbaro Piotrowno, — jeżeli już trzeba koniecznie iść zamąż — jasnym głosem powiedziała Dasza.

— Koniecznie? A ty co masz na myśli? — wpatrując się badawczo, zapytała surowo Barbara Piotrowna.

Dasza milczała, poruszając igłą krosna.

— Chociaż masz rozum, powiedziałaś od rzeczy. Chociaż to prawda, że chcę koniecznie teraz wydać ciebie zamąż, lecz to wcale nie z musu, i chcę tylko za Stepana

Trofimowicza, aniby mi się śniło teraz wydawać ciebie, chociaż masz już dwadzieścia lat... No i cóż?

— Jak pani rozkaże.

— Więc tak? Zgadzasz się? Poczekaj jeszcze, nie uciekaj, nie skończyłam mówić: w testamencie zapisuję ci piętnaście tysięcy rubli. Wydam ci je za życia, zaraz po ślubie. Z tej sumy oddasz mu osiem tysięcy; ja zapłacę, ale trzeba, żeby on wiedział, że to twoje pieniądze. Zostanie ci siedem tysięcy. Nigdy mu z nich nie dawaj ani grosza. Długów jego nie płać nigdy. Jeżeli raz zapłacisz — to później się nie wykręcisz. Zresztą, sama będę czuwała. Będziecie ode mnie otrzymywali po tysiąc dwieście rubli rocznie, a razem z nadzwyczajnemi wydatkami tysiąc pięćset, nie licząc mieszkania i wiktu, za które, jak i teraz, będę płaciła. Będziecie mieli własną usługę. Pensję roczną będę wydawała zgóry, tobie do rąk własnych. Lecz nie bądź bezlitosna; czasem i jemu wydaj cokolwiek i pozwól przyjaciołom odwiedzać go, raz na tydzień, a jeżeli częściej zaczną przychodzić, to wypędzaj. Zresztą, będę sama czuwała. A gdy umrę, pensja będzie wam nadal wypłacana do samej jego śmierci, rozumiesz, tylko do jego śmierci, bo to jego pensja, a nie twoja. Tobie zaś oprócz tych siedmiu tysięcy, które przechowasz nienaruszone, o ile nie będziesz głupia, pozostawię w testamencie jeszcze osiem tysięcy. A więcej nic ode mnie nie otrzymasz, żebyś wiedziała o tem. Cóż, zgadzasz się, czy nie? Czy odezwiesz się nareszcie?

— Już powiedziałam.

— Pamiętaj, że masz wolną wolę. Jak zechcesz, tak będzie.

— Więc dobrze, Barbaro Piotrowno. Czyż Stepan Trofimowicz już z panią mówił o tem?

— O niczem nie mówił, o niczem nie wie, ale... przemówi!

Zerwała się i narzuciła na siebie czarny szal. Dasza znów zarumieniła się i spoglądała na nią pytającym wzrokiem. Barbara Piotrowna odwróciła się gwałtownie i wybuchnęła gniewem.

— Głupia jesteś! — wpadła na nią jak jastrząb: — Niewdzięcznica! O czem ty myślisz? Czyż śmiesz przy-

puszczać, że mogłabym ciebie skompromitować choć o tyle, choć na włos? Będzie skamlał przed tobą na kolanach, będzie umierał z radości, tak to urządzę! Wiesz przecie, że nie pozwolę skrzywdzić ciebie. Myślisz może, że on cię weźmie dla tych ośmiu tysięcy, a ja oto biegnę ciebie sprzedawać? Głupia, głupia, wszystkie jesteście głupie niewdzięcznice! Podaj mi parasolkę!

Pobiegła piechotą, po mokrych chodnikach ceglanych i po przejściach z desek, do Stepana Trofimowicza.

VII.

Mówiąc, że nie pozwoliłaby skrzywdzić swej „Darji", rzekła prawdę. Teraz nawet, więcej niż kiedykolwiek, czuła się jej dobrodziejką. Najszlachetniejsze oburzenie zrodziło się w jej duszy, gdy, narzucając szal, spotkała na sobie nieufne i niepewne spojrzenie wychowanicy. Szczerze ją lubiła od dzieciństwa, i Praskowja Iwanowna nie myliła się, nazywając ją „faworytką". Już dawno Barbara Piotrowna orzekła, że „Darja z charakteru niepodobna do brata" (to znaczy do Iwana Szatowa), że jest łagodna i dobra, zdolna do poświęceń, wyróżnia się wiernością, skromnością, rozwagą, a zwłaszcza, że potrafi być wdzięczna. Zdawało się dotychczas, że Darja nie zawodzi zaufania.... „W jej życiu nie będzie omyłek", — powiedziała Barbara Piotrowna, gdy dziewczynka miała zaledwie dwanaście lat, a że sama miała zwyczaj przywiązywać się uparcie i namiętnie do każdej własnej konstrukcji, do każdego swego planu, do każdej myśli, uznanej przez siebie za trafną, — natychmiast postanowiła zająć się jej wychowaniem, takiem, jakie dałaby własnej córce. Odłożyła odrazu odpowiednią sumkę, sprowadziła nauczycielkę, miss Criggs, która była też u nich, dopóki dziewczynka nie skończyła szesnastu lat, — poczem niezwłocznie została oddalona. Sprowadzała nauczycieli gimnazjalnych, w tej liczbie rodowitego Francuza, który nauczył Daszę mówić po francusku. Tego również oddalono znagła, prawie wypędzono. Pewna uboga dama, z dobrej rodziny, uczyła ją grać na fortepianie. Głównym pe-

dagogiem był jednak Stepan Trofimowicz. On właśnie odkrył Daszę: zaczął uczyć cichego dzieciaka jeszcze wtedy, gdy Barbara Piotrowna nawet nie myślała o Daszy. I znów powtarzam: to dziwne, jak się do niego przywiązywały dzieci! Lizę Tuszynę uczył od ósmego roku życia, oczywiście zadarmo, gdyż nigdy nie pozwoliłby sobie brać pieniędzy od Drozdowych. Zakochał się w tej prześlicznej dziewczynce i opowiadał jej dziwne poematy o budowie wszechświata, o ziemi, o dziejach ludzkości. Te wykłady o ludach pierwotnych i o pierwotnym człowieku stokroć ciekawsze były od bajek arabskich. Liza, która szalała za temi opowieściami, śmiesznie przedrzeźniała Stepana Trofimowicza w domu. Dowiedział się o tem i raz nawet złapał ją na gorącym uczynku. Zawstydzona Liza rzuciła mu się w objęcia i rozbeczała się, — a Stepan Trofimowicz przerwał zajęcia z nią i stopniowo przestał zwracać na nią uwagę. Tak trwało dość długo. Pewnego razu, gdy już miała siedemnaście lat, zauważył, jak jest urocza. Było to przy obiedzie u Barbary Piotrowny. Zaczął z nią rozmawiać, spodobały mu się jej odpowiedzi i skończył na tem, że zaproponował jej poważny i obszerny kurs literatury rosyjskiej. Barbara Piotrowna zaaprobowała tę myśl, podziękowała mu nawet, a Dasza był wprost zachwycona. Stepan Trofimowicz zaczął poważnie przygotowywać się do tych wykładów i wreszcie rozpoczął je. Pierwszy wykład, dotyczący najdawniejszego okresu, był niesłychanie zajmujący; Barbara Piotrowna była obecna. Gdy Stepan Trofimowicz skończył, i oświadczył uczennicy, że następny wykład poświęci „Słowu o pułku Igorewym", Barbara Piotrowna wstała i oznajmiła, że wykładów więcej nie będzie. Stepan Trofimowicz zmarszczył się, lecz milczał, Dasza stanęła w ponsach; na tem jednak skończyła się cała zabawa. Miało to miejsce ściśle na trzy lata przed obecną fantazją Barbary Piotrowny.

A biedny Stepan Trofimowicz siedział samotny i nie wiedział o niczem. W smutnej zadumie wyglądał wciąż przez okno, czy nie wpadnie kto ze znajomych. Nikt jednak nie szedł. Na ulicy mżył deszczyk, stawało się chłodno; warto było zapalić w piecu. Westchnął. Raptem jakieś

widmo stanęło mu przed oczyma. Barbara Piotrowna? Do niego? W taką pogodę i o takiej porze? I piechotą? i przyjął ją tak, jak był: w różowej watowanej kurtce.

— *Ma bonne amie!...* — zawołał cichym głosem.

— Pan sam, to dobrze; nie znoszę tych przyjaciół pańskich! Ach, jak u pana zadymione! Co za powietrze! Jeszcześ pan nawet herbaty nie dopił, a już południe! Pana rozkosz — to nieład! Pana żywioł — śmiecie! Co to za podarty papier na podłodze? Nastasjo! Nastasjo! Co robi pańska Nastasja? Otwórz, kobieto, okna, lufciki, drzwi, wszystko! Przejdźmy do salonu; mam do pana interes. A ty, stara, choć raz w życiu pozamiataj!

— Śmiecą! — jękliwym głosem skarżyła się Nastasja.

— A ty zamiataj, piętnaście razy dziennie zamiataj! Obrzydliwy masz pan salon, — mówiła, gdy już tam weszli. — Zamknij pan mocno drzwi, bo zechce podsłuchiwać. Trzeba tu zmienić tapety. Przysłałam przecież tapicera z próbkami. Czemużeś pan nie wybrał? Siadaj pan i słuchaj. No, siadaj pan wreszcie. Gdzie to pan idzie? Gdzie pan idzie?

— Ja... zaraz, — wołał z drugiego pokoju Stepan Trofimowicz. — Oto jestem.

— A, pan zmienił ubranie! — oglądała go ironicznie. (Narzucił na kurtkę surdut). — Tak pan wygląda bardziej odpowiednio... do naszej rozmowy. Siadaj pan wreszcie!

Wytłumaczyła mu wszystko odrazu, twardo i przekonywująco. Zrobiła aluzję i do ośmiu tysięcy, których śmiertelnie potrzebował; mówiła szczegółowo o posagu. Stepan Trofimowicz wytrzeszczał oczy i drżał. Słyszał wszystko, lecz nie mógł wyraźnie zrozumieć. Chciał się odezwać, lecz głos mu uwiązł w krtani. Wiedział jedynie, że stanie się tak właśnie, jak ona mówi, że wszelki sprzeciw byłby stratą czasu, i że on, już niepowrotnie, jest żonaty.

— *Mais, ma bonne amie*, po raz trzeci, w moim wieku, i... z takiem dzieckiem! — wykrztusił wreszcie. — *Mais c'est une enfant.*

— Dziecko, które, chwała Bogu, ma już dwadzieścia lat! Niech pan, na miłość Boską, nie wywraca białek, mówię panu, to tak, jak w teatrze. Jesteś pan rozumny i uczo-

ny, lecz nie masz najmniejszego pojęcia o życiu. Pan potrzebujesz niańki. Ja umrę, a wtedy co z panem? Ona zaś będzie dobrą niańką; to dziewczyna skromna, rozsądna, z charakterem; a zresztą sama będę czuwała, przecież nie zaraz umrę. Lubi siedzieć w domu. Łagodna, jak anioł. Ta szczęśliwa myśl przyszła mi jeszcze w Szwajcarji. Słyszysz pan, sama mówię, że ona łagodna, jak anioł? — zakrzyczała z wściekłością w głosie. — U pana tu kurz, lecz ona zaprowadzi porządek i czystość, wszystko będzie jak szkło... Co pan sobie myślisz? Mam panu jeszcze się kłaniać z takim skarbem? Wyliczać korzyści, swatać? To pan powinien na kolanach... O pusty, pusty, bezduszny człowieku!...

— Ale... ja już jestem starcem.

— Co tam znaczą pańskie pięćdziesiąt trzy lata? Pięćdziesiąt lat, to nie koniec, lecz połowa życia. Jesteś pan przystojny i wiesz o tem. Wiesz pan także, że ona pana szanuje. Gdy umrę, co się z nią stanie? A z panem i ona może być spokojna, i ja także; otrzymacie pensję, którą wypłacać uważam za swój obowiązek. Być może właśnie to pan ją uratuje? W każdym razie będzie to zaszczyt dla niej. Pan ją udoskonali, rozwinie jej serce, pokieruje myślami. Tyle ich ginie dziś dlatego tylko, że myśli są źle pokierowane. Do tego czasu wykończysz pan swój traktat i przypomnisz o sobie.

— Ja właśnie, — wyszeptał, ujęty zręcznem pochlebstwem, — ja właśnie zamierzam zabrać się na dobre do moich „Opowiadań z dziejów Hiszpanji".

— Otóż to! Widzisz pan, jak się to wszystko cudownie składa.

— Ale... ona? Czy mówiła z nią pani?

— Niech pan się o nią nie troszczy, i niech pan nie będzie ciekawy. Oczywiście, musi pan sam ją prosić, błagać, aby sprawiła mu ten zaszczyt... Rozumiesz pan? Lecz bądź pan spokojny. Czuwam. A pan już ją kocha.

Stepan Trofimowicz poczuł, że mu się zamąciło w głowie: ściany zaczęły się chwiać. Tkwiła tu jakaś myśl, z którą nie mógł sobie poradzić.

— *Exellente amie!* — drżał mu głos, — ja... ja nie mogłem wyobrazić sobie, abyś pani zdecydowała się wydać mnie... za inną kobietę!

— Nie jesteś pan panną, Stepanie Trofimowiczu! Tylko panny wydaje się zamąż, a pan... sam się ożenisz, — zjadliwie syczała Barbara Piotrowna.

— *Oui, j'ai pris un mot pour un autre. Mais, c'est égal,* — wpatrywał się w nią omdlałym wzrokiem.

— Widzę dobrze, *że c'est égal,* — cedziła pogardliwie. — Boże! On mdleje! Nastasjo, Nastasjo! Wody!

Woda okazała się zbyteczna. Ocknął się. Barbara Piotrowna wzięła parasolkę.

— Widzę, że z panem teraz trudno się dogadać...

— *Oui, oui, je suis incapable.*

— Do jutra odpoczniesz pan i przemyślisz. Nie wychodź pan z domu, a gdyby się co zdarzyło, daj pan znać, chociażby w nocy. Listów nie pisać, nie będę nawet czytała. Jutro o tej porze przyjdę sama, po ostatnią odpowiedź. Nie wątpię, że nie będzie odmowna. Masz pan być sam, i żeby mi tu śmieci nie było. Do czego to podobne? Nastasjo, Nastasjo!

Nazajutrz się zgodził. Czyż mógł się nie zgodzić? Zwłaszcza, że pewna okoliczność...

VIII.

To, co nazywano u nas majątkiem Stepana Trofimowicza, (pięćdziesiąt dusz podług starego sposobu liczenia, w sąsiedztwie ze Skworesznikami), nie należało wcale do niego, lecz do jego pierwszej żony, czyli obecnie do jego syna, Piotra Stepanowicza Wierchowieńskiego. Stepan Trofimowicz był tylko opiekunem, a gdy się pisklę opierzyło, zarządzał majątkiem na podstawie formalnego pełnomocnictwa.

Było to wygodne dla młodzieńca. Otrzymywał od ojca tysiąc rubli rocznie, tytułem dochodu z majątku, który obecnie, przy nowych porządkach, dawał co najwyżej pięćset, a może jeszcze mniej. Już niewiadomo, jak się

ustalił taki stan rzeczy. Zresztą cały tysiąc wysyłała Barbara Piotrowna, Stepan Trofimowicz nie uczestniczył w tej sprawie ani groszem. Przeciwnie, cały dochodzik z ziemi chował do własnej kieszeni, więcej, ziemię tę zrujnował, wydzierżawił ją jakiemuś przedsiębiorcy, i w sekrecie przed Barbarą Piotrowną sprzedał na wyrąb lasek, stanowiący główną wartość mająteczku. Lasek ten zaczął on już odawna nadrąbywać kawałkami. Cały drzewostan był wart z osiem tysięcy, lecz Stepan Trofimowicz wyciągnął z niego tylko pięć. Czasem jednak zbyt dużo przegrywał w klubie, a bał się zwracać z prośbą do Barbary Piotrowny. Zgrzytała zębami, gdy się dowiedziała o wszystkiem. A oto teraz syn zawiadomił, że sam przyjedzie sprzedać majątek i polecił Stepanowi Trofimowiczowi koniecznie wystarać się o kupca. Rzecz prosta, że szlachetny i bezinteresowny Stepan Trofimowicz był zażenowany wobec *ce cher enfant*. (Widział syna po raz ostatni jako studenta, przed dziewięciu laty w Petersburgu). Uprzednio cały majątek był wart ze trzynaście lub czternaście tysięcy, a teraz nikt nie dałby wyżej pięciu. Niewątpliwie Stepan Trofimowicz miał całkowite prawo, z tytułu formalnego pełnomocnictwa, sprzedać las. Mógł też obecnie, zaliczywszy tysiącrublówki, wysyłane rok rocznie tytułem dochodów z majątku, znacznie ułatwić sobie obrachunek. Lecz Stepan Trofimowicz był człowiekiem honorowym, o wyższych aspiracjach. Zaświtała mu w głowie myśl bardzo piękna: gdy przyjedzie Piotruś, wyłożyć mu na stół maksymalną sumę, nawet piętnaście tysięcy, nie wspomnieć ani słowa o sumach dotychczas wysyłanych, i mocno, ze łzami, przytulić do piersi *ce cher fils*, i w ten sposób zlikwidować wszelkie obrachunki. Ostrożnie i niewyraźnie rozwijał ten obraz przed Barbarą Piotrowną. Dawał do zrozumienia, że nadałoby to specjalnego, szlachetnego zabarwienia ich stosunkom przyjaznym, ich... „idei". Przedstawiłoby to w tak pięknem świetle dawnych ojców i wogóle ludzi minionego pokolenia w porównaniu ze współczesną lekkomyślną, społecznikującą młodzieżą! Mówił o tem dużo, lecz Barbara Piotrowna nie reagowała. Wreszcie szorstko oznajmiła mu, że zgadza się kupić majątek i za-

płaci cenę maksymalną, czyli sześć, siedem tysięcy (a można kupić i za cztery). O pozostałych ośmiu tysiącach, które przepadły wraz z laskiem, nie wspomniała nawet.

Było to przed miesiącem. Stepan Trofimowicz był zgnębiony i zamyślał się coraz częściej. Przedtem mógł mieć nadzieję, że synalek, być może, nie przyjdzie, jeżeli wolno takie uczucie nazwać nadzieją. Sam Stepan Trofimowicz, jako ojciec, z oburzeniem odrzuciłby nawet myśl taką. O Piotrusiu zaś przychodziły do nas wieści najdziwaczniejsze. Skończył przed sześciu laty uniwersytet w Petersburgu i wałęsał się tam bez celu i zajęcia; potem najniespodziewaniej w świecie otrzymaliśmy wiadomość, że brał udział w pisaniu jakiejś proklamacji i pociągnięty został do odpowiedzialności. Potem — że jest zagranicą, w Szwajcarji, w Genewie, może nawet wprost uciekł.

— Dziwi mnie to wszystko, — spowiadał mi się kiedyś Stepan Trofimowicz, mocno zakłopotany. — Piotruś, *c'est une si pauvre tête!* Dobry jest, szlachetny, wrażliwy, i wtedy już, w Petersburgu, cieszyłem się, porównując go z młodzieżą współczesną. *Mais c'est un pauvre sire tout de même.* Tak samo niedonoszony, sentymentalny. Ich wszystkich porywa nie realizm, a czułostkowa, idealistyczna strona socjalizmu, powiedziałbym — jego odcień religijny, poetycki. Oczywiście śpiewają wszyscy jak z nut. Ale co za kłopot dla mnie! Mam tu tylu wrogów, a tam jeszcze więcej, zwalą wszystko na wpływ ojca... Mój Boże! Piotruś — w roli przywódcy! Co za czasy!

Piotruś jednak nadesłał ze Szwajcarji najdokładniejszy adres dla wysyłki pieniędzy, — nie był więc emigrantem w ścisłem znaczeniu tego słowa. A teraz, spędziwszy cztery lata zagranicą, znów wraca do ojczyzny i zawiadamia o swoim przyjeździe: oznacza to, że nie ciąży nad nim żadne oskarżenie. Nie dość na tem. Miało się wrażenie, że ktoś wpływowy opiekuje się nim i proteguje go. Pisał teraz z południa Rosji, gdzie spełniał ważne polecenia jakiejś prywatnej osoby. Wszystko to było bardzo pocieszające, — ale skąd wziąć brakujące siedem-osiem tysięcy, aby skompletować przyzwoite maximum ceny za majątek? Coś szeptało Stepanowi Trofimowiczowi, że Piotruś o swo-

ich interesach nie zapomni. A co będzie, jeżeli podniesie gwałt, i zamiast rozrzewniającej sceny, skończy się to procesem? „Zauważyłem", wspominał mi kiedyś Stepan Trofimowicz „że ci zapaleni socjaliści i komuniści są jednocześnie ogromnie łapczywi na pieniądze, skąpi, typowi posiadacze, a nawet im większy socjalista, tem twardszy posiadacz. Dlaczego to? Czy to także z powodu sentymentalizmu?" Nie wiem, w jakim stopniu słuszne było to spostrzeżenie. Wiem tylko, że Piotruś posiadał informacje o aferze leśnej, a Stepan Trofimowicz wiedział, że syn jest poinformowany. Zdarzało mi się nawet czytywać listy syna do ojca; pisywał bardzo rzadko, raz do roku, lub jeszcze rzadziej. Teraz dopiero, zapowiadając swój przyjazd, wysłał dwa listy jeden po drugim. Listy jego były zawsze krótkie, zimne, zawierały tylko polecenia, a ponieważ ojciec z synem byli na „ty", zgodnie z nową modą petersburską, więc listy Piotrusia przypominały bardzo rozkazy dawnych obywateli ziemskich, przysyłane do poddanych, którym powierzony był dozór nad majątkami. I oto teraz te osiem tysięcy wypływają z projektu matrymonjalnego, przyczem Barbara Piotrowna podkreśliła wyraźnie, że z innego źródła wypłynąć nie mogą. Cóż dziwnego, że Stepan Trofimowicz musiał się zgodzić?

Zaraz po jej wyjściu posłał po mnie, a od wszystkich innych gości zamknął się na klucz. Płakał oczywiście, mówił dużo i ładnie, tracił wątek, powiedział wypadkowo dowcip i był z niego zadowolony, potem nastąpiła leciutka choleryna, — słowem — wszystko w porządku. Wyciągnął potem, już nie wiem poco, portret swej Niemki, która umarła przed dwudziestu laty i żałośliwie pytał: „Czy ty mi tylko przebaczysz?" Był istotnie skonfundowany. Wypiliśmy nieco z tej okazji. Potem zasnął słodko. Nazajutrz elegancko zawiązał krawat, ubrał się starannie i często podchodził do lustra. Skropił perfumami chustkę do nosa, bardzo nieznacznie, gdy jednak zobaczył przez okno Barbarę Piotrownę, natychmiast chustkę tę schował pod poduszkę i wziął inną.

— Doskonale! — pochwaliła Barbara Piotrowna, dowiedziawszy się o jego zgodzie. — Ujawnił pan przede-

wszystkiem szlachetną stanowczość, ulegając jednocześnie głosowi rozwagi, który jest panu obcy zazwyczaj w sprawach prywatnych. Zresztą, niema powodu do pośpiechu, — dodała zbadawszy węzeł jego krawata, — tymczasem niech pan milczy, i ja także. Wkrótce będą urodziny pańskie. Będę tu razem z nią. Przygotuje pan herbatę wieczorną, ale bez wina i bez zakąsek, — zresztą ja sama się tem zajmę. Zaprosisz pan kilku przyjaciół, — zresztą razem dokonamy wyboru. W przeddzień pomówisz pan z nią, jeżeli trzeba będzie; a na urodzinach oznajmimy, nie, nie oznajmimy, nie będą to żadne zaręczyny, a tak, damy do zrozumienia, bez żadnego ceremonjału, a w parę tygodni potem ślub, bez żadnego hałasu. Moglibyście nawet wyjechać razem, wprost od ołtarza, naprzykład do Moskwy. Możebym i ja pojechała z wami. Rzecz główna, niech pan tymczasem o niczem nie gada.

Stepan Trofimowicz był zdziwiony. Próbował oponować, że tak nie można, że musi przecie porozumieć się z narzeczoną, lecz Barbara Piotrowna wpadła na niego rozdrażniona.

— Niema żadnej potrzeby! Może jeszcze nic z tego nie będzie...

— Jakto nie będzie? — bełkotał oszołomiony.

— A tak. Jeszcze pomyślę... A zresztą będzie tak, jakem mówiła, i bądź pan spokojny, sama z nią pomówię. A pan trzymaj lepiej język za zębami. Wszystko, co należy, będzie powiedziane i zrobione, i nie wolno panu się wtrącać. Poco? W jakiej roli? Niech pan nie idzie do niej, i niech pan listów nie pisze. Ani słowa! Ja także będę milczała.

Stanowczo odmówiła mu dalszych wyjaśnień i wyszła w stanie widocznej irytacji. Prawdopodobnie uderzyła ją łatwość, z jaką Stepan Trofimowicz dał się przekonać. Niestety! Nie rozumiał on zupełnie swojej sytuacji i nie umiał rozważyć sprawy z innych punktów widzenia. Przeciwnie. Obudziło się w nim coś nowego, jakiś ton zwycięski i lekkomyślny. Udawał zucha.

— To dobre! — wołał, zatrzymując się przede mną i rozkładając ręce. — Słyszał pan? Chce doprowadzić mnie do tego, aby mi się wreszcie odechciało. Przecież

i ja mogę stracić cierpliwość i przestać chcieć. „Siedź pan i nie idź tam!“ Dobrze. Ale dlaczego właśnie ja mam się żenić? Czy dlatego, że powstała w jej głowie ta dziwna fantazja? Jestem człowiekiem poważnym, i mogę odmówić posłuszeństwa dzikim fantazjom despotycznej kobiety. Mam obowiązki wobec syna, i wobec siebie! Składam z siebie ofiarę — czy ona to rozumie? Może dlatego się zgodziłem, że już obrzydło mi życie, i że już wszystko mi jedno? Lecz gdy ona wytrąci mnie z równowagi, już nie będzie mi wszystko jedno. Obrażę się i odmówię. *Et enfin* le *ridicule*... Co zaczną mówić w klubie? Co powie... Liputin? „Może jeszcze nic z tego nie będzie“ — to dobre! To już szczyt! To już... co jest ostatecznie? *Je suis un forcât, un Badinguet*, jestem człowiekiem, przypartym do muru.

A jednocześnie jakieś samozadowolenie kapryśne, coś figlarnie lekkomyślnego wyzierało z poza tych okrzyków żałosnych. Wieczorem piliśmy znowu.

ROZDZIAŁ TRZECI.

CUDZE GRZECHY.

I.

Minął tydzień i zdarzenia rozwijały się coraz szerzej.

Zaznaczę, że wciągu tego tygodnia przeżyłem sporo chwil niewesołych, nie rozstając się prawie z mym biednym wyswatanym przyjacielem, jako najbliższy jego konfident. Dręczył go głównie wstyd, chociaż wciągu tych kilku dni nie spotykaliśmy się z nikim i byliśmy sami, — lecz wstydził się nawet i mnie, i to do tego stopnia, że im więcej się zwierzał, tem więcej czuł za to żalu do mnie. Podejrzliwość jego kazała mu przypuszczać, że już o wszystkiem wie całe miasto i bał się pokazać nietylko w klubie, lecz nawet w naszem kółku. Niezbędne dla zdrowia spacery odbywał wieczorem, gdy już zapadł zmierzch.

Minął tydzień, a Wierchowieński wciąż nie wiedział jeszcze, czy jest zaręczony, czy nie, i w żaden sposób, pomimo starań, nie mógł się o tem dowiedzieć. Narzeczonej nie widział dotychczas, nie miał zresztą pojęcia, czy naprawdę jest to jego narzeczona. Nie wiedział nawet, czy wogóle można to wszystko na serjo traktować. Barbara Piotrowna stanowczo odmawiała mu audjencji. Na jeden z pierwszych listów, a wysłał ich bez liku, odpowiedziała stanowczo, aby uwolnił ją na pewien czas od wszelkich z nim stosunków, gdyż jest zajęta. Ponieważ zaś sama potrzebuje także z nim pomówić, — czeka wolniejszej chwili i zakomunikuje we właściwym czasie, aby się do niej zgłosił. Zapowiedziała, że będzie odsyłała listy nierozpieczętowane, gdyż „to tylko dziecinnada". Czytałem sam ten list; pokazywał mi.

A jednak ta cała brutalność i nieokreśloność była niczem w porównaniu z główną troską Stepana Trofimowicza, która dręczyła go niesłychanie; chudł od niej i upadał na duchu. Było to coś takiego, czego się wstydził najwięcej i o czem nie chciał mówić nawet ze mną; przeciwnie, wyłgiwał się i wykręcał, jak sztubak. Jednocześnie zaś posyłał do mnie codzień, dwóch godzin nie mógł spędzić beze mnie, potrzebując mnie, jak wody lub powietrza.

Takie postępowanie mogło łatwo zadrasnąć moją ambicję... Nie potrzebuję dodawać, że odgadłem rychło jego tajemnicę i znałem ją nawylot. Według najgłębszego mego przekonania, zdemaskowanie tej tajemnicy nie przysporzyłoby zaszczytu Stepanowi Trofimowiczowi i, jako człowiek niedoświadczony i młody, oburzałem się wówczas na gruboskórność tego człowieka i na niewłaściwość jego podejrzeń. Może zbyt na gorąco brałem te rzeczy, może zresztą nudziła mnie rola jego powiernika, dość, że oskarżałem go zanadto. Z całem okrucieństwem dążyłem do tego, aby sam się przyznał przede mną, chociaż wiedziałem, jak trudno jest przyznać się do niektórych rzeczy. On też rozumiał mnie nawylot, to znaczy, widział jasno, że ja go przejrzałem i że zły jestem na niego, i sam zły był na mnie za to, że się na niego gniewam i że go widzę nawylot. Zgodzę się z tem, że moje ówczesne podrażnienie było płytkie

i niemądre; lecz często niedopowiadanie wzajemne paraliżuje przyjaźń prawdziwą. Pod wielu względami zdawał sobie sprawę ze swej sytuacji i określał ją prawidłowo w tych szczegółach, których nie maskował.

— O, czyż taką była ona wówczas? — wygadał się jakoś o Barbarze Piotrownie. — Czyż taką była wtedy, gdyśmy z nią tyle rozmawiali? Czy pan wiesz o tem, że ona umiała mówić? Czy pan uwierzysz, że miała w głowie myśli, własne myśli? Zmieniło się wszystko! Ona teraz mówi, że tamto wszystko — to paplanina staroświecka! Gardzi minionem... Teraz stała się jakimś rządcą, ekonomem. Stała się zawzięta. Wciąż się gniewa...

— A dlaczego ma się gniewać, skoro pan spełnił jej żądanie? — pytałem.

Popatrzył na mnie porozumiewawczo.

— *Cher ami!* — Gdybym się nie zgodził, rozgniewałaby się strasznie! Lecz w każdym razie mniej, niż teraz, kiedym się zgodził.

Podobała mu się bardzo ta definicja, więc wypiliśmy wieczorem butelczynę. Dało to nam jedną jasną chwilę, ale tylko jedną. Nazajutrz był bardziej ponury i struty, niż kiedykolwiek.

Najwięcej gniewało mnie, że nie zdecydował się nawet złożyć niezbędnej wizyty Drozdowym w celu wznowienia dawnej znajomości. Wiadomo było, że te panie oczekują wizyty i dopytywały się o niego. Jego samego to żenowało. O Lizawecie Mikołajewnie mówił stale z niezrozumiałym dla mnie zachwytem. Bezwątpienia, pozostało mu miłe wspomnienie dziecka, które tak lubił przed laty: poza tem jednak, niewiadomo dlaczego, wyobraził sobie, że przy niej znalazłby ulgę w cierpieniach obecnych i rozstrzygnięcie wielu wątpliwości. Był pewien, że w Lizie znajdzie istotę niezwykłą. Nie szedł jednak, chociaż wybierał się codzień. Przyznam się, że i ja chciałem zostać jej przedstawiony, a mogłem tu liczyć tylko na Stepana Trofimowicza. Wywierały na mnie silne wrażenie częste spotkania z nią, oczywiście tylko na ulicy, gdy wyjeżdżała konno, w amazonce, na pięknym wierzchowcu, w towarzystwie tak zwanego „kuzynka", synowca generała Drozdowa. Mo-

je zachwyty trwały niedługo. Wkrótce pojąłem sam nieziszczalność mych marzeń. Jednak przez czas pewien byłem pod ich władzą, łatwo więc sobie wyobrazić, jak oburzało mnie zamknięcie się w sobie Stepana Trofimowicza.

Wszyscy „nasi" odrazu zostali zawiadomieni oficjalnie, że Stepan Trofimowicz przez pewien czas nie będzie przyjmował i prosi o zostawienie go w spokoju. Nastawał na urzędowem zawiadomieniu, chociaż mu to odradzałem. Musiałem spełnić jego prośbę, obejść wszystkich i nagadać im, że Barbara Piotrowna powierzyła naszemu „staremu" (tak nazywaliśmy między sobą Stepana Trofimowicza) jakąś pilną robotę, doprowadzenie do porządku pewnej korespondencji z ubiegłych lat; że zamknął się na klucz; że ja mu pomagam w tej pracy i t. d. Tylko do Liputina nie zdążyłem wpaść i odkładałem to z dnia na dzień; może nawet czułem pewne obawy. Wiedziałem zawczasu, że nie uwierzy ani jednemu słowu, wyobrazi sobie, że jest to jakaś tajemnica tylko przed nim, i zaraz po mojem wyjściu od niego pobiegnie na miasto, aby węszyć i plotkować. Pókim tak rozważał, wypadkowo spotkałem go na ulicy. Okazało się, że już wie od „naszych", przeze mnie zawiadomionych. Rzecz dziwna. Nietylko nie zdradził zaciekawienia, nie rozpytywał się o Stepana Trofimowicza, lecz nawet przerwał mi, gdym zaczął usprawiedliwiać się przed nim, że nie zdążyłem do niego wpaść, i natychmiast zmienił temat rozmowy. Miał co prawda dużo do powiedzenia. Był strasznie podniecony i cieszył się, że znalazł we mnie słuchacza. Zaczął mówić o nowinach miejskich, o przyjeździe gubernatorowej „z nowemi poglądami", o opozycji, która już wytworzyła się wśród członków klubu, o tem, że wszyscy krzyczą o nowych ideach, i jak to do kogo przylgnęło... Gadał z kwadrans, a tak pociesznie, że trudno mi było się oderwać. Chociaż go nie znosiłem, wyznam, że umiał przykuć do siebie uwagę, zwłaszcza wtedy, gdy był zirytowany. Ten człowiek, zdaniem mojem, był urodzonym szpiegiem. Znał zawsze wszystkie ostatnie nowiny, znał całą odwrotną stronę życia naszego miasta, szczególnie zaś wszystkie rzeczy skandaliczne i można było nieraz się dziwić, jak bierze do serca rzeczy, które nie powinny

go nawet obchodzić. Zdawało mi się zawsze, że zazdrość była główną cechą jego charakteru. Gdy tego wieczora powtórzyłem Stepanowi Trofimowiczowi moją rozmowę z Liputinem, przyjaciel mój zdradzał silny niepokój i rzucił mi dzikie pytanie: „ Wie Liputin, czy nie wie?"... Dowodziłem, że to jest niemożliwe, że nie miał od kogo się dowiedzieć. Lecz Stepan Trofimowicz upierał się:

— Wierz mi pan, lub nie wierz, — zakonkludował niespodzianie, — lecz jestem głęboko przekonany, że nietylko wie wszystko, ze wszystkiemi szczegółami, lecz oprócz tego wie coś więcej, czego nie wiemy ani pan, ani ja, i o czem nie dowiemy się nigdy, a jeżeli nawet się dowiemy, to wtedy, gdy będzie już za późno, gdy staną się rzeczy niepowrotne.

Zamilkłem, lecz słowa te były bardzo znaczące. Potem przez pięć dni nie wspominaliśmy Liputina; jasnem było dla mnie, że Stepan Trofimowicz jest zły, iż zdradził przede mną takie podejrzenie i że niepotrzebnie się wygadał.

II.

Któregoś poranka, na siódmy czy ósmy dzień od chwili, kiedy Stepan Trofimowicz zgodził się na to, aby stać się narzeczonym, około jedenastej godziny, gdym śpieszył, jak zwykle, do cierpiącego przyjaciela, spotkała mnie po drodze pewna przygoda.

Spotkałem Karmazinowa, „znakomitego pisarza", jak zazwyczaj wyrażał się o nim Liputin. Czytywałem Karmazinowa od dzieciństwa. Powieści jego i nowele są dobrze znane minionemu, a i naszemu pokoleniu; ja zaś upajałem się niemi; były one radością mych lat młodzieńczych. Potem zacząłem bardziej ozięble traktować jego następne utwory; powieści tendencyjne, które pisywał wtedy, już nie miały dla mnie takiego uroku, jak pierwsze jego arcydzieła, zawierające tyle bezpośredniej poezji; ostatnie zaś rzeczy nie podobały mi się już zupełnie.

Jeżeli wolno mi wypowiedzieć własną opinję w sprawie tak drażliwej, wszystkie nasze talenty średniej miary,

którym współcześni nadają cechy genjalności, nietylko giną bez śladu w pamięci ludzkiej natychmiast po śmierci, lecz często nawet za życia, gdy narasta nowe pokolenie, dziwnie szybko bywają zapominane i lekceważone. Następuje coś w rodzaju zmiany dekoracyj w teatrze. To nie tak, jak z Puszkinami, Gogolami, Wolterami, — z tymi, którzy przychodzą, aby powiedzieć nowe słowo! Należy też przyznać, że talenty średniej miary na schyłku lat wypisują się najsmutniej, nie wiedząc tego. Okazuje się często, że pisarz, któremu przypisywano niesłychaną głębokość idej i od którego oczekiwano olbrzymiego wpływu na ruch umysłowy społeczeństwa, zdradza pod koniec taką ciasnotę i ograniczoność swej zasadniczej idei, że już nie żałuje nawet nikt, widząc, jak się twórca wypisał. Lecz siwi staruszkowie nie rozumieją tego i gniewają się. Zarozumiałość ich, właśnie pod koniec działalności, dochodzi do potwornych rozmiarów. Już niewiadomo, za kogo mają siebie, — przynajmniej za półbogów. Mówiono o Karmazinowie, że wyżej od duszy własnej ceni sobie stosunki z ludźmi wpływowymi i z wyższym światem. Mówiono, że może kogoś przy spotkaniu ugłaskać, oczarować prostotą, zachwycić, zwłaszcza, jeżeli ten ktoś jest mu na coś potrzebny, lub polecony przez odpowiednią osobę. Uzna jednak za święty obowiązek porzucić go z obraźliwem lekceważeniem, jak strzęp, jak muchę, i to natychmiast, gdy tylko nawinie się jakiś książę, jakaś hrabina, ktoś, z kim się liczyć należy. Traktuje nawet takie postępowanie, jako wyraz najlepszego tonu. Pomimo taktu i całkowitej znajomości form światowych, jest tak histerycznie ambitny, że nie umie ukryć swych aspiracyj, tam nawet, gdzie najmniej interesują się literaturą. Gdy zaś ktokolwiek zdradził obojętność w stosunku do niego, obrażał się chorobliwie i marzył o zemście. Przed rokiem czytałem w jakiemś piśmie jego artykuł, napisany pretensjonalnie, z pozą na bardzo naiwną poezję i nawet na psychologję. Opisywał tam tonięcie statku u brzegów Anglji, ratowanie ginących i wyciąganie topielców, — czego sam był świadkiem. Cały artykuł, długi i rozwlekły, napisany był tylko w tym celu, aby na tle ginącego statku pokazać siebie samego. Łatwo można było przeczytać między wier-

szami: „Interesuję was? Patrzcie, jaki byłem w owej chwili! Poco wam to morze, burza, skały, ten okręt rozbity? Potężnem piórem swojem pokazałem wam to wszystko. Poco patrzycie na tę utopioną niewiastę z martwem dzieckiem w martwych ramionach? Patrzcie na mnie. Otom nie zniósł tego widoku i odwróciłem się. Odwróciłem się tyłem. Stoję w przerażeniu i nie mogę patrzeć. Mrużę oczy. Prawda, jakie to ładne?“ Gdy wypowiedziałem opinję moją o artykule przed Stepanem Trofimowiczem, zgodził się ze mną.

Gdy dowiedziano się u nas, że ma przyjechać Karmazinow, zapragnąłem, rzecz prosta, zobaczyć go i, w miarę możności, zapoznać się z nim. Wiem, że mógł mi być w tem pomocny Stepan Trofimowicz: żyli niegdyś w przyjaźni. I oto teraz spotkałem go na skrzyżowaniu ulic. Poznałem odrazu. Już mi go pokazywano przed paru dniami, gdy jechał powozem z gubernatorową.

Był to niewysoki, zadzierzysty staruszek, lat około pięćdziesięciu pięciu, o dość rumianej twarzy, o gęstych siwych włosach, wyglądających z pod okrągłego, wysokiego kapelusza i wijących się naokoło czyściutkich, różowiutkich, małych uszek. Gładka twarz jego nie była zbyt ładna, miał usta cienkie, długie, dziwnie wykrojone, nos nieco za gruby, a oczki maleńkie, mądre, przebiegłe. Ubrany był jakoś niedbale, w płaszczu nieodpowiednim dla sezonu, płaszczu, który byłby teraz na miejscu w Szwajcarji lub w północnych Włoszech. Lecz wszystkie szczególiki jego stroju: spineczki, kołnierzyk, guziki, lornetka, szyldkretowa na czarnej cienkiej wstążeczce, były takie, jak u ludzi z najlepszego towarzystwa. Można było twierdzić napewno, że latem musi nosić jasne, miękkie kamasze, zapinane zboku na guziki z masy perłowej.

Gdyśmy się zetknęli, stał właśnie na rogu ulicy i rozglądał się uważnie. Zauważywszy, że przyglądam mu się, zwrócił się do mnie głosem miodowym:

— Czy mógłby mi pan wskazać, jak tu wyjść na Bykową ulicę?

— Na Bykową? To tu, tu zaraz, — zawołałem pod-

niecony, — wprost tą ulicą, a potem druga przecznica na prawo.

— Dziękuję panu!

Wstyd mi, doprawdy, lecz zdaje się, że zląkłem się i patrzyłem na niego z wyrazem pokory. Zauważył to odrazu, i zrozumiał wszystko. Zrozumiał, że go poznałem, że znam jego dzieła, i od dzieciństwa zachwycałem się niemi, i dlatego teraz straciłem pewność siebie i patrzę na niego z pokorą. Uśmiechnął się, kiwnął głową i poszedł dalej we wskazanym przeze mnie kierunku. Nie wiem sam poco, lecz poszedłem za nim; przebiegłem za nim z dziesięć kroków. Znów się zatrzymał.

— A może mógłby mi pan wskazać, gdzie tu najbliżej stoją dorożki? — zapytał głośno.

Miał głos przykry, krzykliwy.

— Dorożki? — Najbliżej stąd koło katedry. Tam stoją zawsze.

O mało, żem nie pobiegł po dorożkę. Przypuszczam, że właśnie tego się spodziewał. Opamiętałem się jednak, i stanąłem, lecz ruch mój został przez niego napewno zauważony. Patrzył na mnie z brzydkim uśmiechem. Tu zaszło coś, o czem nie zapomnę nigdy.

Wypadł mu z rąk i upadł na ziemię malutki saczek. Nawet nie saczek, a jakieś pudełeczko, prędzej nawet pugilaresik, coś w rodzaju staromodnych kobiecych ridikiulów; nie wiem zresztą, co to było, wiem tylko, że schyliłem się, aby podnieść.

Wiem napewno, że nie podniosłem, lecz pierwszy mój odruch nie wzbudzał wątpliwości; już nie mogłem tego ukryć i zaczerwieniłem się, jak idjota. Chytry staruszek natychmiast wyciągnął z tego momentu to, co mu było potrzebne.

— Niech pan się nie fatyguje, ja sam, — wymówił czarującym głosem, a gdy już zupełnie się przekonał, że nie podniosę mu saczka, podniósł sam, ale tak, jakgdyby mnie uprzedzał. Jeszcze raz skinął mi głową i poszedł dalej, zdetonowawszy mnie ostatecznie. Było to to samo, jakgdybym rzeczywiście podniósł. Wciągu kilku minut miałem siebie za zbezczeszczonego na wieki; podchodząc jed-

nak do mieszkania Stepana Trofimowicza, już się roześmiałem. Spotkanie to wydało mi się tak zabawnem, że postanowiłem rozśmieszyć niem Stepana Trofimowicza i najdokładniej odmalować mu całą scenę.

III.

Tym razem, ku wielkiemu zdziwieniu, zauważyłem w nim poważną zmianę. Podszedł ku mnie skwapliwie, jak zwykle, zaczął słuchać, lecz z miną tak nieprzytomną, jakgdyby nie rozumiał słów moich. Gdy wymówiłem nazwisko Karmazinowa, stracił zupełnie równowagę.

— Nie mów mi pan o nim! Nie chcę słuchać nawet! — krzyczał w furji. — Weź pan to, patrz i czytaj! Czytaj pan!

Wysunął szufladkę i wyrzucił na stół trzy małe ćwiartki papieru, zapisane naprędce ołówkiem przez Barbarę Piotrownę. Pierwsza kartka była przedwczorajsza, druga wczorajsza, a trzecia przyszła dziś, przed godziną. Treść ich były bezsensowna; wszystkie trzy — o Karmazinowie — zdradzały pusty i ambitny niepokój Barbary Piotrowny, że Karmazinow nie złoży jej wizyty. Nie przesądzam, czy nie było i przedtem takich liścików, może z przed czterech dni, a może i z przed pięciu. Oto pierwszy:

„Jeżeli, nakoniec, pofatyguje się do pana dziś, niech Pan o mnie z nim nie mówi. Ani pół słowa. Nie przypominaj mu pan i nie zdradzaj się z niczem. B. S."

Druga kartka:

„Jeżeli, wreszcie, złoży Panu dziś rano wizytę, myślę, że najlepiejby było nie przyjąć go wcale. Tak sądzę. Nie wiem jaka jest Pańska opinja. B. S."

Dzisiejsza, ostatnia:

„Pewna jestem, że u Pana cała fura śmieci i słupy dymu tytuniowego. Przyślę Panu Marję i Fomuszkę. W pół godziny uprzątną. A Pan niech nie przeszkadza i posiedzi w kuchni, póki będą sprzątali. Posyłam dywan bucharski i dwa wazony chińskie, — już dawno chciałam podarować Panu, — i mojego Teniera (na jakiś czas). Wazony można postawić na oknie, a Teniera powieś Pan z prawej

strony, pod portretem Goethego, tam widoczniej, a z rana pada światło. Jeżeli, nakoniec, zjawi się, przyjmiesz go Pan z wytworną uprzejmością, lecz rozmawiaj Pan z nim tylko o głupstwach, o czemś tam uczonem, i z taką miną, jakgdybyście się wczoraj rozstali. O mnie ani słowa. Może wpadnę do Pana wieczorem. B. S."

„P. S. Jeżeli nie przyjdzie i dziś, to już zupełnie nie przyjdzie".

Zdziwiłem się, że tak go drażnią takie drobiazgi. Spojrzałem na niego pytająco i zauważyłem, że podczas gdy ja pogrążony byłem w lekturze, zdążył zmienić biały krawat na czerwony. Kapelusz i laska leżały na stole. Był blady i ręce mu drżały.

— Słyszeć nawet nie chcę o jej kłopotach! — krzyczał zapamiętale. — *Je m'en fiche!* Ma czelność niepokoić się o Karmazinowa, a na moje listy nie odpowiada! Oto tu mój list, który odesłała mi zpowrotem, wczoraj, nawet koperty nie otworzyła. Tu, na stole, pod książką, pod *L'homme qui rit.* Co mi do tego, że zamęcza się myślą o Mikołaju! *Je m'en fiche et je proclame ma liberté! Au diable le Karmazinoff! Au diable la Lembke!* Wazony schowałem w przedpokoju, a Teniera do komody, od niej zaś zażądałem, aby przyjął mnie niezwłocznie. Słyszysz pan: zażądałem! Posłałem jej przez Nastasję taką samą ćwiartkę, ołówkiem, bez koperty, i czekam. Chcę, aby Darja Pawłowna sama mi oznajmiła, w obliczu nieba, albo przynajmniej w obecności pana. *Vous me séconderez, n'est ce pas, comme ami et témoin.* Nie chcę się rumienić, nie chcę kłamać, nie chcę tajemnic, nie dopuszczę tajemnic w tej sprawie! Niech mi się do wszystkiego przyznają, otwarcie, szlachetnie, a wtedy... wtedy może zadziwię pokolenie całe wspaniałomyślnością!... Jestem nikczemnikiem, czy nie, dobrodzieju? — zakończył nieoczekiwanie, groźnie patrząc na mnie, jakgdybym traktował go kiedykolwiek, jak nikczemnika.

Poprosiłem go, żeby zechciał napić się wody. Nigdy jeszcze nie widziałem go w takim stanie. Cały czas biegał po pokoju z kąta w kąta, wreszcie stanął przede mną w jakiejś niezwykłej pozie.

— Czyż pan istotnie myśli, — powiedział wyniośle, oglądając mnie od stóp do głów, — czyż pan istotnie przypuszcza, że ja, Stepan Wierchowieński, nie znajdę w sobie dość siły moralnej, aby wziąć na plecy mój wór, na słabe plecy, wyjść na ulicę i zniknąć stąd na zawsze, gdy zażąda tego mój honor i szczytna zasada niezależności? Stepanowi Wierchowieńskiemu nie pierwszyzna odpierać wspaniałomyślnością despotyzm, chociażby despotyzm zwarjowanej kobiety, to znaczy najokrutniejszy, najsroższy despotyzm, jaki bywa na świecie. Tak jest, pomimo iż pan, łaskawy panie, odpowiada, jak mi się zdaje, uśmiechem na moje słowa! O, pan mi nie wierzy, że potrafię wydobyć z siebie tyle szlachetności, ile trzeba aby pięknie zakończyć życie w roli belfra u jakiegoś kupca, albo umrzeć z głodu pod płotem! Odpowiadaj pan, odpowiadaj pan natychmiast! Wierzysz mi pan, czy nie?

Milczałem rozmyślnie. Udałem nawet, że nie chcę go urazić odpowiedzią przeczącą, nie mogę zaś dać odpowiedzi twierdzącej. W tem całem rozdrażnieniu było coś, co mię stanowczo obrażało, zresztą nie mnie osobiście. Lecz... wyjaśnię to potem.

Zbladł znowu.

— Może nudzisz się pan ze mną, panie G—w? (to moje nazwisko). Może wolałbyś pan wogóle nie bywać u mnie? — mówił tonem owego bladego spokoju, który poprzedza zwykle gwałtowne wybuchy.

Zerwałem się zaniepokojony. W tej chwili weszła Nastasja i milcząco wyciągnęła do Stepana Trofimowicza kartkę, zapisaną ołówkiem. Spojrzał na nią i rzucił ją ku mnie. Ręką Barbary Piotrowny były tam napisane trzy słowa: „Siedzieć w domu".

Stepan Trofimowicz schwycił w milczeniu kapelusz i laskę, i szybko wybiegł z pokoju; machinalnie ruszyłem za nim. Wtedy w korytarzu rozległ się hałas szybkich kroków i jakieś głosy. Stepan Trofimowicz stanął, jak rażony piorunem.

— To Liputin! Zginąłem! — szepnął, chwytając mnie za rękę.

W tej chwili do pokoju wszedł Liputin.

IV.

Dlaczego miał on zginąć z powodu Liputina, nie wiedziałem i nie przywiązałem do tych słów zbytniej uwagi. Za wszystko czyniłem odpowiedzialnemi nerwy. A jednak, przerażenie było niezwykłe. Postanowiłem pilnie obserwować.

Już sam wygląd Liputina stwierdzał, że miał on pełne prawo wejść, wbrew wszelkim zakazom. Przyprowadzał ze sobą obcego mężczyznę, prawdopodobnie przyjezdnego. W odpowiedzi na zdrętwiałe, bezsensowne spojrzenie Stepana Trofimowicza, natychmiast głośno zawołał:

— Przyprowadziłem gościa, niezwykłego gościa! Ośmielam się pogwałcić samotność! To pan Kiriłow, znakomity inżynier budowniczy. Zna syna pańskiego, Piotra Stepanowicza; zna go najbliżej; ma od niego zlecenie. Przyjechał przed chwilą.

— Co do zlecenia, to pan dodał od siebie, — ostro zauważył gość. — Nie mam żadnego zlecenia, a Piotra Stepanowicza znam istotnie. Rozstałem się z nim przed dziesięciu dniami w Ch—ej gubernji.

Stepan Trofimowicz machinalnie podał rękę i wskazał miejsce na kanapie; spojrzał na mnie, spojrzał na Liputina i raptem, jakgdyby opamiętał się, siadł sam, trzymając jednak w ręku i kapelusz i laskę, zupełnie zresztą bezwiednie.

— Ach, pan wychodzi? A mówiono mi, że pan zachorował od nadmiernej pracy.

— Tak, jestem niezdrów, lecz chciałem się przejść, ja...

Stepan Trofimowicz zatrzymał się, odrzucił na otomanę kapelusz i laskę — i zaczerwienił się.

Ja zaś tymczasem uważnie oglądałem gościa. Był to człowiek młody, około dwudziestu siedmiu lat, przyzwoicie ubrany, zgrabny i szczupły. Brunet, o twarzy bladej, cerze niezupełnie gładkiej i oczach czarnych, matowych. Wydawał się zadumany i roztargniony, rzucał oderwane powiedzenia, jakoś niegramatycznie, dziwnie przestawiając wyrazy, gdy trzeba było wypowiedzieć dłuższe zdanie. Liputin zauważył nadzwyczajny przestrach Stepana Trofimowi-

cza i był widocznie rad. Siadł na wyplatanem krześle, które wyciągnął na sam środek pokoju, aby być w jednakowej odległości od gospodarza i gościa, siedzących na dwóch przeciwległych kanapach. Przenikliwe oczy jego ciekawie biegały po wszystkich kątach.

— Ja... Dawno już nie widziałem Piotra... Spotykał go pan zagranicą? — wykrztusił Stepan Trofimowicz.

— I tu, i zagranicą.

— Aleksy Niłycz niedawno powrócił do kraju, po czteroletniej nieobecności, — wtrącił Liputin. — Jeździł zagranicę celem wydoskonalenia się w swojej specjalności, a przybył do nas, mając prawo przypuszczać, że otrzyma tu posadę przy budowie mostu kolejowego. Państwa Drozdowych i Lizawetę Mikołajewnę zna także, przez Piotra Stepanowicza.

Inżynier siedział, jakgdyby nastroszony, i słuchał niecierpliwie. Zdawało się, że jest zły.

— A i Mikołaja Wsiewołodowicza zna...

— Zna pan i Mikołaja Wsiewołodowicza? — zapytał Stepan Trofimowicz.

— Znam i tego.

— Ja... ja już tak dawno nie widziałem Piotrusia, i... tak mało mam prawa nazywać siebie jego ojcem... *c'est le mot?* — ja... W jakim stanie pan go opuścił.

— Ot tak, opuściłem... On sam przyjedzie, — znów pośpiesznie odczepił się Kiriłow.

Gniewał się najwidoczniej.

— Przyjedzie! Nareszcie! Widzi pan, tak dawno nie widziałem Piotrusia! — Oczekuję teraz mego biednego chłopaka, wobec którego... o, wobec którego tak zawiniłem! Chciałem przez to powiedzieć, że wtedy, opuszczając go w Petersburgu, ja... jednem słowem nie liczyłem się z nim, miałem go za nic, *quelque chose dans ce genre.* Chłopak to nerwowy, wrażliwy i... lękliwy. Kładąc się spać, bił pokłony i żegnał poduszkę znakiem krzyża, aby nie umrzeć w nocy. *Je m'en souviens. Enfin,* żadnego wniosłego uczucia, nic wyższego, szczytnego, ani zalążka idei! *C'était comme un petit idiot!* A zresztą, sam, zdaje się, plączę. Ja... pan mnie zastał...

— Pan to naprawdę, że on poduszkę żegnał? — z niesłychanem zaciekawieniem zapytał inżynier.

— Żegnał.

— Nie, ja tak tylko. Proszę, niech pan mówi.

Stepan Trofimowicz badawczo spojrzał na Liputina.

— Bardzo wdzięczny panu jestem za odwiedziny, — zwrócił się do Kiriłowa, — lecz, wyznam, teraz nie jestem w stanie. Niech mi pan adres swój zostawi.

— Bogojawleńska ulica, dom Filipowa.

— Ach, to tam, gdzie mieszka Szatow, — wtrąciłem mimowolnie.

— Właśnie, właśnie, w tym samym domu, — zawołał Liputin, — tylko Szatow na górze, w mansardzie, a pan Kiriłow na dole, u kapitana Lebiadkina. Pan Kiriłow zna także Szatowa i żonę Szatowa. Zna go blisko z zagranicy.

— *Comment?* Więc może pan cokolwiek wie o nieszczęśliwem małżeństwie *de ce pauvre ami* i o tej kobiecie? — zawołał Stepan Trofimowicz z żywem zainteresowaniem. W panu spotykam pierwszego człowieka, który zna, i jeżeli istotnie...

— Co za głupstwa! — odciął inżynier, cały zaperzony. — Jak pan fantazjujesz, panie Liputin! Nie znam wcale żony Szatowa. Raz ją widziałem zdaleka, a nie zbliska. Szatowa znam. Poco pan dodajesz takie rzeczy?

Wykręcił się na kanapie, schwycił kapelusz, znów go odłożył, usiadł jak przedtem i wyzywająco spojrzał na Stepana Trofimowicza swojemi czarnemi oczyma. Nie mogłem wytłumaczyć sobie powodu tej irytacji.

— Przepraszam — poważnie mówił Stepan Trofimowicz, — nie wiedziałem, że kwestja ta może być drażliwa.

— Żadnej tu drażliwej kwestji niema, a nawet wstyd, i ja nie do pana mówiłem: „głupstwa!", a do Liputina, poco on dodaje. Przepraszam, jeżeli pan to do siebie... Szatowa znam, a żony jego nie znam, zupełnie nie znam.

— Ależ tak, zrozumiałem odrazu, a jeżelim pytał, to tylko dlatego, że bardzo lubię naszego biednego przyjaciela, *notre irascible ami*, zawsze interesował mnie on... Człowiek ten zanadto radykalnie zmienił swe uprzednie, może zbyt młodzieńczę, lecz w zasadzie słuszne zapatrywania. I tak

wykrzykuje teraz rozmaite rzeczy o *notre sainte Russie*, że dawno tłumaczyłem sobie ten przełom w jego organizmie— czyż mogę nazwać to inaczej? — jakiemś wstrząśnieniem rodzinnem, a więc nieszczęśliwem małżeństwem. Ja, com poznał naszą biedną ojczyznę jak własną dłoń, ja, com życie całe poświęcił ludowi, mogę upewnić pana, że Szatow nie zna wcale ludu rosyjskiego. Niezależnie od tego...

— Ja także zupełnie nie znam ludu rosyjskiego i... niema czasu studjować! — znów odciął inżynier i ostrym, krętym ruchem zmienił pozycję na kanapie.

Przerwano Stepanowi Trofimowiczowi w środku mowy.

— Ależ pan Kiriłow studjuje, studjuje, — zagadnął Liputin. — Rozpoczął już badania i pracuje nad niesłychanie ciekawym artykułem o przyczynach niezwykłego wzrostu samobójstw w Rosji i wogóle o przyczynach powiększających lub zmniejszających ilość samobójstw w każdem społeczeństwie.

Inżynier poruszył się gwałtownie.

— To już pan zupełnie nie ma prawa, — gniewnie wykrzykiwał. — Ja wcale nie nad artykułem... i wogóle nad głupstwami. Zapytałem pana w zaufaniu, bezwiednie, tu nie o artykuł chodzi... nie chcę drukować, a pan nie ma prawa.

Liputin był zachwycony.

— Przepraszam, może się omyliłem, nazywając artykułem pańską pracę. Pan Kiriłow zbiera tylko spostrzeżenia, zupełnie go nie obchodzi, i wogóle odrzuca wszelką moralność, a stoi na najpowszym gruncie powszechnego zniszczenia w imię pięknych celów ostatecznych. Pan Kiriłow żąda obecnie stu miljonów głów dla zaprowadzenia ładu w Europie; znacznie więcej, niż żądano na ostatnim kongresie pokojowym. Pod tym względem pan Kiriłow posunął się dalej.

Inżynier słuchał z pogardliwym, bladym uśmiechem. Parę chwil milczeli wszyscy.

— Głupio, Liputin, — powiedział wreszcie Kiriłow z godnością. — Jeżeli wbrew woli powiedziałem panu parę uwag, a pan to podchwycił, to już jak pan chce. Lecz

pan nie ma prawa, bo ja nigdy nikomu nie mówię. Pogardzam, żeby mówić... Jeżeli są przekonania, to wszystko jasne... a pan postąpiłeś głupio. Nie rozprawiam o tych kwestjach, gdzie już wszystko skończone. Nie znoszę rozprawiać. Ja nigdy nie chcę rozprawiać.

— Może najlepiej pan robi, — nie mógł się powstrzymać Stepan Trofimowicz.

— Ja pana przepraszam, ale ja tu na nikogo się nie gniewam, — gorąco, pośpiesznie, mówił gość. — Już od czterech lat mało ludzi widziałem. Cztery lata starałem się nie spotykać, dla własnych celów, do których nic nikomu. Liputin to uchwycił i śmieje się. Rozumiem i nie obrażam się. Nie jestem obraźliwy, lecz żal mi jego własnej swobody. A że wobec was nie wypowiadam opinij moich — skończył zupełnie niespodziewanie, twardem spojrzeniem oglądając nas wszystkich, — to wcale nie dlatego, że obawiam się denuncjacji władzom; wcale nie, niech wam nie przychodzi nic podobnego do głowy...

Już na te słowa nikt nie odpowiedział. Spojrzeliśmy po sobie. Nawet Liputin zapomniał się roześmiać.

— Panowie, żałuję niezmiernie, — stanowczo wstał z kanapy Stepan Trofimowicz, — lecz czuję się niezdrowym i podrażnionym. Wybaczcie mi, panowie...

— Ach, to żebyśmy wyszli, — domyślił się Kiriłow i schwycił czapkę. — To dobrze, że pan powiedział, bo ja jestem roztargniony.

Wstał i dobrodusznie podszedł do Stepana Trofimowicza z wyciągniętą ręką.

— Szkoda, że pan chory, a ja przyszedłem.

— Życzę panu wszelkiego powodzenia w naszem mieście,—odpowiedział Stepan Trofimowicz, życzliwie ściskając mu dłoń.—Rozumiem, że jeśli pan, jak pan sam mówi, tyle czasu spędził zagranicą, unikając ludzi w imię własnych celów, i zapomniał pan Rosję, to oczywiście musi pan wbrew woli patrzeć z pewnem zdziwieniem na nas, szczerych Rosjan, — a tak samo my na pana. *Mais cela passera.* Jednego tylko nie rozumiem. Pan chcesz budować nasz most i mówisz jednocześnie, że jesteś zwolennikiem powszechnego burzenia. Nie pozwolą panu mostu budować.

— Co? Jak pan to powiedział? Tam do djabła! — zawołał w zdumieniu Kiriłow i znienacka parsknął jasnym, wesołym śmiechem.

Na chwilę twarz jego nabrała wyrazu zupełnie dziecinnego, który do niego, jak mi się zdawało, bardzo pasował. Liputin zacierał ręce z radości, tak mu się podobała trafna uwaga Stepana Trofimowicza. Ja zaś wciąż nie mogłem zrozumieć, dlaczego Stepan Trofimowicz tak się przeraził Liputina, i dlaczego, zobaczywszy go, zawołał: „zginąłem!"

V.

Staliśmy wszyscy na progu. Była to chwila, kiedy gospodarze i goście wymieniają zwykle ostatnie, najbardziej uprzejme słowa, poczem szczęśliwie się rozstają.

— A pan Kiriłow dlatego dziś taki ponury, — wtrącił znienacka Liputin, wychodząc już zupełnie z pokoju i jakgdyby na odlocie, — że miał zatarg z kapitanem Lebiadkinem o jego siostrę. Kapitan Lebiadkin codzień ćwiczy nahajką swą miłą siostrzyczkę, warjatkę. Prawdziwym kozackim nahajem, rano i wieczorem. Więc Aleksy Niłycz musiał nawet przenieść się do oficyny, aby nie uczestniczyć. No, do widzenia...

— Siostrę? Chorą? Nahajem? — wykrzyknął Stepan Trofimowicz, jakgdyby to jemu dostawały się razy nahajki. — Jaką siostrę? Jaki Lebiadkin?

Powróciło na chwilę uprzednie przerażenie.

— Lebiadkin! Kapitan w dymisji, przedtem nazywał siebie sztabs-kapitanem.

— Co mnie obchodzi jego szarża. Jaką siostrę? Mój Boże! Mówisz pan: Lebiadkin! Lecz przecież był u nas jakiś Lebiadkin...

— To ten sam, „nasz" Lebiadkin... Pamięta pan: u Wirgińskiego?...

— Lecz przecież tamten dał się złapać z fałszywemi pieniędzmi?

— A teraz wrócił, już od trzech tygodni, i w okolicznościach zupełnie niezwykłych.

— Przecież to szubrawiec!

— Jakgdyby nie mogło być u nas szubrawców! — zazgrzytał Liputin, wczepiając się w Stepana Trofimowicza małemi, złodziejskiemi oczyma.

— Mój Boże! Nie o to mi chodzi... chociaż, co do szubrawców całkowicie zgadzam się z panem. Właśnie z panem. Ale co dalej, co dalej? Coś pan chciał przez to powiedzieć? Pan napewno coś miał na względzie.

— Ale, nie warto o tem mówić! A ten kapitan, widocznie wyjeżdżał od nas nie z powodu fałszywych papierków, lecz poto, aby odszukać siostrzyczkę; a siostrzyczka gdzieś ukrywała się przed nim. Teraz ją przywiózł. Oto cała historja. Czego pan taki przerażony, Stepanie Trofimowiczu?... Zresztą wiem o tem wszystkiem tylko z jego pijanej gadaniny, gdyż na trzeźwo milczy. Człowiek to nerwowy, i, nie wiem jak to powiedzieć, wojskowo-estetyczny, ale w bardzo złym smaku. A siostra jego nietylko warjatka, ale i kulawa. Podobno ktoś się targnął na jej dziewiczość, więc pan Lebiadkin już od szeregu lat ściąga dań z gwałciciela, jako wynagrodzenie za obrazę godności. Tak, przynajmniej, wynika z jego słów. Ale myślę raczej, że to tylko pijackie słowa. Chwali się tylko. Przecież takie rzeczy załatwiają się taniej. Że zaś miewa pieniądze, to zupełna prawda; dziesięć dni temu chodził prawie bosy, a teraz, sam widziałem, stówki w ręku. Siostrzyczka dostaje codzień jakichś ataków, piszczy, a on ją nahajem doprowadza do porządku. Mówi, że kobietom trzeba wszczepiać poszanowanie. Nie rozumiem nawet, jak może żyć obok nich Szatow. Aleksy Niłycz mieszkał u nich tylko trzy dni, zna ich jeszcze z Petersburga, lecz ze względu na niepokój zajął oficynkę.

— Czy to wszystko prawda? — zwrócił się Stepan Trofimowicz do inżyniera.

— Za dużo pan gadasz! — gniewnie odezwał się Kiriłow do Liputina.

— Tajemnice! Sekrety! Skąd tu odrazu tyle tajemnic i sekretów! — nie hamując się już, wołał Stepan Trofimowicz.

Inżynier zachmurzył się, poczerwieniał, wzruszył ramionami i zrobił krok do wyjścia z pokoju.

— Aleksy Niłycz nawet wyrwał mu z rąk nahaj, złamał, wyrzucił przez okno i bardzo się gniewał, — dodał Liputin.

— Poco pan gada? To głupio! Poco? — odwrócił się znowu Kiriłow.

— Pocóż ukrywać, przez skromność, najszlachetniejsze drgnienia swojej duszy? To znaczy pańskiej duszy, nie o swojej mówię.

— Jakie to głupie i niepotrzebne... Lebiadkin jest głupi i pusty, dla żadnej akcji niepotrzebny i... szkodliwy. Poco pan gada? Ja wychodzę.

— Ach, jaka szkoda, — zawołał Liputin z jasnym uśmiechem, — a chciałem jeszcze zabawić pana, Stepanie Trofimowiczu, jedną anegdotą. Poto nawet szedłem, aby opowiedzieć, lecz zresztą, pan sam już pewno słyszał. Ale o tem potem. Aleksy Niłycz tak się śpieszy. Do widzenia. Ale to zabawna historja, z Barbarą Piotrowną. Rozśmieszyła mnie przedwczoraj. Sama posyłała po mnie. Umrę ze śmiechu. Do widzenia.

Lecz Stepan Trofimowicz już wczepił się w niego. Schwycił go za ramię, zawrócił do pokoju i posadził na krześle. Liputin aż się zląkł.

— Ależ tak! — rozpoczął ostrożnie zerkając na Stepana Trofimowicza. — Sprowadziła mnie do siebie i pyta konfidencjonalnie, jaka moja opinja: czy Mikołaj Wsiewołodowicz jest obłąkany, czy przy zdrowych zmysłach? Czy to nie oryginalne?

— Zwarjowałeś pan! — wybełkotał Stepan Trofimowicz i zupełnie już stracił panowanie nad sobą. — Pan dobrze wiesz, że przyszedłeś tu poto tylko, aby zakomunikować mi jakieś plugastwa w tym rodzaju... i jeszcze coś gorszego!

W tej chwili przyszedł mi do głowy jego domysł że Liputin wie o sprawie naszej więcej, niż my, i wie coś takiego, o czem my sami nie dowiemy się nigdy.

— Zlituj się pan nade mną, Stepanie Trofimowiczu!

— mówił Liputin, udając straszne przerażenie. — Zlituj się pan!

— Milcz pan i zaczynaj od początku. Pana, panie Kiriłow, proszę także, niech pan zostanie i słucha. Proszę usiąść! A pan, panie Liputin, opowiadaj poprostu, wyraźnie, bez żadnych wykrętów.

— Gdybym wiedział, że to pana tak uderzy, nie zaczynałbym nawet. A ja myślałem, że pan już wie o wszystkiem od Barbary Piotrowny.

— Wcale pan tego nie myślał! Zaczynaj pan, słyszysz!

— Dobrze, ale niech pan mi zrobi łaskę. Niech pan sam usiądzie. A to cóż? Ja mam siedzieć, a pan przede mną będzie w irytacji... biegał? Jakoś to brzydko wyjdzie...

Stepan Trofimowicz opanował się i poważnie usiadł na fotelu. Inżynier pochmurnie wparywał się w podłogę. Liputin spoglądał na nich z dziką rozkoszą.

— Cóż, mam zaczynać? Tak mnie pan zawstydził!

VI.

— Przed dwoma dniami przysyła do mnie Barbara Piotrowna swojego służącego: mam stawić się u niej nazajutrz o dwunastej. Może pan to sobie wyobrazić? Porzuciłem wszystkie sprawy i wczoraj, w samo południe, dzwonię. Prowadzą mnie do salonu, czekam chwilkę — wychodzi; sadza mnie, sama siada naprzeciwko. Siedzę i sam nie wierzę. Wiedzą panowie, jak traktowała mnie stale. Zaczyna odrazu, bez żadnego wstępu, jak to ona zawsze: „Pamiętasz pan, mówi, jak przed czterema laty Mikołaj Wsiewołodowicz, będąc chory, popełnił szereg uczynków dziwacznych, tak że całe miasto zachodziło w głowę, dopóki nie wyjaśniło się wszystko. Jeden z tych uczynków dotykał pana osobiście. Mikołaj Wsiewołodowicz potem, po wyzdrowieniu, był u pana, na skutek mojej prośby. Wiem, że i przedtem nieraz z panem rozmawiał. Powiedz pan otwarcie i bez ceremonji... (tu zastanowiła się) — co pan wtedy myślał o Mikołaju Wsiewołodowiczu... Jak się

pan wogóle na niego zapatrywał, jakiej był pan o nim opinji wtedy... i teraz?" Tu już zmieszała się na dobre, tak że nawet zamilkła na chwilę i zaczerwieniła się. Przestraszyłem się nawet. Rozpoczyna znowu tonem, nie powiem wzruszającym, gdyż to nie pasuje do niej, lecz takim... przekonywującym jakoś: „Chcę, mówi, abyś pan mnie zrozumiał dobrze i całkowicie. Posłałam po pana, gdyż mam pana za człowieka bystrego i spostrzegawczego, człowieka, którego obserwacje mogą być trafne (takie komplementy!). Zrozumiesz pan także, mówi, że z panem rozmawia matka.. Mikołaj Wsiewołodowicz przeszedł w życiu wiele nieszczęść i katastrof. Wszystko to mogło wpłynąć na równowagę jego umysłu. Nie myślę, mówi, o obłędzie, to jest niemożliwe (powiedziała to tak mocno i dumnie). Lecz mogło być coś dziwnego, specyficznego, jakiś zwrot myśli, skłonność do pewnych specjalnych poglądów (powtarzam dosłownie, Stepanie Trofimowiczu, toż zdziwiłem się, jak ściśle umie Barbara Piotrowna formułować myśli swoje; umysł, panie, wybitny!). Sama, mówi, zauważyłam w nim pewien stały niepokój i tendencję do specjalnych dziwactw. Lecz jestem matką, a pan — człowiekiem obcym. Możesz więc pan, przy swoim rozumie, wytworzyć sobie sąd niezależny. Błagam pana (tak było powiedziane wyraźnie: błagam), abyś mi pan opowiedział całą prawdę, bez żadnych zastrzeżeń, a jeśli przytem obiecasz mi pan, że nie zapomnisz nigdy, iż rozmawiałam z panem konfidencjonalnie, możesz pan liczyć na to, że zawsze, przy każdej sposobności, będę gotowa całkowicie odwdzięczyć się panu". Co, dobre?

— Pan... pan tak mnie zdziwił, — bąkał Stepan Trofimowicz, — że już nie wierzę panu.

— Ale zwróćcie panowie uwagę, — mówił dalej Liputin, jakgdyby nie słysząc słów Stepana Trofimowicza, — jakiego trzeba było niepokoju i trwogi, aby z takiem pytaniem z wyżyn zwracać się... do kogo? Do mnie, i tak się poniżyć, aby prosić o zachowanie tajemnicy. Co w tem kryć się może? Czy nie przyszły jakieś wieści o Mikołaju Wsiewołodowiczu?

— Nic nie wiem... żadnych wiadomości... od kilku dni nie widziałem... ale powiem panu, — bełkotał Stepan Tro-

fimowicz, nie mogąc dać sobie rady z myślami, — ale powiem panu, że jeżeli pana zapytano konfidencjonalnie, a pan tak przy wszystkich...

— Najzupełniej konfidencjonalnie! Niech mnie pioruny biją, jeżeli ja komukolwiek... A tu, to cóż? Czyż nie jesteśmy sami swoi, a nawet Aleksy Niłycz?

— Nie podzielam takiego poglądu. Niewątpliwie my trzej dochowamy tajemnicy, lecz pana, czwartego, boję się i nie wierzę panu na włos!

— Co pan mówi! Przecież to właśnie ja najbezpośredniej jestem zainteresowany: obiecano mi wdzięczność do grobu! A ja, z tej racji, chciałem jeszcze zwrócić uwagę na jeden epizod, prędzej nawet psychologiczny, niż dziwny. Wczoraj wieczorem, pod wrażeniem rozmowy z Barbarą Piotrowną (pan rozumie, jak silne musiało to wywrzeć na mnie wrażenie), zwróciłem się do Aleksego Niłycza z dyskretnem pytaniem. Pan, mówię mu, znałeś Mikołaja Wsiewołodowicza i zagranicą i przedtem jeszcze w Petersburgu. Powiedz pan, co sądzisz o jego umyśle i o jego zdolnościach. A Aleksy Niłycz odpowiada lakonicznie, swoim zwyczajem: „Człowiek to, niby Mikołaj Wsiewołodowicz, bystrego umysłu i trzeźwych zapatrywań". A nie zauważył pan nigdy, — pytam dalej, — jakiegoś dziwnego zwrotu myśli i skłonności do pewnych specjalnych poglądów, jednem słowem obłędu? Powtarzam tak dosłownie pytanie Barbary Piotrowny. A Aleksy Niłycz zamyślił się, zmarszczył czoło tak samo, jak oto teraz, i mówi: „Owszem, czasem wydawało mi się, że coś dziwnego..." Niech pan zechce zwrócić uwagę, że jeżeli nawet Aleksemu Niłyczowi wydawało się coś dziwnem, to czem może to się okazać w rzeczywistości?

— Czy to prawda? — zwrócił się Stepan Trofimowicz do Kiriłowa.

— Wolałbym o tem nie mówić — odparł Aleksy Niłycz, podnosząc głowę i błyskając wzrokiem. — Odmawiam panu prawa, panie Liputin. Pan nie ma prawa z tego powodu o mnie... Ja panu nie mówiłem, co ja myślę. Znam Mikołaja Wsiewołodowicza z Petersburga, ale to było

dawno. Teraz spotykałem, ale mało znam. Proszę mnie nie brać w rachubę... a to wszystko podobne do plotki...

Liputin rozłożył ramiona z miną ciemiężonej niewinności.

— Ja — plotkarz? A może odrazu szpieg? Dobrze panu, Aleksy Niłyczu, krytykować, gdy pan się usuwa od tego. A niech mi pan wierzy, Stepanie Trofimowiczu, że nawet kapitan Lebiadkin, — a już jaki on głupi, aż wstyd powiedzieć, jak głupi; jest takie rosyjskie porównanie dla określenia stopnia głupoty... nie wypada powtórzyć, — a przecież i on uważa siebie za obrażonego przez Mikołaja Wsiewołodowicza, chociaż zachwyca się jego sprytem: „Zdumiewa mnie ten człowiek: przebiegły wąż"— to własne jego słowa. A ja go pytam (wciąż pod wrażeniem tamtej rozmowy i już po Aleksym Niłyczu); a co pan myślisz, kapitanie, czy nasz przebiegły wąż jest normalny, czy obłąkany? Uwierzy pan, jakgdyby ktoś go z tyłu batem śmignął, bez jego zgody. Zerwał się z krzesła: „Tak, — mówi, — bardzo być może, ale to nie może mieć żadnego wpływu!" A o jakim wpływie myślał, nie chciał powiedzieć. Tylko zamyślił się gorzko, tak się zamyślił, że aż wytrzeźwiał. Siedzieliśmy w szynku Filipowa. Po pół godzinie uderzył pięścią w stół: „Tak, — mówi, — prawdopodobnie obłąkany, ale to nie może mieć żadnego wpływu". I znowu nie dopowiedział, o co mu chodzi. Rozumie się, że powtarzam panu tylko kwintesencję rozmowy, lecz myśl jest zrozumiała; każdego, kogo zapytam, uderza ta sama myśl: „tak, podobno obłąkany, bardzo mądry, lecz może i obłąkany".

Stepan Trofimowicz siedział w zadumie i usilnie coś kombinował.

— A skąd Lebiadkin może wiedzieć?

— O to niech pan raczy zapytać Aleksego Niłycza, który przed chwilą nazwał mnie szpiegiem. Ja — szpieg, a nie wiem o niczem. A Aleksy Niłycz zna całe podłoże i milczy.

— Nie wiem nic... prawie nic, — nerwowo odpowiadał inżynier. — Pan spajasz Lebiadkina, aby się dowie-

dzieć. I mnie przyprowadził pan tu, aby się dowiedzieć. To znaczy, że pan jesteś szpiegiem.

— Spajać to jeszcze nie spajałem, szkoda pieniędzy na niego razem z jego tajemnicami. Funta kłaków nie są one dla mnie warte, nie wiem, jak dla pana. Przeciwnie, to on szasta pieniędzmi; przed dwunastu dniami przychodził do mnie prosić o złotówkę, a teraz częstuje mnie szampanem. On mnie, a nie ja jego. Lecz pan podsunął mi myśl, i gdy trzeba będzie, to go spoję, tak, spoję, aby z niego coś wydobyć, i dowiem się... o wszystkich sekrecikach waszych, — zjadliwie odgryzał się Liputin.

Stepan Trofimowicz patrzył w zdumieniu na nich obu. Obaj zdradzali się zupełnie otwarcie. Pomyślałem, że Liputin poto właśnie sprowadził do nas Kiriłowa, aby wybadać go za pośrednictwem osób trzecich. Był to zwykły jego manewr.

— Aleksy Niłycz zna Mikołaja Wsiewołodowicza aż nadto dobrze, — ciągnął Liputin w rozdrażnieniu, — lecz ukrywa to. A kapitan Lebiadkin poznał go dawniej, niż my wszyscy, jeszcze w Petersburgu, przed pięciu-sześciu laty w tej, powiedziałbym, mało zbadanej epoce życie Stawrogina, gdy ten nie zamierzał nawet uszczęśliwić nas swoim przyjazdem. Można sądzić, że w tamtym okresie nasz książę zawierał dziwne znajomości. Wtedy też zapoznał się z Aleksym Niłyczem.

— Strzeż się pan, panie Liputin. Uprzedzam. Mikołaj Wsiewołodowicz sam tu przyjedzie. A on potrafi stanąć w obronie własnej.

— A cóż ja? Pierwszy krzyczę, że to człowiek o umyśle ogromnie bystrym i wytwornym. Barbarę Piotrownę także zupełnie uspokoiłem w tym względzie. „Tylko za charakter jego, mówię, nie mogę ręczyć". A Lebiadkin wczoraj to samo: „Padłem ofiarą jego charakteru", Ach, Stepanie Trofimowiczu, dobrze panu krzyczeć, że to plotki i szpiegostwo, i to po tem, gdy pan sam z takiem niezwykłem zaciekawieniem ode mnie wysłuchał. A Barbara Piotrowna trafiła wczoraj w sedno rzeczy: „Pan sam jesteś zainteresowany osobiście, i dlatego do pana się zwracam". Czyż nie? O jakich tu zamiarach mówić, gdy sam

musiałem znieść obelgę od jego ekscelencji, przy całem towarzystwie! Mam, chyba, dostateczne powody i nie o plotki mi chodzi. Dziś ściska ci dłoń, a jutro, za gościnność twoją, ni z tego ni z owego bije cię po twarzy, jak mu się żywnie podoba, przy całem towarzystwie. To od próżniactwa! Rzecz główna dla niego, to płeć piękna. Jakieś motylki i odważne koguciki! Dziedzic ze skrzydełkami, jak u amorka, wyjadacz serc w stanie katzenjammeru! Dobrze panu, Stepanie Trofimowiczu, który jesteś zawziętym kawalerem! Łatwo panu za jego ekscelencję nazywać mnie plotkarzem! Ale niechby się pan ożenił, z jakąś młodą i ładną dziewczyną, a zaraz zamknąłby pan drzwi przed księciem na hak, i opasałby pan dom barykadami. Co tu gadać! Gdyby ta M-lle Lebiadkina, którą kapitan ćwiczy nahajem, nie była warjatką i kuternogą, głowę dałbym za to, że jest ona ofiarą namiętności naszego generała, i że z tego to powodu ucierpiała „duma rodzinna kapitana Lebiadkina", jak się on sam wyraża. Może tylko nie dogadzała zmysłowi estetycznemu księcia, ale jemu i to nie przeszkadza. Każda jagódka dobra, byle trafiła na odpowiednią chwilę. Pan mówi o plotkach, a czyż to ja krzyczę? To całe miasto krzyczy! Ja tylko nie zaprzeczam, a to chyba wolno każdemu.

— Miasto krzyczy? O czem miasto krzyczy?

— To właśnie kapitan Lebiadkin wrzeszczy na całe miasto, a to wszystko jedno, to tak, jakby ulica krzyczała. Cóż ja jestem winien? Mówię o tych rzeczach tylko w gronie przyjaciół, gdyż pomimo wszystko, mam panów za przyjaciół, — ogarnął nas niewinnem spojrzeniem. — Tu coś zaszło: wygląda na to, że jego ekscelencja wysłała jeszcze ze Szwajcarji, za pośrednictwem pewnej najgodniejszej panny, skromnej sieroty, którą mam honor znać, trzysta rubli dla kapitana Lebiadkina. A kapitan Lebiadkin wkrótce potem dowiedział się najdokładniej, nie powiem od kogo, ale także od najgodniejszej osoby, że wysłano mu tysiąc rubli, a nie trzysta! A więc, krzyczy Lebiadkin, szlachetna dziewica przywłaszczyła sobie siedemset rubli, i chce tę sumę odebrać przez policję, przynajmniej grozi, i krzyczy na całe miasto...

— To podłość z pańskiej strony! — zerwał się z krzesła inżynier.

— Ależ to pan właśnie jest tą najgodniejszą osobą, która potwierdziła Lebiadkinowi w imieniu Mikołaja Wsiewołodowicza, że wysłany był tysiąc, a nie trzysta rubli. Sam kapitan po pijanemu wygadał się przede mną.

— To... to okropne nieporozumienie. Ktoś się omylił.. i stąd cała historja. To nieprawda. To podłość!

— Ale i ja chciałbym wierzyć, że to nieprawda. Słuchałem z prawdziwą przykrością. Bo jakże to? Najszlachetniejsza dziewica wplątana przedewszystkiem w sprawę siedmiuset rubli, a potem podejrzana o jakieś tajemnicze konszachty z Mikołajem Wsiewołodowiczem. A dla ekscelencji — to fraszka pohańbić najprzyzwoitszą dziewczynę, lub zbezcześcić cudzą małżonkę, jak to się zdarzyło ze mną. Nawinie się potem jakiś wspaniałomyślny człowiek, a on mu każe pokryć cudze grzechy swem uczciwem nazwiskiem. Ja sam to wszystko zniosłem. Sam o sobie mówię.

— Strzeż się pan, panie Liputin! — Stepan Trofimowicz wstał z fotela i zbladł.

— Niech pan nie wierzy, niech pan nie wierzy! Ktoś się omylił, a Lebiadkin — pijanica... — krzyczał inżynier w silnem podnieceniu. — Wszystko się wyjaśni... a ja już nie mogę... uważam to za podłość... dosyć już, dosyć!

Wybiegł z pokoju.

— Ach, pan już idzie? To i ja z panem! — zerwał się Liputin w popłochu i pobiegł za Kiriłowem.

VII.

Stepan Trofimowicz postał chwilę w zadumie, popatrzył na mnie zpode łba, wziął kapelusz i laskę i wolnym krokiem wyszedł z pokoju. Ruszyłem za nim. Dopiero przy bramie zauważył, że mu towarzyszę i powiedział:

— Ach, tak, możesz pan być świadkiem... *de l'accident. Vous m'accompagnérez, n'est-ce pas?*

— Stepanie Trofimowiczu! Czyż pan znowu tam? Niech pan się zastanowi, co z tego może wyjść?

Z nieszczęśliwym, zgubionym uśmiechem — uśmiechem wstydu i głębokiej rozpaczy, splecionej, rzecz dziwna, z zachwytem niezwykłym, szepnął mi, zatrzymując się na chwilę:

— Przecież nie mogę prowadzić do ołtarza „cudzych grzechów!"

Tego właśnie oczekiwałem. Padło nareszcie, po tygodniu wykrętów i przemilczeń, to najgłębsze, ukrywane przede mną słowo. Straciłem równowagę.

— I ta brudna myśl, ta ohydna myśl mogła powstać u pana, u Stepana Wierchowieńskiego, w jego jasnej głowie, w jego dobrem sercu, i to... jeszcze przed wizytą Liputina!

Spojrzał na mnie, nie odpowiedział i poszedł dalej. Nie chciałem go opuszczać. Chciałem być świadkiem wobec Barbary Piotrowny. Wybaczyłbym mu, gdyby przez babską wpływowość uwierzył nawet Liputinowi, lecz teraz jasnem było, że on wymyślił to wszystko jeszcze przedtem, a Liputin tylko utrwalił podejrzenia, dolał oliwy do ognia. Nie zawahał się rzucić cienia podejrzeń na tę dziewczynę, nie mając żadnych podstaw, nawet Liputinowskich. Despotyczną akcję Barbary Piotrowny wytłumaczył chęcią pokrycia szlacheckich grzeszków ukochanego synka ślubem z poważnym człowiekiem. Chciałem koniecznie, aby został za to ukarany.

— *O, Dieu, qui est si grand et si bon!* Ach, któż mnie pocieszy? — zawołał, przeszedłszy ze sto kroków i zatrzymał się znienacka.

— Chodźmy do domu, wytłumaczę panu wszystko, — wołałem, starając się siłą go zawrócić.

Wtem rozległ się świeży, rześki, młody głos, zupełnie jak muzyka.

— To on! Stepanie Trofimowiczu, to pan? pan?

Ani zauważyliśmy, jak zbliżyła się do nas amazonka, Lizaweta Mikołajewna, ze swym stałym towarzyszem. Zatrzymała konia.

— Prędzej, prędzej, niech pan idzie tu! — wołała głośno i wesoło. — Już dwanaście lat nie widziałam go, a poznałam odrazu. A on... Czyż pan mnie nie poznaje?

Stepan Trofimowicz schwycił jej dłoń, wyciągniętą ku niemu, i złożył na niej długi pocałunek. Patrzył na Lizawetę rozmodlonym wzrokiem i nie był w stanie wymówić ani słowa.

— Poznał, i cieszy się... Maurycy Mikołajewiczu, on zachwycony, że widzi mnie! Czemu pan do nas nie przyszedł dotychczas? Już dwa tygodnie... Ciocia zapewnia, że pan chory i że nie wolno niepokoić pana. Ale ja wiem, że ciocia kłamie. Tupałam nogami ze złości i wymyślałam panu, ale chciało mi się koniecznie, koniecznie, żeby pan sam przyszedł. Dlatego nie posyłałam po pana. Boże! on się wcale nie zmienił! — przyglądała mu się, pochylona w siodle. — Taki sam zupełnie! Ach, nie! są już zmarszczki, dużo zmarszczek przy oczach i na policzkach, i trochę siwych włosów... Ale oczy te same! A ja — zmieniłam się? Prawda? Czemu pan wciąż milczy?

Przypomniało mi się opowiadanie, że niby była prawie chora, gdy jako dziewczynkę jedenastoletnią wywożono ją do Petersburga. W drodze płakała wciąż i dopytywała się o Stepana Trofimowicza.

— Pani... ja... — bąkał coś głosem radosnym. — Wołałem przed chwilą: „któż mnie pocieszy?" — i rozległ się twój głos... Wierzę, że to cud, *et je commence à croire.*

— *En Dieu? En Dieu, qui est là haut et qui est si grand et si bon?* Widzi pan, wszystko pamiętam. Maurycy Mikołajewiczu, jaką on mi wtedy wiarę głosił *en Dieu qui est si grand et si bon!* A pan pamięta opowiadania o tem, jak Kolumb odkrywał Amerykę i wszyscy krzyczeli: ziemia, ziemia! Niania, Alona Frołowna, mówiła mi, że nieraz w nocy bredziłam i krzyczałam przez sen: ziemia, ziemia! A pamięta pan, jak mi pan opowiadał historję księcia Hamleta? A pamięta pan, jak mi pan mówił, w jaki sposób przewożą emigrantów z Europy do Ameryki? To wszystko nieprawda, potem już dowiedziałam się, że to wszystko inaczej, lecz jak on mi cudownie kłamał? Maurycy Mikołajewiczu, to było ładniejsze od prawdy! Czego

pan tak się wpatruje w Maurycego Mikołajewicza? To najlepszy i najwierniejszy człowiek na całej kuli ziemskiej, i pan musi go pokochać, jak mnie! *Il fait tout ce que je veux.* Ale mój złociuchny Stepanie Trofimowiczu, więc pan jest znów nieszczęśliwy, skoro krzyczy pan na ulicy: „któż mnie pocieszy?" Pan — nieszczęśliwy? Prawda?

— Teraz jestem szczęśliwy...

— Ciocia krzywdzi? — mówiła dalej, nie słuchając go. — Ciągle ta sama zła, niesprawiedliwa, a nieoceniona ciocia? A pamięta pan, jak pan mi padał w objęcia w ogrodzie, a ja pocieszałam pana i płakaliśmy razem? Niechże się pan nie boi Maurycego Mikołajewicza, on wie wszystko, wszystko o panu, już oddawna, i może pan płakać na jego piersi, ile razy pan zechce, a on będzie stał bez ruchu! Niech pan zdejmie kapelusz, na jedną chwilkę, niech pan wyciągnie głowę i stanie na palcach, a ja pocałuję pana w czoło, tak samo jak ostatni raz, kiedy rozstawaliśmy się. Niech pan zobaczy, z jakim zachwytem patrzy na nas ta panna tam, w oknie... No, bliżej, bliżej! Mój Boże, jak on posiwiał.

Schyliła się w siodle i pocałowała go w czoło.

— No, a teraz do pana! Wiem, gdzie pan mieszka! Zaraz, za chwilkę będę u pana. Złożę panu, uparciuchowi, pierwsza wizytę, a potem wezmę pana na cały dzień do siebie. Niech pan idzie, niech pan czeka na mnie u siebie!

Pokłusowała ze swym towarzyszem. Zawróciliśmy. Stepan Trofimowicz usiadł na kanapie i zaczął płakać.

— *Dieu, Dieu!* — łkał. — *Enfin une minute de bonheur.*

Za dziesięć minut już była, razem z Maurycym Mikołajewiczem.

— *Vous et le bonheur, vous arrivez en même temps!* — powstał na jej spotkanie.

— To bukiet dla pana; byłam przed chwilą u M-me Chevalier. Ona ma przez cały rok kwiaty dla solenizantów. A oto i Maurycy Mikołajewicz. Proszę się zapoznać. Chciałam przywieźć tort zamiast kwiatów, lecz Maurycy Mikołajewicz zapewnia, że to byłoby przeciwne zwyczajom rosyjskim.

Maurycy Mikołajewicz był to kapitan — artylerzysta, lat trzydziestu trzech, przystojny, wysoki mężczyzna, o powierzchowności bez zarzutu. Miał wyraz twarzy poważny, nawet surowy, pomimo wyjątkowej delikatności i dobroci, które odczuwał każdy od pierwszych chwil znajomości z nim. Był milczący, wydawał się chłodnym i nie narzucał się nikomu. Niektórzy mówili potem, że odznacza się inteligencją. Była to jednak opinja zbyt powierzchowna.

Nie będę się rozwodził nad urodą Lizawety Mikołajewny. Całe miasto już o niej mówiło, chociaż niektóre panie nasze i panny zaprzeczały z oburzeniem. Niejedna z nich już nienawidziła Lizawety Mikołajewny za jej dumę. Panie Drozdowe nie złożyły jeszcze wizyt prawie nikomu. Chociaż przyczyną zwłoki była istotnie niedyspozycja Praskowji Iwanowny, jednak wiele osób czuło urazę. Nienawidzono Lizawety Mikołajewny za to także, że jest krewną gubernatorowej, a nawet za to, że jeździ codzień konno. Dotychczas nie widywano u nas amazonek; rzecz prosta, że widok Lizawety Mikołajewny, która cwałowała po mieście i nie złożyła jeszcze wizyt, raził opinję publiczną; wiedziano wprawdzie, że jeździ konno z nakazu lekarzy, lecz o jej stanie chorobliwym mówiono ze zjadliwem niedowierzaniem. Była zaś chora istotnie. Pierwszą rzeczą, która w niej uderzała, był nienormalny, nerwowy stały niepokój. Niestety! cierpiała bardzo, lecz wyjaśniło się to znacznie później. Dziś, kiedy wspominam rzeczy minione, już nie powiedziałbym, że jest skończoną pięknością, jak mi się wtedy zdawało. Może nawet wcale nie była ładna. Wysoka, szczupła, lecz zwinna i silna, miała rysy wyraźnie nieprawidłowe. Oczy krzywe, jakieś kałmuckie; twarz bladą, kościstą, chudą. Lecz było w niej coś pociągającego i porywającego! Gorące spojrzenie jej czarnych oczu zdradzało ukrytą moc. „Przychodziła, jak zwycięzca, i poto, żeby zwyciężać". Wydawała się dumną, nawet zuchwałą; nie wiem, czy umiała być dobrą; wiem — że chciała, i że dręczyła siebie, zmuszając się do dobroci. Było tam dużo pięknych porywów i szlachetnych zamiarów; lecz wszystko w niej szukało ciągle równowagi i nie znajdowało jej,

wszystko było chaotyczne, falujące, niespokojne. Może zbyt wiele od siebie wymagała, nie mogąc wymaganiom sprostać.

Usiadła na kanapie i rozejrzała się po pokoju.

— Dlaczego w takich chwilach zawsze mi się robi tak smutno? Pan, uczony, niech to wytłumaczy! Myślałam przez całe życie, że będę już nie wiem jak szczęśliwa, gdy pana zobaczę, gdy wspomnę tamte lata, — a oto zdaje mi się, że nie czuję radości, chociaż tak kocham pana... Boże mój! On ma mój portret! Wisi na ścianie! Niech pan pokaże bliżej, ja pamiętam, pamiętam.

Doskonały akwarelowy portrecik dwunastoletniej Lizy Stepan Trofimowicz otrzymał z Petersburga przed dziesięciu laty. Wisiał zawsze na ścianie.

— Czyż naprawdę byłam tak ładną dziewczynką? Czyż to moja twarz?

Wstała i podeszła do lustra z portretem w ręku.

— Niech pan zabiera sobie! — zawołała, oddając portret. — Niech pan teraz nie wiesza; potem; nawet patrzeć nie chcę. — Znów usiadła na kanapie. — Minęło jedno życie, rozpoczęło się drugie; minęło drugie, rozpoczęło się trzecie, i tak bez końca. Wszystkie końce ktoś nożyczkami obcina. Widzi pan, opowiadam stare bajki, — a jednak, ile w tem prawdy!

Spojrzała na mnie z uśmiechem; już parokrotnie spoglądała na mnie, lecz Stepan Trofimowicz w swem podnieceniu zapomniał nawet, że miał mnie zaprezentować.

— A dlaczego mój portret wisi pod kindżałami? I dlaczego tu tak dużo kindżałów i szabel?

Istotnie na ścianie wisiały, nie wiem z jakiego powodu, dwa kindżały złożone na krzyż, a ponad niemi szabla czerkieska. Pytanie skierowała jakgdyby wprost do mnie, tak, że chciałem coś odpowiedzieć; lecz powstrzymałem się. Stepan Trofimowicz domyślił się wreszcie przedstawić mnie.

— Wiem, wiem, — powiedziała. — Bardzo mi miło. I mama słyszała o panu. Niech się pan zapozna z Maurycym Mikołajewiczem. Cudowny człowiek. O panu już nawet wytworzyłam sobie pewną opinję; przecież pan jest powiernikiem Stepana Trofimowicza.

Zaczerwieniłem się.

— Ach, przepraszam pana. Chciałam powiedzieć inne słowo, nie takie śmieszne, lecz... (zawstydziła się i rumieniec oblał jej twarz). A zresztą dlaczego pan ma się wstydzić, że jest przezacnym człowiekiem? Ale czas już na nas, Maurycy Mikołajewiczu! Stepanie Trofimowiczu! Punktualnie za pół godziny ma pan być u nas! Tyle mamy ze sobą do pogadania! Teraz już ja będę powierniczką pańską, i o wszystkiem, rozumie pan, o wszystkiem...

Stepan Trofimowicz już był przerażony.

— A Maurycy Mikołajewicz wie wszystko, niech się pan jego nie wstydzi.

— Co wszystko?

— Jakto co? — zawołała zdziwiona. — Ależ prawda, oni to ukrywają. Nie chciałam wierzyć. I Daszę gdzieś chowają. Ciocia nie chciała mnie puścić do niej. Mówi, że głowa ją boli!

— Dobrze... ale skąd pani wie?

— Mój Boże, ależ tak samo, jak wszyscy! Wielka mądrość!

— Czyż już wszyscy?

— Rzecz prosta. Mama dowiedziała się najpierw od mojej niańki, Alony Frołowny; do niej zaś przybiegła pańska Nastasja. Przecież pan opowiadał Nastasji? Mówi, że sam pan jej wszystko opowiedział.

— Ja... ja tylko raz mówiłem, — zmieszał się Stepan Trofimowicz, cały w ponsach, — i tylko bąknąłem. *J'étais si nerveux et malade et puis...*

Parsknęła śmiechem.

— A powiernika nie było pod ręką, a tu nawinęła się Nastasja, — i już dosyć! Nastasja jest pokumana z całem miastem. Ale co to panu szkodzi; niech wiedzą, tem lepiej. Niech pan prędzej przychodzi, u nas obiad wcześnie.. Ach, zapomniałam, — usiadła znowu, — niech pan mi powie, kto to jest Szatow?

— Szatow? To brat Darji Pawłowny...

— Wiem dobrze, że brat; jaki pan nudny, — przerwała niecierpliwie. — Ja chcę wiedzieć, kto to taki, co to za człowiek?

— *C'est une pense-creux d'ici. C'est le meilleur et le plus irascible homme du monde.*

— Już słyszałam, że on jakiś dziwny. Ale nie o to mi chodzi. Podobno zna trzy języki, w tej liczbie angielski, i może podjąć się prac literackich. W takim razie miałabym dla niego dużą robotę. Potrzebuję współpracownika. Im prędzej, tem lepiej! Czy zgodziłby się? Polecono mi go.

— O, rzecz prosta, *et vous fairez un bienfait*...

— Ależ ja wcale nie dla *bienfait*, sama potrzebuję kogoś do pomocy.

— Znam dość dobrze Szatowa, — odezwałem się,— i gdyby pani zechciała mi rozkazać, pójdę do niego natychmiast.

— Doskonale! Niech mu pan powie, aby jutro był u mnie w południe. Dziękuję serdecznie — pan już gotów, Maurycy Mikołajewiczu?

Odjechali. Pobiegłem natychmiast do Szatowa.

— *Mon ami!* — wołał za mną Stepan Trofimowicz. — Niech pan będzie koniecznie dziś o dziesiątej, lub jedenastej, gdy wrócę. Och, zbyt zawiniłem wobec pana, ...i wobec wszystkich, wszystkich.

VIII.

Nie zastałem Szatowa w domu. Wpadłem za pół godziny — znów go nie było. Dopiero o ósmej godzinie wróciłem do niego, aby z nim się rozmówić, lub przynajmniej zostawić kartkę. Nie zastałem go i wtedy. Pokój jego był zamknięty, a mieszkał sam, bez usługi. Chciałem wpaść nadół do kapitana Lebiadkina, aby się o Szatowa zapytać, lecz i tu drzwi były zamknięte. Nikt się nie odzywał, jak na pustyni. Pod wrażeniem niedawnej rozmowy, z ciekawością przechodziłem obok drzwi Lebiadkina. Postanowiłem wkońcu wpaść nazajutrz jak najwcześniej. Niebardzo liczyłem na kartkę... Szatow mógł nie zwrócić na nią uwagi, a był uparty i wstydliwy. Zły z powodu niepowodzenia, już wychodziłem z bramy, gdy natknąłem się na Kiri-

łowa, jak wchodził na podwórze. Pierwszy poznał mnie. Ponieważ sam zaczął wypytywać, opowiedziałem o co mi chodzi, i że mam gotową kartkę.

— Chodźmy, — powiedział, — ja to urządzę.

Przypomniałem sobie, że Kiriłow, podług słów Liputina, zajął dziś rano oficynę drewnianą w podwórzu. W tej oficynie, zbyt dużej dla niego samego, mieszkała także jakaś stara, głucha babina, która mu usługiwała. Właściciel domu w nowej posiadłości swojej przy innej ulicy miał szynk, ta zaś staruszka, podobno krewna jego, doglądała starego domu. Pokoje w oficynie były dość czyste, lecz tapety wybrudzone. W pokoju, do któregośmy weszli, była jakaś zbieranina mebli, najrozmaitszych rodzajów, bez żadnej wartości: dwa stoliki do kart, komoda olchowa, duży ciosany stół kuchenny, krzesła i kanapka wyplatana z twardemi skórzanemi poduszkami. W rogu wisiał stary obraz, przed którym paliła się lampka olejna, na ścianach dwa duże portrety; jeden przedstawiał cesarza Mikołaja pierwszego i pochodził z lat dwudziestych naszego stulecia, drugi — jakiegoś archimandrytę.

Kiriłow zapalił świecę i wydobył ze stojącego w kącie kufra, nie rozpakowanego dotychczas, kopertę, lak i pieczątkę szklaną.

— Niech pan zapieczętuje list i napisze adres na kopercie.

Tłumaczyłem, że to zbyteczne, lecz nastawał. Zakleiwszy kopertę, wziąłem czapkę.

— A ja sądziłem, — zatrzymał mnie, — że może pan herbatę... Kupiłem... Chce pan?

Zgodziłem się. Babina przyniosła wkrótce duży imbryk z gorącą wodą, mały imbryczek z obficie zaparzoną herbatą, dwie proste, ordynarnie wymalowane filiżanki, bułkę i cały talerz rąbanego cukru.

— Lubię herbatę, — mówił Kiriłow, — w nocy; chodzę po pokoju i piję, do świtu; zagranicą z tem trudno.

— Pan się kładzie o świcie?

— Zawsze; oddawna. Jadam mało; ciągle herbata. A Liputin jest przebiegły, lecz zbyt niecierpliwy.

Zdziwiło mnie, że chce mu się rozmawiać. Postanowiłem wykorzystać tę chwilę.

— Przykre nieporozumienia wynikły, — odezwałem się.

Zachmurzył się.

— To głupstwo. To są drobiazgi. To drobiazgi, gdyż Lebiadkin po pijanemu... Nie mówiłem wcale Liputinowi, a tylko wyjaśniłem to i owo, a on przekręcił. Liputin ma dużo fantazji. Z niczego cały gmach zbudował. Wczoraj wierzyłem mu.

— A dziś mnie pan wierzy, — zaśmiałem się.

— Ale pan już wie o wszystkiem po tamtej rozmowie. Liputin jest albo słaby, albo niecierpliwy, albo szkodliwy, albo... zazdrości.

Uderzyło mnie ostatnie słowo.

— Pan wysunął tyle przypuszczeń, że napewno jedno z nich musi być słuszne.

— Albo wszystkie.

— I to możliwe. Liputin — to chaos. Prawda, że on kłamał, gdy mówił że pan ma zamiar pisać jakieś studjum?

— Dlaczego pan myśli, że kłamał? — zachmurzył się znowu i utkwił oczy w podłogę.

Przeprosiłem go i zacząłem zapewniać, że bynajmniej nie miałem zamiaru badać go. Poczerwieniał.

— On mówił prawdę; piszę. Ale to obojętne.

Milczeliśmy przez chwilę. Wtem znowu dziecinny uśmiech ukazał się na jego twarzy.

— O tym miljonie głów to on sam wymyślił. Wziął z jakiejś książki, i sam pierwszy o tem mi mówił. A rozumie źle. Ja tylko szukam przyczyny, dlaczego ludzie boją się samobójstwa? I to już wszystko. Mniejsza o to.

— Jakto boją się? Czyż mało jest samobójstw?

— Bardzo mało.

— Pan tak sądzi?

Nie odpowiedział, zerwał się z krzesła i zaczął biegać po pokoju.

— Cóż, zdaniem pańskiem, powstrzymuje ludzi od samobójstwa?

— Ja... jeszcze nie wiem dokładnie. Dwa przesądy. Dwie rzeczy; tylko dwie. Jedna bardzo duża, druga bardzo mała. Ale i ta mała jest także duża.

— Więc przedewszystkiem ta mała?

— Ból.

— Ból? Czyż to tak ważne... w takim wypadku?

— Najważniejsze. Są dwa rodzaje. Jedni zabijają siebie albo z powodu rozpaczy, albo w gniewie, albo w obłędzie — to wszystko jedno. Ci — odrazu. Ci nie myślą o bólu, a odrazu. Lecz ci, którzy to robią z rozumu — myślą wiele.

— Czyż są tacy, którzy z rozumu?

— Są. Często. Gdyby nie było przesądu, jeszcze więcejby ich było; bardzo dużo; wszyscy.

— Czyżby aż wszyscy?

Zamilkł.

— Są przecież rodzaje śmierci bez bólu.

— Niech pan wyobrazi sobie, — zatrzymał się przede mną, — kamień, olbrzymiej wielkości, jak dom. Wisi, a pan stoi pod nim; gdy spadnie panu na głowę, — czy będzie bolało?

— Kamień? Taki jak dom? Rzecz prosta — strach bierze.

— Ja nie o strach pana pytam. Ale czy będzie bolało?

— Kamień, jak góra? Miljon pudów? Oczywiście, że nie.

— A niech pan stanie naprawdę, to póki kamień wisi, panu będzie straszno, że zaboli. Największy uczony, najlepszy lekarz, każdy będzie się bał bólu. Każdy będzie wiedział, że nie zaboli, lecz każdy będzie się bał bólu.

— Dobrze, a druga przyczyna? Ta duża?

— Tamten świat.

— Kara?

— To wszystko jedno. Tamten świat. Poprostu tamten świat.

— Czyż niema takich ateistów, którzy zupełnie nie wierzą w życie pozagrobowe?

Znów nie odpowiadał.

— Może pan po sobie sądzi?

— Każdy sądzi tylko po sobie, — wymówił. — Wolność nastąpi wtedy dopiero, gdy już będzie wszystko jedno: żyć czy umierać. Oto jedyny cel.

— Cel? Ale może wtedy nikt nie zechce żyć?

— Nikt! — powiedział stanowczym głosem.

— Człowiek boi się śmierci, gdyż kocha życie, — nieśmiało zauważyłem. — Takie jest prawo przyrody.

— Właśnie to jest podłość! W tem całe oszukaństwo! — błyskały mu oczy. — Życie — to ból, życie — to strach. Człowiek jest nieszczęśliwy. Teraz wszystko — ból i strach. Teraz człowiek kocha życie, bo kocha ból i strach. Tak to jest zrobione. Życie dane jest człowiekowi za cenę bólu i strachu, i w tem całe oszukaństwo. Człowiek nie jest jeszcze prawdziwym człowiekiem. Przyjdzie inny człowiek, szczęśliwy i dumny. Komu będzie wszystko jedno: żyć, czy umierać, — ten będzie nowym człowiekiem. Kto zwycięży ból i strach, sam stanie się Bogiem. A tamtego Boga już nie będzie.

— Więc myśli pan jednak, że tamten Bóg istnieje?

— Niema Go, ale jest. W kamieniu niema bólu, lecz w strachu przed kamieniem jest ból. Bóg jest bólem strachu przed śmiercią. Kto zwycięży ból i strach, sam stanie się Bogiem. A wtedy — nowe życie, a wtedy — nowy człowiek, wszystko nowe... Historję będą dzielili na dwa okresy: od goryla do strącenia Boga i od strącenia Boga do...

— Do goryla?

— ...do fizycznego przekształcenia się i ziemi i człowieka. Człowiek będzie Bogiem i przerodzi się fizycznie. I świat cały się zmieni, zmienią się rzeczy ludzkie, myśli, uczucia. Jak pan sądzi, czy człowiek zmieni się fizycznie?

— Jeżeli będzie wszystko jedno: żyć, czy umierać, to wszyscy zabiją siebie, i to może będzie cała owa zmiana.

— To wszystko jedno. Zabiją kłamstwo. Każdy, kto pragnie wolności, winien mieć odwagę zabić siebie. Kto ma odwagę zabić siebie, ten posiadł tajemnicę oszustwa. Poza tem niema wolności; w tem wszystko, — a poza tem niema nic. Kto ma odwagę zabić siebie — jest

Bogiem. Każdy może tak zrobić, że nie będzie Boga i nic nie będzie. Lecz jeszcze nikt tego nie dokonał.

— Były już miljony samobójstw.

— Ale wszystkie nie takie, ze strachem, i nie w tym celu. Nie poto, aby zabić strach. Kto zabije siebie tylko w tym celu, aby zabić strach, stanie się Bogiem.

— Może nie zdąży, — zauważyłem.

— To wszystko jedno, — odparł cicho, ze spokojną dumą, prawie pogardliwie. — Przykro mi, że pan się z tego śmieje, — dodał po chwili.

— Nie. Ja się dziwię, że wtedy, u Stepana Trofimowicza, był pan tak podrażniony, a teraz pan mówi tak spokojnie, chociaż gorąco.

— Wtedy? Wtedy to było śmieszne — odpowiedział z uśmiechem. — Nie lubię nikogo oskarżać, i nigdy się nie śmieję, — dodał smutno.

— Tak... Niewesoło pan spędza noce przy herbacie! Wstałem i wziąłem do rąk czapkę.

— Pan sądzi?—uśmiechnął się ze zdziwieniem.—Dlaczego? Nie, ja... ja nie wiem — plątał się widocznie. Nie wiem, jak inni, lecz czuję, że ja nie mogę tak, jak wszyscy. Inni myślą o czemś, a za chwilę już o czemś innem. Ja zaś nie mogę o niczem innem. Całe życie o tem samem. Bóg mnie męczył przez całe życie, — dodał z dziwną szczerością.

— Niech mi pan powie, dlaczego pan niezupełnie prawidłowo akcentuje po rosyjsku? Czyżby pan zapomniał tam, zagranicą?

— Czy ja źle mówię? Nie wiem. To nie dlatego, że zagranicą... Ja zawsze mówiłem tak samo... mnie wszystko jedno.

— Jeszcze jedno drażliwe pytanie. Wierzę panu, że niechętnie pan spotyka się z ludźmi i rozmawia z nimi. Dlaczego więc rozgadał się pan teraz ze mną?

— Z panem? Pan wtedy jakoś tak siedział, i pan... zresztą, wszystko mi jedno... Pan bardzo podobny do mego brata, niesłychanie podobny, — Kiriłow miał rumieńce na twarzy. — On umarł przed siedmiu laty. Starszy ode mnie. Bardzo, bardzo podobny.

— Zapewne miał znaczny wpływ na pana?

— Nie. Rozmawiał rzadko. Nic nie mówił. Ja list pański odniosę.

Wziął latarnię i odprowadził mnie do bramy, aby zamknąć ją za mną. „Oczywiście obłąkaniec", myślałem. W bramie czekało mnie nowe spotkanie.

IX.

Ledwo postawiłem nogę na wysokim progu furtki, gdy czyjaś mocna dłoń schwyciła mnie za pierś.

— Kto tu? — zaryczał czyjś głos. — Przyjaciel, czy wróg! Spowiadaj się!

— To swój, swój! — rozległ się obok piskliwy głos Liputina. — To pan G—w, młodzieniec z klasycznem wykształceniem, posiadający stosunki w najwyższem towarzystwie.

— Aa! Lubię jeżeli w najwyższem, i kla-sycz... to znaczy e-du-ko-wa-ny. Jestem dymisjonowany kapitan Lebiadkin, do usług całego świata i przyjaciół... jeżeli są wierni, a jeżeli niewierni — to łajdacy!

Kapitan Lebiadkin, sążnisty chłop, barczysty, gruby, czerwony, a niesłychanie pijany, ledwo trzymał się na nogach i trudno mu było wymawiać słowa. Już raz go kiedyś zdaleka widziałem.

— Ha, i ten! — wył znowu, zauważywszy Kiriłowa, który wciąż stał obok z latarnią. Podniósł pięść, lecz za chwilę opuścił ją.

— Wybaczam mu za uczoność! Ignacy Lebiadkin— e-du-ko-wa-ny...

Miłość, skrząca się, jak raca
Pękła w piersi u Ignaca,
I zapłakał z gorzkiej męki
Sewastopolski bezręki.

— Chociaż nie byłem w Sewastopolu, a nawet bezrękim być nie mam zaszczytu, ale co za rymy!

Podawał mi do pocałunku swą pijaną gębę.

— On się śpieszy, on idzie do domu, — uspakajał go Liputin. — On jutro powtórzy Lizawecie Mikołajewnie.

— Lizawecie!... — ryczał znowu. — Stój, nie pójdziesz! Słuchaj! Oto warjant:

„Do amazonki — gwiazdy".

Na koniku — jasny dzionek,
W tłumie innych amazonek...
Do mnie śmieje się zdradziecko
A-ry-stokratyczne dziecko.

Słuchaj, to hymn! To hymn, jeżeliś nie osioł. Idjoci, nie rozumieją! Stój! — trzymał mnie za palto, chociaż usilnie starałem się wyjść za bramę. — Powiedz jej, że jestem rycerzem jej honoru, a Dasza... w dwóch palcach rozetrę Daszę... Dziewka pańszczyźniana, i nie śmie!

Upadł, gdyż szarpnąłem z całej siły i pobiegłem ulicą. Liputin dopędzał mnie.

— Aleksy Niłycz pomoże mu wstać! Wie pan, czegom się od niego przed chwilą dowiedział? — mówił zadyszany. — Słyszał pan wiersze? On te wiersze włożył do koperty i posyła jutro z własnym podpisem do Lizawety Mikołajewny. Niezły sobie!

— Mogę się założyć, że pan go sam namówił.

— I przegrałbyś pan! — śmiał się Liputin. — Zakochany, zakochany jak kot. A zaczęło się od nienawiści. Tak nienawidził zrazu Lizawety Mikołajewny za te spacery konne, że o mało nie zrugał jej na ulicy. A nawet rugał. Całe szczęście, że nie słyszała. A dziś raptem te wiersze. Czy pan uwierzy, że on ma zamiar się oświadczyć? Zupełnie poważnie!

— Dziwię się panu. Niech tylko zaśmierdzą gdzie jakie brudy, pan tu jest, i zawsze pan wszystkiem kręci! — zawołałem w uniesieniu.

— Jednakże, pan się posuwa zbyt daleko, panie G... A może zadrżało serduszko ze strachu przed rywalem? Ha?

— Co-o-o? — zawołałem, zatrzymując się na miejscu.

— A ja panu za karę nic więcej nie powiem! A chciałby pan wiedzieć, co? Dowiedzieć się, naprzykład o tem, że ten bałwan to już nie prosty kapitan, lecz obywatel ziemski naszej gubernji? Nawet dość solidny, gdyż Mikołaj Wsiewołodowicz sprzedał mu cały swój majątek, — liczono to dawniej na dwieście dusz! Jak Boga kocham — nie kłamię! Dowiedziałem się przed chwilą, z najpewniejszego źródła. A teraz — niech pan sam głową kręci; nic więcej nie powiem; miło mi pożegnać!...

X.

Stepan Trofimowicz oczekiwał mnie z histerycznym niepokojem. Wrócił sam przed godziną. Zastałem go jak pijanego; wciągu paru pierwszych chwil myślałem, że istotnie jest pijany. Niestety! Wizyta u Drozdowych zaplątała go ostatecznie.

— *Mon ami*, zgubiłem już wątek... *Lise*... kocham i szanuję, jak dawniej, tego anioła. Właśnie tak samo jak dawniej; lecz wydaje mi się, że one chciały mnie zobaczyć tylko poto, aby się czegoś dowiedzieć, czyli poprostu wyciągnąć ze mnie. A potem — możesz iść z Panem Bogiem.. Nieinaczej.

— Jak panu nie wstyd! — zawołałem zniecierpliwiony.

— Mój przyjacielu, jestem teraz zupełnie samotny. *Enfin c'est ridicule.* Wyobraź pan sobie, że u nich roi się od tajemnic. Rzuciły się na mnie z pytaniem, o tych niby oczach i uszach i innych, już petersburskich brewerjach. Przecież one tu dopiero dowiedziały się o tutejszych awanturach Mikołaja z przed czterech lat. „Pan tu był, pan widział! Czy to prawda, że on warjat?" I skąd powstała ta myśl, nie mam pojęcia. Dlaczego Praskowji tak na tem zależy, aby *Nicolas* okazał się warjatem? A zależy na tem babie, zależy! *Ce Maurice*, ten Maurycy Mikołajewicz, *brave homme tout de même;* ale czyż to możliwe, aby na jego korzyść? Po tem, gdy pierwsza napisała z Paryża do *cette pauvre amie. Enfin*, ta Praskowja, jak ją nazywa *cette chère amie*, to typ; to nieśmiertelna Gogolewska Ko-

roboczka, lecz zła, zawzięta Koroboczka, nieskończenie gorsza od oryginału.

— Czyż to możliwe, aby nieskończenie gorsza?

— Mniejsza o to. Niech mi pan nie przerywa. Ciągle mi kręci się coś po głowie. Zupełnie się rozszczekały. Liza — nie. Ta wciąż powtarza: „Ciociu! Ciociu!" Lecz Liza jest chytra, a w tem coś jest. Tajemnica. Ze staruchą pokłóciłem się. *Cette pauvre* ciocia jest wprawdzie despotka, lecz za wiele na nią się zwaliło. I gubernatorowa, i zachowanie się towarzystwa i brak szacunku ze strony Karmazinowa; a tu raptem ta myśl o obłąkaniu, *ce Lipoutine, ce que je ne comprends pas...* Jednem słowem, okłady z octu na głowie, a tu jeszcze my z panem, z temi skargami i listami... Och, jakem ją dręczył — w takiej chwili! *Je suis un ingrat!* Wyobraź pan sobie, wracam do domu i zastaję list od niej: niech pan przeczyta! Och! Jak nieszlachetnie z nią postąpiłem.

Podał mi otrzymany przed godziną list Barbary Piotrowny. Prawdopodobnie pożałowała wczorajszego: „siedzieć w domu". Liścik był uprzejmy, chociaż stanowczy i krótki. Prosiła do siebie Stepana Trofimowicza na pojutrze, w niedzielę, o południu. Radziła przyprowadzić któregoś z przyjaciół (w nawiasie umieściła moje nazwisko). Sama obiecała zaprosić Szatowa, jako brata Darji Pawłowny. „Otrzyma pan od niej ostateczną odpowiedź. Wystarcza to panu? Czy ta właśnie formalność była panu potrzebna?"

— Zwróć pan uwagę na to ostatnie zdanie w końcu o „formalności". Biedna, biedna przyjaciółka całego mojego życia! Wyznam panu, że tak gwałtowne rozstrzygnięcie mojego losu przygniata mnie... Przyznam się, że nie traciłem wciąż nadziei, a teraz *tout est dit.* Wiem, że to już koniec; *c'est terrible!* Och! Gdyby nigdy nie było tej niedzieli, gdyby wszystko zostało, jak dawniej. Panby przychodził do mnie, a ja tu...

— Pana wytrąciły z równowagi te Liputinowskie świństwa....

— Mój przyjacielu, dotknąłeś pan rany twym przyjacielskim paluszkiem. Te palce przyjacielskie są zazwyczaj

bezlitosne, a czasem bezmyślne, *pardon*, lecz wierzy mi pan, że o tamtych obrzydliwościach zapomniałem, zupełnie zapomniałem. Przez głupotę swoją cały czas tam, u Lizy, starałem się być szczęśliwym, i wmawiałem w siebie, że jestem szczęśliwy. Lecz teraz... teraz mówię o tej wspaniałomyślnej, ludzkiej, cierpliwej na wszystkie moje wady kobiecie... to jest niezupełnie cierpliwej, lecz dobry i ja jestem, z mym niestałym, brzydkim charakterem! Przecież ze mnie jest bezmyślne dziecko, z całym egoizmem dziecka, lecz bez jego niewinności. Dwadzieścia lat skakała koło mnie, jak piastunka, *cette pauvre* ciocia, jak ją wdzięcznie nazywa Liza. A teraz, po dwudziestu latach, dziecko chce się żenić. Ożeń i ożeń, list za listem, a ona ma głowę w occie, i... wyprosiłem. W niedzielę będę już, jak żonaty. Ładne żarty! A sam nastawałem, a listy pisałem. Zapomniałem powiedzieć. *Lise* ubóstwia Darję Pawłownę, tak mówi przynajmniej. Mówi o niej: „C'*est un ange*, ale trochę zamknięta w sobie". Doradzały mi obie, nawet Praskowja... Zresztą Praskowja niebardzo doradzała. A i *Lise* właściwie odradzała: „Poco panu się żenić, czy nie dość panu uczonych rozkoszy?" Śmieje się. Przebaczyłem jej ten śmiech, gdyż i sama ma coś ciężkiego na sercu. „Pan jednak", — mówią obie, — „nie może się obejść bez kobiety. Zbliża się okres niedomagań, a one wesprze pana, czy jak tam"... *Ma foi*, sam też, siedząc z panem, myślałem, że zsyła mi ją Opatrzność, i że ona mnie wesprze.... *enfin*, trzeba komuś zająć się gospodarstwem. Tak tu u mnie zaśmiecono, patrz pan, wszystko brudne. Wczoraj kazałem sprzątać. Książka jakaś leży na podłodze. *La pauvre amie* zawsze się gniewała, że u mnie brudno.... Och, teraz już nie będzie tu się rozlegał jej głos. *Vingt ans!* A one tam otrzymały jakieś listy anonimowe. Podobno *Nicolas* sprzedał Lebiadkinowi majątek. C'*est un monstre; et enfin*, co zacz jest Lebiadkin? *Lise* słucha, słucha... Jak ona słucha! Przebaczyłem jej śmiech, widziałem, jaką miała twarz, słuchając. A *ce Maurice*, nie chciałbym być w jego skórze, *brave homme tout de même*, lecz trochę nieśmiały. Zresztą, mniejsza o niego.

Zamilkł. Zmęczył się, stracił wątek i siedział ze spuszczoną głową, nieruchomo utkwiwszy wzrok w podłodze. Skorzystałem z tej przerwy i opowiedziałem mu o mojej wizycie w domu Filipowa, i w sposób szorstki i ostry wypowiedziałem opinję, że istotnie siostra Lebiadkina (nie znałem jej dotychczas), mogła być przed laty ofiarą *Nicolas* w tym zagadkowym okresie jego życia, o którym wspominał Liputin. Bardzo być może, że Lebiadkin otrzymuje od *Nicolas* pieniądze, — i na tem koniec. Wszystko zaś o Darji Pawłownie, to są plotki, łajdackie wymysły Liputina. Tak przynajmniej zapewnia Kiriłow, któremu nie mamy powodu nie wierzyć. Stepan Trofimowicz wysłuchał moich zapewnień z roztargnioną miną, jakgdyby nie obchodziło go to wcale. Przy sposobności powtórzyłem rozmowę moją z Kiriłowem i dodałem, że to, prawdopodobnie, człowiek obłąkany .

— On nie jest obłąkany, lecz to są wszystko ludzie myślący na krótki dystans, — odezwał się Stepan Trofimowicz pół-sennie, prawie odniechcenia. *Ces gens-la supposent la nature et la société humaine autres, qui Dieu ne les a faites et qu'elles ne sont réellement.* Takim ludziom inni nadskakują, ale Stepan Wierchowieński nie będzie. Widziałem ich wtedy w Petersburgu, *avec cette chere amie* (och, jakem ją wtedy krzywdził!) i nie przestraszyły mnie ani ich obelgi, ani nawet pochwały. Nie przestraszą mnie i teraz, *mais parlons d'autre chose...* Mam wrażenie, że narobiłem strasznych głupstw; wczoraj posłałem list do Darji Pawłowny... i przeklinam siebie za to!

— O czem pan pisał do niej?

— Och, wierz mi, przyjacielu, że w sposób dziwnie szlachetny. Zawiadomiłem ją, że przed pięciu dniami napisałem do *Nicolas*, także najszlachetniej.

— Rozumiem teraz! — zawołałem gorąco. — Kto panu dał prawo kojarzyć imiona?

— Ale, *mon cher*, niech mnie pan nie przygniata tak ostatecznie. Już i tak jestem zgnieciony, jak robak. A myślę, że tak właśnie najszlachetniej będzie. Wyobraź pan sobie na chwilę, że istotnie coś tam było... *en Suisse*.... albo zaczynało się. Przecież mam obowiązek wysłuchać prze-

dewszystkiem głosu ich serc, ażeby... *enfin*... nie przeszkodzić sercom i nie być dla nich zawadą. Ja tylko przez szlachetność.

— Boże, jak głupio pan zrobił! — zawołałem mimowoli.

— Głupio, głupio, — powtórzył chciwie. — Nigdy nie powiedziałeś pan nic mądrzejszego. *C'était bête, mais que faire, tout est dit.* Wszystko jedno się ożenię, chociażby z „cudzemi grzechami", więc pocóż było pisać? Nieprawda?

— Pan znów to samo!

— Och, teraz nie przerazi mnie krzyk pański; teraz przed panem już nie tamten Wierchowieński. Tamten jest pogrzebany; *enfin tout est dit.* Ale poco pan krzyczy? Czyż dlatego, że nie pan się żeni? Że to nie panu wypadnie nosić na głowie znaną ozdobę. Znów się pan marszczy? Przyjacielu, nie znasz pan kobiet, a ja przez całe życie studjowałem je. „Jeżeli chcesz zwyciężyć świat, zwyciężaj siebie". To jedyna mądra rzecz, którą udało się powiedzieć pewnemu romantykowi, takiemu samemu, jak pan, braciszkowi mojej przyszłej żoneczki. Chętnie przywłaszczam sobie to jego powiedzenie. Więc dobrze. Gotów jestem zwyciężyć siebie — i żenię się, a cóż zdobędę, zamiast całego świata? Mój przyjacielu! Małżeństwo jest śmiercią moralną dla każdej dumnej, niepodległej duszy. Pożycie małżeńskie poniży mnie, odbierze energję, odwagę czynu... Przyjdą dzieci, może nawet nie moje, — rozumie się, że nie moje: człowiek mądry nie boi się zajrzeć prawdzie w twarz... Liputin radził odgrodzić się od *Nicolas* barykadami. Głupi jest Liputin. Kobieta oszuka najczujniejszy wzrok. *Le bon Dieu*, tworząc kobietę, napewno wiedział, czem to grozi, lecz pewien jestem, że ona przeszkodziła Mu sama i sama zmusiła Go, aby stworzył ją w takiej postaci... i z takiemi właściwościami; któżby bowiem chciał dobrowolnie narażać siebie na tyle kłopotów? Nastasja prawdopodobnie pogniewa się na mnie za takie wolnomyślicielstwo, ale... *enfin tout est dit.*

Nie byłby sobą, gdyby mógł się obejść bez tego taniego, anegdotycznego wolnomyślicielstwa, które za jego

czasów tak kwitło. Teraz pocieszył się przynajmniej własnym dowcipem, lecz nie na długo.

Och! Gdyby mogło nie nastąpić nigdy to pojutrze, ta niedziela! — zawołał znowu, ale już do reszty zrozpaczony. — Dlaczego ten jedyny, jedyny tydzień nie mógłby się obejść bez niedzieli — *si le miracle existe?* Coby zaszkodziło Opatrzności wykreślić z kalendarza tę jedną niedzielę, chociażby poto, aby ukazać swą wszechmoc niedowiarkowi, — *et que tout soit dit!* O, jakem ją kochał! Dwadzieścia lat, dwadzieścia lat! A ona nigdy nie rozumiała mnie!

— O kim pan mówi? Nie rozumiem pana, — zapytałem zdziwiony.

— *Vingt ans!* I nigdy nie rozumiała mnie! To okrutne! Czyż ona może myśleć, że ja się żenię ze strachu lub z potrzeby? O, hańbo! Ciociu, ciociu, to wszystko dla ciebie. Niech się dowie ta ciocia, że ona jest jedyną kobietą, jaką ubóstwiałem przez dwadzieścia lat! Musi się dowiedzieć, inaczej chyba siłą zataszczą mnie do tego *ce qu'on appelle* ołtarza.

Słyszałem po raz pierwszy to wyznanie, wypowiedziane tak kategorycznie. Przyznam, że strasznie mi się śmiać chciało. Nie miałem racji.

— Tylko on jeden pozostał mi teraz, cała nadzieja moja! — podniósł ręce, jakgdyby uderzony nową myślą. — Teraz tylko on, mój biedny chłopczyna, może mnie uratować! Dlaczego niema go jeszcze? O, synu mój, Piotrusiu... chociaż nie ojcem byłem, lecz tygrysem... lecz.. *laissez moi, mon ami.* Chcę poleżeć trochę, aby skupić myśli. Taki jestem zmęczony, taki zmęczony, a i panu czas do domu. *Voyez vous*, już północ.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

KUTERNÓŻKA.

I.

Tym razem Szatow nie był uparty, i w myśl mego listu stawił się w południe u Lizawety Mikołajewny. We-

szliśmy prawie jednocześnie z nim; przyszedłem także, aby złożyć moją pierwszą wizytę. Wszyscy, a więc Liza, jej matka i Maurycy Mikołajewicz, siedzieli w salonie i sprzeczali się. Matka żądała, aby Liza zagrała jakiegoś walca na fortepianie, a gdy Liza spełniła jej prośbę, zaczęła dowodzić, że to nie ten walc. Maurycy Mikołajewicz w prostocie ducha stanął w obronie Lizy, twierdząc, że to właśnie ten sam walc; staruszka rozpłakała się ze złości. Była chora i chodziła z trudem. Spuchły jej nogi i nic innego nie robiła, tylko kaprysiła i czepiała się wszystkich, chociaż zwykle trochę bała się Lizy. Ucieszyła się z naszego przyjścia. Liza aż zarumieniła się z radości, i powiedziawszy mi *merci*, oczywiście za przyprowadzenie Szatowa, podeszła do niego i zaczęła mu się przyglądać ciekawie.

Szatow niezgrabnie zatrzymał się przy progu. Podziękowała mu za to, że przyszedł, zaprowadziła do matki.

—To pan Szatow, o którym mówiłam już z mamą, a to pan G-w, przyjaciel Stepana Trofimowicza i mój. Maurycy Mikołajewicz już wczoraj miał zaszczyt pana poznać.

— A który profesor?

— Żadnego profesora niema, *maman*.

— Jest napewno. Sama mówiłaś, że będzie profesor; napewno ten, — wskazała wzgardliwie na Szatowa.

— Ależ nigdy nie mówiłam, że będzie profesor. Pan G-w jest urzędnikiem, a pan Szatow był studentem.

— Student, czy profesor, toć zawsze z uniwersytetu. Tobie byle się sprzeczać. A szwajcarski miał wąsy i brodę.

— To *maman* zawsze nazywa profesorem syna Stepana Trofimowicza, — wyjaśniła Liza, zaprowadziła Szatowa na drugi koniec salonu i posadziła go na kanapie. — Gdy spuchną jej nogi, zawsze jest taka. Rozumie pan, chora, — szepnęła do Szatowa, wciąż przypatrując się z niesłychaną ciekawością jemu i jego wicherkowi na głowie.

— Pan w wojsku? — zwróciła się do mnie staruszka, z którą tak nielitościwie porzuciła mnie Liza.

— Nie, na posadzie...

— Pan G-w jest najbliższym przyjacielem Stepana Trofimowicza, — znów odezwała się Liza.

— Na posadzie u Stepana Trofimowicza? Przecież on też profesor?

— Ach, *maman*, ty zapewne i we śnie widujesz profesorów! — krzyknęła Liza zniecierpliwiona.

— Dosyć ich mam na jawie. A ty zawsze byle tylko sprzeciwić się matce. Cztery lata temu, kiedy przyjechał Mikołaj Wsiewołodowicz, pan mieszkał w tem mieście?

Odpowiedziałem, że tak.

— A z panem... był tu podobno jakiś Anglik?

— Nie, proszę pani.

Liza zaśmiała się.

— A widzisz, *maman*, że żadnego Anglika nie było. Kłamstwo, i już. I Barbara Piotrowna, i Stepan Trofimowicz, oboje kłamią. Zresztą, wszyscy kłamią.

— Rzecz w tem, że wczoraj ciocia i Stepan Trofimowicz wynaleźli jakieś wspólne rysy między Mikołajem Wsiewołodowiczem a księciem Harry w „Henryku IV" Szekspira. Stąd te brednie o jakichś tam Anglikach — wyjaśniła Liza.

— Jeżeli nie było księcia Harry, to nie było i Anglika. Tylko Mikołaj Wsiewołodowicz bałaganił.

— Upewniam pana, że *maman* tak naumyślnie — zwróciła się Liza do Szatowa. Przecież doskonale wie, kto to był Szekspir. Sama czytałam jej na głos pierwszy akt „Otella", ale teraz *maman* cierpi bardzo. *Maman*, słyszysz, bije dwunasta, czas, abyś wzięła lekarstwo.

W drzwiach ukazała się służąca.

— Doktór przyjechał.

Staruszka wstała i zaczęła wabić do siebie pieska.

— Zemirko, Zemirko, chodź ze mną ty przynajmniej.

Brzydka, stara, mała Zemirka nie chciała słuchać i schowała się pod kanapkę, na której siedziała Liza.

— Nie chcesz. To i ja ciebie nie chcę. Żegnam pana, nie wiem jak się pan nazywa, — zwróciła się do mnie.

— Anton Ławrentjewicz...

— Wszystko jedno. Przez jedno ucho wchodzi, przez drugie wychodzi. Nie potrzebujesz mnie pan odprowadzać, Maurycy Mikołajewiczu. Ja wołałam na Zemirkę. Chwała Bogu, jeszcze sama chodzę, a jutro pojadę na spacer.

Wyszła z sali obrażona.

— Antoni Ławrentjewiczu, niech pan tymczasem pomówi z Maurycym Mikołajewiczem; zapewniam panów, że obaj będziecie radzi, gdy się poznacie bliżej — mówiła Liza i po przyjacielsku uśmiechnęła się do Maurycego Mikołajewicza, który rozpromieniał cały od jej spojrzenia.

Nie było rady. Zacząłem rozmowę z Maurycym Mikołajewiczem.

II.

Interes, który Lizaweta Mikołajewna miała do Szatowa, ku memu zdziwieniu, dotyczył istotnie kwestyj literackich. A przypuszczałem, sam nie wiem dlaczego, że o co innego jej chodziło. My, to znaczy Maurycy Mikołajewicz i ja, widząc, że przed nami nie robią sekretu, zaczęliśmy się przysłuchiwać, potem nawet wciągnięci zostaliśmy do wspólnej narady. Sprawa polegała na tem, że Lizaweta Mikołajewna już oddawna nosiła się z myślą wydania książki, bardzo, zdaniem jej, potrzebnej, będąc zaś niedoświadczoną, szukała współpracownika. Powaga, z jaką tłumaczyła wszystko Szatowowi, zdumiewała mnie.

— Panna zupełnie współczesna, — myślałem. — Niedarmo mieszkała w Szwajcarji.

Szatow słuchał uważnie, wpatrzony w podłogę, wcale nie zdziwiony, że światowa, roztrzepana dziewczyna porywa się na rzeczy, wcale dla niej, napozór, nieodpowiednie.

Zamiar był taki. W Rosji wychodzi dużo dzienników i czasopism stołecznych i prowincjonalnych i wszystkie notują codzień tysiące zdarzeń. Mija rok, gazety składa się gdzieś do szafy, lub podarte, idą na owijanie pakunków. Niejeden z faktów notowanych zwraca uwagę i pozostaje na czas jakiś w pamięci, lecz z biegiem lat bywa zapomniany. Nieraz chciałoby się przypomnieć sobie, ale cóż za praca babrać się w tem morzu arkuszów, nie znając często ani daty, ani miejsca, ani czasem nawet roku. Gdyby zaś zebrać te wszystkie fakty w jedną książkę, podług określonego planu i podług pewnej linji wytycznej, z tytułami,

spisem rzeczy, podług dat, — to taki rozbiór mógłby odzwierciedlić całe życie Rosji, pomimo, że nie wszystko przedostaje się do gazet.

— I zamiast dużej ilości arkuszów, wyrośnie kilka grubych tomów, a więcej nic, — zauważył Szatow.

Lecz Lizaweta Mikołajewna gorąco broniła swego pomysłu, chociaż trudno jej było się wysłowić. Powinien być jeden tom, — mówiła, — nawet niezbyt duży. A jeżeli nawet duży, to w każdym razie łatwy i przejrzysty, gdyż wszystko zależy od planu i sposobu wyłożenia. Nie wszystko będzie się brało i przedrukowywało. Dekrety, działalność rządu, rozporządzenia władz, prawodawstwo, —są to wszystko rzeczy bardzo ważne, ale w tej książce można je pominąć. Można dużo odrzucić i poprzestać na wyborze zdarzeń, które mniej lub więcej odzwierciadlają życie moralne narodu w danym momencie. Tu może być wszystko: widowiska, pożary, ofiary, dobre i złe uczynki, przemówienia, a nawet może wiadomości o wylewach rzek, może i niektóre rozporządzenia władz; ale wybierać trzeba tylko to, co charakteryzuje epokę; nad wszystkiem powinna górować pewna opinja, pewien cel, pewna dążność, tworząca z rozproszonych faktów całość. Wreszcie książka powinna być interesująca, nawet dla lektury, a nietylko jako źródło informacyj. Byłoby to odbicie duchowego, moralnego, wewnętrznego życia Rosji przez cały rok. „Trzeba, aby każdy kupił tę książkę, aby się z nią nie rozstawał", — twierdziła Liza. „Rozumiem, że wszystko zależy od planu, i dlatego zwracam się do pana". Zapaliła się, i chociaż wysławiała się mglisto, niewyraźnie, Szatow zaczynał rozumieć.

— To znaczy ma być coś tendencyjnego. Wybór faktów podług pewnej tendencji, — odezwał się, wciąż nie podnosząc głowy.

— Wcale nie, podług żadnej tendencji, nie trzeba żadnej tendencji. Bezstronność — oto jedyna tendencja.

— Nie zaszkodzi i tendencja, — zaczął ożywiać się Szatow. — Zresztą nie da się uniknąć, skoro już mowa o wyborze faktów. W samym wyborze już będzie wskazówka, jak należy je rozumieć. Pani pomysł jest niezły.

— Więc pan sądzi, że taka książka jest możliwa? — cieszyła się Liza.

— Trzeba to rozpatrzeć, pomyśleć. To olbrzymia rzecz. Tak odrazu nic nie wymyślimy. Tu trzeba doświadczenia. Nawet jeżeli wydamy książkę, to jeszcze nie będziemy wiedzieli, jak to trzeba robić. Chyba po szeregu prób. Lecz myśl się wykluwa. Myśl jest pożyteczna.

Podniósł wkońcu oczy, a błyszczały mu już od zadowolenia, tak zainteresował się sprawą.

— Czy to pani własny pomysł? — zapytał łagodnie i wstydliwie.

— Co tam pomysł? Tu najtrudniej o plan, — uśmiechnęła się Liza. — Mało się na tem rozumiem, głowy do tego nie mam, a określam tylko to, co jest jasne i dla mnie...

— Określa pani?

— Pewno źle się wysłowiłam? — sprawdziła siebie Liza.

— Można i tak. Ja nie w tym celu powtórzyłem.

— Wydało mi się jeszcze zagranicą, że i ja się mogę na coś przydać. Mam pieniądze, które leżą bez potrzeby. Dlaczego nie miałabym popracować dla dobra ogólnego? A pomysł przyszedł sam. Nie myślałam nad nim i ucieszyłam się. Lecz zrozumiałam odrazu, że sama tu nie podołam bez współpracownika. Współpracownik stanie się, rzecz prosta, współwydawcą książki. Wszystko po połowie. Pan daje plan i pracę, a ja — pomysł i środki na wydanie. Przecież książka musi się opłacić.

— Jeżeli potrafimy stworzyć odpowiedni plan, to pójdzie.

— Uprzedzam pana, że nie zależy mi na zysku, lecz chciałabym, aby książka się rozpowszechniła i byłabym z zysku dumna.

— A mnie co do tego?

— Przecież ja pana właśnie proszę na współpracownika... Wszystko więc po połowie. Pan stworzy plan.

— Dlaczego pani myśli, że ja potrafię?

— Mówiono mi o panu, i tu już słyszałam... Wiem, że pan bardzo mądry... i pracuje... i myśli dużo; w Szwajcarji mówił mi o panu Piotr Stepanowicz Wierchowieński, — dodała pośpiesznie. — To rozumny człowiek, prawda?

Szatow prześlizgnął się po niej badawczem spojrzeniem i natychmiast spuścił oczy.

— Mikołaj Wsiewołodowicz także mówił mi dużo o panu.

Szatow poczerwieniał.

— A zresztą, oto są gazety, — gorączkowo mówiła Liza, chwytając z krzesła przygotowaną i związaną paczkę dzienników. — Próbowałam tu odnotować fakty, zrobiłam wybór, ponumerowałam... Pan zobaczy.

Szatow wziął paczkę do rąk.

— Niech pan weźmie to do domu i przejrzy. Pan gdzie mieszka?

— Na Bogojawleńskiej, w domu Filipowa.

— Wiem. Tam, zdaje się mieszka obok pana jakiś kapitan Lebiadkin, — tak samo gorączkowo pytała Liza.

Szatow z paczką w ręku przesiedział długą chwilę bez odpowiedzi, uporczywie wpatrzony w podłogę.

— Do tych spraw niech pani wybierze sobie kogo innego, a ja się do tego nie nadaję, — wymówił wreszcie, dziwnie zniżonym głosem, prawie szeptem.

Liza zerwała się.

— O jakich sprawach pan mówi? Maurycy Mikołajewiczu, — zawołała. — Niech pan da tamten list.

Wraz z Maurycym Mikołajewiczem zbliżyła się do stołu.

— Niech pan patrzy! — zwróciła się do mnie, rozkładając list. Głos jej drżał. — Czy widział pan kiedy coś podobnego? Proszę pana, niech pan przeczyta głośno. Chcę, aby i pan Szatow słyszał.

Z wielkiem zdumieniem odczytałem głośno następujący elaborat:

Nieporównanym zaletom dziewicy Tuszynej!

„Szanowna Pani,

„Lizaweto Mikołajewna!

„Ach, cudowna to kobieta
„Tuszyna Elizaweta,
„Gdy z krewnym na damskiem siodle lata,
„A wiatr jej włosy rozplata,
„Lub kiedy z matką klęczy u ołtarzy,
„I pali się rumieniec na pobożnej twarzy,
„Wtedy ślubnych rozkoszy legalnych pożądam,
„I we łzach na Jej matkę i na Nią spoglądam".

Napisał nieuk w czasie sporu.

„Szanowna Pani! Najdotkliwiej boleję, że dla sławy nie postradałem prawicy w Sewastopolu, gdziem nie był, a odbyłem pochód przy dostawie podłej żywności, którą nisko sobie cenię. Jesteś Boginią starożytności, a ja Nicością, a przekonałem się o tem w nieskończoności. Patrz, Bogini, na to jak na wiersze, a nie inaczej, bo wiersze to rzecz błaha i wszystko usprawiedliwia, co w prozie zwie się zuchwalstwem. Czy może słońce miotać pioruny na bakcyla, gdy bakcyl tworzy na cześć słońca wewnątrz kropli wody, gdzie ich w mikroskopie są miljony? Sam nawet klub miłosierdzia ludzkiego nad zwierzętami, istniejący w Petersburgu przy najwyższych sferach, prawnie współczując koniowi i psu, gardzi krótkim bakcylem, i nie wspomina o nim, gdyż nie dorósł. Nie dorosłem ja także. Myśl o poślubieniu wydałaby się wartą śmiechu, lecz w czasie niedalekim posiadać będę dwieście dusz dzięki nienawistnemu, którym gardzisz. Mogę wiele rzeczy wyjawić, i podejmuję się na podstawie dokumentów wysyłać na Sybir.

Nie gardź Pani. List od bakcyla należy ujmować jak wiersze.

Kapitan Lebiadkin, sługa pokorny, czeka".

— To pisał człowiek pijany i nikczemnik! — zawołałem oburzony. — Znam go.

— List ten otrzymałam wczoraj — mówiła Liza, zarumieniona i niespokojna. — Zrozumiałam sama, że to jakiś niepoczytalny człowiek, i nawet nie pokazywałam listu *maman*, aby jej nie denerwować jeszcze więcej. Lecz jeśli on na tem nie poprzestanie, już sama nie wiem, co robić. Maurycy Mikołajewicz chce pójść do niego i powiedzieć kilka słów. Ponieważ traktowałam pana, jako współpracownika mego, — zwróciła się do Szatowa, — i ponieważ pan tam mieszka, chciałam dowiedzieć się z pańskich ust, czego mogę od tego człowieka oczekiwać.

— Pijak to i szubrawiec, — z pewnym przymusem wybąkał Szatow.

— On zawsze taki głupi?

— O, nie, on wcale nie głupi, kiedy trzeźwy.

— Znałem jednego generała, który pisywał akurat takie same wiersze, — dodałem, śmiejąc się.

— Nawet z tego listu widać, że to człowiek chytry, — nieoczekiwanie wtrącił Maurycy Mikołajewicz, który milczał dotychczas.

— Podobno ma jakąś siostrę? — pytała Liza.

— Tak, mieszka z siostrą.

— Podobno znęca się nad nią, czy to prawda?

Szatow znów zbladł, zasępił się, burknął: „co mi do tego?" i ruszył do drzwi.

— Niech pan poczeka, — trwożnie wołała Liza, — dokąd pan idzie? Mamy jeszcze tyle do omówienia...

— Co tam! Jutro zawiadomię panią.

— Ale chodzi o rzecz główną, o drukarnię! Niech mi pan wierzy, że ja nie na żarty, że ja poważnie chcę się tem zająć, — coraz trwożniej zapewniała Liza. — Jeżeli postanowimy wydawać, to gdzie drukować? Przecież to najważniejsza kwestja! Do Moskwy z tem nie pojedziemy, a tutejsza drukarnia nie nadaje się dla takiego wydawnictwa. Ja już dawno postanowiłam założyć własną drukarnię, chociażby na pańskie imię; jeżeli na cudze imię, to mama napewno pozwoli.

— Skąd pani wie, że mogę być także drukarzem?

— Piotr Stepanowicz wskazywał mi jeszcze w Szwajcarji na pana, jako na człowieka, który zna się na rzeczy i może prowadzić drukarnię. Chciał mi nawet dać list do pana, lecz zapomniałam wziąć.

Szatow, pamiętam dobrze, zupełnie zmienił się na twarzy. Postał jeszcze parę chwil i wyszedł z pokoju.

Liza rozgniewała się.

— Czy on zawsze w ten sposób wychodzi? — zwróciła się do mnie.

Wzruszyła ramionami, lecz w tej chwili wrócił Szatow, podszedł prosto do stołu i położył zabraną paczkę gazet.

— Nie będę współpracownikiem. Nie mam czasu.

— Ale dlaczego, dlaczego? Pan się rozgniewał, — pytała Liza głosem błagającym i zasmuconym.

Zdziwił go dźwięk jej głosu. Uważnie zaczął wpatrywać się w nią, jakgdyby chciał przeniknąć do głębi jej duszy.

— Wszystko jedno, — wyszeptał, — ja nie chcę...

I wyszedł. Liza osłupiała. Wydało mi się nawet, że jej osłupienie było nadmierne.

— Zadziwiający człowiek! — zauważył głośno Maurycy Mikołajewicz.

III.

Że „zadziwiający", to prawda. A jednak było w tem wszystkiem coś niezwykle mglistego, niedopowiedzianego. Stanowczo nie wierzyłem w to całe wydawnictwo, potem ten idjotyczny list, w którym jednak była zbyt wyraźna propozycja zdenuncjowania kogoś „na podstawie dokumentów", oni jednak kwestję tę pominęli milczeniem, a mówili o czemś innem, wreszcie ta drukarnia i gwałtowne wyjście Szatowa właśnie dlatego, że wspomniano o drukarni. To wszystka nasunęło mi na myśl, że już przedtem zaszło coś takiego, o czem nie wiem, że w takim razie, jestem tu zbyteczny, i nie moja to sprawa. Czas już był zresztą wyjść, gdyż pierwsza wizyta trwała zbyt długo. Zbli-

żyłem się do Lizawety Mikołajewny, aby się z nią pożegnać.

Jakgdyby zapomniała, że jestem w pokoju, i wciąż stała przy stole, zamyślona, ze schyloną głową: wpatrzona nieruchomo w jakiś punkt na dywanie.

— Ach, pan także wychodzi? Do widzenia, — odezwała się głosem mechanicznie uprzejmym. — Niech pan pozdrowi ode mnie Stepana Trofimowicza i namówi go, aby jak najprędzej przyszedł. Maurycy Mikołajewiczu, Anton Ławrentjewicz już idzie... Pan wybaczy, lecz mamie trudno przyjść pożegnać pana...

Wyszedłem i już byłem na schodach, gdy zatrzymał mnie lokaj.

— Pani prosi pana.

— Pani, czy panienka?

— Lizaweta Mikołajewna.

Zastałem już Lizę nie w dużym salonie, gdzieśmy siedzieli przed chwilą, a w sąsiednim pokoju. Drzwi od salonu, w którym pozostał Maurycy Mikołajewicz, były szczelnie zamknięte.

Liza uśmiechnęła się do mnie, lecz była blada. Stała na środku pokoju, pasując się ze sobą, stanowcza. Schwyciła mnie za rękę i w milczeniu pociągnęła do okna.

— Chcę natychmiast ją widzieć — szepnęła, utkwiwszy we mnie gorące, silne, niecierpliwe spojrzenie, nie dopuszczające nawet cienia protestu. — Muszę ją widzieć na własne oczy i proszę pana o pomoc.

Była zrozpaczona i prawie nieprzytomna.

— Kogo pani chce widzieć? — spytałem przerażony.

— Ją, siostrę Lebiadkina, tę kulawą... To prawda, że ona kulawa?

Osłupiałem.

— Nie widziałem jej nigdy, ale opowiadano mi, że istotnie kulawa, opowiadano mi jeszcze wczoraj — wyjąkałem szybko i niemal szeptem.

— Muszę ją widzieć. Koniecznie. Czy pan może urządzić to dziś jeszcze?

Ogarnęła mnie litość.

— To niemożliwe, a zresztą nie mam pojęcia, jak to zrobić, — pójdę chyba do Szatowa...

— Jeżeli pan do jutrzejszego dnia tego nie urządzi, pójdę do niej sama, gdyż Maurycy Mikołajewicz nie chce mi towarzyszyć. Liczę tylko na pana, a więcej nie mam nikogo; z Szatowem głupio dziś mówiłam... Mam pewność, że pan jest człowiekiem zupełnie uczciwym, a może nawet ma pan dla mnie trochę życzliwości, więc niech pan to zrobi!

Poczułem niewysłowione pragnienie pomóc jej we wszystkiem.

— Wiem już, — powiedziałem po chwili namysłu, — pójdę dziś sam i bezwzględnie, nieodwołalnie zobaczę się z nią. Tak zrobię, że się zobaczę, daję pani słowo honoru; lecz niech mi pani pozwoli zwierzyć się Szatowowi.

— Dobrze. Niech mu pan powie, że tak chcę, i że dłużej czekać nie mogę, ale że jego nie oszukiwałam. Pewno dlatego wyszedł, że jest zbyt uczciwy i nie podobało się mu, że może ja go oszukuję. Nie oszukiwałam go, i rzeczywiście myślę o wydawnictwie i o drukarni.

— On jest bardzo, bardzo uczciwy, — gorąco potwierdziłem.

— A jeżeli do jutrzejszego dnia nie urządzi pan, pójdę sama, chociażby wszyscy mieli się o tem dowiedzieć, a potem niech się dzieje, co chce.

— Wcześniej, niż o trzeciej, nie mogę być jutro u pani, — opamiętałem się.

— A więc, o trzeciej! To znaczy, że słusznie pomyślałam wczoraj o panu u Stepana Trofimowicza, że jest mi pan trochę życzliwy? — uśmiechnęła się, pośpiesznie pożegnała się ze mną i poszła do osamotnionego Maurycego Mikołajewicza.

Wyszedłem, zgnębiony własną obietnicą i nie rozumiejąc, co zaszło. Miałem przed sobą kobietę prawdziwie zrozpaczoną, która nie wahała się nawet skompromitować nadmiernem zaufaniem do mało znajomego mężczyzny. Jej kobiecy uśmiech w tak ciężkiej dla niej chwili i to wyznanie, że zauważyła jeszcze wczoraj moje uczucia, mocno ukłuły mnie w serce. Lecz przedewszystkiem żal mi jej

było! Jej tajemnica stała się dla mnie święta, i gdyby nawet ktoś zaczął odsłaniać ją przede mną, zatknąłbym uszy i nie chciałbym słuchać. Coś przeczuwałem... A jednak, nie miałem pojęcia, jak to urządzić. A właściwie nie wiedziałem nawet, co trzeba urządzić. Spotkanie? Lecz jakie spotkanie? Jak sprowadzić je razem? Cała nadzieja leżała w Szatowie, chociaż mogłem zawczasu przypuszczać, że nie pomoże mi. A jednak pobiegłem do niego.

IV

Wieczorem dopiero, o ósmej godzinie, zastałem go w domu. Ku wielkiemu zdziwieniu, miał gości. Byli u niego Kiriłow i jeszcze jedna osoba, którą ledwo znałem, niejaki Szigalew, brat żony Wirgińskiego.

Ów Szigalew bawił u nas już od paru miesięcy. Nie wiem, skąd przybył; słyszałem tylko, że jakiś artykuł jego był drukowany w jednem z postępowych pism petersburskich. Zapoznał mnie z nim wypadkowo, na ulicy, Wirgiński. W życiu swojem nie widziałem człowieka tak pochmurnego, mrocznego jak on. Tak patrzył, jakgdyby oczekiwał końca świata, lecz nie kiedyś tam, podług obliczeń proroków, które mogą się nawet nie sprawdzić, a zupełnie ściśle, naprzykład pojutrze, punkt dwadzieścia minut po dziesiątej. Wtedy nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, tylko uścisnęliśmy sobie dłonie z miną spiskowców. Najwięcej uderzyły mnie wtedy jego uszy nadnaturalnej wielkości, długie, szerokie i grube, dziwnie odstające. Miał ruchy niezgrabne i powolne. Jeżeli Liputin marzył czasem, że w naszej gubernji mogą powstać falanstery, ten znał napewno dzień i godzinę, kiedy to nastąpi. Zrobił na mnie ponure wrażenie. Zdziwiłem się, gdy spotkałem go u Szatowa, tem bardziej, że Szatow nie lubił podejmować gości.

Na schodach jeszcze słyszałem, że rozmawiają bardzo głośno, wszyscy razem, i prawdopodobnie kłócą się. Gdy jednak wszedłem, zamilkli natychmiast. Widocznie sprzeczali się stojąc, lecz teraz raptem siedli. Usiadłem i ja. Parę minut panowało kłopotliwe milczenie. Sziga-

lew poznał mnie, lecz udał, że nie zna; widocznie jednak nie kierował się żadną niechęcią do mnie. Z Kiriłowem zamieniliśmy ukłony, i nie wiem dlaczego, nie podaliśmy sobie rąk. Szigalew zaczął wreszcie patrzeć na mnie surowo i ponuro, w naiwnem przeświadczeniu, że natychmiast zerwę się i pójdę. Wreszcie wstał z krzesła, i tamci też wstali natychmiast. Wyszli bez pożegnania, lecz już na progu Szigalew rzekł do Szatowa.

— Pamiętaj pan, że musisz pan złożyć wyjaśnienia.

— Gwiżdżę na wasze wyjaśnienia, i przed nikim nie poczuwam się do żadnych obowiązków, — powiedział Szatow i zamknął za nimi drzwi.

— Gawrony! — zwrócił się do mnie, i wykrzywił twarz.

Miał minę gniewną i zdziwiłem się nawet, że pierwszy się odezwał. Zwykle, gdy zaglądałem do niego (bardzo rzadko zresztą), siadał posępnie w kącie, gniewnie odpowiadał, i dopiero po pewnym czasie ożywiał się i rozmawiał chętnie. Przy pożegnaniu zawsze zasępiał się znowu i odprowadzał mnie za drzwi z taką miną, jakgdyby wyrzucał osobistego wroga.

— U tego Kiriłowa piłem wczoraj herbatę, — powiedziałem. — Zdaje się, że on ma bzika na tle ateizmu.

— Ateizm rosyjski nigdy nie wykracza poza kalambury, — burknął Szatow, oprawiając nową świecę zamiast ogarka, który tkwił w lichtarzu.

— Nie, u niego to nie kalambur. Ten człowiek nawet mówić nie umie, a cóż dopiero robić kalambury.

— Papierowi ludzie, lokajstwo myśli — spokojnie odpowiedział Szatow, usiadł w kącie i oparł dłonie na kolanach.

— I nienawidzą, — wymówił po chwili milczenia. — Byliby najnieszczęśliwsi, gdyby Rosja przekształciła się podług ich formułki, i gdyby nagle stała się szczęśliwa i bogata. Kogóż mieliby nienawidzić wtedy? Kogo zaplwać? Kogo spotwarzać? Tam tylko zwierzęca, nieskończona nienawiść do Rosji, przenikająca całą duszę... I niema tu żadnych „łez, niewidzialnych dla świata, poza zewnętrznym śmiechem". Nigdy jeszcze nie wypowiedział

nikt w Rosji tak kłamliwych słów, jak te o niewidzialnych łzach! — wykrzyknął ze złością.

— Ależ pan przesadza! — uśmiechnąłem się.

— A pan jest „umiarkowanym postępowcem", — mówił Szatow. — A pan wie, że z tem „lokajstwem myśli" to mi się nie udało. Pan napewno pomyślał, że to ja jestem synem lokajskim, a nie pan.

— Ależ nawet do głowy mi nie przyszło!

— Niech się pan nie usprawiedliwa. Ja się pana nie obawiam. Wtedy — to tylko zrodził mnie lokaj, a teraz sam stałem się lokajem, takim samym zresztą, jak pan. Nasz postępowiec rosyjski jest przedewszystkiem lokajem i rozgląda się stale, komuby tu buty oczyścić.

— Jakie buty? Co za alegorja!

— To nie żadna alegorja. Pana to śmieszy? Stepan Trofimowicz trafnie to określił, że ja leżę pod kamieniem, przyduszony, lecz wciąż żywy, i wiję się. Bardzo dobre porównanie.

— Stepan Trofimowicz zapewnia, że pan ma bzika na punkcie Niemców, — śmiałem się. — Ale przecież udało się nam od Niemców coś ukraść i schować do kieszeni.

— Schowaliśmy złotówkę, a oddaliśmy sto rubli.

Zamilkliśmy. Po chwili znów się odezwał.

— Wyleżał sobie to w Ameryce.

— Kto? Co wyleżał?

— Kiriłow. Przeleżeliśmy z nim cztery miesiące w jednej izbie na podłodze.

— Pan był i w Ameryce? — pytałem zdziwiony. — Nigdy pan o tem nie wspominał.

— Nie warto. Przed dwoma laty wyruszyliśmy we trzech za ostatnie pieniądze do Ameryki na okręcie emigracyjnym, „aby poznać na własnej skórze życie proletarjusza amerykańskiego i w ten sposób sprawdzić przez doświadczenie osobiste stan człowieka na najniższym stopniu społecznym". Taki cel nam przyświecał.

— Mój Boże! — zawołałem. — Woleliby już panowie wyruszyć na przednówku do pierwszej lepszej gubernji rosyjskiej, na wieś i tam „sprawdzać przez doświadczenie osobiste". Pocóż było jechać aż do Ameryki?

— Wstąpiliśmy, jako robotnicy, do pewnego eksploatatora. Było nas sześciu Rosjan u niego. Studenci, nawet obywatele ziemscy, nawet oficerowie, a wszyscy w tym samym wzniosłym celu. Harowaliśmy, mokliśmy, męczyliśmy się, sił nam brakło, wreszcie my dwaj, Kiriłow i ja, porzuciliśmy robotę. Zachorowaliśmy, nie mogliśmy wytrzymać. Gospodarz okpił nas przy obrachunku. Zamiast umówionych trzydziestu dolarów wypłacił mnie osiem, jemu zaś piętnaście; nawet bito nas tam nieraz. Tak bez pracy przeleżeliśmy z Kiriłowem na podłodze w jakiemś miasteczku cztery miesiące. Jeden obok drugiego. Każdy myślał o czem innem.

— Czyż to możliwe, aby gospodarz was bił? W Ameryce? Cóż wy na to? Musieliście rugać go?

— Bynajmniej. Przeciwnie, postanowiliśmy wtedy z Kiriłowem, że „my, Rosjanie, wobec Amerykanów jesteśmy jak małe dzieci, i że trzeba się urodzić w Ameryce, albo, przynajmniej, zżyć się z Amerykanami wciągu długich lat, aby stanąć z nimi narówni". Co tam! Gdy za rzecz groszową żądano od nas dolara, płaciliśmy nietylko z przyjemnością, ale wprost z zachwytem. Chwaliliśmy wszystko: spirytyzm, prawo Lyncha, rewolwery, włóczęgów. Jadę raz, a tu jakiś człowiek wsuwa rękę do mojej kieszeni, wyjmuje szczotkę do głowy i zaczyna się czesać; spojrzeliśmy z Kiriłowem po sobie i uznaliśmy, że tak być powinno, i że nawet to się nam podoba.

— To dziwne, że nietylko powstają u nas takie pomysły, lecz nawet realizują się, — zauważyłem.

— Papierowi ludzie, — powtórzył Szatow.

— Jednakże, pływać tak przez ocean na okręcie emigracyjnym, do nieznanych lądów, aby „sprawdzić przez osobiste doświadczenie", — w tem jest jakiś szczytny upór... Jak pan wydostał się stamtąd?

— Napisałem do Europy do pewnego człowieka, i ten przysłał mi sto rubli.

Rozmawiając, Szatow wpatrywał się, jak zwykle, w podłogę, nawet wtedy, gdy był przejęty. Teraz jednak podniósł głowę.

— Chce pan znać nazwisko tego człowieka?

— Któż to taki?

— Mikołaj Stawrogin.

Wstał, podszedł do biurka i zaczął tam czegoś szukać. Mówiono u nas, niewyraźnie, lecz uporczywie, że żona Szatowa żyła przez czas jakiś w Paryżu ze Stawroginem, właśnie przed dwoma laty, czyli wtedy, gdy Szatow był w Ameryce. Żona opuściła go znacznie wcześniej. „Jeżeli tak, poco mu się chciało rozwałkowywać tę sprawę i mówić nazwisko?" — pomyślałem.

— Nawet nie oddałem mu dotychczas, — zwrócił się znów do mnie, wpatrując się we mnie badawczo. Usiadł na dawnem miejscu w kącie i zapytał, zupełnie już innym głosem.

— Pan ma do mnie jakiś interes? O co panu chodzi?

Opowiedziałem mu wszystko, w porządku ściśle chronologicznym i dodałem, że chociaż zdążyłem już opanować siebie, jednak plączę się coraz więcej. Rozumiem, że jest to rzecz bardzo ważna dla Lizawety Mikołajewny, pragnę gorąco pomóc jej, lecz nietylko nie wiem, jak spełnić daną obietnicę, ale nie zdaję sobie nawet sprawy, co właściwie obiecałem. Potem tonem stanowczym zapewniłem go, że Lizaweta Mikołajewna nie miała najmniejszego zamiaru oszukiwać go, że tu zaszło jakieś nieporozumienie, i że gwałtowne jego wyjście bardzo ją ubodło.

Słuchał uważnie.

— Może istotnie, podług swego zwyczaju, palnąłem głupstwo... Lecz jeśli nie zrozumiała, dlaczego wyszedłem... tem lepiej dla niej.

Zerwał się, podszedł do drzwi, otworzył je i zaczął się wsłuchiwać.

— Czy pan sam zobaczyć chce tę osobę?

— Właśnie o to mi chodzi, lecz jak to zrobić? — zawołałem ucieszony.

— Poprostu pójdziemy do niej, póki jest sama. Gdy przyjdzie brat, zbije ją, o ile się dowie, żeśmy byli. Często zaglądam do niej potajemnie. Wczoraj stłukłem go, gdy zaczął ją ćwiczyć.

— Co też pan mówi?

— Tak. Schwyciłem go za czuprynę i odwlokłem od niej. Chciał potem rzucić się na mnie, lecz przestraszył się. Obawiam się, że gdy wróci pijany, a przypomni sobie, — zemści się na niej.

Zeszliśmy nadół.

V.

Drzwi do mieszkania Lebiadkinych były nawpół otwarte, weszliśmy więc bez kłopotu. Lokal ich składał się z dwu marnych pokoików, o zakopconych ścianach, z których zwisały strzępy tapet. Przedtem był tu szynk, dopóki Filipow nie przeniósł go do swego nowego domu. Inne pokoje, dawniej także należące do szynku, były zamknięte na głucho, a te dwa zajął Lebiadkin. Umeblowanie składało się z prostych ław i stołów ciosanych, i jednego starego fotela bez poręczy. W drugim pokoju stało w rogu łóżko Lebiadkinej, nakryte perkalową kołderką. Sam kapitan, wracając na noc, kładł się na podłodze, zwykle w ubraniu. Wszędzie śmieci, kurz, wilgoć; duża mokra ścierka leżała pośrodku pierwszego pokoju, a obok niej jakiś stary, wydeptany trzewik. Widać było, że tu nikt nie pracuje, że w piecach się nie pali, jadła się nie warzy. Kapitan nie miał nawet samowaru, o czem mi opowiedział Szatow. Przyjechał z siostrą w zupełnej nędzy, i rzeczywiście, jak mówił Liputin, wypraszał tu i ówdzie trochę grosza; otrzymawszy jednak pieniądze, natychmiast począł pić i tak pogrążył się w pijaństwie, że już nie mógł myśleć o gospodarstwie domowem.

Lebiadkina, którą tak pragnąłem zobaczyć, siedziała skromnie i cichutko w drugim pokoju, w rogu, na ławie, przed stołem kuchennym. Nie odezwała się nawet, gdyśmy weszli i nie ruszyła się z miejsca. Mówił mi Szatow, że drzwi zawsze są u nich otwarte. Kiedyś przez noc całą stały naoścież. Przy wątłym blasku woskowej świecy w blaszanym lichtarzu, zobaczyłem kobietę lat trzydziestu, chorobliwie chudą, ubraną w ciemną, starą sukienkę, perkalikową. Długa jej szyja była odsłonięta. Rzadziutkie, ciemne wło-

sy spięte były ztyłu w węzełek, niewiększy od piąstki dwuletniego dziecka. Wesoło spoglądała na nas. Oprócz lichtarza miała przed sobą na stole małe, chłopskie lusterko, starą talję kart, roztrzęsioną książkę do nabożeństwa i bułeczkę białą, już nadgryzioną. Zauważyłem odrazu, że Lebiadkina różuje się, bieli i smaruje czemś wargi. Czerni też brwi, wąskie, długie i ciemne. Na jej wąskiem, wysokiem czole, pomimo bielidła, ostro rysowały się trzy długie zmarszczki. Wiedziałem już, że jest kulawa, tym razem jednak nie wstawała przy nas i nie chodziła. Niegdyś, w pierwszej młodości, mogła ta twarz być niebrzydka. Lecz ciche, łagodne, szare oczy i teraz zwracały na siebie uwagę. W jej pogodnem, prawie radosnem spojrzeniu tliło się szczere rozmarzenie. Pogodna radość, bijąca także z jej uśmiechu, zastanowiła mnie bardzo po tem wszystkiem, com słyszał o nahaju kozackim i o wszystkich bezeceństwach brata. Dziwne to, lecz zamiast ciężkiego, lękliwego obrzydzenia, które budzą zwykle takie istoty, skrzywdzone przez Boga, — odczuwałem prawie przyjemność, patrząc na nią. Może litość, ale nigdy obrzydzenie.

— Tak oto siedzi, po całych dniach sama, samiuteńka, i nie rusza się, wróży sobie lub w lustrze się przegląda, — mówił Szatow, gdyśmy stanęli na progu. — On jej nawet nie karmi. Staruszka z oficyny przyniesie coś czasem z litości. Jakże można zostawić kobietę samą przy świecy!

Ku memu zdziwieniu, Szatow mówił głośno, jakgdyby nie było jej w pokoju.

— Witaj, Szatusiu! — wesoło odezwała się Lebiadkina.

— Gościa ci przyprowadziłem, Marjo Timofiejewno, — powiedział Szatow.

— A, gość w dom, Bóg w dom. Nie wiem, kogo mi przyprowadziłeś, nie znam go. — Spojrzała na mnie badawczo z poza świecy i znów zwróciła się do Szatowa. Mną nie zajmowała się już wcale, jakgdybym był nieobecny.

— Dokuczyło ci pewno samemu chodzić po świetlicy? — zaśmiała się, pokazawszy dwa rzędy ślicznych zębów.

— I dokuczyło, i ciebie chciałem odwiedzić!

Przysunął ławkę do stołu, usiadł i mnie posadził koło siebie.

— Rozmowie tom ja rada, ale coś mi śmieszny jesteś, Szatusiu. Jak mnich. Kiedyś się czesał po raz ostatni? Chodź tu, przyczeszę ciebie, — wyjęła grzebień z kieszeni.— Pewno od tego czasu, kiedym czesała ciebie, aniś się dotknął włosów.

— Nawet grzebyka nie mam, — śmiał się Szatow.

— Naprawdę? Ja ci dam swój. Nie ten, inny. Przypomnij mi tylko.

Z poważną miną zaczęła go czesać. Zrobiła mu nawet zboku przedział. Cofnęła głowę, przyjrzała się, czy dobrze, i znów schowała grzebień do kieszeni.

— Wiesz co, Szatusiu? — kiwała głową. — Może rozum masz, ale nudzisz się. Dziwnie mi patrzeć na was wszystkich. Nie rozumiem, jak ludzie mogą się nudzić. Tęsknota to nie nuda. Mnie zawsze wesoło.

— A z bratem także wesoło?

— Z Lebiadkinem? To mój lokaj. I zupełnie mi wszystko jedno, czy jest tu czy go niema. Zawołam: Lebiadkin, przynieś wody, dawaj buty, a on biegnie; czasem, grzech powiedzieć, aż śmiech bierze patrzeć na niego.

— Zupełna prawda, — znów głośno, bez ceremonji zwrócił się do mnie Szatow. — Traktuje go jak lokaja. Słyszałem sam, jak wołała: „Lebiadkin, przynieś wody" i śmiała się przytem. Cała różnica na tem polega, że on po wodę nie biegnie, lecz bije ją za to. A ona wcale się go nie boi. Miewa codzień prawie jakieś ataki nerwowe, które odbierają jej pamięć. Po takim ataku zapomina, co było przed chwilą i zawsze plącze się w czasie. Pan myśli, że ona pamięta jakeśmy weszli? Może i pamięta, lecz napewno wszystko już przerobiła po swojemu i bierze nas za kogo innego, chociaż pamięta, że ja jestem „Szatuś". To nic nie szkodzi, że mówię głośno. Gdy rozmawia z kimś, co chwila przestaje go słuchać, i natychmiast grąży się w marzeniach. Właśnie grąży się. Jest marzycielką niesłychaną; osiem godzin, cały dzień, wysiedzieć może bez ruchu. Tu

leży bułka. Może od rana ugryzła parę razy, a skończy jutro. Widzi pan, zaczęła teraz wróżyć.

— Wróżę ja, wróżę, Szatusiu, ale wciąż nie wychodzi, — odezwała się Lebiadkina, schwyciwszy uchem ostatnie słowo Szatowa. Wyciągnęła rękę po bułkę (widocznie doszło do jej świadomości i to słowo), potrzymała bułkę w lewej ręce przez chwilę i położyła ją zpowrotem, widocznie zainteresowana znów rozmową.

— Wciąż wychodzi to samo: droga, zły człowiek, czyjaś chytrość, łoże śmierci, list zdaleka, nagła wiadomość. Ja myślę, że to kłamstwo. A co ty myślisz, Szatusiu? Jeżeli ludzie kłamią, dlaczego karty nie mają kłamać? — Odrzuciła karty. — To samo mówię kiedyś do matki Praskowji; zacna była kobieta; chodziła do mnie, do celi w sekrecie przed matką-przełożoną, a ja jej wróżyłam z kart. I inne chodziły. Wzdychają wszystkie, kiwają głowami, radzą i radzą. A ja się śmieję: „Skądbyś miała, matko Praskowjo, list otrzymać, kiedy już lat dwanaście żadnego listu nie było". Córka jej z mężem gdzieś wyjechała do Turcji, i dwanaście lat ani słuchu, ani wieści. Ale siedzę ja wieczorem przy herbacie u matki-przełożonej (książęcego rodu była), i siedzi u niej także jakaś pani przyjezdna, bardzo zamyślona, i siedzi jakiś mnich z dalekich stron, śmieszny człowiek. Cóż ty myślisz, Szatusiu, ten sam mniszek przywiózł matce Praskowji list od córki. Ot, i walet karowy, wieść niespodziewana. Pijemy tak herbatę, a mniszek mówi do matki-przełożonej: „A najwięcej, błogosławiona matko-przełożona, pobłogosławił Pan wasz dom tem, że taki cenny skarb w nim się ukrywa" — „Jaki skarb?" — pyta matka-przełożona. — „Błogosławiona Matka Lizaweta". A matka Lizaweta w klasztorze naszym w niszy zamurowana, sążeń długości i dwa arszyny wysokości, i siedzi tam za kratą żelazną siedemnaście lat, w dzień i w nocy w jednej koszuli zgrzebnej, i ciągle słomką, albo pręcikiem dotyka się do koszuli, i nic nie mówi, i nie czesze się i nie myje już siedemnaście lat. Zimą przez kratę przesuną jej kożuch, i codzień kromkę chleba i dzbanek wody. Pielgrzymi patrzą, wzdychają, kładą pieniądze. — „Także mi skarb!" — odpowiada matka-przełożona, nie

lubiła Lizawety, rozgniewała się: „Lizaweta ze złości siedzi, z uporu, i tylko udaje świętą". Nie podobało mi się to. Chciałam sama dać się zamurować. „A ja myślę, — tak mówię, — że Bóg i przyroda to jedno". Oni wszyscy w jeden głos: „Masz tobie!". Matka-przełożona zaśmiała się, poszeptała z tą panią, zawołała mnie do siebie, pogłaskała, a pani podarowała mi różową kokardkę. Chcesz? Pokażę tobie. A mniszek zaczął mnie pouczać, ale tak łagodnie, pokornie mówi, z rozumem; siedzę ja i słucham. — „Zrozumiałaś?" — pyta. „Nie, — mówię, — nie zrozumiałam, i zostawcie mnie w spokoju". Od tego czasu zostawili mnie w spokoju. A potem szepce do mnie w drzwiach od cerkwi jedna starucha nasza, — pokutę u nas odbywała, za proroctwo: „Kim jest Matka Boska?" — „Odwieczna macierz, — odpowiadam, — nadzieja rodu ludzkiego". — A ona mówi: „Matka Boska, to czarna ziemia nasza, i wielka w tem radość dla człowieka. I każdy smutek ziemi i każda łza ziemska — radością wam będą. A jak przesycisz ziemię łzami swojemi na pół arszyna wgłąb, — błogość cię ogarnie. I już po wszystkie czasy nie będzie więcej boleści, bo takie jest proroctwo". Zapadło mi w duszę to słowo. Od tego czasu przy modlitwie, bijąc pokłony, zaczęłam ziemię całować. Całuję i płaczę. Ot, co ci powiem Szatusiu: niemasz zła we łzach. I gdybyś nawet nie miał żadnego smutku, popłyną ci łzy z radości. Łzy same płyną, to prawda. Wychodzę, bywało, na brzeg jeziora: z jednej strony nasz klasztor, a z drugiej ostra góra, tak ją i nazywają Ostrą. Wejdę na górę, zwrócę się twarzą do wschodu, przypadnę do ziemi, i płaczę, płaczę, płaczę, i nie wiem już, jak długo płaczę, i nie pamiętam i nie wiem nic. Wstanę potem, odwrócę się, a słońce zachodzi, takie duże, a piękne, a dobre. Czy ty lubisz, Szatusiu, patrzeć na słońce? Dobrze i smutno. Znów się zwrócę ku wschodowi, a cień od naszej góry daleko po jeziorze biegnie jak strzała, wąski cień, długi, na wiorstę, do samej wyspy na jeziorze; a wyspa rozetnie cień przez pół, a potem słońce zajdzie i gaśnie wszystko. I znowu zacznę tęsknić, pamięć powraca, zmroku się boję, Szatusiu. A najwięcej płaczę za dzieckiem mojem...

— A było dziecko? — Szatow trącił mnie łokciem. Słuchał cały czas bardzo uważnie.

— A jakże? Maleńkie, różowiutkie, miało takie miluśkie paznokietki. Ciągle tylko mi smutno: nie wiem czy chłopczyk to był, czy dziewczynka. Czasem myślę, że chłopczyk, czasem, że dziewczynka. Gdy się urodziło, zawinęłam je zaraz w batystowe pieluszki, z koronkami, zawiązałam wstążeczką różową, kwiatami zasypałam, pomodliłam się nad niem i zaniosłam niechrzczone: niosę przez las, i boję się lasu, i straszno mi, i płaczę, że dziecko urodziłam, a męża nie znam.

— Może był i mąż? — ostrożnie dopytywał się Szatow.

— Śmieszny ty jesteś, Szatusiu. Może i był, ale cóż z tego. Jakgdyby zupełnie go nie było! Zgadnij zagadkę. Nietrudna! — uśmiechnęła się.

— Co zrobiłaś z dzieckiem?

— A do stawu, — westchnęła.

Szatow znów trącił mnie łokciem.

— Może żadnego dziecka nie było i tylko śni się tobie?

— Trudne mi stawiasz pytanie, Szatusiu, — odpowiedziała poważnie, bez żadnego zdziwienia. — Nie mogę ci odpowiedzieć. Może i nie było... To tylko próżna ciekawość twoja. Ja, wszystko jedno, nie przestanę płakać po niem. Toż widziałam je we śnie. — Duże łzy zaświeciły w jej oczach. — Szatusiu, Szatusiu, a czy to prawda, że żona porzuciła ciebie? — Położyła mu dłonie na ramionach i przyglądała mu się ze współczuciem. — Nie gniewaj się, mnie samej przykro. Wiesz, Szatusiu, miałam taki sen: przychodzi on do mnie, woła mnie, prosi: „Kotku mój, kotku, wyjdź do mnie!" Najwięcej ucieszyło mnie, że mówił „kotku!" To znaczy, że kocha.

— Może przyjdzie i na jawie, — półgłosem odezwał się Szatow.

— Nie, Szatusiu, to sen... nie przyjdzie on na jawie. Znasz pieśń:

Niepotrzebne mi twoje pałace,
Pozostanę w tej celi na wieki,

Będę szukać dla duszy zbawienia,
I za ciebie pomodlę się Bogu.

Och, Szatusiu, Szatusiu! Dlaczego ty się mnie nigdy o nic nie pytasz?

— Wszystko jedno, nie powiesz. Dlatego nie pytam.

— Nie powiem, nie powiem! Zarżnij mnie, a nie powiem, — szybko odpowiedziała. — W ogniu mnie pal, a nie powiem. Będę cierpiała, i nikomu nie powiem, i nie dowiedzą się ludzie.

— Widzisz, każdy ma coś własnego, — jeszcze cichszym głosem mówił Szatow, schylając głowę coraz niżej.

— A gdybyś poprosił to możebym powiedziała; możebym powiedziała! — wołała już rozradowana. — Dlaczego nie prosisz? Poproś grzecznie, ładnie, Szatusiu, może powiem. Ubłagaj mnie, Szatusiu, tak, żebym się sama zgodziła. Szatusiu, Szatusiu!

Szatuś milczał. Milczeliśmy wszyscy. Po jej ubielonych policzkach znów spływały łzy; siedziała, trzymając wciąż dłonie na ramionach Szatowa, lecz już nie patrzyła na niego.

— Ach, co mi tam do ciebie! Poprostu grzech! — tu Szatow zerwał się z ławki. — Wstawaj pan! — Wyciągnął ławkę zpode mnie i odniósł ją na dawne miejsce.

— Żeby się nie domyślił, jak powróci. Czas już iść.

— Ach, ty mówisz o moim lokaju! — zaśmiała się Lebiadkina. — Boisz się? Żegnajcie mili goście. Posłuchaj jeszcze, co ci powiem. Był tu Niłycz z Filipowem, z gospodarzem. Ten Niłycz z rudą brodą. A „mój" rzucił się na mnie. Jak gospodarz go schwyci, jak nim szarpnie po pokoju! A mój krzyczy: „Nie moja wina, cierpię za cudze winy!" I powiem ci, jak zaczniemy się śmiać wszyscy, wiele nas było!

— Ech, Timofiejewna! Toż to ja byłem, a nie żadna ruda broda. To ja go za czuprynę oderwałem od ciebie. A gospodarz był u was onegdaj, kłócił się z wami. Wszystko poplątałaś.

— Prawdę mówisz, że poplątałam. Może to i ty. Co

tam się sprzeczać? Czy mi nie wszystko jedno, kto go tarmosi.

— Chodźmy, — powiedział Szatow. — Skrzypi brama. Jak nas zastanie, to się na niej skrupi wszystko.

Nie zdążyliśmy wbiec na schody, gdy rozległ się w bramie pijany krzyk i posypały się przekleństwa. Szatow wpuścił mnie do siebie i zamknął drzwi na klucz.

— Musi pan przeczekać chwilkę u mnie, o ile pan nie chce awantury. Kwiczy, jak prosię. Znów widocznie potknął się o próg. Za każdym razem musi się rozciągnąć.

Nie obeszło się jednak bez awantury.

VI.

Szatow stał przy zamkniętych drzwiach i wsłuchiwał się. Raptem odskoczył wtył.

— Idzie tu. Wiedziałem, że tak będzie! — szepnął z wściekłością. — Możemy już do północy nie odczepić się od niego.

Rozległo się kilka mocnych uderzeń pięścią w drzwi.

— Szatow, Szatow, otwieraj! — ryczał kapitan. — Szatow, przyjacielu mój!

Wieść radosną tobie niosę,
Że już słońce ze snu wstało,
Brzask złocisty rozsypało
I poranną spija rosę.

Że już ze snu las... że już ja się zbudziłem, do djabła, ...cały zbudził się... pod gałęziami...
Jak pod rózgami, cha-cha-cha!

Ptak już każdy... chce się upić.
Wieść ci niosę, że pić będę.
Pić, lecz nie wiem, co mi dadzą.

Zresztą, po djabła ta ciekawość? Szatow, rozumiesz bracie, jak dobrze żyć na świecie?

— Niech pan nie odpowiada, — szepnął mi Szatow.

— Otwieraj! Czy ty rozumiesz, że jest na świecie coś wyższego od bójki... między ludzkością; bywają chwile wzniosłe. Szatow! Jestem dobry! Przebaczę ci. Szatow! Precz z proklamacjami, ha?

Szatow nie odpowiadał.

— Rozumiesz ty, ośle, że jestem zakochany. Kupiłem sobie frak. Zobacz! frak miłości, za piętnaście rubli. Miłość oficerska wymaga obyczajów światowych... Otwieraj! — zawył na cały głos i gwałtownie począł walić pięścią w drzwi.

— Wynoś się do djabła! — zawołał znienacka Szatow.

— Niewolniku! Niewolniku pańszczyźniany! I siostra twoja niewolnica. I złodziejka.

— A tyś swoją siostrę sprzedał.

— Łżesz! Znoszę niepotrzebnie, a mógłbym jednem słowem zwalić wszystko.... Czy ty rozumiesz, kim ona jest?

— Więc kim? — zapytał Szatow, podchodząc do drzwi.

— Nie zrozumiesz.

— Nie bój się, zrozumiem, bylebyś powiedział.

— Jak zechcę, to powiem! Ja się nie boję głośno o wszystkiem mówić.

— Ech, myślę, że się nie odważysz! — droczył go Szatow i kiwnął mi głową, abym słuchał.

— Nie odważę się?

— Myślę, że nie.

— Co? Jabym się nie miał odważyć?

— A ty mów, jeżeli nie boisz się rózeg od swego pana. Ale tchórzem jesteś! A jeszcze kapitan!

— Ja, ja... ona... ona jest... — zaczął jąkać się Lebiadkin. Głos mu drżał.

— No? — Szatow nadstawił ucha.

Milczenie trwało przynajmniej pół minuty.

— Ty, podły! — rozległo się wreszcie za drzwiami i kapitan szybko zbiegł nadół, sapiąc i potykając się na każdym stopniu schodów.

— Nie, on jest chytry i nie wygada się nawet po pijanemu, — mówił Szatow, odchodząc od drzwi.

— O cóż tu chodzi?

Szatow machnął ręką, otworzył drzwi i zaczął się znowu wsłuchiwać. Słuchał długo, nawet zstąpił o kilka stopni. Wreszcie wrócił.

— Nic nie słychać. Nie bije. To znaczy, że zwalił się spać. Czas już panu iść.

— Panie Szatow, niech mi pan powie, co mam myśleć o tem wszystkiem?

— Niech pan myśli, co pan chce! — odpowiedział głosem zmęczonym niechętnie, i usiadł przy biurku.

Wyszedłem. Pewna myśl zupełnie niewiarygodna coraz więcej utrawalała się w mojej wyobraźni. Z niepokojem myślałem o dniu jutrzejszym.

VII.

Ów dzień jutrzejszy, czyli ta sama niedziela, w którą miał się niepowrotnie rozstrzygnąć los Stepana Trofimowicza, należał do najwznioślejszych dni w mojej opowieści. Był to dzień niespodzianek, dzień końców i początków, gwałtownych starć, wyjaśnień i nowej gmatwaniny. Rano, jak wiadomo, miałem towarzyszyć przyjacielowi memu do Barbary Piotrowny, zgodnie z jej wskazówką, a już o trzeciej obiecałem być u Lizawety Mikołajewny, aby opowiedzieć jej — sam nie wiem co, i pomóc — sam nie wiem w czem. Wszystko jednak rozwinęło się inaczej, niżby ktokolwiek mógł przypuszczać. Słowem, był to dzień dziwnych zdarzeń i zbiegów okoliczności.

Zacznijmy od tego, że stawiwszy się o południu u Barbary Piotrowny, nie zastaliśmy jej w domu. Nie wróciła jeszcze z cerkwi. Mój biedny przyjaciel był w takim rozstroju, że odrazu go to zdetonowało. Bezsilnie opadł na fotel w salonie. Podałem mu szklankę wody. Pomimo jednak, że był blady i ręce mu drżały, pić nie chciał. Muszę zaznaczyć, że strój jego wyróżniał się tego dnia wyjątkową wytwornością: balowa, biała koszula, biały krawat, nowy kapelusz, nowe rękawiczki jasno-żółte i trochę perfum. Ledwośmy usiedli, wszedł Szatow, wprowadzony przez lokaja. Był oficjalnie zaproszony. Stepan Trofimo-

wicz wyciągnął do niego dłoń, lecz Szatow, uważnie spojrzawszy na nas, usiadł w kącie i nawet nie kiwnął nam głową. Stepan Trofimowicz znów miał wyraz przestrachu na twarzy.

Siedzieliśmy kilka minut w grobowem milczeniu. Stepan Trofimowicz zaczął coś szeptać do mnie, lecz tak szybko, że nie mogłem zrozumieć. Przerwał, i widać było, że jest niesłychanie zdenerwowany. W tej chwili wszedł lokaj i coś poprawił na stole. Zerknął na nas. Szatow głośno zwrócił się do niego z pytaniem:

— Aleksy Jegorowiczu, czy Darja Pawłowna także wyjechała z panią?

— Nie, Barbara Piotrowna sama raczyła pojechać, a Darja Pawłowna została, i niezdrowa, — tonem pouczającym, poważnym odpowiedział Aleksy Jegorowicz.

Mój nieszczęśliwy przyjaciel znów rzucił na mnie trwożne spojrzenie. Tak mi to dokuczyło, że zrobiłem ruch, jakgdybym chciał się od niego odwrócić. Wtem na ulicy rozległ się tętent koni i po chwili jakiś ruch w mieszkaniu prezkonał nas, że gospodyni przyjechała. Zerwaliśmy się z miejsc, lecz spotkała nas nowa niespodzianka: posłyszeliśmy liczne kroki, czyli że Barbara Piotrowna powróciła nie sama. Było to dziwne, ponieważ ta godzina wyznaczona była dla nas specjalnie. Wreszcie usłyszeliśmy, że ktoś idzie bardzo szybko, prawie biegnie, a Barbara Piotrowna chyba nie mogłaby tak iść. Wreszcie wpadła do pokoju, cała zdyszana. Za nią, krokiem znacznie wolniejszym, w pewnej odległości, weszła Lizaweta Mikołajewna, a obok Lizawety Mikołajewny — Marja Timofiejewna Lebiadkina! Gdybym zobaczył to we śnie, nawet wtedybym nie uwierzył.

Aby zrozumieć, jak to się stało, muszę cofnąć się o godzinę wstecz i opisać szczegółowo niezwykłe zdarzenie, jakie spotkało Barbarę Piotrownę w cerkwi.

Na mszę przyszło całe miasto. Mówię, oczywiście, o śmietance towarzystwa. Wiedziano, że będzie obecna nowa gubernatorowa, po raz pierwszy po przybyciu do nas. Trzeba dodać, że opowiadano o jej wolnomyślicielstwie i hołdowaniu nowym prądom. Wszystkie panie już wiedziały, że gubernatorowa będzie ubrana uroczyście i wspaniale.

To też i stroje naszych pań wyróżniały się tego dnia wytwornością i elegancją. Tylko Barbara Piotrowna ubrana była skromnie, w zwykłej czarnej sukni, tak, jak się ubierała stale, od czterech lat. Wszedłszy do cerkwi, zajęła zwykłe swe miejsce, z przodu, z lewej strony, a lokaj w liberji położył przed nią aksamitną poduszkę do klęczenia. Słowem, wszystko jak zawsze. Zauważono jednak, że z niezwykłą żarliwością modliła się przez cały czas nabożeństwa. Zapewniano nawet potem, że miała łzy rozrzewnienia w oczach. Skończyła się msza i ojciec Paweł wystąpił z uroczystem kazaniem. Lubiono u nas jego kazania i zachwycano się niemi. Chciano nawet, aby je drukował, lecz nie mógł zdecydować się na to. Dzisiejsze kazanie było bardzo długie.

I oto, już podczas kazania, do cerkwi podjechała jakaś osoba. Podjechała dorożką starego typu, na której siedziało się z boku, trzymając się za pas woźnicy i podlatując do góry na wszystkich nierównościach drogi, jak słomka na wietrze. Zatrzymawszy dorożkę przy rogu cerkwi, gdyż przy wejściu zbiło się dużo powozów i stali nawet dla porządku żandarmi, — zeskoczyła i dała woźnicy osiem groszy.

— Co? mało ci? — zawołała, zauważywszy jego niezadowolenie. — Nie mam więcej, — dodała płaczliwie.

— Bóg z tobą, umowy nie było, — machnął ręką dorożkarz i spojrzał na nią takim wzrokiem, jakgdyby mówił: „grzech taką skrzywdzić".

Poczem, schowawszy woreczek skórzany z pieniędzmi, odjechał, wśród śmiechu stojących obok dorożkarzy. Śmiech towarzyszył również przyjezdnej kobiecie, póki nie przedostała się do wrót cerkwi wśród licznych pojazdów i obok lokajów, oczekujących wyjścia państwa. Było coś niezwykłego i zabawnego w zjawieniu się takiej osoby na ulicy wśród tłumu ludzi. Była chorobliwie chuda, wybielona, narożowana, kulawa. Jej długa szyja była obnażona. Nie miała na sobie ani chustki, ani płaszcza, a tylko starą, ciemną suknię, pomimo że nastał już wrzesień, i dzień, chociaż słoneczny, był jednak zimny i wietrzny. Głowa jej nie była nakryta niczem, a włosy miała związane ztyłu w ma-

lusieńki węzełek, w który wetknięta była papierowa róża, taka, jakiemi upiększają aniołki w niedzielę palmową. Takiego aniołka w wianku ze sztucznych róż widziałem wczoraj w kącie, gdym był u Marji Timofiejewny. Dama szła ze spuszczonemi skromnie oczyma, jednocześnie jednak uśmiechała się wesoło, a zalotnie. Gdyby nie przebiegła szybko, może nie wpuszczonoby jej nawet do świątyni.... Zdążyła jednak prześlizgnąć się, a wszedłszy do środka, ostrożnie przecisnęła się naprzód.

Już było w połowie kazania i cały tłum, wypełniający świątynię, słuchał w skupieniu. A jednak ten i ów ciekawie i ze zdziwieniem zerknął na przybyłą. Położyła się krzyżem, przytuliła do ziemi swą nabieloną twarz, leżała długo i widocznie płakała. Potem jednak wstała, podniosła głowę i uspokoiła się zupełnie. Wesoło, z wyrazem nadzwyczajnego zadowolenia, zaczęła prześlizgiwać się wzrokiem po twarzach zebranych, po ścianach świątyni; najciekawiej przyglądała się niektórym paniom, parę razy nawet zaśmiała się jakimś zabawnym śmieszkiem. Skończyło się kazanie i wyniesiono krzyż. Gubernatorowa pierwsza posunęła się do krzyża, lecz nie dochodząc do niego o parę kroków, zatrzymała się, ustępując miejsca Barbarze Piotrownie, która podchodziła także do krzyża, krokiem stanowczym, jakgdyby nie widząc nikogo przed sobą. Niezwykła uprzejmość gubernatorowej była prawdopodobnie z jej strony złośliwą demonstracją; tak zrozumieli to wszyscy. Zrozumiała to prawdopodobnie i Barbara Piotrowna; jednak, nie tracąc kontenansu, z niewzruszoną godnością ucałowała krzyż i skierowała się do wyjścia. Lokaj w liberji torował jej drogę, chociaż i bez niego ustępowali wszyscy. Jednak już przy samem wyjściu gęsty tłum ludzi zagrodził na chwilę drogę. Barbara Piotrowna zatrzymała się, a w tej chwili tamta dziwna istota, kobieta z różą papierową we włosach, przecisnąwszy się przez tłum, uklękła przed nią. Barbara Piotrowna, która nigdy nie ujawniała zdziwienia, zwłaszcza publicznie, spojrzała surowo i poważnie.

Dodać tu muszę, że chociaż w ostatnich latach Barbara Piotrowna stała się zbyt oszczędna, mówiono nawet, że

skąpa, jednak często nie żałowała pieniędzy na dobroczynność. Była członkinią jednego ze stołecznych towarzystw dobroczynności. Niedawno, w roku głodowym, wysłała do Petersburga, do głównego komitetu pomocy głodnym, pięćset rubli, co zwróciło powszechną uwagę. Już w ostatnich czasach, przed mianowaniem nowego gubernatora, miała założyć miejscowy damski komitet pomocy najuboższym położnicom miasta i gubernji. Zarzucano jej nadmierną ambicję; lecz znana stanowczość jej charakteru i upór miały już zatriumfować nad wszelkiemi przeszkodami. Komitet był już prawie zorganizowany, a pierwotna myśl rozrastała się coraz szerzej w zachwyconej duszy Barbary Piotrowny; marzyła już o stworzeniu takiego samego komitetu w Moskwie i o stopniowem rozszerzeniu zakresu jego działalności na wszystkie gubernje. Z chwilą jednak zmiany gubernatora, zatrzymało się wszystko; a nowa gubernatorowa zdążyła już w towarzystwie wypowiedzieć parę zjadliwych, a jednak rzeczowych i trafnych uwag o niepraktyczności zasadniczych podstaw takiego komitetu, co, rzecz prosta, w barwach odpowiednio zgęszczonych, zakomunikowane zostało Barbarze Piotrownie. Niezbadana jest głębia serc ludzkich, wydaje mi się jednak, że Barbara Piotrowna z pewnem zadowoleniem zatrzymała się teraz u wrót świątyni, wiedząc, że zaraz będzie przechodziła gubernatorowa, a za nią wszyscy. „Niech sama zobaczy, jak mi wszystko jedno, co ona myśli i co ona dowcipkuje o mojej dobroczynności! Niech ma!"

— Co ci jest, biedaczko? Czem mogę ci pomóc? — odezwała się, patrząc badawczo na klęczącą przed sobą kobietę.

Ta zaś wpatrywała się w nią wylęknionemi, zawstydzonemi, lecz pełnemi zachwytu oczami, i znów jakoś tak dziwnie się zaśmiała.

— Kto to taki? Co za jedna?

Barbara Piotrowna obrzuciła wszystkich otaczających pytającem spojrzeniem. Wszyscy jednak milczeli.

Potem zwróciła się znowu do klęczącej.

— Jesteś nieszczęśliwa? Potrzebna ci pomoc?

— Tak, pomoc... ja przyjechałam, — szeptała kobieta

rwącym się głosem. — Przyjechałam tylko poto, aby rączkę twoją ucałować, pani! — i znów się zaśmiała.

Jak dziecko, które się pieści i prosi o coś, wyciągnęła rękę i schwyciła dłoń Barbary Piotrowny, lecz przestraszyła się i cofnęła rękę.

— Tylko poto przyjechałaś? — współczująco uśmiechała się Barbara Piotrowna. Wyjęła jednak z kieszeni portmonetkę, wydostała papierek dziesięciorublowy i wręczyła nieznajomej.

Ta przyjęła ofiarę. Barbara Piotrowna była bardzo zainteresowana, gdyż nie mogła traktować nieznajomej, jak zwykłej kobiety, proszącej o wsparcie.

— O-ho! Aż dziesięć rubli dała! — odezwał się ktoś w tłumie.

— Daj mi rączkę, pani, — znów szeptała nieznajoma, mocno trzymając otrzymaną dziesięciorublówkę za brzeżek dwoma palcami lewej ręki.

Barbara Piotrowna zachmurzyła się i poważnie wyciągnęła dłoń. Tamta ucałowała ją pobożnie. Wdzięczne jej spojrzenie wyrażało zachwyt. W tej chwili zbliżyła się gubernatorowa, a za nią fala naszych pań i starszych dygnitarzy. Gubernatorowa musiała zatrzymać się na chwilę z powodu tłoku. Ci, co szli za nią, stanęli także.

— Drżysz cała, pewno ci zimno? — mówiła Barbara Piotrowna.

Zrzuciwszy z siebie płaszcz, który wlot pochwyciły ręce lokaja, zdjęła z ramion czarny, dość drogi szal i własnoręcznie zawinęła obnażoną szyję nieznajomej, ciągle klęczącej przed nią.

— Wstań moja droga, nie klęcz, proszę ciebie.

Nieznajoma wstała.

— Gdzie mieszkasz? Czyż nikt, nikt nie wie, gdzie ona mieszka? — znów niecierpliwie odezwała się Barbara Piotrowna.

Tłumu już nie było. Naokoło widać było tylko znajome, światowe oblicza. Wszyscy przyglądali się, jedni z poważnem zdziwieniem, inni z przebiegłą ciekawością, a nawet z niewinnem pragnieniem jakiegoś skandaliku, jeszcze inni zaczynali się już uśmiechać.

— To, zdaje się, Lebiadkina, — odpowiedział wreszcie jakiś dobry człowiek. Był to szanowany i lubiany kupiec Andrejew, starzec o siwej brodzie, w okularach, w staroświeckim stroju rosyjskim. — Ona mieszka w domu Filipowa, na Bogojawleńskiej.

— Lebiadkin? Dom Filipowa? Coś już słyszałam... Dziękuję panu, Nikonie Semionowiczu. Kto to taki ten Lebiadkin?

— Nazywa siebie kapitanem. To człowiek, jak to powiedzieć, nieostrożny. To zaś pewno siostra jego. Prawdopodobnie wykradła się z domu, z pod opieki, — zniżonym głosem dodał Andrejew, — patrząc porozumiewawczo na Barbarę Piotrownę.

— Ach, rozumiem! Dziękuję, Nikonie Semionowiczu. Ty, moja droga, jesteś Lebiadkina?

— Nie, nie jestem Lebiadkina.

— Ale twój brat nazywa się Lebiadkin?

— Tak, Lebiadkin — to mój brat.

— Wiesz co, moja droga? Wezmę ciebie teraz ze sobą, a ode mnie odwiozą się do domu. Chcesz jechać ze mną?

— Chcę, chcę! — klasnęła w dłonie Lebiadkina.

— Ciociu, ciociu! Proszę wziąć i mnie ze sobą! — rozległ się głos Lizawety Mikołajewny.

Liza przyjechała do cerkwi wraz z gubernatorową, podczas gdy Praskowja Iwanowna w myśl dyspozycji lekarzy, wyjechała karetą na spacer. Aby się nie nudzić, wzięła ze sobą Maurycego Mikołajewicza. Liza porzuciła teraz gubernatorową i pobiegła do Barbary Piotrowny.

— Moja droga, zawsze rada ci jestem, ale co powie na to matka? — zaczęła poważnie Barbara Piotrowna, lecz w tej chwili zmieszało ją niesłychane podniecenie Lizy.

— Ciociu, ciociu, ja muszę pojechać z tobą, — błagała i rzuciła się jej na szyję.

— *Mais qu'avez vous donc, Lise!* — odezwała się gubernatorowa, akcentując zdziwienie.

— Ach, *chère cousine*, moja złota, ja do cioci, — odwróciła się do niej Liza i zaczęła ją także całować. — Proszę powiedzieć *maman*, aby natychmiast przyjechała po

mnie do cioci. *Maman* sama chciała zajechać, chciała koniecznie, zapomniałam uprzedzić, — mówiła bez końca Liza. — Proszę nie gniewać się na mnie, *Julie, chère cousine*. Ciociu, ja jadę!

Jeżeli ciocia nie weźmie mnie ze sobą, pobiegnę za karetą i będę krzyczała, — rozpaczliwie szepnęła na ucho Barbarze Piotrownie.

Nikt tego na szczęście nie słyszał. Barbara Piotrowna żachnęła się i przenikliwym wzrokiem przeszyła dziewczynę. Lecz jedno spojrzenie już jej wystarczyło. Postanowiła wziąć Lizę ze sobą.

— Trzeba z tem skończyć, — powiedziała półgłosem. — Dobrze, Lizo, — dodała głośno, — wezmę ciebie z przyjemnością, o ile oczywiście Julja Michajłowna zechce być tak uprzejmą i pozwoli ci, — otwarcie i z wyniosłą prostotą zwróciła się wprost do gubernatorowej.

— Ależ, oczywiście, czyż mogłabym pozbawić ją tej przyjemności, tem bardziej, że sama... — mówiła Julja Michajłowna z niesłychaną uprzejmością, — że sama wiem dobrze... jaka na tym karczku rośnie samowolna i fantastyczna główka... — Julja Michajłowna uśmiechnęła się czarująco.

— Dziękuję pani serdecznie, — najuprzejmiej podziękowała Barbara Piotrowna i złożyła wytworny ukłon.

— Ach, jestem niesłychanie rada, — pochwyciła Julja Michajłowna, zarumieniona od miłego zachwytu, — cieszę się tem bardziej, że Lizą, oprócz przyjemności obcowania z panią, powoduje piękne, wzniosłe uczucie.... litości (spojrzała na „nieszczęśliwą"), — tu, u progu świątyni.

— Taki pogląd zaszczyt pani przynosi, — aprobowała Barbara Piotrowna.

Gubernatorowa szybko wyciągnęła dłoń, a Barbara Piotrowna z całkowitą gotowością dotknęła się jej palcami. Ogólne wrażenie całej sceny było wyjątkowo miłe; twarze wielu z pośród obecnych rozbłysły zadowoleniem; ukazał się niejeden błogi uśmiech.

Słowem, wszyscy w tej chwili zrozumieli wyraźnie, że to nie Julja Michajłowna lekceważyła dotychczas Barbarę Piotrownę i nawet nie złożyła jej wizyty, lecz przeciwnie,

że to Barbara Piotrowna „trzymała w pewnym dystansie gubernatorową, która pobiegłaby do niej chętnie nawet piechotą, gdyby tylko miała pewność, że zostanie przyjęta". Autorytet Barbary Piotrowny wzrósł ogromnie.

— Siadaj, biedaczko, — mówiła Barbara Piotrowna, wskazując karetę swej nowej protegowanej.

„Biedaczka" radośnie podbiegła do drzwiczek karety, przy których spotkał ją lokaj.

— Co? Ona kuleje! — zawołała Barbara Piotrowna z przerażeniem, i zbladła. Zauważyli to wszyscy, lecz nie zrozumieli wtedy.

Kareta ruszyła. Dom Barbary Piotrowny był niedaleko od katedry. Opowiadała mi potem Liza, że Lebiadkina przez całą drogę śmiała się histerycznie, zaś Barbara Piotrowna trwała „jak w magnetycznym śnie" (własne określenie Lizy).

ROZDZIAŁ PIĄTY.

PRZEBIEGŁY WĄŻ.

I.

Barbara Piotrowna zadzwoniła i rzuciła się na fotel przy oknie.

— Siadaj biedaczko, — wskazała Marji Timofiejewnie miejsce pośrodku pokoju, przy dużym okrągłym stole. — Stepanie Trofimowiczu, co to znaczy? Patrz pan tu na tę kobietę, co to znaczy?

— Ja... ja... — bełkotał Stepan Trofimowicz.

Wszedł lokaj.

— Filiżankę kawy, tylko zaraz, jak najprędzej. Koni nie wyprzęgać.

— *Mais, chère et excellente amie, dans quelle inquiétude!* — zamierającym głosem nawoływał Stepan Trofimowicz.

— Ach, po francusku, po francusku! Widać odrazu, że dystyngowane towarzystwo! — klaskała w dłonie Marja Timofiejewna, z upojeniem przysłuchując się rozmowie.

Barbara Piotrowna patrzyła na nią z przerażeniem.

Milczeliśmy wszyscy i czekaliśmy końca. Szatow nie podnosił głowy, Stepan Trofimowicz był zmieszany, jakgdyby sam zawinił; pot wystąpił mu na czoło. Spojrzałem na Lizę, która usiadła w rogu, prawie obok Szatowa. Jej oczy biegały bez przerwy od Barbary Piotrowny do kulawej i zpowrotem; usta wykrzywił jakiś niedobry uśmiech. Barbara Piotrowna widziała ten uśmiech. Tymczasem zaś Marja Timofiejewna była zachwycona wszystkiem. Z radością, nie wstydząc się wcale, oglądała piękny salon Barbary Piotrowny, meble, dywany, obrazy, sufit, bronzową Mękę Pańską, stojącą w rogu, porcelanową lampę, albumy, drobiazgi na stole.

— I ty tu jesteś, Szatusiu! — zawołała znienacka. — Patrzę ja wciąż na ciebie, widzę ciebie, a myślę: nie on! Skąd mógłby on tu być?

Śmiała się wesoło.

— Pan zna tę kobietę? — gwałtownie zwróciła się do Szatowa Barbara Piotrowna.

— Znam, — odpowiedział niechętnie. Chciał zerwać się z krzesła, lecz pozostał.

— Co pan wie o niej? Tylko prędzej.

— Co tam! — uśmiechnął się bezsensownie i zaciął się. — Sama pani widzi...

— Co mam widzieć? Prędzej! Mów pan!

— Mieszka w jednym domu ze mną... razem z bratem... oficerem...

— I co?

Szatow zachmurzył się.

— Nie warto gadać... — bąknął i zamilkł stanowczo. Nawet poczerwieniał.

— Oczywiście! Czegóż więcej można było spodziewać się po panu?

Stawrogina już zrozumiała, że wszyscy coś wiedzą i ukrywają przed nią, a tylko boją się i unikają rozmowy.

Wszedł lokaj i wniósł na małej srebrnej tacy obstalowaną filiżankę kawy. Na skinienie Barbary Piotrowny podał kawę Marji Timofiejewnie.

— Zziębłaś, biedaczko. Wypij prędzej, a rozgrzejesz się.

— *Merci.*

Marja Timofiejewna wzięła filiżankę, lecz w tej chwili parsknęła śmiechem, widocznie z powodu tego, że powiedziała do lokaja *merci*. Spotkała jednak groźne spojrzenie Barbary Piotrowny, zlękła się i postawiła filiżankę na stole.

— Ciociu, ciocia się gniewa? — wymówiła z pewną lekkomyślną zalotnością.

— Co-o-o? — krzyknęła Barbara Piotrowna, prostując się na fotelu. — Jaka ja ci jestem ciocia? Co ty myślisz sobie?

Marję Timofiejewnę, która nie oczekiwała takiego gniewu, ogarnął jakiś dreszcz konwulsyjny. Zwaliła się na poręcz fotela.

— Myślałam... że tak trzeba, — wyjąkała, wpatrzona trwożnie w Barbarę Piotrownę. — Tak mówi Liza.

— Jaka znów Liza?

— A ta panna, — wskazała palcem.

— Od kiedy ona jest dla ciebie Lizą?...

— Pani ją sama tak nazywa, — już śmielej mówiła Marja Timofiejewna. — Tak samo piękną widziałam ją we śnie. — I uśmiechnęła się jakgdyby mimowolnie.

Barbara Piotrowna zrozumiała i uspokoiła się. Nawet coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na jej twarzy po ostatnich słowach Marji Timofiejewny. Ta zaś, zauważywszy uśmiech, wstała i zbliżyła się, kulejąc, do niej.

Zdjęła z ramion czarny szal, włożony na nią przez Barbarę Piotrownę.

— Proszę wziąć. Zapomniałam oddać. Niech pani się nie gniewa.

— Nałóż zaraz i zostaw sobie. Siadaj i pij kawę. Nie bój się mnie, moja droga, uspokój się. Zaczynam już rozumieć ciebie.

— *Chère amie...* — próbował znów odezwać się Stepan Trofimowicz.

— Ach, Stepanie Trofimowiczu! Tu i bez pana tracę już głowę. Niech przynajmniej pan mnie oszczędzi.... Tam około pana jest dzwonek do garderoby. Niech pan z łaski swojej zadzwoni.

Zaległo milczenie. Wzrok Barbary Piotrowny biegał podejrzliwie po wszystkich zebranych. Zajrzała do salonu pokojówka Agasza.

— Daj mi ten szal w kraty, który przywiozłam z Genewy. Co robi Darja Pawłowna?

— Niezdrowa.

— Idź i poproś ją tu. Powiedz, że bardzo proszę, nawet jeżeli jest niezdrowa.

W tej chwili w sąsiednich pokojach znów rozległy się jakieś hałaśliwe głosy i kroki, i na progu stanęła zdyszana i wzburzona Praskowja Iwanowna. Towarzyszył jej Maurycy Mikołajewicz.

— Mój Boże! Ledwo przyszłam! Lizo, co ty wyrabiasz z matką twoją! — syknęła, wkładając w to syknięcie, zwyczajem osób słabych a podrażnionych, wszystko co nagromadziło się w duszy.

— Barbaro Piotrowno! Ja tu po córkę!

Barbara Piotrowna spojrzała na nią zpode łba. Poruszyła się na krześle i ledwo hamując niezadowolenie, wymówiła:

— Jak się masz, Praskowjo! Usiądź, z łaski swojej. Wiedziałam, że przyjedziesz.

II.

Takie powitanie nie mogło być niespodzianką dla Praskowji Iwanowny. Od samego dzieciństwa Barbara Piotrowna traktowała swą koleżankę szkolną z góry, despotycznie, a nawet, pomimo pozorów przyjaźni, pogardliwie. W tej chwili wkradł się nowy jeszcze ton. W ostatnich dniach zaznaczyło się całkowite prawie zerwanie stosunków między dwiema damami, o czem już pobieżnie wspominałem. Przyczyny tego zerwania nie były jeszcze jasne dla Barbary Piotrowny, tem bardziej więc niemiłe. Lecz fak-

tem było, że Praskowja Iwanowna zajęła wobec niej jakieś stanowisko niesłychanie wyniosłe. Ubodło to Barbarę Piotrownę, tymczasem zaś dochodziły do niej wieści, nieokreślone, lecz denerwujące. Miała charakter prostolinijny, wyniośle otwarty, demonstracyjnie szczery, i nie znosiła oskarżeń ukrytych, tajnych. Wolała walkę jawną. W każdym razie koleżanki nie widziały się już od pięciu dni. Ostatnią wizytę złożyła Barbara Piotrowna i po wizycie tej powróciła do domu zła i obrażona. Praskowja Iwanowna, wchodząc obecnie, miała niezawodnie głębokie przeświadczenie, że Barbara Piotrowna stchórzy przed nią. Widać to było z wyrazu jej twarzy. Lecz Barbarę Piotrownę ogarniał zawsze bies najwynioślejszej dumy, gdy tylko mogła przypuścić choć na chwilę, że ktokolwiek chce ją traktować z góry. Praskowja Iwanowna, jak wszyscy ludzie słabi, pozwalający zwykle ubliżać sobie bez protestu, chętnie przerzucała się do hazardownej ofenzywy przy pierwszej pomyślnej sposobności. Teraz zaś była chora, więc jeszcze więcej podrażniona. Dodam, że my wszyscy, którzyśmy byli w salonie, nie krępowaliśmy obecnością naszą przyjaciółek, gdyby chciały między sobą się pokłócić; byliśmy wszyscy prawie jak domownicy, a nawet pod wielu względami, podwładni. Zrozumiałem to odrazu. Stepan Trofimowicz, który od chwili wejścia Barbary Piotrowny stał cały czas, rozpaczliwie osunął się na krzesło, gdy tylko posłyszał syk Praskowji Iwanowny, i usiłował złowić mój wzrok. Szatow odwrócił się i bąknął coś pod nosem. Miałem wrażenie, że chciał zerwać się i wyjść. Liza powstała, lecz po chwili znów usiadła, i nawet nie zwróciła zbyt wielkiej uwagi na okrzyk matki, nie dla swego „samowolnego charakteru", lecz dlatego, że wciąż była we władzy innego, potężnego wrażenia. Patrzyła w przestrzeń, była jakaś roztargniona i nie zwracała uwagi nawet na Marję Timofiejewnę.

III.

— Tu! — Praskowja Iwanowna wskazała fotel, stojący przy stole, i ciężko opuściła się nań przy pomocy Mau-

rycego Mikołajewicza. — Nie siadałabym nawet u ciebie, gdyby nie te nogi! — dodała nadszarpanym głosem.

Barbara Piotrowna podniosła głowę i z miną cierpiącą przycisnęła do prawej skroni palce. Widocznie czuła silny ból *(tic douloreux)*.

— Dlaczegóż to? Dlaczegobyś nie miała usiąść u mnie, Praskowjo? Twój mąż nieboszczyk obdarzał mnie przez całe życie szczerą przyjaźnią, a myśmy z tobą, jako dziewczynki na pensji, bawiły się razem lalkami.

Praskowja Iwanowna machnęła ręką.

— Wiedziałam, że tak będzie! Ciągle o pensji mówisz, gdy chcesz mi nawymyślać. To wykręt. To tylko słowa. Nie znoszę tej naszej pensji.

— Zdaje mi się, że przyjechałaś tu w fatalnym nastroju; jak twoje nogi? Zaraz przyniosą ci kawę. Pij i nie irytuj się.

— Słuchaj, Barbaro, ty mnie traktujesz jak małe dziecko. Nie chcę kawy, rozumiesz?

Odtrąciła lokaja, który podawał kawę. (Zresztą, inni też pić nie chcieli, oprócz mnie i Maurycego Mikołajewicza. Stepan Trofimowicz wziął filiżankę, lecz natychmiast ją odsunął. Marja Timofiejewna widocznie bardzo chciała wziąć drugą filiżankę, nawet wyciągnęła rękę, lecz rozmyśliła się i odmówiła w sposób bardzo uprzejmy, z widocznem samozadowoleniem).

Barbara Piotrowna wykrzywiła twarz.

— Wiesz co, droga moja Praskowjo? Napewno znów wyobraziłaś coś sobie, gdyś wchodziła tu. Zawsze żyłaś tylko fantazjami. Naprzykład, obraziłaś się na mnie za pensję. A pamiętasz, jak kiedyś po wakacjach przyjechałaś i zapewniałaś nas, że oświadczył ci się huzar Szabłykin, i jak natychmiast M-me Lefebvre dowiodła ci, że kłamiesz. A tyś nawet nie kłamała. Poprostu fantazjowałaś dla własnej przyjemności. A teraz mów, o co ci chodzi? Czego jesteś zła?

— A tyś na pensji zakochała się w popie, który wykładał nam religję. Masz za to, jeżeli tak dobrze pamiętasz. Cha-cha-cha!

Praskowja Iwanowna zaśmiała się złośliwie, ale natychmist napadł ją kaszel.

— A-a! Nie zapomniałaś popa?

Barbara Piotrowna spoglądała z nienawiścią. Twarz jej pozieleniała. Praskowja Iwanowna nabrała pewności siebie.

— Teraz, moja droga, nie czas się śmiać! Pocoś ty moją córkę wplątała do waszego skandalu? Przed całem miastem! Przyjechałam do ciebie w tej sprawie!

— Do naszego skandalu? — groźnie powtórzyła Barbara Piotrowna.

— Mamo, niech mama będzie ostrożniejsza — odezwała się Liza.

— Jak ty śmiesz? — syknęła znów Praskowja Iwanowna, lecz w tej chwili przestraszyła się błyszczącego wejrzenia córki.

— Jak mama może mówić o skandalu? — wybuchnęła Liza. — Sama pojechałam, za zgodą Julji Michajłowny. Chciałam poznać historję tej biedaczki, aby jej dopomóc w czemkolwiek.

— „Historję tej biedaczki!" — złośliwie przeciągała Praskowja Iwanowna. — Co ci do takich „historyj"? Dość już mam tego despotyzmu! — zwróciła się gwałtownie do Barbary Piotrowny. — Mówią, nie wiem czy to prawda, że tu całe miasto skacze przed tobą na dwóch łapkach. Ale koniec już twemu panowaniu!

Barbara Piotrowna siedziała wyprostowana, jak strzała, która za chwilę wyleci z cięciwy. Przez parę chwil groźnie i nieruchomo patrzyła na Praskowję Iwanownę.

— No, dziękuj Bogu, Praskowjo, że tu sami swoi, — odezwała się wreszcie ze spokojem złowieszczym. — Dużoś zbytecznych rzeczy powiedziała.

— A ja, moja złota, nie obawiam się opinji ludzkiej, jak niektóre osoby. To ty, pod pozorami surowości, trzęsiesz się ze strachu przed opinją. A że tu sami swoi, to tylko twoje szczęście. Poco tu obce uszy?

— Cóżeś tak zmądrzała przez ten tydzień?

— Nie ja zmądrzałam, lecz prawda widocznie wylazła nawierzch wciągu tego tygodnia.

— Jaka prawda nawierzch wylazła? Słuchaj, Praskowjo, nie drocz się ze mną, nie radzę ci. Lepiej wytłumacz zaraz, wytłumacz w tej chwili. Jaka prawda nawierzch wylazła i co ty przez to rozumiesz?

— A tu właśnie siedzi ta prawda! — Praskowja Iwanowna wskazała palcem Marję Timofiejewnę, z tą decyzją, która nie liczy się z następstwami, byle oszołomić narazie.

Marja Timofiejewna, która przyglądała się wciąż z wesołem zaciekawieniem, zaśmiała się radośnie na widok wysuniętego ku niej palca rozgniewanej damy, i podskoczyła na krześle.

— Jezus Marja! Czy oni powarjowali wszyscy, czy co? — krzyknęła Barbara Piotrowna, osuwając się na poręcze fotela.

Tak zbladła, że wszystkich ogarnął przestrach. Stepan Trofimowicz pierwszy rzucił się do niej. Zbliżyłem się i ja. Nawet Liza zerwała się z krzesła, lecz nie ruszyła się dalej. Najwięcej przestraszyła się sama Praskowja Iwanowna; z trudem podniosła się i płaczliwym głosem zaczęła krzyczeć:

— Droga moja, droga Barbaro, wybacz mi! Wybacz mi moją głupotę i złość. Wody! Dajcie jej prędzej wody

— Mogłabyś nie jęczeć, Praskowjo, a was wszystkich proszę: odejść ode mnie. Wody nie trzeba! — cichym, lecz pewnym głosem wymówiła przez zbielałe wargi Barbara Piotrowna.

— Najdroższa! — ciągnęła Praskowja Iwanowna znacznie już spokojniej. — Ja zawiniłam, Barbaro. Niepotrzebnie powiedziałam te nieostrożne słowa, lecz tak już mnie zirytowały listy anonimowe, któremi mnie wciąż zasypują. Dotyczą one ciebie, mogliby więc posyłać je pod twoim adresem, a nie pod moim. Ja mam córkę!

Barbara Piotrowna słuchała w milczeniu. Jej oczy, szeroko otwarte, patrzały ze zdziwieniem. W tej chwili cicho otwarły się boczne drzwi i stanęła w nich Darja Pawłowna. Rozejrzała się po twarzach obecnych. Zdziwiło ją nasze zmieszanie. Prawdopodobnie w pierwszej chwili nie zauważyła Marji Timofiejewny, o której obecności nie była uprzedzona. Stepan Trofimowicz zauważył ją pierw-

szy, zrobił jakiś gwałtowny ruch, poczerwieniał cały i głośno zawołał: „Darja Pawłowna". Oczy wszystkich spoczęły na niej.

— Ach, to wasza Darja Pawłowna! — zawołała Marja Timofiejewna. — Wiesz, Szatusiu, zupełnie niepodobna do ciebie twoja siostrzyczka! Jak śmiał mój Lebiadkin nazywać takie cudo dziewką pańszczyźnianą.

Darja Pawłowna już zbliżała się do Barbary Piotrowny. Lecz zatrzymana okrzykiem Marji Timofiejewny, stanęła jak wryta i utkwiła w niej długie, przykuwające spojrzenie.

— Siadaj, Daszo! — wymówiła Barbara Piotrowna z przerażającym spokojem. — Siądź tu, bliżej. Możesz i stąd widzieć tamtą kobietę. Znasz ją?

— Nie widziałam jej nigdy, — cicho odpowiedziała Dasza i dodała po chwili: — to prawdopodobnie siostra niejakiego Lebiadkina.

— I ja panią, moja złota pani, widzę po raz pierwszy! — wołała w zachwycie Marja Timofiejewna. — A dawno już chciałam panią poznać, bo widać w pani edukację! A chociaż mój lokaj pani wymyśla, to niemożliwe, aby pani zabrała jego pieniądze, taka miła, taka wychowana. Bo pani jest miła, miła, ja to mówię sama! — skończyła radośnie, machając rączką.

— Rozumiesz coś z tego? — z dumną wyniosłością pytała Barbara Piotrowna.

— Rozumiem wszystko...

— Słyszałaś o pieniądzach?

— To pewno te same pieniądze, które na skutek prośby Mikołaja Wsiewołodowicza, jeszcze w Szwajcarji, zgodziłam się wręczyć temu Lebiadkinowi, jej bratu.

Zapanowała chwila milczenia.

— Prosił ciebie o to sam Mikołaj Wsiewołodowicz?

— Tak, chciał bardzo posłać te pieniądze, trzysta rubli, Lebiadkinowi. Nie znał jego adresu, wiedział tylko, że ma on do nas przyjechać. Polecił mi oddać pieniądze w razie, jeżeli Lebiadkin przyjedzie.

— A jakie to pieniądze... przepadły? O czem ta kobieta mówi?

— Tego już nie wiem. Dochodziły do mnie plotki, jakoby Lebiadkin zarzucał mi, że niewszystkie pieniądze oddałam. Ale tego ja nie rozumiem. Było trzysta rubli i oddałam trzysta.

Darja Pawłowna zdążyła już się uspokoić. Wogóle trudno było czemkolwiek ją zdziwić na dłużej i wytrącić z równowagi. Nie zdradzała się z tem, co czuła. Wszystkie odpowiedzi dawała spokojnie, odpowiadała ściśle bez cienia wątpliwości i onieśmielenia, które mogłyby zdradzić jakiekolwiek poczucie winy. Barbara Piotrowna nie spuszczała z niej oczu. Zastanawiała się. Wreszcie odezwała się stanowczym głosem, zwracając się wyraźnie do wszystkich, a nietylko do Daszy.

— Jeżeli Mikołaj Wsiewołodowicz zwrócił się z tem nie do mnie, lecz do ciebie, miał widocznie po temu swoje przyczyny. Nie mam prawa interesować się niemi, skoro ukrywa je przede mną. Lecz twój udział w sprawie uspokaja mnie całkowicie. Wiedz o tem, Darjo! Lecz widzisz, dziecko, mając najczystsze sumienie, mogłaś jednak, przez nieznajomość świata, popełnić nieostrożność; popełniłaś ją nawet, komunikując się z jakimś szubrawcem. Plotki, przez niego rozgłaszane, stwierdzają twoją omyłkę. Dowiem się o nim, a ponieważ jestem opiekunką, więc potrafię stanąć w twojej obronie. Na dziś jednak dosyć już tego.

— Najlepiej będzie gdyby przyszedł do pani, — odezwała się Marja Timofiejewna, wysuwając się z fotela, — posłać go do izby czeladnej. Niech tam ze służbą pogra sobie w karty, a my tu będziemy pili kawę. Filiżankę kawy można mu nawet posłać, chociaż wogóle gardzę nim.

I wymownie pokręciła głową.

— Trzeba z tem s' ończyć, — mówiła Barbara Piotrowna, uważnie wysłuchawszy Marji Timofiejewny. — Niech pan zechce zadzwonić, Stepanie Trofimowiczu.

Stepan Trofimowicz zadzwonił, poczem wystąpił naprzód w silnem podnieceniu.

— Jeżelim... Jeżelim... — bąkał gorączkowo, czerwieniąc się i jąkając, — jeżelim także słyszał potworną

opowieść... raczej potwarz... to... jestem oburzony... *enfin c'est un homme perdu et quelque chose comme un forcât évadé.*

Nie skończył. Barbara Piotrowna zmrużyła oczy i zmierzyła go od stóp do głów. W tej chwili wszedł poważny lokaj.

— Karetę, — rozkazała Barbara Piotrowna. — Odwieziesz, Aleksy, pannę Lebiadkiną do domu, wskaże ci gdzie mieszka.

— Pan Lebiadkin tam czeka na dole i prosił, aby go zameldować.

— To niedopuszczalne, Barbaro Piotrowno! — niespokojnie odezwał się Maurycy Mikołajewicz, który dotychczas zachowywał grobowe milczenie. — Niech mi pani wierzy! To nie taki człowiek, którego możnaby przyjmować w towarzystwie. To człowiek zupełnie niemożliwy, Barbaro Piotrowno.

— Zaczekaj chwilkę, — zwróciła się Barbara Piotrowna do lokaja, który natychmiast wyszedł z salonu.

— *C'est un homme malhônet et je crois même, que c'est un forcât évadé, ou quelque chose dans ce genre,* — znów się odezwał Stepan Trofimowicz, znów poczerwieniał i nie mógł mówić dalej.

— Lizo, już jedziemy, — wyniośle oznajmiła Praskowja Iwanowna i chciała wstać. Już żałowała, że przed chwilą nazwała siebie głupią. Gdy mówiła Darja Pawłowna, słuchała jej z pogardliwym uśmiechem. Najwięcej jednak uderzył mnie wyraz Lizawety Mikołajewny, od chwili, gdy weszła do pokoju Dasza: iskrzyły się jej oczy nienawiścią i wzgardą, nie ukrywaną nawet.

— Poczekaj jeszcze, Praskowjo! — mówiła Barbara Piotrowna z tym samym lodowatym spokojem. — Siądź, proszę ciebie, gdyż chora jesteś na nogi, a mam ci coś do powiedzenia. Tak, dziękuję ci. Widzisz, niedawno straciłam cierpliwość i powiedziałam ci parę rzeczy niemiłych. Bądź tak dobra i wybacz mi. Zrobiłam głupstwo, i sama się do tego przyznaję, gdyż lubię sprawiedliwość. Ty także byłaś rozdrażniona, kiedy mówiłaś o anonimach. Każdy list anonimowy, już przez to, że nie jest podpisany, wart

pogardy. Nie zazdroszczę ci, jeżeli jesteś innej opinji. W każdym razie, na twojem miejscu, nie korzystałabym z tak nędznych rzeczy, bo zabrudziłabym się sama. A tyś chciała się zabrudzić. Ponieważ jednak sama zaczęłaś, powiem ci, że otrzymałam i ja przed sześciu dniami błazeński list anonimowy. Jakiś nikczemnik pisze mi, że Mikołaj Wsiewołodowicz zwarjował, i że mam się obawiać jakiejś kulawej kobiety, która „odegra olbrzymią rolę w mojem życiu", — zapamiętałam to zdanie. Zastanowiwszy się nad tem i wiedząc, że Mikołaj Wsiewołodowicz ma tu wielu wrogów, posłałam natychmiast po jednego człowieka, który jest ukrytym, a najwięcej mściwym z wrogów jego. Z rozmowy z nim dowiedziałam się odrazu, jak nędzne jest źródło anonimu. Jeżeli i ciebie, moja droga, niepokojono *z mego powodu* i „bombardowano" takiemi samemi nikczemnemi listami, przykro mi bardzo, że stałam się bezwiedna przyczyną. Oto wszystko, co chciałam ci wyjaśnić. Widzę z przykrością, że jesteś zmęczona i wytrącona z równowagi. Postanowiłam *wpuścić* tu zaraz podejrzanego człowieka, o którym mówił Maurycy Mikołajewicz, używszy niefortunnego zwrotu, — że nie można go *przyjąć*. Liza byłaby niepotrzebna przy tej rozmowie. Chodź tu, Lizo, chcę pocałować ciebie.

Liza stanęła w milczeniu przed Barbarą Piotrowną, która pocałowała ją, wzięła za dłonie, odsunęła trochę, spojrzała serdecznie, przeżegnała i pocałowała znowu.

— Bądź zdrowa, Lizo! (w głosie Barbary Piotrowny dawały się wyczuć łzy). — Wierz mi, że nie przestanę kochać ciebie, cokolwiek nas czeka. Szczęść ci Boże! Zawsze błogosławiłam święte Jego wyroki.

Chciała dodać coś jeszcze, lecz opanowała się i zamilkła. Liza poszła na dawne swoje miejsce, w milczeniu i zadumie. Po drodze jednak zatrzymała się i podeszła do matki.

— Mamo, ja jeszcze nie pojade. Zostanę u cioci, — wymówiła cichutko, lecz w tym szepcie czuć było niezłomne postanowienie.

— Mój Boże, co ty, *Lise*, wyprawiasz! — jęczała Praskowja Iwanowna, bezsilnie rozkładając ręce.

Liza nie odpowiadała, i zdawało się, że nawet nie słyszy. Siadła znów w kącie i zapatrzyła się w przestrzeń.

Po twarzy Barbary Piotrowny prześlizgnął się uśmiech zwycięski.

— Maurycy Mikołajewiczu, mam do pana wielką prośbę: niech pan z łaski swojej zejdzie nadół, zobaczy tego człowieka, i jeżeli jest jakakolwiek możliwość *wpuszczenia* go, niech go pan przyprowadzi.

Maurycy Mikołajewicz ukłonił się i wyszedł. Za chwilę wprowadził Lebiadkina.

IV.

Wspomniałem już raz o powierzchowności tego indywiduum: wysoki, tęgi mężczyzna, lat czterdziestu, o kręcących się włosach, o twarzy ponsowej, spuchniętej i obrzękłej. Przy każdym ruchu głowy trzęsły mu się policzki. Oczy miał małe, przekrwione, dość przebiegłe. Nosił wąsy i bokobrody. Rósł mu mięsisty podbródek, bardzo niekształtny. Ku ogólnemu zdziwieniu, był we fraku i czystej koszuli. „Są ludzie, którym w czystej bieliźnie nie do twarzy", — powiedział kiedyś Liputin, gdy mu Stepan Trofimowicz zarzucał niechlujność. Kapitan miał czarne rękawiczki, z których prawą, niewkładaną jeszcze ani razu, trzymał w ręku. Lewa, ciasno naciągnięta i niezapięta, przykrywała do połowy jego grubą łapę. W łapie tej trzymał kapelusz zupełnie nowy, lśniący, prawdopodobnie włożony po raz pierwszy. Okazało się więc, że ów „frak miłości", o którym krzyczał wczoraj za drzwiami Szatowa, istniał naprawdę. Wszystko to: frak, bielizna i t. p. przygotowane zostało, jakem się później dowiedział, z porady Liputina, dla tajemniczych celów. Nie można było wątpić, że i teraz przyjechał on (wynajętą karetą), z cudzej inspiracji i z cudzą pomocą. Sam nie zdążyłby nawet opamiętać się, a cóż dopiero powziąć decyzję i przebrać się wciągu trzech kwadransów, nawet jeżeli scena w cerkwi stała mu się wiadomą niezwłocznie. Nie był pijany, lecz w tym ciężkim, bezwładnym, mglistym stanie człowieka,

który tylko co zbudził się po wielu dniach pijaństwa. Zdawało się, że wystarczy parę razy potrząsnąć nim, a znów alkohol uderzy mu do głowy.

Szedł szybkim krokiem do salonu, lecz w drzwiach potknął się, zawadziwszy o dywan. Marja Timofiejewna aż zatoczyła się od śmiechu. Spojrzał na nią zwierzęcym wzrokiem, poczem zrobił kilka szybkich kroczków w kierunku Barbary Piotrowny.

— Przyjechałem do pani, — rozpoczął tubalnym głosem.

— Niech pan będzie łaskaw, — przerwała mu Barbara Piotrowna i wyprostowała się: — usiąść na tamtem krześle. Usłyszę pana i stamtąd, i lepiej będę mogła przyjrzeć się panu.

Kapitan zatrzymał się, spojrzał tępym wzrokiem przed siebie, odwrócił się i usiadł na wskazanem miejscu, przy samych drzwiach. Twarz jego zdradzała całkowitą pewność siebie; zuchwalstwo, a jednocześnie podrażnienie. Widać było, że się trochę boi, lecz cierpiała również jego miłość własna i można było przewidzieć, że podrażniona ambicja zdoła w nim zagłuszyć strach i pchnąć ku rzeczom zuchwałym. Nie był pewien ruchów swego niezgrabnego cielska. Wiadomo, że największem cierpieniem tego typu ludzi, gdy się znajdą wypadkowo w towarzystwie, są ich własne ręce i uświadamiana sobie co chwilę niepewność, co z niemi robić. Kapitan zamarł na krześle z kapeluszem i rękawiczką w ręku i nie spuszczał oczu z surowej twarzy Barbary Piotrowny. Chciał, widocznie, rozejrzeć się, lecz jeszcze się nie mógł zdecydować. Marja Timofiejewna, znów rozbawiona jego wyglądem, głośno się śmiała. Nie ruszył się jednak. Barbara Piotrowna wytrzymała go w takiej pozie nielitościwie długo, okrutnie wpatrując się w niego.

— Przedewszystkiem chciałabym od pana samego dowiedzieć się jego nazwiska? — przemówiła stalowym głosem.

— Kapitan Lebiadkin! — huczał przybysz. — Przyjechałem do pani... — próbował znowu.

— Przepraszam! — powstrzymała go Barbara Piotrowna. — Czy ta nieszczęśliwa istota, która zainteresowała mnie, jest istotnie siostrą pańską?

— Siostra, proszę pani. Siostra, która wykradła się z pod opieki domowej. Jest w takim stanie...

Zaciął się i sponsowiał.

— Niech pani nie zechce zrozumieć opacznie, — plątał się, — brat rodzony nie będzie szkalował. „W takim stanie", to nie znaczy „w takim stanie", który plami opinję kobiety... zwłaszcza w czasach ostatnich.

Zatrzymał się.

— Mój panie! — Barbara Piotrowna przeszyła go wzrokiem.

— O, w takim stanie! — określił, tknąwszy palcem w czoło.

Nastąpiła chwila milczenia.

— To już dawno z nią? — pytała Barbara Piotrowna.

— Pani! Przyjechałem do pani, aby podziękować za okazaną w cerkwi wspaniałomyślność. Podziękować szczerze, po bratersku.

— Jakto po bratersku?

— Nie, nie po bratersku, a tylko w tym sensie, że ja jestem bratem mojej siostry. I niech mi pani łaskawie uwierzyć raczy, — brnął dalej, czerwony jak burak, — że wcale nie jestem tak źle wychowany, jak się tu mogło wydać w tym salonie. My z siostrą jesteśmy prochem wobec tego przepychu, który widzimy tu. A mamy wrogów i potwarców. Lecz Lebiadkin jest dumny, gdy chodzi o opinję i... przyjechałem podziękować. Oto są pieniądze, szanowna pani!

Wyciągnął z kieszeni pugilares, wydobył z niego paczkę pieniędzy i zaczął niecierpliwie przerzucać ją. Widać było, że gwałtownie pragnie coś wyjaśnić, że już nie może się powstrzymać; czując jednak, że poranina z pieniędzmi ośmiesza go jeszcze więcej, stracił panowanie nad sobą. Nie mógł już liczyć, plątały mu się palce, i, jak na złość, jedna zielona trzyrublówka wyśliznęła się z pugilaresu i poleciała na dywan.

— Dwadzieścia rubli, służę pani, — zerwał się wreszcie, z całą paczką pieniędzy w garści. Pot kroplisty ukazał mu się na czole. Zauważył leżący na dywanie papierek, schylił się, aby podjąć, lecz zawstydził się i machnął ręką.

— Niech to będzie dla służby. Dla lokaja, który podniesie. Niech znają Lebiadkina.

— Panie, ja nie mogę pozwolić! — pośpiesznie, z pewnym przestrachem, mówiła Barbara Piotrowna.

— Ach, w takim razie...

Schylił się, podniósł, oczy mu nabiegły krwią, i w tej chwili, zbliżywszy się do Barbary Piotrowny, podał jej odliczone pieniądze.

— Co to znaczy? — zlękła się na dobre i cofnęła się.

Stepan Trofimowicz, Maurycy Mikołajewicz i ja, posunęliśmy się ku nim.

— Uspokójcie się panowie, ja wcale nie jestem warjatem. Klnę się na Boga, że nie jestem warjatem, — zapewniał nas kapitan.

— Ależ pan zwarjował!

— O nie, szanowna pani, to zupełnie co innego! Jestem, oczywiście, nędznym pyłkiem... O, pani, bogate są twoje pałace, lecz nędzna jest izba Marji Nieznanej, siostry mojej, z domu Lebiadkin, a którą nazwiemy Marją Nieznaną, lecz tylko tymczasem, gdyż sam pan Bóg nie dopuści, aby tak miało być zawsze! O pani! Dałaś jej pani dziesięć rubli, a ona przyjęła, lecz dlatego tylko, że to od ciebie, jasna pani!! Słyszy pani! Od nikogo na świecie nie przyjęłaby Marja Nieznana, gdyż przewróciłby się w grobie jej dziad, oficer zabity na Kaukazie, na oczach samego Jermołowa. Lecz od ciebie, o pani, przyjąć może. A biorąc jedną ręką, oddaje drugą już dwadzieścia rubli, jako ofiarę na rzecz jednego ze stołecznych komitetów dobroczynności, których pani jest członkiem... sama pani ogłaszała w Wiadomościach Moskiewskich, że prowadzi listę ofiar dobroczynności w naszej gubernji, i że każdy może składać ofiary...

Nie mógł mówić dłużej. Ciężko wzdychał, jak po trudnym wysiłku. Wszystko to o komitecie dobroczynności

było napewno przygotowane zawczasu, prawdopodobnie pod redakcją Liputina. Spotniał do reszty. Miał mokre skronie. Barbara Piotrowna przyglądała mu się przenikliwie.

— Lista ofiar, — powiedziała z gniewem, — znajduje się zawsze na dole, u portjera, może więc pan złożyć tam ofiarę, jeżeli pan życzy sobie. A te pieniądze niech pan teraz schowa do kieszeni i nie wymachuje niemi w powietrzu. Tak. Proszę też usiąść na dawnem miejscu. Tak, dobrze. Żałuję, że się omyliłam i dałam jałmużnę siostrze pańskiej, nie wiedząc, że jest tak bogata. Jednej tylko rzeczy nie rozumiem: dlaczego może ona brać tylko ode mnie, a od nikogo innego nie. Tak to pan podkreślał, że proszę o zupełnie ścisłe wyjaśnienie.

— O, pani! Jest to tajemnica, którą zabiorę ze sobą do grobu! — odpowiadał kapitan.

— Ale z jakiego powodu? — w głosie Barbary Piotrowny już nie było dawnej pewności siebie.

— O, pani!

Zamilkł znowu, wpatrzony w ziemię, z prawą ręką na piersi. Barbara Piotrowna czekała, nie spuszczając z niego oczu.

— Pani! — zahuczał znowu. — Czy pozwoli pani, że rzucę jej jedno pytanie, tylko jedno, lecz szczerze, z całej duszy, jak to po rosyjsku?

— Niech pan pyta.

— Czy pani cierpiała kiedykolwiek w życiu?

— Panu chodzi o to, czy wogóle cierpiałam, czy też, czy cierpiałam z cudzego powodu?

— O pani! — zerwał się znowu i tłukł się pięścią w pierś. — Tu, w tem sercu nagromadziło się tyle cierpienia, że zdziwi się pan Bóg, gdy to zobaczy na sądzie ostatecznym...

— Pan się wysławia jaskrawo!

— O pani! Może mówię językiem człowieka rozdrażnionego...

— Niech pan się nie obawia. Wiem, kiedy trzeba będzie zahamować pański polot.

— Czy wolno mi skierować do pani jeszcze jedno pytanie.

— Słucham.

— Czy można umrzeć z powodu szlachetności własnej?

— Nie wiem. Nigdy mi do głowy nie przyszło takie pytanie.

— Nie wie pani! Do głowy nie przyszło! — wołał z ironją patetyczną. — Ha, jeśli tak, jeśli tak —

„Milcz, beznadziejne serce!" —

i zaczął walić się w pierś zapamiętale.

Znów począł biegać po pokoju. Ludzi tego rodzaju charakteryzuje zawsze całkowita niezdolność hamowania swoich popędów; przeciwnie, popędy te, ledwo narodzone, mają nieposkromioną tendencję ujawniania się nazewnątrz w całej okazałości, często dość niewybrednej. Znalazłszy się w przyzwoitem towarzystwie, ludzie tacy są w pierwszej chwili onieśmieleni, lecz wystarczy ustąpić im na włos, aby natychmiast przeszli do arogancji. Kapitan już gorączkował się, biegał, wymachiwał rękami, nie odpowiadał na pytania, mówił o sobie z pośpiechem, tak że często język nie mógł nadążyć. Przerywał wtedy i przeskakiwał do innego zdania. Przypuszczam, że nie był tak zupełnie trzeźwy. Nadomiar złego była tu i Lizaweta Mikołajewna. Nie spojrzał na nią ani razu, lecz sama jej obecność musiała mącić mu w głowie. Zresztą to tylko moje przypuszczenie. Musiała, jednak, istnieć jakaś poważna przyczyna po temu, jeżeli Barbara Piotrowna, przezwyciężając wstręt, zdecydowała się wysłuchać takiego człowieka. Praskowja Iwanowna trzęsła się ze strachu, nie rozumiejąc dobrze, co tu się dzieje. Stepan Trofimowicz drżał, ale dlatego, że zwykle rozumiał więcej, niż należało. Maurycy Mikołajewicz stał w pozie obrońcy. Liza była blada, a szeroko otwarte jej oczy wpatrzone były w dzikiego kapitana. Szatow nie zmienił pozy; rzecz dziwna, że Marja Timofiejewna przestała się śmiać i stała się bardzo smutna. Oparła się na łokciach i powłóczystem spojrzeniem obejmowała deklamującego braciszka. Miałem wrażenie, że tylko Darja Pawłowna zachowała spokój.

— Wszystko to są bezsensowne alegorje, — rozgniewała się wreszcie Barbara Piotrowna. — Nie odpowiedział pan na moje pytanie: „Dlaczego?“ Żądam odpowiedzi.

— Nie odpowiedziałem „dlaczego?“ Chce szanowna pani wiedzieć „dlaczego?“ — powtarzał kapitan, łypiąc oczyma. — To małe słówko „dlaczego?“ wypełnia wszechświat od pierwszego dnia stworzenia, i cała przyroda o każdej godzinie woła do Stwórcy: „Dlaczego?“, a odpowiedzi, jak nie było, tak niema od siedmiu tysięcy lat! Czyż tylko jeden kapitan Lebiadkin ma obowiązek odpowiadać? Gdzie tu sprawiedliwość, szanowna pani?

— To wszystko są głupstwa! — Barbara Piotrowna traciła już cierpliwość. — To są alegorje; a poza tem, pan mówisz zanadto wyniośle, co mi ubliża, szanowny panie.

— O, pani, — ciągnął dalej kapitan, nie zwracając uwagi na jej słowa. — Być może, że chciałbym nazywać się Ernestem, a zmuszony jestem dźwigać ordynarne imię Ignacy. A dlaczego, niech mi panie zechce wytłumaczyć? Chciałbym się nazywać hrabią de Monbar, a jestem poprostu Lebiadkin. Dlaczego? Poetą jestem, o pani! Poetą w duszy, i mógłbym otrzymywać tysiące od wydawców, tak, a muszę mieszkać w brudnej norze! Dlaczego, dlaczego? O pani! Rosja cała jest igraszką przyrody, nic więcej.

— Czy pan stanowczo nie może powiedzieć nic więcej określonego?

— Mogę przeczytać pani utwór pod tytułem „Żuk“.

— Co-o-o?

— O, pani! Jeszcze nie jestem warjatem! Będę, napewno będę, lecz dotychczas nie jestem! Pani, jeden z moich przyjaciół, człowiek bardzo dostojny, napisał bajkę Kryłowa pod tytułem „Żuk“. Czy wolno mi ją wygłosić?

— Pan chcesz powiedzieć jakąś bajkę Kryłowa?

— Nie, nie Kryłowa, lecz moją, moją własną, moje dzieło! Niech mi pani, bez ujmy dla siebie, zechce uwierzyć: nie jestem jeszcze tak nieociosany i niewykształcony, abym nie wiedział, że Rosja ma szczęście posiadać wielkie-

go bajkopisarza Kryłowa, któremu minister oświaty raczył wystawić pomnik w Ogrodzie Letnim, tam, gdzie igrają dzieci. A pani wciąż pyta „dlaczego?". Odpowiedź wypisana jest znakami ognistemi na dnie bajki.

— Cóż to za bajka? Słucham.

— Żył na świecie pewien gad,
Urodzony żukiem...
Nieostrożnie biedak wpadł
W szklankę z muchotłukiem...

— Mój Boże! Co to znaczy? — zawołała Barbara Piotrowna.

— To znaczy, kiedy latem, — pośpiesznie wyjaśniał kapitan, wymachując rękami, niby zniecierpliwiony autor, któremu przerywają, — kiedy latem dużo much wciśnie się do szklanki, to będzie muchotłuk, każdy idjota mógłby się tego domyślić, niech mi pani nie przerywa, pani sama zobaczy.

Zajął dużo miejsca tam.
Muchy zaszemrały:
— I bez żuka ciasno nam!
Los swój przeklinały.
Ale kiedy trwał ten skrzek,
Zbliżył się Nikifor,
Bardzo mądry, zacny człek...

Tu jeszcze nie wykończyłem, lecz to wszystko jedno. Opowiem. Nikifor bierze szklankę i nie zwracając uwagi na cały hałas, wylewa do brudnego wiadra całą tę komedję z muchami i z żukiem, co zresztą dawno należało uczynić. I cóż dalej, o pani? „A żuk się nie żali!" Oto odpowiedź na pytanie „dlaczego?" — wołał triumfalnie. — „A żuk się nie żali!" Nikifor zaś wyobraża przyrodę, — dodał w pośpiechu i znów zaczął kroczyć po pokoju z wyrazem zadowolenia na twarzy.

Barbara Piotrowna rozgniewała sie strasznie.

— A może pan zechce mi łaskawie wyjaśnić, o jakie

to pieniądze, jakoby otrzymane od Mikołaja Wsiewołodowicza, a niedopłacone panu, ośmielił się pan oskarżać pewną osobę, należącą do mojego domu?

— Oszczerstwo! — zawył Lebiadkin, tragicznie wzniósłszy prawicę.

— Nie, to nie jest oszczerstwo.

— O pani, bywają okoliczności, kiedy człowiek woli znosić hańbę rodzinną, niż głośno powiedzieć prawdę. Lebiadkin nie uchyli rąbka tajemnicy, o pani!

Zdawało się, że oślepł; był jak w natchnieniu; czuł, że jest osobą ważną, coś podobnego przynajmniej wyobrażał sobie. Chciał już obrazić kogoś, popełnić jakieś drobne łajdactwo, pokazać władzę swoją!

— Niech pan będzie tak łaskaw, Stepanie Trofimowiczu, i zadzwoni, — poprosiła Barbara Piotrowna.

— O, Lebiadkin jest chytry, — mówił dalej kapitan z brzydkim uśmiechem, — chytry, lecz i na niego nadchodzą chwile. I on ma swoją furtkę, która jest na progu namiętności. Ta furtka, — to stara huzarska butelczyna bojowa, którą opiewał Denis Dawydow. A wtedy zdarza się Lebiadkinowi, że wyśle list, wierszem pisany, przepiękny list, a potem chciałby go zawrócić za cenę łez całego życia, gdyż pogwałcone zostało uczucie piękna. Lecz już wyleciał ptaszek, — i nie schwycisz go za ogon! A w tej samej furtce mógł Lebiadkin powiedzieć cokolwiek o pewnej szlachetnej dziewicy, zgłębi pokrzywdzonej duszy, z czego skorzystali niezwłocznie oszczercy. Lecz chytry jest Lebiadkin! I napróżno czyha nań zły wilk, który codzień dolewa wina i oczekuje końca: nie wygada się Lebiadkin. Na dnie butelki znajdzie się zawsze, zamiast wyznań, tylko chytrość Lebiadkina. Dosyć już jednak. Wspaniałe podwoje te mogłyby być otwarte dla najszlachetniejszego z ludzi, lecz „żuk się nie żali". Niech pani zauważy to wreszcie, że „żuk się nie żali", i niech pani uzna wielkość jego ducha!

W tej chwili rozległ się dzwonek, poczem wszedł do salonu Aleksy. Stary, poważny sługa był strasznie podniecony. Barbara Piotrowna spojrzała ze zdziwieniem.

— Mikołaj Wsiewołodowicz przyjechał przed chwilą, i sam tu idzie, — wyjaśniał.

Pamiętam dobrze wyraz twarzy Barbary Piotrowny. W pierwszej chwili zbladła, lecz potem zaiskrzyły się jej oczy. Wyprostowała się. Miała wyraz zupełnie zdecydowany. Wszyscy byli zdumieni. Nieoczekiwany przyjazd Mikołaja Wsiewołodowicza, którego oczekiwano dopiero za miesiąc, zdziwił wszystkich nietylko jako niespodzianka, lecz i ze względu na fatalny zbieg okoliczności w tej chwili. Nawet kapitan stanął jak słup, pośrodku pokoju, otworzył usta i z głupią miną patrzył w drzwi.

W sąsiedniej sali, dużej i długiej, rozległy się szybkie, krótkie kroki, jakieś gęste i szybko zbliżające się; ktoś biegł prawie i wreszcie wleciał do pokoju, lecz nie był to wcale Mikołaj Wsiewołodowicz, lecz jakiś zupełnie nieznany nam młodzieniec.

V.

Pozwolę sobie zatrzymać się tu na chwilę i w kilku rysach nakreślić tą nową postać.

Był to młodzieniec w wieku około dwudziestu siedmiu lat, wzrostu dość dużego, o rzadkich, długich blond włosach i o ledwo zaznaczonych strzępkach brody i wąsów. Był ubrany modnie, lecz nie przesadnie; na pierwszy rzut oka wydawał się zgarbiony i niezgrabny, chociaż w istocie nie był zgarbiony i miał pewne siebie ruchy. Wyglądał na oryginała, a jednak potem uznali wszyscy, że ma bardzo przyzwoity sposób bycia i mówi zawsze do rzeczy.

Trudno powiedzieć, aby był brzydki, a jednak twarz jego nie może się podobać nikomu. Ma głowę wydłużoną z tyłu i czaszkę ściśniętą z boków, tak że twarz jego wydaje się wyostrzona. Czoło wysokie i ciasne, nos mały i śpiczasty, wargi długie i wąskie. Wyraz twarzy jakgdyby chorobliwy, lecz tylko pozornie. Ma na policzkach i koło uszu jakąś fałdę, która sprawia wrażenie, jakgdyby był rekonwalescentem po ciężkiej chorobie. A jednak jest zupełnie zdrów i silny, a nawet nigdy nie chorował.

Chodzi i porusza się gorączkowo, chociaż nigdzie się nie śpieszy. Możnaby przypuszczać, że nic go nie wytrąci z równowagi: pozostanie zawsze sobą w każdem towarzystwie i we wszystkich okolicznościach. Ma całkowitą pewność siebie i wyraz samozadowolenia, chociaż sam tego nie dostrzega.

Mówi szybko, a jednocześnie pewnie, nigdy nie dobierając słów. Myśli jego, chociaż wyglądają gorączkowo, są jednak zimne i zdecydowane. Rzuca się to w oczy. Ma wyraźną wymowę. Słowa jego robią wrażenie gładkich, dużych ziaren, sypiących się równo, zebranych w porę i zawsze przygotowanych zawczasu. Z początku może się to nawet podobać. Po chwili jednak stają się wstrętne, zarówno ta wyraźna mowa, jak i te paciorki gotowych zdań. Zaczyna ci się wydawać, że ma on w ustach język inny, niż wszyscy, niezwykle długi i wąski, strasznie czerwony o długim koniuszku, kręcącym się bezwiednie, a nieprzerwanie.

Taki oto młodzieniec wpadł teraz do salonu. Mam dotychczas wrażenie, że zaczął mówić jeszcze z drugiego pokoju. Mówiąc, znalazł się przed Barbarą Piotrowną.

— ...Proszę sobie wyobrazić, Barbaro Piotrowno, — sypały się paciorki, — wchodzę i jestem pewien, że go tu już zastanę. Powinien być tu przed kwadransem. Przyjechał przed półtorą godziny. Spotkaliśmy się u Kiriłowa. Pół godziny temu poszedł wprost tu, i kazał mi także przyjść za kwadrans.

— Ale kto? Kto panu kazał tu przyjść? — badała Barbara Piotrowna.

— Ależ on, Mikołaj Wsiewołodowicz! Czyż pani istotnie dowiaduje się teraz dopiero? Lecz rzeczy jego już napewno tu są. Czyż nikt nie mówił pani? Więc znaczy, że ja pierwszy zwiastuję. Zresztą, należałoby posłać po niego, poszukać go, a zresztą napewno sam przyjdzie. Trafi akurat na chwilę, która odpowiada całkowicie jego oczekiwaniom, i, o ile wolno mi sądzić, niektórym jego nadziejom. — Rozejrzał się po pokoju i najuważniej wpatrzył się w kapitana. Mówił dalej: — Ach, Lizaweto Mikołajewno, tak się cieszę, że odrazu po przyjeździe spotykam

panią. Pozwoli mi pani uścisnąć jej rączkę, — podbiegł do wesoło uśmiechniętej Lizy i schwycił wyciągniętą jej dłoń. — Jak widzę, szanowna Praskowja Iwanowna także nie zapomniała jeszcze „profesora" i nawet nie gniewa się na niego tak, jak gniewała się jeszcze w Szwajcarji. Jak nogi pani, Praskowjo Iwanowno? Czy lekarze szwajcarscy sprawiedliwie skazali panią na klimat ojczysty? Co? Kompresy? O, to bardzo pomaga. Ach, jak żałowałem, Barbaro Piotrowno, — znów zwrócił się do niej, — że nie zdążyłem już zastać pani zagranicą i osobiście złożyć najgłębszego uszanowania, — a miałem pani tyle rzeczy do zakomunikowania... Pisałem tu do mego starego, lecz on, swoim zwyczajem...

— Piotrusiu! — zawołał Stepan Trofimowicz, wyrwawszy się z osłupienia. Podbiegł do syna. — *Pierre, mon enfant!* Nie poznałem ciebie! — rzucił mu się na szyję i łzy rzęsiste popłynęły mu z oczu.

— No, dobrze, dobrze, poco te gesty! Dosyć już, proszę, — mełł Piotruś, siląc się wyrwać z ramion ojcowskich.

— Tyle zawiniłem wobec ciebie mój synu!

— Dobrze, dobrze. Zdążymy o tem pomówić. Wiedziałem, że zwarjujesz. Bądź trochę trzeźwiejszy, mój stary...

— Ależ nie widziałem ciebie od dziesięciu lat!

— Tem mniej masz powodu do wylewu uczuć.

— *Mon enfant!*

— Dobrze już! Wiem, że mnie kochasz. Zabierz ręce. Innym przeszkadzasz... O, już jest Mikołaj Wsiewołodowicz... Stary, mówię ci, daj spokój.

Mikołaj Wsiewołodowicz istotnie był już w salonie. Wszedł pocichu, na chwilę stanął w drzwiach, spokojnie oglądając zebranych.

Tak samo, jak przed czterema laty, gdym widział go po raz pierwszy, wprowadził mnie w zdumienie. Pamiętałem go dobrze. A jednak są twarze, które zawsze, ilekroć się zjawią, przynoszą ze sobą coś nowego, niezauważonego dotychczas, pomimo stokrotnych spotkań. Wydawał się takim samym, jak przed czterema laty. Był tak samo wy-

tworny, tak samo poważny. Wchodził z tą samą dystynkcją, a nawet wydawał się tak samo młody.. Uśmiech jego był tak samo oficjalnie uprzejmy i tak samo określający pewną wyższość. Spojrzenie — poważne, zamyślone, lecz trochę roztargnione. Słowem, jakgdybyśmy się wczoraj rozstali. Jedna rzecz uderzyła mnie. Dawniej, chociaż uchodził za bardzo przystojnego, twarz jego istotnie przypominała maskę, jak to określiły pewne złośliwe panie. Teraz zaś, już nie wiem dlaczego, odrazu wydał mi się skończenie pięknym i zupełnie do maski niepodobnym. Może dlatego, że trochę zbladł i zeszczuplał? A może wzrok jego świecił jakąś nową myślą?

— Mikołaju! — zawołała Barbara Piotrowna. Wyprostowała się na fotelu i zatrzymała go rozkazującym gestem. — Mikołaju! zatrzymaj się na chwilę.

Aby zrozumieć to straszne pytanie, które nastąpiło po tym geście i po tym okrzyku, pytanie, którego nie mogłem oczekiwać od Barbary Piotrowny, trzeba mieć na względzie jej ogólne cechy charakteru i jej niesłychaną szybkość decyzji w pewnych niezwykłych momentach. Trzeba też pamiętać, że chociaż miała hart duszy, dużo rozumu i praktycznego, powiedziałbym domowego, taktu, jednak w życiu jej często bywały chwile, gdy całkowicie, bez żadnego hamulca, oddawała się pewnym popędom. A zresztą obecna chwila należała dla niej istotnie do takich, w których skupia się, jak w soczewce, cała treść życia, wszystko co było, co jest, i może nawet, co będzie. Dodajmy do tego list anonimowy, o którym z taką irytacją wspominała w rozmowie z Praskowją Iwanowną, ukrywszy jednak zakończenie listu; wszak może w tem zakończeniu kryła się istotna przyczyna pytania, rzuconego obecnie synowi.

— Mikołaju, — powtórzyła, wydzwaniając każde słowo, a w głosie jej czuć było groźbę. — Proszę cię, powiedz mi zaraz, nie ruszając się z miejsca, czy to prawda, że ta nieszczęśliwa, kulawa kobieta, ta oto, spójrz na nią... Czy to prawda, że jest ona twoją ślubną żoną?

Zbyt dobrze pamiętam tę chwilę. Nie zmrużył nawet oczu i uważnie patrzał na matkę; na twarzy jego nie dostrzegłem żadnej zmiany. Wreszcie uśmiechnął się pobłażli-

wie, nie odpowiedział ani słowa, podszedł wolnym krokiem do matki, wziął jej dłoń, z szacunkiem podniósł do ust i ucałował. Wpływ jego na matkę był zawsze tak niezwalczony, że i teraz nie była w stanie cofnąć ręki. Patrzyła wciąż na niego, jak żywe pytanie i zdawało się, że jeszcze chwila, a zabije ją ta niepewność.

Lecz milczał. Jeszcze raz rozglądnął się po wszystkich i tym samym wolnym krokiem podszedł do Marji Timofiejewny. Zbyt trudno pochwycić wyraz twarzy ludzi w pewnych chwilach. Pamiętam, naprzykład, że Marja Timofiejewna w głuchem przerażeniu, podniosła się i złożyła ręce, jak do modlitwy; pamiętam jednak i jakiś zachwyt bezbrzeżny w jej wzroku, zachwyt, który wykrzywił jej twarz, — niemożliwy do zniesienia. Może było i jedno i drugie, i zachwyt i przerażenie. Wiem jednak, że rzuciłem się do niej (stałem blisko), gdyż miałem wrażenie, że lada chwila zemdleje.

— Pani tu nie powinna przebywać, — odezwał się Mikołaj Wsiewołodowicz łagodnym, melodyjnym głosem, a w oczach jego błysnęła niezwykła tkliwość.

Stał przed nią, a w każdym jego ruchu widać było szczery dla niej szacunek. Biedaczka zaczęła szeptać półgłosem, tracąc oddech.

— A czy ja mogę zaraz... klęknąć przed panem?

— O, nie! To już pod żadnym pozorem! — zaśmiał się tak zaraźliwie, że i na jej twarzy ukazał się uśmiech radosny.

Tym samym melodyjnym głosem, łagodnie namawiając ją, jak dziecko, — mówił poważnie.

— Niech pani pamięta, że jest panną, a ja, chociaż jestem dla pani najbliższym przyjacielem, nie jestem ani mężem, ani ojcem, ani narzeczonym. Jestem obcym mężczyzną. Niech mi pani da rękę i pójdziemy. Odprowadzę panią do karety, a jeżeli pani pozwoli, to odwiozę panią do domu.

Wysłuchała i w zadumie skinęła głową.

— Chodźmy! — westchnęła i podała mu rękę.

W tej chwili jednak spotkała ją pewna przykrość. Prawdopodobnie nieostrożnie stanęła na chorą nogę i upa

dła na fotel. Gdyby nie było fotela, zwaliłaby się na podłogę. Stawrogin schwycił ją i podtrzymał, a potem mocno wziął pod rękę i ostrożnie poprowadził ku drzwiom. Była zdetonowana i niezmiernie zawstydzona upadkiem. Nie podniosła twarzy; mocno kulejąc, zwisła całym ciężarem na jego ramieniu. Tak wyszli z pokoju. Widziałem, że Liza zerwała się i odprowadzała ich bacznem spojrzeniem. Potem znów usiadła, lecz na twarzy jej był grymas obrzydzenia jak po dotknięciu płaza.

Póki odbywała się ta scena między Mikołajem Wsiewołodowiczem, a Marją Timofiejewną, wszyscy milczeli w zdumieniu. Lecz natychmiast po ich wyjściu, rozległy się głosy ze wszystkich stron.

VI.

Nie były to nawet rozmowy, lecz raczej okrzyki. Już nie pamiętam dobrze, jak to się odbyło, gdyż powstało pewne zamieszanie. Stepan Trofimowicz coś zawołał po francusku i załamywał ręce, — lecz Barbara Piotrowna nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Nawet Maurycy Mikołajewicz wydał jakiś okrzyk oderwany i krótki. Najwięcej krzątał się Piotr Stepanowicz: dowodził coś Barbarze Piotrownie, wymownie gestykulując, długo jednak nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi. Podbiegał też do Praskowji Iwanowny i do Lizawety Mikołajewny, a nawet w pośpiechu krzyknął coś ojcu, — słowem, pełno go było w pokoju. Barbara Piotrowna, zaczerwieniona zerwała się i krzyknęła do Praskowji Iwanowny: „Słyszałaś, słyszałaś, co on jej mówił?“ Lecz Praskowja Iwanowna nie była w stanie nawet odpowiadać. Trzęsła dłonią i coś mamrotała. Miała własny kłopot: ciągle zwracała ku Lizie spojrzenie; pełne beznadziejnego strachu, lecz już nie odważała się ani wstać, ani wyjść, póki nie wstanie córka. Tymczasem kapitan chciał się wyślizgnąć. Zauważyłem to dobrze. Był szczerze i mocno przerażony od chwili, kiedy zjawił się Mikołaj Wsiewołodowicz. Lecz Piotr Stepanowicz schwycił go za rękę i nie puszczał.

— To trzeba zrobić, trzeba koniecznie, — powtarzał Barbarze Piotrownie, starając się ją przekonać.

Stał przed nią, ona zaś siedziała już znowu w fotelu, chciwie słuchając go. Potrafił przykuć do siebie jej uwagę.

— Trzeba koniecznie. Pani widzi już sama, Barbaro Piotrowno, że to wszystko jest nieporozumienie. Pozory dziwaczne, lecz cała sprawa prosta jak palec i jasna jak świeca. Wiem dobrze, że nikt nie upoważnił mnie do zabierania głosu w tej materji; narzucając się sam, wyglądam nieco śmiesznie. Lecz przecie sam Mikołaj Wsiewołodowicz nie przywiązuje żadnej wagi do tej sprawy, a bywają poza tem okoliczności, kiedy człowiekowi trudno się zdecydować na wyjaśnienia osobiste. Trzeba wtedy, aby znalazła się osoba trzecia, której łatwiej jest opowiedzieć rozmaite drażliwe szczegóły. Niech pani mi uwierzy, Barbaro Piotrowno, że Mikołaj Wsiewołodowicz bynajmniej nie zawinił, nie odpowiadając w sposób wyczerpujący i ostateczny na pani pytanie. Sama sprawa tymczasem jest błaha, znam ją jeszcze z Petersburga. A nawet przynosi ona zaszczyt Mikołajowi Wsiewołodowiczowi, jeżeli już mamy używać tak nieokreślonych pojęć jak szczycenie się czemkolwiek.

— Chce pan przez to powiedzieć, że był pan świadkiem jakiegoś zdarzenia, z którego wypłynęło to całe nieporozumienie? — zapytała Barbara Piotrowna.

— Byłem świadkiem i uczestnikiem.

— Jeżeli da mi pan słowo, że nie urazi to w niczem miłości Mikołaja Wsiewołodowicza do mnie, przed którą on nic nie ukrywa... i jeżeli jest pan pewien, że nawet zrobiłoby mu to przyjemność...

— Ależ napewno przyjemność, i dlatego sam z radością opowiem. Wiem dobrze, że sam prosiłby mnie o to.

Ta uporczywa chęć opowiadania cudzych historyj ze strony osobnika, który spadł tu jak z innej planety, była dość dziwna i niezgodna z utartemi zwyczajami. Potrafił jednak złapać Barbarę Piotrownę na wędkę, poruszywszy najdrażliwsze miejsce. Nie znałem jeszcze wtedy tego człowieka, ani jego zamiarów.

— Słuchamy pana, — ostrożnie, z rezerwą, oświadczyła Barbara Piotrowna, wstydząc się zlekka ustępliwości swojej.

— Sprawa krótka. Nawet, jeżeli o to chodzi, niema żadnej sprawy, — sypały się paciorki. — Zresztą, w braku lepszych tematów, możnaby z tego zlepić powieść. W każdym razie rzecz interesująca, i przekonany jestem, że i Lizaweta Mikołajewna chętnie wysłucha, gdyż jest w tem wszystkiem wiele dziwacznego, jeśli nie dziwnego. Przed pięciu laty, w Petersburgu, Mikołaj Wsiewołodowicz poznał tego pana, tego oto Lebiadkina, który teraz szeroko usta otworzył, a przed chwilą chciał zwiać. Przepraszam, Barbaro Piotrowno. Nie radzę panu uciekać, panie ex-urzędniku intendentury (widzi pan, pamiętam doskonale, z kim mam przyjemność). Zarówno Mikołaj Wsiewołodowicz, jak i ja, znamy aż nadto dobrze sprawki pańskie, z których będziesz pan musiał się wytłumaczyć. Przepraszam, jeszcze raz, Barbaro Piotrowno. Mikołaj Wsiewołodowicz nazywał wówczas tego pana swoim Falstaffem; to, prawdopodobnie, jakiś dawny typ *burlesque*, z którego wszyscy się śmieją, i który pozwala śmiać się z siebie, byle mu za to płacono. Mikołaj Wsiewołodowicz pędził wtedy w Petersburgu żywot ironiczny, nie mogę inaczej tego określić. Nie wpadał bynajmniej w stan rozczarowania, lecz lekceważył już wtedy życie realne. Mówię tylko o tamtym okresie, Barbaro Piotrowno. A Lebiadkin miał siostrę tę samą, która tu siedziała przed chwilą. Brat i siostra nie mieli własnego kąta i wycierali cudze. On — błądził po halach targowych, zawsze w swym dawnym mundurze, zatrzymywał przyzwoiciej ubranych przechodniów i przepijał potem to, co mu się udało wyprosić. A siostra żywiła się jak ptak niebieski. Gdzieś tam komuś pomagała w gospodarstwie, usługiwała za nędzny kawałek chleba. Było to prawdziwe piekło. Nie będę już odtwarzał scen z tego życia, owych suteren i mansard, tego życia, w które przez dziwactwo pogrążył się wtedy Mikołaj Wsiewołodowicz. Mówię tylko o tamtych czasach, Barbaro Piotrowno. A co do „dziwactwa", to przecież on sam to tak nazywał. Ze mną on jest bardzo szczery. M-lle Lebiadkiną, która

przez pewien czas często widywała Mikołaja Wsiewołodowicza, olśniła jego powierzchowność. Był on jak brylant na mrocznem tle jej życia. Nie umiem opisywać uczuć, więc pominę to wszystko; lecz rozmaici nędzni ludzie zaczęli ją wykpiwać, — to też pogrążyła się w smutku. I przedtem zawsze szydzono z niej, lecz nie widziała tego. Już i wtedy nie miała ładu w głowie, nie w tym oczywiście stopniu, jak teraz. Są dane, że w dzieciństwie, z czyjejś tam łaski, o mało że nie otrzymała wykształcenia. Mikołaj Wsiewołodowicz nigdy nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, a grał z jakimiś urzędniczynami w preferansa, po pół grosza, straszliwie zatłuszczonemi kartami. Raz jednak, gdy skrzywdzono ją przy nim, schwycił za kołnierz jednego urzędnika i, nie pytając o nic, spuścił go przez okno na ulicę. Nie było w tem nawet rycerskiego oburzenia z powodu obrażonej niewinności panieńskiej, cała operacja odbyła się przy ogólnym śmiechu, najgłośniej zaś śmiał się Mikołaj Wsiewołodowicz. Ponieważ zaś wszystko skończyło się pomyślnie, zapito całą sprawę ponczem. Lecz obrażona niewinność zapamiętała to dobrze. Wpłynęło to na ostateczne zachwianie jej równowagi umysłowej. Powtarzam, że nie umiem opisywać uczuć, lecz wszystko polegało na wyobraźni. Tymczasem zaś Mikołaj Wsiewołodowicz zaczął jeszcze więcej drażnić tę wyobraźnię. Zamiast się z niej śmiać wraz z innymi, zaczął traktować tę panią z niesłychanym szacunkiem. Był przy tem obecny Kiriłow. Jest to nadzwyczajny oryginał, Barbaro Piotrowno, człowiek, oderwany od świata; może pozna go pani, gdyż bawi obecnie tu. Otóż ten Kiriłow, który zazwyczaj milczy, zaczął się irytować i zwrócił uwagę Mikołaja Wsiewołodowicza, że traktując tę panią, jak markizę, dobija ją ostatecznie. Dodam, że Mikołaj Wsiewołodowicz traktował Kiriłowa z szacunkiem. I cóż państwo myślą? Co mu powiedział? „Pan myślisz, panie Kiriłow, że ja się z niej śmieję; upewniam pana, że istotnie ją szanuję, gdyż jest ona lepsza od nas wszystkich". Powiedział to zupełnie poważnie. A przecież od paru miesięcy nie wyrzekł do niej ani słowa, oprócz „dzień dobry" i „do widzenia". Sam to wszystko widziałem i pamiętam dobrze, że z biegiem czasu zaczęła go ona

traktować, jako coś w rodzaju „narzeczonego", który nie ośmiela się „porwać" jej tylko dlatego, że ma licznych wrogów i szereg przeszkód rodzinnych. Wiele było śmiechu z tego powodu. Skończyło się na tem, że gdy Mikołaj Wsiewołodowicz miał wyjechać, wydał rozporządzenie, aby dawano jej na utrzymanie pensję roczną, nawet dość znaczną, ze trzysta rubli, a może nawet więcej. Słowem, było to wszystko zabawą, fantazją człowieka, znudzonego przedwcześnie życiem, a może nawet, jak twierdził Kiriłow, był to eksperyment człowieka przesyconego, podjęty celem przekonania się, do czego można doprowadzić obłąkaną kalekę. „Pan naumyślnie wybrał upośledzoną istotę, kalekę", — mówił Kiriłow, — „osobę, która znała tylko bicie i szyderstwo; widząc że ta istota ginie z komicznej miłości, pan, naumyślnie, zawracasz jej głowę, aby przekonać się, jak to się skończy!" Dobrze, ale cóż ten człowiek zawinił? Czyż to jego wina, że obłąkana zaczęła robić jakieś fantazje? Przecież nie zamienił z nią nigdy ani słowa! Barbaro Piotrowno! Istnieją rzeczy, o których nietylko nie można mówić mądrze, ale wprost głupio jest wogóle o nich mówić. Niech to będzie nawet dziwactwo, — ale chyba już nic więcej. A tu zrobili z tego całą historję... Wiem, mniej więcej, Barbaro Piotrowno, o tem, co się tu dzieje.

Przerwał i zwrócił się do Lebiadkina, lecz zatrzymała go Barbara Piotrowna. Była w stanie ekstazy.

— Pan już skończył?

— Nie jeszcze; dla uzupełnienia obrazu chciałbym, jeżeli mi wolno, skierować parę pytań do tego pana... Zobaczy pani zaraz, Barbaro Piotrowno, o co tu chodzi.

— Niech pan poczeka: potem. O, jak to dobrze, że pozwoliłam panu opowiedzieć to wszystko.

— A teraz, niech pani pomyśli! — uzupełniał Piotr Stepanowicz. — Czy mógłby to wszystko opowiedzieć Mikołaj Wsiewołodowicz, do którego pani była łaskawa zwrócić się z pytaniem... nieco zbyt kategorycznem.

— O, tak, zanadto....

— Czyż nie miałem racji, twierdząc, że niektóre sprawy łatwiej może wyjaśnić ktoś obcy, niż osoba bezpośrednio zainteresowana?

— Tak, tak... Lecz pod jednym względem pan się omylił, i sądzę nawet ,że trwa pan w błędzie.

— Czyżby? Pod jakim względem?

— Widzi pan... Ale możeby pan usiadł, Piotrze Stepanowiczu.

— Owszem, dziękuję pani, rzeczywiście nogi mnie już bolą.

Przysunął sobie fotel i siadł przy stole między Barbarą Piotrowną, a Praskowją Iwanowną, twarzą do Lebiadkina, z którego nie spuszczał oczu ani na chwilę.

— Otóż myli się pan, nazywając to „dziwactwem".

— Ach, jeżeli tylko o to chodzi...

— Nie, nie, niech pan poczeka, — powstrzymała go Barbara Piotrowna, która najwidoczniej zamierzała mówić długo i przekonywująco.

Zauważywszy to, Piotr Stepanowicz cały zamienił się w słuch.

— O, nie! Tu było coś wyższego nad dziwactwa, i zapewniam pana, że nawet coś świętego! Człowiek dumny, zraniony za młodu, który w konsekwencji ustosunkował się do życia ironicznie, jak to pan słusznie podkreślił; słowem, książę Harry, jak go pięknie nazwał Stepan Trofimowicz, co byłoby zupełnie trafne, gdyby nie pewne, oprócz tego, podobieństwo do Hamleta, jak mi się zdaje....

— *Et vous avez raison*, — poważnie, z uczuciem powiedział Stepan Trofimowicz.

— Dziękuję panu, Stepanie Trofimowiczu. Panu jestem szczerze wdzięczna za to, że nigdy nie tracił pan wiary w *Nicolas*, w szlachetność jego i w szczytność powołania. Wiarę tę podtrzymywał pan we mnie, gdy słabłam na duchu.

— *Chère, chère...*

Stepan Trofimowicz już miał podejść do niej, lecz zatrzymał się, zrozumiawszy, że niebezpiecznie jest przerywać.

— I gdyby zawsze obok *Nicolas*, — śpiewnie ciągnęła Barbara Piotrowna, — znajdował się cichy, wielki w pokorze, Horacjo, — to także pana określenie, Stepanie Trofimowiczu, — być może byłby on już dawno uratowany od smutnego „demona ironji", który gnębił go przez całe życie. (O tym demonie, to także pan, Stepanie Trofimowiczu, tak

pięknie się wyraził!). Lecz *Nicolas* nie miał nigdy ani Horacja, ani Ofelji. Miał tylko matkę, lecz cóż może zrobić w takich okolicznościach sama matka? Wie pan, Piotrze Stepanowiczu, nawet to jest dla mnie zupełnie zrozumiałe, że taka istota, jak *Nicolas* mogła gustować w tych brudnych norach, o których pan wspominał. Tak wyraźnie widzę ową „ironiczność" życia (jak pan to trafnie określił!) Owo nienasycone pragnienie kontrastu, to ciemne tło obrazu, na którem on sam świeci jak brylant. (Pan sam, Piotrze Stepanowiczu, użył tego porównania). I tam spotyka on istotę, krzywdzoną przez wszystkich, pół-obłąkaną kalekę, nie pozbawioną jednak najszlachetniejszych uczuć.

— Hm... dajmy na to.

— Czyż pan tego nie rozumie, że on nie może szydzić z niej, jak inni? O ludzie, ludzie! Nie rozumiecie, że on broni ją przed szydercami, otaczając ją szacunkiem, jak „markizę". (Ten Kiriłow głęboko zna się na ludziach, chociaż nie zrozumiał wcale *Nicolas!*) Prawdopodobnie przyczyną całego dramatu był właśnie kontrast; gdyby biedaczka żyła w innem środowisku, nie roiłaby snów tak fantastycznych. Tylko kobieta może to zrozumieć! Jaka szkoda, Piotrze Stepanowiczu, że pan nie jest kobietą, przynajmniej na ten raz, aby móc zrozumieć.

— Rozumiem, rozumiem, Barbaro Piotrowno. Pani chce powiedzieć, że im gorzej, tem lepiej. To coś w rodzaju religji; im gorzej jest człowiekowi, im biedniejszy i bardziej ciemny jest naród, tem uparciej marzy o nagrodzie w raju, a jeśli przytem zabiega sto tysięcy księży, krzewiąc marzenie i spekulując na niem, to... rozumiem, Barbaro Piotrowno, niech pani będzie pewna.

— Dajmy na to, niezupełnie o to mi chodziło! Lecz niech pan powie! Czyż miał *Nicolas*, aby zgasić marzenie w tym nieszczęśliwym organizmie (nie mogłem zrozumieć, poco Barbara Piotrowna użyła tu słowa „organizm"), czyż miał on szydzić z niej i obchodzić się z nią tak samo, jak tamci urzędnicy? Czyż nie rozumie pan wzniosłego współczucia i tego szlachetnego dreszczu w całym organizmie, z którym *Nicolas* odpowiada na zarzut Kiriłowa: „Ja się

z niej wcale nie śmieję!". Szczytna to, wzniosła odpowiedź!

— *Sublime*, — wymamrotał Stepan Trofimowicz.

— Niech pan też nie zapomina, że nie jest on wcale tak bogaty, jak pan sądzi. To ja jestem bogata, a nie on. On zaś nie brał ode mnie nic prawie.

— Ależ rozumiem, rozumiem to wszystko, Barbaro Piotrowno! — z pewnem już zniecierpliwieniem mówił Piotr Stepanowicz.

— Och, on ma taki sam charakter, jak ja. Poznaję siebie w *Nicolas*. Tak rozumiem tę młodość, tę skłonność do burzliwych, groźnych wzlotów. Jeżeli poznamy się bliżej, Piotrze Stepanowiczu, czego sobie bardzo życzę, tem bardziej, że mam panu tyle do zawdzięczenia, może pan to kiedyś zrozumie.

— O, proszę pani, będę zaszczycony, — rzucił Piotr Stepanowicz odniechcenia.

— Zrozumie pan ten impuls, który każe w szlachetnem zaślepieniu zbliżyć się do istoty, pod każdym względem nieodpowiedniej, nie mogącej nawet ogarnąć myślą czegokolwiek, istoty, od której mogą spłynąć jedynie przykrości, i w taką istotę, wbrew oczywistości, wcielić własny ideał, własne marzenie, skupić na niej własne nadzieje, korzyć się przed nią, kochać ją przez całe życie, nie wiedząc nawet za co. Może za to właśnie, że istota ta jest tak niegodna.... Ach, jak cierpiałam przez całe życie, Piotrze Stepanowiczu!

Stepan Trofimowicz z miną dziwnie żałosną zaczął ścigać mój wzrok; starałem się nie patrzeć na niego.

— A tak niedawno jeszcze, tak niedawno, — ach, jak zawiniłam wobec ciebie, *Nicolas!*... Pan mi nie uwierzy, jak dręczyli mnie wszyscy, wszyscy: i wrogowie, i inni ludzie, i przyjaciele. Przyjaciele gorzej nawet od wrogów. Gdy otrzymałam pierwszy ohydny list anonimowy, Piotrze Stepanowiczu, wierz mi pan, że już zabrakło mi nawet pogardy dla tej ohydy... Nigdy nie przebaczę sobie, żem była tak małoduszna.

— Już słyszałem trochę o tutejszych listach anonimowych, — ożywił się Piotr Stepanowicz. — Upewniam panią, że wykryję autorów.

— Ależ nie ma pan nawet wyobrażenia, jakie to były intrygi! Zamęczono niemi nawet poczciwą Praskowję Iwanownę. Za cóż ją? Moja złota Praskowjo, — dodała w przypływie szlachetnej wspaniałomyślności, lecz i z odcieniem zwycięskiej ironji, — czuję, że skrzywdziłam cię dziś niesłusznie...

— Mniejsza o to — niechętnie burknęła Praskowja Iwanowna, — myślę, że już czas skończyć to wszystko. Za dużo tej gadaniny.

Znów spojrzała nieśmiało na Lizę, wpatrzoną w Piotra Stepanowicza.

— A tę biedaczkę, tę nieszczęśliwą istotę, tę obłąkaną, która straciła wszystko, oprócz serca, sama teraz usynowię! — zawołała Barbara Piotrowna. — To mój obowiązek, który wypełnię święcie. Od dnia dzisiejszego jest ona pod moją opieką.

— To byłoby bardzo dobrze, pod pewnym względem, — ożywił się Piotr Stepanowicz. — Przepraszam, lecz wtedy nie zdążyłem opowiedzieć do końca. Tu chodzi o opiekę. Proszę sobie wyobrazić, że po wyjeździe Mikołaja Wsiewołodowicza (zaczynam, Barbaro Piotrowno, od mmentu, na którym skończyłem), ten pan, ten sam pan Lebiadkin uznał, że ma prawo całkowicie rozporządzać się pensją, przeznaczoną dla siostry. I rozporządzał się. Nie wiem, jak narazie urządził to Mikołaj Wsiewołodowicz, wiem jednakże, że po roku, będąc już zagranicą, zmuszony był zmienić dyspozycje. Znów nie znam szczegółów, wiem jednak, że ta osoba ulokowana została w odległym klasztorze, gdzie zapewniono jej wszelkie wygody, lecz roztoczono nad nią przyjazny dozór. Cóż wtedy robi pan Lebiadkin? Wytęża całą energję, aby się dowiedzieć, gdzie ukryto jego źródło dochodu, czyli siostrzyczkę, udaje mu się to, wtedy odbiera ją z klasztoru, złożywszy jakieś dowody, stwierdzające, że ma do tego prawo, i przywozi ją wprost tu. Tu zaś nie karmi jej, bije ją, tyranizuje; otrzymuje w jakiś sposób od Mikołaja Wsiewołodowicza znaczniejszą sumę, którą niezwłocznie przepija, i zamiast wdzięczności, rzuca Mikołajowi Wsiewołodowiczowi zuchwałe wyzwanie, wytacza bezsensowne żądania, grozi sądem, o ile pensja nie

będzie wypłacana na jego ręce. W ten sposób, dobrowolną daninę Mikołaja Wsiewołodowicza chce traktować jako dług. To trudno nawet wyobrazić sobie! Panie Lebiadkin, czy prawdą jest wszystko, co tu mówiłem?

Kapitan, który stał dotychczas w tępem milczeniu, zrobił dwa kroki i twarz nabiegła mu krwią.

— Piotrze Stepanowiczu, pan postąpił ze mną okrutnie, — wymówił.

— Jakto okrutnie? Dlaczegóż to? Ale, mój panie, o okrucieństwie lub łagodności pomówimy później, teraz zaś proszę odpowiedzieć na moje pytanie: czy wszystko, com mówił, jest prawdą, czy nie? Jeżeli uważasz, że to nieprawda, wolno panu natychmiast to oświadczyć.

— Pan... pan sam wie, Piotrze Stepanowiczu! — zabełkotał kapitan, stęknął i zamilkł.

Należy dodać, że Piotr Stepanowicz siedział na fotelu, założywszy nogę na nogę, kapitan zaś stał przed nim w pozie, pełnej najgłębszej pokory.

Wahania Lebiadkina widocznie rozgniewały Piotra Stepanowicza. Twarz mu drgnęła.

— Może istotnie chcesz pan coś oświadczyć? — przeszył wzrokiem kapitana. — Bardzo prosimy. Czekamy z niecierpliwością.

— Pan wie najlepiej, że ja nie mogę nic oświadczyć!

— Pierwszy raz słyszę! Dlaczegożbyś pan nie mógł?

Kapitan milczał. Wreszcie odezwał się.

— Niech mi pan pozwoli pójść sobie, Piotrze Stepanowiczu.

— Ależ owszem, lecz przedtem musisz pan odpowiedzieć na moje pytanie: czy to wszystko, co ja mówiłem, jest prawdą?

— To prawda, — głucho odpowiedział Lebiadkin i spojrzał lękliwie na swego dręczyciela. Pot sperlił mu skronie.

— *Wszystko* prawda?

— Wszystko prawda.

— Może chciałbyś pan dodać, wyjaśnić. Jeżeli uważasz pan, że jesteśmy niesprawiedliwi, powiedz. Protestuj pan, zdradź się ze swem niezadowoleniem!

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Groziłeś pan niedawno Mikołajowi Wsiewołodowiczowi?

— To... to pod wpływem alkoholu, Piotrze Stepanowiczu. — Wtem podniósł głowę. — Piotrze Stepanowiczu! A jeżeli głośno wołają w duszy ludzkiej honor rodziny i niezasłużona hańba, czy i wtedy winien jest człowiek? — huczał, jak przedtem, zapomniawszy się na chwilę.

— A teraz, czy jesteś pan trzeźwy, panie Lebiadkin? Piotr Stepanowicz sztyletował kapitana spojrzeniem.

— Tak... trzeźwy.

— Co to znaczy: honor rodziny i hańba niezasłużona?

— Ja to tylko tak sobie. O nikim... Nie chciałem nikogo... Sam do siebie,—mówił Lebiadkin, znów jak zbity.

— Mam wrażenie, że obraziło pana to, com mówił o panu i o pańskiem postępowaniu. Pan jesteś bardzo drażliwy, panie Lebiadkin. Lecz przyznaj pan, że nawet nie zacząłem dotychczas mówić o pańskiem postępowaniu, o prawdziwem pańskiem postępowaniu. Zacznę mówić o uczynkach pańskich, o wszystkiem, niczego nie pominę. Bardzo być może, że zacznę mówić, lecz dotychczas przecież nie zacząłem nawet.

Lebiadkin drgnął i wpatrzył się w Piotra Stepanowicza.

— Piotrze Stepanowiczu, teraz dopiero zaczynam się budzić!

— Ha, to ja zbudziłem pana?

— Tak, to pan mnie zbudził, Piotrze Stepanowiczu. Cztery lata spałem pod zwisającą chmurą. Czy mogę już odejść, Piotrze Stepanowiczu?

— Owszem, o ile Barbara Piotrowna nie zechce.... Lecz Barbara Piotrowna machała rękami.

Lebiadkin ukłonił się, zbliżył się do drzwi, zatrzymał się, położył rękę na sercu, chciał coś powiedzieć, lecz nie powiedział i szybko wybiegł. W drzwiach jednak zetknął się z Mikołajem Wsiewołodowiczem; jakgdyby skręcił się przed nim i patrzył na niego, jak królik patrzy na boa-dusiciela. Poczekawszy chwilę, Mikołaj Wsiewołodowicz odsunął go ręką i wszedł do salonu.

VII.

Był wesoły i spokojny. Może spotkało go przed chwilą coś bardzo miłego, o czem nie wiedzieliśmy jeszcze, lecz był wyjątkowo zadowolony.

— Czy mi przebaczysz, *Nicolas!* — nie wytrzymała Barbara Piotrowna i zerwała się na jego spotkanie.

Lecz *Nicolas* serdecznie śmiał się.

— No, oczywiście! — zawołał dobrodusznie i żartobliwie. — Widzę, że już wszystko jest państwu wiadome. Gdy wyszedłem stąd, pomyślałem, już będąc w karecie: „trzeba było opowiedzieć przynajmniej jakąś anegdotę, bo któż tak wychodzi?" Lecz przypomniałem sobie, że zostawiłem Piotra Stepanowicza i uspokoiłem się.

Rozglądał się wokoło.

Barbara Piotrowna przerwała mu w zachwycie.

— Piotr Stepanowicz opowiedział nam dawną petesburską historję z życia pewnego dziwaka, pewnego kapryśnika i warjata, lecz zawsze wzniosłego, zawsze rycersko-szlachetnego...

— Rycersko? Aż tak nawet? — śmiał się *Nicolas*. — Na ten raz jednak jestem istotnie wdzięczny Piotrowi Stepanowiczowi za jego pośpiech (wymienił z nim przelotne spojrzenie). — Trzeba mamie wiedzieć, że Piotr Stepanowicz jest znanym medjatorem. Godzenie wszystkich, to jego słaba strona. Polecam go bardzo pod tym względem. Już domyślam się, co on tam wypisał. Przecie on pisze, gdy mówi. Ma w głowie całą kancelarję. Jako realista, nie może kłamać, gdyż prawda jest mu droższa od powodzenia... oczywiście za wyjątkiem tych wypadków, kiedy powodzenie jest droższe od prawdy. Widzi teraz mama, że to nie mama, lecz ja winienem prosić o przebaczenie, a jeżeli w tem wszystkiem jest jakiś obłęd, to przedewszystkiem z mojej winy. Czyli, że w ostatecznym wyniku jestem warjatem: nie wolno mi przecież zawodzić miejscowej opinji.

Tkliwie uścisnął matkę.

— W każdym razie, sprawa jest zlikwidowana, wszystko już powiedziane i nie warto do tego wracać, — dodał, a w głosie jego zabrzmiała jakaś ostra, zimna nuta.

Barbara Piotrowna wyczuła tę nutę. Lecz stan egzaltacji nie mijał, a nawet się pogłębiał.

— *Nicolas!* Nie oczekiwałam ciebie wcześniej, niż za miesiąc.

— Wytłumaczę mamie, lecz potem.

Skierował się do Praskowji Iwanowny.

Ta jednak, chociaż niedawno była zupełnie oszołomiona jego zjawieniem się, teraz ledwo spojrzała na niego. Miała nowy kłopot. Od chwili, kiedy wyszedł kapitan i zetknął się w drzwiach z Mikołajem Wsiewołodowiczem, Liza zaczęła się śmiać, narazie cichutko, z przerwami, lecz potem śmiech wzrastał, stawał się coraz głośniejszy i wyraźniejszy. Zarumieniła się cała. Stanowiło to nieoczekiwany kontrast z dotychczasową jej ponurą miną. Dopóki Mikołaj Wsiewołodowicz rozmawiał z Barbarą Piotrowną, dwa razy skinęła na Maurycego Mikołajewicza, jakgdyby chciała mu coś szepnąć. Gdy jednak schylał się nad nią, parskała śmiechem. Można było przypuścić, że właśnie z niego się śmieje. Widocznie usiłowała zapanować nad sobą i gryzła chusteczkę do nosa. Mikołaj Wsiewołodowicz przywitał ją w sposób najniewinniejszy i pełen prostoty.

— Niech mi pan wybaczy! — ledwo wymówiła, dławiąc śmiech. — Pan... Pan widział Maurycego Mikołajewicza... Boże, jaki pan jesteś nieprzyzwoicie wysoki, Maurycy Mikołajewiczu!

I znów parsknęła śmiechem. Maurycy Mikołajewicz był wysokiego wzrostu, lecz nie było w tem nic nieprzyzwoitego.

— Czy pan... dawno przyjechał? — bąkała, zawstydzona, że nie może opanować śmiechu. Oczy jej jednak iskrzyły się.

— Przed paru godzinami, — odpowiedział Mikołaj Wsiewołodowicz, patrząc na nią uważnie. Był niezwykle uprzejmy. Poza uprzejmością jednak, miał wyraz obojętny, zwiędły.

— A gdzie pan będzie mieszkał?

— Tu.

Barbara Piotrowna też przyglądała się Lizie, lecz znienacka uderzyła ją jakaś myśl.

— Gdzieś ty był, *Nicolas*, przez te dwie godziny? — Zbliżyła się do niego, — pociąg przychodzi o dziesiątej.

— Odwiozłem przedewszystkiem Piotra Stepanowicza do Kiriłowa. Spotkałem Piotra Stepanowicza o parę stacyj stąd, w Matwiejowie. Jechaliśmy w jednym wagonie.

— Ja zaś czekałem w Matwiejowie od świtu, — wtrącił Piotr Stepanowicz. — W moim pociągu tylne wagony wykoleiły się. O małośmy sobie nie połamali nóg.

— Co? połamane nogi? — zawołała Liza. — Mamo, mamo, a myśmy chciały w zeszłym tygodniu pojechać do Matwiejowa. Połamałybyśmy sobie nogi.

— Panie Boże, zmiłuj się nad nami! — przeżegnała się Praskowja Iwanowna.

— Mamo, mamo, moja złota, niech mama się nie trwoży, jeżelibym połamała sobie obydwie nogi; to bardzo łatwo może się zdarzyć; przecież mama sama mówi, że codzień jeżdżę konno na złamanie karku. Maurycy Mikołajewiczu, czy pan będziesz wodził mnie, kulawą? — Znowu się śmiała. — Maurycy Mikołajewiczu, nikomu nie pozwolę prowadzić siebie, tylko panu, może pan śmiało liczyć na to. A jeżeli ja złamię sobie tylko jedną nogę?... Niech pan się przyzna, prawda, że uzna pan to za szczęście.

— Co tam za szczęście z jedną nogą? — poważnie chmurzył się Maurycy Mikołajewicz.

— Ale zato będzie mnie pan prowadził. Pan tylko, nikt inny.

— Nawet wtedy pani będzie mnie wodziła, Lizaweto Mikołajewno, — mruczał coraz poważniej.

— Mój Boże, pan chciał powiedzieć dowcip! — zawołała Liza, udając przerażenie. — Maurycy Mikołajewiczu, niech pan nigdy nie wkracza na tę drogę! Ale jaki pan straszny egoista! Przekonana jestem, na szczęście dla pana, że pan sam siebie teraz szkaluje. A naprawdę, to pan od rana do nocy byłby mnie upewniał, że jestem bez nogi jeszcze piękniejsza! Tylko jedna rzecz jest fatalna. Pan jest strasznie wysoki, ja zaś bez nogi będę malusieńka. Jakże pan będzie mnie prowadził pod rękę? Ładna z nas byłaby para!

Śmiała się nerwowo. Jej dowcipy i aluzje były bardzo płaskie, lecz nie chodziło jej o powodzenie.

— Histerja! — szepnął mi na ucho Piotr Stepanowicz. — Dajcie jej szklankę wody.

Zgadł. Za chwilę poruszyli się wszyscy. Ktoś przyniósł wodę. Liza gorąco ściskała matkę, całowała ją, płakała na jej ramieniu, to znów wpatrywała się jej w oczy i wybuchała śmiechem. Wreszcie rozbeczała się i Praskowja Iwanowna. Barbara Piotrowna odprowadziła obie do swego pokoju, przez te same drzwi, przez które wchodziła. Darja Pawłowna. Były tam jednak niedługo, zaledwie kilka minut...

Staram się przypomnieć sobie każdy szczegół tego pamiętnego dnia. Pamiętam, że gdyśmy pozostali sami, bez pań (oprócz Darji Pawłowny, która nie ruszyła się z miejsca), Mikołaj Wsiewołodowicz przywitał się z każdym z nas zosobna, oprócz Szatowa, który wciąż siedział w swoim kącie, z głową głęboko schyloną. Stepan Trofimowicz usiłował zacząć jakąś dowcipną rozmowę z Mikołajem Wsiewołodowiczem, ten jednak odwrócił się i skierował ku Darji Pawłownie. Zatrzymał go jednak po drodze Piotr Stepanowicz, zaciągnął do okna, i zaczął mu tam coś szeptać, widocznie, sądząc z wyrazu twarzy i gestów, coś bardzo ważnego. Mikołaj Wsiewołodowicz słuchał leniwie i nieuważnie, z oficjalnym uśmieszkiem na twarzy, wreszcie nawet niecierpliwie i ciągle próbował wyrwać się. Odszedł od okna w momencie, gdy już wracały nasze panie. Barbara Piotrowna posadziła Lizę na dawnem miejscu, zapewniając, że powinna posiedzieć i odpocząć z dziesięć minut, gdyż świeże powietrze źleby jej teraz zrobiło. Usilnie opiekowała się Lizą i siadła obok niej. Natychmiast podbiegł do nich Piotr Stepanowicz i zaczął jakąś wesołą rozmowę. Wtedy dopiero Mikołaj Wsiewołodowicz wolnym krokiem podszedł do Darji Pawłowny. Daszę ogarnął jakiś niepokój. Zerwała się z miejsca z rumieńcem na twarzy.

— Czy wolno pani już złożyć powinszowania, czy jeszcze nie? — odezwał się z jakimś dziwnym grymasem twarzy.

Dasza coś odpowiedziała, lecz tak cicho, że nie można było posłyszeć. Mikołaj Wsiewołodowicz podniósł głos:

— Wybaczy mi pani moją niedyskrecję, lecz przecież byłem o tem osobiście poinformowany. Pani wie o tem?

— Tak, wiem, że poinformowano pana.

— Spodziewam się, że moje powinszowania nie zaszkodzą, — zaśmiał się, — i jeżeli Stepan Trofimowicz...

— Czego pani winszują, czego? — wpadł Piotr Stepanowicz. — O co chodzi? Aa! O to samo? Pons na twarzyczce zdradza mi, że mam rację. Czegóż innego można winszować naszym pięknym a cnotliwym dziewicom? Od czegóż innego twarze ich oblewają się rumieńcem? Jeśli więc zgadłem, proszę przyjąć ode mnie także... i niech pani spłaci zakład. Pamięta pani? Założyła się pani ze mną w Szwajcarji, że nigdy zamąż nie wyjdzie... Ach, *à propos* Szwajcarji! Prawie tylko poto przyjechałem, a wyleciało mi z głowy. Powiedz, stary! — zwrócił się gwałtownie do Stepana Trofimowicza: — Kiedy wyruszasz do Szwajcarji?

— Ja? Do Szwajcarji? — dziwił się Stepan Trofimowicz, mocno zażenowany.

— Jakto? Nie wybierasz się? Przecież żenisz się? Sam pisałeś...

— *Pierre!* — zawołał Stepan Trofimowicz.

— Co tam *Pierre*... Widzisz, skoro ci to sprawia przyjemność, leciałem tu jak na skrzydłach, aby ci oświadczyć, że nic nie mam przeciwko twojej żeniaczce. Przecież chodziło ci o moją opinję, i to jak najprędzej... Jeżeli zaś trzeba ciebie „ratować", jak piszesz i błagasz w tym samym liście, to także jestem do twoich usług. Prawda, że ojciec się żeni, Barbaro Piotrowno? — zwrócił się do niej. — Mam nadzieję, że nie popełniam niedyskrecji; sam mi pisał, że wie już o tem całe miasto i składa mu życzenia; aby uniknąć tego, wychodzi z domu tylko w nocy. Ale niech mi pani łaskawie uwierzy, Barbaro Piotrowno, że nic z tego nie rozumiem! Powiedz mi wyraźnie, ojcze, czy trzeba winszować ci, czy też ratować ciebie? Pani nie uwierzy, lecz obok zdań najszczęśliwszych są w jego liście zwroty wprost rozpaczliwe. Przedewszystkiem, błaga mnie, abym

mu przebaczył; no tak, to w stylu ich epoki... Ale trzeba przecież uwzględnić, że ten człowiek widział mnie tylko dwa razy w życiu, i to wypadkowo, a teraz, wstępując już po raz trzeci w związek małżeński, wyobraża sobie, że gwałci jakieś obowiązki ojcowskie, i z odległości tysiąca wiorst zaklina mnie, abym się nie gniewał i pozwolił mu. Nie gniewaj się, ojcze, ja na te rzeczy patrzę współcześnie, mam szersze pole widzenia i nie osądzam, a nawet przypuszczam, że ci to zaszczyt przynosi. Lecz w każdym razie nie rozumiem istoty rzeczy. Coś tam było o „grzechach szwajcarskich". Żenię się, pisze, z grzechami czy z powodu grzechów cudzych, już nie pamiętam dobrze, lecz w każdym razie jest tam coś o grzechach. „Dziewczyna",— pisze — „jak perła i jak brylant" i, oczywiście, „nie jest jej godzien" — to jego styl; lecz z powodu jakichś tam grzechów, czy okoliczności „zmuszony jest iść do ołtarza i jechać do Szwajcarji", — i dlatego „przyjeżdżaj i ratuj!" Ktoby tu coś zrozumiał? Lecz zdaje mi się... sądzę przynajmniej z wyrazu twarzy obecnych (kręcił się na krześle z listem w ręku, z najniewinniejszą miną rozglądając się po wszystkich), zdaje mi się, że swoim zwyczajem, powiedziałem coś zbytecznego... z powodu nadmiernej szczerości, a może z powodu nadmiernego pośpiechu, o który mnie zawsze pomawia Mikołaj Wsiewołodowicz. Ale sądziłem, że tu sami swoi, przynajmniej dla ciebie, ojcze, bo ja jestem obcy i widzę... że wszyscy coś wiedzą, i tylko ja nie wiem.

Rozglądał się w dalszym ciągu.

— Stepan Trofimowicz pisał do pana, że się żeni „z cudzemi grzechami, popełnionemi w Szwajcarji", i żeby pan leciał ratować go? To jego słowa? — groźnie zbliżyła się Barbara Piotrowna. Twarz jej wykrzywiła się i pożółkła, wargi drżały.

— Widzi pani, może dobrze nie zrozumiałem, — śpiesznie odpowiadał Piotr Stepanowicz z wyrazem przestrachu. — Lecz to już własna jego wina, jeżeli pisze niewyraźnie. Służę pani listem. Widzi pani, pisywał wciąż listy nieskończenie długie, a w ostatnich paru miesiącach list za listem. Przyznam się, że często nie mogłem doczytać do

końca. Wybacz mi, ojcze, że się tak szczerze przyznaję, lecz przecież do mnie adresowałeś tylko te listy, a pisałeś je raczej dla potomności, więc musi ci to być obojętne... Nie irytuj się: bądź co bądź, nie jesteśmy sobie obcy. Lecz ten list, Barbaro Piotrowno, doczytałem do końca. Te „grzechy", te „cudze grzechy" to najprawdopodobniej jakieś własne grzeszki, i przysiągłbym, że najniewinniejsze, lecz zechciało mu się raptem z ich powodu zainicjować dramat o szlachetnej tendencji, a o tę tendencję szlachetną głównie chodziło. Tu musi być coś nie w porządku z rachuneczkami, — trzeba to wreszcie powiedzieć. Mamy słabostkę do kart... a zresztą, to już zupełnie zbyteczne... Przepraszam, zbyt jestem gadatliwy; lecz naprawdę byłem przestraszony, Barbaro Piotrowno, i rzeczywiście myślałem, że trzeba go będzie „ratować". Już mi samemu wstyd! Cóż to, czy trzymam mu nóż na gardle? Jestem tak bezwzględnym wierzycielem, czy co? A on coś tam pisze jeszcze o posagu... Ale, ojcze, czy ty istotnie się ożenisz? Przecież to tak podobne do ciebie, że ty nagadasz, nagadasz, tak, dla stylu... Ach, Barbaro Piotrowno, mam wrażenie, że już i pani gniewa się na mnie, może także za styl...

— Ależ przeciwnie. Widzę, że pan stracił już cierpliwość, lecz miał pan po temu aż nadto powodów, — zjadliwie odezwała się Barbara Piotrowna.

Ze złośliwą rozkoszą wsłuchiwała się w „prawdomówne" tyrady Piotra Stepanowicza, który najwidoczniej grał tu jakąś komedję. Nie wiedziałem wtedy — jaką, lecz było wyraźne, że gra, że nawet gra dość nieudolnie.

— Przeciwnie, — mówiła dalej, — zbyt wdzięczna jestem panu za to, że pan mówi o tem wszystkiem. Bez pana nie wiedziałabym o niczem. Po raz pierwszy od lat dwudziestu przejrzałam. *Nicolas*, mówiłeś przed chwilą, że byłeś także poinformowany: może i do ciebie pisał coś w tym rodzaju Stepan Trofimowicz?

— Otrzymałem od niego list... najniewinniejszy i... i... wyjątkowo szlachetny.

— Dobrze, dobrze, widzę, że szukasz odpowiednich słów. Stepanie Trofimowiczu, muszę prosić pana o wyjątkową łaskę, — zwróciła się do niego z piorunami

w oczach. — Niech pan zechce opuścić nas natychmiast, i od tej chwili nie przekraczać progów mego domu.

Nie należy zapominać o jej stanie „egzaltacji", który nie zdążył przeminąć. Wina zaś Stepana Trofimowicza była niezaprzeczalna! Zdziwiło mnie jednak, że wysłuchał on z wyjątkową godnością zarówno wynurzeń Piotrusia, nie próbując nawet przerwać mu, jak i banicji ze strony Barbary Piotrowny. Skąd się wziął taki żart? Nie ulegało wątpliwości, że pierwsze spotkanie z synem, nieudana próba uściskania Piotrusia, głęboko go zraniły. Był to ból ostry i prawdziwy, cios w serce. Miał w tej chwili jeszcze jedną przykrość: męczącą świadomość, że popełnił czyn niegodny, przyznawał mi się potem do tego z całą szczerością. A przecież prawdziwe, istotne cierpienie może zrobić mocnym i stałym nawet najbardziej lekkomyślnego człowieka, przynajmniej na krótko. Od prawdziwego cierpienia mądrzeli nieraz najgłupsi, nie na długo oczywiście. Cierpienie ma już taką właściwość. Jakże musiało ono podziałać na człowieka tej miary, co Stepan Trofimowicz? Był to cały przewrót, — przynajmniej na pewien czas.

Z godnością ukłonił się Barbarze Piotrownie i nie wymówił ani słowa (cóż, zresztą, mógł powiedzieć?) Już miał wyjść, lecz zatrzymał się i podszedł do Darji Pawłowny. Ta zaś jakgdyby przeczuła ten moment, gdyż sama, z przerażeniem w głosie, zaczęła mówić, aby go uprzedzić.

— Stepanie Trofimowiczu, błagam pana, niech pan nic nie mówi. — Twarz jej zdradzała ból. Wyciągnęła do niego rękę. — Niech pan wierzy, że szanuję pana tak samo, jak dawniej, i cenię pana... i, niech pan o mnie źle nie myśli, Stepanie Trofimowiczu, takbym chciała, aby pan o mnie dobrze myślał.

Stepan Trofimowicz złożył jej głęboki ukłon. Barbara Piotrowna zabrała głos.

— Masz prawo rozporządzać sobą, Daszo! Wiesz, że wszystko od ciebie zależy. Zależało i zależy, teraz i w przyszłości.

Piotr Stepanowicz uderzył się dłonią w czoło.

— Ach! Teraz dopiero rozumiem! Lecz... w jak głupią sytuację mnie wstawiono! Darjo Pawłowno, niech mi pani wybaczy! Coś ty zrobił ze mną, stary?

— *Pierre*, mógłbyś mówić do mnie z większym szacunkiem? — cichym głosem wymówił Stepan Trofimowicz.

— Nie krzycz na mnie, wypraszam to sobie, — wołał *Pierre*, wymachując rękami. — To wszystko z powodu twych chorych, starych nerwów, a krzyk tu nie pomoże. Powiedz mi raczej, dlaczegoś mnie odrazu nie uprzedził? Przecież łatwo mogłeś przypuścić, że ja zacznę o tem mówić.

Stepan Trofimowicz przenikliwie spojrzał na niego.

— *Pierre*, czyżbyś istotnie ty, który wiesz wszystko, co się u nas dzieje, nie wiedział nic o tej sprawie?

— Co-o-o? To dobre! Nie dość, że się jest starem dzieckiem, ale jest się jeszcze niegrzecznem dzieckiem? Barbaro Piotrowno, pani słyszała, co on powiedział?

Wszczął się hałas, lecz w tej chwili nastąpiła scena, której żadną miarą nikt nie mógł oczekiwać.

VIII.

Wciągu ostatnich paru minut Lizawetę Mikołajewnę ogarnął jakiś ruchliwy niepokój. Ciągle coś szeptała do schylonego nad nią Maurycego Mikołajewicza i do matki. Na twarzy jej malowała się trwoga, jednocześnie zaś jakieś nieodwołalne postanowienie. Wreszcie zerwała się, chcąc już wyjść, i nagliła matkę, którą zaczął podnosić z fotela Maurycy Mikołajewicz. Widocznie jednak nie sądzone im było wyjechać, nie doczekawszy się końca.

Szatow, siedzący wciąż w kącie, niedaleko od Lizawety Mikołajewny, i zapomniany przez wszystkich, nie wiedzący sam, dlaczego siedzi i nie wychodzi, wstał z krzesła i skierował się wolnym, lecz pewnym krokiem ku Mikołajowi Wsiewołodowiczowi, patrząc mu prosto w oczy. Mikołaj Wsiewołodowicz zauważył to odrazu i uśmiechnął się. Uśmiech ten zgasł jednak, gdy Szatow się zbliżył.

Gdy zatrzymał się przed nim w milczeniu, nie spusz-

czając z niego oczu, wszyscy zwrócili na to uwagę i zamilkli. Piotr Stepanowicz zamilkł najpóźniej; Liza i jej matka zatrzymały się w środku pokoju. Trwało to przynajmniej pięć sekund. Na twarzy Mikołaja Wsiewołodowicza wyraz zdziwienia zmienił się w wyraz gniewu; nachmurzył brwi, gdy wtem...

Wtem Szatow rozmachnął się swą długą, ciężką ręką i z całej siły uderzył Stawrogina w szczękę. Mikołaj Wsiewołodowicz gwałownie się zachwiał pod ciosem.

Szatow uderzył jakoś dziwacznie, nie tak jak się zwykle wymierza policzki (jeżeli można tak się wyrazić); nie dłonią, lecz całą pięścią, a pięść miał dużą, ciężką, kościstą, pokrytą włosami i piegowatą. Gdyby tak uderzył w nos, rozmiażdżyłby go. Lecz trafił w szczękę, zahaczywszy o lewy brzeg wargi i o górne zęby, z których zaczęła się sączyć krew.

Zdaje się, że się rozległ gwałtowny krzyk, może to krzyknęła Barbara Piotrowna, — nie pamiętam już, gdyż natychmiast wszystko zamarło. Cała scena trwała nie dłużej niż dziesięć sekund.

A jednak tak dużo się odbyło wciągu tych dziesięciu sekund.

Wiemy dobrze, że Mikołaj Wsiewołodowicz należał do ludzi, którzy nie znają strachu. Umiał na pojedynkach stać z zimną krwią pod lufą przeciwnika, umiał sam celować spokojnie i zabijać bez drgnienia. Gdyby spoliczkował go ktokolwiek, nawet nie wyzwałby na pojedynek, lecz natychmiast, na miejscu zabiłby śmiałka, a zabiłby z całą świadomością, bez żadnej pasji. Mam wrażenie, że były mu nawet nieznane ataki oślepiającego gniewu, które tłumią rozwagę. Nieraz ogarniał go gniew, lecz nie pozbawiał go nigdy panowania nad sobą, ani też świadomości, że za zabójstwo bez pojedynku grozi mu katorga; a jednak zabiłby napewno, bez chwili wahania.

Badałem długo Mikołaja Wsiewołodowicza, i teraz, gdy to piszę, znam dużo faktów z jego życia. Porównałbym go do ludzi minionych epok, o których przechowały się wśród nas legendy. Opowiadano, naprzykład, o dekabryście L-nie, że szukał przez całe życie niebezpieczeństwa,

upajał się jego wrażeniem; stało się to potrzebą jego duszy; w młodości pojedynkował się dla najbłahszych powodów; w Syberji chodził na niedźwiedzia z nożem jedynie: szukał spotkania w lasach sybirskich ze zbiegami z katorgi, którzy straszniejsi są od niedźwiedzia. Ludzie tego typu niewątpliwie odczuwali strach, może nawet bardzo silnie, — inaczej przecież byliby spokojniejsi i nie czuli wewnętrznej potrzeby szukania niebezpieczeństw. Nęciło ich zwalczanie w sobie tchórzostwa. Upajali się zwycięstwem i poczuciem, że niemasz nad nimi zwycięzcy. Ów L-n jeszcze przed zesłaniem znosił głód, ciężko zarabiał na kęs chleba, jedynie dlatego, że nie chciał ulegać niesłusznym według niego żądaniom bogatego ojca. Świadczy to o tem, że szerzej rozumiał pojęcie walki i że nietylko w pojedynkach i w walce z niedźwiedziem starał się ujawnić wytrzymałość i moc charakteru.

Ale dużo już lat upłynęło od tamtych czasów. Nerwowa, zmęczona, rozdwojona natura ludzi naszego pokolenia nie odczuwa już potrzeby tych uczuć bezpośrednich i pełnych, których szukali burzliwi przedstawiciele starych czasów. Mikołaj Wsiewołodowicz prawdopodobnie traktowałby L-na z góry, nazwałby go tchórzliwym śmiałkiem kogucikiem, a zresztą najpewniej nie mówiłby o nim wcale. Mógł w pojedynku zastrzelić przeciwnika, mógłby tak samo pójść na niedźwiedzia, gdyby trzeba było, i z rozbójnikiem w lesie dałby sobie rady. Zrobiłby to wszystko nie gorzej od L-na, tak samo odważnie, lecz zato bez najmniejszej rozkoszy, jedynie z przykrej konieczności, leniwie, niechętnie, z uczuciem nudy. Ale gdy o gniewie mowa, to zakasowałby tu nietylko L-na, lecz i Lermontowa. Więcej gniewu nosił w sobie, niż tamci obaj razem wzięci, lecz był to gniew zimny, spokojny, powiedziałbym — rozważny, czyli najpotworniejszy i najstraszniejszy ze wszystkich możliwych. Powtarzam, że traktowałem go wtedy, a traktuję i teraz, kiedy już wszystko jest skończone, jako człowieka, który w razie otrzymania policzka lub innej równoważnej obelgi, zabiłby przeciwnika natychmiast, na miejscu, nie wyzywając na pojedynek.

A jednak w danym wypadku stała się rzecz inna, a dziwna.

Ledwo zdążył Stawrogin wyprostować się po otrzymanym ciosie, który zmusił go do przegięcia się wpół, i zdawało się, że słychać jeszcze było w pokoju plugawy, jakiś mokry dźwięk uderzenia pięścią po twarzy, — gdy natychmiast schwycił Szatowa za ramiona. Niezwłocznie jednak, w tej samej chwili, cofnął ręce i skrzyżował je za plecami. Milcząc, wpił się wzrokiem w Szatowa i — zbladł, jak płótno. Lecz wzrok jego gasł. Po paru chwilach patrzył już zimno i nawet, widziałem to dobrze, spokojnie. Lecz blady był niesłychanie. Nie wiem, co się tam działo we wnętrzu, widziałem tylko wygląd zewnętrzny. Zdaje mi się, że gdyby jakiś człowiek, chcąc wypróbować wytrzymałość swoją, schwycił w rękę i ścisnął mocno rozpaloną sztabę żelazną, a potem wciągu dziesięciu sekund zmagałby się z potwornym bólem i wreszcie przezwyciężył go, człowiek taki przeżyłby prawdopodobnie to samo, co przeżył wciągu tych dziesięciu sekund Mikołaj Wsiewołodowicz.

Szatow pierwszy spuścił oczy; widocznie musiał. Potem pomału się odwrócił i wyszedł, już nie tym pewnym krokiem, którym podchodził do Mikołaja Wsiewołodowicza. Szedł pomału, zgarbiwszy się, ze spuszczoną głową. Zdawało się, że głęboko nad czemś rozmyśla. Coś nawet szeptał do samego siebie. Doszedł ostrożnie do drzwi, o nic nie potrącił i nic nie przewrócił, niezupełnie otworzył drzwi, tak że przeszedł jakoś bokiem, przez wąską szparę. Gdy był już w drzwiach, wicherek, sterczący mu na czubku głowy, wyraźniej był widoczny, niż zwykle.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, rozległ się krzyk przeraźliwy. Widziałem, jak Lizaweta Mikołajewna schwyciła matkę za ramię, a Maurycego Mikołajewicza za rękę, szarpnęła nimi, wyciągając ich z pokoju, lecz raptem krzyknęła, zemdlała i runęła jak długa. Jeszcze dzisiaj słyszę głuchy stuk jej głowy o dywan.

Koniec części pierwszej.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

NOC.

I.

Minęło dni osiem. Dziś, gdy to wszystko należy już do przeszłości i gdy piszę moją kronikę, — wiemy dobrze, o co chodziło. Wtedy jednak nie wiedzieliśmy o niczem i niejedna rzecz wydawała się nam dziwną. Stepan Trofimowicz zamknął się wraz ze mną w swojem mieszkaniu, skąd też obserwowaliśmy bieg zdarzeń. Wyglądałem z mieszkania tylko od czasu do czasu, wpadałem tu i ówdzie i znosiłem najnowsze wiadomości, bez których mój stary przyjaciel nie mógł się obejść.

Rzecz prosta, że po mieście rozeszły się najrozmaitsze opowiadania o policzku, o zemdleniu Lizawety Mikołajewny i o wszystkiem, co zaszło w ową niedzielę. Było to zastanawiające, kto mógł tak prędko i tak dokładnie poinformować całe miasto. Ani jednej z osób, wówczas obecnych nie było chyba specjalnie na rękę to wyjawienie tajemnicy. Ze służby nie było w ostatniej chwili nikogo. Mógł to i owo wypaplać chyba Lebiadkin, nawet nie przez złość, gdyż wyszedł wtedy w szczerem przerażeniu (wiadomo zaś, że strach przed wrogiem zabija złość przeciwko niemu), — lecz przez zwykłe gadulstwo. Lebiadkin jednak nazajutrz po wypadku znikł wraz z siostrą. Wyprowadził się z domu Filipowa i znikł bez śladu. Szatow, od którego chciałem się dowiedzieć o Marji Timofiejewnie,

zamknął się w swoim pokoju i nie wychodził z domu, porzuciwszy nawet swe zwykłe zajęcia w mieście. Nie przyjął mnie. Było to we wtorek. Zapukałem do niego, lecz nikt się nie odzywał. Wiedząc jednak, że napewno nie wyszedł, zapukałem jeszcze raz. Wtedy, zerwawszy się widocznie z łóżka, zbliżył się do drzwi i zawołał: „Szatowa niema w domu!" Musiałem zrezygnować.

Z pewną obawą, potwierdzając wzajemnie nasze przypuszczenia, musieliśmy wraz ze Stepanem Trofimowiczem zatrzymać się na tem, iż sprawcą szerokiego rozgłosu owego zajścia mógł być tylko jego syn. On sam, w późniejszej rozmowie z ojcem, kategorycznie zaprzeczał, twierdząc, że zanim usta otworzył, całe miasto mówiło już tylko o tamtych zdarzeniach. Wiedziano już o wszystkiem w klubie, a najdrobniejsze nawet szczegóły były doskonale znane gubernatorowi i jego małżonce.

Niektóre panie, z najlepszego nawet towarzystwa, niezmiernie były zaintrygowane „tajemniczą kuternóżką", jak nazywano siostrę Lebiadkina. Znalazły się nawet takie, które zapragnęły gwałtownie zobaczyć ją i poznać, trzeba więc zgodzić się ,że ukrycie się Lebiadkinych było bardzo na czasie. Jednak najwięcej frapowało wszystkich omdlenie Lizy, zwłaszcza ze względu, iż sprawa ta dotyczyła bezpośrednio gubernatorowej, jako protektorki i przyjaciółki dziewczyny. Opowiadano niestworzone rzeczy. Szerzeniu się plotek niezmiernie sprzyjało tajemnicze zachowanie się osób zainteresowanych. Obydwa domy były szczelnie zamknięte. Mówiono, że Liza leży w malignie. Powtarzano to samo o młodym Stawroginie, dodając szpetne szczegóły o wybitym zębie i o spuchniętej twarzy. Przebąkiwano coś niecoś o morderstwie, o zemście, jako że Stawrogin nie należał do ludzi, przebaczających urazy. Napewno zabije Szatowa, lecz uczyni to w sposób tajemniczy, jak w korsykańskiej wendecie. Myśl ta trafiała niektórym do przekonania. Większość jednak naszej młodzieży słuchała o tem pogardliwie, z miną lekceważącej obojętności, oczywiście udanej. Naogół wypłynęła nawierzch dawna wrogość naszego towarzystwa względem Stawrogina. Najpoważniejsi ludzie oskarżali go, nie wie-

dząc ściśle o co. Szeptano, że skrzywdził Lizawetę Mikołajewnę. Coś tam musiało być między nimi w Szwajcarji. Ludzie ostrożniejsi powątpiewali, lecz każdy słuchał z przyjemnością. Były, oprócz tego, inne jeszcze rozmowy, już nie powszechne, lecz ściśle poufne i bardzo dziwaczne. Wspominam o nich, gdyż mają one znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków. Oto twierdzili niektórzy, niewiadomo na czem się opierając, że Stawrogin ma w naszej gubernji jakąś misję specjalną; że za pośrednictwem hrabiego K. wszedł w kontakt z najwyższą sferą, że może nawet jest na służbie i otrzymał poważne zlecenia od pewnych figur. Ludzie najpoważniejsi, nabardziej umiarkowani, uśmiechali się z niedowierzaniem, twierdząc, że człowiek, znany ze skandalów, zaczynający u nas od... spuchniętej twarzy, nie przypomina w niczem funkcjonarjusza państwowego. Szeptano im jednak, że sama służba Mikołaja Wsiewołodowicza ma charakter nie oficjalny, lecz poufny, i że w takich razach jest nawet wymagane, aby człowiek możliwie najmniej był do urzędnika podobny. Taki argument przekonywał. Wiedziano zaś, że w stolicy pewne sfery zwróciły już uwagę na charakter działalności naszego ziemstwa gubernjalnego. Powtarzam, że te pogłoski nie utrwaliły się całkowicie. Znikły nawet bez śladu po pierwszem ukazaniu się Mikołaja Wsiewołodowicza; muszę jednak zaznaczyć, że przyczyniły się do rozpowszechnienia rozmaitych plotek o Stawroginie urywkowe a zjadliwe półsłówka, wypowiedziane w klubie przez Artemja Pawłowicza Gaganowa, który niedawno, jako dymisjonowany kapitan gwardji powrócił do nas z Petersburga. Był to jeden z najzamożniejszych ziemian naszej gubernji, syn owego Pawła Pawłowicza Gaganowa, z którym Mikołaj Wsiewołodowicz miał przed czterema laty to niezwykłe, ordynarne zajście, już wspominane w niniejszej opowieści.

Doszło do wiadomości powszechnej, że gubernatorowa złożyła wizytę Barbarze Piotrownie, lecz oświadczono jej przy wejściu, że „Pani jest chora i nie przyjmuje". W dwa dni potem dowiadywała się przez gońca o jej zdrowie. Zaczęła wreszcie „bronić" wszędzie Barbary Piotrowny, wprawdzie w formie bardzo ogólnikowej, nieokreślonej.

Z zimną obojętnością wysłuchała pierwszych relacyj o niedzielnej historji, tak że potem w jej obecności nie mówiono już o tem. Utrwaliło się wszędzie przekonanie, że pani gubernatorowa wie o wszystkiem najszczegółowiej, zna zakulisową stronę zdarzeń i że sama brała w nich jakiś udział. Dodam tu, że Lembkowa stopniowo zdobywała już sobie ten wpływ, na którym tak jej zależało, i już stała się ośrodkiem znacznego kółka. Część towarzystwa uznała jej rozum praktyczny i takt. Powrócimy jeszcze do tego. Olbrzymie powodzenie, którem cieszyć się u nas zaczynał Piotr Stepanowicz, ku zdumieniu ojca, zawdzięczał on przedewszystkiem gubernatorowej.

Może zresztą przesadzaliśmy trochę, Stepan Trofimowicz i ja. Nie da się jednak zaprzeczyć, że „Piotruś" w cztery dni po zjawieniu się u nas, znał już wszystkich. Przyjechał w niedzielę, a już we wtorek widziano go w powozie z Artemjem Pawłowiczem Gaganowym, człowiekiem hardym, wyniosłym i nierównym, do którego, pomimo jego ogłady towarzyskiej, nie tak łatwo było się zbliżyć. W domu gubernatora przyjęto Piotra Stepanowicza bardzo dobrze, tak że już po paru dniach grał tam rolę człowieka bliskiego i faworyzowanego. Codzień prawie był na obiedzie u Julji Michajłowny. Został jej przedstawiony jeszcze w Szwajcarji, lecz w każdym razie tak szybkie powodzenie w domu ekscelencji zastanawiało. Zastanawiało tem bardziej, że bądź co bądź młody Wierchowieński miał tradycjonalną opinję zagranicznego rewolucjonisty, że podobno uczestniczył dawniej w jakichś wydawnictwach i kongresach. „W gazetach o tem pisano", — zjadliwie dodawał Alosza Tielatnikow, teraz, niestety, dymisjonowany urzędniczyna, nie tak zaś dawno stały bywalec w domu dawnego gubernatora. Musiano się jednak liczyć z faktem, że ex-rewolucjonista po powrocie do ojczyzny nie jest przez nikogo ścigany, przeciwnie, korzysta z protekcji. Może więc wszystkie pogłoski o jego przeszłości są tylko plotką. Liputin bąknął mi kiedyś, że podobno Piotruś złożył akt skruchy i uzyskał przebaczenie. Wymienił jakoby szereg nazwisk, nietylko więc odkupił winę, lecz może zrobić wiele dobrego na przyszłość. Powtórzyłem to Stepanowi

Trofimowiczowi. Chociaż był w takim stanie, że trudno mu było kombinować, jednak zamyślił się głęboko. Wyjaśniło się już później, że Piotruś przywiózł ze sobą bardzo poważne listy polecające. Do pani gubernatorowej miał list od niesłychanie wpływowej staruszki petersburskiej, której mąż był jednym z najpotężniejszych staruszków, matki chrzestnej Julji Michajłowny. W liście tym była wzmianka, że hrabia K. także zna Piotra Stepanowicza, którego przedstawił mu młody Stawrogin, i uważa go za bardzo solidnego młodzieńca, pomimo błędów młodości. Julja Michajłowna przywiązywała olbrzymię wagę do swych nielicznych, a tak uporczywie podtrzymywanych stosunków „w sferach", to też otrzymanie listu staruszki było dla niej świętem. A jednak nie wyczerpywało to kwestji. Pani gubernatorowa zmusiła nawet małżonka swego do najbliższych stosunków z Piotrem Stepanowiczem, tak że pan von Lembke nawet skarżył się potem... Ale to należy tymczasem do przyszłości. Muszę podkreślić, że nasz wielki pisarz także był bardzo łaskaw dla młodego Wierchowieńskiego i nawet zaprosił go do siebie. Ten pośpiech człowieka tak dumnego najboleśniej ukłuł Stepana Trofimowicza. Sądziłem jednak, że sprawa przedstawia się jasno. Zaciągając do siebie nihilistę, pan Karmazinow musiał mieć na względzie stosunki z radykalną młodzieżą obu stolic. Wielki pisarz drżał przed najnowszą młodzieżą rewolucyjną, sądził, że w jej ręku spoczywają klucze przyszłości Rosji, i poniżał się przed nią, choćby dlatego, że sama ta młodzież nie zwracała na niego najmniejszej uwagi.

II.

Piotr Stepanowicz wpadł dwa razy do ojca. Żałowałem, że nie byłem obecny przy tych wizytach. Pierwszy raz przyszedł w środę, czyli dopiero na czwarty dzień po tamtem spotkaniu, a to w sprawie czysto handlowej. Trzeba zaznaczyć, że obrachunek majątkowy został załatwiony między nimi jakoś chyłkiem, w tajemnicy. Barbara Piotorwna wypłaciła całą należną sumę, stała się właścicielką

ziemi, rzecz jasna, i zawiadomiła Stepana Trofimowicza, że sprawa już skończona. Z polecenia Barbary Piotrowny, jej kamerdyner Aleksy Jegorowicz przyniósł coś do podpisania, które to akty wypełnił Stepan Trofimowicz w milczeniu i z godnością. Mówiąc o godności, muszę dodać, że wogóle nie poznawałem wprost w tym okresie mego starego przyjaciela. Zachowywał się jak nigdy przedtem, mało mówił, nie napisał ani jednego listu do Barbary Piotrowny, co już było zupełnie wyjątkowe. Uspokoił się całkowicie. Widać było, że jakaś myśl ostateczna i zdecydowana utrwaliła się w nim i wlała spokój w jego duszę. Oddawszy się tej myśli, cierpliwie czegoś oczekiwał. Narazie był chory, gdyż w poniedziałek zapadł na cholerynę. Bez wiadomości nie mógł się obejść. Ilekroć jednak, zapominając o szczegółach, przechodziłem do istoty rzeczy i wypowiadałem pewne przypuszczenia, machał na mnie ręką, abym dał temu spokój. A jednak obydwie wizyty synalka źle go usposobiły, chociaż nie zachwiały. Po każdej z nich leżał na otomanie i kładł na głowę kompres octowy. Równowagę duchową bądź co bądź zachowywał.

Bywały jednak chwile, że nie przerywał mi machaniem rąk. Bywały chwile, kiedy zdawało się, że opuszcza go tajemnicza powzięta decyzja, i że zaczyna się w nim walka z napływającą falą innych nęcących myśli. Były to tylko chwile rzadkie. Podejrzewałem, że znów go dręczy chętka pokazania siebie, wyjścia z samotni, wypowiedzenia walki, stoczenia ostatniej bitwy.

— *Cher*, zgnębiłbym ich! — zdradził się we czwartek wieczorem, po drugiej wizycie syna, leżąc na otomanie z głową obwiązaną ręcznikiem.

Były to pierwsze jego słowa, wypowiedziane do mnie tego dnia.

— „*Fils, fils chéri*" i tak dalej; dobrze, zgadzam się, że te zwroty są puste, ze słownika kucharek. Niech tak będzie, sam to już widzę. Nie karmiłem go, nie poiłem, wysłałem go z Berlina do -skiej gubernji, jako dziecko przy piersi, końmi pocztowemi. Wiem o tem. „Tyś, ojcze, nie karmił mnie, a końmi pocztowemi odesłał, a teraz obrabowałeś mnie tu". Lecz mówię ci przecie, nieszczęsny, żem

przez całe życie serce swe krwawił za ciebie, chociaż wtedy tak... pocztą. *Il rit.* Ależ dobrze, dobrze, niechby nawet pocztą, — kończył jak w gorączce.

— *Passons*, — mówił znowu po kilku minutach. — Nie rozumiem Turgieniewa. Jego Bazarow to jakaś osobistość fikcyjna, nieżywa. Przecież oni pierwsi zaparli się Bazarowa, jako figury do niczego nie podobnej. To jakaś mętna mieszanina Nozdriewa z Byronem, *c'est le mot.* A niech pan na nich spojrzy uważniej: wywracają koziołki i piszczą z radości, jak szczeniaki na słońcu. Są szczęśliwi, jak zwycięzcy! Gdzie tu Byron! A co za powszedniość! Co za podrażnienie ambicyjek, godne kucharek! Co za żądza *faire du bruit autour de son nom*, bez zastanowienia się nad tem, czem jest właściwie to *nom*... Och, karykatura! Zlituj się, mówię do niego, czyż ty rzeczywiście chcesz siebie, takiego, jakim jesteś, zaproponować ludziom na miejsce Chrystusa? *Il rit! Il rit beaucoup, il rit trop.* Ma jakiś dziwny uśmiech. Jego matka nie miała takiego uśmiechu. *Il rit toujours.*

Znów chwila milczenia.

— Oni są przebiegli. W niedzielę umówili się zawczasu, — odezwał się znowu.

— Tak, niewątpliwie, — zawołałem, bacznie się przysłuchując. — Była to zmowa, zbyt nawet wyraźna, a scena cała była nawet źle odegrana.

— Nie o to mi chodzi. Czy wiesz pan, że to wszystko było zbyt wyraźną zmową poto właśnie, aby zmowa zauważona została przez tych, o których chodziło. Czy pan to rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem.

— *Tant mieux. Passons.* Jestem dziś bardzo zdenerwowany.

— Pocoś pan jednak z nim dyskutował, Stepanie Trofimowiczu? — odezwałem się tonem wyrzutu.

— *Je voulais convertir.* Niech się pan z tego śmieje, proszę bardzo. *Cette pauvre* ciocia, *elle entendra de belles choses.* Och, przyjacielu! Wierz mi, żem poczuł się patrjotą! Zresztą zawsze czułem w sobie żywioł rosyjski.

Prawdziwy Rosjanin zawsze jest taki, jak pan i ja. *Il y a là dedans quelque chose d'aveugle et de louche.*

— Ma pan zupełną rację.

— Czy wiesz pan, mój drogi przyjacielu, że prawda jest zwykle nieprawdopodobna. Aby nadać jej cech prawdopodobieństwa, trzeba koniecznie dodać do niej trochę kłamstwa. Tak robią wszyscy. Może w tem wszystkiem jest coś takiego, czego my nie rozumiemy. Jak pan myśli, czy w ich zwycięskim skowycie jest coś takiego, czego my nie rozumiemy? Chciałbym, aby tak było. Bardzobym chciał.

Nie odpowiadałem. Przez dłuższy czas trwało milczenie.

— Skarżą się na rozum francuski... — mówił znów, jak w gorączce. — To kłamstwo. Tak samo było zawsze. Poco rzucać oszczerstwa na rozum francuski? Tu poprostu nasze zwykłe rosyjskie lenistwo, nasza poniżająca niemoc wykuwania idei, nasze wstrętne pasożytnictwo narodowe. *Ils sont tout simplement des paresseux*, i co tam mówić o rozumie francuskim! Och, Rosjanie, w imię dobra ludzkości, powinni być wytępieni, jak szkodliwe pasożyty. Myśmy nie do tego dążyli. Nic nie rozumiem. Przestałem rozumieć. Czy ty rozumiesz, krzyczę do niego, dlaczego gilotyna jest u was na pierwszym planie, dlaczego z takim zachwytem mówicie o niej? Dlatego jedynie, że ścinać głowy najłatwiej, a idee wykuwać znacznie trudniej! *Vous êtes des paresseux. Votre drapeau est une guenille, une impuissance.* Te wozy, czy tam „ten turkot wozów podwożących chleb dla ludzkości" są potrzebniejsze od Madonny Sykstyńskiej, czy jak tam oni to mówią... *une bêtise dans ce genre.* Lecz zrozum, wołam do niego, zrozum, że dla ludzkości potrzebne jest nietylko szczęście, lecz i nieszczęście, zupełnie w tym samym stopniu. *Il rit.* Ty, ojcze, mówi do mnie, bawisz się w *bons-mots*, rozkładając swe zniewieściałe członki na pluszowej otomanie. Wyraził się jeszcze gorzej. I niech pan zwróci uwagę na ten nasz zwyczaj mówienia do ojca po imieniu. To dobre, o ile ojciec z synem są w zgodzie. Lecz gdy się kłócą...

Znów zapanowało milczenie.

— *Cher*, — zaopinjował wreszcie, powstając z otomany. — Czy wiesz pan, że to się na czemś skończy.

— Nie ulega wątpliwości, — potwierdziłem.

— *Vous ne comprenez pas.* A jednak na świecie zwykle kończy się wszystko na niczem, tu zaś będzie jakiś koniec, będzie niezawodnie!

Zerwał się, w silnem podnieceniu okrążył pokój, znów podszedł do otomany i zwalił się bezwładnie.

W piątek rano Piotr Stepanowicz wyjechał z miasta i był nieobecny do poniedziałku. Dowiedziałem się o tem od Liputina, który jednocześnie zakomunikował mi, że Lebiadkin wraz z siostrą zamieszkał za rzeką w Gorszecznej Słobodce. „Sam przewoziłem", dodał Liputin. Przestał mówić o tem i natychmiast oświadczył mi, że Lizaweta Mikołajewna wychodzi za Maurycego Mikołajewicza. Jeszcze o tem się nie mówi, lecz zaręczyny się odbyły i sprawa skończona. Nazajutrz spotkałem Lizę, jadącą konno z Maurycem Mikołajewiczem. Była to pierwsza jej przejażdżka po chorobie. Zdala zajaśniały mi jej oczy. Zaśmiała się zdaleka i bardzo przyjaźnie skinęła mi głową. Opowiedziałem to wszystko Stepanowi Trofimowiczowi. Zwrócił baczniejszą uwagę tylko na wiadomość o Lebiadkinie.

Po tym opisie sytuacji naszej wciągu pierwszych ośmiu dni, gdyśmy nie wiedzieli jeszcze o niczem, powracam do dalszego biegu zdarzeń, mogę zaś teraz, gdy wszystko jest wiadome, wyłożyć je wiernie i prawdziwie. Rozpoczynam od ósmego dnia po tamtej niedzieli, czyli od wieczoru poniedziałkowego — ponieważ ten właśnie wieczór był początkiem „nowej historji".

III.

Była siódma godzina. Mikołaj Wsiewołodowicz siedział w swym gabinecie. Zawsze lubił ten pokój, obszerny, zasłany dywanami, o meblach staroświeckich, masywnych. Siedział w kącie na kanapce, ubrany starannie, chociż wyglądało na to, że się nigdzie nie wybiera. Stała przed nim lampa z abażurem. Kąty i ściany obszernego

pokoju tonęły w cieniu. Stawrogin był zamyślony, skupiony w sobie, trochę niespokojny. Miał twarz zmęczoną i nieco wychudłą. Istotnie miał fluksję. Natomiast wieści o wybitym zębie, były przesadzone. Ząb chwiał się teraz przez czas jakiś, lecz trzymał się dobrze. Górna warga była rozcięta odwewnątrz, lecz już się zagoiła. Fluksja zaś nie mijała dlatego, że chory nie zgodził się na sprowadzenie doktora i nie pozwolił rozciąć sobie wrzodu, w oczekiwaniu, że sam pęknie. Nietylko doktora nie wpuszczał do siebie, lecz nawet matce pozwalał wejść tylko raz na dzień, na chwilę, zawsze o zmroku, gdy światło jeszcze nie było zapalone. Nie przyjmował też Piotra Stepanowicza, który parę razy dziennie, póki był w mieście, wpadał do Barbary Piotrowny. W poniedziałek, po trzydniowej nieobecności, Piotr Stepanowicz biegał po całem mieście, zjadł obiad u pani gubernatorowej i pod wieczór wpadł do Barbary Piotrowny, która oczekiwała go z niecierpliwością. Mikołaj Wsiewołodowicz już przyjmował. Barbara Piotrowna sama podprowadziła młodego Wierchowieńskiego do drzwi; dawno już pragnęła tego spotkania, tem bardziej, że Piotr Stepanowicz obiecał zajść do niej potem i wszystko opowiedzieć. Zapukała nieśmiało, ponieważ jednak nie było odpowiedzi, odważyła się uchylić drzwi.

— *Nicolas*, czy mogę wpuścić do ciebie Piotra Stepanowicza? — zapytała cichutko, usiłując przyjrzeć się synowi z poza lampy.

— Ależ owszem, owszem, oczywiście! — głośno i wesoło zawołał Piotr Stepanowicz, sam sobie drzwi tworzył i wszedł.

Mikołaj Wsiewołodowicz nie słyszał pukania. Posłyszał tylko nieśmiałe pytanie matki, lecz nie zdążył odpowiedzieć. Leżał przed nim list, przed chwilą przeczytany, na którym głęboko się zamyślił. Drgnął, posłyszawszy głośny okrzyk Piotra Stepanowicza i śpiesznie nakrył list jakimś przyciskiem, który znalazł pod ręką. Nie udało mu się jednak, gdyż rożek listu i cała prawie koperta pozostały nawierzchu.

— Naumyślnie krzyknąłem tak głośno, żeby pan zdążył się przygotować, — z dziwną naiwnością wyszeptał

Piotr Stepanowicz. Podbiegł do stołu i natychmiast zaczął się wpatrywać w kopertę i skrawek listu.

— I, rzecz prosta, zdążył pan już zauważyć, że chowałem przed panem list, tylko co otrzymany, — spokojnie odezwał się Stawrogin, nie ruszając się z miejsca.

— List? Co mi tam do pana i do pańskich listów! — wołał gość. — Lecz... przedewszystkiem... — szepnął znów, odwracając się do drzwi, już zamkniętych, i wskazując je ruchem głowy.

— Matka moja nigdy nie podsłuchuje, — chłodno odpowiedział Stawrogin.

— A gdyby nawet? — wesoło wołał Piotr Stepanowicz, podnosząc głos i sadowiąc się na fotelu. — Nic nie mam przeciwko temu, lecz tylko na ten raz chciałem pomówić z panem w cztery oczy. Nareszcie udało mi się dotrzeć do pana. Przedewszystkiem, jak zdrowie? Widzę, że już dobrze, i że jutro pan się ludziom pokaże.

— Bardzo możliwe.

— Niech pan to zrobi wreszcie! Dla nich i dla mnie! — zawzięcie gestykulował z wyrazem niesłychanie uprzejmym. — Gdybyś pan wiedział, czego musiałem im nagadać! Zresztą pan wiesz.

Zaśmiał się.

— Nie wiem wszystkiego. Słyszałem tylko od matki, że się pan bardzo... krzątał.

— Ale przecież nie mówiłem nic określonego, — rzucił się gość, jakgdyby bronił się od strasznego ciosu. — Wie pan? Musiałem puścić w obieg i żonę Szatowa, czyli pogłoski o pańskim paryskim stosunku z nią, aby stał się zrozumiały ten niedzielny wypadek... Pan się nie gniewa?

— Jestem przekonany, że pan dokładał wszelkich starań.

— Tego właśnie się obawiałem. Cóż to znaczy „dokładał starań"? To jakiś zarzut? A zresztą pan mówi wyraźnie, ja zaś, idąc tu, obawiałem się nadewszystko, że pan nie zechcesz mówić wyraźnie.

— O niczem nie mam zamiaru mówić wyraźnie, — odezwał się Stawrogin z pewnem podrażnieniem w głosie, po chwili jednak uśmiechnął się.

— Ależ ja nie o tem mówię! Niech pan mnie mylnie nie rozumie! Nie o tem! — sypał słowami Piotr Stepanowicz, zadowolony w duszy ze zniecierpliwienia gospodarza. — Nie będę pana drażnił „naszą“ sprawą, zwłaszcza w obecnej sytuacji pańskiej. Chodzi mi tylko o wypadek niedzielny, i chcę mówić tylko o nim, i to bardzo powierzchownie. Ale pomówić trzeba. Przyszedłem z najszczerszemi wyjaśnieniami, które potrzebne są nietyle panu, ile mnie. Mówię to dla uspokojenia pańskiej ambicji, lecz bądź co bądź istotnie jest tak. Od dziś dnia będę wogóle zupełnie otwartym.

— Czyli że dawniej nie był pan nim?

— Sam pan wie o tem. Nieraz bywałem chytry... Pan się uśmiecha; cieszy mnie to bardzo, jako początek wyjaśnień. Naumyślnie przecie wywołałem uśmiech zapewnieniem, że byłem chytry; chciałem, aby pan się rozgniewał. Jak to ja śmiałem być chytrym, a teraz przyznawać się do tego! Widzi pan, jaki jestem szczery! No, więc raczy pan mnie wysłuchać?

Wyraz twarzy Stawrogina, dotychczas spokojny i wzgardliwy, pomimo jawnej chęci gościa by rozdrażnić gospodarza zuchwalstwem zawczasu przygotowanych i jaskrawie naiwnych powiedzeń, — zdradził wreszcie pewne trwożne zaciekawienie.

— Więc niech pan słucha, — sypał Piotr Stepanowicz jeszcze energiczniej. — Dążąc tu, czyli dążąc do tego miasta przed dziesięciu dniami, oczywiście postanowiłem przywdziać pewną maskę. Najprościejby było obchodzić się bez maski, z własną twarzą, prawda? Niema chytrzejszego podstępu, jak własna twarz, bo nikt nie chce wierzyć. Chciałem udawać głuptaska, gdyż to jest łatwiejsze od własnej twarzy; ponieważ jednak jest to pewna ostateczność, a każda ostateczność przykuwa uwagę, zatrzymałem się wkońcu na własnej twarzy. Jakąż ja mam własną twarz? Złoty środek: ani głupi, ani mądry, dość nieudolny i podobny do człowieka, który spadł z księżyca, jak to określają rozsądni ludzie. Czyż nie?

— Cóż, może i tak, — nieznacznie uśmiechnął się Mikołaj Wsiewołodowicz.

— Ach, pan podziela moją opinję? Cieszy mnie to bardzo. Wiedziałem, że pan myśli tak samo... Niech się pan nie obawia, ja się nie gniewam, i wcale nie poto dałem własne określenie, aby wywołać protest: „nie, pan wcale nie jest nieudolny, pan jest rozumny"... Znów się pan uśmiecha!... Znów mi się nie udało? Ach, tak, pan nie mógłby nawet powiedzieć, że ja jestem rozumny. Dobrze. *Passons*, jak mówi mój ojczulek. Lecz niech pana nie gniewa moja gadatliwość. Złożę jeszcze jeden jej dowód. Zawsze mówię dużo, to znaczy dużo słów, śpieszę się, lecz nic z tego nie wychodzi. A dlaczego to mówię tyle słów i nic nie wychodzi? Poprostu nie umiem mówić. Ci, którzy dobrze mówią, mówią krótko. Czyli, że jestem nieudolny. Prawda? Ponieważ jednak ten talent nieudolności jest mi wrodzony, dlaczego nie miałbym wyzyskać go sztucznie? Wyzyskuję więc. Jadąc tu, zamierzałem narazie milczeć. Lecz milczenie wymaga dużego talentu, czyli nie pasuje do mnie. A zresztą jest ono bądź co bądź niebezpieczne. Postanowiłem więc ostatecznie, że będę mówił dużo, lecz nieudolnie, to znaczy będę mówił bez przerwy, będę usiłował śpiesznie udowadniać, a wreszcie będę się plątał we własnych dowodach. Słuchacz musi odejść, nie doczekawszy się końca, rozkładając ręce, może nawet, a byłoby najlepiej, splunąwszy na stronie. Wyjdzie na to, że przekonał się o mojej prostocie, znudził się i nie zrozumiał, czyli osiągam za jednym zamachem trzy cele. Na miły Bóg! Kto ośmieli się potem posądzać mnie o jakieś tajemnicze plany? Ależ będą się obruszali na każdego, kto zechce pomawiać mnie o nie. A czasem też rozśmieszę —co już jest bardzo cenne. Przecież oni przebaczą mi wszystko za to chociażby, że ów mędrzec, który rozpowszechniał gdzieś tam proklamacje, okazał się głupszy od nich samych. Z uśmiechu pańskiego widzę, że pan się ze mną zgadza.

Mikołaj Wsiewołodowicz wcale się nie uśmiechał; przeciwnie, słuchał nachmurzony i trochę zniecierpliwiony.

— Co? Co? Pan mówi, że wszystko jedno? — znów brzęczał Piotr Stepanowicz, (Stawrogin nie odzywał się nawet). — Ależ tak, ależ tak. Wcale nie chcę kompromitować pana wspólnictwem. Ale pan jest dziś dziwnie po-

drażniony. Przyszedłem tu z duszą otwartą i szczerą, a pan się czepia każdego słowa. Zapewniam pana, że o żadnych kwestjach drażliwych nie będę dziś mówił. Daję słowo. I zgadzam się odrazu na wszystkie warunki pańskie.

Mikołaj Wsiewołodowicz uporczywie milczał.

— Ha? Co? Pan coś powiedział? Widzę, że znów trafiłem kulą w płot. Pan mi żadnych warunków nie stawiał i nie postawi; wierzę, wierzę, niech pan się uspokoi. Sam wiem, że nie jestem wart, aby stawiał mi pan warunki. Prawda? Już znam odpowiedź pańską. To wszystko moja nieudolność. Tylko nieudolność... Pan się śmieje? Więc cóż?

— Nic, — odezwał się Stawrogin z uśmiechem na twarzy. — Przypomniałem sobie, że kiedyś istotnie nazwałem pana miernotą, lecz pan był nieobecny przy tem, musiano więc panu powtórzyć... Proszę, niech pan przejdzie do rzeczy.

— Ależ właśnie o niej mówię. Wciąż o tamtej niedzieli, — gadał Piotr Stepanowicz. — Kimże ja byłem w tamtą niedzielę? Śpieszącą się nieudolną miernotą, i w sposób najwięcej nieudolny opanowałem przemocą rozmowę. Lecz wybaczono mi wszystko. Przedewszystkiem bowiem spadłem z księżyca, a jest to już uznane przez wszystkich. Powtóre, opowiedziałem miłą powiastkę, która uratowała sytuację. Czyż nie?

— Tak, lecz opowiadał pan w ten sposób, aby pozostały pewne wątpliwości, i tak, że zdradzał pan rzekomo naszą zmowę i naciąganie faktów, podczas gdy żadnej zmowy nie było i o nic pana nie prosiłem.

— Właśnie, właśnie! — wołał Piotr Stepanowicz w prawdziwym zachwycie. — Robiłem tak naumyślnie, aby pan zauważył całą sprężynę. Wykrzywiałem się dla pana, gdyż chciałem pana przyłapać i skompromitować. Chciałem wiedzieć, w jakim stopniu pan się boi.

— To ciekawe, dlaczego pan jest teraz taki szczery?

— Niech się pan na mnie nie gniewa! Niech pan nie ciska piorunów oczyma! Zresztą, pan wcale nie ciska. Dlaczego jestem teraz taki szczery? Ależ dlatego, że już się wszystko zmieniło. Wszystko minęło, trawą zarosło. Zmie-

niłem sąd o panu. Dawna droga skończona na zawsze. Już nigdy nie będę kompromitował pana w dawny sposób. Teraz już w inny sposób.

— Zmienił pan taktykę?

— Żadnej taktyki tu niema. Teraz wszystko od pana zależy. Tak — to dobrze, nie — to nie. Oto cała moja taktyka. O naszej sprawie nie zająknę się nawet, dopóki pan sam nie rozkaże. Śmieje się pan? Na zdrowie! Sam się śmieję. Ale teraz już proszę o powagę, pomimo iż człowiek, który w ten sposób się śpieszy, jest oczywiście nieudolny. Prawda? Wszystko mi jedno, niech tak będzie, ale teraz już poważnie...

Wymówił to istotnie poważnie, innym tonem, z niepokojem w głosie. Stawrogin spojrzał zaciekawiony.

— Pan mówi, że zmienił swój sąd o mnie.

— Tak, zmieniłem go w tym momencie, gdy pan wtedy, po Szatowie, skrzyżował ręce ztyłu. Lecz dosyć, dosyć, poco te pytania? Nic więcej nie powiem.

Zerwał się, machając rękami, jakgdyby bronił się od pytań. Ponieważ jednak dalsze pytania nie następowały i nie było właściwie dlaczego wychodzić, znów usiadł na fotelu, znacznie uspokojony.

— Powiem w nawiasie, — zaczął odrazu mówić: — tu twierdzą niektórzy, że go pan zabije. Zawierają zakłady. Lembke chciał nawet poruszyć policję, lecz zabroniła mu żona. Mniejsza zresztą o to; chciałem tylko poinformować pana. Lecz *à propos* tego samego dnia wyprawiłem Lebiadkina. Pan wie o tem? Pan otrzymał moją kartę z adresem?

— Otrzymałem.

— To już zrobiłem nie przez „nieudolność", lecz szczerze. Chciałem się przysłużyć. Jeżeli źle się stało, to w każdym razie było to szczere.

— Nie, może nawet tak lepiej... — odparł w zamyśleniu Stawrogin. — Lecz niech pan nie przysyła tu więcej żadnych kartek. Proszę pana o to.

— Inaczej nie można było.

— Liputin wie?

— Nie można było inaczej. Lecz pan wie, że Liputin się nie odważy... Trzeba będzie jednak odwiedzić

„naszych". To znaczy „ich" a nie „naszych", bo pan znów przyczepi się do słowa. Niech pan się uspokoi. Nie zaraz. Kiedyś później. Teraz deszcz pada. Zawiadomię ich, zbiorą się i zajdziemy wieczorem. Czekają wszyscy z otworzoną gębą, jak pisklęta w gnieździe. Ciekawi są, cośmy im przywieźli ze stolicy. Zapaleńcy! Powydostawali książki, chcą toczyć boje. Wirgiński — wszechczłowiek. Liputin — furjerzysta o wyraźnej inklinacji do spraw policyjnych. Pod pewnym względem jest to człowiek cenny, lecz pod każdym innym trzeba z nim postępować ostro; wreszcie ten o długich uszach odczyta i zaprezentuje cały swój, przez siebie obmyślony system. Obrażeni są, że traktuję ich lekceważąco i oblewam zimną wodą. Ale pójść trzeba będzie koniecznie.

— Pan prawdopodobnie przedstawił mnie im, jako przywódcę, — odezwał się Stawrogin, starając się mówić możliwie najbardziej obojętnie.

Wierchowieński szybko spojrzał na niego.

— Ach, zapomniałem powiedzieć, — nie odpowiadał na pytanie, jakgdyby niedosłyszawszy. — Przecież ja po parę razy dziennie zaglądałem do Barbary Piotrowny i zmuszony byłem rozmawiać z nią.

— Wyobrażam sobie!

— Zupełnie niesłusznie. Mówiłem tylko, że pan nie zabije i wiele słodkich rzeczy. Ale to zastanawiające, że już nazajutrz wiedziała o moim udziale w translokacji Marji Timofiejewny! Czy to pan jej mówił o tem?

— Ani mi do głowy nie przyszło.

— Przypuszczałem. Ale któż jej mógł powiedzieć. To ciekawe.

— Oczywiste, że Liputin.

— Nie, nie Liputin, — odparł zachmurzony. — Dowiem się kto. To podobne do Szatowa... Zresztą dajmy spokój! Chociaż to bardzo ważne... Oczekiwałem ciągle, że pańska matka rzuci mi pytanie... Była stale straszliwie ponura. Dopiero dziś przyjeżdżam i widzę że jest cała rozpromieniona. Co to się stało?

— Prawdopodobnie dlatego, że obiecałem jej wciągu pięciu dni oświadczyć się Lizawecie Mikołajewnie, —

z otwartością zupełnie nieoczekiwaną odezwał się Stawrogin.

— Ach, tak? To rozumiem, — bąkał Piotr Stepanowicz, widocznie zdetonowany. — A tam są pogłoski o innych zaręczynach. Pan wie o tem? I zdaje się, że niebezpodstawne. Lecz ma pan rację. Ucieknie od ołtarza na jedno skinięcie pańskie. Pan się nie gniewa, że tak mówię?

— Nie, nie gniewam się.

— Widzę, że pana dziś trudno rozgniewać. Zaczynam się pana obawiać. Strasznie zaciekawia mnie, jak pan jutro będzie wyglądał. Pan pewno ma w zapasie sporo kawałów? Nie gniewa się pan na mnie?

Stawrogin nie odpowiadał. Wytrąciło to Wierchowieńskiego z równowagi.

— Czy pan mówił matce na serjo o Lizawecie Mikołajewnie?

Stawrogin wpatrzył się w niego badawczo i uderzył go zimnem spojrzeniem.

— Ach, rozumiem. Chciał pan ją uspokoić. Tak.

— A gdyby na serjo? — twardym głosem zapytał Stawrogin.

— Cóż, szczęść Boże! Zdaje się, że to tak mówią w podobnych okolicznościach. Sprawie nie zaszkodzi. Widzi pan, nie powiedziałem „naszej" sprawie. A ja... cóż ja? Jestem gotów, do usług. Pan wie o tem.

— Pan tak myśli?

— Ja nic nie myślę, — śmiał się Piotr Stepanowicz. — Wiem, że pan obmyślił już wszystko w sprawach własnych. Mówię tylko, zupełnie poważnie, że zawsze, wszędzie, we wszelkich okolicznościach może pan się mną rozporządzać. Rozumie pan? We wszelkich okolicznościach.

Stawrogin ziewnął.

— Ach, nudzę pana, — zerwał się Piotr Stepanowicz, schwycił swój okrągły, zupełnie nowy kapelusz i niby to wychodził. Istotnie jednak nie wychodził, mówił nieprzerwanie, chociaż już stojąc, lub krocząc po pokoju. W chwilach ożywienia uderzał się kapeluszem w kolano.— Chciałem jeszcze ubawić pana Lembkami.

— O, nie! To już na później. Ale jak zdrowie Julji Michałowny?

— Zabawne są te wasze uprzejmości towarzyskie. Pana obchodzi jej zdrowie tyle, co śnieg zeszłoroczny, a jednak pan pyta. To mi się podoba. Tak, tak. Jest zdrowa i czci pana bałwochwalczo. Spodziewa się po panu wielu rzeczy. O zdarzeniu niedzielnem milczy i jest przekonana, że pan zwycięży samem zjawieniem się w towarzystwie. Wyobraziła sobie, że pan wszystko może. Zresztą jest pan teraz osobistością zagadkową i romantyczną, więcej niż kiedykolwiek bądź. To bardzo wygodna sytuacja. Wszyscy niecierpliwie oczekują pana. Gdy wyjeżdżałem, opanowała wszystkich jakaś gorączka. Teraz jeszcze gorzej. Przy sposobności muszę panu podziękować za list. Tu wszyscy boją się hrabiego K. Czy pan wie, że pana traktują tu jako coś w rodzaju szpiega. Nie zaprzeczam temu. Pan się za to nie gniewa?

— Ależ wszystko mi jedno.

— Widzi pan, to się przyda na przyszłość. Tu ustaliły się już pewne obyczaje. Popieram je. Na czele stoi pani gubernatorowa, potem Gaganow... Pan się śmieje? Ale przecież muszę stosować pewną taktykę. Plotę, plotę, a raptem powiem jakieś mądre słowo, właśnie wtedy, gdy słuchacze nie mogą go znaleźć. Otaczają mnie wtedy, a ja zaczynam znowu pleść. Już ręką machnęli. Mówią o mnie: „zdolny człowiek, lecz spadł z księżyca". Lembke namawia mnie do wsiąpienia na służbę, abym się ustatkował. Wie pan? Fatalnie traktuję tego biedaka, kompromituję go na każdym kroku, aż sam oczy wytrzeszcza. Julji Michajłownie to się podoba. A Gaganow jest na pana strasznie zagniewany. Wczoraj w Duchowie mówił mi o panu bardzo brzydko. A ja mu wtedy całą prawdę, to jest, rzecz prosta, nie całą prawdę. Spędziłem u niego w Duchowie cały dzień. Ładny majątek, śliczny dwór...

— Czyż on i teraz jest w Duchowie? — zawołał Stawrogin, zerwał się prawie z miejsca i zrobił energiczny ruch całem ciałem.

— Ależ nie. Razem powróciliśmy. Przywiózł mnie do miasta, — mówił Wierchowieński, pozornie nie zwraca-

jąc uwagi na ruch Stawrogina. — Ach, strąciłem książkę! — Schylił się i podniósł. — Kobiety Balzaka, z ilustracjami, nie czytałem. *A propos*, Lembke pisze także powieści.

— Czyżby? — spytał Stawrogin, widocznie zaciekawiony.

— Tak, pisze po rosyjsku, w sekrecie. Lembkowa wie o tem i nie protestuje. Trzyma go pod pantoflem, z zachowaniem jednak niezbędnych pozorów; wszystko to jest u nich zdawna wyrobione. Form przestrzega się jak najściślej! Ach, gdybyśmy umieli tak samo.

— Chwali pan biurokrację?

— Ależ tak! To jedyna rzecz w Rosji osiągnięta i naturalna. Zresztą już nie będę, nie będę. Ja wcale nie o tem. O kwestjach drażliwych ani słówka. Do widzenia panu. Pan jest jakiś zielony.

— Mam febrę.

— To widać. Niech się pan położy. A wie pan, że tu po wsiach są skopcy. Ciekawi ludzie. Ale mniejsza o to. Chciałem jeszcze tylko opowiedzieć panu jedną dykteryjkę. Tu, w powiecie rozlokowany jest pułk piechoty. W piątek wieczorem piłem z oficerami w B-cach. Mamy tam przecie trzech przyjaciół, *vous comprenez?* Rozmawialiśmy o ateizmie, i oczywiście, unicestwiliśmy Pana Boga. Cieszą się chłopcy, piszczą. Szatow niedarmo mówi, że w Rosji, wzniecając bunt, trzeba zacząć od ateizmu. Jest w tem sporo prawdy. Jeden siwy kapitan siedział wciąż w milczeniu, nie wymówił ani słowa, aż wreszcie stanął na środku pokoju i odezwał się głośno do samego siebie: „Jeżeli Boga niema, to cóż ze mnie za kapitan?“ Rozłożył ręce, wziął czapkę i wyszedł.

— Wypowiedział myśl dość konsekwentną, — mówił Stawrogin i ziewnął po raz trzeci.

— Tak? A ja nie zrozumiałem. Chciałem się pana zapytać. Cóż jeszcze ciekawego? Ach tak, fabryka Szpigulinych... Tam pracuje pięciuset robotników. To ognisko cholery. Fabrykanci miljonerzy nie czyszczą fabryki już od piętnastu lat, a robotników krzywdzą przy obrachunku. Wśród robotników niektórzy mają nawet pewne pojęcie

o międzynarodówce. Pana to bawi? Ale niech mi pan da odrobinę czasu, a zobaczy pan. Już prosiłem pana o udzielenie mi terminu, a teraz znów proszę... Zresztą, przepraszam, już nie będę, niech pan nie marszczy brwi. Do widzenia! — Zawrócił jednak od drzwi. — Zapomniałem o rzeczy najważniejszej. Mówiono mi, że nasz kufer przyszedł z Petersburga.

— Jakto? — zapytał Stawrogin, nie zrozumiawszy.

— Ja mówię o pańskim kufrze z ubraniem i bielizną. Już jest?

— Tak, zdaje mi się, że mówiono mi o tem.

— Czy można zaraz?

— Niech pan się zwróci do Aleksego.

— Dobrze, jutro. Można będzie? Tam przecież razem z pańskiem ubraniem jest moja kurtka, frak i trzy pary spodni, od Szarmera, zrobione za pańską rekomendacją. Pan pamięta?

— Podobno pan udaje tu dżentelmena? — uśmiechnął się Stawrogin. — Czy to prawda, że pan ma zacząć lekcje jazdy konnej?

Wierchowieński wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Wie pan? — odezwał się w jakimś pośpiechu, głosem łamiącym się i przerywanym. — Wie pan? Zostawmy raz na zawsze wycieczki osobiste... Może pan pogardzać mną, ile się panu podoba, jeżeli ja tak śmieszę pana, zostawmy jednak na pewien czas wycieczki osobiste. Lepiej będzie. Czyż nie?

— Dobrze, już nie będę, — odezwał się Stawrogin.

Wierchowieński uśmiechnął się, uderzył kapeluszem w kolano, przestąpił z nogi na nogę i powrócił do uprzedniej pozy. Znów mówił wesoło.

— Niektórzy traktują mnie tu, jako pańskiego rywala wobec Lizawety Mikołajewny. Muszę wobec tego dbać o swój wygląd zewnętrzny. Ale kto to opowiada panu takie rzeczy? Hm! Ósma godzina. Już idę. Obiecałem zajść do Barbary Piotrowny, lecz zrezygnuję z tego. Niech pan się kładzie, a jutro życzę panu lepiej się czuć. Na ulicy deszcz i mrok. Mam ze sobą dorożkę, gdyż po nocy tu niezupełnie bezpiecznie... Ach, jeszcze *à propos*. Tu w mieście i w oko-

licach błąka się Fiedia, który uciekł z katorgi. To były nasz pańszczyźniany, którego przed piętnastu laty mój ojczulek zapakował do wojska, wziąwszy za to pieniądze. Ciekawy typ.

— Pan... z nim mówił? — zapytał Stawrogin, wpatrując się badawczo.

— Mówiłem. On się nie ukrywa przede mną. Zdolny jest do wszystkiego. Oczywiście za pieniądze. Lecz ma też pewne zasady, w swoim rodzaju. I znowu jedno *à propos*. Jeżeli pan mówił poważnie o swoich zamiarach względem Lizawety Mikołajewny, to powtarzam panu raz jeszcze, że ja także jestem zdolny do wszystkiego, do każdej rzeczy, bez wyjątku, i całkowicie do usług pańskich... Co to? Pan chwyta laskę? Ach, nie... Wyobraź pan sobie! Wydało mi się, że pan szuka laski.

Stawrogin niczego nie szukał i nic nie mówił, lecz istotnie zerwał się, a w twarzy miał dziwny błysk.

— A jeżeli panu będzie czegoś potrzeba w związku z panem Gaganowym, — uciął Wierchowieński, niedwuznacznie wskazując przycisk, — to rzecz prosta, że mogę wszystko urządzić i liczę na to, że pan mnie nie ominie.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź, lecz już z za progu wychylił głowę i skończył:

— Dlatego tak mówię, że przecież Szatow, naprzykład, też nie miał prawa ryzykować życiem wtedy, w niedzielę, gdy podszedł do pana. Chciałbym, aby pan zwrócił na to uwagę.

Znikł, nie czekając, co mu odpowie Stawrogin.

IV.

Może myślał, że Stawrogin pozostawszy sam, zacznie walić pięścią w mur. Dałby napewno dużo za to, gdyby mógł coś podobnego zobaczyć. Zawiódłby się jednak. Mikołaj Wsiewołodowicz był spokojny. Parę minut stał przy stole w tej samej pozycji, widocznie zamyślony. Wkrótce

jednak zimny, obojętny uśmiech zjawił się na jego twarzy. Usiadł w kącie na kanapie, na dawnem miejscu i zamknął znużone, zdawałoby się, oczy. Rożek listu w dalszym ciągu wyglądał z pod przycisku, lecz Stawrogin nie ruszył się nawet, aby go schować.

Wkrótce tak zasnął. Barbara Piotrowna, wymęczona ciągłym niepokojem, nie mogła się powstrzymać i po wyjściu Piotra Stepanowicza, który obiecał ją odwiedzić, lecz nie spełnił obietnicy, odważyła się zajść do *Nicolas*, chociaż nie była to jej zwykła godzina. Ciągle roiło się w głowie matrony, że wreszcie dowie się czegoś ostatecznego. Cichutko zapukała, lecz nie otrzymując odpowiedzi, znów otworzyła drzwi. Zobaczyła, że *Nicolas* siedzi nieruchomo, i z biciem serca zbliżyła się do stołu. Zdziwiło ją, że mógł zasnąć tak szybko, i że może spać, siedząc tak prosto i nieruchomo. Nawet oddech trudno było zauważyć. Śpiący miał twarz bladą i surową, napół zastygłą, martwą. Miał brwi zsunięte i zachmurzone. Przypominał bezduszną figurę woskową. Stała nad nim parę minut, bojąc się oddychać. Ogarnął ją strach. Wyszła na palcach, zatrzymała się w drzwiach, przeżegnała go i wyszła niezauważona, mając w duszy nową trwogę i nowy ból.

Stawrogin spał dość długo, przeszło godzinę, ciągle w tem samem odrętwieniu. Nie drgnął mu żaden muskuł na twarzy, całe ciało nie zdradziło żadnego ruchu. Brwi były wciąż surowo zsunięte. Gdyby Barbara Piotrowna pozostała jeszcze kilka minut, napewno nie mogłaby znieść tego letargicznego bezruchu i obudziłaby syna. Wreszcie otworzył oczy i wciąż nieruchomo siedział przez dziesięć minut, wpatrzony uparcie w jakiś przedmiot w kącie pokoju, jakgdyby z wielkiem zaciekawieniem, chociaż nie było tam nic nowego ani nadzwyczajnego.

Rozległ się cichy, gęsty dźwięk zegara, który wydzwonił jeden raz. Stawrogin spojrzał z pewnym niepokojem na cyferblat, lecz w tej samej chwili otwarły się tylne drzwi i stanął w nich kamerdyner Aleksy Jegorowicz. Miał w jednem ręku ciepłe palto, szalik i kapelusz, a w drugiem kartkę na srebrnej tacy.

— Pół do dziesiątej, — odezwał się. Złożył na krześle palto i podał kartkę, niezapieczętowaną, zawierającą parę wierszy, pisanych ołówkiem.

Stawrogin spojrzał na kartkę, wziął ołówek i napisał na końcu jej dwa słowa. Położył zpowrotem na tacy.

— Oddać zaraz po mojem wyjściu, — powiedział wstając z kanapy. — A teraz daj palto.

Zauważywszy, że ma na sobie lekkie, aksamitne ubranie, kazał podać sobie inne, z czarnego sukna, które wkładał zazwyczaj, wybierając się z wizytą. Ubrawszy się i nałożywszy kapelusz, zamknął drzwi, przez które wchodziła do niego Barbara Piotrowna, wyjął z pod przycisku list, i wyszedł milcząc na korytarz. Aleksy Jegorowicz szedł za nim. Z korytarza zeszli na schodki kamienne i stamtąd do przedsionka, z którego wychodziło się wprost do ogrodu. W przedsionku stał parasol i latarnia, przygotowane zawczasu.

— Z powodu nadzwyczajnego deszczu błoto na ulicach wielkie, — zemeldował kamerdyner, czyniąc w ten sposób ostatnią próbę powstrzymania pana swego od wycieczki.

Jednak Stawrogin rozpiął parasol i wkroczył do ciemnego jak loch, mokrego, wilgotnego ogrodu. Szumiał wiatr i chwiał wierzchołkami półnagich drzew. Wąskie ścieżki, wysypane piaskiem, były grząskie i śliskie. Aleksy Jegorowicz szedł we fraku, bez czapki, oświetlając drogę na trzy kroki latarnią.

— Nikt nic nie zauważy? — zapytał Stawrogin.

— Z okien nie widać, a wszystko jest przewidziane, — cichym, równym głosem odpowiedział sługa.

— Matka już się położyła?

— Zamknęła się jak zawsze w te dni, punkt o dziewiątej, i już nie może o niczem się dowiedzieć. O której godzinie każe pan czekać? — dodał, ośmieliwszy się rzucić pytanie.

— O pierwszej, może o pół do drugiej, nie później jak o drugiej.

— Wedle rozkazu.

Obszedłszy cały ogród krętemi, tak dobrze znanemi ścieżkami, doszli do muru, i tu, w samym rogu znaleźli małe drzwiczki, wychodzące na wąski i głuchy zaułek. Drzwiczki te były zawsze zamknięte, lecz teraz klucz znalazł się u kamerdynera.

— Byle drzwiczki nie skrzypnęły, — odezwał się znowu Stawrogin.

Lecz Aleksy Jegorowicz zameldował, że wczoraj jeszcze wysmarował zawiasy oliwą, i dziś także. Był już cały mokry od deszczu. Otworzył drzwiczki i podał klucz Stawroginowi.

— Jeśli pan zamierzył drogę daleką, ośmielę się uprzedzić, że nie jestem pewien tutejszych ludzi, szczególnie w głuchych uliczkach, a już najgorzej za rzeką, — próbował raz jeszcze. Był to stary sługa, który przed laty niańczył Stawrogina, człowiek rozsądny i poważny, lubiący czytać nabożne książki i słuchać, jak kto czyta nagłos.

— Nie bój się o mnie.

— Niech Bóg błogosławi, lecz tylko w cnotliwych zamierzeniach.

— Co? — zatrzymał się Mikołaj Wsiewołodowicz, który już wkraczał w uliczkę.

Aleksy Jegorowicz pewnym głosem powtórzył swe życzenie. Nigdy przedtem nie odważyłby się wypowiedzieć wobec swego pana takich słów.

Stawrogin zamknął drzwiczki, schował klucz do kieszeni i ruszył naprzód, grzęznąc po kostki w błocie. Wyszedł wreszcie na długą, bezludną, brukowaną ulicę. Znał miasto jak własną dłoń. Do ulicy Bogojawleńskiej było jeszcze daleko. Było już po dziesiątej, gdy zatrzymał się przed zamkniętą bramą starego domu Filipowa. Dolne piętro, po wyjeździe Lebiadkina, było puste, a okna zabite deskami. Na poddaszu u Szatowa paliło się jeszcze światło. Ponieważ nie było dzwonka, trzeba było walić pięścią w bramę. Otwarło się okienko i wyjrzał Szatow; panował taki mrok, że trudno było coś dojrzeć. Szatow długo się przyglądał, wreszcie zapytał:

— To pan?

— Ja — odpowiedział nieoczekiwany gość.

Szatow zamknął okno, zeszedł nadół i otworzył bramę. Mikołaj Wsiewołodowicz przestąpił próg, przeszedł obok Szatowa, nie powiedziawszy ani słowa, i skierował się ku oficynie, do Kiriłowa.

V.

Wszystko tu było otwarte, nawet nie przymknięte. W przedpokoju i w pierwszych dwóch izbach było ciemno, lecz w ostatnim pokoju, zamieszkanym przez Kiriłowa, w którym dziwak stale pił swoją herbatę, paliło się światło i słychać było śmiech i jakieś dziwne okrzyki. Mikołaj Wsiewołodowicz poszedł w kierunku światła, nie wchodząc jednak, zatrzymał się na progu. Na stole stała herbata. Pośrodku pokoju widać było staruszkę, krewną Filipowa, w spódnicy i zajęczym kubraczku, w pantoflach na bosych nogach. Trzymała na ręku półtorarocznego dzieciaka, w jednej koszulinie, z gołemi nóżkami, o policzkach zaczerwienionych i roztrzepanych jasnych włoskach, widocznie wprost z kołyski. Widać było, że dzieciak płakał przed chwilą; miał jeszcze łezki w oczach, lecz w tej chwili wyciągał rączęta, klaskał w dłonie i śmiał się, chlipiąc od śmiechu. Przed nim Kiriłow rzucał na podłogę dużą czerwoną piłkę. Piłka odskakiwała od sufitu i padała znów. Dzieciak krzyczał: „pili, pili!“ Kiriłow łapał piłkę i oddawał ją malcu, który niezgrabnemi rączętami rzucał ją na podłogę. Kiriłow biegł i podnosił. Wreszcie piłka potoczyła się za szafę. Dzieciak krzyczał: „pili, pili!“ Kiriłow rozciągnął się na podłodze, siląc się wydostać piłkę ręką. W tej chwili Stawrogin wszedł do pokoju. Dziecko, zobaczywszy go, przytuliło się do staruszki i zaczęło przeciągle szlochać. Staruszka wyniosła je natychmiast z pokoju.

— Stawrogin? — odezwał się Kiriłow, wstając z podłogi z piłką w ręku, wcale nie zdziwiony tą nieoczekiwaną wizytą. — Dać panu herbaty?

Już się wyprostował.

— Owszem, o ile ciepła, wypiję chętnie. Bardzo zmokłem.

— Tak, ciepła, nawet gorąca, — potwierdził Kiriłow. — Proszę siadać. Pan jest zabłocony. To nic. Podłogę potem wytrę ścierką.

Mikołaj Wsiewołodowicz usiadł i wypił duszkiem podaną sobie filiżankę.

— Dać jeszcze? — pytał Kiriłow.

— Nie, dziękuję.

Kiriłow, który dotychczas stał, usiadł natychmiast naprzeciwko gościa i zapytał.

— Poco pan przyszedł?

— Mam interes. Niech pan przeczyta ten list od Gaganowa. Pan pamięta? Mówiłem o nim z panem w Petersburgu.

Kiriłow wziął list, przeczytał, położył na stole i patrzył w milczeniu.

Stawrogin zaczął tłumaczyć o co chodzi.

— Tego Gaganowa, jak panu wiadomo, spotkałem pierwszy raz w życiu w Petersburgu przed miesiącem. Zetknęliśmy się z nim trzy razy w towarzystwie. Nie znając się ze mną i nie zaczynając rozmowy, znalazł jednak sposobność do zademonstrowania mi swego zuchwalstwa. Mówiłem już o tem panu. Nie wie pan jednak, że przed wyjazdem z Petersburga ten drab przysłał do mnie list, nie taki wprawdzie jak ten oto, lecz w każdym razie bardzo nieprzyzwoity, a tem dziwaczniejszy, że nie był w nim wyłuszczony powód do korespondencji w tym stylu. Odpowiedziałem natychmiast listownie i najszczerzej wyraziłem przypuszczenie, iż prawdopodobnie gniewa się na mnie za owo przejście z jego ojcem z przed czterech lat. Napisałem, że gotów jestem najuprzejmiej prosić go o przebaczenie, ponieważ działałem wówczas nieświadomie, pod wpływem choroby. Prosiłem, aby miał mnie za wytłumaczonego. Wyjechał z Petersburga, nie odpisawszy mi. Tu już zastałem go w paroksyzmie prawdziwej wściekłości. Powtarzano mi parę jego publicznych oświadczeń o mnie, wyraźnie bezczeszczących mnie, i zawierających dziwaczne oskarżenia. Wreszcie dziś otrzymuję ten list, któremu równy wątpię czy

istnieje, z obelgami i takiemi zwrotami, jak „pańska bita gęba". Przyszedłem do pana w przekonaniu, że zechce pan być moim sekundantem.

— Pan mówi, że nigdy jeszcze takiego listu... — odezwał się Kiriłow. — W pasji można. Piszą często. Puszkin pisał do Hekerna. Dobrze, pójdę. Gdzie i jak?

Stawrogin wyjaśnił, że żąda, aby to się odbyło koniecznie jutro. Nastaje, aby zacząć od wznowienia przeprosin, a nawet upokorzyć się do napisania jeszcze jednego listu w tym duchu, byle tylko Gaganow ze swej strony zobowiązał się nadal nie prowadzić obelżywej korespondencji. List otrzymany będzie traktowany tak, jakby go wcale nie było.

— Zbyt dużo ustępstw; nie zgodzi się, — powiedział Kiriłow.

— Przedewszystkiem chcę wiedzieć, czy pan się zgodzi zanieść takie warunki.

— Ja? Tak. Pańska rzecz. On się nie zgodzi.

— Wiem, że się nie zgodzi.

— On chce się bić. Powiedz pan, jak pan chce się bić?

— O to mi właśnie chodzi, aby jutro koniecznie z tem skończyć. Będzie pan u niego o dziesiątej rano. Wysłucha pana i nie zgodzi się, lecz skomunikuje pana ze swym sekundantem. Będzie to, dajmy na to, o jedenastej. Z tamtym pan się porozumie i trzeba, aby wszyscy byli na miejscu spotkania o pierwszej lub o drugiej. Niesłychanie będę wdzięczny, jeżeli pan tak urządzi. Broń — oczywiście pistolety, szczególnie zaś proszę pana o takie warunki: odległość między barjerami dziesięć kroków. Potem postawicie każdego z nas o dziesięć kroków od każdej barjery, i na dany znak zaczynamy się zbliżać jeden do drugiego. Każdy z nas powinien dojść do swojej barjery, lecz wolno strzelać i przedtem, w ruchu. Sądzę, że to wszystko.

— Dziesięć kroków między barjerami to za blisko, — zauważył Kiriłow.

Dobrze, dwanaście, byle nie więcej. Pan rozumie przecie, że on chce się bić poważnie. Czy pan potrafi nabić pistolety?

— Potrafię. Nawet mam pistolety. Będę mógł zaręczyć, że pan z nich nigdy nie strzelał. Jego sekundant musi dać to samo zapewnienie o swoich. Dwie pary. Pociągniemy losy, czyje wypadną.

— Doskonale.

— Chce pan zobaczyć pistolety?

— Owszem.

Kiriłow przykucnął nad kufrem, który nie był jeszcze rozpakowany. Widocznie wydostawał z niego rzeczy tylko w miarę potrzeby. Wyciągnął z pod spodu pudełko palmowe i wyjął z niego parę eleganckich, bardzo drogich pistoletów.

— Jest wszystko: proch, kule, ładunki. Mam także rewolwer. Niech pan zobaczy.

Sięgnął znów do kufra i wydobył drugie pudełko z amerykańskim sześciostrzałowym rewolwerem.

— Pan ma tyle broni i to drogiej?...

— Tak. Bardzo. Nadzwyczajnie.

Ubogi, nędzarz prawie, Kiriłow, który nigdy zresztą nie zwracał uwagi na swoją nędzę, z widoczną dumą pokazywał swoje skarby bojowe, zdobyte napewno kosztem niesłychanych ofiar.

— Pan stale trwa w swojem postanowieniu? — ostrożnie zapytał Stawrogin po chwili milczenia.

— Tak, — krótko odpowiedział Kiriłow, zrozumiawszy z tonu o co go pytają. Zaczął składać broń.

— A kiedy? — pytał Stawrogin jeszcze ostrożniej, znów po chwili milczenia.

Kiriłow już złożył do kufra obydwa pudełka i usiadł na dawnem miejscu.

— To nie ode mnie zależy. Kiedy dadzą znak, — bąknął. Widać było, że pytanie to jest dla niego przykre, że jednak na wszystkie inne gotów będzie odpowiadać.

Patrzył uparcie na Stawrogina swemi czarnemi matowemi oczyma z jakiemś uczuciem spokojnem, łagodnem i przychylnem.

— Ja to dobrze rozumiem. Tak. Zastrzelić się, — rozpoczął znowu Stawrogin, po dłuższej chwili zamyślenia. Był posępny. — Sam nieraz myślałem, lecz tu zawsze zja-

wia się jakaś nowa myśl. Gdyby tak popełnić zbrodnię, szczególnie strasznie hańbiącą... i śmieszną, aby ludzie tysiąc lat ją pamiętali i pluli tysiąc lat, a tu myśl: „Jeden wystrzał w skroń i już nic nie będzie". Co wtedy do ludzi i do tego, że będą pluli przez tysiąc lat.

Kiriłow odpowiedział po chwili zastanowienia.

— Pan nazywa to nową myślą?

— Nie nazywam... lecz kiedym poczuł tę myśl, wydała mi się nową.

— „Poczuł pan myśl?" — powtórzył Kiriłow. — To dobrze powiedziane. Są myśli wieczyste, które raptem stają się nowemi. To tak. Ja widzę teraz dużo rzeczy, jakgdyby pierwszy raz.

— Przypuśćmy, że żył pan na księżycu, — przerwał Stawrogin, nie słuchając, i snując wciąż myśl własną. — Przypuśćmy, że popełnił pan tam te zabawne łajdactwa. Pan wie napewno, patrząc już stąd, że tam będą szydzili, będą opluwali imię pańskie przez tysiąc lat, wiecznie, póki księżyc istnieje. Lecz teraz pan jest tu, i stąd pan patrzy na księżyc. Co panu tu do tego, co pan tam zrobił? Co pana obchodzi, że tam opluwają pana przez tysiąc lat? Czyż nie tak?

— Nie wiem, — odpowiedział Kiriłow. — Nie byłem na księżycu, — dodał bez cienia ironji, jedynie konstatując fakt.

— Czyje to dziecko było?

— Przyjechała teściowa... nie, nie teściowa, a synowa staruszki. Wszystko jedno. Trzy dni temu. Leży chora, a tu dziecko. W nocy bardzo krzyczy, bo brzuch... Matka śpi, a starucha przynosi. A ja — piłką. Piłka z Hamburga. W Hamburgu kupiłem, żeby rzucać i łapać. To wzmacnia mięśnie. A tamto dziewczynka.

— Pan lubi dzieci?

— Lubię, — dość obojętnie stwierdził Kiriłow.

— Więc musi pan kochać życie?

— Tak, kocham życie. A bo co?

— Pan postanowił zastrzelić się.

— Cóż? Co wspólnego? Życie osobno, a tamto osobno. Życie jest, a śmierci zupełnie niema.

— Pan zaczyna wierzyć w żywot wieczny?

— Nie, nie w tamten wieczny, a w ten, co tu. Są takie chwile... gdy pan spocznie na chwilę, to czas się zatrzyma i trwa wiecznie.

— Pan ma nadzieję schwycić taką chwilę?

— Tak.

— Chyba w czasach dzisiejszych to niemożliwe, — mówił Stawrogin, także bez cienia ironji. Mówił to pomału w zadumie. — W Apokalipsie anioł przysięga, że czasu już nie będzie.

— Wiem. To bardzo prawdziwe. Wyraźne i ścisłe. Gdy cały człowiek osiągnie szczęście, czasu już nie będzie, bo już nie trzeba. Bardzo słuszna myśl.

— Gdzież on się podzieje?

— Nigdzie. Czas nie jest przedmiotem, lecz ideą. Zgaśnie w myśli.

— Są to stare komunały filozoficzne, wciąż te same od wieków, — z wzgardliwym żalem szepnął Stawrogin.

Kiriłow potwierdził natychmiast, z błyszczącym wzrokiem, jakgdyby ta właśnie myśl zawierała zwycięstwo.

— Te same! Te same od początku świata! Innych niema nigdy!

— Panie Kiriłow! Pan, zdaje mi się, jest szczęśliwy!

— Tak, bardzo szczęśliwy! — odpowiedział takim tonem, jakgdyby mówił o rzeczy najpowszechniejszej.

— Lecz pan tak niedawno się martwił! Irytował się pan na Liputina.

— Ha! Lecz teraz już nie! ...Ja wtedy nie wiedziałem, że jestem szczęśliwy. Czy pan widział kiedy liście? Z drzewa?

— Owszem.

— Widziałem niedawno żółty. Zieleni było już mało. Nadgnił. Wiatr go nosił. Gdy miałem dziesięć lat, zamykałem zimą oczy i starałem się wyobrazić sobie. Taki liść, zielony, jaskrawy, a żyłki żółte... i słońce świeci. Otwierałem oczy i nie wierzyłem, bo tamto było zbyt ładne. Znowu zamykałem...

— Cóż to? Przenośnia?

— Nie. Poprostu liść. Tylko liść. Liść jest ładny i wszystko jest ładne.

— Wszystko?

— Wszystko. Człowiek jest nieszczęśliwy dlatego, że nie wie, iż jest szczęśliwy. Tylko dlatego. W tem wszystko, wszystko. Kto się o tem dowie, stanie się szczęśliwy. Natychmiast, w tej samej chwili. Tamta synowa umrze, a dziecko zostanie. I wszystko dobrze. Odkryłem to.

— A jeśli kto umrze z głodu? A jeśli kto skrzywdzi i shańbi dziecko? Czy także dobrze?

— Dobrze. A jeśli kto głowę rozmiażdży za dziecko, — to dobrze. A jeśli nie rozmiażdży — także dobrze. Wszystko jest dobrze, wszystko. Temu jest dobrze, kto wie, że wszystko jest dobrze. Gdyby ludzie wiedzieli, że im jest dobrze, byłoby im dobrze. Póki nie wiedzą, jest im źle. To cała myśl. Innej być nie może.

— Kiedy pan się dowiedział, że jest szczęśliwy?

— W zeszłym tygodniu, we wtorek. Nie, we środę, bo to była już środa. W nocy.

— Z jakiego powodu?

— Nie pamiętam. Tak sobie. Chodziłem po pokoju. Wszystko jedno. Zatrzymałem zegarek. Było trzydzieści siedem minut po drugiej...

— Na znak tego, że czas powinien stanąć?

Kiriłow nie odpowiedział na to. Powrócił znów do dawnej myśli.

— Ludzie są źli, gdyż nie wiedzą, że są dobrzy. Gdy się dowiedzą, nie będą gwałcili dziewczynek. Muszą się dowiedzieć, że są dobrzy, a wtedy staną się dobrzy. Wszyscy, co do jednego.

— Więc pan się dowiedział, że jest pan dobry?

— Tak, jestem dobry.

— Na to zgoda, — bąknął Stawrogin dość chmurnie.

— Kto ludzi nauczy, że są dobrzy, ten skończy ze światem.

— Kto uczył tego, został ukrzyżowany.

— Przyjdzie, a imię jego będzie człowieko-bóg.

— Bogoczłowiek?

— Nie. Człowieko-bóg, w tem cała różnica.

— Może to pan zapalił nawet tę lampkę oliwną przed obrazem?

— Tak, to ja.

— Uwierzył pan?

— Nie. Staruszka lubi, żeby się lampka paliła. Sama nie ma czasu, — szepnął Kiriłow.

— Czy pan się modli?

— Ja modlę się do wszystkiego. Widzę, że pająk jest na ścianie. Wdzięczny mu jestem, że pełznie.

Znowu błysnęły mu oczy. Twardym, niezłomnym wzrokiem patrzył wciąż na Stawrogina. Stawrogin przyglądał mu się chmurnie i wyniośle, lecz w jego spojrzeniu nie było szyderstwa.

— Mógłbym się założyć, że gdy przyjdę znowu do pana, będziesz pan wierzył już w Boga.

Wstał i wziął do rąk kapelusz.

— Dlaczego? — pytał Kiriłow, wstając także z krzesła.

— Gdyby pan się dowiedział, że pan wierzy w Boga, toby pan uwierzył. Ponieważ jednak pan nie wie, że wierzy, więc jeszcze pan nie wierzy, — odpowiedział z uśmiechem.

Kiriłow zastanowił się.

— Nie, to nie to. Pan przekręcił myśl. To świecki kawał. Niech pan pamięta, panie Stawrogin, czem pan był w mojem życiu.

— Do widzenia, panie Kiriłow!

— Niech pan przyjdzie w nocy. Kiedy?

— A pan nie zapomni o jutrzejszem?

— Ach, tak! Niech pan będzie spokojny. Nie zaśpię. O dziewiątej. Umiem się zbudzić, o której zechcę. Kładę się i mówię sobie: o siódmej — i zbudzę się o siódmej. O dziesiątej — to o dziesiątej.

— Pan ma dziwne właściwości.
Stawrogin wpatrzył się w bladą twarz Kiriłowa.
— Otworzę panu bramę.
— Niech pan nie wychodzi. Otworzy mi Szatow.
— Ach, Szatow? Dobrze. Do widzenia.

VI.

Drzwi pustego domu, w którym mieszkał Szatow, nie były zamknięte. Wszedłszy na klatkę schodową, Stawrogin znalazł się w głębokim mroku i zaczął szukać schodów prowadzących na górę. Wtem usłyszał i ujrzał błysk światła. Szatow nie schodził nadół, tylko otworzył swoje drzwi. Gdy Stawrogin znalazł się na progu jego pokoju, zobaczył, że Szatow stoi w oczekiwaniu w kącie, przy stole.

— Czy pan przyjmie mnie? Mam do pana interes.

— Niech pan wejdzie i siada, — odpowiedział Szatow. — Proszę zamknąć drzwi. Zresztą ja sam.

Zamknął drzwi na klucz, wrócił do stołu i usiadł naprzeciwko Stawrogina. Schudł przez ten tydzień. Zdawało się, że jest w gorączce.

— Pan mnie zamęczył, — wymówił cichym półszeptem. — Dlaczego pan nie przychodził?

— Pan był tak pewien, że przyjdę?

— Przepraszam. Bredziłem. Może bredzę i teraz. Niech pan poczeka.

Wstał i wziął z górnej półki z książkami jakiś przedmiot, który leżał z brzegu. Był to rewolwer.

— Bredziłem kiedyś przez całą noc, że pan przyjdzie mnie zabić. Nazajutrz kupiłem od Lamszyna rewolwer. Za ostatnie pieniądze. Nie chciałem poddać się panu. Potem opamietałem się. Nie mam ani kul, ani prochu. Leży sobie rewolwer na półce. Niech pan poczeka.

Wstał znowu i otworzył lufcik.

— Niech pan nie wyrzuca, — odezwał się Stawrogin. — To coś kosztuje. Jutro ludzie zaczęliby mówić, że pod oknem Szatowa znaleziono rewolwer. Niech leży na miejscu. Tak. A teraz niech pan siada. Dlaczego pan

się spowiada przede mną ze swych oczekiwań, że przyjdę zabić pana? Nie przyszedłem się godzić, lecz musimy pomówić o rzeczach koniecznych. Przedewszystkiem musi mi pan wytłumaczyć. Pan mnie uderzył nie za stosunek mój do pańskiej żony?

— Pan wie najlepiej, że nie, — odpowiedział Szatow, wpatrując się w podłogę.

— I nie z tego powodu, że uwierzył pan głupim plotkom o pańskiej siostrze...

— Nie, nie, oczywiście nie! To głupstwo. Dasza zaraz powiedziała mi o wszystkiem... — niecierpliwie i ostro odpowiedział Szatow. Nawet tupnął nogą.

— Więc znaczy, że zgadłem, a i pan zgadł także, — spokojnie ciągnął Stawrogin. — Pan się nie myli. Marja Lebiadkina jest moją legalną żoną, z którą wziąłem ślub cztery i pół roku temu w Petersburgu. Pan mnie uderzył za nią?

Szatow milczał, jak osłupiały. Wyszeptał wreszcie, dziwnym wzrokiem przeszywając Stawrogina.

— Domyśliłem się, a nie mogłem uwierzyć.

— I uderzył pan.

Szatow w strasznem podnieceniu zaczął mówić, tracąc równowagę.

— Ja... za pański upadek... za kłamstwo. Nie poto podchodziłem, aby ukarać. Gdy podchodziłem, nie wiedziałem, że uderzę... Ja... za to, że pan tak dużo zaważył w mem życiu... Tak...

— Rozumiem, rozumiem. Niech pan nie traci napróżno słów. Żałuję bardzo, że jest pan jak w gorączce. Mam sprawę niezmiernie ważną.

Szatow zatrząsł się cały i powstał.

— Zbyt długo czekałem na pana. Niech pan mówi. I ja powiem. Potem...

Znów usiadł.

Stawrogin przyglądał mu się z zaciekawieniem. Rozpoczął mówić.

— Mój interes do pana należy do innej kategorji. Z pewnych względów musiałem wybrać dziś taką godzinę i przyjść uprzedzić pana, że mogę pana zabić.

Szatow rzucił na niego dzikie spojrzenie. Odezwał się, wymierzając każde słowo.

— Ja wiem, że może mi grozić niebezpieczeństwo. Lecz skąd pan może o tem wiedzieć.

— Gdyż należę do nich tak samo, jak pan, i jestem takim samym jak pan, członkiem stowarzyszenia.

— Pan... jest członkiem stowarzyszenia?

Stawrogin ledwo się uśmiechnął.

— Wiedziałem, że pan mógł się po mnie spodziewać wszystkiego, tylko nie tego. Przepraszam jednak. Więc pan wiedział, że grozi panu zamach?

— Anim myślał o tem. I teraz nawet nie myślę, pomimo słów pańskich... chociaż po tych idjotach można się wszystkiego spodziewać, — krzyknął wściekle, uderzając pięścią w stół. — Nie boję się ich. Zerwałem z nimi. Tamten wpadał do mnie kilka razy i mówił mi, że można zerwać, ...lecz właściwie... cóż pan wie o tem?

Spojrzał na Stawrogina. Stawrogin odpowiadał mu chłodno, jak człowiek, spełniający jedynie obowiązek.

— Niech pan się nie obawia. Ja pana nie oszukuję. Pan chce sprawdzić, co ja wiem o tem? Dobrze. Pan wstąpił do stowarzyszenia przed dwoma laty, zagranicą, jeszcze przy starej organizacji, przed samym wyjazdem pańskim do Ameryki. Zdaje mi się, że było to wkrótce po naszej ostatniej rozmowie, o której pan tak dużo mi pisał z Ameryki w liście. Przy sposobności muszę przeprosić pana, że nie odpisałem, a poprzestałem tylko...

— Na wysłaniu pieniędzy. Niech pan poczeka, — przerwał Szatow. Śpiesznie wysunął szufladę i wyjął z pod spodu tęczowy papierek. — Niech pan weźmie te sto rubli, które pan mi przysłał. Bez nich zginąłbym tam. Długu nie mógłbym oddać, gdyby nie matka pańska. Dała mi te sto rubli przed dziewięciu miesiącami, po mojej chorobie, aby mi dopomóc w biedzie. A teraz słucham...

Brakło mu już tchu.

— Tak. W Ameryce pan zmienił zapatrywania i po powrocie, w Szwajcarji, chciał się pan wycofać. Nic panu nie odpowiedzieli na to, lecz kazali przywieźć tu, do Rosji, jakąś drukarnię i przechować ją aż do chwili, kiedy

zjawi się po nią pewna osoba. Szczegółów nie znam, lecz przecież w głównych zarysach było tak? Pan zaś, w nadziei, czy też pod warunkiem, że to będzie ostatnie ich żądanie i że pana potem zwolnią, podjął się przywieźć drukarnię. Nie wiem napewno, czy to tak było. Lecz wiem o tem nie od nich, lecz z innego źródła, zupełnie wypadkowo. Jest jednak pewna rzecz, o której pan nie wie prawdopodobnie. Ci ludzie nie mają zamiaru rozstawać się z panem.

— To absurd! — krzyczał Szatow. — Powiedziałem uczciwie, że rozchodzą się drogi nasze. Pod każdym względem. To moje prawo... prawo myśli i sumienia.. Nie zgodzę się... Niema mocy, któraby mnie zmusiła!

— Niech pan nie krzyczy! — hamował go Stawrogin z całą uwagą. — Ten Wierchowieński to taki spryciarz, że może teraz nawet nas podsłuchuje. Może tu, za drzwiami, są jego uszy, własne, lub cudze. Nawet pijaczyna Lebiadkin miał tu obowiązek śledzić pana. A może równocześnie pan — jego? Niech mi pan lepiej powie, że Wierchowieński zgodził się na pańskie dowody?

— Zgodził się. Powiedział, że można. Że mam prawo.

— On pana oszukuje. Wiem, że nawet Kiriłow, który prawie nie należy do nich, dostarczał im wiadomości o panu. Mają moc agentów, nawet takich, którzy nie wiedzą o tem, że przysługują się stowarzyszeniu. Pan był zawsze pod obserwacją. Wierchowieński przyjechał tu, aby zlikwidować pańską sprawę i ma pełnomocnictwa. Ma prawo zniszczyć pana w każdej chwili, jako człowieka, który wie zbyt dużo i może zdradzić. Powtarzam panu, że tak jest istotnie. Muszę dodać, że ich zdaniem pan jest szpiegiem. Twierdzą, że jeżeli pan nie zdradził dotychczas, to pan to jeszcze zrobi. Czy to prawda?

Szatow wykrzywił twarz, usłyszawszy takie pytanie wypowiedziane zupełnie zwykłym głosem.

— Gdybym był szpiegiem, to czyim? — zgryźliwie wymówił, nie odpowiadając wprost na pytanie. — Nie niech pan mi da spokój. Do djabła ze mną! — zawołał powracając widocznie do dawniejszej myśli, która poru

szyła go znacznie więcej, niż wiadomość o własnem niebezpieczeństwie. — Jak pan, panie Stawrogin, mógł dać się zaprząc do tych bezwstydnych, lokajskich bzdurstw! Pan — członkiem stowarzyszenia! Tak ma wyglądać czyn Mikołaja Stawrogina!

W głosie jego słychać było rozpacz. Wstrząsał rękami. Zdawało się, że nie może być dla niego nic gorszego i więcej beznadziejnego, jak ta wiadomość.

Stawrogin szczerze się zdziwił.

— Przepraszam pana. Pan, zdaje się, zapatruje się na mnie, jak na jakieś słońce, a na siebie jak na jakąś muchę w porównaniu ze mną. Zauważyłem to nawet w liście pańskim z Ameryki.

— Pan... pan sam wie... — przerwał mu Szatow. — Lecz nie mówmy o mnie. Dajmy temu spokój. Jeżeli pan może, niech mi pan wyjaśni o sobie... Na moje pytanie!..— dodał gorączkowo.

— Z przyjemnością. Pan pyta, jak ja mogłem trafić do takiej jamy. Po tem, co panu zakomunikowałem, mam nawet względem pana obowiązek szczerości w tej sprawie. Widzi pan, w ścisłem tego słowa znaczeniu nie należę do stowarzyszenia. Nie należałem i dawniej, i miałbym większe prawo porzucić ich, niż pan, gdyż nie figurowałem na liście członków. Od samego początku powiedziałem im, że nie jestem ich towarzyszem, i jeżeli pomagałem im czasem, to tylko jako człowiek wolny. Uczestniczyłem w reorganizacji stowarzyszenia na nowych podstawach, i na tem koniec. Oni jednak opamiętali się i postanowili, że i mnie niebezpiecznie wypuścić z rąk. Zdaje mi się, że także jestem skazany.

— Ach, oni znają tylko karę śmierci, a na wszystko jest dekret. Na papierze, z pieczęcią. Trzech i pół ludzi podpisuje. Lecz czyż pan myśli, że oni są w stanie wykonać?

— Po części ma pan rację, po części nie, — mówił Stawrogin, głosem zupełnie obojętnym, nawet sennym. — Zapewne, że dużo w tem jest fantazjowania, jak zawsze w takich warunkach. Komórka przecenia swój wzrost i swoje znaczenie. Jeżeli o to chodzi, to zdaniem mojem

jest tam jeden tylko Piotr Wierchowieński, który przez uprzejmość jedynie nazywa siebie agentem własnego stowarzyszenia. Zasadnicza ich myśl nie jest głupsza od innych myśli w tym rodzaju. Mają pewne stosunki z Międzynarodówką. Mają placówki w Rosji, a nawet stosują taktykę dość oryginalną, wprawdzie jedynie w teorji. Co się tyczy ich tutejszych zamiarów, to przecież rozwój organizacyjny w Rosji jest rzeczą o tyle ciemną i zawsze niespodziewaną, że właściwie można dokonywać wszelkich prób. Niech pan nie zapomina, że Wierchowieński jest człowiekiem upartym.

— To jest pluskwa, nieuk, błazen, który nie ma pojęcia o Rosji, — krzyczał zirytowany Szatow.

— Pan go nie zna. To racja, że oni wszyscy mało wiedzą o Rosji, lecz chyba nie o wiele mniej, niż pan i ja. A Wierchowieński jest entuzjastą.

— Wierchowieński — entuzjastą?

— O, tak. Jest taki punkt, kiedy przestaje on być komedjantem, a staje się pół-obłąkanym. Niech pan przypomni sobie własne swoje powiedzenie: „Czy wy wiecie jaką potęgą może być jeden człowiek?“ Niech pan się nie śmieje. Wierchowieński doskonale potrafi nacisnąć cyngiel. Oni są przekonani, że i ja jestem szpiegiem. Nie umieją prowadzić sprawy, więc bardzo chętnie oskarżają o szpiegostwo.

— Pan się jednak nie boi?

— Nie... Niebardzo... Pańska sprawa przedstawia się jednak inaczej. Uprzedziłem pana i proszę mieć to na względzie. Tu trudno się obrażać za to, że niebezpieczeństwo grozi ze strony takich błaznów. Tu nie o rozum ich chodzi. Podnosiła się ich dłoń karząca, nawet nie na takich, jak pan i ja. Ale już kwadrans po jedenastej. — Chciałem pana zapytać o rzecz zupełnie już inną.

— Na miłość Boską! — zawołał Szatow, zrywając się z krzesła.

— Jakto? — zdziwił się Stawrogin.

— Niech pan pyta, na miłość Boską! — zaklinał Szatow w strasznem podnieceniu. — Z tem jednak, że i ja potem zapytam. Błagam, niech pan pozwoli. Słucham pana, słucham.

Stawrogin zastanowił się, wreszcie zaczął:

— Mówiono mi, że miał pan pewien wpływ na Marję Timofiejewnę i że lubiła ona patrzeć na pana i słuchać pańskich słów? Czy to prawda?

— Tak... słuchała... — bąknął Szatow, zmieszany.

— Mam zamiar w dniach najbliższych ogłosić publicznie, że jest ona moją żoną.

— Czyż to możliwe? — szepnął Szatow w przerażeniu.

— W jakim sensie? Tu niema przeszkód. Świadkowie ślubu są obecni. Wszystko to odbyło się w Petersburgu, w sposób zupełnie legalny i spokojny, a jeżeli o tem dotychczas nikt nie wie, to tylko dzięki temu, że jedyni świadkowie Kiriłow i Piotr Wierchowieński, wreszcie sam Lebiadkin (obecnie mój krewny) dali wtedy słowo, że będą milczeli.

— Ależ nie o to mi chodzi... Pan mówi tak spokojnie... lecz słucham. Przepraszam! Pana nikt nie zmuszał do tego małżeństwa? Prawda?

Stawrogina bawiła nerwowa gorączkowość Szatowa. Odpowiedział z uśmiechem.

— Nie, nikt mnie nie zmuszał.

Szatow znów przerwał, nie mogąc już panować nad sobą.

— A co to ona mówi o dziecku?

— Mówi o dziecku? Nie wiedziałem o tem. Słyszę po raz pierwszy. Nie miała dziecka i nie mogła mieć. Marja Timofiejewna jest dziewicą.

— Ach! Byłem pewny! Niech pan posłucha!

— Co się z panem dzieje, panie Szatow?

Szatow ukrył twarz w dłoniach, odwrócił się, lecz po chwili energicznie schwycił Stawrogina za ramię. Zaczął krzyczeć.

— Czy pan wie, czy pan wie przynajmniej, poco pan to zrobił i poco decyduje się pan teraz na taką karę?

— Pańskie pytanie jest mądre i zjadliwe. Lecz znowu zadziwię pana. Prawie, że wiem, dlaczego ożeniłem się i dlaczego decyduję się na „karę", jak pan to określa.

— Dobrze, pozostawmy to... Potem... Niech pan poczeka. Teraz musimy pomówić o najważniejszem. Dwa lata czekałem na pana.

— Tak?

— Już dawno czekam na pana. Myślałem o panu bez przerwy. Pan jest jedynym człowiekiem, który mógłby... A zresztą pisałem o tem do pana jeszcze z Ameryki.

— Doskonale pamiętam długi list pański.

— Zbyt długi, aby go przeczytać? Zgoda. Sześć arkuszy. Niech pan milczy. Czy pan może poświęcić mi jeszcze dziesięć minut, lecz zaraz, zaraz... Zbyt długo czekałem na pana.

— Dobrze, daję panu pół godziny, lecz nie więcej, o ile to jest możliwe.

— Pod tym jednak warunkiem, — wołał Szatow z furją w głosie, — że pan zmieni ton. Słyszy pan, żądam, chociaż powinienem błagać... Czy pan rozumie, co to znaczy żądać, gdy się powinno błagać?

— Rozumiem. To znaczy, że pan, w imię wyższego celu, wynosi się ponad powszedniość, — z ledwo dostrzegalnym uśmiechem powiedział Stawrogin. — Przykro mi, że pan ma gorączkę...

— Proszę o szacunek dla mnie, żądam! — krzyczał Szatow. — Nie dla mojej osoby, do djabła z nią! Dla czegoś innego, tylko na tę chwilę, dla tych kilku słów... Jesteśmy jak dwie istoty, które spotkały się w nieskończoności.. po raz ostatni w świecie. Niech pan porzuci swój ton i weźmie ton ludzki! Niech pan raz jeden w życiu odezwie się głosem ludzkim! Nie dla siebie o to proszę, dla pana samego. Czy pan rozumie, że pan powinien przebaczyć mi tamto uderzenie? Przecież dałem panu sposobność wypróbować, jaką masz bezgraniczną siłę... Znów widzę na twarzy pańskiej ten wzgardliwy, salonowy uśmiech! Czy pan mnie zrozumie kiedykolwiek? Precz z miną panicza! Zrozum pan: żądam tego, inaczej bowiem nie zechcę mówić, za nic nie będę!

Podniecenie jego stawało się obłąkańczem. Stawrogin spoważniał, stał się ostrożniejszy. Odezwał się poważnie i przekonywująco.

— Jeżelim już został na pół godziny, chociaż istotnie bardzo się śpieszę, wierz mi pan, że będę słuchał co najmniej z zainteresowaniem... i pewien jestem, że posłyszę od pana dużo rzeczy nowych.

Usiadł na krześle.

— Niech pan siada! — zawołał Szatow, i sam usiadł natychmiast.

— Przypominam jednak panu, — raz jeszcze próbował Stawrogin, — że miałem do pana prośbę w sprawie Marji Timofiejewny, bardzo ją obchodzącej.

— No? — zachmurzył się Szatow, z miną człowieka, któremu przerwano w najważniejszej chwili i który, patrząc w oczy, nie rozumie pytania.

— A pan nie dał mi skończyć, — kończył Stawrogin z uśmiechem.

Szatow lekceważąco machnął ręką, zrozumiawszy wreszcie pretensję.

— To głupstwo! O tem później!

Przeszedł odrazu do głównego tematu.

VII.

Pochylił się naprzód w krześle, błysnął wzrokiem, podniósł do góry jeden palec prawej ręki, prawdopodobnie nie wiedząc nawet o tem, i zaczął groźnie.

— Czy pan wie, jaki dziś naród, jedyny na świecie, jest bogonoścą, mającym odnowić i zbawić świat w imię nowego boga? Jedyny, któremu dane są klucze życia i nowego słowa? Czy pan wie, jaki to naród, i jak się nazywa?

— Z pańskiego sposobu mówienia, powinienem chyba wywnioskować, i to jak najprędzej, że chodzi o naród rosyjski...

— Pan się śmieje! O, ludzie! — wybuchał już Szatow.

— Proszę pana, niech pan się uspokoi. Przeciwnie, spodziewałem się czegoś w tym rodzaju.

— Spodziewał się pan? A panu samemu nie są znane te słowa?

— Bardzo znane. Wiem dobrze, do czego pan dąży.

Całe zdanie pańskie i nawet określenie „naród bogonośca" jest tylko zakończeniem naszej rozmowy z przed dwóch lat, zagranicą, przed wyjazdem pańskim do Ameryki... O ile przynajmniej mogę sobie przypomnieć.

— Jest to dosłownie pański frazes, a nie mój. Pana własny, a wcale nie zakończenie rozmowy. Żadnej „naszej rozmowy" wtedy nie było. Był mistrz, który objawiał olbrzymie prawdy, i był uczeń, który powstawał z martwych. Ja byłem tym uczniem, pan — mistrzem.

— Jeżeli jednak nie mylę się, pan właśnie po moich słowach wstąpił do tamtego stowarzyszenia, a potem dopiero pojechał do Ameryki.

— Tak, pisałem panu o tem z Ameryki. Pisałem panu o wszystkiem. Tak, nie mogłem wtedy oderwać się z krwią własną od tego, do czego przyzwyczaiłem się od dzieciństwa, czemu oddałem wszystkie zachwyty moich marzeń i wszystkie łzy mojej nienawiści... Trudno zmieniać bogów. Nie uwierzyłem panu wtedy, gdyż nie chciałem uwierzyć, i uczepiłem się po raz ostatni tej kloaki ze zlewami... Ale rzucone przez pana nasienie kiełkowało. Niech mi pan powie zupełnie poważnie, czy pan doczytał tamten mój list z Ameryki do końca. Może nie czytał pan zupełnie.

— Przeczytałem trzy strony, dwie pierwsze i ostatnią i przebiegłem wzrokiem resztę. Stale miałem zamiar...

— Ech, wszystko jedno, do djabła z tem, — denerwował się Szatow. — Jeżeli pan zaparł się teraz tamtych słów o narodzie naszym, jak pan śmiał wymawiać je wtedy?... Jest to rzecz, która tłoczy mnie teraz.

— Nie żartowałem wtenczas z panem. Przekonywując pana, może myślałem więcej o sobie, niż o panu, — z zagadkowym uśmiechem odezwał się Stawrogin.

— Pan nie żartował! — Leżałem w Ameryce przez trzy miesiące na słomie obok pewnego nieszczęśliwego człowieka i dowiedziałem się od niego, że w tym samym czasie, może tego samego dnia, pan zaszczepiłeś truciznę w sercu tego nieszczęśnika, tego manjaka, Kiriłowa... Pan utwierdzał w nim kłamstwo i fałsz i doprowadził do stanu nienormalnego jego umysł... Niech pan pójdzie, niech pan

spojrzy na niego! To twór pański! Zresztą pan już widział...

— Przedewszystkiem muszę zwrócić uwagę pana na taki fakt: Kiriłow przed chwilą sam mi wyznał, że jest szczęśliwy i piękny. Przypuszczenie pańskie, że tamto odbywało się w tym samym czasie, jest prawie słuszne. Lecz cóż z tego wynika? Nie oszukiwałem ani pana, ani jego.

— Pan jest ateistą? Teraz — ateistą?

— Tak.

— A wtedy?

— Tak samo, jak wtedy.

Szatow bełkotał oburzony:

— Prosiłem pana o szacunek nie dla mnie, gdym rozpoczynał rozmowę. Przy pańskim rozumie mógłby pan to pojąć.

— Nie wstałem po pierwszych słowach pańskich, nie przerwałem rozmowy, nie wyszedłem, lecz wciąż siedzę i spokojnie odpowiadam na pańskie pytania i... krzyki. To świadczy aż nadto, żem nie stracił dla pana szacunku.

Szatow machnął ręką.

— Czy pan pamięta swoje zdania: „Ateista nie może być Rosjaninem", „ateista natychmiast przestaje być Rosjaninem", — pan to pamięta?

— Tak? — jakgdyby spytał Stawrogin.

— Pan pyta? Pan zapomniał? A jednak jest to najściślejsze określenie jednej z głównych cech duszy rosyjskiej. Pan to wtedy wyczuł! pan nie mógł zapomnieć! Przypomnę panu więcej. Pan powiedział wtedy: „nieprawosławny nie może być Rosjaninem".

— Zdaje mi się, że jest to myśl słowianofilska.

— Nie, dzisiejsze słowianofilstwo zaparło się jej. Dziś ludzie zmądrzeli. Pan posuwał się jeszcze dalej. Pan mówił, że rzymski katolicyzm już nie jest chrystjanizmem. Pan twierdził, że Rzym stworzył Chrystusa, który poddał się trzeciemu kuszeniu szatana. Oznajmiwszy całemu światu, że Chrystus nie może utrwalić swego bytu na ziemi bez królestwa ziemskiego, katolicyzm ubóstwił Antychrysta i zgubił cały świat zachodni. Pan dowodził, że Francja męczy się teraz z winy katolicyzmu, gdyż wyrzekła się gnijącego

boga rzymskiego, lecz nie stworzyła nowego. Tak wszystko mówił pan wtedy! Pamiętam dobrze nasze rozmowy.

— Gdybym wierzył w Boga, mówiłbym dziś niewątpliwie to samo. Nie kłamałem, kiedym mówił jak człowiek wierzący. — Stawrogin powiedział to poważnie. — Lecz przyznam się panu, że to powtarzanie moich dawnych myśli sprawia na mnie przykre wrażenie. Czy nie mógłby pan tego zaprzestać?

— Gdyby pan wierzył!? — zawołał Szatow, nie zwracając najmniejszej uwagi na prośbę. — Lecz to pan przecież mówił mi wtedy, że gdyby panu dowiedziono matematycznie, iż prawda jest poza Chrystusem, pan wolałby pozostać z Chrystusem, niż z prawdą. Pan to mówił? Może pan zaprzeczy?

Stawrogin podniósł głos.

— Przepraszam pana! Może pan mi zechce wytłumaczyć, do czego prowadzi ten niecierpliwy i gniewny egzamin.

— Ten egzamin będzie miał swój koniec i już nigdy nie przypomni się panu.

— Pan wciąż podkreśla, że jesteśmy teraz poza czasem i przestrzenią.

Szatow zaczął znów krzyczeć.

— Niech pan zamilknie! Jestem głupi i niezgrabny, niech więc tonę w śmieszności! Niech mi pan pozwoli powtórzyć przed panem główną ówczesną myśl pańską. Tylko dziesięć wierszy. To już zakończenie.

— Jeżeli to już koniec, w takim razie proszę.

Stawrogin zrobił ruch, jakgdyby chciał spojrzeć na zegarek, lecz powstrzymał się i nie spojrzał.

Szatow znów się wygiął na krześle i znów na chwilę podniósł palec do góry. Zaczął mówić, jakgdyby czytając z książki, a cały czas groźnie patrzył na Stawrogina.

— Żaden naród nie organizował się dotychczas na podstawach rozumu i wiedzy. Nie było jeszcze przykładu. Chyba na chwilę, przez naiwność. Socjalizm z istoty swojej musi być ateistyczny, gdyż od pierwszego słowa oświadczył, że jest doktryną ateistyczną i zamierza budować wyłącznie na podstawie rozumu i wiedzy. W życiu narodów

zawsze, teraz i od stworzenia świata, rozum i wiedza odgrywały rolę drugorzędną i pomocniczą. A tak będzie aż do końca dni. Narody powstają i żyją dzięki innej sile, wszechwładnej, rozkazującej, której źródła są nieznane i niepojęte. Siła ta polega na nienasyconem pragnieniu, aby dojść do końca, a jednocześnie zaprzecza ona końcowi. Jest to siła nieprzerwanego, nieustannego potwierdzania bytu i zaprzeczania śmierci. Duch życia, jak mówi pismo święte, to rzeki wody żywej, których wysychanie zapowiada Apokalipsa. Pierwiastek estetyczny, jak mówią filozofowie, pierwiastek moralny, co ich zdaniem, znaczy, to samo. „Poszukiwanie Boga", jak to nazywamy najprościej. Celem życia narodowego, w każdym narodzie i w każdym okresie jego rozwoju, jest jedynie poszukiwanie Boga, swojego Boga, koniecznie własnego, i wiara w tego Boga, jako Jedynego. Bóg jest syntezą narodu, wziętego od początku do końca. Nigdy nie było, aby wszystkie, lub liczne narody miały wspólnego Boga, każdy naród miał własnego. Gdy Bogi stają się wspólne, umierają one i wiara w nich, razem z narodami. Im silniejszy jest naród, tem odrębniejszy jego Bóg. Nigdy dotychczas nie istniał naród bez religji, czyli bez pojęcia dobra i zła. Każdy naród ma własne pojęcie o dobrem i złem, i swoje własne dobro i zło. Gdy wśród wielu narodów stają się wspólne pojęcia dobra i zła, wtedy wygasają narody i zaczyna się zacierać i znikać różnica pomiędzy dobrem i złem. Nigdy rozum nie był w stanie określić dobra i zła, ani odróżnić ich, nawet w przybliżeniu. Przeciwnie, zawsze plątał je bezwstydnie. Nauka rozstrzygała rzeczy siłą pięści. Wyróżniała się tu zwłaszcza pół-wiedza, najgorszy bicz ludzkości, straszniejszy od moru, głodu i wojny, nieznany aż do naszego stulecia. Pół-wiedza jest tyranem, jakich nie znano dotychczas. Tyranem, który ma swoich kapłanów i niewolników, przed którym korzą się wszyscy z miłością i strachem, nieznanemi dotychczas, przed którym drży nawet sama wiedza, bezwstydnie przyklaskująca półwiedzy. To wszystko są pańskie słowa, panie Stawrogin! Oprócz tych ostatnich słów o pół-wiedzy. Te są moje, gdyż sam jestem pół-wiedzą, więc nienawidzę siebie najbardziej.

W niczem nie zmieniłem myśli pańskich, ani nawet słów. Ani jednego słowa.

— Sądzę jednak, że pan zmienił, — ostrożnie zauważył Stawrogin. — Pan przyjął je płomiennie, i przekształcił płomiennie, nie zauważywszy tego nawet. Już to jedno, że pan zniża Boga do roli cechy narodowej...

Zaczął pilnie i uważnie obserwować Szatowa, zwracając uwagę nietyle na jego słowa, ile na niego samego.

— Zniżam Boga do roli cechy narodowej! — zawołał Szatow. — Przeciwnie! Podnoszę naród do Boga! Czyż było kiedykolwiek inaczej? Naród jest ciałem Bożem. Każdy naród dopóty jest narodem, dopóki ma własnego, wyłącznego Boga, a innych Bogów odrzuca bez żadnego miłosierdzia. Dopóki wierzy, że swoim Bogiem zwycięży i wyprze ze świata obcych Bogów. Tak wierzono od stworzenia świata, tak wierzyły wszystkie wielkie narody, wszystkie te, które wyróżniły się czemkolwiek, które przodowały ludzkości. Trzeba się liczyć z faktem. Żydzi żyli dopóty, dopóki nie doczekali się prawdziwego Boga i nie oddali go światu. Grecy ubóstwiali przyrodę i przekazywali ludzkości w testamencie swoją religję, czyli filozofję i sztukę. Rzym ubóstwiał naród w państwie i przekazał światu państwo. Francja przez długie dzieje swoje była wcieleniem i rozwojem idei rzymskiego Boga, a jeśli strąciła obecnie w otchłań swego rzymskiego Boga i rzuciła się w objęcia ateizmu, nazywającego się tymczasem socjalizmem, to tylko dlatego, że nawet ateizm jest zdrowszy od rzymskiego katolicyzmu. Gdy wielki naród nie wierzy, że w nim jednym jest prawda (wyłącznie w nim), gdy nie wierzy, że on jeden może wszystkich wskrzesić i zbawić swoją prawdą, gdy nie wierzy, że jest do tego powołany, — przestaje natychmiast być wielkim narodem, staje się jedynie materjałem etnograficznym. Naród rzeczywiście wielki, nie poprzestanie nigdy na drugorzędnej roli w ludzkości, nawet na pierwszorzędnej, chce być jedynym. Gdy straci wiarę w to, już nie jest narodem. Lecz prawda jest jedna, więc tylko jeden naród ma prawdziwego Boga, chociażby inne narody miały własnych, największych Bogów. Jedyny naród „Bogonośca" — to naród rosyjski. Czyż pan rzeczy-

wiście, panie Stawrogin, — krzyczał zapamiętale Szatow,— ma mnie za takiego idjotę, który nie rozumie, że słowa jego są albo staremi, zgniłemi otrębami, meltemi we wszystkich moskiewskich słowianofilskich młynach, lub istotnie nowem słowem, jedynem, ostatniem słowem odrodzenia i zmartwychwstania... Co mi do tego, że pan się śmieje w tej chwili! Co mi do tego, że pan mnie nie rozumie zupełnie, zupełnie, ani słowa, ani dźwięku! Ach, jak ja pogardzam w tej chwili pańskim dumnym uśmiechem i spojrzeniem!

Zerwał się. Miał pianę na ustach.

Stawrogin, nie wstając z krzesła, wymówił niesłychanie poważnie i powściągliwie.

— Przeciwnie, przeciwnie. Swemi gorącemi słowami pan wskrzesił we mnie wiele nadzwyczaj silnych wspomnień. W słowach pańskich poznaję swój nastrój z przed dwóch lat, i już nie powiem teraz, jak przed chwilą, że pan przesadził moje myśli. Myślę nawet, że były one jeszcze wyłączniejsze i więcej własne. Zapewniam pana po raz trzeci, że chciałbym bardzo abym mógł potwierdzić teraz to wszystko, do ostatniego słowa, lecz...

— Brakuje panu zająca?

— Co-o-o?

Szatow zaśmiał się zjadliwie, siadając znów na krześle.

— To pański nędzny frazes. „Aby zrobić pieczeń z zająca — trzeba mieć zająca, aby uwierzyć w Boga — trzeba, aby był Bóg". Pan podobno wciąż to powtarzał w Petersburgu, jak gogolewski Nozdriew, który chciał złapać zająca za tylne łapy.

— Nie, tamten właśnie przechwalał się, że już złapał. Pozwoli pan jednak, że zwrócę się i do pana z pytaniem, zwłaszcza, że chyba mam do tego prawo. Niech mi pan powie: czy pański zając jest już złapany?

Szatow zaczął się trząść.

— Pan nie śmie pytać takiemi słowami, niech pan pyta inaczej.

— Dobrze, użyję innych słów, — surowo odpowiedział Stawrogin. — Chodziło mi o to, czy pan sam wierzy w Boga?

— Wierzę w Rosję i wierzę w jej prawosławie... Wierzę w ciało Chrystusowe... Wierzę, że nowe zstąpienie odbędzie się w Rosji... Wierzę... — krzyczał namiętnie.

— Lecz w Boga? W Boga?

— Będę... będę wierzył w Boga.

Na twarzy Stawrogina nie drgnął ani jeden muskuł. Szatow patrzył na niego wyzywająco, jakgdyby chciał go spalić spojrzeniem. Wreszcie zawołał:

— Przecież nie powiedziałem panu, że wcale nie wierzę! Mówię tylko, że jestem marną, nudną księgą i nic więcej tymczasem. Tak, tymczasem... Lecz niech ja zginę! Nie o mnie chodzi, lecz o pana! Jestem człowiekiem bez talentu, mogę tylko złożyć krew własną w ofierze. Nic więcej. Jak każdy człowiek bez talentu. Niech ginie moja krew! O panu mówię. Dwa lata czekałem tu na pana. Już pół godziny tańczę przed panem na goło. Pan, pan jeden mógłby ująć i wznieść ten sztandar!

Nie mógł skończyć. Jak w rozpaczy oparł się łokciami o stół i ukrył twarz w dłoniach.

Stawrogin przerwał mu.

— Muszę panu zwrócić uwagę na jedną dziwną rzecz. Dlaczego to wszyscy narzucają mi jakiś sztandar? Piotr Wierchowieński jest także przekonany, że to ja mógłbym wznieść ich sztandar. Powtarzano mi jego słowa. Utkwiła mu w głowie myśl, że mógłbym u nich odegrać rolę nowego Stieńki Rjazina „dzięki niezwkłym kwalifikacjom na zbrodniarza", — to także jego słowa.

— Jak? — zapytał Szatow: — „dzięki niezwykłym kwalifikacjom na zbrodniarza"?

— Dosłownie tak.

Szatow uśmiechnął się zgryźliwie.

— Ha! A czy to prawda, że pan należał w Petersburgu do tajnego stowarzyszenia bydląt, które uprawiało najgorszą rozpustę? Czy to prawda, że sam markiz de Sade mógłby się wielu rzeczy od pana nauczyć? Czy to prawda, że pan wciągał w swe sidła dzieci i znieprawiał je? Niech pan mówi, niech pan nie waży się kłamać! — krzyczał w pasji. — Mikołaj Stawrogin nie może kłamać przed Sza-

towem, który bił go w twarz! Niech pan mówi, i jeżeli to prawda, to zabiję pana natychmiast na miejscu.

Po długiej chwili milczenia Stawrogin wymówił.

— Mówiłem wiele takich rzeczy, lecz dzieci nie krzywdziłem.

Zbladł. Oczy mu zgasły.

Szatow, nie odrywając od niego iskrzących się oczu, krzyczał dalej.

— Lecz pan mówił! Podobno pan mówił, że w obliczu piękna niema różnicy między jakimkolwiek zwierzęcym wybrykiem zmysłowym, a bohaterskim czynem, nawet ofiarą z życia na ołtarzu ludzkości! Więc to prawda? Podobno na obu biegunach dopatrzył się pan wspólnego piękna, jednakowej rozkoszy?

— Na takie pytania nie można odpowiadać... nie będę odpowiadał, — odezwał się Stawrogin, który mógłby doskonale wstać i wyjść, lecz nie wstawał i nie wychodził.

Szatow jednak nie ustępował.

— Ja także nie wiem, dlaczego zło jest brzydkie, a dobro piękne, lecz wiem dobrze, dlaczego poczucie tej różnicy zaciera się i traci u takich ludzi, jak pan, panie Stawrogin! Pan wie, dlaczego pan się wtedy ożenił, tak hańbiąco i nikczemnie? Dlatego tylko, że tu hańba i nikczemność doszły do genjalności! O, pan nie posuwa się z brzegu, pan leci nadół głową. Pan się ożenił przez namiętność do samoudręki, przez namiętność do wyrzutów sumienia, przez perwersję moralną! Tu było pierwsze załamanie się... Zbyt nęcące było takie wyznanie, rzucone zdrowemu rozsądkowi! Stawrogin — i wstręty, idjotyczny, nędzny kulas! Czy pan czuł namiętność, gryząc gubernatora w ucho? Czuł pan? Prawda, próżniaczy włóczęga szlachecki?

Stawrogin bladł coraz bardziej.

—Pan jest psychologiem, lecz niezupełnie odgadł pan przyczyny mego ślubu... — Zmusił siebie do uśmiechu. — Któż jednak mógł panu udzielić tych wszystkich informacyj? Czyżby Kiriłow? Lecz on nie brał w niczem udziału.

— Pan zbladł.

— Czego wreszcie chce pan ode mnie? — podniósł znów głos Stawrogin. — Już pół godziny siedzę tu pod

biczem pańskim. Mógłby pan przynajmniej uprzejmie rozstać się ze mną... o ile pan nie ma jakiegoś rozumnego celu, postępując ze mną w ten sposób.

—Rozumnego celu?

— Tak. Pana obowiązkiem byłoby wyjaśnienie mi tego celu. Oczekiwałem wciąż, że pan to zrobi, lecz widzę tylko pasję i złość. Niech mi pan otworzy bramę. Już idę.

Powstał z krzesła. Szatow rzucił się do niego. Zaczął krzyczeć, chwytając go za ramię.

— Niech pan ziemię całuje! Niech pan łzami ją skropi! Niech pan o przebaczenie błaga!

Stawrogin odpowiadał prawie z bólem. Oczy miał spuszczone.

— Jednakże... ja... w tamtą niedzielę... nie zabiłem pana, lecz skrzyżowałem ręce ztyłu.

— Niech pan kończy, niech pan dopowiada! Pan przyszedł, aby mnie uprzedzić o niebezpieczeństwie, pozwolił mi mówić, pan jutro chce obwieścić swój ślub! Czyż nie widzę z twarzy pańskiej, że w panu narasta jakaś nowa groźna myśl! Ech, Stawrogin! Dlaczego skazany jestem na to, aby wierzyć w pana po wieki wieczne? Czyż mógłbym tak mówić z kim innym? Mam poczucie wstydu, lecz nie wstydziłem się nagości własnej, gdyż słuchał mnie Stawrogin... Nie bałem się dotknięciem swojem zniekształcić wielkiej myśli, gdyż był tu Stawrogin! Czyż nie będę całował śladów pańskich stóp, gdy pan wyjdzie?... Stawrogin! Nie mogę wyrwać pana z serca mego...

Stawrogin odpowiedział mu chłodno.

— Bardzo mi przykro, lecz nie mogę lubić pana.

— Wiem, że pan nie może, i wiem, że pan nie kłamie. Niech pan słucha. Ja naprawię wszystko. Zdobędę panu zająca!

Stawrogin milczał.

— Pan jest ateistą, bo jest pan paniczem, ostatnim paniczem. Pan zatracił zdolność rozróżniania dobrego i złego, gdyż nie odróżnia już pan własnego narodu. Idzie nowe pokolenie, wprost z piersi ludu, lecz nie poznacie się na niem, ani pan, ani Wierchowieńscy, ojciec i syn. Ani ja

nawet, bo także jestem paniczem, — ja, syn lokaja pańszczyźnianego, pańskiego lokaja... Niech pan słucha! Niech pan zdobędzie Boga pracą. W tem wszystko. Inaczej zginiesz pan bez śladu, jak marna pleśń. Boga trzeba z siebie wykrwawić.

— Boga pracą? Jaką?

— Prostą, chłopską. Trzeba porzucić bogactwo... Ach, pan się śmieje, panu się zdaje, że to nowa sztuczka?

Ale Stawrogin nie śmiał się.

— Pan myśli, że Boga można zdobyć pracą, koniecznie chłopską? — powtórzył w zamyśleniu, jakgdyby istotnie spotkał się z myślą nową i poważną, nad którą należało się zastanowić. Natychmiast jednak przeszedł do innej myśli. — Ach, pan mi właśnie przypomniał. Czy pan wie, że ja nie jestem bogaty, nie mam więc nic do porzucania. Prawie nie jestem w stanie zabezpieczyć przyszłości Marji Timofiejewnie... Jeszcze jedna sprawa. Przyszedłem prosić pana o ile to możliwe, żeby nie opuszczał pan i nadal Marji Timofiejewny, gdyż pan jeden może mieć pewien wpływ na jej nieszczęśliwy umysł. Mówię to na wszelki wypadek.

— Dobrze, dobrze, — mówił Szatow, trzymając już świecę w ręku. — Dobrze, to się rozumie samo przez się... Niech pan mnie posłucha. Niech pan pójdzie do Tichona.

— Do kogo?

— Do Tichona. To były kapłan. Teraz, z powodu choroby, wypoczywa tu, w Jefimjewskim Bogorodzkim klasztorze.

— Cóż to takiego?

— Nic. Chodzą do niego i jeżdżą. Co panu szkodzi? Niech pan pójdzie.

— Słyszę o nim po raz pierwszy... i nigdy nie widywałem ludzi w tym rodzaju. Dobrze, pójdę.

Szatow świecił na schodach.

— Tu droga. Niech pan idzie.

Otworzył bramę.

— Nie przyjdę więcej do pana, — cicho wymówił Stawrogin, przekraczając próg.

Na ulicy był mrok i deszcz.

ROZDZIAŁ DRUGI.

NOC (ciąg dalszy).

I.

Przeszedł całą ulicę Bogojawleńską. Droga poszła wdół, nogi grzęzły w błocie i otwarła się szeroka, mglista, jakgdyby pusta przestrzeń. Była to rzeka. Zamiast domów stały już chałupy, a ulica rozpłynęła się w szereg nieregularnych ścieżek. Stawrogin długo szedł obok płotów, nie oddalając się od brzegu i doskonale orjentując się w kierunku. Nawet nie zastanawiał się, gdzie idzie. Myślał o czemś innem, i obejrzał się nawet ze zdziwieniem, gdy ocknąwszy się z zadumy zauważył, że jest już na środku długiego, mokrego mostu. Pusto tu było, że aż zadziwiał brak żywej duszy wokoło, gdy znienacka, przy samym łokciu jego rozległ się uprzejmie poufały, nawet dość przyjemny głos, z tym słodko-skandowanym akcentem, jakim szczycą się u nas kulturalni mieszczanie lub młodzi, kędzierzawi sklepowi z hal targowych.

— Czy dozwolone mi będzie, szanowny dobrodzieju, skorzystać z pańskiego parasola?

Istotnie jakaś figura wlazła pod jego parasol, lub raczej tylko udała, że włazi. Jakiś włóczęga szedł obok Stawrogina, prawie ocierając się o niego łokciem. Zwolniwszy kroku, Stawrogin schylił się, aby się przyjrzeć, o ile było to możliwe w takim mroku. Zauważył człowieka niskiego wzrostu, w rodzaju staczającego się w odmęt hulaki; był ubrany ubogo i niedość ciepło; na kędzierzawej, wzburzonej głowie sterczała mokra sukienna czapka z naderwanym daszkiem. Wyglądał na ciemnego bruneta, suchego, smagłego. Miał duże oczy, napewno czarne, błyszczące, o żółtawym odcieniu, jak u Cyganów. Nawet pociemku można się było tego domyśleć. Miał prawdopodobnie około czterdziestu lat. Nie był pijany.

— Znasz mnie? — zapytał Stawrogin.

— A jakże! Pan Stawrogin, Mikołaj Wsiewołodo-

wicz. Już mi pana pokazywano, tam na kolei, jak tylko zatrzymała się maszyna, w zaprzeszłą niedzielę. A nasłuchaliśmy się i przedtem.

— Od Piotra Stepanowicza? Ty... ty jesteś Fiedia Katorżny?

— Teodorem Teodorowiczem ochrzczono. Do dni dzisiejszych mamy w tych stronach przyrodzoną rodzicielkę, staruszkę Bożą. W ziemię wrasta, a dzień i noc Bogu się modli za nas, aby swego staruszkowego czasu na wiatr nie tracić.

— Uciekłeś z katorgi?

— Los zmieniłem. Oddałem księgi, i dzwony, i sprawy cerkiewne, bo zasądzono mnie wzdłuż po katordze, to już i nie czas było doczekać się terminu.

— Co ty tu robisz?

— A tak: dzień i noc minie — doba przepłynie. Dziadzio nasz w tamtym tygodniu skończył żywot tu w ciemnicy z powodu fałszywych papierków, to myśmy, opłakując jego zgon, dwa dziesiątki kamieni psom rozrzucili. To cała nasza robota. A i Piotr Stepanowicz łudzi paszportem na całą Rosję, szczerym kupieckim paszportem, to i oczekujemy ich zlitowania. Mój rodzic, mówią, przegrał ciebie w karty w klubie angielskim; a ja, mówią, znajduję nieludzką taką bezlitość. A wasza miłość mogłaby odżałować trzy papierki na rozgrzewkę.

— Napewno czekałeś tu na mnie. Z czyjego rozkazu?

— Żeby z rozkazu, to z niczyjego. Ja tylko znając litościwe serce waszej miłości, całemu światu wiadome... Nasze dochody wiadome: albo siana snop, albo widły w bok. Tom ci w piątek najadł się pieroga, ile zje mydła nieboga, a od tego czasu dzień pościłem, drugi nie jadłem, a trzeci poczekałem. A wody w rzece wiele chcesz, w brzuchu karasie pływają. Czy nie spłynie co ze zlitowania waszej miłości? Bo tu kuma niedaleko czeka, ale do niej bez rubli nie zachodź.

— Cóż ci obiecał ode mnie Piotr Stepanowicz?

— Nie obiecali, a tylko słowa takie mówili, że mogę się przydać waszej miłości, jak przyjdzie taki dzień. A co

robić, to nie wyjaśnili, bo Piotr Stepanowicz uczą mnie cierpliwości kozackiej i nie mają wiary do mnie.

— Dlaczego?

— Bo Piotr Stepanowicz — astronomnik i gwiazdy Boże poznali, ale i ich drogi krzywe są. Ja przed waszą miłością, jak przed Zbawicielem, bo był taki słuch. Piotr Stepanowicz to jedno, a wasza miłość drugie. U tamtego, jak powiedziano o człowieku: zbój, — to już oprócz zbója nic nie widzi. A jak powiedziano — dureń, to już z durniów nie wyjdzie. A ja może we wtorki i we środy dureń, a we czwartek lepszy od niego rozum mam. On teraz wie o mnie, że jestem w paszportowej potrzebie, bo jakże w Rosji bez dokumentu, — to już myśli, że duszę moją zniewolił. Piotrowi Stepanowiczowi lekko żyć na świecie, bo jak sobie człowieka wystawi, z takim żyje. A na pieniądze jaki skąpy! Ot, przywidział sobie, że ja bez niego nie śmiem podejść do waszej miłości, a ja tutaj, jak przed Najwyższym mówię, już czwartą noc czekam waszej miłości na tym moście, bo i bez niego mogę swoją cichą stopą znaleźć własną ścieżkę. Już lepiej, myślę, skłonię się przed butem, niż przed łapciem.

— Kto ci powiedział, że będę w nocy szedł przez most?

— A to już, przyznam, ze strony do mnie przyszło, więcej z głupoty kapitana Lebiadkina, bo on nie może nic schować... Te trzy ruble należą się od waszej miłości za trzy dni i trzy noce, za moją mitręgę. A co z ubrania przemokło, o tem milczę przez samą krzywdę moją.

— Tobie na prawo, a mnie na lewo. Most skończony. Słuchaj. Lubię, aby moje słowa były zrozumiane raz na zawsze. Nie dam ci ani grosza. Na przyszłość nie stykaj się ze mną ani na moście, ani nigdzie. Nie jesteś mi potrzebny, i nie będziesz. Jak nie posłuchasz — zwiążę ciebie i oddam policji. Marsz!

— Eech, za kompanję mogłaby wasza miłość dorzucić. Iść było weselej.

— Precz!

— Toż i drogi nie zna wasza miłość! Tu takie uliczki

idą... a ja mogę poprowadzić, bo miasto tutejsze, to niby djabeł niósł w koszyku i rozsypał.

Stawrogin groźnie odwrócił się.

— Hej, zwiążę!

— Niech wasza miłość rozsądzi; czy to trudno skrzywdzić sierotę.

— Zbyt pewny jesteś siebie.

— Nie siebie, a waszej miłości. Siebie niebardzo.

— Powiedziałem już, że mi nie jesteś potrzebny.

— Ale ja nie mogę bez waszej miłości, taka rzecz. I poczekam tutaj. Na powrotnej drodze ośmielę się, niech już tak będzie.

— Daję ci słowo: spotkam — to zwiążę!

— Ja i pasek przygotuję do związania. Szczęśliwej drogi, wasza miłość. A już za to do grobu wdzięczny będę, że wasza miłość pod parasolem rozgrzała sierotę.

Odczepił się. Stawrogin był zafrasowany. Ten człowiek, który spadł, jak z nieba, był pewny, że może się przydać, i zbyt zuchwale to zaznaczał. Wogóle przestano się z nim ceremonjować. Być może jednak, że ten włóczęga nie kłamał i narzucał swoje usługi istotnie w sekrecie przed Piotrem Wierchowieńskim. Toby już było najciekawsze.

II.

Dom, do którego podszedł Stawrogin, stał w pustej uliczce, wśród płotów, za któremi ciągnęły się ogrody warzywne, w samym końcu miasta. Był to domek zaciszny, odludny, tylko co zbudowany i jeszcze nawet nie wykończony. Okiennice w jednem z okien nie były zamknięte, a na oknie stała świeca, widocznie jako sygnał dla oczekiwanego nocnego gościa. Zbliżywszy się o trzydzieści kroków, Stawrogin zauważył na ganku postać wysokiego mężczyzny, widocznie gospodarza, niecierpliwie wyzierającego na ulicę. Rozległ się wreszcie jego głos, niespokojny i lękliwy.

— To pan? Pan?

— Ja, — odezwał się Stawrogin, podchodząc do ganku i zamykając parasol.

— Nareszcie, — zawołał gospodarz. Był to kapitan Lebiadkin. — Proszę mi dać parasol. Taki mokry; rozstawię go tu na podłodze, w kącie. Proszę wejść, z łaski swojej!

Drzwi z przedsionka do oświetlonego dwiema świecami pokoju były naoścież otwarte.

— Gdyby nie słowo pańskie, przestałbym już się spodziewać.

Stawrogin wszedł do pokoju i spojrzał na zegarek.

— Trzy kwadranse po dwunastej.

— A jaki podły czas... i taka przestrzeń. Zegarka niema, za oknami same ogrody. Odrywasz się od zdarzeń... ja się nie skarżę, gdzieżbym śmiał? Ja to tylko mówię przez niecierpliwość, która żarła mnie od tygodnia, aby wreszcie doczekać się rozwiązania.

— Co?

— Los mój chcę poznać, Mikołaju Wsiewołodowiczu. Proszę siadać!

Ukłonił się i wskazał miejsce przy stole.

Stawrogin rozejrzał się. Pokój był malutki i niski. Widać tu było tylko najniezbędniejsze meble. Drewniane krzesła i kanapka, świeżo wyciosane, bez obicia i bez poduszek. Dwa stoły lipowe: jeden przy kanapce, drugi zaś w kącie, nakryty obrusem, cały czemś zastawiony i przykryty zwierzchu czystą serwetą. W całym pokoju było zupełnie czysto. Kapitan Lebiadkin nie pił już od ośmiu dni. Twarz jego nabrzękła i pożółkła. Spojrzenie miał niespokojne, ciekawe i niepewne. Widać było, że sam nie wie, jakim tonem może mówić i na jaki najwygodniej byłoby trafić.

— Tak, — wskazał naokoło. — Mieszkam niczem pustelnik. Trzeźwość, samotność i ubóstwo — śluby dawnych rycerzy.

— Pan sądzi, że dawni rycerze składali takie śluby?

— Może się plączę? Niestety! Nie mam edukacji! Wszystko zgubiłem! Niech mi szanowny pan uwierzy, tum po raz pierwszy ocknął się z niecnych przyzwyczajeń. Ani kieliszka, ani kropli. Mam kąt własny i od sześciu dni czuję błogostan sumienia. Nawet ściany pachną smołą, przypominając przyrodę. A kim byłem? Czem byłem?

„Dmę i dmę przez nockę całą,
A w dzień puszczam gębą wiatr".

jak genjalnie mówi poeta! Pan był łaskaw zmoknąć? Ośmieliłem się służyć herbatą.

— Niech pan się nie fatyguje.

— Samowar kipi od ósmej godziny. Kipiał, lecz zgasł, jak wszystko na świecie. I słońce, jak mówią, zgaśnie, jak przyjdzie jego kolej... Ale mogę sporządzić. Agafja nie śpi.

— Co z Marją Timofiejewną?

— A jakże, tu, tu, — szeptem odpowiedział Lebiadkin. — Zechce łaskawy pan zobaczyć?

Wskazał przymknięte drzwi do sąsiedniego pokoju.

— Nie śpi?

— O nie, nie! Sercaby nie miała! Przeciwnie, czeka od samego wieczora, a gdy dowiedziała się, natychmiast zrobiła toaletę.

Wykrzywił twarz w żartobliwym uśmiechu, lecz natychmiast przerwał.

Stawrogin, zachmurzony, pytał:

— Jak ona miewa się wogóle?

— Wogóle? Ano, jak panu wiadomo,. — Wzruszył ramionami. — A teraz... teraz siedzi, z kart wróżąc.

— Dobrze. Potem. Pierwej skończymy z panem.

Stawrogin dopiero teraz usiadł na krześle.

Lebiadkin nie ośmielił się siąść na kanapie, lecz przysunął drugie krzesło, nachylił się i trwożnie oczekiwał. Wtem Stawrogin zwrócił uwagę na drugi stół.

— Co tam u pana pod serwetą?

— Tam? To wszystko także z pana łaski, z powodu przeprowadzki, a także zważywszy daleką drogę i naturalne zmęczenie. — Zaśmiał się rozkosznie, wstał, podszedł na palcach i ostrożnie, z szacunkiem, podniósł serwetę.

Były pod nią zakąski: szynka, cielęcina, sardynki, ser, mała zielonkawa karafeczka i duża butelka czerwonego wina. Wszystko było przyrządzone czysto, ze znajomością rzeczy, smakowicie.

— To pan się tak postarał?

— A któżby? Wczoraj jeszcze. Wszystko, na co stać było, byle z honorem... A Marja Timofiejewna, jak panu łaskawemu wiadomo, jest na te sprawy obojętna. Ale to wszystko z pana łaski, pana własne, bo pan tu gospodarzem, nie ja. Ja tutaj niby sługa, chociaż jednakże, Mikołaju Wsiewołodowiczu, duchem niezależny. Tej jedynej własności mojej nie zechce mi pan odbierać — sam się rozczulił pod koniec.

— Hm! Możeby pan usiadł.

— Dziękuję! Jestem wdzięczny i... niezależny. (Lebiadkin zajął miejsce). Mikołaju Wsiewołodowiczu! W tem sercu tyle narosło, że anim wiedział, jak doczekać się pańskiego przybycia. Dziś pan rozstrzygnie los mój i tamtej biedaczki, a wtedy... wtedy, jak w dawne lata, wszystko wyleję przed panem. Jak cztery lata temu. Raczył pan wówczas wysłuchiwać moich zwierzeń, czytał pan moje strofy. Niech tam będzie, że nazywano mnie pańskim Falstaffem z Szekspira, lecz pan tyle ważył w mojem biednem życiu! A teraz ogarnęła moją duszę straszliwa trwoga i jeno od pana czekam rady i światła! Piotr Stepanowicz okrutnie postępuje ze mną.

Stawrogin słuchał z zaciekawieniem i przyglądał się uważnie. Widać było, że kapitan, aczkolwiek trzeźwy, nie mógł się pochwalić całkowitą równowagą duchową. U długoletnich pijaków utrwala się wreszcie raz na zawsze coś nierównego, mglistego, coś uszkodzonego, obłąkańczego, nawet wtedy, gdy niegorzej od ludzi trzeźwych oszukują, za nos wodzą, siłą się na przebiegłość.

— Widzę, że pan, panie kapitanie, w niczem się nie zmienił przez te cztery lata, — wymówił dość łagodnie Stawrogin. — Widocznie druga połowa życia ludzkiego składa się z przyzwyczajeń, zdobytych w pierwszej połowie.

— Wielkie słowa! Pan zechciał rozstrzygnąć zagadkę życia! — Zawołał Lebiadkin, nawpół błaznując, nawpół na serjo, w prawdziwym zachwycie, gdyż uwielbiał wszelkie aforyzmy. — Ze wszystkich słów pańskich Mikołaju Wsiewołodowiczu, zapamiętałem najmocniej te, powiedziane jeszcze w Petersburgu: „Trzeba być istotnie wielkim

człowiekiem, aby nie ugiąć się przed zdrowym rozsądkiem". Tak, to były słowa!

— Ha, ale także wystarcza być głupcem.

— Niechby i głupcem! Lecz pan przez całe życie sypał dowcipem, a oni? Niech powie coś podobnego Liputin, niech powie Piotr Stepanowicz!... Ach, jak okrutnie Piotr Stepanowicz postąpił ze mną!

— Ale pan też ładnie się zachowywał, panie kapitanie!

— To tylko pijaństwo i chmara wrogów moich! Lecz teraz... minęło wszystko, i zmienię skórę, jak wąż. Mikołaju Wsiewołodowiczu! Czy wiadomem jest panu, że piszę testament? Że już napisałem nawet?

— To zabawne! Cóż pan zostawia i komu?

— Ojczyźnie, ludzkości i studentom, Mikołaju Wsiewołodowiczu! Przeczytałem w gazecie biografję pewnego Amerykanina. Cały olbrzymi majątek zapisał fabrykom i nauce, szkielet — studentom, do akademji, a skórę na bęben, aby we dnie i w nocy wybijano na nim hymn amerykański. Niestety! My — jesteśmy pigmejczycy wobec lotu myśli Północno-amerykańskich Stanów. Rosja jest igraszką przyrody, lecz nie rozumu. Niechbym się odważył w testamencie oddać swą skórę, powiedzmy, Akmloińskiemu pułkowi piechoty, w którym miałem zaszczyt rozpocząć służbę, pod tym warunkiem, aby na bębnie z tej skóry, wybębniano codzień nasz rosyjski hymn narodowy! Za liberalizm będzie to wzięte! Zaaresztują moją skórę!... Poprzestałem przeto na studentach. Chcę zapisać mój szkielet do akademji, pod tym jednak warunkiem, aby na czole przylepiony był na wieki wieczne napis: „Pokutujący wolnomyśliciel". Tak!

Kapitan mówił namiętnie. Był jednak filutem, i chociaż wierzył w piękno amerykańskiego testamentu, chciał jednocześne rozśmieszyć Stawrogina. Grał przecież dawniej rolę jego błazna. Jednak Stawrogin nawet nie uśmiechnął się i zapytał jakoś podejrzliwie:

— Ma pan zamiar ogłosić swój testament za życia i otrzymać za to nagrodę?

Lebiadkin wpatrywał się badawczo.

— A gdyby nawet tak, Mikołaju Wsiewołodowiczu? A gdyby nawet tak? Taki mój los! Nawet wierszy już nie piszę, a przed laty pana nawet, Mikołaju Wsiewołodowiczu, bawiły moje wierszyki, pamięta pan, przy butelce? Precz z piórem! Napisałem na ostatek jeden wiersz, jak Gogol swą „Opowieść ostatnią". Pan pamięta? Ten wielki człowiek głosił Rosji, że cała, jak długa i szeroka, „wyśpiewała się z jego piersi". Tak samo ja, wyśpiewałem się, i basta!

— Jaki wiersz?

— „W razie gdyby złamała nogę".

— Co-o?

Tego właśnie potrzeba było kapitanowi. Cenił nieskończenie swoje wiersze, jednak, przez figlarną dwoistość duszy, podobało mu się także to, że Stawrogina zwykle bawiły one. Śmiał się z nich nieraz do rozpuku. W ten sposób osiągnięte bywały dwa cele: poetycki i służbowy. Teraz jednak był także trzeci cel. Kapitan, wysuwając na scenę wiersze, chciał usprawiedliwić się pod pewnym względem, drażliwym, pod którym czuł się winnym.

— „W razie, gdyby złamała nogę" — to znaczy podczas konnej jazdy. To fantazja, Mikołaju Wsiewołodowiczu. To bredzenie poety: zostałem raz oczarowany, mijając na drodze amazonkę, i postawiłem sobie materjalne pytanie: „Co byłoby wtedy?", to znaczy w razie wypadku. Rzecz jasna: Zdobywcy — wstecz, narzeczeni — precz, jutro o świcie nas zobaczycie, — a tylko poeta, ze swem sercem skrwawionem pozostałby wierny. Mikołaju Wsiewołodowiczu! Nawet wesz może być zakochana i żadne prawo jej tego nie zabrania. A jednak pewną osobę obraził i list i wiersze. Nawet pan zechciał się rozgniewać! Czy to prawda? To byłoby dla mnie smutne. Wierzyć nie chciałem. Komu mogę zaszkodzić moją fantazją? A także klnę się: tu winien Liputin. Powiada: „Poślij, wszelaki człowiek godzien jest prawa korespondencji".

— O ile wiem, pan się nawet oświadczył.

— Wrogowie mówią, tylko wrogowie.

Stawrogin surowym głosem zażądał:

— Jakież to wiersze?

— Przedewszystkiem to fantazja, — powiedział Lebiadkin. Wyprostował się jednak, wyciągnął dłoń i zaczął:

— Królowa żon złamała człon,
I stokroć wzrosła jej ponęta.
I coraz więcej kocha On,
Schwytany w uczuć pęta...

— Dosyć! — przerwał Stawrogin.

Lebiadkin momentalnie zmienił temat.

— Marzę o stolicy, — mówił takim tonem, jakgdyby o żadnych wierszach nie było mowy. Marzę o odrodzeniu... Wybawco mój! Czy mogę marzyć, że fundusze na wyjazd będą mi dane? Już od tygodnia czekam pana, jak słońca.

— Ach, nie! Przepraszam... Już prawie nie mam pieniędzy. A zresztą z jakiej racji miałbym panu dawać?

Miało się wrażenie, że Stawrogin się gniewa. Zaczął w sposób suchy i zwarty wyliczać wszystkie winy kapitana: pijaństwo, kłamstwo, trwonienie pieniędzy, przeznaczonych dla Marji Timofiejewny, odebranie jej z klasztoru, zuchwałe listy z groźbą, że zdradzi tajemnicę, oskarżenie, rzucone Darji Pawłownie... Kapitan gestykulował, miotał się, próbował się bronić, lecz Stawrogin wciąż go wstrzymywał rozkazującym gestem. Wreszcie dodał:

— Pozwól pan wreszcie. Pan ciągle mówi o „hańbie rodzinnej". Jaka w tem hańba dla pana, że pańska siostra jest ślubną żoną Stawrogina?

— Ale ślub jest jak w grobie, Mikołaju Wsiewołodowiczu! Jak w grobie. Fatalna tajemnica. Otrzymuję pokornie pieniądze od łaskawego pana, a ludzie się pytają: „Za co te pieniądze?" Mam usta zakneblowane, i ani mi wolno odpowiadać, czem krzywdzę siostrę, i znieważam godność familijną.

Kapitan mówił coraz głośniej. Lubił ten temat i bardzo nań liczył. Spokojnie, ściśle, tak, jak się notuje najzwyklejsze rozporządzenia codzienne, Stawrogin zakomunikował mu, że ma zamiar w tych dniach, jutro, lub pojutrze, uczynić wiadomem zarówno policji, jak i całemu społeczeństwu, że siostra Lebiadkina jest jego żoną, a w ten sposób

będzie położony kres wszelkim kwestjom, dotyczącym „honoru familijnego", a razem z tem kwestji subsydjów. Kapitan wytrzeszczył oczy. Nie zrozumiał nawet. Trzeba było mu to raz jeszcze wytłumaczyć.

— Lecz przecież ona jest.. nienormalna.

— Rozporządzę się odpowiednio.

— Co powie pani generałowa?

— To już nas nie powinno obchodzić.

— Pan zechce wprowadzić żonę do swoich apartamentów?

— Może... A zresztą, panu nic do tego.

— Jakto nic do tego? — zawołał kapitan. — A cóż będzie ze mną?

— Pana napewno nie wprowadzę do mego domu.

— Przecież jestem krewny.

— Od takich krewnych uciekają. Poco mam dawać panu pieniądze? Powiedz pan sam?

— Mikołaju Wsiewołodowiczu! To niemożliwe, niemożliwe... Pan się rozmyśli. Pan nie zechce nakładać rąk.. Co pomyślą? Co powiedzą ludzie?

— Nie boję się ludzi. Ożeniłem się z pańską siostrą, bo zechciałem. Po pijanym obiedzie, dla zakładu o szampan. A teraz ogłoszę to — skoro mnie to dziś bawi.

Wypowiedział to tonem tak podrażnionym, że Lebiadkin zaczynał wierzyć, ku straszliwemu swemu przerażeniu.

— Ależ ja? Jakże ja? To najważniejsze! Mikołaju Wsiewołodowiczu! Pan może żartuje?

— Nie żartuję.

— Pańska wola, Mikołaju Wsiewołodowiczu, lecz nie wierzę... Podam prośbę...

— Pan jest strasznie głupi, kapitanie.

— Dobrze, lecz cóż mi innego zostaje? — tracił się Lebiadkin. — Przedtem za jej służbę, tam, w mansardach, dawano nam przytułek, a cóż teraz będzie, jeżeli pan mnie zupełnie odrzuci?

— Przecież pan ma zamiar pojechać do Petersburga, aby zmienić los. Czy to prawda, że pan wybiera się tam, aby złożyć zeznania, aby wsypać innych, samemu zaś otrzymać przebaczenie?

Kapitan otworzył usta, wytrzeszczył oczy i nie dawał odpowiedzi.

— Niech pan zechce posłuchać, kapitanie, — powiedział Stawrogin niesłychanie poważnie, schyliwszy się nad stołem.

Dotychczas mówił dość dwuznacznie, tak że Lebiadkin, przyzwyczajony do roli błazna, był do ostatniej chwili niepewny: czy pan jego istotnie się gniewa, czy też żartuje; czy rzeczywiście powziął ten dziki zamiar obwieszczenia ślubu, czy też tylko pokpiwa. Teraz jednak niezwykle poważny wygląd Stawrogina był o tyle przekonywujący, że mróz przebiegł po plecach kapitana.

— Panie Lebiadkin, niech pan słucha i mówi prawdę. Czy pan już doniósł cokolwiek, czy jeszcze nie? Czy pan zdążył to zrobić? Posłał pan jaki list?

Kapitan patrzył martwo.

— Nie, nie zdążyłem... i nie myślałem o tem.

— Że pan nie myślał — to kłamstwo. Poto pan dążył do Petersburga. Jeżeli nawet pan nie pisał, czy pan nie bąknął tu komu? Mów pan prawdę. Ja wiem coś niecoś.

— Po pijanemu — Liputinowi. Liputin — zdrajca. Otworzyłem przed nim serce, — bąknął nieszczęśliwy kapitan.

— Serce — sercem, nie trzeba jednak być idjotą. Miał pan jakąś myśl — trzeba ją było zachować dla siebie. Dziś mądrzy ludzie milczą, nie rozmawiają.

— Mikołaju Wsiewołodowiczu, — trząsł się kapitan. Ja o panu nic. Przecież pan nie uczestniczył.

— To już byłoby zabawne, gdyby pan doniósł na swoją krowę dojną.

— Mikołaju Wsiewołodowiczu, niech pan sam osądzi.

W rozpaczy, ze łzami w oczach, kapitan zaczął opowiadać swe dzieje z ostatnich czterech lat. Była to najgłupsza opowieść o głupcu, który wplątał się do cudzych spraw i który nie rozumiał ich powagi, grzęznąc w pijaństwie i rozhulaniu. Opowiadał, jak jeszcze w Petersburgu, „dał się porwać, wprost przez przyjaźń, jak prawdziwy student, chociaż nie był studentem". Nie wiedząc o niczem, „nie zawiniwszy", rozrzucał na schodach jakieś papierki, pozo-

stawiał je stosami przy drzwiach, koło dzwonków, wsuwał zamiast gazet, nosił do teatru, wsuwał do kapeluszów, do kieszeni... Potem zaczął za to otrzymywać pieniądze, „bo jakież tam moje fundusze, co warte moje fundusze?" Rozrzucał rozmaite głupstwa po wszystkich powiatach dwóch gubernij.

— Mikołaju Wsiewołodowiczu, — zawołał — najwięcej mnie martwiło, że przeczy to prawom mojego państwa! Raptem drukują, żeby wychodzić z widłami i żeby pamiętać, że kto o poranku wyjdzie biedny, może wieczorem powrócić bogaczem. Niech pan pomyśli! Dreszcz mnie chwyta, lecz rozrzucam. Albo raptem pięć — sześć wierszy do całej Rosji, bez żadnego powodu: „Zamykajcie kościoły, niszczcie Boga, gwałćcie śluby, uchylajcie prawa spadkowe, bierzcie noże"... i już Bóg wie, co dalej. Z takim papierkiem, pięciowierszowym, o mało żem się nie dał złapać. W pułku nabili oficerowie, chwała Bogu, że żywcem puścili. A w zeszłym roku o mało mnie nie złapano, gdym pięćdziesięciorublówki francuskiej fabrykacji oddawał Korowajewowi. Chwała Bogu, że Korowajew, pijany będąc, w stawie utonął i nie zdążono mnie zdemaskować. Tu, u Wirgińskiego, obwieszczałem wolność socjalnej żony. W lipcu rozrzucałem w jakimś tam powiecie. Podobno jeszcze pociągną... Piotr Stepanowicz raptem zawiadamia, że winienem słuchać: dawno już grozi. Jak on się znęcał nade mną w tamtą niedzielę! Mikołaju Wsiewołodowiczu! Jam rab, jam czerw, lecz nie jestem Bogiem, i taka między mną i Dierżawinem różnica. Ale jakże marne moje fundusze!

Stawrogin słuchał z zaciekawieniem. Wreszcie odezwał się:

— Wielu rzeczy nie wiedziałem. Rozumiem, że z panem wszystko mogło się zdarzyć.

Dodał po namyśle:

— Słuchaj pan! Niech pan powie, jeżeli panu na tem zależy, niech pan powie komukolwiek, naprzykład Liputinowi, że pan zełgał, i że pan tylko chciał mnie nastraszyć denuncjacją, myśląc, że ja także jestem skompromitowany,

i że w ten sposób uda się ściągnąć ze mnie większą daninę... Pan to rozumie?

— Mikołaju Wsiewołodowiczu, mój najdroższy! Czyż naprawdę grozi mi niebezpieczeństwo? Czekałem pana, aby o to zapytać.

Stawrogin uśmiechnął się.

— Rzecz prosta, że pana nie puszczą do Petersburga, gdybym nawet dał panu pieniądze na drogę... Zresztą, pilno mi do Marji Timofiejewny.

Powstał z krzesła.

— Mikołaju Wsiewołodowiczu, a cóż będzie z Marją Timofiejewną?

— Już powiedziałem.

— Czyż to możliwe?

— Pan wciąż nie wierzy...

— Czyż pan mnie tak odrzuci, jak stary, znoszony but?

— Zobaczę, — powiedział z uśmiechem Stawrogin. — Niech mi pan drzwi otworzy.

— Pan pozwoli... ja sobie na ganeczku postoję... bo pokoiki malusieńskie... abym nie podsłuchał pomimowoli.

— Dobrze... Niech pan idzie na ganek. Radzę wziąć parasol.

— Parasol? Pański parasol? Czyż wart jestem? — przesadnie powiedział kapitan.

— Któż nie jest wart parasola?

— Pan był łaskaw określić minimum praw ludzkich.

Był już zupełnie zbity z tropu. Zbyt oszołomiła go zapowiedź Stawrogina. A jednak, gdy tylko stanął na ganku i rozpiął nad sobą parasol, natychmiast w jego lekkomyślnej, a chytrej głowie zaczęła kiełkować myśl, że to są prawdopodobnie zwykłe drwiny i kłamstwa, że przeto niema dostatecznych powodów do obawy. Przeciwnie — jego się boją.

„Jeżeli Stawrogin kręci i kłamie, w tem coś jest", — świdrowało mu w mózgu. Obwieszczenie ślubu wydawało mu się nonsensem. „To prawda, że ten cudotwórca może na wszystko się zdobyć; żyje poto, aby ludzi krzywdzić. Ale jeżeli sam się boi po niedzielnej hańbie? Jeżeli boi się, jak nigdy? Przybiegł, aby uprzedzić, że sam rozgłosi, byle-

bym ja nie rozgłaszał. Ech, Lebiadkin! Żebyś tylko nie trafił kulą w płot!"

„Straszy mnie Wierchowieńskim... Źle! Tu już naprawdę źle! I pocom się wygadał przed Liputinem? Nigdy nie mogłem zrozumieć, do czego te djabły zmierzają... Zaczęli się znowu ruszać, jak przed pięciu laty... Ależ komużbym mógł donieść? „Czy pan przez głupotę nie napisał do kogokolwiek?" Hm, więc znaczy można napisać, pod pozorem głupoty? Może chciał mi tę myśl podsunąć? „Pan jedzie w tym celu do Petersburga". Co za zbój! Mnie się tylko przyśniło, a on już zgadł mój sen. Sam narzuca mi wyjazd. Tu napewno dwie rzeczy: jedna, albo druga. Albo sam się boi, że nabroił, albo niczego się nie boi, i namawia mnie, abym doniósł na wszystkich! Źle jest, Lebiadkin! Jakby tu się nie omylić!"

Tak się zafrasował, że zapomniał nawet podsłuchiwać. Zresztą nie było to łatwe. Drzwi były grube, a rozmawiano tam niezbyt głośno. Słychać było tylko poszczególne, niewyraźne dźwięki. Kapitan splunął i znów wyszedł na ganek, w głębokiem zamyśleniu. Zaczął pogwizdywać.

III.

Pokój Marji Timofiejewny był dwa razy większy od tego, w którym mieszkał jej brat. Umeblowany był tak samo: lecz stół przed kanapką nakryty był wzorzystą, wystawną serwetą. Na stole paliła się lampa. Na podłodze leżał piękny dywan; łóżko było odgrodzone długiem, zielonem przepierzeniem. Oprócz prostych mebli ciosanych stał przy stole szeroki, wygodny fotel, na którym jednak Marja Timofiejewna nie siadała nigdy. W rogu, tak samo jak w dawnem mieszkaniu, paliła się lampka przed obrazem, na stole zaś rozłożone były te same nieodłączne utensylja: talja kart, lusterko, książka do nabożeństwa, a nawet bułeczka. Jako rzecz nowa, zjawiły się dwie książeczki z kolorowemi obrazkami. Jedna z nich zawierała opisy podróży, przeznaczone dla młodzieży, druga zaś — zbiorek lekkich, pou-

czających, głównie rycerskich powiastek, przeznaczonych na gwiazdkę i dla instytutek. Był oprócz tego album z fotografjami. Marja Timofiejewna widocznie oczekiwała gościa, jak to mówił kapitan. Lecz w chwili, gdy wchodził Stawrogin, spała na kanapce z głową na perkalikowej poduszce. Gość cichutko zamknął za sobą drzwi i, nie ruszając się od progu, zaczął przyglądać się śpiącej.

Kapitan przesadzał, mówiąc, że siostra jego pomyślała o odpowiedniej toalecie. Była w tej samej ciemnej sukience, w której widziano ją w tamtą niedzielę u Barbary Piotrowny. Włosy jej były tak samo związane w drobną kukiełkę ztyłu głowy; tak samo obnażona była długa i sucha szyja. Czarny szalik, podarowany przez Barbarę Piotrownę, leżał na kanapce, starannie złożony. Była, jak zawsze, wybielona i ukarminowana. Stawrogin nie zdążył się przyjrzeć, gdy zbudziła się, poczuwszy widocznie jego wzrok. Otwarła oczy i wyprostowała się. Widocznie jednak widok jej silnie podziałał na gościa: stał wciąż nieruchomo przy drzwiach, wpatrując się w nią przenikliwym wzrokiem. Może spojrzenie to było zbyt surowe, może zdradziło ono pewien wstręt, lub nawet złośliwe zadowolenie z jej przestrachu, — a może tylko tak się wydało Marji Timofiejewnie pod wpływem snu; dość, że po chwili oczekiwania, na twarzy nieszczęśliwej kobiety odbiło się straszne przerażenie; przebiegły ją dreszcze; podniosła ręce i zaczęła potrząsać niemi; wreszcie rozpłakała się, zupełnie jak przestraszone dziecko; jeszcze chwila, a zaczęłaby krzyczeć. Ale gość opamiętał się; zmienił natychmiast wyraz twarzy, podszedł do stołu z uprzejmym i łagodnym uśmiechem i odezwał się:

— Przepraszam, przestraszyłem panią, Marjo Timofiejewno, swem nieoczekiwanem wejściem.

Wyciągnął do niej rękę.

Dźwięk łagodnych słów nie pozostał bez wrażenia; przestrach rozwiał się; a jednak patrzyła na niego wciąż niepewnym wzrokiem, starając się coś zrozumieć.

— Witaj mi, książę, — szepnęła.

Wciąż się uśmiechał do niej dobrotliwie, uprzejmie.

— Pewno coś przykrego pani się śniło?

— A skąd ci, książę, wiadomo, że śniło mi się tamto?

Znów zaczęła drżeć. Osunęła się na kanapę, wyciągając ręce, jakgdyby dla obrony, i bliska już była płaczu.

— Niech się pani uspokoi, — przekonywał ją Stawrogin. — Czego pani się boi? Czyż pani mnie nie poznaje?

Długo nie mógł jej uspokoić. Wpatrywała się z jakąś ciężką myślą w głowie, wciąż siląc się coś ogarnąć mózgiem. Spuszczała na chwilę oczy, aby znów objąć go szybkiem, pytającem spojrzeniem. Wreszcie, nietyle uspokoiła się, ile była już zdecydowana. Odezwała się głosem stanowczym, jakgdyby widząc przed sobą wyraźny cel.

— Niech książę siada koło mnie, abym mogła potem przypatrzeć się zbliska. A teraz nie będę patrzeć, spuszczę oczy. I książę niech nie patrzy na mnie, póki nie poproszę. Proszę siadać, — powtórzyła niecierpliwie.

Jakieś nowe wrażenie ogarniało ją coraz mocniej.

Stawrogin usiadł i czekał. Milczenie trwało dość długo. Wreszcie odezwała się z pewną pogardą w głosie.

— Hm! Dziwi mnie to wszystko. Pewno, że mam złe sny. Ale pocóż książę przyśnił mi się w takiej postaci?

— Dajmy spokój snom, — niecierpliwie odpowiedział Stawrogin, odwracając się ku niej, wbrew jej prośbie, i może znowu na twarzy jego był dawny zły wyraz. Widział, że biedaczka kilka razy chciała spojrzeć na niego, lecz zmuszała siebie wciąż do spuszczania oczu.

— Słuchaj, książę, — odezwała się głośno, — słuchaj.

Stawrogin niecierpliwie zawołał.

— Poco pani się odwraca, dlaczego pani nie patrzy na mnie, co to za komedja?

Nie zwróciła na jego słowa żadnej uwagi.

— Słuchaj, książę, — powtórzyła po raz trzeci stanowczym głosem, nieprzyjemnie skrzywiwszy twarz. — Jak mi książę powiedział wtedy w karecie, że ślub będzie ogłoszony, przestraszyłam się, że będzie koniec tajemnicy. Teraz już nie wiem; dużo myślałam, a widzę, że to nie dla mnie. Wystroić się — potrafię. Gości przyjąć — także; to nie sztuka zaprosić na filiżankę herbaty, gdy się ma lokajów. Ale jak inni patrzeć będą na to? W niedzielę dużo

widziałam w tamtym domu. Ta ładna panna ciągle spoglądała na mnie, szczególnie gdy książę wchodził. Przecież to książę był tam wtedy? Prawda? Jej matka to zabawna staruszka. A mój Lebiadkin także się odznaczył! Patrzyłam ciągle na sufit, aby się nie śmiać. Tam u nich sufit ładnie wymalowany. J e g o matka powinna być przełożoną w klasztorze. Podarowała mi czarny szalik, ale boję się jej. Napewno tam wszyscy nie do rzeczy o mnie myśleli; ja się nie gniewam. Ale siedzę i myślę. Jaka ja dla nich krewna? Prawda, że od hrabiny wymaga się tylko duchowych zalet. Dla gospodarstwa ma dużo lokajów. Trzeba też trochę salonowej kokieterji, aby potrafić przyjąć cudzoziemców — podróżnych. Ale w każdym razie wtedy, w niedzielę, wszystkie patrzyły na mnie złym wzrokiem. Tylko Dasza — prawdziwy anioł. A ja się boję, żeby i książę nie zmartwił go jakąś nieostrożną krytyką o mnie.

Stawrogin skrzywił się.

— Niech się pani o to nie obawia.

— A zresztą, co mi to szkodzi, jeżeli będzie się trochę wstydził z mego powodu. Wtedy zawsze jest więcej litości, niż wstydu. On wie, że prędzej ja muszę żałować ich, niż oni mnie.

— Pani, zdaje się, obraziła się na nich?

Uśmiechnęła się.

— Kto, ja? Nie. Zupełnie nie. Popatrzyłam wtedy na was wszystkich. Wszyscy gniewacie się, pokłóciliście się między sobą. Zejdą się i nie umieją nawet się pośmiać. Tyle bogactw, a tak mało wesela. Aż obrzydzenie bierze. Zresztą nikogo teraz nie żałuję, oprócz siebie.

— Mówiono mi, że pani tu beze mnie źle było z bratem.

— Kto to księciu powiedział? Głupstwo. Teraz daleko gorzej. Teraz złe sny, a sny złe dlatego, że książę przyjechał. Poco tu książę przyjechał, chciałabym wiedzieć.

— Może pani chciałaby znowu do klasztoru?

— Wiedziałam dobrze, że znowu będą mi mówić o klasztorze. Nie widziałam ja waszego klasztoru? Poco ja tam pójdę? Z czem ja tam pójdę? Teraz już jestem sama — samiuteńka! Już późno mi zaczynać trzecie życie.

— Pani bardzo się gniewa. Czyż pani myśli, że przestałem już lubić panią?

— Co mi tam do księcia! Ja się boję, abym sama nie przestała kochać kogo innego.

Uśmiechnęła się pogardliwie.

— Napewno zawiniłam przed nim w czemś bardzo ważnem, — ciągnęła, jakgdyby mówiła sama do siebie. — Szkoda tylko, że nie wiem w czem zawiniłam. Zawsze, zawsze, przez całe pięć lat, bałam się we dnie i w nocy, że zawiniłam przed nim. Modlę się nieraz, modlę, a ciągle myślę o swojej wielkiej winie. A widać, że to była prawda.

— Z czego widać?

Znów nie zwracała uwagi na jego pytanie, nie słuchała nawet, i mówiła dalej:

— Boję się, czy niema tu jakiejś przyczyny w nim. Nie mógł on zżyć się z takimi ludźmi. Hrabina gotowa jest zjeść mnie, chociaż wsadziła do swojej karety. Wszyscy są w zmowie. Czyżby i on? Czyżby mógł zdradzić? — Trzęsły się jej wargi i broda. — Książę! Czy książę słyszał o Griszce Otrepjewie, który był siedem razy wyklęty?

Stawrogin nie odpowiadał. W niej zaś powstała nowa decyzja.

— A zresztą, odwrócę się teraz do księcia i będę patrzeć. Niech się książę także odwróci i spojrzy, ale uważnie. Chcę się raz jeszcze przekonać.

— Ja już oddawna patrzę na panią.

— Hm! — odezwała się Marja Timofiejewna, wpatrując się badawczo. — Książę utył bardzo...

Chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz znowu, po raz trzeci, przerażenie wykrzywiło jej rysy. Znowu cofnęła się całem ciałem, wysuwając przed siebie ręce.

Stawrogin zawołał, opanowany wściekłością:

— Co się z panią dzieje?

Przerażenie trwało niedługo. Przeszło w niemiły, podejrzliwy uśmiech. Odezwała się głosem twardym, rozkazującym.

— Niech książę wstanie i wejdzie.

— Jakto wejdzie? Dokąd mam wejść?

— Ja przez pięć lat wyobrażałam sobie, jak on wejdzie. Niech książę wyjdzie za drzwi, do drugiego pokoju. Ja będę siedzieć, nie oczekując niczego, z książką w ręku, i raptem książę wejdzie, jak on po pięciu latach rozłąki. Chcę zobaczyć, jak to wygląda.

Mikołaj Wsiewołodowicz zgrzytnął zębami i mruknął jakieś niewyraźne zdanie.

— Dość już tego! Marjo Timofiejewno, proszę mnie wysłuchać! Niech pani skupi całą uwagę, niech pani się postara! Przecież nie jest pani zupełną warjatką, — wyrwało mu się. — Jutro ogłoszę nasz ślub. Nigdy pani nie będzie mieszkała w pałacu, proszę to sobie wybić z głowy. Chce pani żyć ze mną całe życie, lecz nie tu, daleko stąd? W górach, w Szwajcarji, jest tam takie miejsce. Niech pani się nie obawia. Nigdy nie porzucę pani i nie oddam do domu warjatów. Pieniędzy mi wystarczy, aby nikogo o łaskę nie prosić. Będzie pani miała służącą. Nic nie będzie pani robiła. Wszystko, czego pani zechce, w granicach możliwości, będzie dostarczone pani. Pani będzie się modlić, robić co się spodoba, i chodzić, dokąd się spodoba. Nie ruszę pani. Ja także nie ruszę się z miejsca do śmierci. Nie zechce pani — to nie będę z panią rozmawiał przez całe życie, a zechce pani — to będę słuchał wieczorami opowiadań pani, jak tam, w Petersburgu, w rozmaitych kątach. Będę pani czytał książki, jeżeli pani zechce. Ale za to przez całe życie na jednem miejscu. To ponure miejsce. Chce pani? Decyduje się pani? Nie będzie pani żałowała? Nie będzie pani potem dręczyła mnie łzami i przekleństwami?

Wysłuchała z nadzwyczajnem zaciekawieniem, potem zaś długo milczała i zastanawiała się. Wreszcie odezwała się wzgardliwie i szyderczo.

— Dziwi mnie to wszystko. Tak to wypadłoby mi ze czterdzieści lat żyć między górami.

Roześmiała się.

Stawrogin zasępił się głęboko.

— Cóż, przeżyjemy i czterdzieści lat.

— Nie, za nic nie pojadę.

— Nawet ze mną?

— A cóżeś pan takiego dla mnie, abym z panem jechała? Czterdzieści lat z rzędu siedzieć z nim w górach? Też propozycja! Dziwnie cierpliwi są dzisiaj ludzie! Nie, tak nie bywa, aby sokół stał się puszczykiem! Mój książę nie taki!

Dumnie, zwycięsko podniosła głowę.

Stawrogin ocknął się. Zapytał ostro:

— Dlaczego pani nazywa mnie księciem... i za kogo pani mnie ma?

— Jakto? nie jest pan księciem?

— Nigdy nim nie byłem.

— Pan sam, wprost w oczy, mówi mi, że nie jest księciem?

— Powtarzam, że nie jestem.

Podniosła ręce do góry.

— Mój Boże! Wszystkiego mogłam oczekiwać od jego wrogów, lecz takiego zuchwalstwa — nigdy.

Zaczęła krzyczeć gwałtownie, nasuwając się na Stawrogina.

— Czy on żyje? Czyś ty go zabił? Mów!

— Za kogo ty mnie masz?

Stawrogin, ze zmienioną twarzą, zerwał się z krzesła.

— Kto tam wie, kim ty jesteś, i skąd się wziąłeś? Ale serce moje czuło intrygę. Czuło zawsze, przez pięć lat. Siedzę tu i dziwię się: co to za sowa przyleciała do mnie? Nie, mój drogi, złym jesteś aktorem, gorszym od Lebiadkina. Kłaniaj się ode mnie hrabinie i powiedz jej, aby przysłała kogoś sprytniejszego. Wynajęła ciebie, mów? Jesteś u niej na łaskawym chlebie? Widzę nawylot całe oszukaństwo wasze! Wszystkich was, co do jednego, znam.

Stawrogin schwycił ją za rękę, mocno, wyżej łokcia. Śmiała sie histerycznie.

— Tak, podobny jesteś do niego, możeś nawet mu krewny. Wyście chytrzy! Ale mój — to sokół jasny i książę, — a tyś puszczyk i kupczyk! Mój nawet Bogu pokłoni się, gdy zechce, a nie zechce, — to i nie, a ciebie nawet Szatuś (mój drogi, kochany, mój gołąbek!) bił po twarzy. Mówił mi mój Lebiadkin. A czegoś to tak się przestraszył, wchodząc wtedy? Kto cię nastraszył? Gdy

zobaczyłam twoją podłą twarz, jakgdyby robak zaczął serce mi toczyć. To nie on, myślę, nie on! Nie wstydziłby się mój sokół przyznać się do mnie przed tamtą panienką! Mój Boże! A ja przez pięć lat tem tylko byłam szczęśliwa, że mój sokół gdzieś tam żyje i lata za górami, na słońce patrzy... Mów, samozwańcze, dużo ci dali? Za jaką sumę zgodziłeś się? Nie dałabym ci ani grosza! Cha-cha-cha! Cha-cha-cha!

Stawrogin zazgrzytał zębami, mocno ściskając jej ramię:

— Och, idjotka!

Zawołała rozkazująco:

— Precz, samozwańcze! Mój książę mężem mi! Nie boję się noża twego!

— Noża?

— Tak, noża! Masz nóż w kieszeni! Myślałeś, że śpię i nie widzę? A tyś nóż wyjmował, wchodząc tu!

Zaczął krzyczeć:

— Coś ty powiedziała, nieszczęsna! Jakie ci się śnią sny?

Z całej siły odtrącił ją od siebie, tak że boleśnie uderzyła się ramionami i głową o kanapkę. Oddalił się śpiesznie. Lecz ona natychmiast zerwała się, kulejąc i podskakując, poczęła go gonić, powstrzymywana przez przerażonego Lebiadkina, i w mrok nocy rzucała piskliwie za Stawroginem:

— Grisza Otrepjew prze-klę-ty!

IV.

„Nóż, nóż!" — powtarzał Stawrogin w nieposkromionym gniewie, szeroko krocząc po błocie i kałużach, nie wybierając drogi. Chwilami chciało mu się zaśmiać głośno, obłąkańczo. Lecz panował nad sobą i nie śmiał się. Opamiętał się dopiero na moście, w tem miejscu, gdzie miał spotkanie z włóczęgą. Ten sam Fiedia czekał tu i teraz. Zobaczywszy go, zdjął czapkę, wyszczerzył zęby i zaczął coś wesoło i śmiało ględzić. Stawrogin przeszedł, nie za-

trzymując się, i przez pewien czas nawet nie słuchał słów podążającego za nim włóczęgi. Wtem olśniła go myśl, że zupełnie zapomniał o Fiedi, a zapomniał wtedy właśnie, gdy powtarzał w duszy: „nóż, nóż!" Schwycił włóczęgę za kołnierz i z całą złością, która się w nim skupiła, cisnął go o poręcz mostu. Fiedia przez chwilę chciał się bronić, zrozumiał jednak natychmiast, że wobec przeciwnika jest jak trawka, zwłaszcza, że napadnięty został tak znienacka. Ucichł więc, nie stawiając oporu. Klęcząc na ziemi, przyduszony do chodnika, chytrze i spokojnie oczekiwał końca i nie wierzył w niebezpieczeństwo.

Nie omylił się. Stawrogin zdjął już nawet szalik z szyi, aby związać ręce włóczęgi, lecz rozmyślił się, dał spokój, i odtrącił go od siebie. Fiedia zerwał się na równe nogi i w tej chwili błysnął mu w ręku krótki, szeroki nóż szewiecki.

— Precz z nożem, schowaj go natychmiast! — niecierpliwie *rozkazał* Stawrogin, i nóż znikł tak samo szybko, jak zjawił się przed chwilą.

Stawrogin, milcząc i nie odwracając się, poszedł swoją drogą. Lecz uparty włóczęga nie odczepiał się od niego. Szedł za nim, lecz przestał ględzić i zachowywał dystans. Przeszli w ten sposób przez most i na brzegu zawrócili na lewo, do głuchej i długiej uliczki, która najkrócej prowadziła do środka miasta, bliższą drogą, niż przez Bogojawleńską ulicę.

— Czy to prawda, żeś okradł w tych dniach jakąś cerkiew na wsi? — zapytał znienacka Stawrogin.

Włóczęga odpowiedział spokojnie, uprzejmie, jakgdyby nic nie zaszło, nawet z pewną godnością:

— Ja, właściwie, pierwej zaszedłem pomodlić się...

W głosie jego nie było już ani śladu bezceremonjalności koleżeńskiej. Tak mógł mówić człowiek stateczny, poważny, którego wprawdzie urażono, ale który umie takie rzeczy przebaczać.

— A gdy wprowadził mnie tam Pan Bóg, widzę i myślę sobie: ech, co to za skarby! Sierotą będąc to zrobiłem, bo w losie naszym ani rusz bez wsparcia. I uwierzy mi miłość wasza, że na własną stratę pracowałem. Bóg poka-

rał. Za kropidło i za kadzielnicę, i za obłóczenie djakowskie tylko dwanaście rubelków zdobyłem. A szatka świętego Mikołaja, z czystego srebra, darmo poszła: mówią mi, że to nie srebro, a proste oszukaństwo.

— Stróża zarżnąłeś?

— To myśmy z nim razem zbierali wszystko, a potem dopiero nad ranem, spór powstał między nami, kto ma worek dźwigać. Zgrzeszyłem. Skróciłem mu los.

— Rżnij dalej, okradaj dalej!

— To samo mi radzi Piotr Stepanowicz, słowo w słowo! A to dlatego, że on jest człowiek skąpy i twardy na wsparcie. A w Boga Jedynego, Stworzyciela nieba i ziemi, ani na włos nie wierzy i mówi, że wszystko zrobiła sama przyroda, aż do ostatniego zwierza. A nie rozumie, że nam, w losie naszym, bez pomocy i wsparcia przeżyć nie można. A zaczniesz mu tłumaczyć, patrzy jak baran na wodę, aż dziw bierze. Nie uwierzy mi wasza miłość, ale u kapitana Lebiadkina, od którego wasza miłość teraz idzie, kiedy mieszkał w domu Filipowa, czasem przez całą noc drzwi naoścież otwarte, a sam śpi, jak trup, a pieniądze mu sypią się z każdej kieszeni. Na własne oczy nieraz widziałem, bo przy naszym obrocie, żeby tak bez cudzej pomocy, to ani rusz nie można...

— Jakto na własne oczy? Zachodziłeś w nocy, czy co?

— Może i zachodziłem, ale kto tam o tem może wiedzieć?

— I nie zarżnąłeś?

— A policzyłem dobrze, tom i zmiarkował. Bo dowiedziawszy się dokumentnie, że półtorej setki mogę wyciągnąć, jakże miałem puszczać się na to, kiedy, poczekawszy wyciągnę półtora tysiąca? Bo kapitan Lebiadkin, własne moje uszy to słyszały, zawsze liczył na waszą miłość, i niema tutaj takiego zakładu szynkowego, nawet ostatniej karczmy, gdzie nie ogłaszałby o tem w całej jasności. To i nasłuchawszy się z mnogich ust, całą nadzieję moją także włożyłem w waszą miłość. Ja to wszystko — jak ojcu, lub bratu rodzonemu, bo Piotr Stepanowicz nigdy się nie dowie, ani jaka inna dusza. A jakże będzie z trzema rubel-

kami, wasza miłość? Będzie łaska, czy nie? Och, ulgaby to była wielka, bo w naszym stanie bez cudzej pomocy człowiek nie wyżyje.

Stawrogin zaśmiał się głośno i wyjął z kieszeni portmonetkę, w której było około pięćdziesięciu rubli drobnemi papierkami, wyrzucił jeden papierek, potem drugi, trzeci, czwarty. Fiedia łapał w powietrzu, rzucał się, chwytał. Papierki padały w błoto, a Fiedia stękał: „ech, ech!" Stawrogin rzucił nakoniec całą paczkę i, śmiejąc się wciąż, poszedł dalej swoją drogą, teraz już sam. Włóczęga szukał pieniędzy, pełzając na kolanach w błocie, zbierał papierki, rozsypane przez wiatr, tonąc w kałużach, i jeszcze w godzinę potem można było słyszeć w mroku jego postękiwania: „ech, ech!"

ROZDZIAŁ TRZECI

POJEDYNEK.

I.

Nazajutrz o drugiej po południu, odbył się pojedynek. Do szybkiego załatwienia sprawy przyczyniło się w znacznym stopniu gwałtowne naleganie Artemja Pawłowicza Gaganowa, który pragnął strzelać się za wszelką cenę. Nie rozumiał zachowania się przeciwnika i był wściekły. Już od miesiąca obrażał go bezkarnie, a jednak nie mógł wyprowadzić z cierpliwości. Było koniecznem, aby został wyzwany przez Stawrogina, gdyż sam nie miał wyraźnego powodu do wyzwania. Wstydził się jednak przyznać do swych ukrytych pobudek, to jest poprostu do chorobliwej nienawiści za obrazę rodzinną z przed czterech lat. Zdawał sobie zresztą sprawę, że nie może to być pretekstem dla pojedynku, zważywszy zwłaszcza przeprosiny, dwa razy składane przez Stawrogina. Zdecydował, że Stawrogin jest skończonym tchórzem; nie rozumiał, jak taki człowiek mógł znieść policzek Szatowa; w ten sposób zdecydował się na ów list,

niezwykle ordynarny, który zmusił wreszcie Stawrogina do wyzwania. Wysławszy w przeddzień ten list, gorączkowo oczekując wyzwania, chorobliwie obliczając szanse, to oczekując, to tracąc nadzieję, na wszelki wypadek zaopatrzył się w sekundanta, Maurycego Mikołajewicza Drozdowa, swego przyjaciela, dawnego kolegę szkolnego, którego wyjątkowo cenił. W ten sposób Kiriłow, zjawiwszy się o dziewiątej rano, znalazł grunt już przygotowany. Wszystkie wyjaśnienia i niesłychane ustępstwa Stawrogina zostały natychmiast, energicznie i stanowczo odrzucone. Maurycy Drozdow, który od wczoraj dopiero wiedział o przebiegu sprawy, wysłuchawszy tak wyjątkowych propozycyj, był szczerze zdumiony i chciał już namawiać Gaganowa do zgody; zauważył jednak, że Gaganow, przeniknąwszy jego zamiary, wprost zatrząsł się na krześle; dał więc temu spokój; gdyby uprzednio nie złożył obietnicy przyjacielowi, byłby wyszedł; pozostał, w nadziei, że pomoże w czemkolwiek przy samem rozwiązaniu. Kiriłow uczynił niezbędne oświadczenie; wszystkie warunki pojedynku, zaproponowane przez Stawrogina, zostały przyjęte natychmiast, bez żadnych zastrzeżeń. Dodany został tylko jeden warunek, bardzo ostry: jeżeli po pierwszych strzałach nie zajdzie nic stanowczego, przeciwnicy mają schodzić się drugi raz; jeżeli i wtedy skończy się na niczem — to trzeci raz. Kiriłow, nachmurzony, próbował targować się co do trzeciego razu, nie udało mu się to jednak, więc musiał się zgodzić, z tem jednak: „że trzy razy można, ale czwarty raz, to już nie". Ustąpiono mu pod tym względem. W ten sposób o drugiej po południu odbyło się spotkanie w Brykowie, czyli w małym lasku podmiejskim, leżącym między Skworesznikami a fabryką Szpigulinych. Deszcz już nie padał, lecz było wciąż wilgotno, mokro i wietrzno. Niskie, mętne, poszarpane chmurki niosły się po zimnem niebie; drzewa gęsto i rozlewnie szumiały szczytami i skrzypiały przy korzeniach; był to bardzo smutny dzień.

Gaganow i Drozdow przyjechali parą koni, eleganckim brekiem. Powoził Gaganow. Mieli ze sobą lokaja. W tej samej chwili zjawili się Stawrogin i Kiriłow, nie w pojeździe, lecz konno, w towarzystwie konnego służącego. Kiriłow, chociaż nigdy przedtem nie siedział na koniu,

trzymał się równo i śmiało, ściskając pod pachą pudełko z pistoletami. Bał się powierzyć ich słudze. Lewą ręką, przez nieumiejętność, ciągle wymachiwał i szarpał trenzlę, wskutek czego koń potrząsał głową i zdradzał chętkę do stawania dęba. Nie straszyło to wcale jeźdźca. Podejrzliwy Gaganow, który obrażał się łatwo i głęboko, uznał ich przybycie konno za nową obrazę. Rozumiał to w ten sposób, że przeciwnicy widocznie zbyt pewni byli powodzenia, jeżeli nie mieli ze sobą nawet pojazdu na wypadek, gdyby zaszła potrzeba odwożenia rannego. Wyszedł ze swego breku pożółkły ze złości i poczuł, że ręce mu drżą, o czem powiedział Maurycemu Mikołajewiczowi. Na ukłon Stawrogina nie odpowiedział i odwrócił się. Sekundanci rzucili losy, wypadły pistolety Kiriłowa. Odmierzono barjerę, postawiono przeciwników na pozycjach i odesłano konie i służących o trzysta kroków wtył. Nabito pistolety i wręczono je przeciwnikom.

Żałuję, że muszę posuwać naprzód tę opowieść i nie mogę poświęcić zbyt dużo miejsca opisom. Nie mogę jednak pominąć paru szczegółów. Maurycy Mikołajewicz był smutny, zatroskany. Kiriłow zaś zachowywał się spokojnie i obojętnie, ściśle wypełniał swe obowiązki, bez zbytniego pośpiechu i tak, jakgdyby nie interesował go wcale fatalny, a tak bliski już wynik. Stawrogin był bledszy niż zwykle. Miał na sobie lekkie ubranie, palto i biały puszysty kapelusz. Wyglądał na bardzo znużonego, chmurzył brwi od czasu do czasu i nie uznawał za potrzebne ukrywać swego niemiłego nastroju. Najciekawiej wyglądał Gaganow, muszę więc poświęcić mu kilka słów.

II.

Dotychczas nie miałem sposobności opisać powierzchowności jego. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, biały, syty, jak mówią wśród ludu, prawie otyły, o rzadziudkich jasnych włosach i dość regularnych rysach. Miał trzydzieści trzy lata. Podał się do dymisji, jako pułkownik. Gdyby do-

służył się do rangi generała, wyglądałby jeszcze okazalej i prawdopodobnie byłby niezłym generałem bojowym.

Trudno pominąć milczeniem, że głównym powodem jego podania się do dymisji była tak dawno dręcząca go myśl o familijnej hańbie po obeldze klubowej z przed czterech lat. Uważał, że sumienie mu nie pozwala pozostawać na służbie; był przekonany, że plami mundur pułkowy i kolegów, chociaż nikt z nich nie wiedział nic o zdarzeniu. Wprawdzie i dawniej, przed wypadkiem w klubie, myślał przez pewien czas o porzuceniu pułku, lecz wciąż się wahał. To dziwne, — lecz istotną przyczyną tego pierwotnego zamiaru podania się do dymisji był manifest z 19-ego lutego o zniesieniu pańszczyzny. Gaganow, jeden z najbogatszych obszarników, który nawet niezbyt dużo tracił na manifeście, który przytem był w stanie zrozumieć humanitarność a nawet ekonomiczne korzyści reformy, poczuł się, po ogłoszeniu manifestu, osobiście urażony. Było to jakieś nieokreślone uczucie, tem jednak silniejsze, im mniej było wyraźne. Przed śmiercią ojca nie miał odwagi wszczynać kroków na własną rękę. W Petersburgu dał się poznać ze swych „praworządnych" myśli wielu wpływowym osobistościom, z któremi też podtrzymywał troskliwie stosunki. Był to człowiek zamknięty w sobie, nie lubiący wywnętrzać się. Jeszcze jeden rys: należał do tych rzadkich, tu i ówdzie istniejących jeszcze w Rosji ludzi, którzy wysoce cenią starożytność i czystość szlacheckiego swego pochodzenia, i przywiązują do tego dużo wagi. Jednocześnie zaś nienawidził całej historji Rosji, i uważał za wyjątkowe chamstwo wszystkie rosyjskie obyczaje. Jeszcze w dzieciństwie, w tej specjalnej szkole wojskowej dla najbogatszych i najlepiej urodzonych wychowanków, którą miał zaszczyt skończyć, utrwaliły się w nim pewne romantyczne poglądy: podobały mu się zamki warowne, życie wieków średnich, teatralna jego strona, rycerstwo; prawie płakał ze wstydu, że za czasów moskiewskiego caratu car mógł ukarać cieleśnie bojaryna rosyjskiego; gnębiły go porównania. Ten twardy, surowy człowiek, który doskonale znał służbę i najściślej wykonywał swoje obowiązki, był w duszy marzycielem. Podobno mógłby przemawiać publicznie, mając dar

krasomówstwa. A jednak przez całe życie swoje milczał, ukrywając wszystko wewnątrz. Nawet w tem dostojnem środowisku, w którem przebywał w Petersburgu w ostatnich czasach, zachowywał się wyniośle. Spotkanie w stolicy ze Stawroginem, który powrócił do Rosji, doprowadziło go prawie do obłędu. Obecnie, stojąc na pozycji, był strasznie niespokojny. Wciąż się obawiał, że rzecz nie zostanie załatwiona i najmniejsze przewlekanie przejmowało go dreszczem. Na twarzy jego odbił się szczery ból, gdy Kiriłow, nie dając jeszcze znaku do spotkania, zaczął mówić, wprawdzie tylko dla zachowania przepisów, o czem zresztą sam wspomniał.

— Spełniam jedynie formalność; teraz, gdy panowie mają już pistolety w ręku i gdy pora zaczynać, — czy nie zechcą panowie, po raz ostatni, pogodzić się. To mój obowiązek sekundanta.

Jak na złość, Maurycy Mikołajewicz, który dotychczas milczał, lecz od samego rana gryzł się z powodu własnej ustępliwości i pobłażliwości, też zaczął mówić.

— Przyłączam się zupełnie do propozycji pana Kiriłowa... ta myśl, że nie można godzić się na pozycji, jest przesądem, godnym chyba Francuzów... Nie widzę zresztą obrazy, dawno już chciałem to powiedzieć. Przecież zaproponowane są znaczne ustępstwa. Czyż nie?

Poczerwieniał. Rzadko zdarzało mu się mówić tak dużo i tak nerwowo.

— Potwierdzam wszystkie moje propozycje, — natychmiast odpowiedział Stawrogin.

Gaganow zaczął krzyczeć, zwracając się do swego sekundanta i tupiąc nogami.

— To nie może być! Powiedz temu człowiekowi, jeżeli jesteś mi sekundantem, a nie wrogiem (tu wskazał pistoletem Stawrogina), — że takie ustępstwa są tylko podwójną obelgą! On nie może nawet obrazić się na mnie!... Nie widzi hańby w odejściu stąd, po spotkaniu się ze mną przy barjerze! Za kogo więc on mnie ma? Jesteś moim sekundantem!... Tylko droczycie mnie wszyscy, abym spudłował.

Znów tupnął nogą. Na wargach pokazała mu się ślina.

— Układy skończone! — krzyknął na cały głos Kiriłow. — Proszę słuchać komendy. Raz! Dwa! Trzy!

Po słowie „trzy!" przeciwnicy zaczęli zbliżać się do siebie. Gaganow podniósł broń i wystrzelił przy piątym czy szóstym kroku. Zatrzymał się na sekundę, zobaczywszy jednak, że chybił, prędko podszedł do barjery. Stawrogin podszedł, podniósł pistolet, lecz jakoś zbyt wysoko i strzelił, prawie nie celując. Potem wyjął chustkę i zawinął mały palec prawej ręki. Zauważono wtedy dopiero, że Gaganow niezupełnie spudłował, lecz kula prześlizgnęła się po miękkiej części palca, nie ruszywszy kości. Było to tylko lekkie draśnięcie. Kiriłow oświadczył natychmiast, że pojedynek trwa dalej, o ile przeciwnicy nie życzą sobie przerwać.

Gaganow zaczął chrypieć, zwracając się znów do Maurycego Mikołajewicza. Zaschło mu w gardle.

— Oświadczam, że ten człowiek (znów tknął pistoletem w kierunku Stawrogina), wystrzelił naumyślnie w powietrze... Naumyślnie... To nowa obelga! On chce uniemożliwić pojedynek!

Stawrogin oznajmił twardo:

— Mam prawo strzelać jak chcę, bylebym przestrzegał prawideł.

— On nie ma prawa! Wytłumaczcie mu to, panowie! — krzyczał Gaganow.

— Całkowicie podzielam opinję Mikołaja Wsiewołodowicza, — odezwał się Kiriłow.

Gaganow nie słuchał i wpadł w straszną pasję:

— Dlaczego on mnie oszczędza? Pogardzam jego względami! Pluję na nie!...

Stawrogin wymówił niecierpliwie:

— Daję słowo honoru, że wcale nie chciałem pana obrazić. Wystrzeliłem w powietrze, gdyż nie chcę więcej zabijać nikogo, ani pana, ani innych. To pana nie krzywdzi. To prawda, że nie czuję się obrażonym na pana i żałuję, że to pana gniewa. Lecz nie pozwolę nikomu pozbawiać mnie moich praw.

Gaganow już wył, zwracając się wciąż do Maurycego Mikołajewicza.

— Zapytaj go, dlaczego mnie wyzwał, jeżeli tak boi się krwi?

— Jakże można było nie wyzwać pana? — wtrącił się Kiriłow. — Pan nie chciał słuchać o niczem i nie można było się odczepić.

Maurycy Mikołajewicz, który boleśnie i uważnie rozważał całą sprawę, odezwał się wreszcie:

— Muszę stwierdzić jedno. Jeżeli przeciwnik uprzedza zgóry, że będzie strzelał w powietrze, pojedynek istotnie nie może trwać dłużej, z przyczyn drażliwych i zrozumiałych.

Stawrogin zaczynał tracić cierpliwość.

— Ja wcale nie uprzedzam, że będę znowu strzelał w powietrze! Pan nie może wiedzieć, co mam na myśli i jak wystrzelę teraz. W niczem nie krępuję pojedynku!

Maurycy Mikołajewicz zwrócił się do Gaganowa.

— W takim razie pojedynek może się odbywać.

— Panowie! Na pozycje! — wołał Kiriłow.

Znowu schodzili się, znowu Gaganow chybił a Stawrogin strzelił w powietrze. O tych strzałach w powietrze można było dyskutować. Gdyby Stawrogin po pierwszym razie nie był się przyznał, mógłby łatwo dowodzić, że strzelał jak należy. Skierowywał lufę nie gdzieś tam w niebo lub w drzewa, lecz niby to celował w przeciwnika, co najwyżej o jakiś arszyn nad jego głową. Za drugim razem strzał był jeszcze podobniejszy do prawdy, lecz już nie można było przekonywać Gaganowa.

— Znowu! — zgrzytał zębami. — Wszystko jedno! Jestem wyzwany i korzystam z prawa... Chcę strzelać po raz trzeci... i będę!

— Nikt panu nie zabrania! — odpowiedział Kiriłow.

Maurycy Mikołajewicz milczał. Rozstawiono przeciwników po raz trzeci, rozległa się komenda. Na ten raz Gaganow podszedł do samej barjery i zaczął celować, mając Stawrogina o dwanaście kroków. Zbyt drżały mu ręce, aby mógł prawidłowo celować. Stawrogin stał ze spuszczonym pistoletem i nieruchomo oczekiwał strzału.

Kiriłow krzyknął:

— Zbyt długo! Zbyt długo pan celuje! Strzelać! Strzelać!

Rozległ się wystrzał i biały kapelusz zleciał z głowy Stawrogina. Strzał był dość celny. Kapelusz został przeszyty kulą bardzo nisko. Gdyby o ćwierć werszka niżej, byłby koniec. Kiriłow podbiegł i podał kapelusz Stawroginowi.

— Niech pan strzela, niech pan nie trzyma przeciwnika! — zawołał Maurycy Mikołajewicz w niesłychanem podnieceniu, widząc, że Stawrogin jakgdyby zapomniał o pojedynku, oglądając z Kiriłowem kapelusz.

Stawrogin drgnął, spojrzał na Gaganowa, odwrócił się i już bez żadnego zachowania pozorów wystrzelił wbok, do lasku. Pojedynek był skończony. Gaganow stał jak przybity. Drozdow podszedł do niego i zaczął mu coś tłumaczyć, lecz widać było, że Gaganow nie rozumie. Kiriłow, odchodząc, zdjął kapelusz i ukłonił się Maurycemu Mikołajewiczowi. Stawrogin zaś zapomniał o uprzedniej grzeczności. Wystrzeliwszy w powietrze, nie odwrócił się nawet, oddał swój pistolet sekundantowi i szybkim krokiem podszedł do koni. Na twarzy jego był gniew. Nic nie mówił. Kiriłow też milczał. Dosiedli koni i popędzili galopem.

III.

— Czego pan milczy? — odezwał się niecierpliwie Stawrogin, gdy już podjeżdżali do domu.

— O co panu chodzi? — odpowiedział Kiriłow, o mało nie spadając z konia, który w tej chwili stanął dęba.

Stawrogin zapanował nad sobą. Mówił już spokojniej.

— Nie chciałem obrażać tego... idjoty, lecz obraziłem.

— Tak, pan go bardzo obraził, — stwierdził Kiriłow. — A przytem on wcale nie jest idjotą.

— Jednakże zrobiłem wszystko, co mogłem.

— Nie.

— Cóż jeszcze miałem zrobić?

— Nie wyzywać.

— Może nawet znieść bicie po pysku?

— Tak.

— Już nic nie rozumiem! — gniewał się Stawrogin. — Dlaczego wszyscy żądają ode mnie tego, czego od innych się nie żąda? Dlaczego ja mam znosić to, czego nikt nie zniesie, i dźwigać takie ciężary, jakich nikt nie udźwignie?

— Myślałem, że pan sam szuka ciężarów.

— Ja? Szukam ciężarów?

— Tak.

— Pan... to widzi?

— Tak.

— To tak widoczne?

— Tak.

Milczeli przez chwilę. Stawrogin był zamyślony i zdziwiony. Wreszcie odezwał się trwożnie, jakgdyby się usprawiedliwiał.

— Nie strzelałem dlatego, że nie chciałem zabijać. Nic więcej. Niech mi pan wierzy.

— Nie trzeba było obrażać.

— Jakże miałem zrobić?

— Trzeba było zabić.

— Pan żałuje, że go nie zabiłem?

— Nie żałuję niczego. Myślałem, że pan chciał go naprawdę zabić. Pan nie wie, czego chce.

— Chcę ciężaru, — zaśmiał się Stawrogin.

— Nie chciał pan krwi, ale dlaczego pan jemu pozwalał zabijać?

— Gdybym go nie wyzwał, zabiłby mnie tak, bez pojedynku.

— To pana nie obchodzi, możeby nie zabił.

— A tylko zbił...

— To pana nie obchodzi. Niech pan dźwiga ciężar. Bez tego niema zasługi.

— Gwiżdżę na zasługę. Nie szukam jej nigdzie.

— Myślałem, że pan szuka, — obojętnie odpowiedział Kiriłow.

Wjechali na podwórze.

— Zajdzie pan do mnie? — zaprosił Stawrogin.

— Nie, ja do domu. Do widzenia.

Zsiadł z konia i wziął pod pachę pudełko z pistoletami. Stawrogin wyciągnął dłoń.

— Lecz pan przynajmniej nie gniewa się na mnie?

— Skądże! — odpowiedział Kiriłow, ściskając dłoń Stawrogina. — Jeżeli ja łatwo dźwigam moje brzemię, bo tak już zrobiła przyroda, to może panu trudniej — od przyrody. Nie trzeba bardzo się wstydzić. Chyba trochę.

— Wiem, że mam nędzny charakter, lecz nie udaję siłacza.

— Niech pan nie udaje. Pan nie jest siłaczem. Niech pan kiedy zajdzie do mnie na herbatę.

Stawrogin poszedł do siebie, bardzo zmieszany.

IV.

Dowiedział się natychmiast od Aleksego Jegorowicza, że Barbara Piotrowna, zadowolona z tego, że syn jej po raz pierwszy, po ośmiodniowem niedomaganiu, wyjechał konno na spacer, kazała zaprząc konie do karety i „wyjechała, jak zawsze bywało, na świeże powietrze, bo już osiem dni, jak nie wiedziała, co to jest świeże powietrze".

— Sama, czy z Darją Pawłowną? — przerwał mu Stawrogin i zmarszczył brwi, dowiedziawszy się, że panna Dasza „nie zechciała towarzyszyć, bo jest niezdrowa i siedzi u siebie".

— Słuchaj, stary, — powiedział Stawrogin pod wpływem decyzji, która przyszła znienacka. — Pilnuj cały dzień panny Daszy, a jak zobaczysz, że idzie do mnie, to zatrzymaj i powiedz jej, że przynajmniej przez kilka dni nie mogę jej przyjmować... że proszę ją o to... a jak przyjdzie czas, to sam powiem. Rozumiesz?

— Wedle rozkazu, — odpowiedział Aleksy. Miał w głosie jakiś smutek, a oczy spuścił ku ziemi.

— Ale nie mów jej nic, dopóki nie zauważysz, że idzie do mnie.

— Nie będzie omyłki. Niech pan się nie niepokoi. Toć przeze mnie szły dotychczas wszystkie spotkania. Panna Dasza zawsze do mnie się zwraca.

— Wiem. Ale pamiętaj: nie wcześniej, aż gdy sama będzie szła. Przynieś mi herbatę, ale prędko!

Ledwo zdążył wyjść staruszek, gdy do pokoju weszła przez te same drzwi Darja Pawłowna. Była spokojna, lecz blada.

— Skąd pani? — zapytał Stawrogin.

— Stałam za drzwiami i czekałam, aż wyjdzie Aleksy. Chciałam zajść do pana. Słyszałam, co pan mu mówił, i gdy wychodził, schowałam się we framudze, aby mnie nie zauważył.

— Chciałem przestać obcować z panią... Nie mogę przyjąć pani dziś w nocy, pomimo listu... Chciałem sam napisać, lecz nie umiem, — dodał niechętnie, nawet z pewnem obrzydzeniem.

— Myślałam sama, że trzeba przerwać... Barbara Piotrowna czegoś się już domyśla.

— A niech tam.

— Poco ma się martwić? A więc — ma się skończyć!

— Pani wciąż oczekuje końca?

— Tak, wiem.

— Na świecie nie bywa końca.

— Tu będzie. A wtedy pan mnie zawoła. Przyjdę.

Stawrogin uśmiechnął się.

— Jakiż może być koniec.

Nie odpowiedziała mu i zapytała sama.

— Czy pan ranny?... I czy pan nie przelał cudzej krwi?

— Skończyło się głupio. Niech pani będzie spokojna. Nie zabiłem nikogo. Zresztą, dziś już będą o tem mówili. Dowie się pani. Jestem trochę niezdrów.

— Zaraz pójdę sobie. Dziś — nie będzie jeszcze oznajmienia o ślubie? — zapytała nieśmiało.

— Dziś — nie. I jutro — nie. Pojutrze — nie wiem. Może do tego czasu umrzemy wszyscy, co byłoby najlepiej. Niech pani zostawi mnie samego.

— Pan nie zgubi tamtej... obłąkanej?

— Obłąkanych nie zgubię. Ani tej, ani tamtej. Kto wie jednak, czy nie zgubię mądrej. Tak jestem podły, że zdaje się naprawdę zawołam panią „w ostatnią godzinę", „gdy przyjdzie koniec", jak pani to nazywa. A pani, pomimo całej mądrości swojej, przyjdzie. Poco pani sama siebie gubi?

— Wiem, że wkońcu tylko ja zostanę przy panu, i czekam tej chwili.

— A jeżeli nawet wtedy nie zawołam i ucieknę?

— To nie może być. Pan zawoła.

— Pani mną pogardza.

— Pan wie, że nietylko.

— Więc jest i pogarda?

— Nie to chciałam powiedzieć. Bóg mi świadkiem, że pragnęłabym, abym nigdy nie była panu potrzebna.

— To także frazes. I ja nie chciałbym gubić pani.

Dasza powiedziała stanowczo i mocno:

— Nigdy, niczem, pan nie może mnie zgubić. Jeżeli nie do pana, pójdę na siostrę miłosierdzia, będę pielęgniarką przy chorych w szpitalu, albo pójdę po miastach sprzedawać Pismo Święte. Tak postanowiłam. Nie mogę być niczyją żoną. Nie mogę też żyć tak, jak w tym domu. Chcę czegoś innego... Pan wie.

— Nie, nigdy nie wiedziałem, czego pani chce. Mam wrażenie, że obchodzę panią tak samo, jak starą dozorczynię szpitalną obchodzi jakiś chory, więcej niż inny, lub nawet jak pobożne staruszki, włóczące się z pogrzebu na pogrzeb, wolą czasem jednego truposza od innych. Dlaczego pani patrzy na mnie tak dziwnym wzrokiem?

Zapytała współczująco, wpatrując się w niego.

— Pan bardzo chory? Mój Boże! Ten człowiek myśli, że potrafi obejść się beze mnie.

— Niech pani posłucha! Teraz ciągle mi się coś roi. Wczoraj na moście jakiś djabeł ofiarowywał się zarżnąć Lebiadkina i jego siostrę, aby skończyć z mojem małżeństwem. Prosił o zaliczkę trzyrublową, lecz wyraźnie dawał do zrozumienia, że cała operacja kosztowałaby tysiąc pięćset rubli. Taki rachmistrz! Buchalter! Cha-cha-cha!

— Czy pan wie napewno, że to się panu tylko roiło?

— Ach nie, bynajmniej. To był poprostu Fiedia Katorżny, zbój, który uciekł z katorgi. Nie o to chodzi. Jak pani myśli? Co ja zrobiłem? Rzuciłem mu wszystkie pieniądze, które miałem w kieszeni, i ten człowiek jest dziś święcie przekonany, że dałem mu zaliczkę.

— Pan go spotkał w nocy, i ten drab zrobił panu taką propozycję? Czyż pan nie widzi jeszcze, jak oplotła pana ich sieć?

— Bóg z nimi. Wie pani, że pani wciąż ma na ustach jedno pytanie? Widzę to z oczu pani.

Dasza przestraszyła się. Zawołała trwożnie, jakgdyby chciała uwolnić się od niepokojących myśli.

— Niema żadnego pytania i niema żadnych wątpliwości. Niech pan lepiej nie mówi.

— Czy pani jest pewna, że nie pójdę do sklepiku Fiedi?

— Mój Boże! — zawołała. — Za co pan mnie tak męczy?.

— Niech pani mi wybaczy mój głupi żart. Prawdopodobnie zaraziłem się od „tamtych" brzydkiemi obyczajami. Czy pani wie, że od ostatniej nocy wciąż mi się chce śmiać, śmiać się ciągle, bez przerwy, długo... Zaraziłem się śmiechem... Ha! lecz matka już przyjechała. Poznaję turkot karety pod bramą.

Dasza schwyciła go za rękę.

— Niech Bóg chroni pana od pańskiego szatana... i niech pan wezwie mnie jak najrychlej.

— Jaki tam szatan. To poprostu marny obrzydliwy djabełek. Skrofuliczny, zakatarzony djabełek, taki niedany. Ale przecież pani znowu boi się czegoś powiedzieć?

Z bólem, z niemym wyrzutem spojrzała na niego i odwróciła się do drzwi.

Stawrogin zawołał na nią, ze złością, z wykrzywionym uśmiechem.

— Niech pani mi powie. A jeżeli... no, słowem jeżeli... rozumie pani, gdybym poszedł do Fiedi, a potem zawołał panią, czy przyszłaby pani po Fiedi?

Nie odpowiedziała mu. Ukryła twarz w dłoniach i wyszła, nie odwracając się.

— Przyjdzie i po Fiedi! — szepnął, i na twarzy jego odbiła się pogarda i niesmak. — Siostra miłosierdzia! Ha... a może właśnie to mi jest potrzebne.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

WSZYSCY W OCZEKIWANIU.

I.

Wiadomość o pojedynku rozniosła się szybko i wywarła wszędzie silne wrażenie. Trzeba przyznać że wszyscy natychmiast oświadczyli się za Stawroginem. Dawni wrogowie jego starali się zamanifestować swe uczucia przyjazne. Główną przyczyną takiego zwrotu w opinji publicznej były słowa, trafnie wypowiedziane przez pewną osobę, która dotychczas zachowywała milczenie, słowa, rzucające bardzo ciekawe światło na całą sprawę. Było to tak: nazajutrz po zdarzeniu, całe miasto zebrało się u małżonki marszałka szlachty, dnia tego solenizantki. Była też obecna, a raczej przodowała, pani gubernatorowa. Przybyła wraz z Lizawetą Mikołajewną, która tryskała wprost wesołością i urodą, co się nawet niektórym paniom naszym wydawało podejrzanem. Dodam że już nie mogło być wątpliwości co do jej zaręczyn z Maurycym Mikołajewiczem. Na żartobliwe pytanie pewnego dymisjonowanego generała, bardzo ważnej figury, o której będzie tu jeszcze mowa, Lizaweta Mikołajewna najwyraźniej odpowiedziała, że jest już narzeczoną. Rzecz jednak dziwna. Żadna z naszych dam nie dała temu wiary. Nikt się nie mógł rozstać z uporczywemi podejrzeniami o jakimś romansie, o tajemnicy rodzinnej z czasów szwajcarskich i o udziale w tem wszystkiem gubernatorowej. Trudno nawet określić, dlaczego tak mocno utrwaliły się te pogłoski, raczej rojenia, i dlaczego tak uparcie wplatano w nie imię Julji Michajłowny. Dziś także, gdy

gubernatorowa weszła, zwróciły się ku niej wszystkie wyczekujące spojrzenia. O pojedynku mówiono tego wieczora półszeptem, ostrożnie, z powodu tego, że zajście było tak świeże i towarzyszyły mu pewne drażliwe okoliczności. Nie wiedziano też jeszcze, jak się będą przedstawiały zarządzenia władz. O ile wiadomo, obaj przeciwnicy nie obawiali się niczego. Wiedziano że Gaganow bez żadnej przeszkody wyjechał dziś rano do Duchowa, swojego majątku. Wszyscy oczekiwali z niecierpliwością, że ktoś pierwszy głośno się odezwie, dając tem ujście niecierpliwości ogólnej. Liczono pod tym względem na owego generała, który istotnie nie zawiódł oczekiwań.

Generał, jeden z najdostojniejszych członków naszego klubu, był ziemianinem, lecz nie z pośród najbogatszych. Wyróżniał się zato niezrównaną równowagą umysłową. Był znanym kobieciarzem starej daty. Miał słabość do zabierania otwarcie głosu w towarzystwie z generalską powagą, w takich sprawach o których mówiono półszeptem. Na tem właśnie polegała jego rola wśród nas. Miał zwyczaj w takich razach przeciągać słowa i wymawiać je bardzo słodko, jak to czynią zwykle Rosjanie, którzy podróżują po Europie, lub ci, dawniej zamożni ziemianie, którzy najwięcej stracili na reformie włościańskiej. Stepan Trofimowicz zwrócił kiedyś uwagę, że im więcej stracił obywatel, tem słodziej przeciąga i szepleni. Sam zresztą tak robił, ale nie dostrzegał tego.

Generał zaczął mówić, jak człowiek świadomy rzeczy. Był nawet dalekim krewnym Gaganowa, chociaż żył z nim w niezgodzie, a nawet podobno się procesowali. Poza tem sam pojedynkował się dwa razy w życiu i za jeden z tych pojedynków był w swoim czasie zdegradowany i wysłany na Kaukaz. Ktoś się odezwał o Barbarze Piotrownie, która od dnia wczorajszego „po chorobie" zaczęła pokazywać się na mieście. Nawet nie o niej, lecz o jej czwórce doskonale dobranej, własnego chowu. Generał powiedział na to, że spotkał wczoraj „młodego Stawrogina", jadącego konno. Wszyscy natychmiast zamilkli. Generał cmoknął i kręcąc w palcach złotą tabakierkę, podarunek monarchy, wygłosił:

— Żałuję, żem nie był tu przed kilku laty... Byłem

w Karlsbadzie... Hm! Bardzo interesuje mnie ten młodzieniec, o którym wtedy tak dużo mówiono. Czy to prawda, że on jest chory umysłowo? Tak wtedy mówiono. A tu słyszę, że znieważył go jakiś student, w obecności kuzynek, on zaś miał się schować pod stół. Wczoraj znów opowiada mi Stepan Wysocki, że Stawrogin strzelał się z tym Gaganowem. I to jedynie w uprzejmym celu nadstawienia łba rozwścieczonemu człowiekowi, byle odczepić się od niego. Hm... to w stylu gwardji z przed lat czterdziestu. Czy on tu bywa u kogo?

Generał zamilkł, oczekując widocznie odpowiedzi. Niecierpliwość publiczna mogła już znaleźć ujście.

Julja Michajłowna zauważyła, że wszyscy, jak na komendę, skierowali wzrok ku niej. Rozgniewało to ją i odezwała się podniesionym głosem:

— Cóż może być prostszego? Czyż można się dziwić, że Stawrogin bił się z Gaganowem, a nie reagował na wybryk studenta? Przecież nie mógł się pojedynkować z byłym chłopem pańszczyźnianym, poddanym matki.

Niesłychanie doniosłe słowa! Myśl była prosta i jasna, a jednak nikomu dotychczas nie przyszła do głowy. Słowa te miały poważne następstwa. Cała strona skandaliczna, plotkarska, anegdotyczna odsunięta została na drugi plan. Wysuwał się inny sens. Zarysowało się nowe oblicze człowieka, dotychczas niezrozumiane, o prawie idealnej czystości poglądów. Śmiertelnie znieważony przez studenta, czyli przez człowieka inteligentnego i już wolnego, Stawrogin pogardliwie nie zwraca uwagi na krzywdę, dlatego że krzywdziciel jest byłym chłopem pańszczyźnianym. Wśród społeczeństwa szerzą się plotki i hałasy; lekkomyślne społeczeństwo pogardza człowiekiem, bitym po twarzy; on jednak lekceważy sobie opinję publiczną, która nie dorosła do prawdziwych pojęć o honorze.

Jakiś klubowy staruszek, w szlachetnym porywie samooczerniania się, mówi do drugiego staruszka:

— A my tu z panem, Iwanie Aleksandrowiczu, siedzimy tylko i gawędzimy o przekonaniach.

— Tak, tak Piotrze Michajłowiczu, — odpowiada drugi staruszek. — I jak tu się skarżyć potem na młodzież.

— Tu nie młodzież, Iwanie Aleksandrowiczu, — wtrąca się trzeci staruszek. — Nie o całej młodzieży można to samo powiedzieć. To luminarz, a nie jakiś tam pierwszy lepszy z młodzieży. Tak to trzeba rozumieć.

— A takich nam właśnie potrzeba. Ludzi nie mamy.

Istota rzeczy polegała na tem, że ów „nowy człowiek", który okazał się „doskonałym szlachcicem", był jednocześnie jednym z najbogatszych ziemian naszej guberniji. Widziano więc w nim ratunek. Mógł stać się korzystnym działaczem. Wspomniałem już przedtem o nastrojach, panujących wśród ziemian naszych.

Niektórzy hazardowali się coraz więcej.

— Niech ekscelencja zwróci uwagę, że on nietylko nie wyzywał studenta, lecz nawet ręce skrzyżował z tyłu. To bardzo charakterystyczne.

— I nie chciał zwracać się do naszych nowych sądów.

— Pomimo to, że w nowym sądzie za tę obrazę jego szlacheckiej godności zasądzonoby mu piętnaście rubli. Che-che-che!

Ktoś inny dodał w ferworze:

— Ja panom zdradzę sekret nowych sądów. Jeżeli kto ukradł lub zaszlachtował, a złapano go na gorącym uczynku, niech śpieszy, póki czas, do domu i zabija własną matkę. Uniewinnią natychmiast, wszystko mu przebaczą, a panie na sali sądowej będą powiewały batystowemi chusteczkami... Środek niezawodny.

— Tak, tak, niezawodny.

Nie obeszło się, oczywiście, bez pogłosek. Mówiono o dawnym stosunku Stawrogina z hrabią K. Wszystkim była znana surowa, niezgodna z prądem ogólnym, opinja hrabiego K. o nowych reformach. Znano też dobrze jego wybitną działalność, z której zaczął się wycofywać dopiero w ostatnich czasach. Wszyscy przyszli do przekonania, że Stawrogin jest zaręczony z jedną z córek hrabiego K., chociaż nie było na to żadnych dowodów. Nawet panie przestały już mówić o przygodach szwajcarskich i o roli Lizawety Mikołajewny. Trzeba dodać, że Liza wraz z matką zdążyła do tego czasu złożyć zaniedbane wizyty. Wszyscy zgodzili się na to, że Liza jest najzwyklejszą panienką, a jej

nerwy — rodzajem kokieterji. Jej zemdlenie w dzień przyjazdu Stawrogina wytłumaczono sobie przestrachem, wywołanym potwornym wybrykiem studenta. Starano się nawet podkreślać powszedniość tego wszystkiego, co dotychczas ukazywało się w świetle fantastycznem. O jakiejś tam kuternóżce zapomniano ostatecznie. Nie warto nawet było wspominać o tem. „A chociażby nawet sto kuternóżek? Któż z nas nie był młodym?" Podkreślano szacunek Stawrogina dla matki. Doszukiwano się rozmaitych jego zalet, mówiono o jego wysokiej wiedzy, zdobytej wciągu czterech lat na uniwersytetach niemieckich. Uznano ostatecznie, że czyn Gaganowa był pozbawiony taktu. Nie poznał się na swoim! Zachwycano się jednocześnie trafnością sądów pani gubernatorowej.

W ten sposób, gdy Stawrogin zaczął się udzielać, powitano go z naiwną powagą. We wszystkich spojrzeniach, skierowanych ku niemu, można było wyczytać niecierpliwe oczekiwanie. Stawrogin pogrążył się jednak w skupionem milczeniu, czem zaspokoił wszystkich znacznie skuteczniej, niż gdyby nagadał im najmądrzejszych rzeczy. Wszystko mu szło, jak z płatka. Stał się modny. Gdy się kto raz ukaże w towarzystwie gubernjalnem, nie może już w żaden sposób wycofać się. Stawrogin najściślej wykonywał całą etykietę gubernialną. Nie uchodził za wesołego: „ten człowiek cierpiał; jest nie taki, jak wszyscy; ma nad czem myśleć". Nawet duma i ta pogardliwa nieprzystępność, którą tak miano mu za złe przed czterema laty, teraz podobała się i zyskała uznanie.

Barbara Piotrowna triumfowała. Wątpię, aby zbytnio martwiły ją owe rozwiane nadzieje co do Lizy. Była zbyt dumna. Rzecz dziwna. Uwierzyła istotnie, że *Nicolas* „wybrał sobie" przyszłą towarzyszkę życia w domu hrabiego K. Uwierzyła jedynie na podstawie pogłosek, które niewiadomo jaki wiatr przyniósł. Bała się zapytać syna. Parę razy nie mogła się powstrzymać i półżartem wyrzuciła synowi, że nie jest z nią szczery. Stawrogin uśmiechnął się na to — i milczał. Milczenie to przyjęte zostało, jako potwierdzenie. A jednak nie mogła zapomnieć o Marji Timofiejewnie. Myśl o niej leżała jak kamień na dnie jej duszy, dręczyła

ją dziwnemi podejrzeniami i domysłami, jednocześnie i równorzędnie z marzeniami o córkach hrabiego K. Powrócimy jeszcze do tego. Rozumie się, że znów zaczęto wszędzie otaczać Barbarę Piotrownę dawnym szacunkiem i uprzedzającą grzecznością. Nie wyzyskiwała tej sytuacji, udzielając się bardzo mało.

Złożyła jednak uroczystą wizytę gubernatorowej. Czyż trzeba mówić, że nikt bardziej od niej nie był zachwycony i podbity słowami Julji Michajłowny, wypowiedzianemi w domu marszałka szlachty. Zwaliły one troskę z jej serca i rozstrzygnęły wiele wątpliwości, tłoczących ją od tamtej fatalnej niedzieli. „Nie doceniłam tej kobiety!" — oświadczyła i ze zwykłą wybuchowością swoją oznajmiła gubernatorowej, że przyjechała, aby jej podziękować. Julji Michajłownie schlebiło to bardzo, nie zdradzała się z tem jednak. W tym okresie czuła już grunt pod nogami, znała wagę swoją. Może nawet przeceniała ją. Pozwoliła sobie, naprzykład oświadczyć w rozmowie, że nic nie słyszała dotychczas o naukowej działalności Stepana Trofimowicza.

— Przyjmuję u siebie i otaczam opieką młodego Wierchowieńskiego. Nie ma on ładu w głowie, lecz przecież jest to jeszcze młodzieniec. Posiada wiedzę dość gruntowną. W każdym razie to coś innego, niż ów były krytyk w stanie spoczynku.

Barbara Piotrowna nie omieszkała natychmiast odpowiedzieć, że Stepan Trofimowicz nigdy nawet nie był krytykiem, a całe życie spędził w jej domu. Pozyskał sławę dzięki okolicznościom, towarzyszącym początkom jego karjery, „zbyt znanym całemu światu", w ostatnim zaś okresie — pracami z zakresu historji hiszpańskiej. Ma zamiar pisać o obecnym stanie uniwersytetów niemieckich i, zdaje się, o Madonnie Drezdeńskiej. Widać było, że Barbara Piotrowna nie pozwoli lekceważyć Stepana Trofimowicza.

— O Madonnie Drezdeńskiej? Ach, o Sykstyńskiej? *Chère* Barbaro Piotrowno, wysiedziałam przed tym obrazem dwie godziny i wyszłam rozczarowana. Nie zrozumiałam nic i tylko byłam zdziwiona. Karmazinow także mówił, że trudno zrozumieć. Teraz już wszyscy przestali widzieć

w tem coś nadzwyczajnego. I Rosjanie i Anglicy. To starzy ludzie rozdmuchali sławę tego obrazu.

— To znaczy, że przyszła nowa moda.

— A ja myślę, że nie należy lekceważyć naszej młodzieży. Mówią, że to komuniści, lecz sądzę, że należy ich oszczędzać i cenić. Czytuję teraz wszystko. Wszystkie dzienniki, wszystko o komunie, nauki przyrodnicze. Trzeba wreszcie wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Trudno przeżyć życie na szczytach własnej fantazji. Wzięłam sobie za prawidło garnąć do siebie młodzież i powstrzymywać ją na brzegu przepaści. Niech mi pani uwierzy, Barbaro Piotrowno, że tylko my, społeczeństwo, naszym wpływem dodatnim, naszem sercem, możemy powstrzymać młodzież od tej otchłani, w którą wtrąca ją nietolerancja starców. Rada jestem zresztą, że dowiedziałam się od pani o Stepanie Trofimowiczu. Nasunęła mi pani pewną myśl. Ten człowiek mógłby się nam przydać na naszym poranku literackim. Pani wie prawdopodobnie, że urządzam całodzienną zabawę na korzyść ubogich nauczycielek, urodzonych w naszej gubernji. Rozproszone są one po całej Rosji. Z jednego tylko powiatu wyszło ich aż sześć. Są prócz tego dwie telegrafistki, dwie zaś uczą się w akademji. Inne chciałyby się także kształcić, lecz nie mają środków. Straszny jest los kobiety rosyjskiej, Barbaro Piotrowno! Dziś powstaje już zagadnienie wyższego wykształcenia kobiet. Odbyło się nawet na ten temat jedno posiedzenia Rady Państwa. W naszej dziwnej ojczyźnie każdemu wolno robić, co mu się podoba. I znowu jedynie dobrocią i ciepłem współdziałaniem całego społeczeństwa moglibyśmy skierować całą sprawę na właściwą drogę. Mój Boże! Jak mało mamy światłych jednostek! Są tu i ówdzie, lecz rozsypane. Stańmy w jednym szeregu, a będziemy silniejsi. Słowem, mam zamiar urządzić poranek literacki, potem lekkie śniadanie, potem będzie przerwa, wieczorem zaś bal. Chcieliśmy zacząć od żywych obrazów, lecz to kosztowałoby zbyt dużo, więc urządzimy tylko publiczności parę kadrylów w maskach i charakterystycznych strojach, mających symbolizować rozmaite prądy literackie. To projekt Karmazinowa. On mi dużo pomaga. Sam przeczyta swój ostatni utwór, dotychczas nieznany.

Rzuca pióro i już nie będzie pisał. Ten ostatni utwór jest pożegnaniem z publicznością. Cudowny drobiazg, pod tytułem: „*Merci*". Tytuł francuski, lecz Karmazinow uważa, że to będzie wytworniej i żartobliwiej. Zgadzam się z nim, a nawet sama mu doradziłam. Myślę, że Stepan Trofimowicz mógłby także coś wygłosić, byle nie za długo i byle nie zanadto uczenie. Zdaje się, że weźmie udział także Piotr Stepanowicz i ktoś jeszcze. Piotr Stepanowicz wpadnie do pani i przyniesie program. Zresztą, pani pozwoli, że przywiozę sama.

— A pani pozwoli mi także wziąć udział w składce. Powtórzę Stepanowi Trofimowiczowi i sama go namówię.

Barbara Piotrowna powróciła do domu wyraźnie zachwycona. Gotowa była kruszyć kopję o gubernatorową i niewiadomo dlaczego czuła jakiś żal do Stepana Trofimowicza, który siedział w domu i o niczem biedak nie wiedział.

Mówiła do syna i do młodego Wierchowieńskiego, który był u niej tegoż wieczora.

— Zakochałam się w Lembkowej. Dziwię się, że mogłam tak mylić się w ocenie tej kobiety.

Piotr Stepanowicz zaczął ją prosić, aby pogodziła się z jego ojcem.

— On jest w rozpaczy. Pani go wypędziła do kuchni. Wczoraj spotkał panią w powozie, ukłonił się, lecz pani się odwróciła. Wie pani, my go wysuniemy. Mam co do niego pewne zamiary. Może jeszcze się przydać.

— O, on coś wygłosi.

— Nie o to tylko mi chodzi. Sam chciałem dziś wpaść do niego. Mogę mu powiedzieć?

— Jak pan chce. Nie wiem zresztą, jak pan to zrobi. — dodała niezdecydowanie. — Chciałam sama pomówić z nim i wyznaczyć mu dzień i godzinę.

Była mocno zafrasowana.

— Och! Wyznaczać mu? To za wiele. Poprostu zajdę do niego i powiem mu.

— Dobrze, niech pan mu powie. Lecz niech pan doda, że wyznaczę dzień. Niech pan koniecznie doda.

Piotr Stepanowicz wyszedł, śmiejąc się. Pamiętam, że w tym okresie był wyjątkowo złośliwy i pozwalał sobie na bardzo niewłaściwe wybryki. Jakoś przebaczono mu wszystko. Zirytował go bardzo pojedynek Stawrogina, o którym nie był uprzedzony. Cierpiała nad tem nawet jego miłość własna: dowiedział się o pojedynku dopiero nazajutrz, kiedy już wszyscy o nim mówili. Na piąty dzień, spotkawszy Stawrogina w klubie, powiedział mu:

— Pan nie miał prawa pojedynkować się.

Przez te pięć dni nie spotkali się nigdzie, chociaż Piotr Stepanowicz często zaglądał do Barbary Piotrowny.

Stawrogin spojrzał na niego w milczeniu, wzrokiem roztargnionym, jakgdyby nie wiedząc, o co chodzi, i przeszedł, nie zatrzymując się. Szedł przez dużą salę klubową do bufetu.

Wierchowieński szedł za nim i schwycił go za ramię.

— Pan do Szatowa chodził... Pan chce się przyznać do Marji Timofiejewny...

Stawrogin odtrącił go i spojrzał na niego, groźnie nachmurzony. Na twarzy Wierchowieńskiego odbił się jakiś dziwny, martwy uśmiech. Wszystko to trwało chwilę. Stawrogin poszedł dalej.

II.

Wprost od Barbary Piotrowny Piotr Stepanowicz pobiegł do ojca. Śpieszył głównie przez złość, gdyż szukał zemsty za przykrość, o której wtedy jeszcze nie wiedziałem. Mianowicie, ostatnie ich spotkanie, w zeszły czwartek, skończyło się na tem, że Stepan Trofimowicz, chociaż sam rozpoczął kłótnię, wypędził syna kijem. Nie przyznał mi się wtedy do tego. Teraz jednak, gdy „Piotruś" wpadł do pokoju ze zwykłym, naiwnie pogardliwym uśmieszkiem, ze wzrokiem niemile ciekawym, biegającym po wszystkich kątach, Stepan Trofimowicz dał mi sygnał, abym pozostał w pokoju. W ten sposób poznałem ich rzeczywisty stosunek, gdyż byłem świadkiem całej rozmowy.

Stepan Trofimowicz siedział na otomanie. Od tamtego czwartku schudł i zżółkł. Piotr Stepanowicz bezceremonjalnie siadł obok niego, podwinął nogi, zająwszy na otomanie znacznie więcej miejsca, niż nakazywałby szacunek dla ojca. Stepan Trofimowicz odsunął się w milczeniu i z godnością.

Na stole leżała książka .Była to powieść Czernyszewskiego „Co czynić?" Niestety, muszę zdradzić pewien objaw małoduszności mego przyjaciela. Marzenie o tem, aby wyjść z samotni i stoczyć ostatnią bitwę, coraz więcej ogarniało jego wyobraźnię. Domyśliłem się, że wydostał i studjuje ową powieść w tym celu, aby w razie zetknięcia się z tamtymi, młodymi, znać zawczasu wszystkie ich metody i argumenty na podstawie ich „katechizmu", i będąc zawczasu przgotowanym do boju, triumfalnie zwyciężyć ich w j e j o c z a c h. Jak go męczyła ta księga! Odrzucał ją nieraz zrozpaczony, zrywał się i biegał po pokoju, jak nieprzytomny.

— Dobrze, zgadzam się, że zasadnicza myśl autora jest słuszna, — mówił do mnie jak w gorączce, — lecz przecież tem gorzej! To nasza myśl, właśnie nasza! Myśmy pierwsi ją szczepili, pielęgnowali, stworzyliśmy dla niej grunt. Cóż oni mogą powiedzieć nowego, po tem, cośmy powiedzieli? Lecz, Boże, jak to wszystko jest tu wykrzywione, zniekształcone, zepsute, — wołał, uderzając pięścią w książkę. — Myśmy dążyli nie do takich wniosków. Ktoby poznał ideę pierwotną?

— Kształcisz się? — zaśmiał się Piotr Stepanowicz, biorąc do rąk książkę i przeczytawszy tytuł. — Już dawno należało. Jeżeli masz ochotę, mogę ci przynieść jeszcze ciekawsze rzeczy.

Stepan Trofimowicz nie odpowiadał. Siedział w kąciku otomany.

Piotr Stepanowicz szybko wyłożył cel swojej wizyty. Rzecz prosta, że Stepan Trofimowicz był zdumiony i słuchał w przerażeniu i oburzeniu.

— Czyż ta Julja Michajłowna rzeczywiście myśli, że będę u niej coś wygłaszał?

— Właściwie, obeszłoby się bez ciebie doskonale. Chodzi jej tylko o to, aby ciebie przygarnąć i w ten sposób pozyskać Barbarę Piotrownę. Ale, rzecz prosta, nie masz prawa się wymawiać. Wiem zresztą, że sam się do tego palisz. Wy wszyscy, staruszkowie, macie piekielną ambicję. Posłuchaj jednak. Postaraj się, aby to nie było zbyt nudne. Co ty tam masz? Jakaś historja hiszpańska? Daj mi przejrzeć zawczasu, bo mógłbyś ludzi uśpić.

Zbyt jaskrawa brutalność tych dowcipów była widocznie rozmyślna. Chodziło o podkreślenie, że ze Stepanem Trofimowiczem nie można inaczej mówić. Stepan Trofimowicz w dalszym ciągu nie zwracał uwagi na te obelgi. Lecz zakomunikowane mu fakty wywarły na niego wstrząsające wrażenie. Zapytał blednąc:

— Czy to ona *sama*, ona *sama*, kazała ci to powtórzyć? Użyła twego pośrednictwa?

— Widzisz, ona chce wyznaczyć ci *rendez-vous*. To są szczątki waszych sentymentalizmów. Kokietowałeś wciągu dwudziestu lat i przyzwyczaiłeś ją do tak śmiesznych sposobów. Nie bój się jednak. Teraz już zupełnie co innego. Sama wciąż powtarza, że teraz dopiero przejrzała. Wytłumaczyłem jej niezbicie, że cała ta wasza przyjaźń jest tylko wzajemnem wylewaniem brudnej wody. Dużo opowiedziała mi, bracie. Fe! Jak lokajską rolę spełniałeś dotychczas. Wstydziłem się za ciebie.

— Ja? Spełniałem lokajską rolę? — zawołał Stepan Trofimowicz.

— Gorzej, byłeś rezydentem, czyli lokajem z dobrej woli. Pracować się nie chce, a pieniążki miłe. I ona już to rozumie; opowiadała o tobie niesłychane rzeczy. Ach, bracie! Uśmiałem się nad twojemi listami do niej. Wtyd i hańba. Lecz wy wszyscy jesteście strasznie zdeprawowani. Jałmużna zawsze znieprawia. Jesteś żywem świadectwem!...

— Pokazywała ci moje listy?

— Ależ wszystkie! Ktoby tam wszystkie mógł przeczytać? Tyle papieru zapisałeś. Tam chyba przeszło dwa tysiące listów. Wiesz, stary, że był taki moment, kiedy gotowa była wyjść za ciebie. W najgłupszy sposób zaniedbałeś. Oczywiście — z twego punktu widzenia. W każdym

razie byłoby to lepsze niż ożenienie ciebie z „cudzemi grzechami", jak błazna, na żart, za pieniądze.

— Za pieniądze? — krzyczał boleśnie Stepan Trofimowicz. — To ona tak mówi?

— Oczywiście. Sam ciebie broniłem. Miałem jedyny punkt obrony. Zrozumiała, że potrzebne ci były pieniądze, jak każdemu człowiekowi, że więc trudno odmówić ci racji pod tym względem. Dowiodłem jej, jasno jak na dłoni, że oboje wyciągaliście zyski z tego stosunku. Ona była kapitalistką, ty zaś sentymentalnym trefnisiem. Pieniędzy nie żałuje, chociaż doiłeś ją, jak kozę. Gniewała się tylko, że wierzyła ci tak długo, żeś tak ją nabierał pod pozorem szlachetności, i że sama musiała kłamać. Nigdy się nie przyzna, że sama kłamała, lecz to właśnie podwójnie skrupi się na tobie. Nie rozumiem, jak mogłeś się domyśleć, że przyjdzie chwila obrachunku. To świadczy o tem, że nie brakło ci pewnego rozumu. Poradziłem jej wczoraj oddać ciebie do przytułku. Nie bój się, do zupełnie przyzwoitego schroniska. Zdaje się, że zrobi to. Pamiętasz swój ostatni list do mnie z przed trzech tygodni, wysłany do Ch-ej gubernji?

Stepan Trofimowicz zerwał się przerażony.

— Pokazałeś jej?

— Jakże mógłbym nie pokazać? Odrazu pokazałem. Ten sam list, w którym pisałeś, że ona wyzyskuje ciebie, zazdroszcząc ci talentu, a potem o „cudzych grzechach". Ależ stary, jak ty straszliwie jesteś ambitny! Uśmiałem się szczerze. Wogóle listy twoje są nudne. Masz podły styl. Często nie czytałem ich nawet, a jeden dotychczas leży u mnie nierozpieczętowany. Przyślę ci jutro. Ale ten ostatni list — to szczyt doskonałości. Ależem się uśmiał!

Stepan Trofimowicz zawył:

— Wyrodny, wyrodny!

— Tam, do djabła, nawet rozmawiać z tobą nie można. Słuchaj, znów się obraziłeś, jak w tamten czwartek.

Stepan Trofimowicz wyprostował się.

— Jak ty śmiesz rozmawiać ze mną takim tonem?

— Jakim tonem? Mówię wyraźnie i prosto.

— Powiedz mi nakoniec, wyrodku, czy ty jesteś moim synem, czy nie?

— O tem możesz więcej powiedzieć, niż ja. Rozumiem, że w tym wypadku każdy ojciec bywa zaślepiony...

— Milcz, milcz! — trząsł się Stepan Trofimowicz.

— Widzisz, już krzyczysz i łajesz jak w zeszły czwartek. Chciałeś nawet schwycić laskę. A przecież ja wtedy odszukałem nawet dokument. Przez prostą ciekawość przewracałem cały wieczór w kufrze. Możesz się pocieszyć, nic wyraźnego. To tylko liścik mojej matki do tamtego Polaka. Sądząc jednak z jej charakteru...

— Piśnij jeszcze słowo, a spoliczkuję cię!

Piotr Stepanowicz zwrócił się do mnie.

— Dziwny człowiek. To tak u nas od samego czwartku. Rad jestem, że pan jest obecny i sam osądzi. Przedewszystkiem fakt: zarzuca mi, że tak się wyrażam o matce, a przecież on sam mi to podszepnął. W Petersburgu, gdy byłem jeszcze uczniem, budził mnie po nocach, ściskał mnie i płakał, jak baba. Cóż pan myśli? Co opowiadał mi wtedy w nocy? Wciąż te same tłuste anegdoty o matce. Od niego właśnie się dowiedziałem.

— Och, nie zrozumiałeś mnie. Mówiłem w sensie podniosłym. Nic, nic nie zrozumiałeś.

— A jednak u ciebie było to jeszcze podlejsze, niż u mnie. Sam to rozumiesz. Widzisz, mnie jest wszystko jedno. Taki mam punkt widzenia. Z mego punktu widzenia niema powodu do troski. Nie oskarżam matki. Ty — to ty, Polak — to Polak. Wszystko mi jedno. Nie jestem winien, że tam w Berlinie wyszło tak głupio. Czyż mogło zresztą wyjść coś mądrzejszego? Śmieszny z ciebie człowiek! Czy ci nie wszystko jedno, czy ja jestem twoim synem, czy nie.

Znów zwrócił się do mnie.

— Niech pan posłucha. Nie wydał na mnie ani grosza w życiu, tu zrabował mnie, a teraz krzyczy, że cierpiał z mego powodu przez całe życie, i wykrzywia się przede mną, jak aktor. Ja nie jestem Barbarą Piotrowną!

Wstał i wziął kapelusz.

Stepan Trofimowicz wyciągnął nad nim dłoń i zawołał, blady jak trup.

— Bądź wyklęty, bądź wyklęty przeze mnie!

Piotr Stepanowicz zdradził pewne zdziwienie.

— Że teraz człowiekowi może przyjść do głowy takie głupstwo! Żegnaj stary, już nigdy nie przyjdę do ciebie. Swoje opowiadanie, czy artykuł, dostarcz jak najwcześniej. Nie zapomnij. Postaraj się uniknąć rzeczy zbytecznych. Fakty, fakty i fakty. Nic więcej. I jak najkrócej. Żegnaj!

III.

Grały tu rolę i inne względy. Piotr Stepanowicz miał istotnie pewne zamiary co do ojca. Sądzę, że chciał doprowadzić starego do rozpaczy i sprowokować go na jakiś dziki skandal. Potrzebne mu to było dla celów dalszych, ubocznych, o których potem będzie mowa. Tego rodzaju planów i zamiarów skupiła się w jego głowie ogromna ilość. Wszystkie były dość fantastyczne. Miał też na względzie innego męczennika, a tych męczenników nagromadzić się miała pokaźna ilość. Narazie chodziło o samego pana gubernatora.

Andrzej Antonowicz von Lembke należał do tego szczepu, który wynosi w Rosji, podług danych kalendarzowych, paręset tysięcy głów, a który sam nie wie, że stanowi jeden doskonale zorganizowany związek. Nie rozmyślny i nie wymyślony, lecz rzeczywisty związek, ogarniający całe plemię, bez umowy, bez słów, jako coś obowiązującego moralnie. Polega on na wzajemnem wspieraniu się wszystkich członków, zawsze, wszędzie, przy wszelkich okolicznościach. Andrzej Antonowicz miał zaszczyt skończyć jeden z tych wyższych zakładów naukowych, które wypełnione bywają młodzieżą z najwpływowszych i najbogatszych rodzin. Wychowankowie tego zakładu, natychmiast po skończeniu nauk, wyznaczeni bywali odrazu na poważniejsze stanowiska w jednym z działów administracji państwowej. Lembke miał jednego wuja inżyniera-podpułkownika i drugiego — piekarza. Jednak dostał się jakoś do wyższej uczelni i spotkał tam sporo rodaków. Był wesołym kolegą. Uczył się nieświetnie, lecz lubiono go. Będąc w wyższych klasach, niektórzy z jego kolegów, zwłaszcza Rosjanie, zaczynali już dyskutować o wszystkich zagadnieniach współczesnych z taką miną, że można było wielu rzeczy się spodziewać od roz-

strzygnięcia tych wszystkich zagadnień, byle skończyli nauki; lecz Lembke się wciąż oddawał niewinnym żartom sztubackim. Wszystkich śmieszył. Jego kawały były nietyle dowcipne, ile raczej cyniczne, lecz o nic więcej mu nie chodziło. Czasem utrze nosa tak zabawnie, w chwili, gdy nauczyciel zwracał się do niego z pytaniem, że rozśmieszy i kolegów i nauczyciela; to znów ku powszechnemu zadowoleniu odtworzy w sypialni jakiś cyniczny żywy obraz; to znów zagra wyłącznie na nosie, i dość wprawnie, uwerturę z Fra-Diavolo. Wyróżniał się też niechlujnością, uważając to za bardzo dowcipne. W ostatnim roku zaczął pisywać po rosyjsku wierszyki. Swym językiem ojczystym władał dość niegramatycznie, jak wielu jego rodaków, mieszkających w Rosji. Ta predyspozycja do wierszy zbliżyła go do pewnego ponurego młodzieńca, syna niezamożnego generała, który uchodził w szkole za przyszłą sławę literacką. Został potraktowany protekcjonalnie. Zdarzyło się jednak, już po skończeniu szkół, w trzy lata potem, że ów ponury kolega, który zrezygnował z karjery służbowej i poświęcił się literaturze, dzięki czemu chodził w podartych butach i trząsł się z zimna w letnim paltociku w jesieni, spotkał wypadkowo w okolicach mostu Aniczkinowskiego swego byłego protegowanego „Lembkę", jak go wtedy wszyscy nazywali w szkole. I cóż? nie poznał go nawet odrazu i stanął zdziwiony. Stał przed nim człowiek ubrany bez zarzutu, ze wspaniałemi bokobrodami o rudawym odcieniu, w *pince-nez*, lakierkach, nowych rękawiczkach, w szerokiem palcie od Szarmera i z teką pod pachą. Lembke powitał radośnie swego kolegę, dał mu swój adres i zaprosił do siebie. Okazało się, że to już nie „Lembka", lecz *von* Lembke. Kolega nie omieszkał przyjść do niego, raczej przez złość, niż przez przyjaźń. Spotkał go lokaj na schodach, dość brzydkich i niewystawnych, lecz wysłanych czerwonem suknem. Zadzwonił na górę. Zamiast jednak bogactw, które spodziewał się znaleźć, zastał Lembkego w bocznym maleńkim pokoiku, ciemnym i wyglądającym jakoś staro, rozdzielonym przegródką na dwie części. Meble były miękkie, lecz stare, ciemno-zielone. Na wąskich wysokich oknach wisiały także ciemno-zielone firanki. Von Lembke mieszkał u swego dale-

kiego krewnego, generała, który otaczał go protekcją. Spotkał gościa przychylnie, był poważny i wytwornie uprzejmy. Rozmawiano nawet o literaturze, oczywiście w granicach przyzwoitości. Lokaj w białym krawacie przyniósł leciutką herbatę i suche pieczywo. Gość na złość poprosił o szklankę wody sodowej. Dano mu, lecz nie odrazu, i widać było, że Lembke był nieco zawstydzony, dzwoniąc powtórnie na lokaja. Zaproponował jednak sam coś do zjedzenia, był jednak bardzo zadowolony, gdy gość się wymówił i wreszcie wyszedł. Lembke poprostu rozpoczynał karjerę przy rodaku swoim, poważnym generale.

Wzdychał wówczas do piątej córki generała i zdaje się, że obdarzano go wzajemnością. Pomimo to, gdy przyszedł czas wydano Amelję za starego fabrykanta — Niemca, dawnego kolegę starego generała. Andrzej Antonowicz niebardzo rozpaczał. Pocieszał się wyklejaniem teatru z tektury. Podnosiła się kurtyna , wychodzili aktorzy, robili gesty; w lożach siedziała publiczność, orkiestra suwała smyczkami po skrzypcach, kapelmistrz wywijał pałeczką, w parterze zaś kawalerzy i oficerowie klaskali. Wszystko to było własnoręcznie wykonane przez Lembkego, podług własnego pomysłu. Przesiedział nad teatrem pół roku. Generał zaprosił gości i teatr został zademonstrowany. Wszystkie córki generalskie, wraz z Amelją, jej fabrykant, liczne panie i panny ze swoimi Niemcami, przyglądali się uważnie i chwalili. Potem odbyły się tańce. Lembke był bardzo zadowolony i wkrótce pocieszył się. Mijały lata i karjera jego była zapewniona. Wciąż urzędował w najważniejszych dykasterjach, stale miał rodaków, jako zwierzchników i dosłużył się rangi bardzo znacznej jak na jego wiek. Już dawno postanowił ożenić się i szukał bardzo ostrożnie. W sekrecie przed zwierzchnikami posłał powieść do redakcji jednego z pism, nie została jednak wydrukowana. Zato wyklejł cały pociąg i znów bardzo zgrabnie: publiczność wychodziła z dworca, z kuframi i tobołkami, z dziećmi i pieskami, wchodziła do wagonów. Konduktorzy i tragarze chodzili, dzwonił dzwonek, dawano sygnał i pociąg ruszał w drogę. Nad tą skomplikowaną rzeczą przesiedziały cały rok. A jednak trzeba było się ożenić. Miał dużo znajomych, zwłaszcza wśród Niem-

ców; obcował jednak i z Rosjanami, oczywiście z ludźmi na stanowiskach. Nareszcie, gdy skończył już trzydzieści osiem lat, otrzymał spadek. Umarł wuj jego, piekarz, i zostawił mu w testamencie trzynaście tysięcy rubli. Chodziło teraz o wybór stanowiska. Von Lembke, chociaż początek jego karjery dawał mu prawo do wysokich ambicyj, był człowiekiem skromnym. Zadowoliłby się jakiem samodzielnem stanowiskiem, z zależnem od jego rozporządzeń przyjmowaniem drzewa rządowego, czy czegoś w tym rodzaju. I poprzestałby na tem przez całe życie. Lecz tu, zamiast oczekiwanej Minny lub Ernestyny, nawinęła się Julja Michałowna. To już podniosło jego aspiracje. Skromny i akuratny von Lembke poczuł, że ma prawo być ambitnym.

Julja Michajłowna posiadała, podług dawnych norm, około dwustu dusz, a wraz z nią spływała znaczna protekcja. Miała czterdzieści lat przeszło, Lembke zaś był przystojny. Ciekawe to, że stopniowo zaczął zakochiwać się w niej naprawdę, w miarę, jak trwało narzeczeństwo. W dzień ślubu posłał jej nawet wiersz. Podobało się jej to wszystko, nawet wiersze: czterdzieści lat to nie żarty. Wkrótce otrzymał wysoką rangę i order, potem zaś wyznaczono go do naszej gubernji. Wybierając się do nas Julja Michałowna poświęciła dużo czasu pracy nad małżonkiem. Jej zdaniem, nie był on pozbawiony pewnych zdolności. Umiał wchodzić imponująco. Umiał wysłuchać uważnie i znacząco zmilczeć. Schwycił parę bardzo przyzwoitych gestów, mógł nawet powiedzieć mowę, posiadał pewne urywki i koniuszki myśli, posiadał blichtr najnowszego, niezbędnego liberalizmu. Niepokoiło ją, że jest zbyt mało przedsiębiorczy i po długiem poszukiwaniu karjery, dąży obecnie do spokoju. Chciała wszczepić w niego własne ambicje; on zaś zaczął wyklejać kirchę. Pastor wychodził z kazaniem, pobożni słuchali, złożywszy dłonie, jakaś dama wycierała chusteczką łzy, jakiś staruszek wycierał nos, wreszcie grał organek, który był specjalnie obstalowany i sprowadzony ze Szwajcarji, pomimo znacznych kosztów. Julja Michajłowna odebrała tę robotę nie bez przerażenia i zamknęła u siebie; pozwoliła zato pisać powieść, byle w sekrecie. Od tego czasu zaczęła liczyć tylko na siebie. Na nieszczęście była zbyt lekkomyślna

i nieumiarkowana. Zbyt długo była starą panną. W jej ambitnym i podrażnionym umyśle zaczęły plątać się najrozmaitsze pomysły. Tworzyła jakieś plany, chciała trząść gubernją, widzieć naokoło siebie legjony satelitów, wybrała nawet kierunek. Lembke bał się tego wszystkiego. Zrozumiał jednak wkrótce, że stanowisko gubernatora nie jest tak straszne, skoro się posiadło takt urzędniczy. Pierwsze miesiące upłynęły wcale znośnie. Tu jednak nawinął się młody Wierchowieński i zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Piotr Stepanowicz od pierwszych dni zaczął zdradzać brak szacunku dla gubernatora i rościł pretensje do dyktowania mu, co ma czynić. Julja Michajłowna, zazwyczaj tak drażliwa na temat roli małżonka, nie zwracała teraz uwagi na to. Przynajmniej nie przywiązywała wagi. Młodzieniec stał się jej faworytem, jadał u niej, pił, prawie nie opuszczał jej domu. Von Lembke próbował się bronić, nazywał go publicznie „młodzieńcem", protekcjonalnie klepał po ramieniu, nie dało to jednak żadnych rezultatów. Wierchowieński śmiał mu się w oczy, nawet wtedy, gdy rozmawiał poważnie, w obecności zaś innych mówił mu rzeczy najmniej oczekiwane. Pewnego razu, powróciwszy do domu, gubernator zastał Wierchowieńskiego we własnym gabinecie, rozłożonego na otomanie. Dowiedział się, że Piotr Stepanowicz, nie zastawszy von Lembkego „skorzystał ze sposobności i wyspał się". Von Lembke obraził się i poskarżył małżonce: ta jednak, wyśmiawszy jego nadmierną obraźliwość, zarzuciła mu, że widocznie sam nie umie utrzymać dystansu. Z nią przynajmniej ten dzieciak nie pozwoliłby sobie na taką bezceremonjalność, a jest zawsze „naiwny i świeży, chociaż ma dość oryginalny sposób bycia". Von Lembke był niezadowolony. Gubernatorowa pogodziła ich jednak. Trudno powiedzieć, aby Piotr Stepanowicz przeprosił. Poprzestał jedynie na dość ordynarnym żarcie, który w innych warunkach mógłby ujść za nową obrazę; wolano jednak potraktować to w danym razie za wyraz skruchy. Trudność polegała na tem, że von Lembke od początku popełnił błąd, zdradziwszy przed Wierchowieńskim swą powieść. Wyobraził sobie, że młodzieniec jest wielbicielem poezji, ponieważ zaś oddawna marzył o słuchaczu, przeczy-

tał mu kiedyś wieczorem, jeszcze w początku znajomości, dwa rozdziały powieści. Wierchowieński, nie ukrywając znudzenia, ziewał nieuprzejmie, nie pochwalił ani razu, lecz, wychodząc, poprosił o rękopis, aby w wolnych chwilach, uważniej przeczytać i urobić sobie opinję. Von Lembke dał. Od tego czasu Piotr Stepanowicz, bywając codzień w domu gubernatora, nie zwracał rękopisu. Na wszelkie indagacje reagował śmiechem. Wreszcie oznajmił, że zgubił rękopis na ulicy. Dowiedziawszy się o tem, Julja Michajłowna strasznie rozgniewała się na małżonka.

— Możeś opowiedział mu także o kirsze? — pytała przerażona.

Von Lembke zaczął pogrążać się w zadumie, a było to dla niego szkodliwe i przez lekarzy wzbronione. Z gubernją było dużo kłopotów, szczególnie w ostatnich czasach, a tu cierpiało serce, nietylko miłość własna dygnitarza. Żeniąc się, von Lembke nie wyobrażał sobie nawet możliwości kłótni i nieporozumień małżeńskich. Tak mu się roiło, gdy marzył o Minnach lub Ernestynach. Czuł, że nie byłby w stanie znieść burzy małżeńskiej. Julja Michajłowna wreszcie udzieliła mu wyjaśnień otwartych.

— Nie masz powodu gniewać się na niego, już przez to nawet, że jesteś trzykroć rozważniejszy od niego, a w hierarchji społecznej stoisz nieporównanie wyżej. W tym chłopaku jest trochę dawnych pozostałości wolnomyślicielskich, czyli poprostu swawoli. Nie da się zmienić jednak tego odrazu. Trzeba stopniowo. Należy cenić młodzież naszą. Walczę z nimi łagodnością i powstrzymuję ich nad brzegiem przepaści.

Von Lembke próbował oponować.

— On mówi niestworzone rzeczy. Nie mogę tego tolerować, jeżeli naprzykład publicznie i w mojej obecności twierdzi, że rząd spaja lud, aby panować nad nim i nie dopuszczać do buntu. Pomyśl o sytuacji, w jakiej się znajduję, gdy muszę tego słuchać.

Von Lembke przypomniał sobie niedawną rozmowę z Piotrem Stepanowiczem. W niewinnym zamiarze rozbrojenia go swym liberalizmem, pokazał mu własną tajną kolekcję najrozmaitszych proklamacyj, rosyjskiego i zagra-

nicznego pochodzenia, którą skrzętnie gromadził od 1859 roku nietyle przez amatorstwo, ile przez zdrową ciekawość. Piotr Stepanowicz domyślił się odrazu, o co chodzi, i nieuprzejmie oświadczył, iż każdy wiersz nowych proklamacyj zawiera więcej zdrowego sensu, niż nieraz cała kancelarja. „Nie wyłączając pańskiej" — dodał.

Lembkemu zrobiło się przykro. Wskazując na proklamacje, mówił głosem niemal proszącym:

— Lecz to trochę za wcześnie, za wcześnie dla nas!

— Nie, nie za wcześnie. Pan się przecież boi. To znaczy, że nie za wcześnie.

— Lecz tu, naprzykład, jest wezwanie do niszczenia świątyń.

— A dlaczegóżby nie? Pan przecież jest rozumnym człowiekiem i nie wierzy w Boga: dobrze pan wie, że wiara jest panu potrzebna, aby panować nad tłumem. Prawda jest uczciwsza od kłamstwa.

— Tak, tak, zgadzam się z panem całkowicie ,lecz u nas to za wcześnie, — marszczył się Lembke.

— Tak? Jakiż z pana urzędnik państwowy, jeżeli pan się zgadza walić cerkwie i iść na Petersburg, odsuwając jedynie termin?

Lembke, przyłapany tak dotkliwie, coraz więcej tracił się. Zaczął się plątać ostatecznie, ratując honor.

— Nie, to nie tak. Pan, Piotrze Stepanowiczu, jest jeszcze młody i nie zna celów naszych. Pan nazywa nas urzędnikami państwowymi? Dobrze! Samodzielnymi urzędnikami? Na czemże jednak polega nasza praca? Na nas spada cała odpowiedzialność, istotnie jednk tak samo służymy sprawie ogólnej, jak wy. Podtrzymujemy to, co wy rozchwiewacie, a co bez nas rozleciałoby się na wszystkie strony. Nie jesteśmy wrogami waszymi. Przeciwnie. Mówimy wam: idźcie naprzód, dążcie do postępu, burzcie nawet to, co zgniło i wymaga naprawy. My zaś gdy zajdzie potrzeba, utrzymamy was w niezbędnych granicach, gdyż bez nas rozkołysalibyście nazbyt Rosję i pozbawili przyzwoitego wyglądu. Nasze zadanie polega na tem, aby dbać o wygląd. Niech pan zrozumie, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni.

W Anglji wigowie i torysi także potrzebni są sobie nawzajem. Cóż? Myśmy torysi, a wy — wigowie. Tak rozumiem te rzeczy.

Lembke wpadał w patos. Lubił pomówić mądrze i liberalnie. Nikt nie podsłuchiwał, co ułatwiało rozmowę. Wierchowieński milczał i zachowywał się poważnie. Mówca nabrał otuchy. Mówił dalej, chodząc po gabinecie.

— Wie pan, że jestem „gospodarzem gubernji". Z powodu nadmiaru obowiązków nie mogę właściwie spełnić żadnego, z równą racją jednak mógłbym powiedzieć, że nie mam tu nic do roboty. Cały sekret polega na tem, że wszystko zależy od poglądów rządu. Niech naprzykład rząd ustali republikę, czy ze względów politycznych, czy dla uśmierzenia namiętności, i niech jednocześnie wzmocni władzę gubernatorów. Cóż wtedy? My, gubernatorzy, pochłoniemy republikę. Co tam republikę? Wszystko pochłoniemy. Ja, przynajmniej, czuję się na siłach. Słowem, niech rząd ogłosi mi telegraficznie *activité devorante*, i dam natychmiast *activité dévorante*. Powiedziałem im to prosto w oczy. „Panowie, dla rozkwitu i równowagi instytucyj gubernjalnych potrzebna jedna rzecz: wzmocnienie władzy gubernatorów". Widzi pan, trzeba, aby te wszystkie instytucje, czy sądowe, czy samorządowe, żyły podwójnem życiem. To znaczy, trzeba, żeby one istniały (rozumiem, że jest to konieczność), z drugiej zaś strony trzeba, aby ich nie było. Wszystko zależy od zapatrywań rządu. Przyjdzie taki rząd, że instytucje okażą się niezbędne, — mam je wszystkie gotowe. Minie konieczność — i niech kto je odnajdzie! Tak rozumiem *activé devorante*, nie może zaś istnieć ona bez wzmocnienia władzy gubernatora. Rozmawiamy teraz w cztery oczy. Już napisałem do Petersburga o konieczności specjalnego posterunkowego przy bramie domu gubernatorskiego. Oczekuję odpowiedzi.

— Pan potrzebuje dwóch posterunkowych, — odezwał się Wierchowieński.

Lembke zatrzymał się przed nim.

— Dlaczego dwóch?

— Jednego za mało, aby pana szanowano. Koniecznie dwóch.

Lembke wykrzywił się.

— Pan pozwala sobie zbyt wiele, Piotrze Stepanowiczu. Nadużywając dobroci mojej, pan jest złośliwy i gra rolę jakiegoś *bourru bienfaisant*...

Wierchowieński odezwał się odniechcenia.

— To już jak pan chce... W każdym razie pan toruje nam drogę i przyśpiesza powodzenie nasze.

— Jakie powodzenie i czyje? — zapytał zdziwiony gubernator, nie otrzymał jednak odpowiedzi.

Gubernatorowa, dowiedziawszy się o treści rozmowy, była bardzo niezadowolona.

— Nie mogę przecież, — usprawiedliwiał się Lembke, — zachowywać się jako przedstawiciel władzy wobec twego faworyta, zwłaszcza gdy rozmawiamy w cztery oczy. Mogłem powiedzieć zbyt dużo... przez dobroć serca.

— Za dużo tej dobroci. Nie wiedziałam, że masz kolekcję proklamacyj. Bądź łaskaw, pokaż mi ją.

— Nie mogę... bo on wyprosił ją na jeden dzień.

— I dałeś mu! — irytowała się Julja Michajłowna. — Co za brak taktu!

— Zaraz poślę po nią.

— Nie odda ci.

— Zażądam! — wybuchnął Lembke i zerwał się z miejsca. — Kto on taki, żebym miał się go obawiać, i kim ja jestem, jeżeli nie mam prawa nic zrobić?

Julja Michajłowna zatrzymała go.

— Siądź i uspokój się. Odpowiem ci na pierwsze pytanie. On ma świetne rekomendacje, jest zdolny i mówi czasem nadzwyczaj mądre rzeczy. Kamazinow twierdzi, że on ma stosunki prawie wszędzie i posiada olbrzymi wpływ na młodzież w stolicy. Jeżeli za jego pośrednictwem pociągnę tę młodzież ku sobie i zgrupuję ją naokoło siebie, uratuję ją od zguby, wskazawszy inne drogi zaspokojenia ambicji. Wierchowieński jest mi szczerze oddany i słucha mnie we wszystkiem.

Lembke bronił się.

— Tak, ale póki będziesz się z nim ceckała, mogą tymczasem narobić masę rzeczy! Oczywiście, idea twoja jest słuszna... w zasadzie... Lecz zakomunikowano mi, że w jed-

nym z powiatów naszej gubernji ukazały się jakieś proklamacje.

— Przecież pogłoski o tem krążyły jeszcze latem... proklamacje... fałszywe pieniądze, czy wiem zresztą co? A przecież nie dostarczono ci dotychczas żadnej. Kto ci mówił?

— Słyszałem od von Blumera.

— Ach, daj mi spokój z tym Blumerem i nigdy nie mów mi o nim.

Julja Michajłowna tak się zirytowała, że trudno jej było mówić. Von Blumer był urzędnikiem kancelarji gubernatora, specjalnie znienawidzonym przez nią. Do tego powrócimy jeszcze.

— Nie bój się o Wierchowieńskiego, — kończyła rozmowę. — Gdyby uczestniczył w tego rodzaju sprawkach, nie rozmawiałby tak, jak rozmawia z tobą i ze wszystkimi. Ludzie frazesu nie są szkodliwi. Jestem nawet przekonana, że gdyby miało się coś stać, pierwsza dowiem się o tem od niego. On jest przywiązany do mnie fanatycznie.

Uprzedzając fakty, zauważę tu, że gdyby nie ambicje i pewność siebie gubernatorowej, może nie stałoby się u nas to, co zrobili ci marni ludzie. Pod wielu względami część winy spada tu na nią.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

PRZED BALEM.

I.

Termin zabawy, zainicjowanej przez panią gubernatorową, już parokrotnie był wyznaczany i odkładany. Kręcili sie koło tego młody Wierchowieński, i używany do drobnych zleceń mały urzędniczyna Lamszyn, który dawniej bywał u Stepana Trofimowicza, a teraz wkradł się w łaskę gubernatorską za grę na fortepianie. Posługiwano się też Liputinem, w którym gubernatorowa upatrzyła sobie redaktora przyszłego niezależnego dziennika gubernjalnego. Poza nimi

zajmowały się koncertem i balem niektóre panie i panny, wreszcie nawet Karmazinow, który sam wprawdzie nie robił nic, lecz oświadczył, że sprawi miłą niespodziankę, z chwilą, gdy zacznie się „kadryl literatury". Ofiarodawców i nabywców kart wstępu znalazło się aż nadto: całe dobrane towarzystwo miejskie. Nie odtrącano jednak i tych, którzy do towarzystwa nie należeli. Byle przynieśli pieniądze. Pani gubernatorowa oświadczyła, że od czasu do czasu pożądane jest takie zmieszanie wszystkich stanów, — „jakże bowiem inaczej oświecić stany niższe?" Powołano do życia nieoficjalny komitecik, który uchwalił, iż zabawa ma być demokratyczna. Powodzenie finansowe zachęcało do wydatków. Trzeba było dać coś wyjątkowego. To było główną przyczyną odraczania terminów. Miejsce balu wieczornego nie było dotychczas określone: czy w ogromnych apartamentach pani marszałkowej, uprzejmie na ten dzień zaofiarowanych, czy też w Skworesznikach, u Barbary Piotrowny? Skworeszniki były trochę za daleko, lecz niektórzy członkowie komitetu nastawali, twierdząc, że tam byłoby swobodniej. Barbara Piotrowna bardzo chciała, aby bal odbył się u niej. Trudno zrozumieć, dlaczego ta dumna kobieta starała się schlebiać gubernatorowej. Może dlatego, że Julja Michajłowna podkreślała wciąż uniżoną atencję wobec Mikołaja Stawrogina i była wobec niego tak uprzejma, jak wobec nikogo. Powtarzam, iż Piotr Wierchowieński utrwalał wciąż w domu gubernjalnym przez siebie samego puszczoną pogłoskę, iż Stawrogin jest człowiekiem o tajemniczych wpływach w najbardziej tajemniczych sferach, i że prawdopodobnie ma tu do spełnienia jakąś misję.

Dziwny był w tym okresie stan umysłów. Szczególnie światek kobiecy gwałtownie zaczął zdradzać wybitną lekkomyślność. Zaczęły się szerzyć, jak wiatrem pędzone, jakieś niestateczne pojęcia. Zapanowała swawola, pusta wesołość, niezawsze przyjemna. Pewien nieład psychiczny stał się modny. Potem, gdy się już wszystko skończyło, zaczęto oskarżać Julję Michajłownę, jej wpływy i otoczenie. Trudno jednak składać na nią całą winę. Narazie usilnie wychwalano nową gubernatorową za to, że umie zjednoczyć towarzystwo i że przy niej jest znacznie weselej. Miały

miejsce nawet pewne skandaliczne wypadki, już bynajmniej nie z winy Julji Michajłowny. Wtedy — wszyscy się śmieli i cieszyli, a nie było komu hamować. Ale pewna, dość znaczna grupa ludzi, która zachowała własny pogląd na bieg rzeczy, nie brała udziału w tych wybrykach. Lecz i ci ludzie nie oburzali się głośno. Przeciwnie — uśmiechali się.

Pamiętam, że powstało wówczas, samo przez się dość obszerne kółko. Przyznać należy, że ośrodkiem jego był istotnie salon Julji Michajłowny. W tem ścisłem kółku, kręcącem się wokół niej, było dopuszczalne, a nawet stawało się prawidłowem, pozwalanie sobie na rozmaite łobuzerje, czasem aż zbyt śmiałe. Do kółka należało kilka bardzo niebrzydkich pań. Młodzież urządzała pikniki, wieczorki, kawalkady konne, spacery po mieście. Szukała przygód, a nawet stwarzała je sztucznie, byle się zabawić. Traktowała miasto całe pogardliwie, niby najgłuchszą osadę. Należących do tego kółka określano wszędzie jako żartownisiów lub nawet kpiarzy, gdyż istotnie nie cofali się przed niczem. Dla „kawału" gotowi byli zrobić wszystko. Żona jednego z poruczników miejscowych, młodziutka bruneteczka, trochę sterana przez złe obejście męża, na jakimś wieczorku zasiadła lekkomyślnie do jerełasza, w nadziei, że wygra na płaszcz. Zamiast tego przegrała piętnaście rubli. Bojąc się męża i nie mając na zapłacenie przegranej, przypomniała sobie dawną swoją śmiałość i pocichutku poprosiła o pożyczenie niezbędnej sumy, syna naszego burmistrza, niesłychanie zepsutego młodzieniaszka, zużytego nad wiek. Niedość, że jej odmówił, lecz poszedł do męża i ze śmiechem opowiedział mu przygodę. Porucznik, który żył nędznie jedynie z poborów służbowych, zaprowadził żonę do domu i nie zwracając uwagi na jęki, krzyki, błagania na kolanach, wyćwiczył ją najokrutniej. Ta brudna awantura wywołała w mieście jedynie śmiech. Chociaż biedna porucznikowa nie należała ściśle do kółka gubernatorowej, lecz jedna z pań jej „kawalkady", osóbka ekscentryczna i śmiała, która znała osobiście porucznikową, pojechała do niej i zabrała do siebie w gościnę. Tu wzięli ją w obroty nasi żartownisie, zasypali podarunkami, uprzejmościami i przez cztery doby nie oddawali mężowi. Mieszkała u ekscentrycznej pani, a po całych

dniach jeździła z nią i rozweselonem towarzystwem na spacery po mieście, uczestniczyła w zabawach i tańcach. Namawiano ją, aby zaskarżyła męża do sądu, zapewniano, że wszyscy ją poprą i będą za nią świadczyli. Mąż milczał i nie odważył się walczyć. Biedaczka zrozumiała wreszcie, że wpadła w brzydką awanturę, i w śmiertelnym strachu, czwartego wieczoru uciekła o zmroku od swych protektorów do męża. Niewiadomo ściśle, co zaszło między małżonkami, lecz okiennice małego, drewnianego domku, w którym mieszkał porucznik, były zamknięte przez dwa tygodnie. Dowiedziawszy się o całem zajściu, pani gubernatorowa zburczała urwisów i wyraziła niezadowolenie z uczynku ekscentrycznej damy, która mogłaby jednak powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, iż przedstawiła pani gubernatorowej żonę porucznika już w pierwszym dniu po porwaniu. Wkrótce cała ta historja poszła w niepamięć.

Zdarzył się niebawem nowy wypadek. Pewien skromny i młody urzędniczyna z sąsiedniego powiatu poślubił u nas siedemnastoletnią córeczkę jednego z nieznacznych urzędników, poważnego z wyglądu ojca rodziny. Dziewczyna była bardzo ładna i znali ją wszyscy. Dowiedziano się, że w noc poślubną nowożeniec zachował się wobec oblubienicy bardzo nieuprzejmie, mszcząc się za ujmę na honorze. Lamszyn, który spił się i pozostał na noc, już rano obiegał wszystkich znajomych z wesołą ploteczką. W tej chwili utworzył się orszak z dziesiątka ludzi, wszyscy konno, niektórzy na wynajętych koniach kozackich, jak naprzykład Piotr Stepanowicz i Liputin, który pomimo włosów szpakowatych uczestniczył wtedy we wszystkich skandalicznych wyprawach naszej swawolnej młodzieży. Młode małżeństwo ukazało się na ulicy. Jechało dorożką parokonną, aby złożyć wizyty, obyczajowo nakazane zaraz po ślubie, niezależnie od wszelkich komplikacyj rodzinnych. Wtedy kawalkada otoczyła dorożkę i towarzyszyła jej z wesołym śmiechem przez cały poranek. Do domów nie wchodzono, lecz czekano konno u wrót. Powstrzymywano się wprawdzie od zbyt obelżywych słów, lecz w każdym razie stał się skandal. Całe miasto mówiło o tem. Wszyscy brali się za boki. Tu jednak rozgniewał się już von Lembke i miał dłuższą

rozmowę z gubernatorową. Ta także się rozgniewała i chciała nawet wymówić dom urwisom. Już nazajutrz jednak przebaczyła wszystkim pod wpływem zabiegów Piotra Stepanowicza i paru słów, wypowiedzianych przez Kamazinowa. Wielki pisarz uznał żart za bardzo dowcipny i oznajmił:

— To zupełnie odpowiada obyczajom. Jest to bardzo typowe i... odważne. Widzi pani, wszyscy się śmieją, a oburza się tylko pani.

Bywały jednak żarty zupełnie niemożliwe, brzydkie i niesmaczne.

W mieście zjawiła się wędrowna niewiasta, która sprzedawała Pismo Święte. Była to szacowna niewiasta, chociaż rodem z mieszczan. Zaczęto mówić o niej, gdyż w tym czasie w paru pismach stołecznych ukazały się wzmianki o takich markietankach. Tu znów Lamszyn, przy pomocy seminarzysty, błąkającego się bezczynnie w oczekiwaniu nauczycielskiej posady, udając, że kupuje książki, podsypał kobiecie do jej worka paczkę najobrzydliwszych fotografij pornograficznych, zagranicznego pochodzenia. Dowiedziano się później, że fotografje te zostały specjalnie w tym celu ofiarowane przez poważnego staruszka, kawalera wysokiego orderu (nie chcę wymieniać nazwiska), który mówił, że lubi „zdrowy śmiech i żart wesoły". Gdy biedna kobieta zaczęła wydostawać w halach targowych swe książki, wysypały się i fotografje. Zaczął się śmiech, lecz i szemranie. Tłum się zgromadził, rozpoczęły się połajanki, może doszłoby nawet do bijatyki, gdyby nie podążyła policja. Sprzedawczynię zamknięto do ciupy i wypuszczono dopiero wieczorem, na skutek starań Maurycego Mikołajewicza, który dowiedział się z oburzeniem o wszystkich szczegółach tej brzydkiej historji. Kazano jej jednak opuścić miasto. Wtedy Julja Michajłowna rozkazała Lamszynowi opuścić towarzystwo. Tegoż wieczora jednak liczna banda żartownisiów przyprowadziła go zpowrotem do gubernatorowej i uprosiła ją, aby zechciała wysłuchać nowej sztuczki fortepianowej, przez niego stworzonej. Sztuczka była istotnie zabawna, pod śmiesznym tytułem: „Wojna francusko- pruska". Zaczynała się od groźnych dźwięków Marsyljanki:

Q'un sang impur abreuve nos sillons!

Słychać było zuchwałe wyzwanie, upojenie przyszłem zwycięstwem. Lecz raptem, jednocześnie z mistrzowsko sunącemi taktami hymnu, gdzieś z boku, z dołu, z kącika, lecz bardzo blisko, rozległ się taniutki motyw *Mein lieber Augustin.* Marsyljanka jest u szczytu upojenia wielkością swoją. Lecz Augustyn rośnie, Augustyn staje się coraz natarczywszy, i oto takty jego zaczynają stopniowo wpadać w takt Marsyljanki. Marsyljanka zaczyna się gniewać. Zauważyła wreszcie Augustyna, chce go odtrącić, odpędzić, jak natrętną muchę. Lecz Augustyn trzyma się mocno. Jest wesół i pewny siebie. Jest rozradowany i bezczelny, i oto Marsyljanka stopniowo traci panowanie nad sobą. Już się przyznaje, że jest wyprowadzona z równowagi i poniżona; jest to jęk oburzenia, są to łzy i klątwy z rozpostartemi ku Opatrzności ramionami.

Pas un pouce de notre terrain, pas une pierre de nos forteresses.

Lecz musi już nucić do taktu z *Mein lieber Augustin.* Jej dźwięki najgłupiej przelewają się w dźwięki Augustyna. Zaczyna się słaniać i gasnąć. Od czasu do czasu, ostatnim porywem, rozlegnie się znów: „*qu'un sang impur*", lecz natychmiast przeskoczy w obrzydliwego walczyka. Wreszcie, Marsyljanka poddaje się całkowicie: to Jules Favres łkający na piersi Bismarka i oddający wszystko, wszystko... Lecz tu już Augustyn zaczyna się biesić: słychać chrapiące dźwięki, czuć nadmiar wypitego piwa, szał samozachwytu, ktoś żąda miljardów, cygar, szampana, zakładników. Augustyn przechodzi w jakieś wycie... Wojna francusko-pruska skończona. Wszyscy przyklaskiwali, a Julja Michajłowna przyznała się z uśmiechem:

— Jak można takiego człowieka wyrzucić?

Pokój znów został zawarty. Ten łajdaczyna miał istotnie talent. Stepan Trofimowicz dowodził mi kiedyś, że najgorsi nikczemnicy mogą jednocześnie odznaczać się najwybitniejszym talentem artystycznym, i że jedno nie przeszkadza drugiemu. Rozniosła się później pogłoska, jakoby Lamszyn ukradł tę sztuczkę utalentowanemu i skromnemu młodzieńcowi, który przejazdem zahaczył o nasze miasto, a pozostał w cieniu. Lecz to nie jest ważne. Ten nik-

czemnik, który przez kilka lat kręcił się w otoczeniu Stepana Trofimowicza, imitując, na każde żądanie rozmaitych żydków, spowiedź głuchej baby, lub rodzenie się dziecka, teraz, u pani gubernatorowej, nieraz najzabawniej odtwarzał samego Stepana Trofimowicza, jako „postępowca piątego dziesięciolecia". Wszyscy pokładali się ze śmiechu, tak że wreszcie myśl o wypędzeniu go stała się istotnym nonsensem, był wprost niezbędny. Przytem schlebiał niesłychanie młodemu Wierchowieńskiemu, ten zaś w owym czasie zdobył decydujący wpływ na Julję Michajłownę.

O tym niegodziwcze nie mówiłbym osobno, i nie wartoby było nawet wspominać o nim. Lecz stała się rzecz prawdziwie oburzająca, w której on także uczestniczył, a sprawy tej żadną miarą nie mogę pominąć milczeniem.

Pewnego dnia rozniosła się po całem mieście wiadomość o niesłychanej profanacji. Przy wejściu do naszego placu rynkowego znajduje się cerkiew Najjaśniejszej Marji Panny, stanowiąca wysoce cenny zabytek starożytności. Przy murze cerkiewnym był obraz Matki Boskiej, wmurowany za kratą. I oto pewnej nocy obraz został znieważony, szkło wybite, krata złamana, a z korony i płaszcza wyjęte drogie kamienie i perełki. Mniejsza o ich wartość. Główna rzecz polegała na tem, że oprócz kradzieży dokonana została bezmyślna, ohydna profanacja. Za szkłem obrazu znaleziono nad ranem żywą mysz. Już teraz, gdy minęły od tego czasu cztery miesiące, wiemy wszyscy, iż zbrodnię popełnił Fiedia Katorżny, lecz niewiadomo dlaczego wspomina się wciąż o uczestnictwie Lamszyna. Wtedy nikt o Lamszynie nie mówił, nikt go nie podejrzewał, a teraz wszyscy twierdzą, że to on wrzucił mysz. Pamiętam, iż sprawa wywołała wśród władz pewną konsternację. Obok miejsca zbrodni od rana zaczął gromadzić się lud. Nie były to znów nadzwyczajne tłumy, lecz stale tam było ze stu ludzi. Jedni przychodzili, inni odchodzili. Każdy żegnał się i przyklękał przed obrazem. Zaczęto składać ofiary. Zjawiła się taca cerkiewna, i mnich przy tacy. Dopiero o trzeciej po południu władze domyśliły się, że można nakazać ludowi, aby nie zatrzymywał się przed obrazem, lecz odchodził zaraz, pomodliwszy się tylko i złożywszy

ofiary. Na Lembkem ten smutny wypadek wywarł najprzykrzejsze wrażenie. Julja Michajłowna mówiła potem, jak to mi powtarzano, że od tego dnia zaczęła dostrzegać w mężu ten nastrój ponury, który go nie opuszczał aż do chwili jego wyjazdu z naszego miasta na kurację; podobno nawet towarzyszy mu teraz, w Szwajcarji, gdzie pan Lembke dotychczas odpoczywa po krótkotrwałem urzędowaniu w naszej gubernji.

Wpadłem wtedy na plac o pierwszej po południu. Tłum stał milczący i chmurny. Podjechał dorożką jakiś tłusty i pożółkły kupiec, wysiadł z dorożki, pokłonił się, ucałował obraz, ofiarował rubla i z ciężkiem westchnieniem pojechał dalej. Podjechał potem powozik z dwiema paniami w towarzystwie dwóch naszych urwisów. Młodzieńcy (żaden z nich zresztą nie był młody) wyszli wraz z paniami z powozu i przecisnęli się do obrazu, niedbale odtrącając tłum. Nie zdjęli kapeluszów a jeden z nich nałożył *pince-nez*. Wśród tłumu rozległy się szemrania, głuche, lecz nieprzyjazne. Młodzieniec w *pince-nez* wyjął portmonetkę, wypełnioną po brzegi banknotami, wydobył z niej miedzianą kopiejkę i cisnął na tacę. Obaj śmieli się i głośno rozmawiając zawrócili do powozu. W tej chwili przyjechała konno, w towarzystwie Maurycego Mikołajewicza, Liza Mikołajewna. Zeskoczyła z konia, rzuciła trenzlę towarzyszowi, który, na jej rozkaz pozostał w siodle i zbliżyła się do obrazu w chwili, gdy na tacę padały miedziane dwa grosze. Rumieniec oburzenia zalał jej twarz. Zdjęła swój ogrągły kapelusz i rękawiczki, padła na kolana przed obrazem, w błoto, i pobożnie złożyła trzy niskie pokłony. Potem wyjęła portmonetkę, ponieważ jednak znalazła w niej tylko parę srebrniaków, zdjęła z siebie brylantowe kolczyki i rzuciła na tacę.

— Czy można, można? Na upiększenie szaty? — pytała zażenowana.

— Dozwolono, — odpowiedział mnich. — Każdy dar jest dobry.

Lud milczał, nie wyrażając ani nagany, ani pochwały. Liza wskoczyła na konia w swem zabłoconem ubraniu i pomknęła dalej.

II.

W dwa dni potem spotkałem Lizę w licznem towarzystwie, wyruszającem na jakąś wycieczkę trzema powozami i konno. Skinęła na mnie, zatrzymała swój powóz i stanowczo zażądała, abym się przyłączył do towarzystwa. Znalazło się miejsce w jej powozie. Przedstawiła mnie towarzyszkom swoim, wspaniale wyglądającym damom, i wytłumaczyła, że chodzi tu o niesłychanie zajmującą wyprawę. Śmiała się przytem i była napozór przesadnie uszczęśliwiona. Ekspedycja była istotnie dość ekscentryczna. Jechano za rzekę do domu kupca Sewastjanowa, u którego w oficynie od lat dziesięciu zamieszkiwał w spokoju, otoczony troską i opieką, starzec, znany nietylko u nas, lecz nawet w sąsiednich gubernjach i w stolicach. Nazywał się Semion Jakowlewicz, nasz błogosławiony, jasnowidzący. Wszyscy go odwiedzali, zwłaszcza przyjezdni, żądni objawień, składali ofiary i pokłony. Ofiary, dość znaczne często, o ile natychmiast nie rozporządzał się niemi starzec, skierowywano do świątyń, głównie zaś do klasztoru Matki Boskiej. W tym celu przy Semionie Jakowlewiczu stale dyżurował mnich z tego klasztoru. Całe towarzystwo miało nadzieję szczerze się ubawić. Nikt jeszcze nigdy nie widział starca. Jeden tylko Lamszyn już był kiedyś u niego i zapewniał, że został wypędzony miotłą, a sam starzec rzucił za nim dwa gotowane kartofle. Wśród jeźdźców zauważyłem Piotra Stepanowicza, który najfatalniej trzymał sie na koniu, i Stawrogina. Stawrogin nie uchylał się od wspólnych rozrywek i zwykle miewał w takich razach przyzwoicie uśmiechniętą minę, a mówił mało i rzadko. Gdy kawalkada zrównała się przed mostem z hotelem miejskim, ktoś przypomniał sobie, że w numerze, w hotelu, znaleziono przed chwilą trupa samobójcy i że lada chwila nadejść powinna policja. Powstał natychmiast projekt złożenia wizyty zwłokom samobójcy. Projekt trafił do przekonania. Żadna z naszych pań jeszcze nigdy samobójcy nie widziała. Pamiętam, że jedna z nich odezwała się: „tak wszystko już dokuczyło, że niema racji przebierać w rozrywkach, byleby było ciekawe". Nieliczni tylko pozostali na ulicy. Reszta

wwaliła się tłumnie do brudnego korytarza. Ze zdziwieniem zauważyłem, że i Liza przyłączyła się do nich. Pokój samobójcy był otwarty. Nikt nie ośmielił się zabronić nam wejść. Był to jeszcze zupełnie młodziutki chłopak, lat dziewiętnastu, o bardzo ładnych rysach, jasnych włosach, o prawidłowym owalu twarzy i otwartem, pięknem czole. Już zdrętwiał i biała jego twarz zdawała się wykuta z marmuru. Na stole leżała kartka, przez niego napisana, w której prosił, by nie oskarżać nikogo i przyznawał się, że zastrzelił się z powodu „przehulania" czterystu rubli. Wyraźnie pisał „przehulania". W czterech wierszach kartki znaleziono trzy błędy ortograficzne. Nad trupem wzdychał jego sąsiad, gruby obywatel, który zatrzymał się w pokoju obok, przyjechawszy w jakiejś sprawie do miasta. Wyjaśniło się z jego słów, iż chłopiec, mieszkający na wsi, przysłany tu został przez rodziców w celu poczynienia pod kierownictwem krewnej z miasta szeregu zakupów, niezbędnych na wyprawę dla wychodzącej zamąż siostry. Powierzyli mu czterysta rubli, zaoszczędzonych wciągu dziesiątków lat, a wzdychali przytem ze strachu, modlili się i dręczyli chłopca tysiącem wskazówek moralnych. Malec dotychczas był zawsze skromny i przyzwoity. Przyjechał przed trzema dniami do miasta, nie stawił się do krewnej, zatrzymał się w hotelu i poszedł odrazu do klubu, w nadziei znalezienia tam „baczka" lub przynajmniej „stukułki". Tego wieczora nie było jednak ani baczka ani stukułki. Powróciwszy do siebie około północy, zażądał szampana i cygar hawańskich i obstalował kolację z sześciu, czy siedmiu dań. Szampanem się upił odrazu, znudziło go od cygar, nie tknął więc nawet przyniesionych mu potraw, położył się i zasnął prawie nieprzytomny. Zbudziwszy się nazajutrz, świeży, jak jabłuszko, wyruszył do taboru cygańskiego, który stał za rzeką na przedmieściu (a dowiedział się o nim w klubie) i nie wracał do hotelu przez dwa dni. Wczoraj dopiero wrócił nietrzeźwy, około piątej po południu, położył się do łóżka i spał do dziesiątej wieczorem. Zbudziwszy się, zażądał kotleta, butelki *Chateau d'Yquem* i winogron, papieru i atramentu. Kazał też sobie przynieść rachunek. Nie zauważono w nim nic nienormalnego. Był spokojny

i uprzejmy. Prawdopodobnie zastrzelił się około północy. Rzecz dziwna, że nikt w hotelu nie słyszał strzału. Zapukano do niego dopiero o pierwszej po południu, a ponieważ nie otwierał, wyłamano drzwi. Wino było wypite do połowy, i winogron pozostało pół talerza. Strzał z trzechstrzałowego małego rewolweru był wymierzony wprost w serce. Chłopiec leżał na kanapie w rogu. Śmierć musiała nastąpić momentalnie. Na twarzy nie było żadnych śladów męczarni przedśmiertnych. Wyraz twarzy był spokojny, prawie szczęśliwy. Zdawało się, że nic mu nie brakuje do życia. Wszyscy „nasi" przypatrywali mu się z chciwem zaciekawieniem. Przecież każde nieszczęście bliźniego zawiera w sobie coś takiego, co weseli obce oczy, — zawsze i u wszystkich. Panie rozglądały się w milczeniu, a panowie starali się okazać przytomność i bystrość umysłu. Ktoś zauważył, że to najlepsze wyjście z sytuacji, i że malec nie mógł wymyślić nic mądrzejszego. Ktoś inny dodał, że chłopiec krótko pożył, lecz dobrze. Trzeci wykrzyknął: dlaczego to u nas tak często teraz strzelają się ludzie i wieszają? Oderwano się od korzeni, czy zgubiono grunt pod nogami? Na rezonera spojrzeli wszyscy niechętnie. Wtedy Lamszyn, który zawsze z honorem starał się wywiązać z roli błazna, ściągnął z talerza grono winne. Wziął z niego przykład ktoś inny, trzeci zaś wyciągnął rękę po wino. Powstrzymał go jednak szef policji, który w tej chwili przyjechał i prosił wszystkich o „oczyszczenie pokoju". Ponieważ wszyscy napatrzyli się już dosyta, więc wyszli bez słowa sprzeciwu, jedynie Lamszyn wdał się w jakąś sprzeczkę z szefem policji. Wesołość ogólna, śmiech i radosna rozmowa towarzyszyły kawalkadzie w dalszej drodze.

Przyjechaliśmy do Semiona Jakowlewicza punkt o pierwszej po południu. Brama, prowadząca do obszernego domu kupieckiego, była otwarta naoścież i wstęp do oficyny był wolny. Dowiedzieliśmy się natychmiast, że starzec spożywa obiad, lecz przyjmuje. Całe towarzystwo weszło razem. Pokój, w którym jadł obiad i przyjmował błogosławiony starzec, był dość duży, i rozdzielony na dwie połowy przegródką drewnianą, wysoką po pas. Zwykli

pielgrzymi pozostawali za przegródką, a tylko szczęśliwcy, wyróżnieni przez starca, wpuszczani byli przez drzwiczki do jego połowy. Tam sadowił ich na starych fotelach skórzanych i na kanapie. Sam siedział zawsze w starym, wytartym fotelu wolterowskim. Był to człowiek rosły, trochę obrzękły i pożółkły na twarzy w wieku około 55 lat. Był łysawy, jego rzadkie włosy były jasne. Brodę golił. Miał wydęty prawy policzek i usta trochę wykrzywione. Na nozdrzach z lewej strony widać było dużą brodawkę. Oczy miał wąziutkie, a wyraz twarzy spokojny, solidny, zaspany. Był ubrany po niemiecku w czarny surdut, lecz bez kamizelki i krawata. Z pod surduta wyglądała mu dość gruba, lecz biała koszula. Chore nogi trzymał w pantoflach. Podobno był przed laty urzędnikiem i miał jakąś tam rangę. Przed chwilą spożył swą zupę rybną i zabierał się do drugiej potrawy: kartofli w mundurach z solą. Nigdy nie jadał nic innego. Pił dużo herbaty, której był wielkim amatorem. Naokoło niego kręciło się trzech służących, utrzymywanych przez kupca; jeden z nich był we fraku, drugi przypominał sklepikarza, trzeci — djaczka. Był tam jeszcze jakiś wesoły młokos szesnastoletni. Oprócz usługi był obecny solidny siwy mnich ze skrzynką na ofiary, trochę zbyt otyły. Na jednym ze stołów kipiał olbrzymi samowar, przy nim zaś na tacy stały ze dwa tuziny szklanek. Na drugim stole składano dary: już było tam kilka głów i paczek cukru, ze dwa funty herbaty, para pantofli wyszywanych, szalik, kawał sukna, sztuka płótna i t. p. Pieniężne zaś ofiary szły prawie wszystkie do garnuszka mnicha. W pokoju było dużo ludzi. Przeszło dziesięciu pielgrzymów, z których dwaj siedzieli w tamtej połowie, za przegródką. Byli to — jakiś siwy, pobożny staruszek, człowiek prosty, i malutki, suchy, przyjezdny mniszek, który siedział cicho ze spuszczonemi oczyma. Inni przybysze stali przed przegródką. Byli to przeważnie ludzie prości, oprócz jednego grubego kupca z powiatowego miasta, brodacza, ubranego po rosyjsku, który słynął jako człowiek krociowy, jednej zubożałej szlachcianki i jednego ziemianina. Wszyscy oczekiwali i nie ośmielali się odzywać. Ze czterech klęczało, lecz powszechną uwagę przykuwał do siebie zie-

mianin, człowiek gruby, czterdziestopięcioletni, który klęczał przy samej przegródce, na widoku, i oczekiwał pobożnie na łaskawe spojrzenie lub słowo Semiona Jakowlewicza. Klęczał już tak godzinę, lecz nie zdołał zwrócić na siebie uwagi starca.

Nasze panie przecisnęły się do przegródki i zaczęły szeptać wesoło. Odsunęły lub zasłoniły sobą innych pielgrzymów, oprócz ziemianina, który uporczywie trzymał się swego miejsca i schwycił się rękami za kratę przegródki. Skierowały się ku starcowi wesołe i chciwie-ciekawe spojrzenia, uzbrojone w lornetki, *pince-nez* i nawet binokle. Lamszyn przyglądał się przez lornetkę. Semion Jakowlewicz obrzucił wszystkich leniwym i spokojnym wzrokiem i raczył wymówić trochę chrapliwym basem:

— Miłowdzięki! Miłowdzięki!

Wszyscy nasi roześmieli się. „Co to znaczy miłowdzięki?" Lecz starzec pogrążył się w milczeniu i jadł dalej swoje kartofle. Wreszcie wytarł serwetką usta. Podano mu herbatę.

Zwykle nie sam pił herbatę, lecz częstował i gości, nie wszystkich jednak. Wskazywał, kogo należy uszczęśliwić. Te rozporządzenia często zadziwiały. Czasem pomijał bogaczów i dygnitarzy i kazał nalewać chłopkowi lub jakiejś zgrzybiałej staruszce; czasem znów pomijał młodszą brać i dawał herbatę jakiemuś tłuściochowi-kupcowi. Rozdawał herbatę także niejednakowo: jednym z cukrem w szklance, innym z kawałeczkiem cukru osobno, „*na prikusku*", innym znów zupełnie bez cukru. Dziś uszczęśliwiony został herbatą z cukrem przyjezdny mniszek, a herbatą bez cukru pobożny staruszek. Tłusty mnich z garnuszkiem klasztornym, który codzień otrzymywał swoją szklankę, dziś nie dostał nic.

— Semionie Jakowlewiczu, powiedz nam cokolwiek. Tak dawno chciałam przyjść do ciebie! — wyśpiewała z uśmiechem i mrużąc oczy ta świetna dama z naszego towarzystwa, która w hotelu twierdziła, że „niema racji przebierać w rozrywkach".

Starzec nawet nie spojrzał na nią. Ziemianin, który

wciąż klęczał, westchnął głęboko i głośno, jak miech kowalski.

— Z cukrem! — wskazał znienacka starzec na krociowego kupca. Ten wysunął się naprzód i stanął obok ziemianina.

— Więcej cukru! — rozkazał Semion Jakowlewicz, gdy szklanka już była nalana. Lokaj dołożył porcję. — Więcej, więcej! — Dołożono po raz trzeci i czwarty.

Kupiec pił bez sezmrania swój syrop.

— O la Boga! — szeptano wśród tłumu i żegnano się.

Obywatel ziemski znów westchnął głęboko i głośno.

— Ojcze rodzony! Semionie Jakowlewiczu! — rozległ się okrzyk przeraźliwy. To wołała kobieta, odepchnięta przez nasze towarzystwo do ściany. — Już od godziny, ojcze, łaski czekam. Wyrzeknij mi słowo. Rozsądź sierotę.

Starzec wskazał na nią słudze, podobnemu do djaczka.

— Zapytaj!

Sługa zbliżył się do przegródki i zwrócił się do wdowy cichym, równym głosem.

— Czy spełniłaś to, co ci Semion Jakowlewicz ostatni raz rozkazał!

Wdowa zaczęła jęczeć.

— Ojcze rodzony, Semionie Jakowlewiczu, jakże mogłam spełnić! Czyż z nimi można! To ludożercy, skargę na mnie do sądu okręgowego podali. Senatem mi grożą. Matce rodzonej!

— Dać jej! — wskazał Semion Jakowlewicz na głowę cukru.

Malec podbiegł, schwycił głowę cukru ze stołu i dał wdowie.

— Och, ojcze rodzony! Wielka jest łaska twoja! Naco mi tak dużo? — jęczała wdowa.

— Jeszcze, jeszcze — krzyczał starzec.

Dano jej jeszcze jedną głowę. „Jeszcze, jeszcze", — brzmiał znowu rozkaz. Dano trzecią, wreszcie czwartą. Wdowa była obstawiona cukrem. Mnich z klasztoru westchnął: to wszystko, dawnym zwyczajem, mogłoby dziś jeszcze trafić do klasztoru.

— Naco mi tak dużo? — jęczała zawstydzona wdo-

wa. — Zemdli mnie od tego cukru! A może to jakie proroctwo?

— Napewno proroctwo, — szepnął ktoś z tłumu.

Semion Jakowlewicz nie poprzestał na tem.

— Dać jej jeszcze funcik.

Na stole pozostawała jeszcze cała głowa, lecz starzec kazał dać woreczek funtowy. Polecenie zostało wykonane.

— Boże, Boże, — wzdychał i żegnał się lud.

Tłusty mnich klasztorny, pozbawiony dziś herbaty, w ataku urażonej ambicji podjął się roli tłumacza i odezwał się głosem, pełnym samozadowolenia.

— Wpierw osłódź swą duszę dobrocią i miłością, a potem dopiero przychodź się skarżyć na dzieci własne, kość z kości twojej. Tak trzeba zrozumieć ów znak.

— Co ty mówisz, ojcze! — rozgniewała się wdowa. — Toć oni mnie na arkanie taszczyli w płomień, gdy pożar był u Wierszyninych. Zdechłego kota wrzucili mi do skrzyni, na każdą potworność się poważą!

— Wypędzić, wypędzić! — zawołał starzec, wymachując rękami.

Djaczek i chłopak wybiegli za przeźródkę. Djaczek schwycił wdowę pod ramię, ona zaś, ukorzywszy się odrazu, pociągnęła do drzwi, oglądając się na podarowany jej cukier. Chłopak niósł go za nią.

— Odebrać jedną, odebrać! — rozkazał starzec trzeciemu słudze.

Ten rzucił się za wychodzącymi. Wszyscy trzej posługacze wrócili po chwili niosąc jedną z podarowanych głów cukru, obecnie odebraną. W każdym razie trzy głowy pozostały przy wdowie.

Ztyłu, przy samych drzwiach, rozległ się czyjś głos.

— Siemionie Jakowlewiczu! Widziałem we śnie ptaka, wronę. Wyleciała z wody i poleciała w ogień. Co znaczy ów sen?

— Na mróz, — odrzekł starzec.

Nasza dama znów się odezwała.

— Semionie Jakowlewiczu, czemuś mi nic nie odpowiedział? Tak dawno zaciekawiasz mnie...

Starzec, nie słuchając nawet, wskazał na obywatela ziemskiego, który klęczał ciągle.

— Zapytaj!

Mnich klasztorny, do którego zwrócony był rozkaz, zbliżył się poważnie do przegródki.

— Czem zgrzeszyłeś? Czy nie kazano ci spełnić czegokolwiek?

— Nie bić; ręce trzymać na wodzy, — ochrypłym głosem mówił ziemianin.

— Wykonałeś?

— Nie mogę. Siła przeszkadza.

Semion Jakowlewicz znów zaczął wymachiwać rękami.

— Wypędzić, wypędzić! Miotłą go, miotłą!

Ziemianin nie oczekiwał wykonania wyroku, zerwał się i wyleciał z pokoju.

Mnich podniósł z ziemi złotą monetę.

— Zostawił tu pół imperjała.

Semion Jakowlewicz wskazał na krociowego kupca.

— Oddać temu!

Kupiec nie miał odwagi nie przyjąć.

Mnich klasztorny znów nie mógł się powstrzymać od wyjaśnienia wyroczni:

— Złoto do złota!

— A temu — z cukrem, — odezwał się starzec, niespodziewanie wskazując Maurycego Mikołajewicza.

Sługa nalał szklankę herbaty i podał przez omyłkę elegancikowi w binoklach. Semion Jakowlewicz poprawił omyłkę.

— Długiemu, długiemu...

Maurycy Mikołajewicz wziął szklankę, ukłonił się po wojskowemu i zaczął pić. Niewiadomo dlaczego wszyscy nasi pokładali się ze śmiechu.

— Maurycy Mikołajewiczu, — odezwała się raptem Liza. — Ten mężczyzna, który klęczał, już poszedł; niech pan klęknie na jego miejscu.

Maurycy Mikołajewicz spojrzał na nią zdziwiony.

Liza jednak nie ustępowała i zaczęła mówić szybko, nerwowo, uparcie.

— Ja proszę pana! Pan mi sprawi wielką przyjem-

ność, Maurycy Mikołajewiczu! Niech pan koniecznie klęknie. Ja chcę widzieć, jak pan będzie klęczał. Jeżeli pan nie klęknie, może mi się pan więcej nie pokazywać na oczy. Ja tak chcę, chcę koniecznie.

Nie wiem, o co jej chodziło. Lecz żądała uparcie, bezlitośnie, jak w ataku. Maurycy Mikołajewicz tłumaczył sobie zwykle te jej kaprysy, coraz częstsze w czasach ostatnich, — jako wybuch ślepej nienawiści do niego. Wiedział nawet, że ona go szanuje, lubi, nie czuje do niego gniewu, lecz wyczuwał stale tą półświadomą nienawiść, której Liza chwilami nie umiała powściągnąć.

W milczeniu oddał szklankę jakiejś staruszce, która stała obok niego, otworzył drzwiczki w przegródce, wszedł bez upoważnienia do części pokoju, gdzie siedział starzec i wobec wszystkich klęknął pośrodku pokoju. Przypuszczam, że musiała nim wstrząsnąć ordynarna, kpiarska fantazja Lizy, przy tylu ludziach. Może pomyślał, że zawstydzi się sama, zobaczywszy, jak on na jej rozkaz się poniża. Sądzę, że nikt oprócz niego nie próbowałby naprawiać kobiety w sposób tak naiwny i ryzykowny. Klęczał z całkowitą powagą na twarzy, długi, śmieszny, niezgrabny w tej pozie. „Nasi" nie śmieli się. Niespodzianość uczynku wywołała dziwne wrażenie. Wszyscy patrzyli na Lizę.

— Olej, olej! — wymówił starzec.

Liza zbladła, krzyknęła i z jakimś jękiem rzuciła się za przegródkę. Tu nastąpiła gwałtowna, histeryczna scena. Liza ze wszystkich sił starała się podnieść Maurycego Mikołajewicza, szarpiąc go za łokieć.

— Niech pan wstanie! — krzyczała zapamiętale. — Zaraz, natychmiast! Jak pan śmiał.

Maurycy Mikołajewicz podniósł się. Liza schwyciła go rękami wyżej łokcia i przenikliwie spojrzała mu w oczy. W jej spojrzeniu był strach.

Semion Jakowlewicz powtórzył znowu:

— Miłowdzięki, miłowdzięki!

Nakoniec Liza wyciągnęła Maurycego Mikołajewicza za przegródkę. Wśród naszych zapanował pewien popłoch. Ta dama, która już dwakroć się odzywała, chciała widocz-

nie zatrzeć wrażenie i znowu zapytała z kokieteryjnym uśmiechem.

— Cóż Semionie Jakowlewiczu? Czyż nic mi nie obwieścisz? Tak bardzo liczyłam na ciebie...

Starzec spojrzał na nią i raptem odezwał się w sposób najstraszliwiej niecenzuralny:

— Do... z tobą! Do... z tobą!

Słowa te wypowiedziane były z wściekłością i przeraźliwie wyraźnie. Nasze panie zaczęły piszczeć i rzuciły się z pokoju. Mężczyźni śmieli się do rozpuku. Tak skończyła się nasza wyprawa do starca.

Tu jednak miała miejsce pewna znamienna a zagadkowa okoliczność. Przyznam się, że właśnie ze względu na nią opisałem tak szczegółowo naszą wycieczkę.

Gdy wszyscy tłumnie rzucili się z pokoju, Liza, podtrzymywana przez Maurycego Mikołajewicza, zetknęła się w drzwiach, w ciasnocie, z Mikołajem Stawroginem. Trzeba dodać, że od pamiętnego poranku niedzielnego spotykali się oni ze sobą parokrotnie, lecz nie podchodzili jedno do drugiego i nie zamienili między sobą ani jednego słowa. Widziałem, jak zetknęli się teraz we drzwiach. Wydało mi się, że oboje zatrzymali się na chwilę i jakoś dziwnie spojrzeli na siebie. Może mi się tak tylko wydało w tłumie. Lecz zapewniano mnie, zupełnie poważnie, że Liza, spojrzawszy na Stawrogina, podniosła rękę i zbliżyła ją do jego twarzy, i napewnoby uderzyła, gdyby nie to, że zdążył się odsunąć. Może nie podobał się jej wyraz jego twarzy, jakiś jego uśmiech, zwłaszcza teraz, po scenie z Maurycym Mikołajewiczem. Przyznam się, że sam nic nie widziałem, lecz twierdzili tak wszyscy, chociaż w tłumie nie mogli tego zauważyć wszyscy, chyba tylko niektórzy. Wtedy nie uwierzyłem. Pamiętam jednak, że Stawrogin potem przez całą drogę powrotną był bledszy, niż zwykle.

III.

W tym samym mniej więcej czasie odbyło się wreszcie spotkanie Stepana Trofimowicza z Barbarą Piotrowną, zamierzone przez nią i zapowiedziane przyjacielowi już

oddawna, dotychczas jednak odkładane z dnia na dzień. Miejscem spotkania były Skworeszniki. Barbara Piotrowna przyjechała do swej zamiejskiej rezydencji mocno zakłopotana. W przeddzień ustalono ostatecznie, iż bal odbędzie się u p. marszałkowej. Barbara Piotrowna skombinowała jednak odrazu, że nikt nie zabroni jej potem wydać własny bal w Skworesznikach i ściągnąć do siebie cały tłum ludzi. Przekonają się wtedy wszyscy, czyje apartamenta są wystawniejsze i kto potrafi lepiej przyjąć gości i z większym smakiem urządzić bal. Zmieniła się w tym okresie nie do poznania. Zdawało się, że się zupełnie odrodziła i z dawniejszej „damy o wyższym polocie", jak ją określał Stepan Trofimowicz, przekształciła się w najzwyklejszą lekkomyślną damę światową. Były to prawdopodobnie tylko pozory.

Przybywszy do pustego domu, obeszła wszystkie pokoje w towarzystwie wiernego, niezawodnego Aleksego Jegorowicza i Fomuszki, który znał się na rzeczach i uchodził za specjalistę od sztuki dekoracyjnej. Rozpoczęły się narady i namysły: jakie meble trzeba przywieźć z miejskiego domu; jakie rzeczy i obrazy; jak to wszystko porozstawiać; jak wykorzystać oranżerję i kwiaty; gdzie zawiesić draperję; gdzie bufet postawić; jeden bufet, czy dwa? I tak dalej, i tak dalej. W czasie najgorętszych rozpraw, kazała znienacka posłać karetę po Stepana Trofimowicza.

Stepan Trofimowicz zdawna był gotów i wciąż oczekiwał tego niespodziewanego wezwania. Wsiadając do karety, przeżegnał się. Rozstrzygał się jego los. Zastał przyjaciółkę w dużej sali, siedzącą w niszy na małej kanapce, przed marmurowym stolikiem, z ołówkiem w ręku. Fomuszka wymierzał arszynem wysokość okien i ścian, a Barbara Piotrowna notowała na papierze cyfry i robiła jakieś uwagi. Nie odrywając się od roboty, skinęła głową. Gdy Stepan Trofimowicz wybełkotał jakieś powitanie, podała mu rękę i wskazała, gdzie ma usiąść.

— Siedziałem tak i czekałem pięć minut ze ściśniętem sercem, — opowiadał mi potem. — Widziałem przed sobą inną kobietę, niż ta, którą znałem przez całe dwadzieścia lat. Głębokie przeświadczenie, że już wszystko skończone, do-

dało mi sił, aż sama musiała się zdziwić. Przysięgam panu, że zdumiona była stanowczością moją w tę ostatnią godzinę.

Barbara Piotrowna w pewnej chwili odłożyła ołówek i szybko odwróciła się do Stepana Trofimowicza.

— Muszę się z panem rozmówić. Wiem, że ma pan na pogotowiu wszystkie swe wyszukane słówka i frazesy. Czy nie lepiej jednakże przystąpić wprost do rzeczy?

Żachnął się. Zbyt gwałtownie podkreślała odrazu swój ton. Cóż dalej będzie?

Barbara Piotrowna szybko mówiła dalej.

— Niech pan poczeka, niech pan milczy. Pierwej ja powiem, a potem pan, — chociaż nie wyobrażam sobie, co może mi pan odpowiedzieć. Tysiąc dwieście rubli pensji dla pana uważam za swój święty obowiązek, aż do śmierci pańskiej. Co tam zresztą święty obowiązek? Poprostu umowa. Jeżeli panu na tem zależy, możemy ją spisać. Na wypadek mojej śmierci już poczyniłam zarządzenia. Lecz pan otrzymuje oprócz tego mieszkanie, usługę i utrzymanie. Jeżeli wszystko skalkulować w pieniądzach — wyniesie to tysiąc pięćset. Prawda. Dodaję trzysta na nadzwyczajne wydatki i mamy razem trzy tysiące. Czy to panu wystarcza? Chyba tak? W wypadkach zupełnie nadzwyczajnych, coś jeszcze dodam. Niech więc pan bierze pieniądze, odeśle mi moich ludzi i mieszka gdzie chce. W Petersburgu, w Moskwie, zagranicą, tu zresztą, byle nie u mnie. Zrozumiał pan?

Stepan Trofimowicz odpowiedział wolno, ze smutną wyrazistością, podkreślając każde słowo.

— Nie tak dawno te same usta tak samo pośpiesznie i stanowczo rzuciły mi inne żądanie. Poddałem się. Tańczyłem, jak pani grała. *Oui, la comparaison peut être permise. C'était comme un petit Kozak du Don, qui sautait sur sa propre tombe.* Teraz zaś...

— Niech się pan zatrzyma, Stepanie Trofimowiczu. Pan jest zbyt wielomówny. Pan nie skakał, lecz wyszedł wtedy do mnie w nowym krawacie i koszuli, w rękawiczkach, naperfumowany, wypomadowany. Pan strasznie chciał się żenić. Widać to było z twarzy pańskiej. Wierz mi pan, że wyraz twarzy pańskiej nie był zbyt wytworny. Jeżelim

wtedy nie zwróciła na to pańskiej uwagi, to jedynie przez delikatność. Lecz pan chciał, pan pragnął się żenić, pomimo tych wszystkich obrzydliwości, które pan w listach wypisywał o mnie i o pańskiej narzeczonej. Teraz już zupełnie co innego. Co ma tu do czynienia jakiś *Kozak du Don* nad jakąś tam mogiłą? Nie rozumiem tego porównania. Nie potrzebuje pan wcale umierać. Niech pan żyje jak najdłużej. Będę bardzo rada.

— W przytułku?

— Dlaczego w przytułku? Kto ma trzy tysiące rocznie, nie potrzebuje iść do przytułku. Ach, przypominam sobie. To Piotr Stepanowicz kiedyś żartował o tym przytułku. Ma to być jakiś zupełnie specjalny przytułek, nad którym warto się zastanowić. Jest on przeznaczony dla najsolidniejszych osób. Są tam pułkownicy. Nawet jakiś generał chce się tam dostać. Jeżeli pan ulokuje się tam, mając swoje pieniądze, znajdzie pan tam spokój, wygodę, usługę. Będzie pan tam pracował naukowo, a partyjka preferansa znajdzie się zawsze.

— *Passons!*

— Dlaczego *passons?* — Oburzyła się Barbara Piotrowna. W każdym razie koniec rozmowy. Poinformowałam pana i od dzisiaj każde z nas żyje osobno.

— I to już wszystko? Po dwudziestu latach? To ostatnie pożegnanie?

— Pan strasznie lubi wykrzykniki, Stepanie Trofimowiczu. To wyszło już z mody. Tamci mówią ordynarnie, lecz prościej. Ciągle o tych dwudziestu latach! Dwadzieścia lat wzajemnego samolubstwa, i nic więcej. Każdy list pański do mnie pisany był nie dla mnie, lecz dla potomności. Pan jesteś stylistą, a nie przyjacielem. Przyjaźń — to tylko frazes. W istocie zaś było to wzajemne wylewanie pomyj.

— Boże! Ile cudzych słów! Wykute lekcje! Już panią nawet zdążyli przebrać po swojemu. Pani jest w upojeniu, pani jest w słońcu. *Chère, chère!* Za jaką polewkę sprzedała im pani wolność swoją!

Barbara Piotrowna oburzyła się.

— Nie jestem papugą, abym powtarzała cudze słowa! Niech mi pan wierzy, że nagromadziły mi się własne. A có-

żeś pan zrobił dla mnie przez te dwadzieścia lat? Pan mi żałował nawet tych książek, które sprowadzałam dla pana. A gdyby nie introligator, byłyby dotychczas nierozcięte. Cóżeś mi pan dawał do czytania, gdym w pierwszych latach prosiła o wskazówki? Wciąż Kapfiga i Kapfiga. Pan bał się zazdrośnie o mój rozwój umysłowy i hamował go. A tymczasem właśnie z pana wszyscy się śmieją. Przyznam się, że zawsze miałam pana tylko za krytyka. Pan jesteś krytykiem literackim i niczem więcej. Gdym po drodze do Petersburga zwierzyła się panu z zamiaru wydawania pisma i poświęcenia mu całego życia, pan spojrzał na mnie ironicznie i stał się odrazu strasznie wyniosłym.

— To zupełnie co innego... baliśmy się wtedy represyj...

— To właśnie to samo, a żadnych represyj wtedy w Petersburgu pan się nie mógł obawiać. Pamięta pan wtedy w lutym, gdy się rozniosły pewne wieści, jak pan przybiegł do mnie przerażony i żądał listownego zaświadczenia, że z zamierzonem pismem pan nie miał nic wspólnego, że tamta młodzież bywała u mnie, a nie u pana, i że pan jesteś tylko nauczycielem domowym, mieszkającym u mnie z powodu niewypłacenia mu zaległej gaży. Pan to pamięta? O, pan się umiał zawsze odznaczyć, Stepanie Trofimowiczu.

— To była tylko chwila małoduszności, — ze smutkiem w głosie oświadczył Stepan Trofimowicz. — Czyż jednak można zerwać wszystko z powodu takich wrażeń przelotnych? Czyż nic innego nie było między nami wciągu lat dwudziestu?

— Pan jest niesłychanie praktyczny. Pan chciałby tak rzecz obrócić, abym ja pozostała dłużniczką. Gdyś pan powrócił z zagranicy, patrzył pan na mnie z góry i nie dawał mi przyjść do słowa. A gdy potem pojechałam sama i zaczęłam po powrocie opisywać panu wrażenia moje z widoku Madonny, pan nie chciał słuchać i uśmiechał się wyniośle, jakgdybym niezdolna była do takich samych uczuć, jak pańskie.

— To było co innego. Napewno co innego. *J'ai oublié.*

— Nie, to było właśnie to. A nie miał pan czego się chełpić, bo to wszystko głupstwo i wymysł. Teraz już nikt nie zachwyca się Madonną i nie traci na to czasu, chyba zatwardziali staruszkowie. To już dowiedzione.

— Aż dowiedzione?

— Madonna jest zupełnie do niczego. Ten dzbanek jest pożyteczny, gdyż można wlać w niego wodę. Ten ołówek jest pożyteczny, gdyż służy do pisania. A tam — tylko twarz kobieca, brzydsza od innych twarzy żywych. Niech pan namaluje jabłko i położy obok jabłko prawdziwe. Które z nich pan wybierze? Tu już pan omyłki nie popełni. Do tego sprowadzają się wszystkie dawne teorje, gdy padnie na nie pierwszy promień wolnego badania.

— Tak, tak...

— Pan się uśmiecha ironicznie... A coś mi pan plótł o jałmużnie? Teraz już wiem, że rozkosz jałmużny jest rozkoszą dumną i niemoralną, jest upajaniem się bogacza swemi bogactwami, swą władzą i przewagą nad nędzarzem. Jałmużna demoralizuje i ofiarodawcę i obdarzonego, a przytem rozmija się z celem, gdyż jedynie wzmaga i utrwala nędzę. Leniuchy, nie chcące pracować, tłoczą się wokół ludzi szczodrych, jak gracze naokoło stołu gry, w nadziei na uśmiech losu. Tych zaś nędznych okruchów, rzucanych tłumom nie wystarcza nawet na zaspokojenie setnej części ich pragnień. Czyś sam pan dużo rozdał w swem życiu? Osiemdziesiąt kopiejek, nie więcej. Niech pan sobie przypomni. Kiedyś pan po raz ostatni dawał jałmużnę? Dwa lata temu, może nawet cztery. Pan dużo gada i tylko szkodzi sprawie. W dzisiejszem społeczeństwie jałmużna powinna być surowo wzbroniona. W przyszłym ustroju nie będzie nędzarzy.

— Ach, co za gejzer cudzych frazesów! Już nawet doszliśmy do nowego ustroju! Nieszczęsna! Na miły Bóg!

— Tak, doszliśmy, Stepanie Trofimowiczu. Pan skrzętnie ukrywał przede mną nowe idee, dziś znane już wszystkim, a robił to tylko przez zazdrość, aby czuć swoją przewagę nade mną. A teraz nawet ta Julja wyprzedziła mnie o sto wiorst. Lecz i ja przejrzałam. Broniłam pana, Stepanie Trofimowiczu, dopóki mogłam. Wszyscy oskarżają pana.

Stepan Trofimowicz zerwał się z miejsca.

— Dość już tego! Dość! Czego mam życzyć pani? Chyba skruchy.

— Niech pan usiądzie, Stepanie Trofimowiczu. Chcę pana o coś zapytać. Czy zaproszono pana do udziału w poranku literackim? To za mojem pośrednictwem. Co pan ma zamiar zaprodukować?

— Właśnie o tej królowej królowych, o tym ideale ludzkości, o Madonnie Sykstyńskiej, która zdaniem pani nie jest warta tyle, co dzbanek lub ołówek.

Barbara Piotrowna wyraziła niezadowolone zdziwienie.

— Więc nic z historji? W takim razie nikt słuchać nie będzie. Że też pan wbił sobie w głowę tę Madonnę! Chce się też panu usypiać słuchaczów! Bądź pan pewien, Stepanie Trofimowiczu, że chodzi mi tylko o pańskie dobro. Zupełnie byłoby inaczej, gdyby pan wziął jakąś króciutką, lecz ciekawą historyjkę dworską z czasów średniowecza, z życia Hiszpanji, jakąś zwykłą anegdotę i wypełnił ją innemi własnemi dowcipami. Tam były wspaniałe zamczyska, piękne damy, morderstwa, trucizny, gdyby nawet z historji hiszpańskiej nie udało się wykrzesać czegoś ciekawego.

— Karmazinow, ten zużyty głupiec, szuka dla mnie tematu?

— Karmazinow jest mężem o umyśle wyjątkowym. Pan jesteś zbyt zuchwały, Stepanie Trofimowiczu.

— Karmazinow — jest to stary babsztyl, który się wypisał i przesiąkł żółcią. *Chère, chère*, od jak dawna poddała się pani ich urokowi? Mój Boże!

— Ja i teraz nie znoszę go za jego arogancję, muszę jednak oddać mu sprawiedliwość, że ma rozum. Powtarzam, że broniłam pana z całych sił, dopóki mogłam. I poco pan wciąż pokazuje, że jest śmieszny i nudny. Niech pan wyjdzie na estradę z poważnym uśmiechem, jak to przystało przedstawicielowi minionej epoki, i niech pan powie trzy anegdoty, lecz tak dowcipnie, jak tylko pan czasem to umie. Niech już tam będzie, że jest już pan za stary, niech tam będzie, że pan należy do innej epoki i że tamci zdystansowali pana! Dobrze. Sam się pan przyzna do tego w przed-

mowie, i oto wszyscy nabiorą przekonania, że z pana jest miły, dobry, dowcipny antyk. Że jest pan człowiekiem starej daty, a jednocześnie tak współczesnym, że sam potrafi uznać potworność wierzeń, którym pan hołdował. Niech pan dla mnie to zrobi. Tak proszę.

— *Chère*, dość tego! Niech pani nie prosi napróżno. Nie mogę. Powiem o Madonnie i wywołam burzę, która albo ich wszystkich powali, albo zabije mnie jednego.

— Napewno pana jednego, Stepanie Trofimowiczu.

— Taki mój los. Opowiem im o podłym niewolniku, o zaśmierdłym, spodlałym lokaju, który stanie pierwszy na drabinie z nożycami w ręku i rozetnie boskie oblicze wielkiego ideału, w imię równości, w imię zawiści, i w imię trawienia. Niech zabrzmi moje przekleństwo, a wtedy, wtedy...

— Do domu warjatów?

— Może. W każdym razie, padnę, czy zwyciężę, wezmę tego samego dnia moją torbę, torbę żebraczą, porzucę cały dobytek mój i wszystkie dary pani, wszystkie pensje i obietnice dobrodziejstw i pójdę piechotą, aby dokonać żywota jako guwerner u kupca, albo też umrzeć z głodu pod płotem. Rzekłem. *Alea jacta est!*

Znów powstał z miejsca.

Barbara Piotrowna zerwała się także. Iskrzyły się jej oczy.

— Wiedziałam, wiedziałam oddawna, że żyje pan poto tylko, aby na stare lata hańbić oszczerstwem mnie i mój dom. Co pan chce stwierdzić swoim kupcem, albo tą śmiercią pod płotem? To tylko złość, oszczerstwo, nic więcej!

— Pani zawsze pogardzała mną, ja jednak skończę, jak rycerz, wierny swej oblubienicy. Opinja pani była dla mnie zawsze najdroższa. Od tej chwili niczego już od pani nie przyjmę, i czcił ją będę bezinteresownie.

— Jakie to głupie!

— Pani nigdy nie szanowała mnie. Mogłem mieć masę słabostek. Tak, objadałem panią: używam gwary nihilizmu. Lecz objadanie nigdy nie było pobudką mego postępowania. To się stało samo przez się, nie wiem jak... Myślałem zawsze, że łączy nas coś więcej, niż jedzenie i nigdy,

nigdy się nie spodliłem. A teraz w drogę! Odkupmy winy! W późną drogę. Na dworze już jesień późna, mgła wisi nad polami, zimny, starczy szron pokrył przyszły mój szlak. Lecz w drogę, w drogę, w nową drogę:

„Pełen czystego kochania,
Wierny swych marzeń słodyczy"...

Żegnajcie marzenia moje! Dwadzieścia lat! *Alea jacta est!*

Twarz jego sperliły łzy. Wziął do ręki kapelusz.

— Nie rozumiem po łacinie, — wymówiła Barbara Piotrowna, starając się zapanować nad sobą.

Może także chciało się jej płakać, lecz kaprys i oburzenie raz jeszcze zwyciężyły.

— Wiem tylko, że to wszystko są figle. Nigdy w życiu nie będzie pan w stanie spełnić swej groźby, pełnej egoizmu. Nigdzie pan nie pójdzie, do żadnego kupca. Najspokojniej skończy pan żywot u mnie, otrzymując pensję i zgromadzając u siebie we wtorki swych niepodobnych do ludzi przyjaciół. Żegnam pana, Stepanie Trofimowiczu!

— *Alea jacta est!* — powtórzył Stepan Trofimowicz. Złożywszy niski ukłon wyszedł i wrócił do domu, ledwo żywy od silnego wzruszenia.

TEODOR DOSTOJEWSKI

DZIEŁA

Serja 3. Tom III i IV

POD REDAKCJĄ
MELCHJORA WAŃKOWICZA
POPRZEDZONE STUDJUM
ANDRZEJA STRUGA

TEODOR DOSTOJEWSKI

BIESY

1928

Towarzystwo Wydawnicze „Rój"

PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU
TADEUSZ ZAGÓRSKI

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Szpitalna 12

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

KŁOPOTY PIOTRA STEPANOWICZA.

I.

Dzień balu wyznaczono ostatecznie, i von Lembke z dnia na dzień stawał się coraz smutniejszy, coraz więcej zafrasowany. Dręczyły go jakieś dziwne, złowrogie przeczucia, co niepokoiło bardzo panią gubernatorową. Istotnie, nie wszystko było w porządku. Poprzednik Lembkego, zbyt dobrotliwy człowiek, pozostawił gubernję w stanie nieświetnym. A teraz groziła epidemja cholery. W wielu miejscach padł mór na bydło. Przez całe lato w miastach i wsiach szalały pożary, i wśród ludu coraz mocniej ustalały się pogłoski o podpalaczach. Rabunki były dwakroć częstsze niż zwykle. To wszystko jeszcze było dość normalne. Lecz inne, poważniejsze przyczyny pozbawiały spokoju szczęśliwego dotychczas Andrzeja Antonowicza.

Dziwiło panią gubernatorową, że jej małżonek stawał się z dnia na dzień coraz bardziej milczący i zamknięty w sobie. Cóż takiego miał do ukrywania? Rzadko jej przeczył i w większości wypadków był uległy. Pod jej wpływem zostały parokrotnie zastosowane środki niesłychanie ryzykowne i nieomal bezprawne, które miały wzmocnić władzę gubernatora. Niektórzy ludzie, którzy warci byli sądu i Sybiru, za jej namową zostali przedstawieni do odznaczeń. Na niektóre skargi i pytania postanowiono systematycznie nie

odpowiadać. Te rzeczy stały się wiadome później. Lembke podpisywał wszystko i nawet nie zastanawiał się nad rolą małżonki w zarządzie gubernją. Lecz czasem stawał dęba z powodu drobiazgów i wprowadzał tem Julję Michajłownę w zdumienie. Widocznie chciał wynagrodzić sobie dni posłuszeństwa minutami buntu. Julja Michajłowna, pomimo całej przenikliwości swojej, nie mogła zrozumieć tego szlachetnego impulsu tej szlachetnej duszy. Nie miała czasu nad tem się zastanawiać. Dlatego też zaszło tyle nieporozumień.

Nie mogę i nie umiem opowiadać o niektórych rzeczach. Zastanawianie się nad omyłkami administracyjnemi także nie do mnie należy. Wogóle odsuwam nabok całą tę stronę administracyjną. Gdym zaczął opowieść moją, postawiłem sobie inne zadanie. Zresztą dużo rzeczy wykryje dochodzenie, rozpoczęte już u nas. Poczekajmy trochę. W każdym razie niektóre wyjaśnienia są i tu konieczne.

Powróćmy jednak do pani gubernatorowej. Ta biedna kobieta (żałuję jej szczerze) mogłaby osiągnąć wszystko, co ją tak nęciło (sławę i resztę) bez tak gwałtownych i ekscentrycznych posunięć, jakie stosowała od samego początku. Czy z nadmiaru fantazji, czy pod wpływem smutnych niepowodzeń pierwszej młodości, wraz ze zmianą losu poczuła się natychmiast powołaną do spełniania nowej roli. Jakgdyby nad nią „zapalił się język ognisty", a w tem właśnie tkwiła cała bieda. To już nie są loczki do upiększania główki kobiecej. Lecz trudno kobietę przekonać o tej prawdzie. Wierzy tym tylko, którzy jej przytakują. Przytakiwali jej liczni. Biedaczka stała się wkrótce areną najrozmaitszych wpływów, wierząc jednocześnie w oryginalność własną. Niejeden spryciarz zagrzał rączki przy niej i wyzyskał jej łatwowierność w krótkim okresie jej rządów. I co za mieszanina pojęć była tu pod pozorami samodzielności! Podobały się jej wielkie latyfundja, i żywioł arystokratyczny, i wzmacnianie władzy gubernatorskiej, i żywioł demokratyczny, i nowe instytucje, i ład, i wolność, i idee społeczne, i ton surowy arystokratycznych salonów, i bulwarowa rozwiązłość otaczającej ją młodzieży. Chciała uszczęśliwiać i godzić największe sprzeczności, właściwie

zaś chciała wszystkich zjednoczyć w ubóstwianiu jej własnej osoby. Miała i faworytów. Młody Werchoweński, który schlebiał jej we wszystkiem, pozyskał jej łaski. Był jeszcze inny powód tych łask, najdziwaczniejszy, a tak charakterystyczny dla niej. Trudno uwierzyć, lecz tak było istotnie! Przyśniło się jej, że w gubernji naszej został uknuty spisek antypaństwowy. Wierchowieński, czasem przez milczenie, czasem przez rzucanie półsłówek, przyczynił się do utrwalenia w niej tej myśli. Była zaś przekonana, że jakieś nici łączą go ze wszystkiem w Rosji, co żyje rewolucją, i że jednocześnie jest on do niej, gubernatorowej, przywiązany bezgranicznie. Wykrycie spisku, wdzięczność Petersburga, duża karjera, a jednocześnie oddziaływanie na młodzież drogą łagodności, w celu zatrzymania jej nad przepaścią, — wszystko to jakoś godziło się w jej fantastycznej głowie. Przecież potrafiła uratować i ukorzyć Piotra Stepanowicza, była o tem najmocniej przekonana. Potrafi uratować i innych. Nikt z nich nie zginie. Uratuje wszystkich. Podzieli na kategorje. Tak zakomunikuje o nich. Zrobi to w interesie wyższej sprawiedliwości. Być może, iż historja i cały liberalizm rosyjski będą błogosławiły jej imię. A spisek bądź co bądź zostanie wykryty. Wszystkie korzyści odrazu.

Trzeba było w każdym razie postarać się o to, aby przynajmniej na dzień balu gubernator rozjaśnił oblicze. Trzeba było rozweselić go i uspokoić. W tym celu Julja Michałowna wysłała swego ulubieńca, przekonana, iż Wierchowieński potrafi znaleźć jakiś środek uspakajający. Może nawet poczyni jakieś rewelacje, — z pierwszego źródła. Liczyła bardzo na jego spryt. Piotr Stepanowicz już dawno nie był w gabinecie Lembkego. Wyruszył do niego w chwili, kiedy pacjent był w wyjątkowo podłym nastroju.

II.

Istniało pewne zawikłanie, którego von Lembke nie mógł żadną miarą sam rozstrzygnąć. W jednym z powiatów, w tym samym, w którym niedawno ucztował Piotr Stepanowicz, pewien podporucznik otrzymał naganę ustną od bezpośredniego zwierzchnika. Działo się to w obliczu całej

kompanji. Podporucznik ów niedawno przyjechał z Petersburga. Był to człowiek jeszcze młody, zwykle milczący i ponury, o wyglądzie poważnym, chociaż niziutki, gruby i rumiany. Nie zniósł nagany i rzucił się na zwierzchnika z nieoczekiwanie piskliwym okrzykiem, który wprowadził w zdumienie całą kompanję. Dziwacznie pochylił głowę, uderzył zwierzchnika i z całej siły ugryzł go w ramię. Ledwo go oderwano. Nie było wątpliwości, że zwarjował. Wyjaśniło się, że skonstatowano w nim w czasach ostatnich szereg niemożliwych dziwactw. Wyrzucił naprzykład z mieszkania dwa święte obrazy, należące do gospodarza, a jeden z nich porąbał toporem. W pokoju swoim rozłożył na podstawkach, jak na ołtarzykach dzieła Vogta, Molechotta i Büchnera, i przed każdym ołtarzykiem zapalał woskowe świece cerkiewne. Z ilości książek, znalezionych u niego, można było wnioskować, że jest to człowiek oczytany. Gdyby rozporządzał jakiemi pięćdziesięcioma tysiącami franków, prawdopodobnie popłynąłby w świat, może na wyspy Markizkie, jak ów „kadet" z tak wesołym humorem opisany w jednym z utworów Hercena. Gdy go aresztowano, znaleziono w kieszeniach i w mieszkaniu całą kupę najokropniejszych proklamacyj.

Same proklamacje — to jeszcze niewielkie nieszczęście. Czy to mało widywaliśmy ich w czasach ostatnich? Zresztą nie były to nawet jakieś nowe proklamacje. Takie same rozsypane zostały niedawno po Ch—ej gubernji. Liputin, który przed sześciu tygodniami wyjeżdżał na wieś i do sąsiedniej gubernji, twierdził, że i tam widział zupełnie takie same świstki. Zastanowiło jednak von Lembkego, iż zarządzający fabryką szpigulinowską dostarczył w tym samym czasie do urzędu policyjnego parę takich samych papierków, jak te, które znaleziono u podporucznika. Podrzucono je w nocy na fabryce. Paczki nie były jeszcze rozpakowane, i żaden z robotników nie zdążył nic przeczytać. Fakt sam przez się nie był nazbyt ważny, lecz gubernator zadumał się głęboko. Sprawa przedstawiała mu się w kształcie nader skomplikowanym.

W fabryce tej rozpoczęła się właśnie „Historja Szpigulinowska", o której tak dużo mówiono u nas i która prze-

dostała się nawet , w najrozmaitszych wersjach, i do prasy stołecznej. Trzy tygodnie temu zachorował tam na cholerę azjatycką i umarł jeden robotnik. Potem zachorowało jeszcze kilku ludzi. W mieście wywołało to panikę, gdyż cholera przedostawała się tu z sąsiedniej gubernji. Zastosowano odpowiednie środki sanitarne w celu niedopuszczenia strasznego gościa. Lecz fabrykę Szpigulinych, miljonerów o szerokich stosunkach, jakoś przeoczono. Rozpoczęły się hałasy, że tu właśnie kryje się źródło choroby. W fabryce a zwłaszcza w mieszkaniach robotników stoją tak zadawnione brudy, że gdyby nawet nie było epidemji, musiałaby choroba sama rozpocząć się tu. Natychmiast zwrócono na to należną uwagę i Lembke energicznie dopilnował, aby oczyszczono fabrykę. Wciągu trzech tygodni zostało to zrobione, lecz właściciele, z niewiadomych powodów, zamknęli fabrykę. Jeden z braci Szpigulinych stale mieszkał w Petersburgu, drugi zaś wyjechał do Moskwy natychmiast po rozkazie oczyszczenia fabryki. Rządca rozpoczął rozrachunek z robotnikami i podobno, jak się później wyjaśniło, najhaniebniej ich oszukiwał. Robotnicy zaczęli szemrać, żądali sprawiedliwego obrachunku, przez naiwność chodzili nawet ze skargą do policji, lecz bez nadmiernego hałasu i bez żadnych sukcesów. W tym właśnie czasie doręczono Lembkemu przyniesione przez rządcę proklamacje.

Piotr Stepanowicz wpadł do gabinetu bez meldowania się, jako dobry przyjaciel i domownik, tem bardziej, że miał polecenie od Julji Michajłowny. Lembke, zobaczywszy go, zachmurzył się i z niezbyt uprzejmą miną zatrzymał się przy stole. Przedtem chodził wzdłuż gabinetu i rozmawiał w cztery oczy z urzędnikiem swojej kancelarji, Blumem, niezgrabnym i ponurym Niemcem, przywiezionym z Petersburga pomimo opozycji Julji Michajłowny. Gdy wszedł Wierchowieński, Blum cofnął się do drzwi, lecz nie opuścił gabinetu. Piotr Stepanowicz miał nawet wrażenie, że Lembke i Blum spojrzeli na siebie bardzo znacząco

— Ach, złapałem pana, ponury władco! — wołał ze śmiechem Piotr Stepanowicz i nakrył dłonią proklamację, leżącą na stole. — Powiększa pan swoją kolekcję? Co?

Lembke obruszył się. Twarz jego wykrzywiła się jakoś, zaczął krzyczeć z gniewem w głosie.

— Daj pan spokój! Zostaw pan! Jak pan śmie?

— O co panu chodzi? Mam wrażenie, że pan się gniewa.

— Zwracam uwagę pańską, że nie zamierzam znosić dłużej pańskiej sanfasonerji. Proszę nie zapominać, że....

— Tam, do djabła, on rzeczywiście się gniewa...

Lembke zaczął tupać nogami po dywanie.

— Milcz pan, milcz! Nie waż się pan!

Niewiadomo, jakby się to skończyło. Wchodziła tu w grę jeszcze pewna okoliczność, nieznana ani Piotrowi Stepanowiczowi, ani nawet pani gubernatorowej. Nieszczęśliwy Lembke doszedł w ostatnich czasach do takiego zdenerwowania, że zaczął czuć zazdrość do Piotra Stepanowicza o żonę. W samotności, zwłaszcza po nocach, przechodził męczarnie.

Piotr Stepanowicz odezwał się z godnością.

— Miałem prawo przypuszczać, że człowiek, który przez dwa wieczory do późnej nocy czyta mi swój romans i pragnie poznać moją opinję, sam, do pewnego stopnia, zabija ton oficjalny... Julja Michajłowna traktuje mnie, jako bliskiego człowieka... Jak tu zorjentować się? — *A propos*. Zwracam panu ten romans. Położył na stole duży, gruby, skręcony w trąbkę zeszyt, zawinięty w niebieski papierek.

Lembke zaczerwienił się, stracił tupet i ostrożnie zapytał.

— Gdzieżeś to pan odnalazł?

Nie chciał zdradzić radości swojej, lecz była ona zbyt widoczna.

— Niech pan sobie wyobrazi, zeszyt, zwinięty jak był, stoczył się za komodę. Widocznie wtedy, wróciwszy do domu, nieostrożnie rzuciłem. Odnaleziono to przed trzema dniami w czasie mycia podłogi. Sprawił mi pan kłopot nielada.

Lembke surowo spuścił oczy.

— Dwie noce nie spałem z pańskiej łaski. Znaleziono powieść przed trzema dniami. Zatrzymałem u siebie.

W dzień nie mam czasu. Czytałem w nocy. Nie podoba mi się. Myśl obca mi. Zresztą mniejsza o to. Nie byłem nigdy krytykiem. Lecz oderwać się nie mogłem, chociaż irytowałem się. Czwarty i piąty rozdział... to już naprawdę coś nadzwyczajnego. A tyle tam humoru! Pękałem ze śmiechu. Jak to pan umie ośmieszać *sans que cela paraisse!* Tam, w dziewiątym rozdziale, najwięcej o miłości. To nie mój styl. Lecz bardzo efektowne. Nad listem Igreniewa o mało żem się nie rozbeczał, chociaż pan to tak subtelnie naszkicował. List jest rozrzewniający, lecz widać jednocześnie, że pan chce zboku rzucić jakieś fałszywe światło. Zgadłem? Prawda? Za epilog chciałbym zbić pana. Co to za idea? To przecież stare ubóstwianie szczęścia rodzinnego, mnożenia dzieci i kapitałów, błogostanu ludzi sytych! Tak. Odurza pan czytelnika, przecież nawet ja nie mogłem się oderwać, ale przecież tem gorzej. Czytelnik jest głupi, jak zawsze; rozumni ludzie powinni go rozruszać, a pan... Ale dość już tego, żegnam pana. Na przyszłość niech się pan nie irytuje. Miałem zamiar powiedzieć panu parę słów dość ważnych. Lecz pan jest jakiś dziwny...

Lembke tymczasem wziął powieść swoją i zamknął na klucz w dębowej szafie. Mrugnął na Bluma, aby się usunął. Blum wyszedł z twarzą wyciągniętą i smutną. Już bez gniewu, lecz wciąż chmurny, Lembke usiadł przy stole i odezwał się.

— Nie jestem „jakiś dziwny", lecz poprostu mam szereg nieprzyjemności. Siadaj pan i mów o co chodzi. Lecz niech pan nigdy tak nie wpada gwałtownie... Wobec ludzi obarczonych pracą, taki sposób zachowania się jest nieodpowiedni.

— Mam zawsze ten sam sposób bycia.

— Wiem, i wierzę, że pan bez złego zamiaru. Czasem jednak ma się kłopoty. Siadaj pan.

Piotr Stepanowicz rozwalił się na otomanie i podwinął nogi.

III.

— Jakie kłopoty? Czy chodzi o te głupstwa? — wskazał na proklamacje. — Dostarczę panu takich świst-

ków, wiele pan zechce. Zaznajomiłem się z niemi jeszcze w Ch-ej gubernji.

— Wtedy, gdy pan tam mieszkał?

— No chyba! Przecież musiałem być obecny. Była tam jedna proklamacja z winjetą: na górze narysowana siekiera. Niech pan pozwoli... — wziął do rąk jedną z proklamacyj. — Ależ tak, i tu jest siekiera. To ta sama.

— Tak, siekiera. Widzi pan — siekiera.

— I cóż? Przestraszyła pana siekiera?

— Nie, nie siekiera. I wcale nie przestraszyłem się. Lecz ta sprawa, ta cała sprawa... Tu są takie okoliczności...

— Jakie? Że przyniesiono z fabryki? Che-che-che! A wie pan, że na tej fabryce robotnicy prędko zaczną sami pisać proklamacje?

— Jakto? — zdziwił się Lembke.

— A tak! Pan dziwnie na nich się zapatruje. Pan jest zbyt łagodnym człowiekiem, Andrzeju Antonowiczu. Pan pisze romanse. A tu należałoby powrócić do starych metod.

— Do jakich starych metod? Co pan mi doradza? Fabryka już oczyszczona. Rozkazałem i została oczyszczona.

— A tymczasem wśród robotników bunt. Należałoby wysmagać ich batem i wszystkoby się skończyło.

— Bunt? Głupstwo. Kazałem — i oczyściłem fabrykę.

— Ech, Andrzeju Antonowiczu! Jaki z pana miękki człowiek!

Lembke poczuł urazę.

— Przedewszystkiem wcale nie jestem taki miękki. A zresztą...

Widać było, że rozmawia z młodzieńcem z przymusu, w nadziei, że dowie się czegoś ciekawego.

— Ach, znowu stara znajoma! — przerwał mu Wierchowieński, schwyciwszy inny świstek z pod przycisku, wyglądający na proklamację, drukowany widocznie zagranicą, wierszami. — Tę to znam na pamięć. „Jasna Postać". Ależ tak: „Jasna Postać". Znam tę postać jeszcze z zagranicy. Gdzie to pan znalazł?

Lembke znów drgnął.

— Pan mówi, że widział to zagranicą?
— Ależ tak. Przed kilku miesiącami.
Lembke spojrzał na niego przenikliwie.
— A jednak pan widział dużo rzeczy tam zagranicą...
Wierchowieński, nie słuchając, zaczął czytać głośno.

Jasna Postać.

Krew nie płynie w nim szlachecka,
Pośród ludu wzrósł od dziecka;
Zemsta go ścigała carska
I okrutna pięść bojarska.
Skazał siebie na cierpienia,
Na tortury i więzienia.
Rzucał tłumom siew równości
I braterstwa i wolności.

Na dalekie krańce świata
Od carskiego umknął bata,
Rzucił więzień mrok ponury;
Sztandar buntu wzniósł do góry.
Lud, dręczony wciąż w niewoli
Chciał rwać więzy gorzkiej doli:
I w Smoleńsku i w Taszkencie
Marzył zdawna o studencie.

Pragnął iść za jego głosem,
Zmierzyć się z okrutnym losem,
Z obszarników groźnym batem,
I rozprawić się z caratem;
Całą ziemię oddać chłopom
I przekleństwo rzucić popom,
Cerkwiom, ślubom i rodzinie...
Stary świat niech marnie zginie!

— Prawdopodobnie to od tamtego oficera? co?—zapytał Wierchowieński.
— Pan znał i tego oficera?
— Rzecz prosta. Hulałem z nim tam dwa dni. Można było przewidzieć, że zwarjuje.
— Może on wcale nie warjat.

— Przecież inaczej nie rzuciłby się gryźć.

— Lecz przepraszam pana. Jeżeliś pan widział tewiersze zagranicą, a potem znaleziono je u oficera....

— Zastanawiające! Prawda? Pan mnie najwidoczniej egzaminuje, Andrzeju Antonowiczu. Widzi pan, — zaczął z całkowitą powagą: — o tem, co widziałem zagranicą, opowiedziałem już po powrocie, komu należało. Widocznie wyjaśnienia moje były uznane za wystarczające, inaczej nie uszczęśliwiłbym przyjazdem moim tej mieściny. Uważam, iż sprawy te są zlikwidowane i nie potrzebuję przed nikim składać sprawozdań. Zlikwidowane są nie dlatego, abym był denuncjantem, lecz dlatego, że inaczej nie mogłem postąpić. Ci, którzy pisali o mnie do Julji Michajłowny, znając całą sprawę, określili mnie, jako człowieka uczciwego. Dajmy jednak temu spokój. Przyszedłem zakomunikować panu rzecz bardzo poważną, i bardzo dobrze, żeś pan wyprawił za drzwi tego kominiarza. Sprawa to ważna dla mnie, Andrzeju Antonowiczu. Mam do pana jedną nadzwyczajną prośbę.

— Prośbę? No, słucham. Czekam i przyznam się, że jestem zaciekawiony. Wogóle, Piotrze Stepanowiczu, pan mnie nieraz zadziwia.

Lembke był trochę podniecony. Wierchowieński założył nogę na nogę. Zaczął mówić:

— W Petersburgu byłem szczery pod wielu względami. Lecz o niektórych rzeczach, naprzykład o tem (wskazał na „Jasną Postać") nie mówiłem. Nie warto było mówić, a zresztą odpowiadałem tylko na pytania. Nie lubię zanadto się wysilać. W tem cała różnica między nikczemnikiem a uczciwym człowiekiem, zmuszonym przez okoliczności. Nie o to jednak chodzi. Lecz teraz, gdy ci głupcy... gdy wszystko wyszło najaw i jest u pana w garści, a przed panem, jak widzę, nic się nie ukryje, — pan ma dobre oczy i trzeba z panem mieć się na baczności, — a ci głupcy wciąż robią swoje, ja... ja... słowem, przyszedłem prosić pana o uratowanie jednego człowieka, także głupca, może nawet warjata. Pan się zlituje nad nim w imię jego młodości, jego nieszczęść, w imię pańskiej ludzkości... Przecież nietylko w romansach własnego wyrobu jest pan tak ludzki.

Ostatnie zdanie wypowiedział niecierpliwie i sarkastycznie, i przerwał. Widać było, że to mówi człowiek szczery, lecz niezręczny i nie znający się na dyplomacji, opanowany nadmiernem współczuciem i nadmierną wrażliwością: człowiek niezbyt mądry, jak to odrazu zauważył von Lembke. Zresztą myślał tak o nim już dawniej, zwłaszcza w ostatnim tygodniu, gdy sam, w gabinecie, łajał go w duszy za niezrozumiałe powodzenie u Julji Michajłowny.

Usiłując maskować ciekawość, zapytał z obojętną powagą.

— O kogo pan prosi, i co to wszystko znaczy?

— Chodzi o... o... tam, do djabła! Cóżem winien, że wierzę panu? Cóżem winien, że uważam pana za człowieka szlachetnego, mądrego... który potrafi zrozumieć....

Widać, że biedak nie może dać sobie z tem rady. Ciągnął dalej.

— Niech pan zechce zrozumieć, niech pan zrozumie, że wymieniając jego nazwisko, oddaję go w ręce pańskie. Zdradzam go... czyż nie? Pan to rozumie?

— Jakże jednak mam wiedzieć, jeżeli pan nie odważa się wymówić nazwiska?

— Otóż to! Pan zawsze zwycięży człowieka swoją logiką. A więc... a więc.. ta „jasna postać", ten „student" — to jest Szatow... i koniec.

— Szatow? Jakto Szatow?

— Szatow —to ten student, o którym tu mowa. On mieszka tu. Były chłop pańszczyźniany. Ten sam, który bił w twarz.

Lembke zmrużył oczy.

— Wiem, wiem! Lecz o co właściwie jest on oskarżony, i w jakim sensie pan się wstawia?

— Ależ chcę go uratować, niech pan to zrozumie! Przecież ja go znam od ośmiu lat. Może nawet byłem z nim w przyjaźni. — Wierchowieński wyraźnie zaczynał się unosić. — A zresztą nie mam obowiązku spowiadać się przed panem. A cały ten spisek to głupstwo, półczwarta człowieka. Razem z zagranicznymi, nie nabierze się nawet dzie-

siątka. Zaufałem panu, wierząc w szlachetność pańską. Pan to zrozumie i sam przedstawi sprawę we właściwem świetle, jako głupią mżonkę nienormalnego człowieka, nie zaś jako niesłychany spisek przeciwpaństwowy.

Tchu mu zabrakło.

Lembke odezwał się wyjątkowo majestatycznie.

— Widzę, że zawinił on w sprawie proklamacyj z siekierą. Wybacz mu pan jednak. Gdyby on był sam, nie mógłby przecież porozrzucać tych proklamacyj i tu i na prowincji w Ch—ej gubernji... Skąd zresztą mógł je zdobyć?

— Ależ mówiłem panu, że jest ich prawdopodobnie z pięciu ludzi, może dziesięciu; skąd ja mogę wiedzieć?

— Pan nie wie?

— Skąd mógłbym wiedzieć, do djabła!

— A jednak pan wie, że Szatow do tego należał.

Wierchowieński machnął ręką, jakgdyby broniąc się od przygnębiającej przebiegłości Lembkego.

— Ech! No dobrze. Powiem panu wszystko. O proklamacjach nic nie wiem, absolutnie nic. Pan rozumie, co to znaczy nic?... Oczywiście, należał do tego ów podporucznik, jeszcze ktoś, może Szatow, i jeszcze tam ktoś, same miernoty... Lecz przyszedłem prosić o Szatowa, gdyż chcę go ratować, a te wiersze — to jego własne wiersze, wydrukowane przez niego zagranicą. To już wiem napewno, a o proklamacjach nie mam pojęcia.

— Jeżeli wiersze są jego, to proklamacje także. Jednakże na ich podstawach opiera pan podejrzenie na Szatowa?

Wierchowieński, z miną człowieka, ostatecznie wyprowadzonego z cierpliwości, wyciągnął z kieszeni pugilares i wydobył z niego notatkę.

Lembke spojrzał na nią. Była to kartka, pisana prawdopodobnie przed kilku miesiącami stąd zagranicę, zawierała tylko parę słów:

„Jasnej Postaci nie mogę tu drukować i nic nie mogę. Wydrukujcie zagranicą. J. Szatow".

Lembke wpatrzył się w Wierchowieńskiego. Dobrze mówiła Barbara Pietrowna, że pan gubernator miewa czasem barani wyraz twarzy.

Wierchowieński zawołał.

— Teraz sam pan widzi! To znaczy, że on te wiersze napisał tu, przed sześciu miesiącami, lecz nie mógł wydrukować w jakiejś potajemnej drukarni, i dlatego prosił o wydrukowanie zagranicą. Zdaje się, że to jest jasne.

Lembke odezwał się tonem przebiegłej ironji.

— Owszem, jasne. Lecz kogo on prosi? To jest jeszcze niejasne.

— Ależ Kiriłowa. Karta jest pisana zagranicę do Kiriłowa... Nie wiedział pan o tem? Przykro, że pan prawdopodobnie udaje przede mną, a sam już oddawna wie o tych wierszach i o wszystkiem! W jaki sposób znalazły się one u pana na stole? Skąd tu te wiersze? Pocóż pan znęca się nade mną.

Nerwowo otarł chustką pot z czoła.

Lembke zręcznie uchylił się od odpowiedzi.

— Być może, że trochę wiem... Lecz któż to taki ten Kiriłow?

— Inżynier. Przyjechał tu niedawno. Był sekundantem Stawrogina. Manjak, warjat. Podporucznik, bardzo być może, był tylko chwilowo w nienormalnym stanie, lecz ten to już zupełny warjat. Ręczę za to. Ech, Andrzeju Antonowiczu, gdyby rząd wiedział, co to są za ludzie, toby nawet nie podnosił na nich ręki. Ich wszystkich trzebaby oddać do domu warjatów. Napatrzyłem się na nich jeszcze na kongresach w Szwajcarji.

— Tam, skąd kierują ruchem tutejszym?

— Lecz kto kieruje? Półczwarta człowieka. Rozpacz ogarnia, gdy się ich widzi. I jaki to ruch tutejszy? Te proklamacje, czy co? A kto stoi w szeregach? Nienormalni podporucznicy i parę studentów. Pan jest rozumnym człowiekiem. Niech mi pan odpowie na pytanie: dlaczego nie idą do nich ludzie poważniejsi? Sami studenci i dwudziestoletni smarkacze! A wielu ich jest? Miljon gończych ich tropi, a iluż złapano? siedmiu. Mówię panu, że rozpacz ogarnia.

Lembke wysłuchał uważnie, lecz miał wyraz twarzy, który mówił, że „słowika nie utuczą baśnie".

— Pozwól pan! Pan twierdzi, że kartka wysłana była

zagranicę. Tu jednak niema adresu. Skąd pan wie, że była ona wysłana do Kiriłowa, że wogóle zagranicę, i że... jest rzeczywiście pisana przez Szatowa.

— Więc niech pan wydostanie jakiś rękopis Szatowa. Pan się natychmiast przekona. U pana w kancelarji musi być jakiś podpis Szatowa. Że zaś wysłana była do Kiriłowa, wiem napewno. Sam Kiriłow wtedy mi pokazywał.

— To znaczy, że pan sam...

— To znaczy, że ja sam. Czy to jedną rzecz pokazywano mi wtedy. Co do tych wierszy, to niby sam Hercen napisał je Szatowowi, wówczas błąkającemu się zagranicą. Na pamiątkę spotkania, jako wyraz uznania, nie wiem zresztą... A Szatow rozpowszechnia to wśród młodzieży, jako opinję o nim samego Hercena.

Lembke nakoniec zrozumiał.

— To-to! A ja wciąż myślę: proklamacje — rozumiem, lecz naco wiersze?

— Jakże mógłby pan nie rozumieć. Wogóle, po djabła ja to wszystko panu wygadałem. Niech pan posłucha! Niech pan mi odda Szatowa, a resztę niech djabli biorą, nawet razem z Kiriłowem, który zamknął się obecnie w domu Filipowa, tam, gdzie ukrywa się także Szatow. Nie mają do mnie sympatji. Gniewa ich, żem powrócił. Lecz niech mi pan odda Szatowa, a ja za to ich wszystkich wyłożę panu, jak na tacy. Przydam się panu, Andrzeju Antonowiczu! Liczę tę całą garstkę na dziewięć, dziesięć osób. Sam śledzę ich, z własnej inicjatywy. Znamy już trzech: Szatow, Kiriłow i ów podporucznik. Resztę *tropię* dopiero, a ślepy nie jestem. To samo, co było w Ch—ej gubernji. Złapano tam dwóch studentów, jednego ucznia, dwóch dwudziestoletnich szlachetków, jednego nauczyciela i wreszcie sześciesięcioletniego majora w dymisji, który stracił rozsądek pod wpływem pijaństwa. To już wszyscy. Zdziwiono się tem nawet, że oprócz nich niema nikogo. Lecz potrzebuję sześciu dni. Już obliczyłem wszystko. Nie mniej, niż sześć dni. Jeżeli zależy panu na rezultacie, niech pan ich nie rusza sześć dni, a wtedy ja dostarczę ich panu wszystkich razem. Jeżeli pan wcześniej zacznie działać, rozleci się gniazdo. Lecz Szatowa pan mi odda. Chodzi mi o Szatowa... Najlepiej byłoby wezwać

go w sekrecie tu, do gabinetu, i serdecznie wybadać go, odsłoniwszy przed nim prawdę. Napewno sam padnie panu do nóg i rozpłacze się. Jest to człowiek nerwowy i nieszczęśliwy. Jego żona ma stosunek ze Stawroginem. Niech go pan ugłaska, a sam wszystko wygada. Trzeba jednak poczekać sześć dni... Przedewszystkiem zaś: ani pół słowa Julji Michajłownie. Sekret. Może pan dochować sekretu?

Von Lembke wytrzeszczył oczy.

— Jakto? Czyż pan nie mówił z nią o tem wszystkiem?

— Z nią? Ależ broń Boże! Ech, Andrzeju Antonowiczu! Widzi pan! Wysoce cenię sobie jej przyjaźń, niezmiernie ją szanuję, lecz omyłki nie zrobię! Nie sprzeciwiałem się jej nigdy. Pan sam wie najlepiej, jak niebezpiecznie jest sprzeciwiać się jej. Może tam jakieś słówko rzuciłem, gdyż ona bardzo to lubi, lecz żebym miał przed nią, jak przed panem, wymienić nazwisko; albo coś więcej... Ech, ojcze mój! Dlaczego ja zwracam się do pana? Bo pan jest bądź co bądź mężczyzną, człowiekiem poważnym, który posiada doświadczenie, zdobyte twardą długoletnią służbą. Pan widział już niejedno. Każde posunięcie w takich sprawach pan wystudjował zgóry na petersburskich wykładach. Niechbym zaś jej powiedział te dwa nazwiska! Toby zaczęła bębnić! Ona chce naprzykład zadziwić Petersburg. Zbyt gorąco bierze się do tych rzeczy.

— Tak, ona ma trochę za dużo tego rozpędu, — wybełkotał Andrzej Antonowicz, zły jednocześnie, że ten błazen ośmiela się mówić zbyt figlarnie o Julji Michajłownie.

Lecz Wierchowieński wciąż myślał, że jeszcze zbyt mało, i że należy „dodać pary", aby ostatecznie schlebić panu von Lembke i opanować go. Przedewszystkiem przyłączyć się do jego wynurzeń.

— Tak. Właśnie rozpędu. Niechby sobie była kobietą genjalną, wykształconą, lecz stado tych wróbli rozpędzi odrazu. Nie wytrzyma sześciu godzin, cóż dopiero sześć dni. Pan musi mi przyznać pewne doświadczenie w tego rodzaju sprawach; wie pan dobrze, że ja wiem sporo, a mogę dowiedzieć się jeszcze więcej. Proszę pana o sześć dni nie dla zabawy, lecz dla sprawy.

Lembke chciał coś powiedzieć, lecz trudno mu było wyrazić myśl swoją.

— Słyszałem... słyszałem, że powróciwszy do kraju, pan gdzieś złożył akt skruchy i opowiedział sporo rzeczy.

— To należy do przeszłości.

— Nie mam zamiaru w nią wglądać. Wydaje mi się jednak, że pan dotychczas wygłaszał u nas inne opinje, naprzykład o wierze chrześcijańskiej, o urządzeniach społecznych, o rządzie...

— Czy to mało rzeczy się mówi? Ja i teraz jestem tej samej opinji co dawniej. Ale te rzeczy należy inaczej wprowadzać w życie, niż ci głupcy. Co za korzyść z tego, że tamten ugryzł kogoś w ramię? Pan sam zresztą zgadzał się ze mną, twierdząc jedynie, że to za wcześnie...

— Zgadzałem się zupełnie w innych kwestjach. O innych rzeczach mówiłem, że na nie za wcześnie...

Wierchowieński niespodziewanie rozweselił się.

— Ależ u pana każde słowo jest jak wyciosane! Ostrożny z pana człowiek. Niech pan posłucha. Trzeba mi było poznać pana, i dlatego używałem takiego stylu. To nietylko z panem. Ja się z niejednym w ten sposób zaznajamiam. Może trzeba mi było poznać charakter pana.

— Poco panu mój charakter?

Wierchowieński znów się uśmiechnął.

— Czy ja wiem? Widzi pan, najdroższy i szanowny Andrzeju Antonowiczu, do *tego* jeszcze nie doszło. Pan jest zanadto podejrzliwy. Prawdopodobnie nigdy nie dojdzie. Pan rozumie chyba? To prawda, że złożyłem, gdzie należało, po powrocie do kraju, niezbędne wyjaśnienia. Nie wiem dlaczego człowiek o określonych przekonaniach nie miałby działać w imię tych przekonań. Lecz *tam* nikt mi nie polecał badać pańskiego charakteru i takich obstalunków stamtąd nie przyjmowałem. Niech pan sam pomyśli Mogłem przecie nie panu zdradzić te dwa nazwiska, lecz pójść wprost tam, to znaczy tam, gdzie składałem moje wyjaśnienia. A gdyby mi zależało na stronie finansowej, albo na innych korzyściach, to trzeba byłoby przyznać, że popełniłem głupstwo. Wdzięczność pozyska pan, a nie ja. Lecz chodzi mi tylko o Szatowa, o jednego Szatowa, przez dziw-

ną przyjaźń. A gdy pan weźmie pióro, aby napisać o tem, może pan mnie pochwalić, o ile panu się spodoba. Nie zabraniam. Che-che-che!

Powstał z otomany i kończył z miłym uśmiechem.

— *Adieu, adieu*, zasiedziałem się u pana. Niepotrzebnie wygadałem tyle rzeczy.

Lembke powstał także. Prawdopodobnie pod wpływem ostatnich zdań, miał minę bardzo uprzejmą.

— Przeciwnie. Rad jestem, że sprawa nabiera rysów wyraźnych. Przyjmuję z wdzięcznością pomoc pańską. Niech pan będzie pewny, że zrobię wszystko w sensie referencyj o gorliwości pańskiej.

— Najważniejsze to te sześć dni, i żeby pan sam nic nie robił przez ten czas. Jest to niezbędne.

— Zgoda.

— Rzecz prosta, że nie mogę panu związywać rąk. Nie odważyłbym się. Wolno panu śledzić. Lecz niech pan przed czasem nie płoszy tego gniazdka. Liczę na pański rozum i doświadczenie.

Skończył beztrosko i wesoło, jak przystało na młodego człowieka.

— Wyobrażam sobie, ile to własnych psów gończych ma pan w pogotowiu!

Lembke nie odpowiedział wyraźnie.

— To niezupełnie tak. Jest to przesąd młodości, że tyle jest w pogotowiu... Lecz jeszcze jedno słówko... Jeżeli ten Kiriłow był sekundantem Stawrogina, to znaczy, że Stawrogin także....

— Co Stawrogin?

— Jeżeli są oni w takiej...

— Ach nie, nie, nie. Tu już pan spudłował, pomimo całej przebiegłości swojej. Dziwię się wprost. Myślałem, że jest pan o tem poinformowany. Stawrogin — to zupełnie odwrotnie, ale zupełnie... *Avis au lecteur...*

Lembke pytał nieufnie:

— Czyżby? Czyż to możliwe? Julja Michajłowna mówiła mi, że zgodnie z jej relacjami z Petersburga, Stawrogin ma instrukcje...

— Nic nie wiem, nic nie wiem, absolutnie nic. *Adieu. Avis au lecteur!*

Wierchowieński chciał już uciekać, uchylając się od dalszej rozmowy.

Lembke zawołał:

— Przepraszam, Piotrze Stepanowiczu. Jeszcze jedna drobna sprawa, i już dłużej nie będę zatrzymywał pana.

Wyjął z biurka kopertę.

— Oto jeszcze jeden egzemplarz z tej samej kategorji. Składam panu dowód, jak ufam panu. Co pan o tem myśli.

W kopercie był list. Dziwny, anonimowy list, otrzymany wczoraj przez Lembkego. Piotr Stepanowicz, nie bez irytacji, przeczytał co następuje:

„Ekcelencjo!

„Taki jest tytuł pański. Niniejszem obwieszczam zamach na osoby generalskie i ojczyznę: gdyż idzie ku temu. Sam rozrzucałem bez przerwy przez długie lata. Bezbożne rzeczy — także. Szykuje się bunt, a proklamacyj kilka tysięcy, a za każdą poleci stu ludzi, z wysuniętym ozorem, jak władze nie odbiorą, gdyż obiecano dużo, a naród jest głupi. Wódka także znaczy. Lud, poważając winowajcę, rujnuje tego i owego, ja zaś bojąc się obu stron, przyznałem się do tego, w czem nie uczestniczyłem. Takie są moje okoliczności. Jeżeli Ekscelencja pragnie, abym doniósł dla ratowania ojczyzny, cerkwi i obrazów Świętych Pańskich, ja tylko jeden to mogę. Ale pod warunkiem, że z trzeciego oddziału przyjdzie mi przebaczenie telegraficzne, natychmiast, mnie jednemu, a inni niech płaczą. Na oknie u portjera niech stawia Ekscelencja świecę co wieczór o siódmej dla sygnału. Zobaczywszy, uwierzę i przyjdę ucałować miłosierną dłoń petersburską, lecz tylko wtedy, jeżeli otrzymam pensję, bo inaczej z czegóż będę żył? Ekscelencja nie pożałuje. Dadzą gwiazdę. Trzeba pocichu, gdyż inaczej skręcą szyję.

Waszej Ekscelencji szalony sługa
do stóp się ściele
pokutujący liberał *incognito*".

Von Lembke wyjaśnił, iż list ten znalazł się wczoraj w pokoiku portjera, gdy nikogo tam nie było.

— A cóż pan myśli o tem? — dość brutalnie zapytał Wierchowieński.

— Sądziłbym, że jest to anonimowy paszkwil, na drwiny.

— Najprawdopodobniej. Pana trudno oszukać.

— Zwłaszcza, że tak głupio napisane.

— Czy pan otrzymywał tu inne jeszcze paszkwile?

— Dwa razy. Także anonimy.

— Rzecz prosta. Podpisu nie złożą. Rozmaitym stylem? Rozmaity rys pióra?

— Tak.

— A były tak samo błazeńskie?

— Tak, i bardzo... plugawe.

— Jeżeli już były, to znaczy teraz to samo.

— I dziwnie głupie. Przecież tamci ludzie są wykształceni i napewno tak głupio nie napiszą.

— Oczywiście.

— Lecz co, jeżeli istotnie ktoś chce zadenuncjować?

— Niemożliwe, — sucho zaprzeczył Wierchowieński. Co to znaczy depesza z trzeciego oddziału i pensja? Napewno paszkwil.

— Tak, tak, — zawstydził się Lembke.

— Wie pan co? Niech mi pan to odda. Odszukam autora. Odszukam prędzej, niż tamtych.

Lembke, po chwili wahania, przystał na to.

— Niech pan weźmie.

— Czy pan już komukolwiek pokazywał.

— Ale gdzież tam, nikomu.

— Miałem na myśli Julję Michajłownę...

— Ależ broń Boże! I niech jej pan nie pokazuje na miłość boską, — zawołał Lembke w przerażeniu. — Przestraszyłoby ją to... i gniewałaby się na mnie.

— Tak. Pan pierwszy ucierpiałby. Powiedziałaby, że sam pan na to zasłużył, jeżeli tak piszą. Znamy dobrze logikę kobiecą. Żegnam pana. Może nawet już za trzy dni dostarczę panu autora. Ale niech pan pamięta nasz układ!

IV.

Piotr Stepanowicz był człowiekiem niegłupim, lecz Fiedia Katorżny trafnie określił, że „Wierchowieński jak sobie człowieka wystawi, z takim żyje". Wyszedł od Lembkego głęboko przekonany, że uspokoił go przynajmniej na sześć dni. Termin ten był koniecznie potrzebny. Mylił się jednak. Błąd polegał na tem, że Piotr Stepanowicz raz na zawsze określił sobie Andrzeja Antonowicza, jako człowieka naiwnego.

Lembke, jak każdy człowiek chorobliwie podejrzliwy, ujawniał zawsze ufność w pierwszych chwilach po wyjaśnieniu każdej sytuacji. Nowy rzut światła sprawiał mu narazie przyjemność, chociażby zaczynały się piętrzyć nowe komplikacje. Odpadały przynajmniej dawne wątpliwości. Trzeba uwzględnić, że pan gubernator tak się wymęczył w dniach ostatnich, czuł się tak wyczerpany i bezradny, że dusza jego łaknęła spokoju. Niestety, znów go ogarniał niepokój! Długi pobyt w Petersburgu zostawił na nim niezatarty ślad. Znał nieźle oficjalną, a także nawet tajną historję „nowego pokolenia". Był człowiekiem ciekawym i zbierał proklamacje. Nigdy jednak nie mógł zrozumieć istoty rzeczy. Teraz zaś był jak w lesie. Instynkt mówił mu, że słowa Piotra Stepanowicza zawierają coś bezsensownego, będącego poza zwykłym układem życia. Jednocześnie jednak pan gubernator powtarzał sobie w myśli: kto tam wie, do czego jest zdolne „młode pokolenie" i jak takie rzeczy odbywają się u nich? Gubił się w domysłach.

A tu, jak na złość, znów wlazł do gabinetu Blum. Oczekiwał wpobliżu, aż wyjdzie Wierchowieński. Blum był dalekim krewnym Lembkego, lecz pokrewieństwo to było skrzętnie ukrywane. Niech mi wybaczą czytelnicy, że poświęcę parę słów tej drugorzędnej postaci. Blum należał do dziwnej kategorji „nieszczęśliwych Niemców", niewiadomo nawet dlaczego, gdyż wcale nie przez nieudolność własną. „Nieszczęśliwi Niemcy" nie są mitem. Istnieją rzeczywiście, nawet w Rosji i stanowią odmianę zupełnie odrębną. Lembke przez całe życie żywił głębokie współczucie względem Bluma i w miarę własnych sukcesów służ-

bowych wysuwał go stale na podległe sobie stanowiska. Lecz Blum nie miał szczęścia. To urząd spadł z etatu, to zmienił się zwierzchnik. Raz nawet o mało nie trafił pod sąd wraz z innymi. Był akuratny, lecz jakoś nadmiernie, ponad potrzebę, i sam sobie szkodził ponurym sposobem zachowania się. Był rudy, wysoki, zgarbiony, mroczny, trochę przesadnie drażliwy, i pomimo niezbędnej w jego pozycji pokory, uparty, jak wół, i zwykle nie wtedy, gdy trzeba. Wraz z żoną i licznem potomstwem żywił względem Andrzeja Antonowicza wieloletnie, uniżone przywiązanie. Nikt oprócz Lembkego, nigdy go nie lubił. Julja Michajłowna natychmiast obruszyła się na niego, nie mogła jednak przełamać pod tym względem męża. Na tem tle powstała pierwsza ich sprzeczka małżeńska. Było to wtedy, gdy wkrótce po ślubie, w pierwszych dniach miodowych, zjawił się Blum, dotychczas skrzętnie ukrywany, i zdradziła się tajemnica krzywdzącego pokrewieństwa. Lembke zaklinał, żałośnie opowiadał całą historję Bluma i przyjaźń z nim od dzieciństwa, lecz Julja Michajłowna poczuła się shańbioną na całe życie i nawet musiała zastosować omdlenia. Lembke uparł się i oświadczył, że za nic w świecie nie ustąpi Bluma i nie rozstanie się z nim. Zdziwiło to nawet panią Lembkową, lecz musiała ostatecznie zgodzić się na Bluma. Postanowiono jedynie, iż pokrewieństwo będzie zachowywane w jeszcze głębszej tajemnicy, niż dotychczas, i że Blum zmieni imię, gdyż jak na złość nazywał się także Andrzejem Antonowiczem. Przyjechawszy do nas, Blum nie zawierał znajomości z nikim, oprócz Niemca-aptekarza, żadnych wizyt nie składał i żył samotnie i skąpo. Znał oddawna grzeszki literackie Andrzeja Antonowicza. Częstokroć był wzywany, aby wysłuchać w sekrecie, fragmentów romansu, i wysiadywał jak słup po sześć godzin zrzędu. Pocił się, wytężał siły, aby nie zasnąć i zmuszał siebie do uśmiechu. Po powrocie do domu ubolewał wraz z wychudłą i długonogą małżonką swoją nad nieszczęsną słabostką ich dobroczyńcy do literatury rosyjskiej.

Lembke żałośliwie spojrzał na wchodzącego Bluma.

— Proszę cię, Blum, pozostaw mnie w spokoju!

Mówił trwożnie, w pośpiechu, chcąc najwidoczniej nie

dopuścić do wznowienia rozmowy, przerwanej przez Piotra Stepanowicza.

Lecz Blum nie chciał dać za wygraną. Zgarbił się, przysuwał się drobnym kroczkiem do Lembkego i mówił z należytym szacunkiem, lecz uparcie.

— A jednakże można zrobić to wszystko najdelikatniej, bez rozgłosu. Pan, panie gubernatorze, masz wszelkie pełnomocnictwa.

— Słuchaj, Blum, jesteś tak mi oddany i usłużny, że wprost nie mogą patrzeć na ciebie bez uczucia pewnego strachu.

— Panie gubernatorze! Pan zawsze mówi dowcipne rzeczy, a potem zasypia, pełen samozadowolenia, szkodząc tem sobie najwięcej.

— Przekonałem się przed chwilą, że nie miałeś racji. To zupełnie co innego.

— Może z ust tego fałszywego, zepsutego młodzieńca, którego pan sam podejrzewał? Czyżby zwiódł on pana pochlebianiem pańskiemu talentowi literackiemu?

— Co ty tam rozumiesz? Twój projekt — to absurd. Mówię ci. Nic nie znajdziemy a zacznie się hałas. Będziemy mieli do czynienia nawet z Julją Michajłowną.

Blum zrobił stanowczy krok naprzód, położył dłoń na sercu i rzekł stanowczym głosem.

— Znajdziemy napewno wszystko, czego nam trzeba. Dokonamy rewizji znienacka, raniutko, z zachowaniem całej delikatności względem osoby, lecz i wszystkich rygorów prawa. Ci młodzi ludzie, Lamszyn i Tielatnikow, zbyt kategorycznie zapewniają. Sami bywali tam nieraz. A pana Wierchowieńskiego nikt właściwie nie szanuje. Generałowa Stawrogina odmówiła mu dalszych dobrodziejstw. Każdy uczciwy człowiek, o ile są tacy w tem podłem mieście, jest przekonany, że tam właśnie kryło się źródło niewiary i doktryn społecznych. On ma usiebie wszystkie zakazane książki: „Dumy" Ryljewa, dzieła Hercena. Mam już nawet przybliżony spis.

— Ależ mój Boże! Te książki są wszędzie. Jakiś ty naiwny!

Blum nie słuchał.

— Proklamacje także. Jestem przekonany, że natrafimy na ślad prawdziwych, miejscowych proklamacyj. Ten młody Wierchowieński wydaje mi się bardzo podejrzany.

— Plączesz ojca z synem. Oni nie żyją z sobą. Syn jawnie kpi z ojca.

— To tylko pozory. Maskują się.

— Blum, chcesz mnie zamęczyć! Pomyśl tylko. On jest bądź co bądź dość znaną tu osobistością. Był profesorem, ma stosunki. Zacznie się hałas. W mieście będą z nas kpili. Stracimy wszystko. A co będzie z Julją Michajłowną?

Blum nie ustępował. Uderzał się w pierś.

— On był tylko docentem. Rangę ma niewysoką. Dymisjonowany asesor kolegjalny. Orderów nie posiada. Zwolniono go ze służby ze względu na podejrzenia o działalność przeciwrządową. Był pod tajnym dozorem. Może jest dotychczas. Wobec nieporządków, które ujawniły się u nas, pan ma święty obowiązek. Patrząc przez palce na działalność głównego winowajcy, marnuje pan sposobność odznaczenia się.

W tej chwili Lembke usłyszał w sąsiednim pokoju głos małżonki. Zawołał:

— Julja Michajłowna idzie! Wynoś się Blum!

Blum drgnął, lecz nie poddał się. Jeszcze mocniej przycisnął dłoń do piersi i podszedł do gubernatora.

— Niech mi ekscelencja pozwoli, niech pan pozwoli...

— Idź do djabła! — zgrzytnął Lembke. — Rób co chcesz... potem... Mój Boże!

Podniosła się kotara i weszła pani gubernatorowa. Ujrzawszy Bluma, zatrzymała się majestatycznie i przeszyła go wyniosłem obrażonem spojrzeniem, jakgdyby ubliżała jej sama obecność tego człowieka. Blum w milczeniu i pełen szacunku, złożył jej ukłon głęboki. Pokornie schylony, poszedł na palcach do drzwi, rozkładając zlekka ramiona.

Niewiadomo było, czy istotnie zrozumiał ostatni histeryczny okrzyk gubernatora, jeko upoważnienie do zrealizowania swego projektu, czy też w danym wypadku, w imię niezawodnej korzyści dla dobroczyńcy, pozwolił sobie na lekki fałsz; w każdym razie następstwem tej rozmowy była rzecz niespodziewana, która niejednego rozśmieszyła, a roz-

niosła się szeroko, wywołała bezlitosny gniew Julji Michajłowny i ostatecznie wykoleiła pana gubernatora, rzuciwszy go w najkrytyczniejszym momencie na rozdroża wahań.

V.

Piotr Stepanowicz miał kłopotliwy dzień. Od Lembkego pośpieszył na ulicę Bogojawleńską, lecz przechodząc po Bykowej, obok domu, w którym mieszkał Karmazinow, stanął, uśmiechnął się i wszedł do bramy. Powiedziano mu tam, że „pan czeka", co bardzo zdziwiło Wierchowieńskiego, gdyż nie zapowiadał bynajmniej swojej wizyty.

Lecz wielki pisarz oczekiwał go istotnie już od dwóch dni. Przed trzema dniami wręczył mu rękopis swego „*Merci*", (które miał odczytać na koncercie Julji Michajłowny). Zrobił to przez grzeczność. Sądził, iż schlebi ambicji młodzieńca, pozwoliwszy mu poznać zawczasu to arcydzieło. Piotr Stepanowicz oddawna zauważył, że ten zarozumiały, zepsuty, niedostępny jegomość, ten mąż o „państwowym umyśle", poprostu stara się o jego względy, a czyni to w sposób rzucający się w oczy. Wierchowieński musiał domyśleć się, że pisarz traktuje go jeżeli nie jako wodzireja całej konspiracji rewolucyjnej w Rosji, to przynajmniej jako jednego z najdalej wtajemniczonych w sekrety rewolucji rosyjskiej i jako człowieka, mającego olbrzymi wpływ na młodzież. Bieg myśli tego „najmądrzejszego w Rosji człowieka" niezmiernie interesował Piotra Stepanowicza, dotychczas jednak pewne względy utrudniały mu bliższą rozmowę.

Wielki pisarz mieszkał w domu swej siostry, ziemianki, żony kamerhera; oboje, mąż i żona, ubóstwiali znakomitego krewnego, lecz obecnie byli w Moskwie i musieli wyrzec się przyjemności podejmowania go. Honor ten spadł na staruszkę, daleką i ubogą krewną kamerhera, która mieszkała u nich i oddawna zarządzała gospodarstwem. Z chwilą przyjazdu Karmazinowa cały dom zaczął chodzić na palcach. Staruszka codzień pisała do Moskwy, jak spał i co jadł Wielki Człowiek. Raz nawet wysłała depeszę ,że mu-

siała mu po proszonym obiedzie u burmistrza, zaaplikować łyżkę znanego lekarstwa. Rzedko odważała się wejść do jego pokoju, chociaż był on dla niej bardzo uprzejmy, może tylko zbyt suchy, a rozmawiał tylko wtedy, gdy czegoś potrzebował. Gdy wszedł Wierchowieński, Karmazinow spożywał swój kotlet poranny z pół szklanką wina czerwonego. Piotr Stepanowicz bywał u niego i przedtem i zawsze zastawał go przy tym kotlecie, lecz nigdy sam nie został poczęstowany. Po kotlecie podawano zwykle filiżankę kawy. Lokaj, który podawał jedzenie, ubrany był we frak i rękawiczki i nosił miękkie, ciche obuwie.

— A-a! — odezwał się Karmazinow. Powstał z kanapy, wytarł usta serwetą i z wyrazem szczerej radości wysunął twarz do pocałunku, charakterystycznym zwyczajem wszystkich Rosjan, którzy są już dostatecznie sławni.

Lecz Wierchowieński wiedział z dawnego doświadczenie, że mistrz pozornie tylko wysuwa usta, a podstawia policzek. Zrobił więc to samo. Spotkały się dwa policzki. Karmazinow udał, że tego nie zauważył, usiadł znów na kanapie i z miłym uśmiechem wskazał fotel, na którym natychmiast niedbale rozwalił się Wierchowieński.

— Pan nie głodny? Nie zjadłby pan śniadania? — zapytał gospodarz (wbrew dotychczasowemu zwyczajowi), lecz takim tonem, który przesądzał zgóry uprzejmą odmowną odpowiedź.

Lecz Wierchowieński o śniadanie poprosił. Cień obrażonego zdumienia przesunął się po twarzy gospodarza, lecz trwało to tylko chwilę. Zadzwonił nerwowo, podniósł nieuprzejmie głos własnej dystynkcji i kazał podać śniadanie dla gościa.

— Panu kotlet, czy kawę? — zapytał jeszcze.

— I kotlet i kawę, — odpowiedział Wierchowieński, spokojnie i uważnie wpatrzony w gospodarza. — Prosiłbym także o wino. Głodny jestem.

Karmazinow był ubrany w jakąś kurteczkę watowaną, z guzikami z masy perłowej, nieco przykrótką, co niezbyt pasowało do tłuściutkiego brzuszka i zaokrąglonych biodereк. Lecz gusta bywają rozmaite. Miał na kolanach pled w kraty, chociaż w pokoju było ciepło.

— Pan niezdrów? — zapytał Wierchowieński.

— Nie, jestem zdrów, lecz boję się zachorować w tutejszym klimacie, — odpowiedział pisarz swym krzykliwym głosikiem, czule skandując wyrazy i wytwornie podszepleniając.

— Czekam pana od wczoraj, — dodał.

— Dlaczego? Przecież nie mówiłem, że przyjdę.

— Tak, lecz pan ma mój rękopis. Przeczytał pan?

— Rękopis? Jaki?

Karmazinow był zdumiony. Tak się przeraził, że zaprzestał żuć i wylękłym wzrokiem wpatrzył się w Wierchowieńskiego.

— Jakto? Nie przyniósł pan ze sobą?

— Ach, tak, panu chodzi o „*Bonjour*"...

— „*Merci*"!

— Niech będzie „*Merci*". Zupełnie zapomniałem i nie czytałem. Nie mam czasu. Nie wiem, naprawdę. W kieszeni niema. Prawdopodobnie zostawiłem u siebie na stole. Niech się pan nie obawia. Odnajdę.

— O, nie. Wolę już zaraz posłać do pana. Może się zawieruszyć. Ktoś może ukraść.

— Ktoby tam chciał kraść! Czego się pan tak przeraził? Przecież wiem od Julji Michajłowny, że zachowuje pan zawsze kilka odpisów. Jeden zagranicą u rejenta, drugi w Petersburgu, trzeci w Moskwie, czwarty w banku na przechowaniu.

— Lecz przecież i Moskwa może się spalić, a wraz z Moskwą mój rękopis. Nie, już lepiej poślę zaraz.

— Ach, przepraszam, znalazłem! — zawołał Wierchowieński, wyjmując z tylnej kieszeni plikę arkusików. — Trochę się to pomięło. Niech pan sobie wyobrazi, że odkąd wziąłem ten rękopis, przeleżał on w tylnej kieszeni razem z chustką do nosa. Zapomniałem na śmierć.

Karmazinow łapczywie schwycił rękopis, uważnie przejrzał, przeliczył arkusiki i ostrożnie położył obok siebie, na osobnym stoliku, lecz tak, aby mieć swoje arcydzieło wciąż pod ręką.

— Pan chyba czytuje niewiele? — zasyczał, nie mogąc ukryć oburzenia.

— O, bardzo mało.

— A z beletrystyki rosyjskiej to chyba nic?

— Z beletrystyki rosyjskiej? Przepraszam. Coś tam czytałem... „Po drodze", czy „W drogę", czy może „Na rozdrożu". Nie pamiętam. Już dawno. Przed pięciu laty. Teraz nie mam czasu.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Po przyjeździe moim, zapewniłem tu wszystkich, że pan jest bardzo rozumnym człowiekiem. Mam wrażenie, że wszyscy tu szaleją za panem.

— Dziękuję panu, — spokojnie odpowiedział Wierchowieński.

Lokaj przyniósł śniadanie. Wierchowieński z niesłychanym apetytem rzucił się na kotlet, połknął go, wypił wino i łyknął kawy.

Karmazinow, dojadając ostatni kawałeczek i wysączając ostatnią kroplę, patrzył na gościa zpode łba i rozważał: „Ten nieuk napewno zrozumiał całą zjadliwość mego pytania. Ręczę, że chciwie przeczytał rękopis, a tylko udaje. A może nie udaje, lecz jest szczerze głupi. Lubię pewną głupotę u ludzi genjalnych. Może rzeczywiście jest on tam u nich jakimś genjuszem. Ktoby tam mógł się na tem poznać?"

Wstał z kanapy i zaczął chodzić po pokoju z kąta w kąt. Robił to zawsze po śniadaniu dla względów higjenicznych.

Wierchowieński zapalił papierosa i odezwał się z fotela.

— Pan prędko stąd wyjeżdża?

— Właściwie przyjechałem tylko poto, aby sprzedać majątek i zależę całkowicie od swego rządcy.

— Słyszałem, że pan przyjechał dlatego, że obawiał się pan epidemji po wojnie.

— Nie, niezupełnie, — ciągnął Karmazinow, dobrodusznie skandując zdania, a przy każdym zawrocie w rogu pokoju zlekka podrygując prawą nóżką, zresztą prawie niedostrzegalnie. Uśmiechnął się dość zjadliwie. — Istotnie, mam zamiar zabawić tu trochę dłużej. Szlachta rosyjska ma jakąś właściwość szybkiego zużywania się. Ja zaś nie

chcę się zużyć przedwcześnie i dlatego przeniosę się na stałe zagranicę. Tam klimat lepszy, tam gmachy murowane, wszystko jakieś mocniejsze. Mam nadzieję, że wystarczy Europy do końca mego życia. A jak pan sądzi?

— Skądże ja mogę wiedzieć?

— Hm... Jeśli istotnie upadnie Babilon, a upadek jego ma być straszliwy (zupełnie pod tym względem zgadzam się z panem, lecz sądzę, że jeszcze starczy mi Babilonu do śmierci), tu u nas w Rosji, mówiąc porównawczo, niema co się walić. Nie kamienie runą, lecz wszystko rozpłynie się w błocie. Ruś święta jest najmniej chyba odporna. Lud prosty jakoś trzyma się jeszcze Bogiem rosyjskim. Lecz na Bogu rosyjskim, podług najnowszych danych, trudno już polegać. Prawie nie wytrzymał nawet reformy włościańskiej. Zachwiał się mocno. A tu jeszcze koleje, środki komunikacji, a tu jeszcze pan... nie, w Boga rosyjskiego przestanę wierzyć.

— A w europejskiego?

— W żadnego nie wierzę. Rzuciła na mnie młodzież rosyjska oszczerstwo. Zawsze współczułem z każdym ruchem młodzieży. Pokazywano mi proklamacje tutejsze. Wszyscy patrzą na nie ze zdumieniem, gdyż przeraża ich styl, jednakże wszyscy, nie przyznając się do tego, wierzą w ich moc. Wszyscy lecą wdół i wiedzą oddawna, że niema o co się zaczepić. Nie od dziś wierzę w powodzenie tej tajemniczej propagandy. Wiem, że Rosja na całym świecie jest jedynem miejscem, gdzie wszystko bez wyjątku może się stać bez najmniejszych przeszkód. Rozumiem dobrze, dlaczego bogaci Rosjanie odpływają zagranicę, z roku na rok coraz liczniej. Tu instynkt działa. Gdy okręt tonie, uciekają przedewszystkiem szczury. Ruś święta jest krajem drewnianym, ubogim i... strasznym, jest krajem zarozumiałych nędzarzy u szczytów, a w olbrzymiej większości mieszka w chatach na kurzych łapkach. Ucieszy ją każde wyjście z sytuacji, byle do niej wrócić. Tylko rząd opiera się jeszcze, lecz wymachuje maczugą pociemku i wali po własnych ludziach. Tu wszystko jest skazane na zagładę. Rosja, jako taka, nie ma przyszłości przed sobą. Stałem się Niemcem i szczycę się tem.

— Dobrze, lecz pan coś zaczął mówić o proklamacjach. Co pan właściwie myśli o nich?

— Wszyscy boją się ich, to znaczy, że są one potężne. Ujawniają fałsz i stwierdzają, że nie mamy o co chwycić się i oprzeć, mówią głośno wtedy, gdy wszyscy milczą. Największa ich siła (pomimo formy), to zdecydowana odwaga spoglądania prawdzie w oczy. Ta odwaga jest właściwa jedynie Rosjanom w ostatniem pokoleniu. Zagranicą ludzie nie są jeszcze tak odważni. Tam królestwo murowane, tam istnieją punkty oparcia. O ile widzę, o ile rozumiem, istota rosyjskiej idei rewolucyjnej polega na negacji honoru. Podoba mi się, że jest to wypowiedziane tak śmiało i otwarcie. Nie, w Europie nie zrozumieliby tego, u nas zaś na to najłatwiej brać ludzi. Honor dla Rosjanina jest niepotrzebnym ciężarem. Był zawsze ciężarem we wszystkie czasy. Najłatwiej znęcić Rosjan głoszeniem otwarcie „prawa do braku honoru". Należę do starego pokolenia i przyznam się, że to brak odwagi cywilnej, lecz podobają mi się dawne formy. Muszę już tak skończyć dni mego żywota.

Zatrzymał się.

„Jednakże", pomyślał: „ja tu gadam i gadam, on zaś milczy i podgląda. Przyszedł poto, abym rzucił wyraźne pytanie. Cóż? Zapytam".

Piotr Stepanowicz przerwał mu te rozmyślania.

— Julja Michajłowna poleciła mi sprytnie wybadać, jaką to niespodziankę szykuje pan na bal pojutrzejszy.

— Tak, to będzie prawdziwa niespodzianka, — z dumą odpowiedział Karmazinow. — Zadziwię wszystkich. Lecz nie powiem panu. To sekret.

Wierchowieński nie nalegał.

— Mieszka tu niejaki Szatow, — odezwał się wielki pisarz. — Dotychczas nie udało mi się widzieć go.

— To bardzo porządny człowiek. A o co chodzi?

— Nic ważnego. On coś tam opowiada ludziom. Przecież to on uderzył w twarz Stawrogina.

— On.

— A co pan myśli o Stawroginie?

— Nie wiem. To jakiś włóczęga.

Karmazinow nienawidził Stawrogina, który miał zwyczaj nie dostrzegać go wcale. Zaśmiał się.

— Jeżeli kiedykolwiek ziści się to, co zapowiadają proklamacje, ten włóczęga prawdopodobnie pierwszy zawiśnie na gałęzi.

— Może nawet wcześniej, — odparł Wierchowieński.

Karmazinow dodał już bez śmiechu, zupełnie poważnie.

— Należy mu się to.

— Pan już raz to powiedział. Nawet powtórzyłem mu.

— Czyżby? — znów rozśmiał się Karmazinow.

— Owszem. Odpowiedział, że jeżeli jego na gałąź, to pana trzeba wyćwiczyć rózgami, lecz nie byle jak, a boleśnie, jak chama.

Wierchowieński wziął kapelusz i powstał. Karmazinow wyciągnął na pożegnanie obydwie dłonie. Wtem odezwał się piskliwym a słodkim głosikiem, z jakąś specjalną intonacją, trzymając obie ręce gościa.

— Jak to tam? Jeżeli wyznaczone już jest uskutecznienie tych wszystkich zamierzeń, to... kiedy może się to stać?

Wierchowieński odpowiedział niechętnie.

— Skąd ja mogę wiedzieć?

Obaj spojrzeli sobie w oczy.

— Ale naprzykład? Mniej więcej? — jeszcze słodszym głosem dopytywał się Karmazinow.

Wierchowieński odparł jeszcze burkliwiej.

— Zdąży pan sprzedać majątek. Wyjechać stąd także pan zdąży.

Znów patrzyli sobie w oczy.

Nastąpiła chwila milczenia. Wtem Wierchowieński odezwał się.

— Zacznie się na przyszły rok w maju, a do lipca wszystko będzie skończone.

Karmazinow mocno ściskał mu ręce.

— Dziękuję panu najserdeczniej.

„Zdążysz, szczurze, uciec z okrętu!“ myślał Wiercho-

wieński, wychodząc na ulicę. — „Ha, jeżeli ta „głowa o państwowym umyśle" tak wyraźnie pyta o dzień i godzinę, i tak pokornie dziękuje za otrzymaną informację, to już my sami nie powinniśmy mieć żadnych wątpliwości". Uśmiechnął się. „Hm... on nie jest taki głupi, jak się zdaje. To tylko uciekający szczur. Tacy nie denuncjują".

Pobiegł na ulicę Bogojawleńską, do domu Filipowa.

VI.

Piotr Stepanowicz poszedł przedewszystkiem do Kiriłowa. Kiriłow był sam, jak zwykle, i robił gimnastykę, to znaczy, że rozstawił nogi i w jakiś niesamowity sposób kręcił rękami nad głową. Na podłodze leżała piłka. Na stole stała niesprzątnięta herbata poranna, już zimna. Wierchowieński postał chwilkę na progu.

— Pan jednakże dba o swoje zdrowie, — odezwał się głośno i wesoło, wchodząc do pokoju. — Jaka wspaniała piłka. Doskonale skacze. Czy to także dla gimnastyki?

Kiriłow nałożył surdut. Odparł sucho.

— Tak. Dla zdrowia. Proszę siadać.

— Ja tylko na chwilkę. Zresztą usiądę. Zdrowie — zdrowiem, lecz przyszedłem przypomnieć panu naszą umowę. Pod pewnym względem zbliża się nasz termin, — dodał jakoś niezgrabnie.

— Jaką umowę?

— Jakto jaką? — spłoszył się, nawet przeraził, Piotr Stepanowicz.

— To żadna umowa i żaden obowiązek. Nie związywałem siebie niczem. Pan popełnia omyłkę.

Piotr Stepanowicz zerwał się z miejsca.

— Słuchaj pan, co pan wyrabia?

— Spełniam swoją wolę.

— Jaką?

— Dawną.

— Jak mam to rozumieć? Czy to znaczy, że pan trwa przy dawnem postanowieniu?

— Znaczy. Lecz umowy niema i nie było. Nie związałem siebie. Była tylko wola moja, i jest tylko moja wola.

Kiriłow dawał wyjaśnienia szorstko, z pewnem obrzydzeniem.

Wierchowieński znów usiadł z zadowoloną miną.

— Dobrze, zgoda, niech będzie pańska wola, byle pan jej nie zmieniał. Pan się gniewa za słowa. Pan wogóle jest jakiś zirytowany w ostatnich czasach. Nie chciałem nawet odwiedzać pana. Byłem jednak przekonany, że pan nie zdradzi.

— Nie lubię pana, lecz może pan się nie obawiać. Chociaż dla mnie nie istnieje różnica między zdradą a niezdradą.

Wierchowieński znów zaniepokoił się.

— Jednakże, wie pan, powinnibyśmy pogadać do rzeczy, aby się nie splątać. Sprawa wymaga ścisłości, a pan ciągle zbija mnie z tropu. Zgadza się pan na rozmowę?

— Niech pan mówi, — ostro burknął Kiriłow, patrząc na ścianę.

— Pan już dawno postanowił odebrać sobie życie... taką pan miał ideę... Czy ściśle się wysławiam? Czy niema tu jakiej omyłki?

— Mam i teraz tę samą ideę.

— Doskonale. Niech pan pamięta, że nikt nie zmuszał pana.

— Któż mógł mnie zmusić? Pan mówi głupstwa.

— Dobrze, dobrze. Wyraziłem się niemądrze. Bezwątpienia, głupio byłoby zmuszać pana. Idźmy dalej. Byłeś pan członkiem stowarzyszenia jeszcze za czasów dawnej organizacji i zdradziłeś się pan przed jednym z członków stowarzyszenia.

— Nie zdradziłem się, a poprostu powiedziałem.

— Zgoda. Byłoby śmiesznem „zdradzać się". Tu nie o spowiedź chodzi. Pan poprostu powiedział. Doskonale.

— Wcale nie doskonale, gdyż pan zanadto nudzi. Nie mam obowiązku spowiadać się przed panem, a myśli moich pan nie może rozumieć. Chcę odebrać sobie życie dlatego, że taka myśl przyszła mi do głowy. Nie chcę strachu śmierci, gdyż... co panu zresztą do tego. O co panu chodzi? Chce pan herbaty? Zimna. Przyniosę panu inną szklankę.

Wierchowieński istotnie schwycił imbryk i szukał ja-

kiegoś pustego naczynia. Kiriłow poszedł do szafy i przyniósł czystą szklankę.

Tylko co jadłem śniadanie u Karmazinowa, — tłumaczył się gość, — potem słuchałem, jak ględził, aż spociłem się. Potem biegłem tu — i znów się spociłem. Śmiertelnie pić mi się chce.

— Niech pan pije. Zimna herbata orzeźwia.

Kiriłow usiadł na krześle i wpatrzył się w róg pokoju. Sam wszczął dalszą rozmowę.

— W łonie stowarzyszenia powstała myśl, że mogę się przydać, jeżeli odbiorę sobie życie i że gdy wy tu nabroicie, a zaczną się poszukiwania winowajców, ja się zastrzelę i pozostawię list, w którym całą winę wezmę na siebie, tak że was nie będą podejrzewali przez cały rok.

— Przynajmniej przez kilka dni. Tu każdy dzień jest drogi.

— Dobrze. Powiedziano mi, abym poczekał, jeżeli mogę. Zgodziłem się poczekać, aż stowarzyszenie wskaże mi termin, gdyż wszystko mi jedno.

— Tak. Lecz pan zobowiązał się pisać list przedśmiertny razem ze mną. Pan obiecał też, po przyjeździe do Rosji być na moje... na moje rozkazy, oczywiście tylko pod tym jednym względem. Pod każdym innym jest pan wolny, — kończył Wierchowieński z wyjątkową uprzejmością.

— Nie zobowiązałem się, a zgodziłem się, gdyż wszystko mi jedno.

— Doskonale, doskonale, nie miałem zamiaru urazić ambicji pańskiej.

— To nie ambicja.

— Lecz niech pan nie zapomina, że otrzymał pan na drogę sto dwadzieścia talarów. To znaczy, że brał pan pieniądze.

Kiriłow oburzył się.

— Wcale nie! Pieniądze — nie za to. Za to nie bierze się pieniędzy.

— Czasem się bierze.

— Pan kłamiesz. Zadeklarowałem to listownie, a w Petersburgu wypłaciłem panu do rąk sto dwadzieścia talarów. Są one odesłane, o ile pan nie zatrzymał u siebie.

— Dobrze, dobrze, nie sprzeczam się, odesłałem. Chodzi o to, czy pan trwa w postanowieniu, czy nie?

— Trwam. Gdy pan przyjdzie i powie „już czas", zrobię wszystko. A co? Już prędko?

— Niewiele dni już zostało. Niech pan jednak pamięta. List piszemy razem. W ostatnią noc.

— Mogę nawet w dzień. Pan mówił, że trzeba proklamacje wziąć na siebie.

— I coś jeszcze.

— Niewszystko wezmę na siebie.

— Naprzykład? — przestraszył się Wierchowieński.

— Nie wezmę tego, czego nie zechcę. Nie mam zamiaru dłużej mówić o tem.

Wierchowieński opanował się i zmienił temat .

— Chciałbym pomówić o innych rzeczach. Już o tamtem nie będę. Czy pan przyjdzie dziś wieczorem do „naszych"? Dziś imieniny Wirgińskiego. Zbiorą się wszyscy pod tym pozorem.

— Nie chcę.

— Niech pan będzie. Proszę pana. Tak trzeba. Trzeba zaimponować ilością i powagą. Pan ma twarz... jakąś fatalistyczną.

— Tak? — zaśmiał się Kiriłow. — Dobrze, przyjdę, lecz nie ze względu na twarz. Kiedy?

— Jak najwcześniej. O pół do siódmej. Pan może wejść, usiąść i nie rozmawiać z nikim. Niech pan jednak nie zapomni wziąć ze sobą ołówek i kawałek papieru.

— Poco?

— Panu wszystko jedno, a dla mnie to bardzo ważne. Będzie pan siedział, nie rozmawiając z nikim, będzie pan słuchał i robił od czasu do czasu jakieś notatki. Wszystko jedno co. Może pan nawet coś tam rysować.

— Co za głupstwa! Naco to?

— Przecież panu wszystko jedno. Pan sam mówił.

— Tak, ale poco?

— A poto, że tamten członek stowarzyszenia, rewident, ugrzązł w Moskwie. Ja zaś oświadczyłem tu niektórym, że zjawi się rewident. Będą myśleli, że to pan. Ponie-

waż zaś pan jest tu już od trzech tygodni, więc zdziwią się jeszcze więcej.

— To są sztuczki. Żadnego rewidenta pan nie masz w Moskwie.

— Zgoda, do djabła z nim! Co panu do tego i co to panu szkodzi? Przecież sam pan jest członkiem stowarzyszenia.

— Niech pan im powie, że jestem rewidentem. Będę siedział i milczał, lecz nie chcę ani papieru ani ołówka.

— Ale dlaczego?

— Ne chcę.

Wierchowieński zirytował się, aż pozieleniał, lecz znów zapanował nad sobą, wstał i wziął kapelusz.

— Czy t a m t e n jest u pana? — zapytał półgłosem.

— Tak.

— To dobrze. Prędko zabiorę go. Niech pan będzie spokojny.

— Nie niepokoję się wcale. On nocuje tylko. Starucha w szpitalu, jej synowa umarła. Od dwóch dni jestem sam. Pokazałem mu miejsce w płocie, gdzie można wyjąć deskę. Przełazi tamtędy i nikt nie widzi.

— Wkrótce zabiorę go.

— On mówi, że może nocować w wielu miejscach.

— Kłamie. Szukają go. Tu tymczasem bezpiecznie. Czy pan z nim rozmawia?

— Po całych nocach. Strasznie urąga panu. Czytałem mu w nocy Apokalipsę. Poiłem herbatą. Słuchał uważnie. Nadzwyczaj uważnie. Przez całą noc.

— Do djabła! Pan go nawróci na wiarę chrześcijańską.

— On nigdy nie pozbywał się wiary chrześcijańskiej. Lecz niech pan się nie boi. Kogo pan chce zarżnąć?

— Nie, on u mnie nie do tego. Do czego innego... Czy Szatow wie o Fiedi?

— Nie rozmawiam z Szatowem i nie zadaję się z nim.

— Gniewa się, czy co?

— Nie, nie gniewa się. Odwraca się tylko. Zbyt długo leżeliśmy razem w Ameryce.

— Zaraz wstąpię do niego.

— Jak pan chce.

— Może stamtąd zajdziemy do pana razem ze Stawroginem. Tak około dziesiątej.

— Dobrze.

— Muszę pomówić z nim poważnie... Panie, niech mi pan podaruje swoją piłkę. Poco ona panu. Mnie także dla gimnastyki. Zapłacę za nią.

— Niech pan tak bierze.

Wierchowieński schował piłkę do tylnej kieszeni.

— Nie dam panu nic przeciwko Stawroginowi, — wybełkotał Kiriłow, wyprowadzając gościa.

Wierchowieński spojrzał zdziwiony, lecz nie odpowiedział.

Ostatnie słowa Kiriłowa niesłychanie zdetonowały Wierchowieńskiego. Nie zdążył jeszcze ogarnąć ich myślą, lecz już na schodach do Szatowa starał się przerobić swe gniewne spojrzenie na łagodny wyraz.

Szatow był w domu. Był niezdrów. Leżał na łóżku w ubraniu.

— Co za przykrość, — zawołał Wierchowieński na progu. — Pan jest poważnie chory?

Łagodny wyraz twarzy znikł odrazu. Gniew zaiskrzył się w oczach.

Szatow zerwał się nerwowo.

— Wcale nie. Nie jestem chory. Trochę głowa boli...

Stracił się. Nieoczekiwane przybycie takiego gościa przeraziło go.

— Przyszedłem w takiej sprawie, że nie wolno chorować, — zaczął Wierchowieński stanowczym głosem. — Pozwoli pan, że usiądę, a pan niech spocznie sobie na łóżku. Tak. Dziś pod pozorem imienin Wirgińskiego, zbiorą się u niego nasi. Nikogo innego nie będzie. Udało się nam to urządzić. Przyjdę ze Stawroginem. Znając obecne poglądy pana, nie ciągnąłbym pana tam, — poco miałbym pana dręczyć. Nie ze strachu, że pan może zadenuncjować. Tak się jednak stało, że musi pan pójść. Spotka pan tam ludzi, z którymi uradzimy, w jaki sposób ma pan opuścić stowarzyszenie i komu oddać to, co jest u pana na przechowaniu. Zrobimy to dyskretnie. Odprowadzę pana gdzieś w kącik. Bę-

dzie dużo ludzi, a wszyscy nie potrzebują wiedzieć. Przyznam się panu, że musiałem o pana stoczyć zaciętą walkę. Lecz teraz zgodzili się wszyscy, byle pan oddał drukarnię i papiery. A wtedy może pan iść na cztery wiatry.

Szatow słuchał, ponury i zły. Przestrach nerwowy już go opuścił.

— Nie uznaję obowiązku składania przed kimkolwiek sprawozdań. Nikt nie ma prawa rozporządzać się mną.

— Niezupełnie tak. Panu zaufano wiele. Pan nie miał prawa zrywać z nami. A zresztą pan nigdy wyraźnie nie wypowiedział się, stawiając ich w dwuznaczną pozycję.

— Po przyjeździe tu, wyraźnie napisałem.

— Nie, niewyraźnie, — spokojnie oponował Wierchowieński. — Przysłałem panu, naprzykład, „Jasną Postać", aby wydrukować tu i złożyć odbitki do chwili, kiedy zgłosi się ktoś po nie. To samo było z dwiema proklamacjami. Pan zwrócił je w liście, który o niczem nie mówił wyraźnie.

— Poprostu odmówiłem drukowania.

— Tak, lecz niewyraźnie. Pan napisał: „nie mogę", nie wyjaśniając przyczyn. „Nie mogę", to nie znaczy „nie chcę". Można było myśleć, że przeszkadzają panu jakieś względy materjalne. Tak było to zrozumiane. Myślano, że pan nie chce zrywać ze stowarzyszeniem. Miano prawo znów zaufać panu w czemkolwiek i narazić się. Tu, naprzykład, twierdzą, że pan chciał nas poprostu oszukać. Otrzymać jakieś ważne informacje — i zadenuncjować. Broniłem pana uporczywie i pokazywałem pański dwuwierszowy liścik, jako dokument, mówiący na korzyść pańską. Teraz jednak, odczytawszy raz jeszcze, muszę ponu przyznać, że te dwa wiersze nie są jasne i wprowadzają w błąd.

— Pan tak skrzętnie przechował ów list.

— Nietylko przechowałem. Mam go i teraz przy sobie.

— Niech tam! — wściekłym głosem zawołał Szatow. — Niech ci durnie myślą, że zdradziłem! Co mi do tego? Ciekawym, co wy możecie mi zrobić.

— Może pan dostać się na listę i zawisnąć przy pierwszem powodzeniu rewolucji.

— To wtedy, gdy zdobędziecie władzę i opanujecie Rosję?

— Niech się pan z tego nie śmieje. Powtarzam, że broniłem pana. Tak, czy inaczej, lecz radzę panu przyjść dzisiaj. Poco te próżne frazesy fałszywej dumy? Czyż nie lepiej rozstać się po przyjacielsku? Przecież w każdym razie będzie pan musiał oddać drukarnię, czcionki i papiery. O tem właśnie pomówimy.

— Przyjdę, — burknął Szatow, schyliwszy głowę w zadumie.

Piotr Stepanowicz przyglądał mu się zpode łba.

— A Stawrogin będzie? — zapytał Szatow, podnosząc głowę.

— Będzie napewno.

— Che-che-che!

Znów zamilkł na chwilę. Szatow uśmiechnął się pogardliwie i zjadliwie.

— A ta pańska „Jasna Postać", której nie chciałem drukować? Już wydrukowana?

— Wydrukowana.

— Gimnazistow zapewnia, że to sam Hercen wpisał ją panu do albumu.

— Sam Hercen.

Znowu milczeli przez parę minut. Szatow wstał z łóżka.

— Niech się pan wynosi. Nie chcę tu siedzieć razem z panem.

— Idę już, — wesoło odezwał się Wierchowieński i zerwał się z krzesła. — Jeszcze jedno pytanie. Kiriłow, zdaje się, jest teraz sam zupełnie w oficynie, bez służącej?

— Sam. Niech pan idzie już. Nie mogę pozostawać z panem w jednym pokoju.

„Ładnie teraz wyglądasz!" myślał wesoło Wierchowieński, wychodząc na ulicę. „Ładny też będziesz wieczorem! Taki właśnie jesteś mi potrzebny. Trudno o coś lepszego, trudno! Sam Bóg rosyjski pomaga!"

VII.

Wierchowieński musiał tego dnia dużo latać. Prawdopodobnie to i owo mu się udało, gdyż o szóstej wieczorem,

gdy zjawił się u Stawrogina, oblicze jego zdradzało wyraźne zadowolenie. Nie odrazu go wpuszczono. Przed chwilą właśnie Stawrogin zamknął się w gabinecie z Maurycym Mikołajewiczem. Wiadomość o tem zasępiła Wierchowieńskiego. Usiadł przy drzwiach gabinetu, czekając na wyjście gościa. Słychać było rozmowę, lecz słowa nie dolatywały. Wizyta ta trwała niedługo. Wkrótce rozległ się hałas. Brzmiał jakiś głos wyraźny i ostry. Otwarły się drzwi i wyszedł Maurycy Mikołajewicz, blady, jak ściana. Nie zauważył nawet Piotra Stepanowicza i przeszedł obok niego. Wierchowieński natychmiast wpadł do gabinetu.

Nie jestem w stanie pominąć milczeniem tego krótkiego spotkania dwóch „rywalów", spotkania, które wobec wytworzonej sytuacji wydawało się niemożliwością, a jednak odbyło się.

Było to tak. Stawrogin drzemał w swym gabinecie po obiedzie na otomanie. Aleksy Jegorowicz zameldował o przybyciu nieoczekiwanego gościa. Posłyszawszy nazwisko, Stawrogin zerwał się z miejsca. Nie chciał wierzyć. Wkrótce jednak na ustach jego zjawił się uśmiech wyniosłego triumfu, który mógł zresztą uchodzić za uśmiech zdziwionej nieufności. Maurycy Mikołajewicz, gdy wszedł do pokoju, był tego rodzaju uśmiechem wprowadzony w zdumienie. Zatrzymał się pośrodku pokoju, niepewny, czy ma posuwać się dalej. Gospodarz natychmiast zmienił wyraz twarzy i z poważnem zdumieniem wysunął się na spotkanie. Gość nie przyjął wyciągniętej dłoni. Niezgrabnie przysunął krzesło, nie wypowiedziawszy ani słowa i usiadł, zanim go o to poproszono. Stawrogin ulokował się jakoś boczkiem na otomanie. Wpatrzony w Maurycego Mikołajewicza, milczał i czekał.

— Jeżeli pan może, niech się pan żeni z Lizawetą Mikołajewną, — wypalił znienacka przybysz. Z tonu jego głosu trudno było poznać, czy jest to prośba, czy rada, ustępstwo, czy rozkaz. To właśnie było najciekawsze.

Stawrogin wciąż milczał. Gość jednak wypowiedział prawdopodobnie wszystko, o co mu chodziło, i patrzył uporczywie, oczekując odpowiedzi.

Stawrogin musiał wreszcie coś powiedzieć.

— Jeżeli się nie mylę (zresztą jest to już aż nazbyt oczywiste), Lizaweta Mikołajewna już zaręczona jest z panem?

— Owszem, jest moją narzeczoną, — twardym, wyraźnym głosem stwierdził Maurycy Mikołajewicz.

— Państwo... się pokłócili? Przepraszam, że tak mówię.

— O nie! Ona mnie „lubi i szanuje". To są jej słowa. Jej słowa — to rzecz najcenniejsza.

— Nie wątpię o tem.

— Lecz musi pan wiedzieć o jednem. Gdyby nawet już stała przed ołtarzem, w szacie ślubnej, wystarczy panu zawołać. Porzuci mnie i pójdzie za panem.

— Od ołtarza?

— Nawet... po ołtarzu.

— Czy pan się nie myli?

— Nie. Z poza nieustannej nienawiści do pana, najszczerszej i najgłębszej, wytryska wciąż, bez przerwy, miłość... szał! Najistotniejsza, bezgraniczna miłość i szał. I odwrotnie. Z poza przywiązania, które czuje ona do mnie, tak samo szczerze, wybucha raz po raz nienawiść, najstraszliwsza nienawiść. Nigdy przedtem nie byłbym w stanie zrozumieć takich metaformoz.

— Dziwi mnie to jednak. Jak pan może przychodzić do mnie i rozporządzać się ręką Lizawety Mikołajewny! Kto pana do tego uprawnił? Czy jest pan upoważniony przez nią?

Maurycy Mikołajewicz zachmurzył się i spuścił na chwilę głowę. Nareszcie odezwał się.

— To są u pana tylko puste słowa. Mściwe słowa triumfu. Wiem, że pan potrafi zrozumieć to, czego się nie dopowiada. Czyż jest tu miejsce dla karlej zarozumiałości? Panu jeszcze nie wystarcza? Czy trzeba podkreślać, stawiać kropki nad i? Dobrze. Postawię kropki, skoro zależy panu na upokorzeniu mnie. Nie mam żadnego prawa. Upoważnienie byłoby tu niemożliwe. Lizaweta Mikołajewna nie wie o niczem. Jej narzeczony stracił resztki rozumu, zasłużył na dom warjatów, a w dodatku sam przychodzi, aby panu to oświadczyć. Pan jeden tylko na całym świecie może ją

uszczęśliwić. A tylko ja jeden mogę unieszczęśliwić ją. Pan walczy o nią, pan tropi ją, i nie wiem, dlaczego pan się z nią nie żeni. Jeżeli jest to sprzeczka kochanków, trwająca od czasów szwajcarskich, i jeżeli jest to potrzebne, abym ja padł ofiarą tej sprzeczki, — dobrze, czyńcie ze mnie ofiarę. Ona jest zbyt nieszczęśliwa. Nie jestem w stanie tego znieść. Słowa moje nie są ani rozkazem, ani ustępstwem. Ambicja pańska nie cierpi tu nic. Gdyby pan zechciał zająć moje miejsce przy ołtarzu, mógłby pan to zrobić bez mego pozwolenia, i ja, wraz z szaleństwem mojem, nie potrzebowałbym do pana przychodzić. Niech pan uwzględni, że po obecnym kroku moim ślub nasz staje się niemożliwy. Ja, jako nikczemnik, nie mógłbym jej prowadzić do ołtarza. To zaś, że tu oddaję ją panu, może najstraszliwszemu jej wrogowi, jest tak podłe, że sam nie zdołam tego znieść.

— Cóż pan zrobi, gdy dojdzie do ślubu? Zastrzeli się pan?

— O, nie. Znacznie później. Poco miałbym szaty jej ślubne krwią broczyć? A może nie zastrzelę się nigdy, ani teraz, ani później.

— Pan tak mówi, aby mnie uspokoić?

— Pana? Cóż może znaczyć dla pana jeden więcej strumień krwi?

Zbladł. Iskrzyły mu się oczy. Długo trwało milczenie, które wreszcie przerwał Stawrogin.

— Przepraszam pana za to wszystko, o co pytałem pana. Do niektórych pytań nie byłem uprawniony. Jest jednak jedno, na które mam prawo. Niech mi pan powie, co panu pozwoliło wnioskować o moich uczuciach względem Lizawety Mikołajewny. Mam na względzie takie napięcie uczuć, które dałoby prawo panu przyjść do mnie i odważyć się na postawienie mi takiej propozycji?

Maurycy Mikołajewicz drgnął.

— Jakto? Czyż pan nie walczył o nią? Czyż pan i teraz jeszcze nie walczy?

— O uczuciach moich do tej, lub innej kobiety nie umiem mówić głośno nikomu, oprócz niej jednej. Może to moje dziwactwo, które zechce mi pan wybaczyć. Natomiast powiem panu istotną prawdę. Jestem żonaty. Że-

nić się i równocześnie starać się o czyjąś rękę ja absolutnie nie mogę.

Maurycy Mikołajewicz był tak zdumiony, że cofnął się w fotelu i przez parę chwil nieruchomo wpatrywał się w Stawrogina. Wreszcie wybełkotał.

— Niech mi pan wierzy... nigdy nie myślałem... Wtedy, w ów poranek, powiedział pan, że nie jest żonaty... uwierzyłem panu...

Zbladł przeraźliwie. Uderzył pięścią w stół.

— Po tem, co mi pan powiedział, jeżeli pan nie porzuci Lizawety Mikołajewny, jeżeli pan ją skrzywdzi, zabiję pana kijem, jak psa pod płotem.

Zerwał się i wybiegł z pokoju. Wierchowieński, który wleciał natychmiast, zastał gospodarza w zupełnie nieoczekiwanym nastroju.

— Ach, to pan! — głośno śmiał się Stawrogin. Zdawało się, że śmieszy go sama figura Wierchowieńskiego, który tak gwałtownie wpadł do pokoju.

— Pan podsłuchiwał pode drzwiami? Ach, przepraszam, co pana tu przyniosło? Coś tam obiecałem panu, o ile sobie przypominam? Ach, tak! Do „naszych"! Chodźmy. Rad jestem. Nic weselszego nie mógłby pan wymyślić w tej chwili.

Wziął kapelusz. Natychmiast wyszli razem na ulicę.

— Pana to bawi, że zobaczymy „naszych"? — wesoło gwarzył Wierchowieński. Starał się kroczyć obok towarzysza, miejscami wąskim chodnikiem, miejscami wypadając na błotnistą ulicę, gdyż Stawrogin nie zauważył nawet, że idzie środkiem chodnika, zajmując go swoją osobą całkowicie.

— Ależ ja się wcale nie śmieję, — wesoło i głośno mówił Stawrogin. — Przeciwnie, przekonany jestem, że tam u pana są najpoważniejsi ludzie.

— Ponure miernoty, jak pan to był łaskaw kiedyś określić.

— Cóż może być czasem weselszego, jak ponura miernota?

— Pan myśli o Maurycym Mikołajewiczu? Jestem przekonany, że był u pana, aby odstąpić swoją narzeczoną.

Może nie? Niech pan sobie wyobrazi, że to ja pośrednio wpłynąłem na niego. A jak nie ustąpi, weźmiemy sami. Prawda?

Wierchowieński wiedział dobrze, że ryzykuje dużo, puszczając się na takie bezdroża. Gdy jednak był podniecony, wolał ryzykować najwięcej, niż pozostawać w nieświadomości.

Stawrogin śmiał się.

— Pan wciąż zamierza pomagać mi?

— Ilekroć pan zawoła. Pan wie jednak, że istnieje tylko jedna, najpewniejsza droga.

— Znam pańską drogę.

— O, nie, to tymczasem sekret. Niech pan w każdym razie pamięta, że za sekret się płaci.

— Wiem nawet wiele to kosztuje — burknął do siebie Stawrogin. Powstrzymał się jednak i zamilkł.

— Wiele? Co pan powiedział? — dopytywał się Wierchowieński, mocno zatrwożony.

— Powiedziałem tylko: do djabła z panem i z pańskim sekretem. Niech pan lepiej mi powie, kto tam będzie. Wiem tylko, że idziemy na imieniny. Lecz do kogo?

— O, najrozmaitsi ludzie. Będzie nawet Kiriłow.

— Sami członkowie kółek?

— Ależ pan się śpieszy! Tu nawet jedno kółko nie jest gotowe.

— Jakże mógł pan rozrzucić tyle proklamacyj?

— Tam, dokąd my idziemy, jest tylko czterech członków. Reszta trwa w oczekiwaniu. Szpiegują jeden drugiego na wyścigi i komunikują mi. Zupełnie pewni ludzie. To materjał, który trzeba zorganizować — i wynosić się. Zresztą pan sam pisał statut. Panu nie trzeba tłumaczyć.

— Cóż? Trudno idzie? Jak z kamienia?

— Ale gdzież tam. Najłatwiej w świecie. Ubawię pana. Pierwsza rzecz, która działa nieodwołalnie, to mundur. Uniform — to najsilniejsza rzecz. Umyślnie stwarzam rangi i tytuły. Mam sekretarzy, tajnych obserwatorów, skarbników, prezesów, regestratorów, ich zastępców... Podoba się to i łatwo daje się zaszczepić. Następną dźwignią jest sentymentalizm. Socjalizm rozwija się u nas na

sentymentalnem podłożu. Najgorsza bieda z tymi kąsającymi podporucznikami. Lada chwila można się wsypać. Za sentymentalistami idą zwykli szalbierze. To są nieźli ludzie. Czasem bardzo potrzebni. Traci się jednak na nich dużo czasu. Wciąż trzeba ich pilnować. Wreszcie siła główna, cement, łączący wszystko, to wstyd przed własną opinją. Jest to siła olbrzymia! Nie wiem nawet, kto nad tem pracował, kto to najserdeczniejszy, tyle trudu włożył, aby nie pozostała im w głowie ani jedna myśl własna. Wstydziliby się jej.

— Jeżeli tak, to poco panu tak się o nich starać?

— Jeżeli ludzie wprost leżą, a gęby poroztwierali, jak tu ich nie brać? Czyż pan istotnie nie wierzy w możliwość powodzenia? Lecz tu nie wystarczy wiara. Trzeba chcieć! Właśnie z takimi ludźmi można liczyć na powodzenie. Ręczę panu, że każdy z nich w ogień pójdzie. Wystarczy krzyknąć na niego, że nie jest dostatecznie liberalny. Głupi ludzie zarzucają mi, że zawróciłem tu wszystkim w głowie komitetem centralnym i niezliczonemi rozgałęzieniami. Zresztą nawet pan mi kiedyś o tem mówił. Lecz czyż to oszukaństwo? Komitet centralny — to pan i ja. A rozgałęzień zrobi się tyle ile pan zechce.

— Z samych szubrawców.

— To materjał. Przydadzą się i tacy.

— A pan wciąż na mnie liczy?

— Pan jest wodzem. Pan jest siłą. Ja zaś będę gdzieś zboku. Będę sekretarzem. Siądziemy do czółna. Wiosełka klonowe. Żagle jedwabne. A w łodzi siedzi cud dziewica. Słoneczko jasne, Lizaweta Mikołajewna. Jak to tam dalej jest w tych baśniach?

— Zabrakło panu fantazji? — zaśmiał się Stawrogin. — Nie. Lepszą opowieść panu podsunę. Pan liczysz na palcach, z jakich sił składają się kółka. To wszystko biurokratyzm i sentymentalizm. To wszystko klej, może wcale niezły. Jest jednak lepszy sposób. Namów pan czterech członków kółka, aby zabili piątego, pod pozorem, że zamierza zdradzić. Pan ich związesz natychmiast krwią przelaną, w nierozerwalny węzeł. Niewolnikami się staną. Nie poważą się żądać sprawozdań i protestować. Cha-cha-cha!

„Jednakże... będziesz musiał zapłacić za te słowa", — myślał Wierchowieński. — „Zaplacisz dziś jeszcze. Pozwalasz sobie za dużo".

Takie, mniej więcej, były myśli Wierchowieńskiego. Podchodzili już do domu, w którym mieszkał Wirgiński.

Stawrogin zapytał.

——Pan prawdopodobnie wystawił mnie tam, jako jakiegoś zagranicznego spiskowca, będącego w kontakcie z Międzynarodówką? Jako rewidenta?

— Nie. Rewidentem będzie ktoś inny. Pan będzie członkiem-założycielem z zagranicy, który zna najważniejsze tajemnice. Taką jest rola pańska. Pan, oczywiście, zabierze głos.

— Skąd pan to wziął?

— Teraz już musi pan mówić.

Stawrogin, zdziwiony słowami Wierchowieńskiego, zatrzymał się w środku ulicy, obok latarni. Piotr Stepanowicz zuchwale i spokojnie wytrzymał spojrzenie. Stawrogin splunął i ruszył dalej. Znienacka zapytał.

— A pan nie będzie mówił?

— O nie. Wolę posłuchać pana!

— Do djabła! Pan mi istotnie nasunął pomysł.

— Jaki? — zaniepokoił się Wierchowieński.

— A taki, że tam istotnie zabiorę głos, lecz potem nabiję pana. Ach, jak nabiję!

— Co? A wie pan, co ja dziś powiedziałem Karmazinowowi? Że zdaniem pańskiem należy go siec rózgami, lecz tak, żeby bolało, po chamsku.

— Nigdy przecież tego nie mówiłem.

— To nic nie znaczy. *Se non è vero...*

— Dziękuję panu. Szczerze jestem wdzięczny.

— A wie pan, co twierdzi Karmazinow? Mówi, że istota naszej nauki polega na negacji honoru, i że Rosjanina najłatwiej pociągnąć za sobą głoszeniem otwarcie prawa do braku honoru.

— Cudowne słowa! Złote słowa! — zawołał Stawrogin. — Trafił w sedno! Prawo do braku honoru! Ależ wtedy wszyscy do nas przybiegną. Po tamtej stronie nie zosta-

nie nikogo! Panie Wierchowieński? Czy pan nie jest agentem wyższej policji tajnej?

— Kto myśli takie rzeczy, nie powinien ich wypowiadać.

— Rozumiem. Mówimy jednak w cztery oczy.

— Nie, dotychczas nie jestem. Lecz skończmy. Przyszliśmy już. Niech pan zrobi odpowiedni wyraz twarzy. Zawsze dbam o to, gdy do nich wchodzę. Ponura tajemniczość — to wystarcza. O nic więcej nie chodzi. Bardzo prosta rzecz...

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

WŚRÓD NASZYCH.

I.

Wirgiński mieszkał w domu własnym, raczej w domu żony, przy ulicy Murawiejnej. Był to domek drewniany, jednopiętrowy. Żadnych obcych lokatorów nie było. Pod pozorem imienin zebrało się około piętnastu gości, lecz zebranie to w niczem nie przypominało prowincjonalnej imieninowej zabawy. Od początku pożycia małżeńskiego, Wirgińscy zdecydowali, że głupio jest spraszać gości na imieniny. „Niema z czego się cieszyć" — mówili. Wciągu kilku lat zdołali zerwać kontakt z wszystkiemi towarzyskiemi ugrupowaniami. Wirgiński, człowiek dość zdolny i niebiedny, wydawał się wszystkim dziwakiem lubiącym samotność i miał opinję wyniosłego. Pani Wirgińska, która trudniła się akuszerją, już przez to samo stała na najniższym szczeblu społecznym. Niżej nawet od popadji, i nic tu nie pomagała oficerska ranga męża. Trudno jednak było dostrzec w niej pokorę, jaka odpowiadałaby temu stanowisku. Po głupim i niemożliwie otwartym stosunku jej z jakimś włóczęgą, kapitanem Lebiadkinem, stosunku dla zasady, najwięcej wyrozumiałe z pośród naszych pań zaczęły odwracać się od niej z widoczną pogardą. Pani Wirgińska przyjęła to zupełnie spokojnie. Te same surowe panie, w razie błogosławionego stanu, usiłowały zwracać się tylko do niej, odrzucając po-

moc trzech innych akuszerek naszego miasta. Tak wierzono w jej umiejętność, szczęście i zręczność w trudnych wypadkach, iż nawet obywatelki ziemskie posyłały po nią do miasta. Skończyło się na tem, że Arina Prochorowna chodziła na połogi tylko do najbogatszych domów. Na pieniądze była strasznie łapczywa. Poczuwszy ostatecznie siłę swoją, przestała się już krępować. Może naumyślnie, w najświetniejszych domach, straszyła nerwowe położnice jakiemś nihilistycznem poniewieraniem wszelkich form światowych, lub też wyszydzaniem rzeczy świętych, zwłaszcza w takich chwilach, gdy świętość byłaby najbardziej na miejscu. Nasz lekarz wojskowy, p. Rozanow, który był jednocześnie ginekologiem, zaświadczył kategorycznie, iż w pewnym wypadku, gdy położnica wiła się w mękach i wzywała imienia Bożego, jedno z bluźnierstw Ariny Prochorowny, gwałtowne jak wystrzał, tak podziałało na przerażoną kobietę, że przyśpieszyło szczęśliwe rozwiązanie. Będąc nihilistką, Wirgińska w pewnych chwilach ściśle przestrzegała nietylko zwykłych towarzyskich obyczajów, lecz i staroświeckich przesądów, o ile mogła wyciągnąć z tego korzyść. Za nic w świecie nie opuściłaby, naprzykład, chrzcin dziecka. Zjawiała się wtedy w zielonej sukni jedwabnej z trenem, a włosy układała sobie w pukle i loczki, chociaż normalnie celowała w abnegacji. I chociaż w czasie obrzędu miała wyraz najbezczelniej zuchwały, tak że niejednego detonowała, jednakże potem nieodzownie sama wynosiła szampan (poto tu była), i niechby ktokolwiek popróbował, wziąwszy kielich, nie dać jej „na kaszę".

Goście, którzy dziś się zebrali u Wirgińskich, (prawie sami mężczyźni), mieli wygląd niezwykły i przypadkowy. Nie było ani jedzenia, ani kart. Pośrodku dużego pokoju, o starych błękitnych tapetach, zsunięte były dwa stoły. Leżał na nich dość brudny obrus i kipiały dwa samowary. Koniec stołu zajmowała ogromna taca z dwudziestu pięciu szklankami i koszyk z francuską bułką, pokrajaną na liczne kawałki, jakgdyby dla uczniów w internatach. Herbatę nalewała panna trzydziestoletnia, siostra gospodyni, istota bez brwi i o rzęsach białych, milcząca a zjadliwa, zwolenniczka nowych prądów, która w życiu codziennem wzbudzała po-

strach w Wirgińskim. W pokoju były trzy kobiety: gospodyni, jej siostra bez brwi i rodzona siostra Wirgińskiego, która dziś właśnie przybyła z Petersburga. Arina Prochorowna, dwudziestosiedmioletnia niebrzydka osoba, o wyglądzie rzucającym się w oczy, miała włosy roztrzepane i suknię zielonkawą, nieodświętną. Siedziała, obrzucając wzrokiem gości, jakgdyby chciała powiedzieć: „widzicie, niczego się nie boję". Panna Wirgińska, także niebrzydka, studentka i nihilistka, tłuściutka i okrąglutka jak kulka, niskiego wzrostu, o bardzo czerwonych policzkach, ulokowała się obok Ariny Prochorowny. Była jeszcze prawie w podróżnym stroju, trzymała w ręku jakiś zwitek papierów i niecierpliwym wzrokiem przeskakiwała po zebranych. Sam Wirgiński był tego dnia niezdrów, lecz wyszedł do gości i usiadł przy stole w głębokim fotelu. Goście już wszyscy siedzieli. To poważne rozlokowanie się ich na krzesłach naokoło stołu świadczyło o tem, że ma się odbyć posiedzenie. Wszyscy najwidoczniej czekali na coś, tymczasem zaś rozmawiali, chociaż głośno, lecz jakgdyby na stronie. Gdy weszli Stawrogin i Wierchowieński, zamilkli wszyscy.

Muszę jednak dla ścisłości wyjaśnić pewne rzeczy.

Sądzę, że całe to towarzystwo zeszło się tu w głębokiej nadziei usłyszenia czegoś wyjątkowo ciekawego, i że uprzedzono ich o tem. Był to kwiat najjaskrawiej czerwonego liberalizmu w naszej starej mieścinie, odpowiednio dobrany przez Wirgińskiego na to posiedzenie. Niektórzy z pośród nich (nieliczni wprawdzie), nigdy przedtem u Wirgińskich nie bywali. Rzecz prosta, że większość gości nie miała wyraźnego pojęcia, z jakiego powodu zostali zaproszeni. Wszyscy traktowali Piotra Stepanowicza, jako zagranicznego emisarjusza, o szerokich pełnomocnictwach. To przekonanie rozpowszechniało się i schlebiało niejednemu. Wśród tej garstki obywateli, zebranych pod pozorem imienin, znajdowali się niektórzy, którym poczynione już były pewne propozycje. Wierchowieński zdążył już skleić u nas „piątkę", na wzór tej, którą zorganizował przedtem w Moskwie i, jak się potem okazało, u nas w powiecie wśród oficerów. Podobno miał także piątkę w Ch-ej guberji. Ta piątka wybranych siedziała przy ogólnym stole, starając się udawać

najzwyklejszych ludzi, tak że nikt nie mógłby się domyśleć. Byli to (już teraz nie jest to tajemnicą) — Liputin, sam Wirgiński, kłapouchy Szigalew, brat Wirgińskiej, Lamszyn i wreszcie niejaki Tołkaczenko. Była to dziwna osobistość; człowiek czterdziestoletni, który rościł sobie pretensję do wyjątkowej orjentacji w ludzie naszym, zwłaszcza co się tyczy zbójów i oszustów; włóczył się wciąż po szynkach (wprawdzie nietylko dla badań), chełpił się nędznem ubraniem, butami w dziegciu, przebiegłem spojrzeniem i ludowem słownictwem z odpowiedniemi arabeskami. Jeszcze dawniej Lamszyn przyprowadzał go parokrotnie do Stepana Trofimowicza na nasze zebrania, lecz w naszem gronie Tołkaczenko nie miał powodzenia. Bywał w mieście dość rzadko, wtedy gdy nie miał posady. Służył zwykle na kolei. Ci działacze połączyli się w piątkę w głębokiem przekonaniu, iż stanowią tylko jedno kółko wśród setek i tysięcy takich samych piątek, rozrzuconych po całej Rosji i zależnych od centralnego, olbrzymiego, zakonspirowanego ośrodka, który ze swej strony połączony jest organicznie ze wszechcuropejskim ruchem rewolucyjnym. Muszę przyznać, niestety, że już wtedy dawało się wyczuć wśród nich pewne niezadowolenie. Od wiosny oczekiwali przyjazdu Wierchowieńskiego, zapowiedzianego przedewszystkiem przez Tołkaczenkę, a potem przez Szigalewa; spodziewali się po nim rozmaitych cudów; bez słowa krytyki, na pierwsze jego wezwanie, utworzyli kółko. Gdy jednak piątka już powstała, wszyscy poczuli jakąś urazę. Myślę, że źródłem jej było zbyt pochopne stawienie się na wezwanie. Stawili się głównie przez szlachetny wstyd, aby nikt nie zarzucił im potem braku odwagi; lecz w każdym razie Wierchowieński powinien był ocenić ich czyn i wynagrodzić go co najmniej wyjawieniem głównych tajemnic. Lecz Wierchowieński ani myślał o zaspakajaniu słusznej ich ciekawości — i nic zbytecznego nie opowiedział; wogóle traktował ich surowo i lekceważąco. Drażniło to ich i jeden z członków piątki, Szigalew, już podburzał innych do zażądania wyjaśnień, — oczywiście jednak nie teraz, nie przy obcych.

O tych „obcych" niech mi wolno będzie wypowiedzieć jeszcze jedno przypuszczenie. Spiskowcy z piątki prawdopo-

dobnie podejrzewali, że wśród zebranych u Wirgińskiego gości są członkowie innych, nieznanych im kółek, zorganizowanych tak samo przez Wierchowieńskiego. Ostatecznie wszyscy zebrani podejrzewali siebie wzajemnie i usiłowali stroić się w jakieś pozy. Nadawało to całemu zgromadzeniu cech charakterystycznych, a nawet romantycznych. Naprzykład, jakiś major, krewny Wirgińskiego, człowiek zupełnie niewinny, nawet nie zaproszony. Przyszedł sam na imieniny i już nie można było go wyprosić. Gospodarz był spokojny, gdyż major napewno nie należał do ludzi, którzy mogliby zadenuncjować. Pomimo iż był bardzo ograniczony, chętnie włóczył się przez całe życie wszędzie, gdzie byli czerwoni postępowcy. Nie podzielał ich opinji, lubił jednak posłuchać. Był nawet trochę skompromitowany. Tak się zdarzyło, że przez ręce jego, za czasów młodości, przeszły całe składy Hercenowskiego „Dzwonu" i proklamacyj. Bał się nawet rozwijać ten transport, uznałby jednak za podłość wymówienie się od rozpowszechniania. Wśród Rosjan wielu zachowało się takich ludzi do dziś dnia. Inni goście reprezentowali albo rozgoryczoną żółciowo ambicję, albo szlachetny popęd pierwszej młodości. Było tam paru nauczycieli, z których jeden kulawy, czterdziestopięcioletni nauczyciel gimnazjalny, człowiek zły i zarozumiały, i paru oficerów. Jeden z nich, młodziutki artylerzysta, który w tych dniach dopiero przyjechał ze szkoły wojskowej, i nie zdążył jeszcze pozawierać znajomości, milczący chłopak, znalazł się znienacka u Wirgińskiego z ołówkiem w ręku. Nie uczestniczył prawie w rozmowie i co chwila coś notował w notesiku. Wszyscy widzieli to, udawali jednak, że nie zwracają uwagi. Był też seminarzysta absolwent bez określonych zajęć, ten sam, który wraz z Lamszynem podsypał przekupce ksiąg fotografje pornograficzne, rosły chłop o niedbałych, lecz nieufnych ruchach, z nieustannym szyderczym uśmiechem na twarzy, a jednocześnie z wyrazem triumfującej doskonałości, zupełnie zadowolonej z siebie. Był też, niewiadomo z jakiego tytułu, syn naszego burmistrza, ów zepsuty młodzian, o którym już wspominałem, opisując przygodę małej porucznikowej. Ten milczał bez przerwy. Wreszcie znalazł się tu jakiś uczeń, gorący, wzburzony chło-

pak osiemnastoletni, który siedział z miną człowieka, urażonego w godności własnej i najwidoczniej cierpiał z powodu swego wieku. Ten młokos stał już na czele samodzielnej grupy spiskowców, zorganizowanej w najstarszej klasie gimnazjum, co się wykryło później ku ogólnemu zdziwieniu. Nie wspomniałem dotychczas o Szatowie. Siedział tu też na rogu stołu, odsunąwszy wtył swe krzesło. Patrzył na podłogę, milczał ponuro, wymówił się od herbaty i chleba i nie wypuszczał z rąk swej czapki, jakgdyby chciał przez to podkreślić, że nie jest tu gościem, lecz przyszedł w interesie, a gdy zechce, to wstanie i wyjdzie. Niedaleko od niego ulokował się Kiriłow, także milczący. Nie patrzył jednak wdół, lecz przeciwnie, wpatrywał się nieruchomym, matowym wzrokiem w każdego mówiącego i wysłuchiwał wszystkiego bez zdziwienia i bez wzruszenia. Niektórzy z gości, którzy go przedtem nigdy nie widzieli, rzucali w jego stronę uważne przelotne spojrzenia. Czy sama Wirgińska wiedziała o istnieniu piątki? Trudno odpowiedzieć stanowczo. Myślę jednak, że wiedziała od męża. Studentka, oczywiście, nie należała do niczego. Miała własną ideę. Chciała spędzić tu tylko parę dni, a potem wędrować dalej i dalej, po wszystkich miastach uniwersyteckich, aby „wziąć udział w cierpieniach biednych akademików i budzić w nich protest". Wiozła ze sobą kilkaset egzemplarzy litografowanej odezwy, prawdopodobnie własnego pomysłu. Ciekawe, że sztubak znienawidził ją odrazu najokrutniej, chociaż widzieli się po raz pierwszy. I ona też poczuła do niego nienawiść. Major był jej wujaszkiem i widział ją teraz po dziesięciu latach. Gdy wchodzili Stawrogin i Wierchowieński była czerwona jak burak. Przed chwilą pokłóciła się z wujaszkiem z powodu jego poglądów na kwestję kobiecą.

II.

Wierchowieński najniedbalej rozsiadł się na krześle u rogu stołu, nie witając się prawie z nikim. Miał wygląd zły i wyniosły. Stawrogin ukłonił się uprzejmie. Chociaż wszyscy czekali tylko na nich, udali jednak, że prawie nie

zauważyli ich wejścia. Gospodyni zwróciła się do Stawrogina ostrym głosem.

— Chce pan herbaty?

— Proszę.

— Herbaty Stawroginowi, — zawołała do siostry i zwróciła się do Wierchowieńskiego.

— A pan?

— Oczywiście. Poco pytać? Proszę również o śmietankę. Dajecie zawsze taką podłą herbatę! Przecież dziś macie solenizanta!

— Co? I pan uznaje imieniny? — zaśmiała się studentka. — Przed chwilą mówiliśmy o tem.

— To już stare, — mruknął uczeń z drugiego końca stołu.

— Co to jest stare? — momentalnie zareplikowała studentka, podskakując na krześle. — Zwalczanie przesądów, nawet najniewinniejszych, nie jest rzeczą starą. Wstyd, że istotnie jest to dotychczas nowością. Niema zresztą przesądów niewinnych.

Uczeń mocno podrażniony, bronił się.

— Chciałem tylko oświadczyć, że chociaż przesądy są rzeczą starą i należy je zwalczać, lecz co do imienin to już wszyscy wiedzą, że to głupstwa, i jest to zbyt stare tracenie cennego czasu, już bez tego traconego przez cały świat, można więc wysilać dowcip na użytek lepszy...

— Zbyt długo pan ciągnie, — zawołała studentka. — Nie można zrozumieć.

— Sądzę, że każdy ma prawo głosu narówni z innymi, i jeżeli ja chcę wypowiedzieć moją opinję, tak samo jak inni, to...

— Nikt panu głosu nie odbiera, — przerwała mu Wirgińska. — Proszę tylko, abyś pan nie rozwlekał, gdyż nikt nie może zrozumieć.

— Jednakże, niech mi wolno będzie powiedzieć, że jest to dowód braku szacunku. Jeżeli nie mogłem dokończyć myśli mojej, to nie dlatego, aby brakło mi myśli, a raczej od ich nadmiaru... — bełkotał uczeń i zaplątał się ostatecznie.

— Kto nie umie mówić, niech milczy!—odcięła się studentka.

Uczeń zerwał się z krzesła. Paląc się ze wstydu i bojąc się patrzeć na ludzi, wołał:

— Chciałem tylko powiedzieć, że pani dlatego wylazła z mądrością swoją, że wszedł pan Stawrogin! Tak!

— Myśl pana jest brudna i niemoralna, i świadczy o ubóstwie pańskiej psychiki. Proszę więcej do mnie się z niczem nie zwracać — terkotała studentka.

Wirgińska zwróciła się do Stawrogina.

— Tu, zanim pan przyszedł, była mowa o prawach rodzinnych. Zwłaszcza ten oficer (wskazała na swego krewnego, majora). Nie będę pana nudziła staremi bredniami, dawno przebrzmiałemi. Lecz niech mi pan powie, skąd powstały prawa i obowiązki rodzinne, jako jeden z przesądów, dotychczas żywych? To jest ciekawe. Co pan o tem myśli?

— Skąd się wzięły? — powtórzył Stawrogin.

Wyrwała się znów studentka, skacząc oczyma ku Stawroginowi.

— Tak. Wiemy, naprzykład, że przesąd o Bogu powstał z powodu błyskawicy i grzmotu. To już zbyt znane, że ludzkość pierwotna, bojąc się pioruna, uczyniła Bogiem potęgę, której się bała. Skąd jednak przesąd o rodzinie? Skąd mogła powstać rodzina?

— To niezupełnie to samo... — zatrzymała ją Wirgińska.

— Sądzę, — odparł Stawrogin, — że odpowiedź na to pytanie byłaby trochę nieprzyzwoita.

— Jakto? — podskoczyła studentka.

Lecz w grupie nauczycieli słychać już było pośmiech, któremu wtórzyli z drugiego końca stołu Lamszyn i uczeń. Za nimi wybuchł chrapiącym śmiechem krewniak-major.

Wirgińska odezwała się do Stawrogina.

— Pan powinien pisywać farsy.

Studentka zaś, głęboko oburzona, ciągnęła:

— Zbyt to brzydko o panu świadczy, panie... jak się pan tam nazywa!

— A nie wyrywaj się! — huknął major. — Jesteś panną, powinnabyś zachowywać się skromnie, a ty, — jakgdybyś siedziała na igle.

— Niech pan milczy i niech pan nie odważa się mó-

wić do mnie takim tonem i używać tak obrzydliwych porównań. Pierwszy raz widzę pana i nie chcę słyszeć o pokrewieństwie.

— Ależ jestem wujaszkiem twoim; na rękach ciebie nosiłem...

— Co mi do tego, co pan tam nosił na rękach. Nie prosiłam pana o to, to znaczy, że panu samemu, panie oficerze, sprawiało to przyjemność. I proszę to sobie zanotować, że pan nie ma prawa mówić do mnie po imieniu. Zabraniam raz na zawsze!

Major uderzył ręką w stół i zwrócił się do Stawrogina.

— One wszystkie tak! O nie, przepraszam! Cenię liberalizm i współczesność, lubię posłuchać rozumnych rozmów, lecz uprzedzam — tylko wśród mężczyzn. Słyszeć takie rzeczy z ust kobiet, tych dzisiejszych latawic, — to boli! Nie kręć się! — zawołał do studentki, która wciąż zrywała się z krzesła. — Nie, ja także proszę o głos. Jestem obrażony.

Wirginska zamamrotała w oburzeniu.

— Pan przeszkadza innym, a sam nie potrafi nic powiedzieć.

— Nie, będę mówił, — irytował się major, zwracając się do Stawrogina. — Ja liczę na pana, jako na świeżego człowieka, chociaż nie mam zaszczytu go znać. Bez mężczyzn przepadłyby one jak muchy. Tak myślę. Cała ich kwestja kobieca — to tylko brak oryginalności. Upewniam pana, że kwestję kobiecą wymyślili dla nich mężczyźni, na własne utrapienie. Całe szczęście moje, że nie jestem żonaty. Najmniejszej rozmaitości niema wśród nich! Wzoru do wyszywania nie wymyślą. Nawet wzory rysują im mężczyźni. Oto ja na ręku ją nosiłem, potem ze smarkaczem dziesięcioletnim mazura tańczyłem. Dziś przyjeżdża. Naturalnie, że lecę ją wyściskać, a ona odrazu mi oświadcza, że niema Boga. Niechby choć trochę później, lecz nie, odrazu! No, dobrze! Wiem, że mądrzy ludzie nie wierzą w Boga, lecz to u nich z rozumu, a ty, bębnie, co możesz wiedzieć o Bogu? Student ciebie nauczył. A gdyby nauczył świece zapalać przed ołtarzem, tobyś zapalała!

Studentka odparła pogardliwie, jakgdyby zaznaczając swą odrazę.

— Wszystko to kłamstwo. Pan jest złym człowiekiem, i już przedtem udowodniłam całą bezsensowność pańskich opinij. Mówiłam panu, że uczono nas w katechizmie: jeżeli będziesz czcił ojca twego i matkę, będziesz długowieczny i będzie ci dane bogactwo. To w przykazaniach. Jeżeli Bóg uznał za właściwe obiecywać nagrodę za miłość, to znaczy, że Bóg wasz jest niemoralny. Takie było moje oświadczenie, a wyłożyłam je nie odrazu, lecz wtedy, gdy chciał pan zamanifestować jakieś tam prawa swoje. Któż winien, że pan jest tępy i dotychczas nie rozumie. Panu przykro i pan się złości — oto cały sekret pańskiego pokolenia.

— Głuptas! — bąknął major.

— To pan jest głupi.

— Możesz sobie wymyślać!

Wtem z drugiego końca stołu piskliwym głosem odezwał się Liputin.

— Przepraszam pana, Kapitonie Maksimowiczu, a jednak sam pan mi mówił, że nie wierzy w Boga.

— Cóż z tego? Ja — to co innego. Może zresztą wierzę, ale niezupełnie. Chociaż niecałkowicie wierzę, to jednak nie powiem nigdy, że Boga trzeba rozstrzelać. Jeszcze wtedy, gdym był huzarem, nieraz myślałem o Bogu. Wiadomo wszystkim, że huzarzy tylko piją i hulają. Może i ja piłem, lecz wierz mi pan, że czasem wyskakiwało się w nocy z łóżka w bieliźnie, klękało się na podłodze i zaczynał człowiek żegnać się i bić pokłony, aby Bóg zesłał wiarę. Bo już wtedy nie mogłem się uspokoić: jest Bóg, czy niema? Cierpiałem nad tem. Rano zwykle rozerwie się człowiek, wiara gdzieś odleci. Wogóle zauważyłem, że wiara w dzień jakoś się zaciera.

— Czy będą u was karty? — odezwał się Wierchowieński, ziewając szeroko.

— Ach, jak ja rozumiem pańskie pytanie! — zawołała studentka, czerwona z wściekłości na majora.

— Tracimy drogi czas na słuchanie głupich rozmów, — odcięła Wirgińska i spojrzała z wyrzutem na męża.

Studentka podciągnęła się.

— Chciałam zakomunikować zgromadzeniu o cierpieniach studentów i o ich proteście, ponieważ zaś tracimy czas na niemoralne rozmowy...

— Niema rzeczy moralnych i niemoralnych! — przerwał jej uczeń.

— Wiedziałam o tem, panie sztubaku, wcześniej, niż pana nauczono.

Uczeń obruszył się.

— Twierdzę, że pani jest petersburskim dzieciakiem, który przyjechał tu, aby nas pouczać, a my tu sami bez pani wiemy. O przykazaniu: „Czcij ojca twego i matkę twoją", — którego pani nie potrafiła nawet prawidłowo zacytować, i o jego niemoralności, wie już cała Rosja od czasu, jak to napisał Bieliński.

Wirgińska stanowczym głosem zwróciła się do męża.

— Czy to się skończy kiedykolwiek?

Jako gospodyni, rumieniła się z powodu banalności rozmów, zwłaszcza gdy zauważyła, że niektórzy z pośród nowych gości uśmiechają się ironicznie i ze zdziwieniem.

— Panowie, — podniósł głos Wirgiński, — gdyby ktokolwiek chciał zacząć o czemś stosowniejszem, lub miał cokolwiek do zakomunikowania, proponowałbym rozpocząć nie tracąc czasu.

Kulawy nauczyciel, który dotychczas milczał i siedział spokojnie, odezwał się miękkim głosem.

— Pozwoliłbym sobie rzucić jedno pytanie. Chciałbym wiedzieć, czy my tu teraz stanowimy zgromadzenie, czy też poprostu zbiorowisko najzwyklejszych śmiertelników, którzy przyszli z wizytą? Pytam raczej dla porządku i nie chcę trwać w błędzie.

Przebiegłe pytanie wywarło efekt. Wszyscy zaczęli się rozglądać, jakgdyby jeden od drugiego oczekiwał odpowiedzi. Wreszcie wszyscy, jakgdyby na komendę, skierowali wzrok ku Stawroginowi i Wierchowieńskiemu.

Wreszcie zabrała głos pani Wirgińska.

— Proponuję przegłosować odpowiedź na pytanie: czy my stanowimy zgromadzenie?

— Przyłączam się do wniosku, — odezwał się Liputin, — aczkolwiek wniosek ten jest trochę nieokreślony.

— I ja się przyłączam, i ja, — rozległy się głosy.

— I ja tak sądzę, — zaaprobował Wirgiński. — Ustalimy przynajmniej jakiś porządek.

— Dobrze! głosujemy! — oznajmiła gospodyni. — Panie Lamszyn! niech pan siada do fortepianu! Będzie pan mógł i stamtąd oddać głos w razie potrzeby.

— Znowu! — zawołał Lamszyn. — Już dosyć bębniłem!

— Proszę pana stanowczo. Niech pan siada grać. Czyż nie chce pan być pożytecznym?

— Ależ zapewniam panią, że nikt nie podsłuchuje. To tylko fantazja pani. Zresztą okna są wysokie. Nawet gdyby ktoś podsłuchiwał, nic nie zrozumie.

— Przecież my sami nawet nie rozumiemy, — odezwał się czyjś głos.

— Mówię panu, że należy być zawsze ostrożnym. To na wypadek, gdyby podeszli szpicle, — wyjaśniła Wierchowieńskiemu. — Niech wiedzą, że u nas imieniny i muzyka.

— Do djabła! — zaklął Lamszyn, usiadł przy fortepianie i zaczął bębnić walca, uderzając w klawisze prawie pięściami.

Wirgińska znów zabrała głos.

— Ci, którzy chcą, aby było posiedzenie, proponuję aby podnieśli ręce do góry.

Niektórzy podnieśli ręce, inni nie. Ten i ów nawet podniósł rękę i opuścił. Opuścił i znów podniósł.

— Do djabła! Nie zrozumiałem! — zawołał jeden z oficerów.

— I ja nie rozumiem! — mówił ktoś inny.

— A ja rozumiem! — krzyknął trzeci. — Jeżeli t a k, to rękę do góry.

— Lecz co znaczy t a k?

— To znaczy posiedzenie.

— Nie, nie posiedzenie.

— Głosowałem za posiedzeniem! — zawołał uczeń, zwracając się do Wirgińskiej.

— Dlaczegóż pan nie podniósł ręki?

Patrzałem wciąż na panią. Pani nie podniosła, więc i ja nie.

— Bardzo głupio. Sama nie podniosłam, gdyż byłam wnioskodawczynią. Panowie, proponuję odwrotne głosowanie: kto chce posiedzenia, niech siedzi i nie podnosi ręki, a kto nie chce, niech podniesie prawą rękę do góry.

— Kto nie chce? — dopytywał się sztubak.

Wirgińska zirytowała się.

— Czy pan to naumyślnie plącze?

Rozległo się jednak parę innych głosów.

— Nie, niech pani wyjaśni. Kto chce, czy kto nie chce? To trzeba wyraźniej powiedzieć.

— Kto nie chce, n i e chce!

Odezwał się oficer.

— Dobrze, lecz co robić, jeżeli się nie chce? podnosić, czy nie podnosić?

— Ech! Nie dorośliśmy jeszcze do konstytucji! — zakonkludował major.

Kulawy nauczyciel zwrócił się do Lamszyna.

— Panie, niech pan nie wali tak mocno. Nic nie słychać.

Lamszyn zerwał się od fortepianu.

— Ależ, Arino Prochorowno, przysięgam, że nikt nie podsłuchuje. Nie chcę już grać. Przyszedłem nie poto, aby bębnić.

— Panowie! — nawoływał Wirgiński, — odpowiedzcie lepiej ustnie: posiedzenie, czy nie posiedzenie?

— Posiedzenie, posiedzenie! — słychać było ze wszystkich stron.

— Dobrze, w takim razie nie trzeba głosować. Zgoda, czy nie? może ktoś żąda głosowania?

— Nie, nie trzeba, rozumiemy!

— Może ktoś nie chce posiedzenia?

— Wszyscy, wszyscy chcemy!

— Co to znaczy posiedzenie?—odezwał się jakiś głos.

Nikt mu nie odpowiedział.

— Trzeba wybrać prezesa! — zawołano z paru miejsc.

— Gospodarza, gospodarza!

Wirgiński rozpoczął.

— Dobrze, zgadzam się. Powracam do dawnej mojej propozycji: jeżeli ktokolwiek chce zabrać głos, lub złożyć jakieś oświadczenie, niech uczyni to zaraz nie tracąc czasu.

Zapanowało ogólne milczenie. Spojrzenia zebranych skierowały się znów ku Stawroginowi i Wierchowieńskiemu. Wreszcie Wirgińska zapytała wprost.

— Panie Wierchowieński, czy ma pan co do oświadczenia?

Wierchowieński ziewnął, przeciągnął się na krześle i odparł.

— Absolutnie nic. A zresztą — poprosiłbym o kieliszek konjaku.

— A pan, panie Stawrogin?

— Dziękuję, nie piję.

— Pytam, czy pan zabierze głos, a wcale nie o konjak.

— Mówić? O czem? Nie, nie chcę.

— Dadzą panu konjaku, — odpowiedziała Wirgińska do Wierchowieńskiego.

Zerwała się studentka. Podskakiwała już kilkakrotnie.

— Przyjechałam tu, aby opowiedzieć o cierpieniach nieszczęśliwych studentów i o budzeniu się wśród nich protestu...

Zacięła się. Na drugim końcu stołu zjawił się rywal, który przykuł do siebie wszystkie spojrzenia. Długouchy Szigalew z ponurym, posępnym wyrazem twarzy, powoli wstawał z krzesła. Położył przed sobą melancholijnie gruby zeszyt, zapisany drobnem pismem. Stał i milczał. Niektórzy goście trwożnie patrzyli na rozmiary zeszytu, lecz Liputin, Wirgiński i kulawy nauczyciel byli zadowoleni.

— Proszę o głos, — mrocznie odezwał się Szigalew.

— Udzielam panu głosu, — natychmiast odpowiedział Wirgiński.

Mówca usiadł, milczał czas jakiś, wreszcie wymówił poważnie.

— Panowie!

— Masz pan konjak! — pogardliwie krzyknęła białorzęsa siostra Wirgińskiej, podając Wierchowieńskiemu przyniesioną butelkę i kieliszek, w garści, bez tacy i talerzyka.

Mówca, któremu przerwano, zatrzymał się z poczuciem urażonej godności.

Wierchowieński, nalewając sobie kieliszek zawołał:

— Niech pan mówi dalej, ja nie słucham!

— Panowie, — powtórzył mówca, — zwracając się do was, a nawet, jak to ujrzycie, prosząc o pomoc w rozwikłaniu niesłychanie ważnego zagadnienia, nie mogę się obejść bez pewnego wstępu.

Znów rozległ się głos Wierchowieńskiego.

— Arino Prochorowno! Czy pani ma nożyczki?

— Naco panu nożyczki? — zapytała zdumiona Wirgińska.

— Zapomniałem obciąć paznogcie. Już od trzech dni nie mogę się na to zdobyć.

Wypowiedział to najspokojniej, obojętnie oglądając swe długie i brudne paznogcie.

Wirgińska oburzyła się, lecz studentka była zadowolona.

— Zdaje mi się, że widziałam nożyczki tu na oknie.

Wstała i podeszła do okna, znalazła nożyczki i podała Wierchowieńskiemu, który nawet nie spojrzał na nią, wziął je od niej, i zaczął natychmiast operować paznogcie. Wirgińska zrozumiała, że jest to objaw realizmu i zawstydziła się swego uprzedniego oburzenia. Goście oglądali się w milczeniu. Kulawy nauczyciel obserwował Wierchowieńskiego zawistnie i ze złością.

Szigalew ciągnął dalej.

— Poświęciwszy energję moją studjowaniu kwestji ustroju społecznego przyszłej ludzkości, który ma zastąpić nasz ustrój, doszedłem do wniosku, iż wszyscy twórcy systematów społecznych, od najdawniejszych czasów, aż do naszego 187.... roku, byli to marzyciele, fantaści, głupcy, przeczący sobie na każdym kroku, którzy nie mieli najmniejszego pojęcia o prawach przyrody i o tem dziwnem zwierzęciu, które nazywa się człowiekiem. Platon, Rousseau, Fourier, kolumny aluminjowe, to wszystko dobre dla wróbli, lecz nie dla ludzkości. Ponieważ jednak uplanowanie ustroju niezbędne jest teraz właśnie, gdy wreszcie zaczynamy działać, gdy już nie czas na nadmierne dociekania, propo-

nuję mój własny system urządzenia świata. Jest on spisany tu! — (wskazał na zeszyt). — Chciałem wyłożyć zgromadzonym treść mojej książki jak najkrócej. Widzę jednak, że przeciwnie trzeba będzie raczej dodać szereg ustnych wyjaśnień. Dlatego też mój wykład zajmie przynajmniej dziesięć wieczorów, podług rozdziałów mojej pracy.

Tu i ówdzie rozległ się śmiech.

— Muszę też odrazu uprzedzić, iż system mój nie jest jeszcze opracowany do końca.

Znów słychać było śmiechy.

— Splątałem się we własnych wywodach, i konkluzja moja pozostaje w całkowitej sprzeczności z pierwotną ideą, która jest u mnie punktem wyjścia. Zaczynam od nieograniczonej wolności, lecz kończę na nieograniczonym despotyzmie. Muszę jednak zaznaczyć, że innego rozstrzygnięcia zagadnień społecznych niema i być nie może.

Śmiech rozległ się coraz głośniej. Śmiała się młodzież i mniej wtajemniczeni goście. Na twarzach Wirgińskiej, Liputina i kulawego nauczyciela widać było pewien zawód. Jeden z oficerów ostrożnie zapytał.

— Jeżeli pan nie potrafił sklecić swego systematu i wpadł w rozpacz, cóż my możemy na to poradzić!

— Ma pan rację, panie oficerze, — ostro zwrócił się do niego Szigalew. — Najtrafniej użył pan słowa rozpacz. Tak, wpadałem w rozpacz. A jednak to, co jest wyłożone w mojej książce, nie da się niczem zastąpić. Innego wyjścia niema. Tu nikt nic nie wymyśli. I dlatego proszę zgromadzonych, aby wysłuchawszy wciągu dziesięciu wieczorów mego referatu, nie tracąc czasu wypowiedzieli swoją opinję. Jeżeli zgromadzeni nie chcą słuchać, rozstańmy się odrazu. Mężczyźni — na służbę państwową. Kobiety — do kuchni. Jeżeli bowiem odrzucicie moją książkę, — nie znajdziecie innego wyjścia. Absolutnie żadnego! Tracąc czas, szkodzicie tylko sobie, gdyż potem nieodwołalnie wrócicie do moich założeń.

Wśród zebranych zaczął się ruch. Rozległy się szepty: „czy on zwarjował?"

Odezwał się Lamszyn.

— Więc cała kwestja sprowadza się do rozpaczy Szi-

galewa, i mamy rozwiązać zagadnienie, czy powinien on trwać w rozpaczy.

— Rozpacz Szigalewa jest jego sprawą osobistą, — stwierdził uczeń.

Oficer wesoło zawołał:

— Proponuję przegłosować, czy rozpacz Szigalewa ma związek ze wspólną sprawą. W ten sposób rozstrzygniemy, czy mamy go wysłuchiwać.

Wmieszał się jednak kulawy nauczyciel. Gdy mówił, błąkał mu się po twarzy jakiś uśmiech ironiczny, i trudno było określić, czy mówi poważnie, czy też żartuje.

— Nie o to chodzi, panowie. Szigalew zbyt poważnie jest oddany swoim zagadnieniom, a jest przytem zbyt skromny. Znam treść jego książki. Dochodzi on do ostatecznego wniosku, iż ludność musi być podzielona na dwie części nierówne. Dziesiąta część otrzymuje wolność osobistą i nieograniczoną władzę nad pozostałemi dziewięciu dziesiątemi. Tamci zaś zatracają osobowość, stają się stadem i bezgraniczne posłuszeństwo doprowadza ich w drodze szeregu przekształceń do niewinności pierwotnej, do jakiegoś raju przedhistorycznego, w którym jednak będą musieli pracować. Środki, które proponuje autor w celu odebrania woli większości i przerobienia jej w stada, zapomocą odpowiedniego kształcenia szeregu pokoleń, — są bardzo interesujące i logiczne. Opierają się na faktach przyrodniczych. Można odrzucić niektóre wywody, trudno jednak odmówić autorowi rozumu i wiedzy. Szkoda, iż warunek poświęcenia dziesięciu wieczorów nie odpowiada możliwościom realnym, — gdyż moglibyśmy się dowiedzieć wielu rzeczy ciekawych.

Pani Wirgińska dość trwożnie zwróciła się do przedmówcy.

— Czy pan mówi to poważnie? Przecież ten człowiek, o ile to prawda, chce skazać na niewolnictwo dziewięć dziesiątych ludzkości. Dawno podejrzewałam go o coś podobnego!

Kulawy nauczyciel dopytywał się.

— Pani to mówi o swoim braciszku.

— Pokrewieństwo? Pan chyba kpi ze mnie.

Studentka nie mogła wytrzymać i zawołała zapamiętale:

— Pracować dla arystokratów i korzyć się przed nimi, jak przed bogami, — to podłość.

Szigalew oponował zdecydowanym głosem.

— To, co ja proponuję, nie jest podłością, lecz rajem. Rajem na ziemi. Innego rozwiązania niema.

— Jabym zaś, — zawołał Lamszyn, — wziął te dziewięć dziesiątych ludzkości i zamiast urządzania im raju, skoro już niewiadomo co z nimi zrobić, wysadziłbym ich w powietrze. Zostawiłbym tylko garstkę ludzi wykształconych, którzy rozpoczęliby żywot uczony.

Studentka znów wybuchła.

— Tak może mówić tylko kpiarz!

— On jest kpiarzem, lecz może być pożyteczny, — szepnęła jej na ucho pani Wirgińska.

Lecz Szigalew zwrócił się do Lamszyna.

— Tak, może byłoby to właśnie najlepszem rozwiązaniem zadania. Pan nie wie sam, jak głęboką rzecz powiedział pan bezwiednie, panie wesołku. Ponieważ jednak pomysł pański jest praktycznie niewykonalny, musimy poprzestać na tem, co tu nazwano rajem na ziemi.

— Jednakże, co za bujdy! — odezwał się Wierchowieński, jakgdyby mimowoli. Nie przerywał jednak swego obojętnego zajęcia około paznogci.

— Dlaczego bujdy? — zapytał nauczyciel, który czekał widocznie, aż odezwie się Wierchowieński, aby stanąć do walki. — Skąd bujdy? Szigalew jest fanatykiem. Tak. Lecz nie zapominajmy, że u Fouriera, u Cabeta, nawet u Proudhona można znaleźć cały szereg najbardziej despotycznych i najbardziej fantastycznych rozstrzygnięć. Myślę nawet, że Szigalew rozstrzyga kwestje trzeźwiej od nich. Zapewniam pana, że po przeczytaniu jego pracy, trudno nie zgodzić się z szeregiem jego wniosków. Szigalew najmniej oddalił się od realizmu, i jego raj ziemski jest prawie tym samym, prawdziwym rajem, którego utratę opłakuje ludzkość, o ile tamten wogóle kiedykolwiek istniał.

— Tak, wiedziałem, że wpadnę, — bąknął Wierchowieński.

Nauczyciel mówił coraz gwałtowniej.

— Przepraszam pana. Rozmowy i dyskusje nad przyszłym ustrojem społecznym są najistotniejszą koniecznością wszystkich myślących ludzi. Hercen całe życie poświęcił temu. Bieliński, wiem napewno, spędzał długie wieczory z przyjaciółmi, omawiając i przewidując najdrobniejsze, powiedziałbym kuchenne, szczegóły przyszłego ustroju.

— Niektórzy nawet warjowali, — wtrącił się major.

— Można przynajmniej dogadać się do czegokolwiek, zamiast siedzieć w milczeniu z miną dyktatorów, — syknął Liputin, który zdecydował się wreszcie przejść do ofenzywy.

Wierchowieński bronił się niedbale.

— To nie o Szigalewie mówiłem, że bujdy. Widzicie, panowie: ja myślę, że wszystkie te książki, Fourier, Cabet, te wszystkie „prawa do pracy", szigalewszczyzna — to jakieś romanse. Można napisać takich sto tysięcy. Estetyczne spędzanie czasu. Rozumiem dobrze, że nudzicie się w tej mieścinie i rzucacie się na zapisany papier.

Kulawy nauczyciel niespokojnie zaczął się wiercić na krześle.

— Pozwól pan. Może pachnie od nas prowincją, i zasługujemy na współczucie, — a jednak wiemy, że na świecie nie zaszło tymczasem nic takiego, czegobyśmy przez niedopatrzenie zaniedbali. Tu proponują nam, zapomocą świstków cudzoziemskiego wyrobu, abyśmy zwarli szeregi, potworzyli kółka, jedynie w celu powszechnego zniszczenia, jedynie w imię zasady, że można świat leczyć, jak się chce, lecz się go nie wyleczy. Proponują nam ściąć radykalnie sto miljonów głów, tem ulżyć sobie — i przeskoczyć przez rów. Niewątpliwie cudowna myśl. Sądziłbym jednak, że jest ona tak samo nierealna, jak szigalewszczyzna, o której pan przed chwilą tak złośliwie się wyraził.

— Przyjechałem tu nie dla dyskusji, — odniechcenia zdradził się Wierchowieński. Zdawało się, że nie zauważył nieostrożności własnej. Przysunął do siebie świecę, aby lepiej być widzianym.

— Ach, jaka szkoda, żeś pan przyjechał nie dla dyskusji i jaka szkoda, że pan jesteś obecnie zajęty tualetą.

— Co panu szkodzi moja tualeta?

— Tak samo trudno dać sobie rady ze stu miljonami

głów, jak przebudować świat zapomocą propagandy. Może nawet trudniej, zwłaszcza w Rosji, — próbował upierać się Liputin.

— A wszyscy oglądają się teraz na Rosję, — odezwał się oficer.

Kulawy nauczyciel dodał.

— Słyszeliśmy o tem, że wszędzie oglądają się na nas. Ku naszej pięknej ojczyźnie zwrócony jest tajemniczy palec wskazujący, jako ku krainie, najbardziej nadającej się dla realizacji wielkich zamierzeń. Lecz o jednej rzeczy muszę pamiętać. W razie stopniowego rozwiązywania zagadnień zapomocą propagandy, zyskuję na tem osobiście: przynajmniej nagadam się dosyta, a może nawet zczasem otrzymam jakieś odznaczenie służbowe za przysłużenie się sprawie społecznej. W drugim zaś wypadku, przy rozstrzyganiu zapomocą stu miljonów głów, jakaż nagroda spadnie na mnie? Zacznę szerzyć propagandę, — i raptem język mi utną.

— Panu napewno utną, — potwierdził Wierchowieński.

— Widzi pan. Niech pan też uwzględni, że w najlepszym razie taka rzeź nie skończy się wcześniej, jak za pięćdziesiąt, niechby nawet za trzydzieści lat. Przecież i tamci nie są baranami i nie dadzą się wyrzynać tak spokojnie. Czyż nie lepiej w takim razie, zebrawszy cały swój dobytek, przenieść się za ciche morza na wyspy ciche i tam spokojnie zamknąć powieki. Wierz mi pan! — tu mówca znacząco zaczął uderzać palcem w stół: — Wierz mi pan, że tego rodzaju propagandą wywoła pan tylko emigrację, i nic więcej.

Skończył, zadowolony z siebie. Uchodził w naszej gubernji za tęgą głowę. Liputin uśmiechał się zjadliwie, Wirgiński słuchał ponuro. Wszyscy zaś inni, zwłaszcza panie i oficerowie, z nadzwyczajną uwagą przysłuchiwali się dyskusji. Rozumiano, iż propagator idei „stu miljonów głów" przyparty został do muru, i oczekiwano, co z tego wyniknie.

Wierchowieński odezwał się jeszcze obojętniej, z wyraźną nudą w głosie.

— Wcale nieźle pan to powiedział. Emigracja — to niezła rzecz. Jeżeli jednak, pomimo tak wyraźnych nie-

wygód, przewidywanych przez pana, zgłasza się z dnia na dzień coraz więcej bojowników, to obejdziemy się jakoś bez pana. Tu, mój panie, idzie nowa religja, zamiast starej, i dlatego zgłasza się tak dużo żołnierzy. To duża sprawa. Niech pan sobie emigruje! Radzę panu jechać do Drezna, a nie na żadne ciche wyspy. Przedewszystkiem jest to miasto, które nie zna żadnych epidemij, pan zaś, jako człowiek inteligentny, napewno boi się śmierci. Po drugie — bliżej do granicy rosyjskiej, łatwiej więc otrzymywać pieniądze z kochanej ojczyzny; po trzecie — to tak zwany skarbiec sztuki, pan zaś jesteś człowiekiem estetycznie wyrobionym, jako były nauczyciel literatury, czy czegoś podobnego; po czwarte — Drezno zawiera w sobie własną Szwajcarję w kieszonkowem wydaniu, — to już dla natchnień poetyckich, nie wątpię bowiem, że pisuje pan wierszyki. Powiadam panu — to skarb w tabakierce.

Rozpoczął się ruch wśród zebranych. Najwięcej zaniepokoili się oficerowie. Jeszcze chwila, a zaczęliby mówić wszyscy razem. Lecz kulawy nauczyciel w zdenerwowaniu dał się złapać na wędkę.

— O nie! Możebym od sprawy wspólnej nie uciekł. Te rzeczy trzeba rozumieć.

— Jakto? — zawołał Wierchowieński, kładąc na stole nożyczki. — Czyżby pan wstąpił do piątki, gdybym zaproponował panu?

Wszyscy drgnęli. Tajemniczy człowiek zdradził się przedwcześnie. Wypowiedział nawet słowo „piątka".

— Każdy z nas jest uczciwym człowiekiem i nie uchyli się od wspólnej sprawy, lecz...

— Nie, tu już nie może być żadnego „lecz", — przerwał mu Wierchowieński głosem stanowczym i rozkazującym. — Oznajmiam, panowie, że żądam wyraźnej odpowiedzi. Rozumiem dobrze, że przybywszy tu i zebrawszy was wszystkich razem, mam obowiązek udzielić wam pewnych wyjaśnień. (Znów nieoczekiwane zdemaskowanie się). Nie mogę jednak udzielić żadnych, dopóki nie wiem, co wy myślicie. Pomijam wszelką gadaninę. Czyż mamy znowu paplać przez lat trzydzieści, jak już paplano przed nami? Pytam się was, co wolicie: czy drogę powolną, po-

legającą na płodzeniu romansów społecznych i na kancelaryjnem tworzeniu przepisów dla przyszłej ludzkości na tysiąc lat naprzód, podczas gdy despotyzm będzie tymczasem połykał pieczone gołąbki, lecące wam samym do ust, których wy jednak nie umiecie chwytać? Czy też wolicie szybszą decyzję, niezależnie od tego, na czem ona polega, lecz która wreszcie rozwiąże ręce ludzkości i da jej możność swobodnie urządzać się pod względem społecznym nie na papierze, lecz w życiu? Krzyczą tu o „stu miljonach głów!" Może to tylko przenośnia, lecz chociażby nawet. Toć despotyzm wciągu stulecia pożre nie sto, a pięćset miljonów głów. Zapamiętajcie, iż człowiek nieuleczalnie chory nie wyleczy się pomimo wszystko, chociażbyście niewiadomo jakie recepty wypisywali na papierze. Przeciwnie, gdy z nim się porać zbyt długo, gnić będzie, i was samych zarazi, wszystkie siły świeże zgangrenuje, te same siły, w których cała nadzieja nasza. Zginiemy wreszcie wszyscy. Zgadzam się z wami, że to bardzo przyjemnie tak liberalnie i wielomównie rozprawiać, — a działać trudniej i straszniej... A zresztą, nie jestem mówcą. Przywiozłem tu pewne komunikaty, i proszę szanowne zgromadzenie, aby bez żadnego głosowania oświadczyło mi wyraźnie i otwarcie. Co się wam podoba więcej: czy brnąć przez błoto żółwim krokiem, czy przemknąć przez nie całą parą.

— Wolę całą parą! — wołał zachwycony uczeń.

— Ja także, — odezwał się Lamszyn.

— Czy mogą tu istnieć wątpliwości? — dorzucił jeden z oficerów, za nim drugi, potem ktoś jeszcze.

Wszystkich zafrapowało, że Wierchowieński przywiózł jakieś komunikaty i że obiecał mówić. Obecnie rozejrzał się po zebranych i zapytał:

— Widzę, panowie, że wszyscy rozstrzygają sprawę w sensie naszych proklamacyj?

— Wszyscy, wszyscy, — rozległa się większość głosów.

— Przyznam się, iż jestem zwolennikiem bardziej humanitarnego sposobu, — oświadczył major. — Skoro jednak wszyscy inaczej, to i ja ze wszystkimi.

Wierchowieński zwrócił się jeszcze do kulawego nauczyciela:

— Więc i pan w rezultacie nie oponuje?

Zapytany zaczerwienił się.

— Ja niezupełnie... i jeżeli teraz zgadzam się ze wszystkimi, to dlatego, aby nie wprowadzać zamieszania.

— Wy wszyscy tak! Gotowi jesteście pół roku dyskutować w imię liberalnego krasomówstwa, a potem głosujecie, jak inni. Panowie, zastanówcie się jednak, czy wszyscy jesteście gotowi?

— (Do czego gotowi? — niewyraźne, a tak nęcące pytanie).

— Wszyscy... — rozległy się głosy.

A jednak każdy oglądał się na innych.

— Może potem bedziecie się na mnie oburzali, żeście zgodzili się tak łatwo. To często bywa.

Słowa te wywołały poruszenie. Reagowano na nie najrozmaiciej. Kulawy rzucił się na Wierchowieńskiego.

— Musi pan pamiętać, że na takie pytania niezawsze się odpowiada. Nawet po naszej decyzji, pytanie, skierowane do nas w tak dziwny sposób...

— W jaki dziwny sposób?

— W ten sposób nie wolno rzucać pytań.

— Niechże pan mnie pouczy, jak się należy pytać. A wie pan? Byłem przekonany, że pan obrazi się pierwszy.

— Pan wydusiłeś z nas zgodę na natychmiastową akcję. Kto jednak pana do tego upoważnił? Kto panu udzielił pełnomocnictw?

— Czemuż pan nie domyślił się zawczasu o to zapytać? Pocóż pan odpowiadał? Pan się zgodził i opamiętał poniewczasie.

— Ja zaś sądzę, iż lekkomyślna otwartość głównego pytania pańskiego budzi pewne podejrzenia. Można przypuścić, iż pan nie posiada ani pełnomocnictw, ani żadnych uprawnień, a dopytywał się nas przez prostą ciekawość.

Na twarzy Wierchowieńskiego odbiło się coś w rodzaju zaniepokojenia. Zawołał:

— O czem pan mówi? O co panu chodzi?

Kulawy odpalił.

— Chodzi mi o to, iż wszelkie wciąganie ludzi do konspiracji odbywa się zwykle w cztery oczy, nie zaś w nie-

znajomem towarzystwie z dwudziestu osób.—Wypowiedział wszystko, co myślał. Był strasznie zirytowany. Wierchowieński natychmiast zwrócił się do zebranych, udając niepokój.

— Panowie! Muszę oznajmić, że to są głupstwa. Rozmowa nasza posunęła się zbyt daleko. Nikogo nie wciągałem do konspiracji, i nikt nie ma prawa pomawiać mnie o to. Poprostu mówiliśmy o przekonaniach. Czyż nie?

Zwrócił się znów do kulawego.

— Bądź co bądź, niepokoi mnie pan bardzo. Nie przypuszczałem nigdy, że tu o tak naiwnych rzeczach trzeba mówić w cztery oczy. Pan boi się denuncjacji? Czyż pośród nas mógłby się znaleźć denuncjant?

Wszyscy zebrani zaniepokoili się. Z różnych stron rozległy się głosy.

Wierchowieński mówił dalej.

— Panowie, gdyby tak było, to narażałem przedewszystkiem samego siebie. Muszę więc prosić was o odpowiedź na jedno pytanie. Może zechcecie odpowiedzieć. Zależy to całkowicie od was.

— Jakie pytanie? jakie pytanie? — wołano ze wszystkich stron.

— Takie, po którem wyjaśni się ostatecznie: czy mamy pozostawać razem, czy weźmiemy w milczeniu czapki i rozejdziemy się — każdy w swoją stronę.

— Prosimy, prosimy o pytanie!

— Gdyby każdy z was wiedział o zamierzonem zabójstwie politycznem, czy poszedłby zadenuncjować z całą świadomością następstw, czy też siedziałby w domu, pozostawiając rzeczy ich własnemu biegowi? Tu mogą być rozmaite punkty widzenia. Odpowiedź wasza wyjaśni całkowicie, czy mamy się rozstawać, czy pozostajemy razem — nietylko na dzisiejszy wieczór.

Zwrócił się znowu do kulawego.

— Pozwoli pan, że poproszę pana pierwszego o odpowiedź.

— Dlaczego mnie pierwszego?

— Bo pan wszczęłeś tę całą awanturę. Niech pan bę-

dzie łaskaw nie uchylać się od odpowiedzi. Wykręty tu nie pomogą. A zresztą, jak pan chce.

— Przepraszam. Pytanie pańskie jest obrażające.

— Czy nie mógłbym prosić o ściślejszą odpowiedź?

Kulawy wykrzywił całą twarz.

— Agentem policji tajnej nie byłem nigdy.

— Proszę pana ściślej. Niech pan nie zatrzymuje.

Kulawy był tak zirytowany, że przestał już odpowiadać. Milcząc utkwił z poza okularów wściekły wzrok w dręczycielu.

— Tak, czy nie? Zadenuncjuje pan, czy nie? — krzyknął Wierchowieński.

— Rozumie się, że nie! — odkrzyknął jeszcze głośniej kulawy.

Rozległy się liczne głosy.

— Nikt nie zadenuncjuje. Rzecz prosta, że nikt.

Wierchowieński zwrócił się do majora.

— A pan, panie majorze, zadenuncjowałby, czy nie? Rozmyślnie zwracam się do pana.

— Nie.

— A gdyby pan wiedział, że ktoś chce zabić i obrabować zwykłego śmiertelnika, przecież pan nie milczałby wtedy.

— To jasne. Lecz tu zwykły kryminał, a tam sprawa polityczna. Agentem policji tajnej nie byłem.

— I nikt tu nie był, — wołano z różnych stron. — Zbyteczne badania. Wszyscy odpowiedzą to samo. Niema tu denuncjantów.

Wtem zawołała studentka.

— Dlaczego ten człowiek wstaje?

— To Szatow, — odezwała się Wirgińska. — Dlaczego pan wstaje?

Szatow istotnie powstał z miejsca. Trzymał w ręku czapkę i wpatrywał się w Wierchowieńskiego. Zdawało się, że chce mu coś powiedzieć, wahał się jednak. Miał twarz bladą i złą. Zapanował nad sobą, nie wymówił ani słowa i w milczeniu wyszedł z pokoju.

Wierchowieński krzyknął za nim zagadkowo:

— Szatow! To bardzo niewygodne dla pana.

Szatow, stojąc już na progu, zawołał:

— Wygodne zato dla ciebie, szpiegu i nikczemniku!

Wyszedł. Znowu rozległy się okrzyki.

— Oto próba! — zawołał ktoś.

— Przydała się! — mówił inny.

— Czy nie za późno? — odezwał się ktoś trzeci.

Sypały się pytania.

— Kto go zaprosił? Kto go wpuścił? Kto to taki? Zadenuncjuje, czy nie?

Ktoś zauważył.

— Gdyby był szpiegiem, toby się przyczaił. On zaś plunął i wyszedł.

Znowu rozległ się głos studentki.

— Stawrogin także wstaje. On także nie odpowiedział na pytanie.

Stawrogin rzeczywiście wstał, a za nim, z drugiego końca stołu, ruszył się Kiriłow.

Wirgińska ostro wpadła na Stawrogina.

— Przepraszam! Myśmy tu wszyscy odpowiedzieli na pytanie, pan zaś wychodzi bez odpowiedzi.

— Nie widzę potrzeby odpowiadać na pytanie, które tak panią obchodzi, — odparł niechętnie Stawrogin.

— Skompromitowaliśmy siebie, a pan nie, — krzyczało kilka osób.

— A cóż to mnie obchodzi, żeście się skompromitowali?

Odpowiadał z uśmiechem, lecz oczy mu się iskrzyły.

— Jakto „co to pana obchodzi"? Co to znaczy? — wołano coraz głośniej.

Niektórzy pozrywali się z miejsc.

Wtem krzyknął kulawy nauczyciel.

— Panowie! Przepraszam! Pan Wierchowieński także nie odpowiedział na pytanie, a tylko innych badał.

Uwaga ta wywołała niesłychane wrażenie. Wszyscy zaczęli się rozglądać. Stawrogin głośno zaśmiał się do kulawego i wyszedł. Za nim podążył Kiriłow. Wierchowieński wyskoczył za nimi do przedpokoju.

— Co pan ze mną wyrabia? — bełkotał, schwyciwszy Stawrogina za rękę i mocno ją ściskając.

Stawrogin milcząc wyrwał rękę.

— Niech pan będzie zaraz u Kiriłowa. Przyjdę tam... To jest niezbędne!

— Dla mnie nie! — odciął Stawrogin.

— Stawrogin przyjdzie! — kończył Kiriłow. — Stawrogin, i dla pana jest to niezbędne. Tam, na miejscu, pokażę panu.

Wyszli.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

IWAN — CAREWICZ.

I.

Wyszli. Wierchowieński wrócił do zebranych, aby uśmierzyć chaos. Musiał jednak dojść do wniosku, że nie warto tracić na to czasu, bo dał spokój i w parę minut potem już biegł ulicą, dopędzając Stawrogina i Kiriłowa. Przypomniał sobie boczną uliczkę, którą bliżej było do domu Filipowa. Brnął nią, grzęznąc w błocie po kolana i udało mu się zdążyć, kiedy tamci wchodzili do bramy.

— Pan już tu? — odezwał się Kiriłow. — To dobrze. Niech pan wchodzi.

Stawrogin, idąc korytarzem, zauważył kipiący już samowar, i zapytał.

— Przecież pan mówił, że mieszka sam?

Kiriłow odburknął.

— Zaraz pan zobaczy, z kim mieszkam. Proszę wejść!

Ledwo zdążyli wejść do pokoju, gdy Wierchowieński wyjął z kieszeni list anonimowy, zabrany od Lembkego, i położył przed Stawroginem.

Usiedli wszyscy trzej. Stawrogin przeczytał list.

— A więc? — zapytał.

— Ten nikczemnik zrobi wszystko, jak napisał, — wyjaśniał Wierchowieński. — Pan masz go na swe rozkazy. Niech pan go pouczy. Zapewniam pana, że gotów jest pójść jutro do Lembkego.

— Niech sobie idzie!

— Jakto? Przecież można tego uniknąć.

— Myli się pan. On nie jest zależny ode mnie. A zresztą, nic mnie to nie obchodzi. Niczem mi to nie grozi. Chyba panu.

— Panu także.

— Nie sądzę.

— Inni nie oszczędzą pana. Czyż pan tego nie rozumie? Stawrogin! To tylko słowa! Czyż pan żałuje pieniędzy?

— A pocóż tu pieniądze.

— Potrzebne. Dwa tysiące. Minimum tysiąc pięćset. Niech pan da mi tę sumę jutro, lub nawet dziś, a jutro wyprawię go do Petersburga. O nic innego mu nie chodzi. Jeżeli pan zechce, wyprawię z nim razem Marję Timofiejewnę — niech pan się nad tem zastanowi.

Był zmieszany, mówił nieostrożnie, rzucał słowa nieoględne. Stawrogin przyglądał mu się ze zdumieniem.

— Nie mam potrzeby wyprawiać Marji Timofiejewny.

— Może pan nawet nie chce, — ironicznie uśmiechał się Wierchowieński.

— Może nawet nie chcę.

Wierchowieński, zniecierpliwiony, zły, wołał stanowczym głosem.

— Słowem: będą pieniądze, czy nie?

Stawrogin odpowiedział poważnie.

— Nie będzie pieniędzy.

— Ech, Stawrogin! On coś wie, a może już coś zrobił! Pan się bawi!

Wykrzywiła mu się twarz, wargi drżały. Wtem roześmiał się, bez związku z czemkolwiek bądź, jakoś bezprzedmiotowo. Stawrogin spokojnie wyjaśniał.

— Pan otrzymał pieniądze od ojca swego za majątek. Matka moja dała panu za Stepana Trofimowicza sześć czy osiem tysięcy. Niech więc pan płaci te półtora tysiąca z własnej kieszeni. Mam już dość tego płacenia za innych. Rozdałem zbyt dużo. To dla mnie krzywda...

Ubawiły go samego te słowa.

— Ach, pan raczy żartować....

Stawrogin powstał z krzesła. W tej chwili zerwał się Wierchowieński i stanął plecami do drzwi, jakgdyby zagra-

dzając drogę. Stawrogin zrobił już ruch, aby go odsunąć i wyjść, lecz zatrzymał się na chwilę.

— Nie ustąpię panu Szatowa! — wymówił.

Wierchowieński drgnął. Wpatrywali się w siebie. Oczy Stawrogina zaiskrzyły się.

— Już mówiłem panu, do czego potrzebna jest krew Szatowa. Ma ona scementować kółeczka pańskie. Przed chwilą wypędził pan Szatowa bardzo sprytnie. Pan wiedział dobrze, iż słowa „nie zadenuncjuję" nie przejdą mu przez gardło, a kłamać przed panem uważałby za podłość. Lecz naco ja jestem panu potrzebny? Jeszcze zagranicą przyczepił się pan do mnie. Dotychczasowe tłumaczenia pańskie — to brednie. A wiem przecie, o co panu chodzi. Mam oddać półtora tysiąca Lebiadkinowi, aby dać Fiedi powód do zarżnięcia go. Do tego pan dąży. Pan sądzi, że zależy mi na tem, aby jednocześnie zarżnięta została moja żona. Wplątawszy mnie w zbrodnię, pan zamierza uzyskać władzę nade mną. Lecz poco panu ta władza? Jaka panu z tego korzyść? Nie jestem waszym człowiekiem. Dajcie mi święty spokój.

— Fiedia sam przychodził do pana? — wyszeptał Wierchowieński. Brakło mu tchu.

— Owszem, przychodził. Jego cena — ta sama. Półtora tysiąca. Zresztą niech sam zaświadczy. Oto on.

Stawrogin wyciągnął rękę w kierunku drzwi. Wierchowieński obejrzał się. Na progu wyłaniała się z ciemności jakaś postać. Był to Fiedia, w kożuszku, lecz bez czapki. Widać było, że jest tu, jak u siebie w domu. Stał i uśmiechał się, szczerząc swe równe, białe zęby. Czarne oczy o żółtawym odcieniu ostrożnie błądziły po pokoju, obserwując obecnych. Nie rozumiał czegoś. Pytające spojrzenie skierował do Kiriłowa, który go przed chwilą tu wprowadził.

Fiedia stał na progu, lecz bał się wejść do pokoju.

— Sprowadził go pan tu, aby mógł słyszeć nasz targ, a może nawet zobaczyć pieniądze. Prawda? — zapytał Stawrogin i wyszedł, nie oczekując odpowiedzi.

Wierchowieński, nienormalnie podniecony, dopędził go przy bramie.

— Stój! Ani kroku dalej! — krzyknął, chwytając Stawrogina za łokieć.

Stawrogin szarpnął, lecz nie wyrwał ręki. Ogarnęła go wściekłość. Lewą ręką schwycił Wierchowieńskiego za włosy, cisnął nim z całej siły o ziemię i wyszedł na ulicę. Nie zdążył jednak ujść trzydziestu kroków, gdy tamten dopadł go znów.

— Pogódźmy się, pogódźmy się, — szeptał drżącym głosem.

Stawrogin wzruszył ramionami i nie zatrzymał się nawet, ani odwrócił.

— Panie! Posłuchaj mnie! Ja ci dziś przyprowadzę Lizę! Chcesz? Może nie chcesz? Dlaczego pan milczy? Niech pan powie, a zrobię wszystko. Oddam panu Szatowa! Dobrze?

— Więc to prawda, że pan go postanowił zamordować? — zawołał Stawrogin.

— Co panu po Szatowie? Naco on panu? — krzyczał Wierchowieński, prawie bez tchu i bez przytomności. Wyprzedzał co chwila Stawrogina i chwytał go za łokieć, prawdopodobnie bezwiednie. — Niech pan posłucha! Oddam go panu. Lecz pogódźmy się. Rachunek pański wyrósł ogromnie, lecz... pogódźmy się!

Stawrogin spojrzał wreszcie na niego i zdumiał się. Ani wzrok Wierchowieńskiego, ani głos, nie były takie, jak zawsze, ani takie jak przed chwilą w pokoju. Twarz zmieniła się. Ton głosu był dziwny: Wierchowieński błagał, modlił się. Był jak człowiek, któremu zabrano najdroższą rzecz i który nie zdążył się jeszcze opamiętać.

— Co panu jest? — zawołał Stawrogin.

Tamten nie odpowiadał, lecz biegł wciąż za nim, wpatrując mu się w oczy błagalnym, a jednak upartym wzrokiem.

— Pogódźmy się! — wyszeptał znowu. — Tu, w bucie, tak samo jak Fiedia, mam nóż, lecz chcę pogodzić się z panem.

Wyprowadzony ostatecznie z cierpliwości i pełen zdumienia, Stawrogin zawołał.

— Powiedz mi pan wreszcie, do djabła, czego pan

chce ode mnie? Tu jakaś tajemnica, czy co? Talizmanem jestem dla pana?

Wierchowieński bełkotał szybko, gorączkowo.

— Słuchaj pan! Wzniecimy bunt! Pan mi nie wierzy, że możemy to zrobić? Wzniecimy taki bunt, że wszystko poleci na łeb na szyję. Karmazinow ma rację. Tu niema o co się zaczepić. Karmazinow jest mądry. Dziesięć takich kółek, jak tu, i już stanę się nieuchwytny...

— Z takich samych głupców...

— O, Stawrogin! Bądź pan sam głupszy, bądź głupszy! A zresztą... Pan wcale nie jest tak znów mądry, aby panu tego życzyć... Pan boi się, pan nie wierzy, straszą pana rozmiary... Jacy tam z nich głupcy. Bynajmniej. Każdy człowiek ma dziś rozum, niewłasny. Dziś umysłów oryginalnych niema. Wirgiński, — to człowiek najczystszy. Czystszy tysiąc razy, niż pan i ja. Mniejsza z tem. Liputin — to nicpoń, lecz znam jego słaby punkt. Każdy nicpoń ma swój słaby punkt. Może Lamszyn nie ma, lecz zato trzymam go w ręku. Jeszcze kilka takich kółek, a będę miał wszędzie paszporty i pieniądze... To już dużo. To jedno już coś znaczy. Będę miał gdzie się ukryć. Niech szukają. Wyłowią jedną piątkę, a drugiej złamią zęby. Wzniecimy bunt... Czyż pan nie wierzy, że my dwaj wystarczymy?

— Bierz pan sobie Szigalewa i zostaw mnie w spokoju!

— Szigalew to człowiek genjalny. Genjusz w stylu Fouriera, lecz śmielszy, silniejszy od Fouriera! Zajmę się nim! To on wymyślił równość!

Stawrogin spojrzał znów na towarzysza. „On ma gorączkę i bredzi", — przyszło mu na myśl: — „Musiało tu coś być".

Szli dalej, nie zatrzymując się. Wierchowieński ciągnął.

— Tam u niego w zeszycie sama prawda. Tam — szpiegostwo. U niego każdy człowiek społeczeństwa pilnuje drugiego i ma obowiązek denuncjować go. Każdy należy do wszystkich, wszyscy do każdego. Wszyscy są niewolnikami, równymi w niewolnictwie. W wyjątkowych wypadkach — oszczerstwo i zabójstwo. Lecz zawsze równość. Zaczyna się od zniżenia poziomu wykształcenia, wiedzy, talentów. Wysoki poziom wiedzy i talentu dobry jest tylko

dla uzdolnionych. Nie trzeba ludzi uzdolnionych! Więcej uzdolnieni zawsze zdobywają władzę i byli tyranami. Nie mogli nie być tyranami. Więcej deprawowali, niż przynosili korzyści. Tam, u Szigalewa, wypędza się ich i skazuje na śmierć. Cyceronowi odcina się język, Kopernikowi wykłuwa się oczy, Szekspira się kamieniami zarzuca! Oto jest szigalewszczyzna! Niewolnicy muszą być równi! Nie było nigdy ani wolności, ani równości bez despotyzmu, lecz w stadzie musi być równość. I tu jest szigalewszczyzna! Cha-cha-cha! Pan się dziwi! Jestem zwolennikiem szigalewszczyzny.

Stawrogin starał się przyśpieszyć kroku, i jak najprędzej dopaść domu. „Jeżeli on jest pijany", — myślał, — „to gdzie ten człowiek zdążył się upić? Czyżby tym konjakiem?"

— Hej, Stawrogin! Góry zrównać — to piękna myśl, a wcale nie śmieszna. Niech żyje Szigalew! Nie trzeba wykształcenia, dość już wiedzy! Bez nauki wystarczy materjału na lat tysiące, trzeba jednak, aby utrwaliło się posłuszeństwo. Żądza wiedzy jest żądzą arystokratyczną. Byle rodzina, byle miłość — a już rodzi się pragnienie własności. Zabijemy to pragnienie! Puścimy w obieg pijaństwo, oszczerstwo, denuncjację! Puścimy niesłychaną rozpustę! Każdego genjusza zgasimy dzieckiem. Wszystko pod jeden strychulec! Równość całkowita. Niedawno robotnicy angielscy powiedzieli: „mamy rzemiosło, jesteśmy uczciwymi ludźmi, nic więcej nam nie potrzeba". Od dziś hasłem kuli ziemskiej będzie: potrzebne jest tylko to, co jest niezbędne. Potrzebne są jednak i dreszcze, a o tem my pomyślimy, my — władcy! Niewolnicy muszą mieć panów! Całkowite posłuszeństwo, całkowite zabicie jednostki, lecz raz na trzydzieści lat Szigalew puszcza dreszcze, a wtedy jedni zaczynają pożerać drugich; tylko do pewnych granic, byle nie nudził się tłum; nuda jest uczuciem arystokratycznem. W szigalewszczyźnie nie będzie pragnień. Pragnienia i cierpienia — dla nas; dla niewolników — szigalewszczyzna.

— Pan wyłącza siebie? — odezwał się Stawrogin.

— Siebie, i pana. Pan wie? Chciałem oddać świat papieżowi. Niechby wyszedł piechotą, bosy i pokazał się tłu-

mom: „oto do czego doprowadzono mnie". A tłum cały poszedłby za nim. Nawet wojsko. Papież u góry, my obok niego, a pod nami szigalewszczyzna. Trzeba tylko, aby Międzynarodówka zgodziła się na papieża. Tak musi być. A staruszek pójdzie na to. To jedyne wyjście dla niego. Niech pan zapamięta moje słowa! Cha-cha-cha! To głupie, prawda? Mów pan! Głupie, czy nie?

— Dość już tego, — bąknął zagniewany Stawrogin.

— Dobrze. Dam spokój papieżowi. Precz z szigalewszczyzną! Precz z papieżem! Szukajmy aktualności, a szigalewszczyzna — to sztuczka jubilerska. To ideał, zachowamy go na przyszłość. Szigalew jest jubilerem, głupim jak każdy filantrop. Tu potrzebna brudna robota, a Szigalew tego nie znosi. Słuchaj pan! Papież będzie na zachodzie, a tu, u nas — Stawrogin.

— Jesteś pan pijany, daj mi pan spokój! — bąknął Stawrogin, wciąż przyśpieszając kroku.

— Stawrogin! Pan jesteś piękny! — wołał Wierchowieński w upojeniu. — Pan wiesz o tem, że jesteś piękny? Pan czasem nie pamięta o tem, — i to jest najpiękniejsze w panu. O, znam pana! Często patrzę na pana gdzieś zboku, z kącika. Czy pan wie, że w panu jest nawet jakaś naiwność i prostota? Kocham piękno! Nihilistą jestem, lecz kocham piękno. Czyż nie wolno nihilistom być czcicielami piękna? Oni tylko bożków nie lubią, lecz ja — kocham mego bożka. Jesteś nim pan! Nikogo nie krzywdzisz, a wszyscy nienawidzą ciebie; nie wywyższasz się ponad nikogo, lecz wszyscy drżą przed tobą. Tak być musi! Nikt się nie poważy poklepać ciebie po ramieniu! Jesteś arystokratą. Arystokrata, który idzie do demokracji, jest zawsze czarujący. Ty — nie zawahasz się nigdy poświęcić życia — własnego czy cudzego. Jesteś takim, jakiego potrzeba. Potrzeba dla mnie, dla mnie! Nie znam nikogo poza tobą! Tyś wódz, tyś słońce, — a ja — jak robak u twoich stóp.

Pocałował go w rękę. Stawrogin poczuł, że mróz przeszył mu plecy. W przestrachu wyrwał dłoń. Zatrzymał się i szepnął.

— Warjat!

Wierchowieński zawtórował natychmiast.

— Może? Może ja bredzę! Lecz ja — wymyśliłem pierwszy krok. Szigalew by nie zdołał. Nigdy Szigalew nie wymyślił pierwszego kroku. Dużo jest Szigalewych! Lecz tylko jeden człowiek w całej Rosji wymyślił pierwszy krok, i wie, jak to zrobić. Ja jestem tym człowiekiem. Dlaczego pan się we mnie wpatruje? Jesteś mi pan potrzebny. Bez pana — jestem zerem. Bez pana jestem muszką, jestem ideą w retorcie, Kolumbem bez Ameryki.

Stawrogin stał i ze zdumieniem patrzył w obłąkane oczy Wierchowieńskiego, który mówił bez przerwy, raz po raz chwytając towarzysza za lewy rękaw.

— Posłuchaj pan! Przedewszystkiem szerzyć będziemy zamęt. Już mówiłem panu. Przenikniemy do ludu. Czy pan wie ,że już nawet obecnie jesteśmy strasznie silni? Nasi —to nie tylko ci, którzy rżną i podpalają, nietylko ci, którzy strzelają klasycznie, lub rzucają się kąsać. Tacy przeszkadzają tylko. Nie rozumiem roboty bez dyscypliny. Jestem przecie oszustem, a nie socjalistą. Cha-cha-cha! Zliczyłem już ich wszystkich. Nauczyciel, który wobec dzieci drwi z Boga i kołyski — jest nasz. Adwokat, który broni wykształconego zabójcę, powołując się na to, że tamten, będąc wyższym intelektualnie od ofiary, musiał zabić, gdyż potrzebował pieniędzy, — także nasz. Sztubacy, którzy zabijają chłopa, aby poznać wrażenia zabójcy, są nasi. Przysięgli, którzy uniewinniają zbrodniarzy,—nasi. Prokurator który przed sądem drży zes trachu, czy nie spadnie nań zarzut braku liberalizmu, nasz, nasz. Administratorzy, literaci o, naszych jest dużo, strasznie dużo, chociaż sami oni o tem nie wiedzą. A z drugiej strony posłuszeństwo sztubaków i głuptasków dosięgło zenitu. Żółć zwierzchników już się rozlewa. Wszędzie ambicje niesłychane, apetyty wilcze... Formułki już gotowe i przyjęte będą w naszem ręku potężną bronią. Gdym wyjeżdżał, panowała doktryna Littre, że zbrodnia jest obłędem. Przyjeżdżam, — a tu zbrodnia już nie jest obłędem, lecz właśnie zdrowym sensem, prawie obowiązkiem, a w każdym razie szlachetnym protestem. „Jakże ma nie zabijać inteligentny człowiek, jeżeli potrzebuje pieniędzy?" To dopiero początki. Bóg rosyjski skapitulował przed tandetą. Lud jest pijany, matki pijane, dzieci

pijane, cerkwie puste. O, niech tylko wyrośnie jedno pokolenie! Szkoda, że już nie można czekać dłużej. Niechby się popili jeszcze więcej! Ach, czemu tu niema proletarjatu! Lecz będzie, będzie, idziemy ku temu.

— Szkoda też, żeśmy zgłupieli, — odezwał się Stawrogin i poszedł dalej.

— Panie! Widziałem na własne oczy sześcioletniego bębna, który prowadził do domu pijaną matkę, a ta zasypywała go gradem plugawych słów. Pan sądzi, że mi się to podoba? Gdyby takie dziecko wpadło w nasze ręce, mybyśmy je jeszcze wyleczyli. Gdyby trzeba było, wypędzilibyśmy na pustynię na czterdzieści lat. Lecz to później. Teraz niezbędne są ze dwa pokolenia rozpusty. Niesłychanej rozpusty, najpodlejszej, która robi z człowieka plugawą, tchórzliwą, okrutną, samolubną istotę. Jest to niezbędne. I krwi świeżej potrzeba, aby przyzwyczaił się człowiek. Co pana śmieszy? Ja nie przeczę sobie bynajmniej. Przeczę filantropji i szigalewszczyźnie, — nie sobie. Jestem oszustem, a nie socjalistą. Cha-cha-cha! Tak mało czasu mamy przed sobą! Obiecałem Karmazinowowi zacząć na wiosnę, a skończyć do jesieni. Szybko! Cha-cha! A teraz powiem panu jedną rzecz. Lud rosyjski nie miał w sobie cynizmu, chociaż używał najcyniczniejszych słów. Ten niewolnik pańszczyźniany więcej miał godności własnej, niż Karmazinow. Bito go, lecz zdołał zachować własnych Bogów, a Karmazinow nie obronił swego Boga.

Stawrogin przerwał mu.

— Pierwszy raz słucham pana i słucham ze zdumieniem. Pan nie jest więc istotnie socjalistą, lecz człowiekiem o olbrzymiej ambicji politycznej?

— Jestem tylko łajdakiem. Chciałby pan wiedzieć, kim ja jestem? Dobrze, zaraz to panu wyjaśnię. Zbliżam się już do tego. Niedarmo całowałem pana w rękę. Trzeba, żeby lud uwierzył, że wiemy, o co nam chodzi, podczas gdy tamci „wymachują pałką i biją po swoich". Ech, gdybym miał więcej czasu! To całe nieszczęście, że śpieszyć się trzeba. Proklamujemy powszechne zniszczenie! Dlaczego ta idea tak nęci tłumy? Trzeba wyprostować kości. Puścimy w ruch pożary. Puścimy w ruch legendy. Tu każda „grup-

ka", pusta jak świstun, może się przydać. W tych samych kółeczkach znajdę panu ludzi, którzy pójdą na wszystko, i jeszcze będą widzieli w tem zaszczyt dla siebie. Zacznie się zamęt. Zachwieje się wszystko w posadach, jak nigdy dotąd na świecie. Zatumani się Rosja, zapłacze ziemia do starych Bogów. A wtedy... wtedy wypuścimy... wie pan kogo?

— Kogo?

— Iwana-Carewicza.

— Co-o-o?

— Tak, Iwana-Carewicza! Ciebie, ciebie!

Stawrogin po chwili milczenia, głęboko zdziwiony spojrzał na opętańca i zapytał.

— Samozwańca? Ach! Więc na tem polega plan pański?

Wierchowieński odpowiedział cichym, prawie miłosnym szeptem. Robił istotnie wrażenie człowieka pijanego.

— Powiemy, że on się ukrywa. Czy pan rozumie, jak dużo znaczą te słowa: „on się ukrywa"? Lecz zjawi się, zjawi. Puścimy w obieg legendy lepsze, niż u skopców. On jest, lecz nikt go nie widział. Ach, jak wspaniałą legendę można rozpowszechnić! Idzie nowa siła! A ona właśnie potrzebna, za nią tęsknią wszyscy! Socjalizm to pustka: obalił stare potęgi, nie stworzył nowych. A tu siła, a jaka! Niesłychana! Na to, aby ziemię z posad poruszyć, potrzebna nam dźwignia na jeden tylko raz! Poruszy się wszystko!

Stawrogin uśmiechał się zjadliwie.

— Więc pan poważnie liczył na mnie ?

— Dlaczego pan się śmieje? Dlaczego tak zgryźliwie? Nie strasz mnie pan. Jestem teraz jak dziecko i jeden taki uśmiech może mnie na śmierć przerazić. Ja pana nie pokażę nikomu, nikomu. Tak trzeba: on jest, lecz nikt go nie widział, on się ukrywa! A można nawet czasem pokazać, jednemu na sto tysięcy. I pójdzie głos: „widziano go, widziano"! Boga sektantów Iwana Filipowicza także widziano, gdy w obliczu ludzi wznosił się w kolasie ku niebu. Widziano „na własne oczy". Lecz pan jest lepszy od Iwana Filipowicza! Jesteś piękny, dumny, jak Bóg,nic nie żądasz dla siebie, jesteś w promiennej aureoli ofiarnictwa, ukry-

wasz się. Tu o legendę chodzi. Zwyciężysz ich. Spojrzysz i zwyciężysz. On niesie nową prawdę i musi się ukrywać. Wymyślimy parę wyroków Salomonowych. Od tego, aby puszczać to w obieg, są kółka, piątki. Nie trzeba nam gazet. Jeżeli jednej prośbie na dziesięć tysięcy uczynimy zadość, wszyscy zasypią nas prośbami. W każdej gminie każdy chłop będzie wiedział, że jest gdzieś jakaś dziupla, do której można wrzucać prośby. Jęk pójdzie wzdłuż i wszerz. „Idzie nowa sprawiedliwość". Morze się zakotłuje i zwali stary bałagan. A wtedy już pomyślimy o tem, jak wznosić gmach murowany. My będziemy budowali! Po raz pierwszy! My, tylko my!

— To obłęd, — wymówił Stawrogin.

— Dlaczego pan nie chce? Pan się boi? Wiedziałem że pan się niczego nie boi, i dlatego pana wybrałem i trzymam się pana. Czyż to takie niemądre? Lecz jestem przecie dotychczas Kolumbem bez Ameryki. Czyż Kolumb bez Ameryki jest mądry?

Stawrogin milczał. Podeszli już do domu i stanęli przed bramą.

— Posłuchaj pan, — szepnął Wierchowieński na ucho: — ja panu bez pieniędzy. Skończę jutro z Marją Timofiejewną... bez pieniędzy, i jutro przyprowadzę panu Lizę. Chce pan Lizy? Już jutro!

„Czy on rzeczywiście zwarjował", — pomyślał Stawrogin i uśmiechnął się. Ktoś otworzył drzwi. Wierchowieński ostatni raz schwycił go za rękę.

— Stawrogin! Cóż nasza Ameryka?

— Poco to? — poważnie i surowo zapytał Stawrogin.

— Nie chce się panu! — krzyczał Wierchowieński w zapamiętaniu. — Przeczuwałem! Kłamiesz, zepsuty, marny paniczu! Masz apetyt wilczy. Zrozum: twój rachunek wyrósł nad miarę. Nie mogę już obejść się bez ciebie. Na całym świecie nie znajdę takiego, jak ty! Jeszcze zagranicą wyrosła mi myśl o tobie. Przypatrywałem ci się zboku. Gdybym nie patrzył na ciebie, te wszystkie pomysły byłyby mi obce!

Stawrogin, już nic nie mówiąc, poszedł po schodach na górę.

— Stawrogin! — krzyczał za nim Wierchowieński. — Daję panu dzień... dwa... trzy. Więcej nie mogę. Po trzech dniach muszę mieć odpowiedź.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

REWIZJA U STEPANA TROFIMOWICZA

I.

W tym samym czasie zaszedł wypadek, który niezmiernie mnie zdziwił, a poruszył do głębi Stepana Trofimowicza. O ósmej rano przybyła do mnie Nastasja z wiadomością, iż pana jej „opisali". Nie mogłem narazie zrozumieć. Dowiedziałem się tylko, że „opisali" go urzędnicy. Przyszli i zabrali papiery. Żołnierz związał je i wywiózł taczką. Wiadomość była nieprawdopodobna. Pośpieszyłem natychmiast do mego przyjaciela.

Zastałem go w dziwnym stanie. Był zdenerwowany i poruszony, jednocześnie jednak najwidoczniej triumfował. Na stole, pośrodku pokoju, kipiał samowar i stała szklanka herbaty, niewypita i zapomniana. Stefan Trofimowicz słaniał się po wszystkich kątach pokoju, nie zdając sobie sprawy ze swych ruchów. Był ubrany w domową czerwoną kurteczkę. Zobaczywszy mnie, naciągnął kamizelkę i surdut. Nie robił tego nigdy, gdy zastał go w kurtce ktoś bliski. Gorąco uścisnął mi rękę.

— *Enfin un ami!* (Odetchnął pełną piersią). — *Cher*, posłałem tylko po pana. Nikt inny nie wie. Niech Nastasja zamknie drzwi i nie wpuszcza nikogo, oprócz t a m t y c h... *Vous comprenez?*

Patrzył na mnie niespokojnie, jakby oczekując odpowiedzi. Zacząłem dopytywać się i z plątaniny słów, przerywanych i gmatwanych, wyłowiłem, że był u niego urzędnik z kancelarji gubernatora.

— *Pardon, j'ai oublié son nom. Il n'est pas du pays*, zdaje się, że przywiózł go ze sobą Lembke, *quelque chose de bête et d'allemand dans la physionomie. Il s'apelle Rosenthal.*

— Może Blum.

— Blum. Tak właśnie mi się zaprezentował. *Vous le connaisez? Quelque chose d'hebete et de très content dans la figure, pourtant très severe, roide et serieux.* Figura policyjna, z tych najwierniejszych, *je m'y connais.* Spałem jeszcze. Wyobraź pan sobie, że poprosił mnie, abym pozwolił mu „rzucić okiem" na moje książki i rękopisy, *oui, je m'en souviens, il a employé ce mot.* Nie aresztował mnie, lecz zabrał książki...*Il se tenait à distance* i gdy zaczął mi wyjaśniać cel tej wizyty, wyglądało tak, jakgdybym... *enfin il avait l'air de croire, que je tomberais sur lui immédiatement et que je commencerais à le battre comme plâtre. Tous ces gens du bas étage sont camme ça,* gdy mają do czynienia z przyzwoitym człowiekiem. Odrazu zrozumiałem wszystko. *Voilà vingt ans que je m'y prepare.* Otworzyłem mu wszystkie szuflady, oddałem mu wszystkie klucze. Dałem mu je własnoręcznie. Dałem wszystko. *J'étais digne et calme.* Z książek wziął zagraniczne wydanie Hercena, oprawny egzemplarz „Dzwonu", cztery odpisy mego poematu, *et enfin tout ça.* Poza tem papiery i listy *et quelques de mes ébauches historiques, critiques et politiques.* Wszystko to zostało wyniesione. Nastasja mówi, że żołnierz wiózł w taczce i że wszystko było przykryte fartuchem. *Oui, c'est cela,* fartuchem.

Myślałem, że bredzi. Kto mógł się w tem połapać! Zarzuciłem go znów pytaniami: czy Blum był sam, czy z kim jeszcze? Z czyjego rozporządzenia? Jak się ośmielił? Czem to tłumaczył?

— *Il était seul, bien seul,* a zresztą ktoś tam był jeszcze *dans l'antichambre, oui, je m'en souviens, et puis...* Nie, prawda. Tam w przedpokoju był stróż, a tu w pokoju, jeszcze ktoś. Trzeba zapytać Nastasję. Ona lepiej wie..*J'étais surexcite, voyez vous. Il parlait, parlait... un tas de choses;* a zresztą nie, to ja wciąż mówiłem, on zaś mówił mało. Opowiedziałem mu całe życie moje, oczywiście tylko z tego jedynego punktu widzenia... *J'étais surexcité, mais digne, je vous assure.* Mam tylko obawę, czy nie płakałem. Zdaje się, że tak. Taczkę wzięli od sklepikarza obok.

— Mój Boże! Jak to mogło się stać! Stepanie Trofimowiczu, na miłość boską, niech pan mówi wyraźniej. To, co pan opowiada, wygląda na sen.

— *Cher*, jestem sam, jak we śnie... *Savez vous! Il a prononcé le nom de Tielatnikoff.* Myślę, że to on właśnie stał w przedpokoju. Tak, przypomniałem sobie. Mówił nawet, że potrzebny tu prokurator, wspominał nawet, jako o prokuratorze, o Dymitrym Mitryczu... *qui me doit encore quinze roubles de „jerełasz" soit dit en passant... Enfin je n'ai pas trop compris.* Okazałem się jednak chytrzejszy od nich. Poco mi Dymitr Mitrycz? Mam wrażenie, że prosiłem nawet Bluma, aby ukrył całą rzecz, bardzo prosiłem, boję się nawet, że trochę się poniżyłem, *comment croyez vous? Enfin il a consenti....* Ach, przypomniałem sobie. To on sam prosił, aby nie rozgłaszać, gdyż przyszedł tylko poto, aby spojrzeć *et rien de plus* i nic więcej, nic... a jeżeli nic nie znajdzie, na tem się skończy. Załatwiliśmy wszystko *en amis, je suis tout à fait content.*

— Na miłość boską, przecież on proponował panu normalny w takich wypadkach porządek i gwarancje, a pan dobrowolnie to odrzucił, — zawołałem w przyjaznem oburzeniu.

— Nie, wolę już bez gwarancji. Poco mi skandal. Niech to pozostanie do czasu *en amis.* W naszem mieście, gdyby dowiedzieli się o tem *mes ennemis... et puis, à quoi bon ce procureur, ce cochon de procureur, qui deux fois m'a manqué de politesse et qu'on a rossé à plaisir l'autre année chez cette charmante et belle Natalja Pawłowna, quand il se cacha dans son boudoir. Et puis, mon ami,* niech pan nie sprzecza się ze mną i nie pozbawia mnie pewności siebie. Proszę pana o to! Niema rzeczy nieznośniejszej jak, gdy spadnie na człowieka nieszczęście, a przyjaciele zaczynają wypominać mu, że palnął głupstwo. Niech pan siada i pije herbatę. Przyznam się, że jestem zmęczony. Jak pan sądzi, może dobrzeby było, gdybym się położył i zwilżył sobie głowę octem?

— Oczywiście, — zawołałem. — Lódby się także przydał. Pan jest strasznie zdenerwowany. Pan jest blady

i ręce panu się trzęsą. Niech się pan położy i już nie opowiada. Posiedzę przy panu i poczekam.

Nie chciał się zdecydować, lecz namówiłem go. Nastasja przyniosła ocet w filiżance. Zmoczyłem ręcznik i przyłożyłem mu do głowy. Nastasja wlazła na krzesło i zapaliła lampkę w rogu przed obrazem. Patrzyłem na to zdziwiony. Przedtem nawet żadnej lampki tam nie było. Zjawiła się po raz pierwszy.

Stepan Trofimowicz spojrzał na mnie przebiegle i wyjaśnił.

— Rozporządziłem się zaraz po ich wyjściu. *Quand on a de ces choses-là dans sa chambre et qu'on vient vous arrêter*, takie rzeczy budzą zaufanie. Będą musieli zameldować, że widzieli.

Uporawszy się z lampką, Nastasja stanęła w drzwiach, przyłożyła do twarzy prawą rękę i zapłakanym wzrokiem przyglądała się swemu panu.

Skinął na mnie.

— *Éloignez-la* pod jakimkolwiek pozorem. Nie znoszę tego rosyjskiego współczucia *et puis ça m'embête.*

Wyszła jednak sama. Zauważyłem, że mój przyjaciel raz po raz spogląda na drzwi i bacznie się wsłuchuje. Spojrzał na mnie znacząco.

— *Il faut être prêt, voyez vous, chaque moment...* Przyjdą, zabiorą i fiu! Znikł człowiek.

— Na miły Bóg! Kto przyjdzie? Kto pana zabierze?

— *Voyez vous, mon cher;* gdy już wychodził, zapytałem go otwarcie, co ze mną zrobią.

Głęboko oburzony zawołałem:

— Trzeba już było wprost zapytać, dokąd pana deportują.

— Właśnie to miałem na myśli. Wyszedł jednak, nie dawszy mi odpowiedzi. *Voyez vous.* Co do bielizny, ubrania, zwłaszcza ciepłego ubrania, to już będzie, jak oni zechcą. Każą wziąć — dobrze. Mogą przecież wyprawić w zwykłym płaszczu żołnierskim. — Zniżył głos, oglądając się na drzwi, przez które wyszła Nastasja.

— Trzydzieści pięć rubli wsunąłem w sekrecie za podszewkę w kamizelce przez dziurę w kieszeni. O tu,

niech pan dotknie. Sądzę, że nie zmuszą mnie do zdejmowania kamizelki. Dla pozoru zaś zostawiłem w portmonetce siedem rubli: to niby wszystko co mam. A tu drobne i miedziaki na stole. Nie domyślą się, że schowałem pieniądze. Pomyślą — że to wszystko. Przecież nikt nie wie, gdzie wypadnie mi dziś nocować.

Wobec tak wyraźnego obłędu, schyliłem czoło. Było jasne, że ani aresztować, ani robić rewizji nie można było w ten sposób, jak on to opowiadał. Plątał najwidoczniej. Działo się to wprawdzie przed wydaniem najnowszych ustaw sądowych. Trzeba też mieć na względzie, iż proponowano mu, jak to sam przyznawał, prawidłową procedurę, on jednak wolał być przebiegłym i odrzucił ją... Oczywiście dawniej, a nawet nie tak dawno, gubernator mógł w wyjątkowych wypadkach... Gdzież tu jednak ten wyjątkowy wypadek? Nie mogłem się zorjentować.

— Napewno była depesza z Petersburga, — odezwał się Stepan Trofimowicz.

— Depesza? O panu? Za pisma Hercena, czy za pański poemat? Pan chyba zwarjował! Za co też mieliby aresztować pana?

Wyszeptał tajemniczo:

— Kto w naszych czasach wie, za co mogą go aresztować?

Myśl dzika, bezsensowna przyszła mi do głowy.

— Stepanie Trofimowiczu, niech mi pan powie, jako przyjacielowi. Jako prawdziwemu przyjacielowi. Nie zdradzę przecież pana. Czy pan należy do jakiegoś tajnego stowarzyszenia?

Ku memu zdziwieniu, przyjaciel mój miał i pod tym względem wątpliwości. Sam nie wiedział, czy należy.

— Widzi pan, to zależy od punktu widzenia...

— Nie rozumiem.

— Gdy się oddało całą duszę postępowi, kto wtedy może zaręczyć? Wydaje się człowiekowi, że nie należy, a okazuje się, że do czegoś tam należy.

— To niemożliwe. To może być tylko albo tak, albo nie...

— *Cela date de Pétersbourg*, gdyśmy z nią chcieli zakładać pismo. Tu tkwią korzenie. Wyślizgnęliśmy się wówczas i zapomniano o nas. A teraz przypomniano sobie. *Cher, cher*, czyż nie znasz mnie przyjacielu? — zawołał chorobliwie. — Pana też wezmą, wsadzą do kibitki i marsz na Sybir! Na całe życie! Albo zapomną pana w ciemnicy.

Polały mu się łzy, gorące, gorące. Lały się strumieniem. Zakrył oczy chustką czerwoną i łkał konwulsyjnie przez kilka minut. Wytrąciło mnie to z równowagi. Przecież ten człowiek przez lat dwadzieścia prawił nam kazania, prorokował, uczył, wieścił. Był nam mistrzem, patrjarchą, Kukolnikiem. Tak wyniosłą postawę zachowywał wobec nas, którzyśmy go czcili zgłębi duszy. Zaszczyt nam sprawiał obecnością swoją. A teraz oto beczał, beczał jak mały uczniak, który nabroił i ze strachem oczekuje powrotu nauczyciela, który poszedł po rózgę. Żal mi się go zrobiło. Wierzył najwidoczniej w „kibitkę" tak samo, jak w to, że siedzę teraz przy nim. Oczekiwał jej dziś jeszcze, natychmiast, za chwilę, a to za dzieła Hercena i za własny poemat. Tak całkowita, bezwzględna ignorancja realnej rzeczywistości była rozczulająca i jednocześnie wstrętna.

Przestał wreszcie płakać, zerwał się z otomany, i zaczął znów chodzić po pokoju. Dalej rozmawiał ze mną, lecz wciąż wyglądał przez okno i wciąż przysłuchiwał się odgłosom z przedpokoju. Rozmowa nasza była chaotyczna. Wszystkie zapewnienia moje i uspokojenia odbijały się, jak groch od ściany. Nie słuchał prawie. A jednak potrzebował ukojenia, chciał, aby przyszło ono ode mnie i do tego dążyło wszystko, co mówił nieprzerwanie. Widziałem, że nie mógłby teraz obejść się beze mnie i za nic mnie nie puści. Pozostałem przy nim w ten sposób przeszło dwie godziny. W trakcie rozmowy wspomniał, że Blum zabrał dwie znalezione u niego proklamacje.

— Jakto proklamacje! — zawołałem nieostrożnie. — Czyżby pan...

— Podrzucono mi dziesięć sztuk, — odparł zagniewany. Wogóle rozmawiał ze mną to w tonie wyniośle za-

gniewanym, to znów żałośnie uniżonym. — Osiem z nich już zniszczyłem, a Blum znalazł tylko dwie...

Raptownie poczerwieniał z oburzenia.

Vous me mettez avec ces gens-la! Czyż pan przypuszcza, że mogę mieć coś wspólnego z tymi nikczemnikami, konspiratorami, z moim synkiem Piotrem Stepanowiczem, *avec ces esprits-forts de la lacheté!* Mój Boże!

— Tak, lecz czy ktokolwiek nie splątał pana z nimi? A zresztą to głupstwo, to niemożliwe! — zawołałem.

— *Savez vous*, — odezwał się znienacka Stepan Trofimowicz: — czuję chwilami, *que je ferai làbas quelque esclandre.* Niech pan mnie nie opuszcza, niech pan nie zostawia mnie samego! *Ma carriere est finie aujourd'hui, je le sens.* Wie pan? Wydaje mi się czasem, że rzucę się i pokąsam tam kogoś, jak tamten podporucznik.

Patrzył na mnie dziwnym wzrokiem: był sam wystraszony, lecz jednocześnie chciał mnie nastraszyć. Irytował się na kogoś i na coś coraz więcej, w miarę tego jak mijał czas i nie zjawiały się „kibitki". Gniewał się. Wtem Nastasja, która weszła do przedpokoju z kuchni, potrąciła i zwaliła na ziemię szaragi. Stepan Trofimowicz zadrżał i zamarł; gdy się jednak rzecz wyjaśniła, wpadł na Nastasję, począł tupać nogami i wrzeszczeć i napędził ją zpowrotem do kuchni. Po chwili odezwał się, patrząc na mnie zrozpaczonym wzrokiem.

— Zginąłem... *Cher...*

Usiadł obok mnie i żałośliwie wpatrywał mi się w oczy.

— *Cher.* Nie boję się Sybiru. Przysięgam. *Oh, je vous jure.* Boję się innej rzeczy.

Stanęły mu w oczach łzy.

Domyśliłem się z jego wyglądu, że prawdopodobnie powie mi teraz rzecz najważniejszą, której widocznie nie chciał dotychczas zdradzić.

Wyszeptał tajemniczo.

— Boję się hańby!

— Jakiej hańby? Przeciwnie... Niech mi pan wierzy, Stepanie Trofimowiczu, że wszystko to wyjaśni się dziś jeszcze ku pańskiemu zadowoleniu.

— Pan jest tak pewny, że mi przebaczą?

— Co to znaczy „przebaczą"? Co to za słowa? Co pan zrobił złego? Zapewniam pana, że pan nic nie zrobił.

— *Qu'en savez vous?* Całe życie moje było... *cher*... przypomną mi wszystko... a jeśli nawet nic nie znajdą, to tem gorzej, — skończył zupełnie zagadkowo.

— Jakto tem gorzej?

— Gorzej.

— Nie rozumiem.

— Przyjacielu mój, przyjacielu. Niechby tam Sybir, Archangielsk, pozbawienie praw stanu! Ginąć, to ginąć! Lecz... boję się innej rzeczy.

Wypowiedział to znów szeptem, tajemniczo, z przestrachem.

— Czegóż więc pan się boi?

— Wyćwiczą, — wymówił wreszcie i niepewnym wzrokiem zerkał na mnie.

— Kto pana wyćwiczy? Gdzie? Dlaczego? — wołałem przerażony. Bałem się, że istotnie zwarjował.

— Gdzie? Tam... Tam, gdzie się to robi?

— Ale gdzież to się robi?

— *Oh, cher,* — szepnął mi do ucha: — rozsuwa się podłoga, człowiek pogrąża się po pas... To wiadomo wszystkim.

— Bajki! — zawołałem, domyśliwszy się, o co mu chodzi. — To stare baśnie! Czyż pan wierzy w nie dotychczas?

Zacząłem się śmiać.

— Bajki? A jednak nie powstałyby one bez przyczyn. Rzecz jasna, że wyćwiczony nie będzie opowiadał. Już dziesięć tysięcy razy odtwarzałem sobie w wyobraźni te sceny.

— Dobrze, ale za co pana? Pana? Przecież pan nic nie zrobił.

— Tem gorzej. Przekonają się, że nic nie zrobiłem i wyćwiczą.

— Pan rzeczywiście myśli,że pana w tym celu zawiozą aż do Petersburga?

— Przyjacielu! Już mówiłem, że nie żałuję niczego. *Ma carrière est finie.* Od tej chwili, kiedy w Skworeszni-

kach pożegnała się ze mną ona, już nie żałuję życia... Lecz hańba, hańba! *Que dirà-t-elle*, gdy się dowie.

Spojrzał na mnie przerażony. Oblał się ponsem. Spuściłem oczy.

— Nie dowie się ona o niczem, gdyż nic panu nie zrobią. Mam wrażenie, że pierwszy raz w życiu rozmawiam z panem, Stepanie Trofimowiczu, tak mnie pan dziś zdziwił.

— Przyjacielu! Przecież tu nie o strach chodzi? Niech zresztą nawet mi przebaczą, niech mnie odwiozą zpowrotem, nic mi tam nie zrobią! I wtedy zginąłem. *Elle me soupçonnerà toute sa vie*... mnie, mnie,poetę, myśliciela, człowieka, którego czciła przez dwadzieścia dwa lata.

— Ani do głowy jej to nie przyjdzie.

— Przyjdzie, — odparł z głęboką pewnością. — Kilkakrotnie mówiliśmy z nią o tem w Petersburgu, w czasie Wielkiego Postu, przed wyjazdem, gdy obawialiśmy się oboje. *Elle me soupçonnerà toute sa vie*... Niech kto spróbuje ją przekonać! Byłoby to zresztą nieprawdopodobne. Kto zresztą w całem mieście mógłby uwierzyć? *C'est invraisemblable. Et puis fêmmes*... Ona ucieszy się nawet. Będzie zmartwiona, szczerze, jak prawdziwy przyjaciel, lecz wgłębi duszy ucieszy się. Dałoby to jej do rąk oręż przeciwko mnie na całe życie. Przepadło moje życie! Dwadzieścia lat doskonałego szczęścia z nią... a teraz!....

Ukrył twarz w dłoniach.

— Stepanie Trofimowiczu, — zaproponowałem. — Możebyśmy natychmiast zawiadomili Barbarę Piotrownę o tem, co zaszło?

Drgnął i zerwał się na równe nogi.

— Za nic w świecie! Za nic! Nigdy! Po tem, co było wypowiedziane na pożegnanie w Skworesznikach? Nigdy!

Błyszczały mu oczy.

Przesiedzieliśmy tak jeszcze z godzinę, a może dłużej, wciąż w oczekiwaniu. Grożące niebezpieczeństwo nie wychodziło mu z głowy. Położył się znowu, zamknął oczy i przeleżał tak ze dwadzieścia minut, nie mówiąc ani słowa. Myślałem nawet, że zasnął lub zdrzemnął się. Wtem pod-

niósł się gwałtownie, zerwał z głowy ręcznik, zeskoczył z otomany, rzucił się do lustra, drżącemi dłońmi zaczął zawiązywać krawat i krzyknął gromowym głosem na Nastasję, aby podała mu palto, nowy kapelusz i laskę.

— Nie mogę dłużej wytrzymać, — rzekł do mnie rwącym się głosem. — Nie mogę, nie mogę. Pójdę sam.

— Dokąd? — zawołałem.

— Do Lembkego. *Cher*, muszę, to mój obowiązek. Jestem obywatelem i człowiekiem, a nie drzazgą, mam pewne prawa, żądam w imię praw swoich... Dwadzieścia lat nie upominałem się o nie, przez całe życie zbrodniczo o nich zapomniałem... lecz teraz upomnę się. Musi powiedzieć mi wszystko, wszystko... Otrzymał depeszę. On nie ma prawa dręczyć mnie. Niech mnie aresztuje, aresztuje!

Wykrzykiwał to wrzaskliwie. Tupał nogami.

Odpowiedziałem mu rozmyślnie jak najspokojniej, chociaż bardzo bałem się o niego.

— Całkowicie zgadzam się z panem. To lepiej, niż siedzieć tu w niepokoju. Nie aprobuję jedynie nastroju pańskiego. Niech pan spojrzy, do kogo pan jest podobny, I w jakim stanie pan idzie do niego. *Il faut être calme et digne avec Lembke*. Pan istotnie może obecnie rzucić się i pokąsać kogoś.

— Sam oddaję siebie w ręce władz. Idę do lwiej paszczy.

— Pójdę razem z panem.

— Oczekiwałem tego od pana. Przyjmuję pańską ofiarę, jako ofiarę prawdziwego przyjaciela. Lecz tylko do domu, do progu. Pan nie powinien kompromitować siebie dalej mojem towarzystwem. Pan nie ma prawa... *Oh, croyez moi, je serai calme!* Czuję siebie w tej chwili *à la hauteur de tout ce qu'il y a de plus sacre*...

Przerwałem mu.

— Może zajdę z panem do mieszkania. Wczoraj zawiadomiono mnie z ich głupiego komitetu, za pośrednictwem Wysockiego, że bardzo tam na mnie liczą i zapraszają mnie na zabawę jutrzejszą w charakterze gospodarza, czy jak to się u nich nazywa... słowem, mam być jednym z tych sześciu młodzieńców, którzy będą pilnowali tac z jedzeniem,

asystowali paniom, wyznaczali miejsca gościom i nosili na lewem ramieniu opaskę biało-czerwoną. Chciałem się wymówić. Dlaczegóżbym jednak nie miał tam pójść obecnie pod pozorem rozmówienia się z gubernatorową. Wejdziemy razem z panem.

Słuchał, kiwał głową, lecz zdaje się, że niewiele zrozumiał. Staliśmy na progu.

Wyciągnął rękę w kierunku zapalonej lampki olejnej.

— *Cher*, nigdy w to nie wierzyłem, lecz... niech będzie, niech już będzie.

Przeżegnał się i zawołał:

— *Allons.*

„Tak lepiej", — pomyślałem, wychodząc z nim na ulicę: „po drodze dopomoże świeże powietrze, uspokoimy się, wrócimy do domu i położymy się spać".

Obrachunek mój nie był trafny. Właśnie po drodze zdarzyła się okoliczność, która ostatecznie wytrąciła z równowagi i wykoleiła Stepana Trofimowicza. Przyznam się nawet, żem nie oczekiwał od mego przyjaciela takiej gwałtowności, jak ta, którą wykazał on tego dnia. Mój dobry, mój biedny przyjaciel.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

FLIBUSTJERZY. FATALNY PORANEK.

I.

Wypadek, który nas spotkał po drodze, był także zadziwiający. Muszę jednak opowiedzieć wszystko po porządku. Na godzinę przedtem, nim wyszliśmy ze Stepanem Trofimowiczem na ulicę, przechodził ulicami miasta, zwracając ku sobie zaciekawione spojrzenia obywateli, tłum ludzi, robotników z fabryki Szpigulinych. Było ich siedemdziesięciu, albo i więcej. Szli poważnie, w milczeniu, przestrzegając ładu. Opowiadano potem, że byli to wybrani delegaci wszystkich robotników, których było w fabryce do dziewięciuset. Mieli jakoby iść do gubernatora

i, wobec nieobecności właścicieli fabryki, domagać się sprawiedliwej ingerencji w stosunku do administratora, który, zamykając fabrykę i zwalniając robotników, bezczelnie oszukiwał ich przy obrachunku (jest to fakt już obecnie całkowicie stwierdzony). Skądinąd nie wierzono w wybory, twierdząc, iż delegatów nie mogło być aż siedemdziesięciu. Według tej opinji tłum składał się poprostu z najbardziej pokrzywdzonych, którzy szli upominać się tylko o własne prawa, a więc ogólnego „buntu fabrycznego", o którym potem tyle hałasowano, wcale nie było. Inni jeszcze dowodzili namiętnie, że ta siedemdziesiątka składała się nie z buntowników zwykłych, lecz z „politycznych", najniespokojniejszych wśród całej masy robotniczej i podżeganych nielegalnemi ulotkami. Dotychczas niewiadomo, czy działał tu czyjkolwiek wpływ lub namowa. Sądzę osobiście, iż robotnicy nie czytali wcale nielegalnej literatury, a gdyby nawet czytali, — nie zrozumieliby ani słowa, gdyż piszący te proklamacje, pomimo całej ordynarności stylu, wysławiają się bardzo niewyraźnie. Ponieważ jednak robotnikom istotnie działo się źle, a policja, do której się przedtem zwracali, nie chciała wejrzeć w ich krzywdę, cóż mogło być więcej naturalnego, jak ich pomysł — iść gromadnie do samego generała, może nawet z napisaną prośbą, stanąć spokojnie przed gankiem, a gdy się ukaże, rzucić się na kolana i zwrócić się do niego, jak do Opatrzności? Nie trzeba tu żadnego buntu, ani żadnych delegacyj. To sposób stary, historyczny. Lud rosyjski od wieków lubił rozmawiać z „samym generałem". Sprawiało mu to zawsze przyjemność, niezależnie od tego, jak się kończyła taka rozmowa.

Bardzo być może, że młody Wierchowieński, Liputin, może ktoś jeszcze, może nawet Fiedia, uprzednio włóczyli się między robotnikami (są na to dość wiarygodne poszlaki). i rozmawiali z nimi. Napewno jednak co najwyżej z dwoma, trzema, pięcioma. I przekonany jestem, że rozmowy te nie dały żadnego rezultatu. Jeżeli robotnicy zrozumieli cokolwiek z ich propagandy buntu, napewno przestawali natychmiast słuchać, jako rzeczy głupiej i niepotrzebnej. Co innego Fiedia. Temu poszczęściło się lepiej niż młodemu Wierchowieńskiemu. Wyjaśniło się już teraz całkowicie,

że do pożaru miejskiego, który miał miejsce w trzy dni później, przyczynili się wraz z Fiedią dwaj robotnicy. Potem znów, po miesiącu, zaaresztowano w powiecie trzech innych byłych robotników fabrycznych, podejrzanych także o podpalanie i rabunek. Jeżeli jednak udało się Fiedi skłonić ich do tej działalności bezpośredniej, to w każdym razie skończyło się także tylko na tych pięciu, gdyż innym nic podobnego nie można było zarzucić.

Bądź co bądź robotnicy przyszli na plac przed domem gubernatora i ustawili się tam spokojnie i milcząco. Patrzyli z otwartemi ustami na ganek i czekali. Mówiono mi, że natychmiast po przybyciu pozdejmowali czapki, czyli o jakieś pół godziny przed powrotem gospodarza gubernji, którego w tej chwili nie było w domu. Zjawiła się natychmiast policja, narazie w osobie poszczególnych przedstawicieli, a potem w komplecie. Rozpoczęła odrazu groźnie, rozkazując rozejść się. Lecz robotnicy stanęli twardo, jak stado baranów, które oparło się o płot, i odpowiadali lakonicznie, że przyszli do „samego generała". Widać było niezłomną decyzję. Zamilkły groźne okrzyki policji. Zastąpił je namysł, tajemniczo szeptane rozporządzenia i surowe zakłopotanie, marszczące brwi wyższych szarż. Szef policji wolał doczekać się przyjazdu samego Lembkego. Jest to tylko plotka, jakoby przyleciał on trójką całym pędem i zaczął rozprawiać się jeszcze w dorożce. Prawdą jest, że lubił rozjeżdżać i rozjeżdżał swoim żółtym powozikiem, a w miarę jak doprowadzone do szału konie coraz więcej się rozhukiwały, wprowadzając w zachwyt wszystkich kupców z Hal Targowych, pan szef policji stawał w pojeździe, wyprostowany, trzymając się za rzemień, w tym celu przymocowany zboku, i, wyciągnąwszy w przestrzeń prawicę, jak to bywa na pomnikach, przebiegał wzrokiem miasto. W danym razie jednak nie rzucił się bić. Nie mógł oczywiście, wyskakując z powozu, obejść się bez mocnego słówka, lecz zrobił to jedynie w imię zachowania popularności. Plotką jest także, jakoby sprowadzono żołnierzy z bagnetami i telegraficznie zażądano artylerji i kozaków. Są to baśnie, w które nie wierzą nawet ci, którzy puścili je w obieg. Nieprawda też, że od straży ogniowej

sprowadzone zostały beczki z wodą, którą oblewano robotników. To tylko Ilja Iljicz krzyknął w ferworze, że nikt nie wyjdzie suchy. Powstały z tego „beczki", które przedostały się w ten sposób do korespondencji pism stołecznych. Najprawdziwsza wersja głosiła, że tłum otoczony został przez wszystkich policjantów, jakich miano pod rozkazami, a do Lembkego wysłano komisarza pierwszego okręgu, który też pojechał końmi szefa policji do Skworeszników. Wiadomo było, że Lembke przed pół godziną wyruszył swoim powozem w tym kierunku.

Przyznam się jednak, że dotychczas niewyjaśnioną pozostaje dla mnie kwestja: w jaki sposób najzwyklejszy tłum petentów, chociażby składający się z siedemdziesięciu ludzi, mógł tak za jednym zamachem zyskać epitet buntu, który zagraża ustrojowi państwowemu? Dlaczego Lembke także poddał się takiej idei, gdy w dwadzieścia minut później przyjechał razem z wysłanym po niego umyślnym? Mógłbym nawet przypuścić, (lecz podkreślam, że to tylko osobiste moje przypuszczenie), iż Ilja Iljicz, pokumany z administratorem fabryki, miał w tem interes, aby w odpowiedniem świetle przedstawić Lembkemu tłum i nie dopuścić do wysłuchania skarg robotniczych. A Lembke mógł mu sam nasunąć taki pomysł, miał z nim bowiem w ostatnich paru dniach dwie tajemnicze i wyjątkowe rozmowy. Były to rozmowy dość niewyraźne, a jednak Ilja Iljicz mógł wywnioskować, że pan gubernator jest mocno przejęty myślą o proklamacjach i o tem, że ktoś podżega robotników szpigulinowskich do buntu społecznego, mógł też nabrać przekonania, że ta opinja tak mocno utrwaliła się w duszy gubernatora, że byłby może nawet niezadowolony, gdyby okazała się bezpodstawną. „Chce prawdopodobnie odznaczyć się w Petersburgu", — pomyślał przebiegły Ilja Iljicz, wychodząc po tej rozmowie od Lembkego: — „cóż, niech tam, nam to także na rękę". Jestem jednak głęboko przekonany, że biedny von Lembke nie chciałby buntu, nawet, gdyby miał się sam odznaczyć. Był urzędnikiem niesłychanie sumiennym, który zachował niewinność aż do ślubu. Czyż to jego była wina, że zamiast niewinnych drew rządowych i tak samo, jak on, niewinnej Minnchen, czterdziestoletnia

księżna wyniosła go do wyżyn własnych? Wiem prawie napewno, że właśnie od tego fatalnego poranku datują pierwsze symptomaty stanu, który doprowadził biednego Andrzeja Antonowicza do znanego, specjalnego zakładu w Szwajcarji, gdzie teraz powraca on stopniowo do dawnego zdrowia. Jeżeli jednak uznać, że tego dnia zjawiły się pierwsze wyraźne symptomaty, można w takim razie przypuścić, iż w przeddzień mogły już wystąpić pewne oznaki, nie tak widoczne. Wiem to i owo ze źródeł najpoufniejszych. Przypuśćcie na chwilę, że opowiadała mi cząstkę tej historji sama Julja Michajłowna w okresie już nie triumfu, lecz częściowej skruchy. Mówię „częściowej", gdyż kobieta nigdy nie może poddać się skrusze całkowitej. Otóż w noc, poprzedzającą opisywane tu zdarzenia, von Lembke przyszedł do małżonki bardzo późno, o trzeciej godzinie, zbudził ją i zażądał, aby wysłuchała „ultimatum". Żądanie było tak stanowcze, że pani gubernatorowa musiała wyjść z łoża w oburzeniu i w papilotach. Usiadła na kozetce, nie ukrywając sarkastycznej pogardy, lecz wysłuchała. Dopiero wtedy zrozumiała, jak daleko zaszedł jej małżonek i przeraziła się w duszy. Właściwie powinna była zaraz opamiętać się i zmiękнąć. Wolała jednak ukryć przerażenie i uprzeć się jeszcze bardziej. Jak każda prawdopodobnie żona, miała swoją metodę postępowania z Andrzejem Antonowiczem, już nieraz wypróbowaną i która już nieraz doprowadziła go do stanu niepoczytalnego. Metoda Julji Michajłowny polegała na pogardliwem milczeniu przez godzinę, dwie, przez dobę, nawet przez trzy doby; na milczeniu za wszelką cenę, niezależnie od tego, jak na to małżonek reaguje, co mówi, co robi; niechby nawet drapał się na okno, aby skoczyć z trzeciego piętra. Metoda nieznośna dla człowieka wrażliwego. Może teraz Julja Michajłowna karała męża za jego błędy z ostatnich dni, za jego zazdrość wielkorządcy do jej zdolności administracyjnych; może oburzała się na krytykę jej postępowania z młodzieżą i z całem naszem towarzystwem, wynikającą z niezrozumienia jej subtelnych i przezornych planów politycznych; może gniewała się za tępą i bezsensowną zazdrość o Piotra Stepanowicza. Bądź co bądź postanowiła i teraz

nie zmięknąć, pomimo tak niezwykłej pory nocnej i pomimo niesłychanego zdenerwowania Andrzeja Antonowicza. Biegając w pasji wzdłuż i wpoprzek, we wszystkich kierunkach, po dywanach buduaru, gubernator wyłożył jej wszystko. Bez żadnego związku, lecz zato wszystko. Wszystko, co wezbrało w duszy, co rozsadzało brzegi. Zaczął od tego, że wszyscy z niego się śmieją, i „wodzą go za nos". „Mniejsza o określenie!" — dorzucał piskliwie, zauważywszy jej uśmiech. — „Tak, za nos, to prawda". „Nie, moja pani, przyszła chwila stanowcza. Nie czas teraz na uśmiechy i na tanią kokieterję kobiecą. Jesteśmy jak dwie oderwane od świata istoty w statku powietrznym, które się spotkały, i muszą powiedzieć sobie prawdę w oczy". (Rzecz prosta, że Lembke plątał się i nie mógł znaleźć trafniejszych określeń dla myśli swoich, poza tem całkowicie słusznych.) „Toś ty, moja droga, wyprowadziła mnie z normalnego uprzedniego stanu. Przyjąłem ten urząd ze względu na ciebie, ze względu na twoją ambicję... Uśmiechasz się zjadliwie? Nie triumfuj przedwcześnie! Wiedz, moja droga, że mógłbym doskonale poradzić sobie z tym urzędem, gdyż głupi nie jestem. Lecz przy tobie, przy tobie, trudno podołać. Jedynie przy tobie jestem głupi. Dwa ośrodki współistnieć nie mogą. Jeden u mnie, drugi w buduarze twoim. Dwa ośrodki władzy, moja droga! Nie dopuszczę, nie pozwolę! Na służbie, jak i w małżeństwie, istnieć może jeden tylko ośrodek! Nie może ich być więcej! Czem zapłaciłaś mi?" — krzyczał dalej: „Małżeństwo nasze na tem wyłącznie polegało, że stale, co godzina, dowodziłaś mi, jaki głupi jestem, jaki jestem do niczego, czasem nawet podły. Ja zaś stale, co godzina, ku własnemu poniżeniu, musiałem ci dowodzić, że wcale nie jestem głupi, ani do niczego, że nieraz obcy ludzie podziwiają moją szlachetność. Czyż nie jest to poniżające dla stron obu?" — W tym momencie zaczął energicznie tupać po dywanie, tak że Julja Michajłowna poczuła się nawet w obowiązku powstać z wyrazem surowej wyniosłości. Uspokoił się natychmiast, lecz zato dał folgę uczuciowości i zaczął łkać (tak, łkać) i bić się w piersi. Trwało to pięć minut. Głębokie milczenie Julji Michajłowny coraz bardziej wypro-

wadzało go z równowagi. Nakoniec spudłował ostatecznie, przyznawszy się, że jest zazdrosny o Piotra Stepanowicza. Zrozumiawszy, że palnął głupstwo, stracił całkowicie równowagę i zaczął krzyczeć, że „nie pozwoli odrzucać Boga", że rozpędzi jej „bezwstydny salon bez czci i wiary", że gubernator ma nawet obowiązek wierzyć w Boga, „a więc gubernatorowa także", że młodzieży nie będzie tolerował; że „ty, moja droga, w imię godności własnej powinnabyś dbać o męża i bronić opinji o jego rozumie, chociażby był on niezdarą (ja zaś nie jestem niezdarą!); tymczasem ty jesteś główną tego sprawczynią, że tu pogardzają mną wszyscy; tyś nastroiła tak wszystkich!" — krzyczał dalej. Krzyczał, że „skasuje kwestję kobiecą", że wykurzy ten duch nowoczesny, że jutro rozbije i rozpędzi zabawę składkową na korzyść nauczycielek („do djabła z niemi!"); że pierwszą spotkaną jutro nauczycielkę wypędzi z gubernji, a kozak będzie ja konwojował. „Naumyślnie, naumyślnie!" — wykrzykiwał. — „Czy ci wiadomo", — wołał znowu, — „że te twoje urwisy podburzają robotników fabrycznych, i że ja wiem o tem? Czy ty wiesz, że te twoje urwisy rozrzucają najspokojniej proklamacje? Tak, najspokojniej! Czy ci wiadomo, że znam już nazwiska czterech nikczemników, i że wogóle warjuję, tak, warjuję!?"... Tu Julja Michajłowna przerwała milczenie i oświadczyła surowo, że sama wie oddawna o występnych zamierzeniach i że to wszystko są głupstwa. Lembke bierze te rzeczy zanadto do serca; co się tyczy urwisów, to ona zna nazwiska nietylko tamtych czterech, lecz i wszystkich (tu już skłamała); jednakże nie widzi żadnego powodu do warjowania. Przeciwnie, ufa coraz więcej własnemu rozumowi i jest pewna, że doprowadzi wszystko do harmonijnego rozwiązania. Zamierza natchnąć młodzież otuchą, a jednocześnie zaszczepić jej rozwagę i ujawnić znienacka, iż plany występne są dobrze wiadome. Potem zaś wskazać nowe cele dla tej mądrej i jawnej działalności. Ach, co się stało z Andrzejem Antonowiczem! Dowiedziawszy się, że młody Wierchowieński znów go oszukał i zakpił z niego, w sposób tak ordynarny, że opowiedział Julji Michajłownie więcej, niż jemu, i wcześniej, niż jemu,

że wreszcie Piotr Stepanowicz jest prawdopodobnie głównym winowajcą, — von Lembke wpadł we wściekłość. — „Wiedz, bezmyślna a przewrotna kobieto!“ — wołał, rwąc ostatnie już więzy: — „wiedz, że nikczemnego twego kochanka zaraz aresztuję, że go zakuję w kajdany i zamknę w lochu więziennym, albo, albo — sam, na oczach twoich, przez okno wyskoczę!“ Blada z gniewu, Julja Michajłowna odpowiedziała na tę tyradę wybuchem śmiechu, długim, dźwięcznym, przelewającym się i barwnym, zupełnie jak w teatrze, gdy jakaś aktorka paryska, sprowadzona za grube pieniądze, a grająca rolę kokietek, śmieje się w oczy z męża, który poważył się ujawnić nurtującą go zazdrość. Von Lembke rzucił się do okna. Zatrzymał się jednak, stanął, jak wryty, spojrzał złowieszczo na małżonkę. Był trupio blady. — „Czy wiesz, Juljo“, — wyszeptał bez tchu, prawie błagalnym głosem, — „czy ty rozumiesz, że ja mogę coś złego zrobić ze sobą?!“ Przy nowym, jeszcze głośniejszym wybuchu śmiechu, który był odpowiedzią na jego okrzyk, von Lembke zacisnął zęby, jęknął i rzucił się — nie do okna, lecz na żonę, i — podniósł pięść! Nie spuścił pięści, o nie, postokroć nie, — lecz zato — zginął z kretesem. Nie czując nóg pod sobą, pobiegł do swego pokoju. Jak stał, w ubraniu, rzucił się na łóżko, nerwowo zawinął się z głową w prześcieradło i przeleżał tak bez snu, bez myśli, z kamieniem na sercu i z tępą, nieruchomą rozpaczą w duszy. Przeleżał parę godzin. Od czasu do czasu jakiś dreszcz febryczny przeszywał go od stóp do głów. Przypominały mu się rozmaite momenty życia, bez związku, bez sensu. Myślał, naprzykład, o starym zegarze ściennym, który wisiał u niego w Petersburgu przed piętnastu laty, i w którym złamała się wskazówka minutowa; to znów o wesołym urzędniku, niejakim Milbois, z którym razem złapali niegdyś wróbla w parku Aleksandrowskim, a gdy już złapali, śmieli się z całej duszy na myśl o tem, że jeden z nich wszak ma już rangę kolegjalnego asesora. Zasnął prawdopodobnie dopiero około siódmej, spał rozkosznie. Sny miał piękne. Zbudził się około dziesiątej. Zerwał się gwałtownie z łóżka, przypomniał sobie wszystko, i uderzył się dłonią w czoło. Nie chciał ani śniadania, ani Bluma, ani sze-

fa policji. Nie przyjął również urzędnika, który przyszedł przypomnieć mu, że dziś rano ma przewodniczyć na jakiemś posiedzeniu. Nic nie słyszał i nie chciał rozumieć. Pobiegł, jak nieprzytomny, do apartamentów Julji Michajłowny. Tam Sofja Antropowna, staruszeczka z dobrej rodziny, która oddawna mieszkała u gubernatorowej, oznajmiła mu, iż Julja Michajłowna o dziesiątej godzinie wyruszyła w licznem towarzystwie, trzema powozami do Skworeszników, do generałowej Stawroginej, aby obejrzeć miejsce, w którem za dwa tygodnie ma się odbyć nowa zabawa. Tak się umówiły przed paru dniami z Barbarą Piotrowną. Zaskoczony tą wiadomością, Lembke wrócił do swego gabinetu i kazał zaprząc konie. Ledwo mógł się doczekać. Dusza jego spragniona była Julji Michajłowny. Byle spojrzeć na nią, spędzić pięć minut obok niej. Może rzuci na niego okiem, może zauważy go, uśmiechnie się jak dawniej, przebaczy — och! „Gdzież konie!" Odruchowo otworzył grubą książkę, która leżała na stole. Nieraz tak wróżył z książki, otwierając na chybi-trafi i odczytując na prawej stronie trzy wiersze od góry. Wypadło mu na ten raz: „*Tout est pour le mieux dans le meilleur des mondes possibles*". *Voltaire. Candide.* Splunął i wybiegł na ganek. „Do Skworeszników!" Opowiadał potem stangret, że pan gubernator popędzał go przez całą drogę, gdy zaś już podjeżdżali do dworu, kazał zawracać i jechać do miasta. „Prędzej, byle prędzej". Nie dojeżdżając do wałów miejskich, „kazali mi znowu zatrzymać konie, wysiedli z powozu i przeszli na pole; tom pomyślał, że jakieś niezdrowie; oni zaś stanęli i zaczęli oglądać kwiatki, i stali tak cały czas, aż dziwno się zrobiło i byłem niepewny". Takie zeznania dawał stangret. Przypominam sobie, jaka była pogoda wtedy. Był to zimny i jasny, lecz wietrzny dzień wrześniowy: przed Andrzejem Antonowiczem, stojącym w polu, rozścielały się nagie niwy, dawno skoszone; wyjący wiatr potrząsał ubogiemi resztkami więdnących żółtych kwiatów... Czy chciał porównać swój lot z nędznemi kwiatuszkami, ściętemi przez jesień i mróz? Wątpię. Pewien jestem nawet, że nie. Sądzę, że nie pamiętał nawet o kwiatach, wbrew zeznaniom stangreta i komisarza pierwszego

okręgu, który w tej chwili podjechał zaprzęgiem szefa policji, i twierdził potem, że zastał pana gubernatora z pęczkiem żółtych kwiatów w ręku. Ten komisarz, osobnik upojony władzą, Wasyli Iwanowicz Flibustjerow, był w naszem mieście niedawnym gościem, zdążył już jednak wyróżnić się i wsławić swą niesłychaną gorliwością, jakimś rozpędem wykonawczym i wrodzoną nietrzeźwością. Wyskoczył z dorożki, nie stracił kontenansu na widok dziwnego zajęcia ekscelencji, ani jej wyglądu nieprzytomnego, chociaż poważnego, i zameldował jednym tchem, iż „w mieście niepokój".

— Ha? Co? — odezwał się Lembke z twarzą surową, bez żadnego zdziwienia i bez myśli o powadze i stangrecie, jakgdyby działo się to w gabinecie.

— Komisarz pierwszego okręgu, Flibustjerow, wasza ekscelencjo. W mieście bunt.

— Flibustjerzy? — zapytał Lembke w zadumie.

— Wedle rozkazu, ekscelencjo. Buntują się Szpigulinowscy.

— Szpigulinowscy?

Coś mu przypomniał ten dźwięk. Drgnął i dotknął się palcem czoła. „Szpigulinowscy!" W milczeniu i zadumie ruszył wolnym krokiem do powozu. Usiadł i kazał jechać do miasta. Komisarz podążył za nim.

Sądzę, że po drodze snuły mu się w głowie najrozmaitsze ciekawe rzeczy, na różne tematy. Wątpię jednak, aby podjeżdżając na plac przed domem gubernatorskim miał jakąś myśl przewodnią lub jakąś wyraźną decyzję. Gdy jednak zobaczył twardo stojący tłum „buntowników", łańcuch policjantów, bezsilnego (a może rozmyślnie bezsilnego) szefa policji, skierowane ku niemu powszechne oczekiwanie, poczuł przypływ krwi do mózgu. Wyskoczył blady z powozu.

— Czapki z głów! — zawołał ledwo dosłyszalnym głosem. — Na kolana! — wykrzyknął nieoczekiwanie, nieoczekiwanie nawet dla samego siebie. W tym niespodziewanym okrzyku był powód dalszego biegu zdarzeń. To tak samo jak jazda z górki saneczkami w czasie zapustów. Czy to możliwe, aby saneczki nabrawszy rozpędu, zatrzymały się

pośrodku góry? Jak na złość, Lembke przez całe życie miał charakter pogodny. Nigdy nie krzyczał na nikogo i nie tupał nogami. Z takimi ludźmi najniebezpieczniej, gdy się zdarzy, że ich sanie zaczną lecieć z góry. Wszystko zawirowało wokół niego.

— Flibustjerzy!—zawołał jeszcze gwałtowniej i już zupełnie bez sensu. Załamał mu się głos. Zatrzymał się, nie wiedząc jeszcze co zrobi, lecz wiedząc i czując każdym nerwem, że napewno uczyni coś za chwilę.

— Boże miłosierny! — odezwał się z tłumu jakiś głos. Jakiś chłopak przeżegnał się. Paru robotników chciało naprawdę uklęknąć, lecz inni gromadą posunęli się o kilka kroków naprzód i raptem wszyscy zaczęli wykrzykiwać: „Wasza ekscelencjo! Umawiali nas po czterdziestu... rządca... nie mów..." i t. d. i t. d. Nie można było nic zrozumieć.

Niestety. Lembke nie był w stanie orjentować się. Trzymał jeszcze w ręku kwiatuszki. Bunt był dla niego niewidoczny, tak samo jak niedawno kibitki dla Stepana Trofimowicza. A między tłumem buntowników, którzy wytrzeszczali na niego oczy, snuł się wciąż w wyobraźni gubernatora pobudzający ich Piotr Stepanowicz, którego zjawa nie opuszczała go ani na chwilę od wczorajszego dnia, — Piotr Stepanowicz, znienawidzony Piotr Stepanowicz.

— Rózeg! — Jeszcze niespodziewaniej zawołał Lembke.

Zapanowało grobowe milczenie.

Tak się rozpoczęło to wszystko, podług najściślejszych informacyj i podług moich domysłów. Dalsze jednak relacje nie są tak ścisłe, i domysły moje nie są już pewne. Znane są tylko niektóre fakty.

Przedewszystkiem rózgi zjawiły się jakoś niezwykle szybko; rzecz jasna, iż domyślny szef policji musiał je przygotować zawczasu. Ukarano zresztą tylko dwóch, nawet nie trzech, twierdzę to stanowczo. Jest to wymysł, jakoby wyćwiczono wszystkich, a przynajmniej połowę. Głupstwem jest także, jakoby schwycono i za coś wyćwiczono jakąś ubogą, lecz dobrze urodzoną niewiastę, która przechodziła obok: a przecież o tej damie sam czytałem później w jednem z pism petersburskich. Opowiadano też u nas o jakiejś

staruszce z przytułku cmentarnego, Awdotji Piotrownie Tarapyginej, która, jakoby wracając od znajomych do swego przytułku i przechodząc przez plac, przecisnęła się przez tłum widzów w celu zaspokojenia wrodzonej ciekawości, a zobaczywszy, co się dzieje, zawołała: „wstyd!" i splunęła. Miano ją za to porwać i natychmiast wyćwiczyć. Nawet do prasy przedostała się ta wiadomość, w mieście zaś zorganizowano naprędce składkę na korzyść staruszki. Sam dałem 20 kopiejek. I cóż? Okazało się potem, że wogóle żadnej staruszki Tarapyginej nie było u nas. Chodziłem osobiście sprawdzić w przytułku cmentarnym. O żadnej staruszce Tarapyginej nie słyszano tam nawet. Obrażono się, gdym powtórzył kursującą po mieście plotkę. Jeżeli wogóle wspominam tu o nieistniejącej Awdotji Piotrownie, to tylko dlatego, że ze Stepanem Trofimowiczem o mało nie zdarzyło się to, co z nią (gdyby wogóle ona istniała); może nawet dał on powód do plotki o Tarapyginej; może w dalszym cbiegu tej plotki wprost przerobiono Stepana Trofimowicza na jakąś staruszkę.

Nie rozumiem nawet, w jaki sposób mój przyjaciel wyślizgnął się ode mnie, ledwośmy weszli na plac. Przeczuwając, że może to źle się skończyć, chciałem przeprowadzić go naokoło placu do domu gubernatorskiego, lecz sam przez ciekawość zatrzymałem się na chwilę, aby się rozpytać kogoś z przechodniów, i zobaczyłem, że Stepan Trofimowicz znikł mi z oczu. Kierowany instynktem, począłem szukać go w miejscu najbardziej niebezpiecznem. Przeczuwałem, że już i saneczki mego przyjaciela lecą pędem z góry. Rzeczywiście, znalazłem go w samym wirze zdarzeń. Schwyciłem go za rękę. On jednak wyniośle spojrzał na mnie z pewną cichą dumą.

— *Cher*, — wyrzekł głosem, w którym drżała jakaś naderwana struna. — Jeżeli wszyscy tu na placu, przy nas, działają tak bezceremonjalnie, czegóż możemy oczekiwać od n i e g o, gdy wypadnie mu działać samodzielnie.

Drżąc z oburzenia i trawiony żądzą protestu, wskazał oskarżającym palcem na Flibustjerowa, który stał o dwa kroki i wytrzeszczał na nas oczy.

— O d n i e g o? — krzyknął Flibustjerow, doprowa-

dzony do pasji. — Od jakiego „niego"? A tyś kto? — wołał, ściskając pięście. — Tyś kto? — wrzasnął wściekle, z chorobliwą namiętnością. Muszę zaznaczyć, że znał doskonale z widzenia Stepana Trofimowicza.

Jeszcze chwila, a schwyciłby go za kark; na szczęście Lembke na krzyk odwrócił się w naszym kierunku. Spojrzał na Stepana Trofimowicza zdziwionym wzrokiem, jakgdyby coś kombinował, poczem zaczął niecierpliwie wymachiwać ręką. Flibustjerow zatrzymał się. Wyciągnąłem przyjaciela z tłumu. Może zresztą już sam pragnął się wycofać.

— Do domu, do domu! — wołałem. — Jeżeli nie dostaliśmy w skórę, to tylko dzięki Lembkemu.

— Wracaj, przyjacielu! Winien jestem, iż naraziłem pana na niebezpieczeństwo. Masz pan przed sobą przyszłość, karjerę, ja zaś... *mon heure a sonné.*

Stanowczym krokiem wstąpił na ganek domu gubernatorskiego. Portjer znał mnie. Oznajmiłem mu, iż obaj idziemy do pani gubernatorowej. Usiedliśmy w poczekalni. Nie chciałem opuszczać przyjaciela, uważając jednocześnie dalszę rozmowę z nim za zbędną. Miał minę człowieka, który dobrowolnie skazał siebie na pewną śmierć dla ojczyzny. Usiedliśmy nie obok siebie, lecz w rozmaitych kątach. Ja — bliżej drzwi wejściowych, on zaś naprzeciwko. Schylił głowę w zadumie i opierał się oburącz o laskę, przytrzymując jednocześnie lewą ręką swój szeroki kapelusz. Przesiedzieliśmy w ten sposób z dziesięć minut.

II.

Lembke wpadł znienacka szybkim krokiem w towarzystwie szefa policji, spojrzał wzrokiem roztargnionym, nie zwrócił na nas uwagi i szedł w kierunku gabinetu, lecz Stepan Trofimowicz stanął przed nim i zagrodził mu drogę. Wysoka, oryginalna postać Stepana Trofimowicza wywarła wrażenie, Lembke zatrzymał się.

— Kto to? — zapytał zdziwiony, jakgdyby skierowując pytanie do szefa policji, lecz nawet nie odwrócił się do niego, wpatrując się stale w Stepana Trofimowicza.

Stepan Trofimowicz, poważnie schylając głowę, przedstawił się:

— Kolegjalny asesor na emeryturze, Stepan Trofimowicz Wierchowieński, ekscelencjo!

Lembke nie odrywał wzroku. Patrzył dość tępo.

— O co chodzi? — zapytał lakonicznie i niecierpliwie zwrócił ucho do Stepana Trofimowicza, przyjąwszy go za zwykłego petenta z prośbą na piśmie.

— Uległem dziś rewizji, dokonanej przez urzędnika, który działał imieniem waszej ekscelencji. Chciałbym więc...

— Nazwisko, nazwisko? — niecierpliwie zapytał Lembke, jakgdyby w tej chwili czegoś się domyślił.

Stepan Trofimowicz jeszcze dostojniej powtórzył swoje nazwisko.

— A-a-a! To ten... propagator! Panie szanowny! Dałeś się poznać z takiej strony... Jesteś pan profesorem?

— Miałem zaszczyt wygłosić kilka wykładów przed młodzieżą —skiego uniwersytetu.

— Młodzieżą! — drgnął Lembke. Mógłbym się jednak założyć, iż nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi, ani może nawet z kim rozmawia. Wtem wpadł w gniew niesłychany.

— Mój panie! Nie dopuszczę tego! Nie dopuszczę młodzieży. To, mój panie, proklamacje. To atak na społeczeństwo. To morski atak. Flibustjeryzm. O co pan prosi?

— Przeciwnie. To małżonka ekscelencji prosiła mnie o wygłoszenie czegokolwiek jutro na poranku literackim. Ja zaś nie proszę, lecz upominam się o moje prawa.

— Na poranku literackim? Na koncercie? Żadnej zabawy nie będzie! Nie dopuszczę do waszej zabawy! Wykłady? Wykłady? — krzyczał nieprzytomnie.

— Prosiłbym bardzo, aby ekscelencja zechciała rozmawiać ze mną uprzejmie, nie tupiąc nogami, i nie krzycząc na mnie, jak na młokosa.

Lembke zaczerwienił się.

— Pan zdajesz sobie sprawę, z kim rozmawiasz?

— Najzupełniej ekscelencjo.

— Ja — ratuję społeczeństwo, pan zaś prowadzisz je

do zguby! Pan... A zresztą przypominam sobie pana. Pan byłeś wychowawcą w domu generałowej Stawroginej.

—Tak... byłem wychowawcą... w domu generałowej...

— I wciągu lat dwudziestu krzewiłeś pan to, co teraz wypłynęło nawierzch... To owoce... Mam wrażenie, że widziałem pana przed chwilą na placu. Radzę panu, nie być tak pewnym siebie. Znam kierunek myśli pańskich. Ja, mój panie, nie mogę pozwolić na pańskie wykłady. Nie mogę. Zwracaj się pan z takiemi prośbami do innych.

Znów próbował przejść obok.

— Powtarzam, iż ekscelencja się myli. To małżonka ekscelencji prosiła mnie o odczytanie czegoś na zabawie jutrzejszej. Nie wykładu, lecz jakiejś pracy literackiej. Sam zresztą od tego zaszczytu wymawiam się obecnie. Prosiłbym zaś ponownie o łaskawe wyjaśnienie mi, w miarę możności: jakim tytułem, za co i dlaczego dokonano dziś w mojem mieszkaniu rewizji? Zabrano mi kilka książek , papiery, listy osobiste, mające dla mnie wartość, i wywieziono to wszystko taczką...

Lembke opamiętał się całkowicie i znów poczerwieniał.

— Kto robił rewizję?

Odwrócił się od szefa policji. W tej chwili ukazała się w drzwiach zgarbiona, długa, niezgrabna postać Bluma.

— Ten oto urzędnik, — wskazał palcem Stepan Trofimowicz.

Blum wysunął się naprzód. Miał minę winowajcy, który nie ma jednak zamiaru się poddawać.

— *Vous ne faites que des bêtises*, — rzucił się ku niemu Lembke. Był zły i niezadowolony.

W tej chwili odzyskał już całkowicie przytomność i zmienił ton.

— Wybacz pan... — wybełkotał w zamieszaniu, czerwony po uszy. — To wszystko, prawdopodobnie, zwykła niezręczność, nieporozumienie... Tak, tylko nieporozumienie...

— Ekscelencjo, — odparł Stepan Trofimowicz. — W młodości zdarzyło mi się być świadkiem charakterystycznej sceny. W teatrze, na korytarzu, ktoś podszedł gwałtownie do kogoś innego i wymierzył mu publicznie policzek.

Zauważył jednak w tej chwili, iż spoliczkowana osoba nie była tą, dla której policzek był przeznaczony, może co najwyżej podobną. Z wyrazem gniewu, śpiesząc się, jak człowiek, który nie chce tracić drogiego czasu, wymówił zupełnie tak samo, jak teraz ekscelencja: „omyliłem się.. przepraszam... to nieporozumienie... to tylko nieporozumienie". Gdy zaś poszkodowany wciąż się gniewał i krzyczał, napastnik z wyrazem głębokiego niezadowolenia zawołał: „przecież mówię panu, że to nieporozumienie, poco więc pan krzyczy?"

Lembke odparł z kwaśnym uśmiechem.

— Tak... zapewne... To bardzo śmieszne... Czyż jednak pan nie widzi, jak ja sam jestem nieszczęśliwy.

Prawie krzyknął. Zdaje się, że usiłował nawet schować twarz w dłonie.

Ten chorobliwy okrzyk, ten prawie jęk, był nie do zniesienia. Była to u gubernatora prawdopodobnie pierwsza od wczorajszego dnia chwila świadomości wszystkiego co zaszło. Za tą świadomością szła rozpacz głęboka, poniżająca, pokorna. Kto wie? Jeszcze chwila, a może zacząłby na całą salę. Stepan Trofimowicz narazie spojrzał na niego zdziwiony, lecz po chwili opuścił głowę i odezwał się głosem głęboko współczującym:

— Niech ekscelencja zapomni już o mojej gderliwej skardze, i raczy tylko rozkazać, aby mi oddano moje książki i listy...

Zanim skończył, wpadła hałaśliwie do sali pani gubernatorowa, która powróciła z całym towarzyszącym jej tłumem. Chcę jednak opisać wszystko najszczegółowiej.

III.

Wbiegli do poczekalni razem, ze wszystkich trzech powozów. Wejście do apartamentów Julji Michajłowny było inne, wprost z przedsionka. Dziś jednak wszyscy skierowali się przez poczekalnię, dlatego właśnie, jak sądzę, iż był tu Stepan Trofimowicz. Wszystko, co z nim zaszło, tak samo jak historja z robotnikami, zostało już zakomunikowane Julji Michajłownie przy wjeździe do miasta. Zdążył to

zrobić Lamszyn, który za jakieś przewinienie pozostawiony był w domu i nie uczestniczył w wyprawie, dlatego pierwszy dowiedział się o wszystkiem. Ze złośliwem zadowoleniem pocwałował na wynajętej szkapie kozackiej w kierunku Skworeszników, wioząc wesołe nowiny powracającej gromadzie. Sądzę, że Julja Michajłowna, pomimo stanowczości swoich decyzyj, była zdetonowana, gdy dowiedziała się o tak dziwnych rzeczach. Zmieszanie jej musiało jednak trwać niedługo. Polityczna strona zajścia nie mogła jej niepokoić. Młody Wierchowieński już kilkakrotnie przekonywał ją, że szpigulinowskich awanturników dawno już należałoby oćwiczyć, był on zaś dla niej od pewnego czasu bezwzględnym autorytetem. „A jednak... a jednak zapłaci mi on za to", — pomyślała przecie, przyczem „on" — to był małżonek. Dodam tu, że Wierchowieński także, jakgdyby naumyślnie, nie uczestniczył w spacerze dzisiejszym, i od samego rana nikt go nigdzie nie spotykał. Muszę także odnotować, że Barbara Piotrowna, po przyjęciu u siebie gości, wróciła razem ze wszystkimi do miasta, w jednym powozie z gubernatorową. Chciała koniecznie być obecną na ostatniem posiedzeniu przed jutrzejszą zabawą. Ją także musiały zainteresować, a może nawet przejąć, zakomunikowane przez Lamszyna wiadomości o Stepanie Trofimowiczu.

Rozprawa z Andrzejem Antonowiczem rozpoczęła się natychmiast. Niestety! Zrozumiał to od pierwszego wejrzenia. Z radosną twarzą, z czarującym uśmiechem, pani gubernatorowa zbliżyła się szybkim krokiem do Stepana Trofimowicza, wyciągnęła rączkę, ślicznie obciśniętą w rękawiczkę i zasypała go najpochlebniejszemi powitaniami. Mogło się zdawać, że od samego rana żywiła jedno tylko pragnienie: jak najprędzej podbiec i ugłaskać Stepana Trofimowicza za to, że wreszcie zawitał w jej progi. Ani pół słówka o rewizji porannej, jakgdyby nie wiedziała o niczem. Ani słowa do męża, ani jednego spojrzenia, — jakgdyby nie było go tu wcale. Nie poprzestała na tem. Zarekwirowała natychmiast Stepana Trofimowicza i zaciągnęła go do swego salonu, — jakgdyby nie było między nim a Lembkem żadnej rozmowy, a gdyby nawet była, — to

nie warto jej kończyć. Wydaje mi się nawet, że Julja Michajłowna, pomimo wysokich zamierzeń swoich, w danym wypadku znowu przeholowała. Pomógł jej Karmazinow, który na specjalną prośbę uczestniczył w wycieczce i w ten sposób pośrednio złożył wizytę Barbarze Piotrownie. Przez pewną małoduszność Barbara Piotrowna była zachwycona tą wizytą. Karmazinow wszedł ostatni i jeszcze na progu, zobaczywszy Stepana Trofimowicza, przerywając nawet Julji Michajłownie.

— Kopę lat! Kopę lat! Nareszcie... *Excellent ami*...

Rzucił się w objęcia i, jak zwykle podsunął policzek. Stepan Trofimowicz nie zorjentował się w porę i był zniewolony policzek ten wycałować.

— *Cher*, — mówił mi już wieczorem, przypominając sobie wszystkie szczegóły. — Pomyślałem w tej chwili, kto z nas jest gorszy? Czy on, który ściska mnie poto, aby natychmiast poniżyć, czy ja, który pogardzam nim i jego policzkami, a jednak ucałowałem go, chociaż mogłem się doskonale odwrócić? Tfu!

— No, opowiedz pan, opowiedz, wszystko, — podszepleniał Karmazinow, jakgdyby można było powiedzieć jednym tchem dwudziestopięcioletni okres życia. Ta naiwna lekkomyślność była jednak „w najlepszym tonie".

Stefan Trofimowicz zaczął mu opowiadać bardzo rozsądnie, a więc już nie w „tonie najlepszym".

— Niech pan uwzględni, że ostatni raz spotkaliśmy się w Moskwie, na obiedzie, wydanym na cześć Granowskiego, i że od tego czasu minęło dwadzieścia cztery lata...

— *Ce cher homme*, — krzykliwie i nonszalancko przerwał Karmazinow, trochę zbyt kordjalnie ściskając mu ramię. —Juljo Michajłowno! Niechże pani jak najprędzej bierze go do siebie. Usiądzie tam i opowie nam wszystko.

— Przecież nigdy z tą obraźliwą babą nie byłem w bliskich stosunkach, — skarżył mi się wieczorem Stepan Trofimowicz, trzęsąc się z gniewu. Byliśmy wtedy obaj młodzi, a już zaczynałem nienawidzić go. Oczywiście on mnie także...

Salon Julji Michajłowny wypełnił się szybko. Barbara Piotrowna była wyjątkowo podniecona, chociaż usiłowała

udawać obojętną. Schwyciłem jednak parę jej nienawistnych spojrzeń rzuconych na Karmazinowa i gniewnych — na Stepana Trofimowicza, — gniewnych z rozmysłu, gniewnych przez zazdrość, z przywiązania. Gdyby Stepan Trofimowicz natenraz spudłował i nie zdał egzaminu wobec Karmazinowa, napewno zerwałaby się z miejsca i pobiła go. Zapomniałem powiedzieć, że była tu także Liza, a nigdy jeszcze nie widziałem jej tak radosnej, dziecinnie wesołej, szczęśliwej. Był też, rzecz prosta, Maurycy Mikołajewicz. W tym tłumie młodych pań i pół-rozwiązłych młodzieńców, stanowiących normalną świtę Julji Michajłowny, wśród których ta rozwiązłość uchodziła za wesołość, a taki cynizm za rozum, dostrzegłem parę nowych twarzy; jakiś przyjezdny Polak, zabiegający i usłużny, jakiś Niemiec-doktór, zdrowy staruszek, który co chwila śmiał się szeroko i rozkosznie z własnych kawałów, wreszcie jakiś bardzo młody książę z Petersburga, figura automatyczna, o postawie męża stanu w bardzo wysokim kołnierzyku. Widać było, że Julja Michajłowna wysoce ceni sobie tego gościa i niepokoi się przed nim o swój salon.

— *Cher M. Karmazinoff*, — rozpoczął Stepan Trofimowicz, usiadłszy w malowniczej pozie na kanapie i szepleniąc niegorzej od Karmazinowa, — *cher M. Karmazinoff*, życie człowieka naszej epoki, człowieka z przekonaniami, nawet dwudziesty okres tego życia, muszą wydawać się monotonne...

Niemiec zaśmiał się głośno, jakgdyby zarżał: myślał prawdopodobnie, iż Stepan Trofimowicz powiedział coś niesłychanie dowcipnego. Stepan Trofimowicz spojrzał na Niemca z doskonale zrobionem zdziwieniem, nie wywarłszy tem jednak należnego efektu. Spojrzał i książę, odwróciwszy się razem z kołnierzykiem i nałożywszy binokle, chociaż twarz jego nie zdradzała żadnego zaciekawienia.

— Muszą wydawać się monotonne, — naumyślnie powtórzył Stepan Trofimowicz, jak najdłużej, jak najdobitniej przeciągając każdę sylabę. — Takie też było życie moje przez ćwierć wieku, *et comme on trouve partout plus de moines, que de raison*, i ponieważ taka jest właśnie moja opinja, musiało skończyć się na tem, że...

— *C'est charmant — ces moines*, — szepnęła Julja Michajłowna, zwracając się do Barbary Piotrowny, która siedziała obok niej .

Barbara Piotrowna odpowiedziała dumnem spojrzeniem. Karmazinow jednak pozazdrościł powodzenia francuskiego frazesu i krzykliwie przerwał Stepanowi Trofimowiczowi.

—Co do mnie, tom się już zupełnie uspokoił pod tym względem i oto od siedmiu lat bawię w Karlsruhe. Gdy w zeszłym roku rada miejska uchwaliła przeprowadzić wodociągi, poczułem wgłębi serca, że ta kwestja wodociągowa w Karlsruhe jest mi bliższa od wszystkich zagadnień naszej ukochanej ojczyzny... przez cały okres tak zwanych „reform" tutejszych.

— Muszę podzielić pańską opinję, wbrew własnej, — westchnął Stepan Trofimowicz, znacząco schyliwszy głowę.

Julja Michajłowna triumfowała. Rozmowa stawała się głęboka i znacząca.

— Rury kanalizacyjne? — głośno indagował doktór.

— Wodociągowe, doktorze, wodociągowe. Pomagałem im nawet układać projekt.

Doktór parsknął śmiechem. Parę osób zaśmiało się w twarz doktorowi, który jednak tego nie zrozumiał, a nawet był rad, że śmieją się także inni.

Julja Michajłowna uznała za niezbędne zaprotestować.

— Nie mogę zgodzić się z panem, panie Karmazinow. Karlsruhe — to co innego. Pan ma dziwny sposób mistyfikowania i natenraz nie uwierzymy panu. Któż z pośród Rosjan, jakiż autor stworzył tyle typów współczesnych, rozwiązał tyle współczesnych zagadnień, wskazał te zasadnicze cechy, które składają się na typ współczesnego działacza? Pan, tylko pan, nikt inny! Niechże pan potem wmawia w nas obojętność swoją dla ojczyzny i niesłychane zainteresowanie wodociągiem w Karlsruhe! Cha-cha!

— No, oczywiście, — szeplenił Karmazinow. — W postać Pogożewa wcieliłem wszystkie wady słowianofilów, a w postać Nikodimowa wszystkie wady wielbicieli zachodu...

— Czyżby aż wszystko? — szepnął Lamszyn.

— Tak, lecz czynię to odniechcenia, byle zabić czas... zaspokoić natarczywe żądania rodaków moich.

Tu odezwała się gubernatorowa tonem pełnym zachwytu.

— Panu wiadomo zapewne, Stepanie Trofimowiczu, iż jutro będziemy mieli szczęście wysłuchania przepięknej rzeczy... ostatniego, najwytworniejszego utworu nowelistycznego mistrza. Tytuł brzmi: „*Merci*". W tem cacku mistrz obwieszcza, że więcej już pisać nie będzie, za żadne skarby świata. Nie będzie pisał, chociażby anioł z nieba, lub ściślej cały *haut monde* błagał go o zmianę decyzji. Słowem, łamie na zawsze pióro i zwraca się do szerokiej publiczności z pełnem wdzięku *merci* w dowód wdzięczności za nieustanny zachwyt, który towarzyszył zawsze trudom mistrza, złożonym w ofierze uczciwej myśli narodowej.

Julja Michajłowna była u szczytu zachwytu.

Karmazinow roztapiał się w oczach.

— Tak, żegnam się; wygłoszę moje „*merci*" i wyjadę, a tam... w Karlsruhe... zamknę powieki.

Jak większość rosyjskich znakomitości pisarskich (a mamy ich wszak bez liku!) zbyt łatwo ulegał pochlebstwu. Słabł natychmiast, pomimo wrodzonego sarkazmu. Trzeba mu to wybaczyć. Jeden z naszych domorosłych Szekspirów podobno w rozmowie prywatnej odezwał się w ten sposób: „m y, w i e l c y l u d z i e, nie możemy inaczej", — i nawet sam nie zwrócił uwagi na to samookreślenie.

„Tam, w Karlsruhe zamknę powieki. Taki już nasz los. My, wielcy ludzie, po skończeniu dzieła, winniśmi jak najrychlej zamykać powieki, nie oczekując nagrody. Tak też czynię".

—Niech mi pan da adres. — gruchnął Niemiec. — przyjadę do Karlsruhe na mogiłę pańską.

— Teraz koleje przewożą nawet umarłych, — niespodziewanie wtrącił któryś z mniej znacznych młodzieńców.

Lamszyn parsknął śmiechem. Pani gubernatorowa zachmurzyła oblicze.

W tej chwili wszedł Mikołaj Stawrogin. Zwrócił się przedewszystkiemo do Stepana Trofimowicza.

— Mówiono mi, że siedzisz pan w celi?

— O nie, jedynie były próby w tym kierunku, — zażartował Stepan Trofimowicz.

— Spodziewam się, że ta cała przykra historja nie wpłynie na rezultat mojej prośby, — odezwała się znów pani gubernatorowa. — Ufam, że zapomni pan o tej drobnej przykrości, o której zresztą dotychczas nie jestem poinformowana, i nie zawiedzie pan naszych oczekiwań. Tak dużo obiecujemy sobie po jutrzejszym występie pańskim na poranku literackim.

— Nie wiem sam... obecnie...

— Ach, Barbaro Piotrowno! Właśnie teraz, kiedym tak pragnęła poznać bliżej jedną z najwybitniejszych niezależnych jednostek, Stepan Trofimowicz zdradza chęć uczynienia nam zawodu.

Stepan Trofimowicz sam replikował:

— Pochwała szanownej pani wygłoszona była tak głośno, że właściwie powinienem jej nie dosłyszeć. Wątpię jednak, aby skromna osoba moja była niezbędna dla uświetnienia jutrzejszej zabawy. A zresztą...

W tej chwili wpadł do pokoju młody Wierchowieński i już od progu wykrzykiwał:

— Nie psujcie mi go, panie! Ledwom zdołał wziąć go nieco w ręce, a tu naraz, w ciągu jednego poranku — rewizja, aresztowanie, policjant chwyta go za kark, a potem ułaskawiają go panie w salonie wielkorządcy! Toć każda cząsteczka drży w nim z zachwytu! Ani mu się śnił nawet taki benefis! Teraz dopiero zacznie gnębić socjalistów!

Pani gubernatorowa walnie stanęła w obronie pokrzywdzonego.

— To niemożliwe, Piotrze Stepanowiczu. Socjalizm jest zbyt wzniosłą ideą, aby ojciec pański nie zdawał sobie z tego sprawy.

Stepan Trofimowicz przerwał dyskusję:

— Tak, idea jest wzniosła, lecz niewszyscy jej wyznawcy dorośli do niej, *et brisons là, mon cher.*

Eleganckim ruchem powstał z miejsca.

Lecz wtedy właśnie nastąpiła okoliczność najmniej spodziewana. Von Lembke już od paru chwil był w salonie. Nikt nań nie zwracał uwagi, chociaż widzieli wszyscy, jak wchodził. Małżonka jakgdyby nie dostrzegła go, wierna uprzedniej taktyce. Ulokował się gdzieś pode drzwiami i ponuro słuchał. Gdy wpadły mu w uszy aluzje do wydarzeń porannych, zaczął się ruszać niespokojnie i wpatrywał się w księcia, jakgdyby zdumiewał go wysoko wystający i mocno nakrochmalony kołnierzyk. Dreszcz go przeszył, gdy zobaczył młodego Wierchowieńskiego, ledwo zaś Stepan Trofimowicz zdążył wygłosić sentencję swoją o socjalistach, gubernator szybkim krokiem podszedł do niego. Trącił po drodze Lamszyna, który odskoczył wbok z przesadnym gestem i przerażeniem, pocierając ramię i udając, iż został mocno poturbowany.

Von Lembke schwycił Stepana Trofimowicza za ramię i ściskał je z całych sił.

— Dość tego! — zawołał. — Dość tego, zdradzili się flibustjerzy naszych czasów. Ani słowa więcej. Wszelkie środki przedsięwzięte.

Powiedział to głośno, na całą salę. Skończył energicznie. Wrażenie zajścia było wprost bolesne. Wszyscy poczuli, iż dzieje się coś złego. Widziałem, jak gubernatorowa zbladła. Głupi wypadek zakończył tę scenę. Oznajmiwszy, że wszystkie środki zostały przedsięwzięte, Lembke odwrócił się na pięcie i ruszył z pokoju, lecz po paru krokach zawadził o dywan, zachwiał się i omal nie upadł. Zatrzymał się na chwilę, spojrzał na to miejsce, gdzie się potknął, powiedział głośno: „Zmienić to",—i wyszedł z sali. Gubernatorowa wybiegła za nim. Po wyjściu jej rozległ się w sali hałas, w którym trudno było się połapać. Jedni twierdzili: „wytrącony z równowagi!", inni: „nieprzytomny". Ten i ów dotykał palcem czoła, Lamszyn zaś gdzieś w kącie wystawił nad głową dwa palce. Przebąkiwał o jakichś zdarzeniach rodzinnych, oczywiście półszeptem. Nikt nie zdradzał chęci opuszczenia salonu. Wszyscy trwali w oczekiwaniu. Nie wiem, jak poradziła sobie pani gubernatorowa, lecz po kilku minutach powróciła, usiłując udawać spokój. Odpowiadała półsłówkami, że małżonek jej jest nieco zde-

nerwowany, że to głupstwo, że zdarza się to znim od dzieciństwa, że ona najlepiej wie o tem, że wreszcie zabawa jutrzejsza napewno go rozweseli. Potem zaś skierowała jeszcze kilka pochlebnych słów pod adresem Stepana Trofimowicza, lecz teraz już tylko przez grzeczność, i wreszcie zaproponowała członkom komitetu natychmiastowe rozpoczęcie obrad. Ci, którzy nie należeli do komitetu, teraz dopiero ruszyli do wyjścia. Lecz niezwykłe wydarzenia dnia feralnego nie były jeszcze wyczerpane.

W momencie, gdy wchodził Stawrogin, zauważyłem, że Liza przenikliwie spojrzała na niego i przez czas dłuższy nie spuszczała zeń wzroku. Trwało to tak długo, iż zwracało na siebie uwagę. Widziałem, jak Maurycy Mikołajewicz schylił się nad nią. Zdawało się, że chce jej coś szepnąć, lecz najwidoczniej zmienił zamiar i wyprostował się, oglądając zebranych z miną winowajcy. Wygląd Stawrogina także zastanawiał. Był bledszy niż zazwyczaj, a wzrok jego błąkał się bezcelowo. Skierowawszy przy wejściu pytanie do Wierchowieńskiego, zapomniał o nim niezwłocznie i zaniedbał nawet podejść do gospodyni. Nie spojrzał ani razu na Lizę. Myślę, że nie miał w tem określonego zamiaru. Nie zauważył jej poprostu. I oto znienacka, po chwilowem milczeniu, które towarzyszyło propozycji pani gubernatorowej natychmiastowego rozpoczęcia obrad, rozległ się dźwięczny, rozmyślnie wysoki głos Lizy. Zwróciła się do Stawrogina.

— Panie Stawrogin! Jakiś kapitan, który nazywa siebie krewnym pańskim, bratem pańskiej żony, z nazwiska Lebiadkin, przysyła mi wciąż nieprzyzwoite listy i skarży się stale na pana. Proponuje mi, że zdradzi jakieś tajemnice pańskie. Jeżeli istotnie jest pan z nim spowinowaconv, niech pan zabroni mu ubliżać mi i uwolni mnie od tych nieprzyjemności.

Słowa te brzmiały, jak fatalne wyzwanie. Zrozumieli to wszyscy. Istota oskarżenia była wyraźna, chociaż prawdopodobnie nieoczekiwana dla niej samej. Przypominała człowieka, który zamyka oczy i rzuca się z dachu.

Lecz odpowiedź Stawrogina była jeszcze dziwniejsza.

Przedewszystkiem stwierdzam, ze zdziwieniem, iż nie

zdumiało go odezwanie się Lizy. Wysłychał uważnie i spokojnie. Na twarzy jego nie znać było ani gniewu, ani zakłopotania. Poprostu, wyraźnie, z całą uprzejmością odpowiedział na straszne pytanie.

— Tak, istotnie mam przykrość być powinowatym tego człowieka. Jestem mężem jego siostry, z domu Lebiadkinej, już od pięciu lat. Zapewniam panią, że nie zwlekając, zakomunikuję mu to żądanie i odpowiadam za niego, że więcej nie będzie niepokoił pani.

Nie zapomnę nigdy przerażenia, jakie odmalowało się na twarzy Barbary Piotrowny. Z nieprzytomnym wyrazem zerwała się, wyciągnąwszy prawą rękę, jakgdyby dla obrony. Stawrogin spojrzał na nią, potem na Lizę, na wszystkich obecnych, i uśmiechnął się wyniośle. Wolnym krokiem wyszedł z pokoju. Wszyscy widzieli, jak Liza zerwała się z kanapy w chwili, gdy wychodził Stawrogin, i zrobiła taki ruch, jakgdyby chciała biec za nim. Opamiętała się jednak. Nie wybiegła, lecz wyszła z pokoju, nie odezwawszy się do nikogo i na nikogo nie patrząc. Wybiegł oczywiście za nią Maurycy Mikołajewicz.

Czyż mam powtarzać te plotki i opowieści, które krążyły po mieście tego wieczora? Barbara Piotrowna zamknęła się w swoim domu miejskim, a młody Stawrogin, jak mówiono, pojechał do Skworeszników, nie pożegnawszy się z matką. Stepan Trofimowicz wysyłał mnie wieczorem do „*cette chère amie*", abym wybłagał dla niego pozwolenie na wizytę. Nie zostałem jednak przyjęty. Mój przyjaciel był zgnębiony. Płakał. „Takie małżeństwo! Taka żona! Taki skandal w rodzinie!" Powtarzał to bez przerwy. Nie zapomniał jednak o Karmazinowie i wciąż mu urągał. Czynił jednocześnie energiczne przygotowania do jutrzejszego popisu. Jako dusza artystyczna, pozował przed lustrem i przypominał sobie wszystkie dowcipy i wszystkie kalambury, które mu kiedykolwiek w życiu się udały, aby wplątać je do jutrzejszego przemówienia Miał je zapisane w osobnym zeszycie

— Przyjacielu mój! Czynię to w imię szczytnej idei! — zwracał się do mnie, jakgdyby usprawiedliwiając się. — *Cher ami!* Ruszyłem z miejsca, na którem trwałem dwadzieścia pięć lat, i puszczam się w podróż. Nie wiem dokąd, lecz jadę...

Koniec części drugiej.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

ZABAWA.

I.

Zabawa odbyła się, pomimo wydarzeń minionego „szpigulinowskiego“ dnia. Mam wrażenie, że nawet śmierć gubernatora nie zdołałaby odroczyć uroczystości, gdyż pani gubernatorowa przywiązywała do niej zbyt wiele wagi. Niestety! W tym czasie pani Lembkowa była jakgdyby zaślepiona i nie rozumiała nastrojów społeczeństwa. Pod koniec już nikt nie wierzył, aby ten uroczysty dzień mógł się obejść bez kolosalnych komplikacyj i bez jakiegoś „rozwiązania“, jak to określał ten i ów, zawczasu zacierając dłonie. Jakkolwiek niejeden stroił się w maskę pochmurną a dyplomatyczną, to jednak przyznać należy, że naogół wszelki skandal i zamęt publiczny niepomiernie raduje serce Rosjanina. W nastroju ogólnym wyczuwało się wszakże coś więcej, niż pożądliwe oczekiwanie skandalu: panowało rozdrażnienie powszechne, jakieś gniewne niezadowolenie. Sądziłbyś, że znudziło się już wszystkim wszystko. Rozkrzewił się jakiś cynizm zbiorowy, cynizm wbrew woli, prawie pod przymusem. Jedynie panie nie miały wątpliwości, co robić, lecz tylko pod jednym względem: pod względem nienawiści do pani gubernatorowej. Tu już stykały się wszelkie prądy. Ta zaś, biedaczka, ani podejrzewała; do

ostatniej chwili przekonana była, że wszyscy „garną się“ do niej, że są jej „fanatycznie oddani“.

Mówiłem już o tem, że w mieście naszem pojawiły się jakieś podejrzane figury. Zawsze i wszędzie zjawiają się one w okresach zamętu i przewrotu. Nie mam na myśli tak zwanych „postępowców“, którzy wszędzie nadążają pierwsi (to główna ich troska), dążąc do celów niejednokrotnie bardzo głupich, lecz bądź co bądź mniej więcej określonych. Nie. Mam na względzie zwykłych łotrzyków. W każdym okresie przejściowym wypływa nawierzch kanalja, która istnieje przecież w każdem społeczeństwie. Wypływa nawierzch i już zupełnie bezcelowo, nawet bezmyślnie ujawnia i krzewi niepokój i zniecierpliwienie. I ta kanalja, może nieświadomie, trafiła pod komendę małej garstki „ludzi jutra“, którzy działają celowo, i kierują tamtymi, jak chcą, o ile zresztą sami nie są skończonymi idjotami, co także nieraz się zdarza. U nas, naprzykład, teraz, gdy wszystko już należy do przeszłości, mówią, że Wierchowieńskim (młodym) rządziła Międzynarodówka, Wierchowieński gubernatorową, a gubernatorowa podporządkowała sobie całą klikę. Najpoważniejsze umysły zastanawiają się teraz: jak się mogło stać coś podobnego. Na czem polegał nasz okres zamętu i jak zdarzenia następowały jedno po drugiem, — nie wiem. I nie wie zresztą nikt. Prawdopodobnie tylko ktoś obcy mógłby te rzeczy zbadać. Bądź co bądź najgorsze indywidua opanowały resztę, zaczęły głośno krytykować najświętsze rzeczy, chociaż dawniej nie odważały się nawet ust otworzyć. Najlepsi zaś ludzie, przedtem kierujący opinją, zamilkli, zaczęli przysłuchiwać się tamtym. Niektórzy z nich nie wstydzili się sami nawet przyłączyć się do drwin. Jakiś Lamszyn, Tielatnikow, ziemianin Tientietnikow, jakiś domorosły safanduła Radiszczew, jacyś żydkowie, uśmiechający się boleśnie, lecz hardo, jacyś weseli podróżni, poeci stołeczni o określonych tendencjach, poeci bez tendencyj i talentów, lecz zato w kubrakach i długich butach, majorowie i pułkownicy, szydzący z bezsensowności swego zawodu, i gotowi w każdej chwili, za jeden rubel więcej, cisnąć szpadę i przyjąć stanowisko kancelistów kolejowych;

generałowie, którzy przeszli do adwokatury; sprytni maklerzy, niedokształcone synki kupieckie, liczni seminarzyści, niewiasty będące żywem wcieleniem kwestji kobiecej,—wszystko to znienacka zagarnęło innych. I kogóż? Klub, szanownych dygnitarzy, generałów z drewnianemi nogami, najdostojniejsze i najbardziej niedostępne matrony. Jeżeli nawet Barbara Piotrowna, aż do katastrofy z synem, była niemal służącą całej tej kanalji, — to czyż można mieć za złe naszym Minerwom ich chwilowe ogłupienie? Obecnie zwala się wszystko na Międzynarodówkę. Ta idea tak się utrwaliła, iż narzucana jest stale nawet gościom z innych stron. Niedawno jeszcze, radca Kubrikow, starzec sześćdziesięcioparoletni, z orderem św. Stanisława na szyi, nie indagowany przez nikogo, oznajmił najpoważniej, iż wciągu trzech miesięcy pozostawał pod wpływem Międzynarodówki. Gdy z całym szacunkiem, należnym jego wiekowi i zasługom, poproszono go o ściślejsze wyjaśnienia, to starzec, aczkolwiek nie złożył żadnych dowodów rzeczowych i poprzestawał na twierdzeniu, że „czuł całą swoją istotą"; — jednakże mocno obstawał przy pierwotnem oświadczeniu. Zaprzestano dalszych indagacyj.

Powtarzam raz jeszcze. Pozostawała wprawdzie nieliczna garstka ludzi ostrożnych, którzy zachowali od początku rezerwę i zamknęli się na trzy spusty. Czyż jednak prawa przyrodzone nie są mocniejsze od zamków? W najostrożniejszych rodzinach wychowują się dziewice, które muszą od czasu do czasu potańczyć. Skończyło się więc na tem, że i ci najostrożniejsi nabyli karty wstępu na zabawę. Bal zapowiadał się świetnie, niezwykle. Opowiadano cuda, krążyły pogłoski o przyjeździe książąt z lornetkami, o dziesięciu gospodarzach balu, młodzieńcach ze wstęgami na lewem ramieniu; o jakichś aparatach stołecznych; o tem, że Karmazinow, w celu wzbogacenia kasy, zgodził się odczytać swoje „*Merci*" w stroju nauczycielki z naszej gubernji; o tem, że ma się odbyć „kadryl literatury" w kostjumach, a każdy kostjum ma reprezentować określony prąd literacki. A wreszcie zatańczy w stroju kostjumowym „uczciwa myśl rosyjska"; — już to jedno stanowiło zupełną nowość. Jak więc można było nie nabyć biletu? Kupowali wszyscy.

II.

Podług programu zabawa składać się miała z dwóch części: poranek literacki od południa do czwartej i bal od dziesiątej wieczorem do rana. Już w samym rozkładzie tkwiły zalążki nieporządków. Przedewszystkiem od początku wśród publiczności utrwaliły się pogłoski o śniadaniu, które miało się odbyć zaraz po poranku literackim, albo w czasie jego trwania, w czasie przerwy. Miało to być oczywiście śniadanie bezpłatne, wchodzące do programu, z szampanem. Wysoka cena biletów (trzy ruble) przyczyniła się do rozpowszechnienia tych pogłosek. „Czyżbyśmy w przeciwnym razie brali bilety? Zabawa trwa cały dzień, musicie więc karmić. Ludzie wygłodzą się". Tak rozumowano. Muszę stwierdzić, że sama pani gubernatorowa lekkomyślnie przyczyniła się także do utrwalenia wieści o śniadaniu. Przed miesiącem, pod pierwszym urokiem wielkich zamierzeń, Julja Michajłowna opowiadała o swojej zabawie każdemu znajomemu i mówiła o toastach, które będą wzniesione. Posłała nawet wzmiankę o tem do jednego z pism stołecznych. Wabiły ją wówczas przedewszystkiem toasty; chciała sama je wznosić i wciąż pracowała nad ich tekstem. Toasty te miały ujmować i tłumaczyć hieroglificzny stygmat naszych czasów (jaki? — założyłbym się, że biedaczka nic nie wykoncypowała), przejść w postaci korespondencyj do gazet stołecznych, zachwycić i rozrzewnić wyższe sfery, stamtąd zaś rozbrzmieć po wszystkich gubernjach, wywołując podziw i naśladownictwo. Dla toastów jednak potrzebny jest szampan, ponieważ zaś trudno pić szampana naczczo, koniecznem się staje śniadanie. Potem, gdy za jej staraniem zorganizował się komitet i wejrzał w sprawę poważniej, udowodniono pani gubernatorowej, że nawet z najobfitszej zbiórki pozostanie bardzo mało dla nauczycielek, jeśli się będzie marzyć o bankietach. Pozostawały dwa wyjścia: uczta Baltazara i toasty oraz około dziewięciu, dziesięciu rubli dla nauczycielek, lub też zebranie poważnej sumy przy zabawie, traktowanej jedynie jako środek do celu. Zresztą komitet tylko straszył tą alternatywą, w istocie bowiem wynalazł trzecie wyjście, kompromisowe

i rozsądne: zabawę, przyzwoitą pod każdym względem, lecz bez szampana, w rezultacie zaś zbiórka dość obfita, znacznie przewyższająca dziewięćdziesiąt rubli. Lecz Julja Michajłowna nie chciała zgodzić się na to. Jej dusza nie znosiła mieszczańskiego złotego środka. Skoro jej pierwsza idea okazała się nieziszczalną, przerzuciła się natychmiast do drugiej krańcowości. Postanowiła doprowadzić do skutku kolosalną zbiórkę, ku zawiści wszystkich gubernij. „Niech wreszcie zrozumie publiczność", — tak się kończyła płomienna mowa gubernatorowej na posiedzeniu komitetu, — „że osiągnięcie celów humanitarnych jest znacznie wznioślejsze od chwilowych rozkoszy cielesnych, — że zabawa jest w istocie jedynie wcieleniem wysokiej idei, dlatego więc należy poprzestać na najoszczędniejszym niemieckim baliku, jedynie dla alegorji, o ile już zupełnie nie można się obejść bez tego obrzydliwego balu". Tak stał się dla niej ten bal nienawistnym. Uspokojono ją wreszcie. Wtedy to wymyślono i zainicjowano „kadryl literatury" i inne rzeczy estetyczne, aby zastąpić czemś owe „fizyczne rozkosze". Wtedy też Karmazinow zgodził się ostatecznie odczytać „*Merci*", (dotychczas bowiem tylko zwlekał i łudził), aby w ten sposób zabić w umysłach niepowściągliwej publiczności naszej nawet ideę jedzenia. Bal nabierał więc znowu cech wspaniałej zabawy, chociaż już w innym rodzaju. Aby nie bujać zbytnio w obłokach, uchwalono dać na początku balu herbatę z cytryną i suche ciastka, potem orszadę i lemoniadę, pod koniec zaś nawet lody, — lecz nic więcej. Dla tych zaś, którzy zawsze i wszędzie odczuwają głód, a zwłaszcza pragnienie, można urządzić w końcu amfilady pokojów — bufet, którym zajmie się Prochorycz, główny kucharz klubowy. Niech tam sprzedaje, co chce, lecz pod ścisłą kontrolą komitetu i za gotówkę. Przy wejściu na salę miano wywiesić ogłoszenie, że bufet nie należy do programu. Uchwalono też nie otwierać wcale bufetu w czasie poranku literackiego, aby nie przeszkadzać produkującym się na estradzie, aczkolwiek miejsce, przeznaczone dla bufetu oddzielone było pięciu pokojami od sali, w której Karmazinow miał czytać swoje „*Merci*". Rzecz ciekawa, że nawet najpraktyczniejsi członkowie komitetu przywiązywali zbyt wielką wa-

gę do tego „*Merci*". Cóż mówić o duszach bardziej poetycznych? Pani marszałkowa, naprzykład, oznajmiła autorowi, że po odczytaniu utworu rozkaże natychmiast wmurować w sali tablicę marmurową ze złotym napisem, brzmiącym, iż tu właśnie, w tem miejscu, w takim to dniu i roku, wielki pisarz rosyjski i wszecheuropejski, składając pióro, odczytał „*Merci*" i w ten sposób po raz pierwszy pożegnał się z publicznością rosyjską w osobach przedstawicieli naszego miasta. Napis ten ujrzą uczestnicy już na balu czyli w pięć godzin po odczytaniu „*Merci*". Wiem napewno, że to przedewszystkiem Karmazinow żądał, aby rano nie było bufetu pod żadnym pozorem. Obstawał przy tem, chociaż niektórzy członkowie komitetu dowodzili mu, że nie odpowiada to naszym obyczajom.

Tak stały sprawy, gdy w mieście wciąż jeszcze oczekiwano uczty Baltazara, czyli bezpłatnego bufetu. Oczekiwano do ostatniej chwili. Panny marzyły o mnogościach cukierków, konfitur i innych specjałów. Wiadomo było, że zbiórka jest bardzo obfita, że całe miasto wybiera się na zabawę, że jedzie prowincja i nie starczy biletów. Wiadomo było także, że oprócz normalnej ceny za bilety, wpłynęły do kasy znaczne ofiary. Oto, naprzykład, Barbara Piotrowna zapłaciła za bilet trzysta rubli i oddała na upiększenie sali wszystkie kwiaty ze swej oranżerji. Żona marszałka szlachty, należąc do komitetu, zaofiarowała swoje apartamenty i oświetlenie; klub — muzykę i usługę, a prócz tego na cały dzień ustąpił Prochorycza. Były i inne ofiary, chociaż nie tak wielkie, wobec czego powstała nawet myśl zniżenia ceny biletu z trzech rubli do dwóch. W komitecie obawiano się, że trzyrublowe bilety będą zbyt drogie dla panien, i projektowano, aby sprzedawać bilety familijne. Każda rodzina zapłaciłaby za jedną pannę, inne zaś, należące do tej samej rodziny, wchodziłyby bezpłatnie, chociażby ilość ich dochodziła do dziesiątka. Wszelkie jednak obawy okazały się płonne. Właśnie panny zjechały wszystkie, co do jednej. Nawet najubożsi urzędnicy przyprowadzili córy swoje, i było rzeczą oczywistą, że tylko przez wzgląd na nie nabywali bilety. Jakiś skromny kancelista przywiózł wszystkie siedem

cór swoich, nie licząc żony, i oprócz tego jeszcze siostrzenicę, a każda z tych pań trzymała w ręku przy wejściu trzyrublowy bilet. Łatwo wyobrazić sobie, jaka to rewolucja była w mieście. Wystarczy, że zabawa składała się z dwóch części, więc i strojów damskich wypadło po dwa na każdą: strój poranny i strój balowy. Wiele osób średniej zamożności, jak się wyjaśniło później, musiało zastawić w tym dniu wszystko, nawet bieliznę rodzinną, nawet prześcieradła i materace. Niesiono to wszystko do żydów, którzy na złość od paru lat licznie zjechali do naszego miasta, a ilość ich wciąż wzrastała. Prawie wszyscy urzędnicy pobrali zaliczki na pensję, ten i ów hreczkosiej wyprzedał się z bydła, byle tylko córy wyglądały jak markizy, niegorzej od innych. Jak na nasze warunki, stroje były istotnie wspaniałe. A w mieście od paru tygodni błądziły już anegdoty rodzinne, natychmiast kolportowane przez naszych urwisów na dwór pani gubernatorowej. Z rąk do rąk przechodziły karykatury z życia familijnego. Kilka rysunków w tym rodzaju widziałem w albumie Julji Michajłowny. Wiedziano o tem dobrze w domach, których dotyczyły karykatury; stąd prawdopodobnie pochodziła nienawiść wielu rodzin do gubernatorowej. Dziś — wszyscy już pomstują na nią i zgrzytają zębami na jej wspomnienie. Można było i wtedy twierdzić, że wystarczy komitetowi nie dogodzić w czemkolwiek publiczności, wystarczy, aby bal się nie udał, a wybuch oburzenia będzie wprost niesłychany. Dlatego też każdy w duszy oczekiwał skandalu. Skoro zaś oczekiwano skandalu, jakże mógł się nie zdarzyć?

Punkt o dwunastej w południe zagrzmiała orkiestra. Będąc zaliczonym do gospodarzy, to znaczy do liczby dwunastu „młodzieńców ze wstęgami", widziałem na własne oczy, jak się rozpoczął ten dzień haniebnej pamięci. Rozpoczęło się od niesłychanego tłoku przy wejściu. Jak się to stało, że stracili głowę wszyscy odrazu, zaczynając od policji? Prawdziwej publiczności nie oskarżam: ojcowie rodzin, niezależnie od rang, nietylko nie tłoczyli się i nie gnietli innych, lecz przeciwnie, z pewnem zawstydzeniem przyglądali się na ulicy niezwykłemu impetowi tłumu, który osaczał wejście i nie wchodził, lecz atakował. Tymczasem zaś pojazdy wciąż na-

pływały i wreszcie zatarasowały ulicę. Teraz, gdy piszę te słowa, mam dane, które upoważniają do twierdzenia, że sporo najgorszej gawiedzi wpuszczono bez biletów. Zrobili to Liputin i Lamszyn, a może i inni z liczby młodzieńców, piastujący narówni ze mną godność gospodarzy. Zjawiły się jakieś nieznane nikomu figury, które przybyły z powiatów i niewiadomo skąd. Osobistości te, wchodząc na salę, przedewszystkiem informowały się (jakgdyby na czyjś rozkaz), gdzie jest bufet, dowiedziawszy się zaś, że bufetu niema, zaczynały wymyślać niepolitycznie i z niewidzianem zuchwalstwem. Niektórzy z pośród tych osobników przyszli już pijani. Inni stawali w osłupieniu, jak dzicy ludzie, na widok przepychu sali, gdyż jeszcze nie widzieli w życiu czegoś podobnego. Milkli na chwilę i rozglądali się z otwartemi ustami. Ta biała sala, chociaż dość antyczna, była istotnie pełna przepychu, olbrzymia, dwupiętrowa ze starożytnemi złoconemi plafonami, z balustradą, lustrami, draperjami czerwonemi na białem tle, posągami, (a były to bądź co bądź posągi), z meblami staroświeckiemi, ciężkiemi z epoki Napoleona, w białem drzewie ze złoceniami i obiciem z czerwonego aksamitu. W końcu sali wznosiła się wysoka estrada dla artystów, cała zaś sala zastawiona była krzesłami, jak parter w teatrze, z szerokiemi przejściami dla publiczności.

Po pierwszych chwilach zdziwienia rozpoczynały się znowu najbezsensowniejsze zapytania i oświadczenia: „A my może i nie zechcemy słuchać literatów... Zapłaciliśmy pieniądze... Publiczność została bezecnie oszukana... Myśmy tu gospodarze, a nie Lembkowie". Zachowywali się tak, jakgdyby specjalnie w tym celu zostali nasłani. Utkwił mi w pamięci incydent, w którym odznaczył się przyjezdny książę, wczorajszy gość Julji Michajłowny, ten w wysokim kołnierzyku, wyglądający na lalkę drewnianą. On także, na usilną prośbę gubernatorowej, zgodził się przypiąć wstęgę do lewego ramienia i wejść do naszego grona gospodarzy. Przekonałem się, że ta niema figura woskowa umiała po swojemu, jeżeli nie mówić, to działać. Gdy przyczepił się do niego jakiś ospowaty olbrzymi kapitan w dymisji, poparty całą grupą towarzyszącej mu hołoty, z natarczywem pytaniem: „gdzie tu droga do bufetu?", książe dał znak przedstawicie-

lowi policji. Niemy rozkaz został natychmiast wykonany: pomimo gwałtownych protestów, pijanego kapitana wyprowadzono z sali.

W tym czasie zaczęła napływać prawdziwa publiczność i przesuwała się między krzesłami trzema strumieniami. Żywioły niespokojne nieco zamilkły, lecz publiczność, nawet ta najbardziej dystyngowana, miała wyraz niezadowolony i zdziwiony. Niektóre z pań były wprost wystraszone.

Rozlokowano się wreszcie. Zamilkła orkiestra. Zaczęto wycierać nosy i rozglądać się. Oczekiwanie było jakoś nadmiernie uroczyste. Samo przez się stanowiło zły znak. Lembków wciąż jeszcze nie było. Jedwabie, aksamity, brylanty lśniły i iskrzyły się wszędzie; wonie roznosiły się po sali. Mężczyźni przywdzieli wszystkie ordery, starsi byli w mundurach galowych. Ukazała się wreszcie pani marszałkowa, a wraz z nią Liza. Nigdy przedtem Liza nie była tak olśniewająco piękna, ani tak strojna. Włosy miała ufryzowane, oczy jej pałały, na twarzy jaśniał uśmiech. Wywarła na wszystkich silne wrażenie; oglądano ją, szeptano o niej. Mówiono, że szuka oczami Stawrogina. On jednak, tak samo jak Barbara Piotrowna, był nieobecny. Nie mogłem zrozumieć wtedy wyrazu jej twarzy: skąd tyle szczęścia, wesela, energji i mocy? Przypominałem sobie zdarzenie wczorajsze i przestawałem się orjentować. A Lembków wciąż nie było. Był to poważny błąd z ich strony. Potem już dowiedziałem się, że Julja Michajłowna do ostatniej chwili oczekiwała młodego Wierchowieńskiego, bez którego temi czasy nie mogła kroku zrobić, chociaż sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Dodam tu w nawiasie, że Piotr Stepanowicz na ostatniem, wczorajszem posiedzeniu komitetu, zrzekł się godności gospodarza i zmartwił tem ogromnie, aż do łez, panią Lembkową. Ku jej zdziwieniu, a nawet konsternacji, (uprzedzam o tem zawczasu), znikł na cały poranek i nie stawił się na część literacką zabawy. Nikt go nie widział aż do wieczora.

Publiczność zaczęła wreszcie zdradzać zniecierpliwienie. Nawet wśród najlepszych gości rozpowszchniły się bezsensowne szepty, że może cała uroczystość się nie odbędzie, że gubernator jest, zdaje się, istotnie chory i t. p.

Chwała Bogu jednak Lembkowie przybyli. On prowadził ją pod rękę; przyznam się, że sam obawiałem się, czy przyjdą. Na szczęście plotki nie sprawdzały się; prawda wyszła najaw. Publiczność uspokoiła się. Sam Lembke, najwidoczniej był zdrów zupełnie. Tak uznali wszyscy, a łatwo wyobrazić sobie, ile spojrzeń na nim zawisło. Zaznaczę tu jednak, że naogół wśród lepszego towarzystwa chyba bardzo nieliczni na serjo podejrzewali Lembkego o nienormalny stan zdrowia; traktowano jego czyny, jako zupełnie konsekwentne i przyjmowano z uznaniem nawet wczorajszą historję na placu. „Od tego trzeba było zacząć, — mówili dygnitarze. — A u nas tak: przyjeżdża w togach humanitaryzmu, a dochodzi do tego samego, nie zastanawiając się nawet, że tego wymaga właśnie filantropja". — Tak przynajmniej mówiono w klubie. Krytykowano go jedynie za to, że się sam podniecił i wzburzył. „Te rzeczy trzeba załatwiać z zimną krwią. Ale cóż — dla niego to rzecz nowa", — twierdzili staruszkowie.

Równie łapczywe spojrzenia spoczęły na Julji Michajłownie. Nikt nie ma prawa żądać ode mnie, jako kronikarza, zbyt wielu szczegółów, dotyczących pewnego momentu: mamy tu do czynienia z tajemnicą, mamy do czynienia z kobietą. Wiem tylko jedno: wczoraj wieczorem gubernatorowa weszła do gabinetu małżonka i wyszła stamtąd dopiero po północy. Lembke uzyskał przebaczenie i pociechę. Małżonkowie doszli do porozumienia pod każdym względem, wszystko zostało zapomniane i gdy pod koniec wyjaśnień von Lembke jednakże ukląkł, wspominając z przerażeniem główny, końcowy epizod pozaprzeszłej nocy, wtedy subtelna dłoń, a potem wargi małżonki przerwały gorące wylewy pokutnych uczuć rycerskiego, lecz osłabionego przez rozrzewnienie małżonka.

Z twarzy gubernatorowej tryskało szczęście, widoczne dla wszystkich. Szła z otwartem czołem, w majestatycznym stroju. Zdawało się, że jest u szczytu swoich marzeń. Zabawa, cel i uwieńczenie jej polityki, doszła do skutku. Sunąc do miejsc, dla nich przeznaczonych, Lembkowie kłaniali się na prawo i na lewo i odpowiadali na ukłony. Otoczono ich odrazu. Pani marszałkowa ruszyła z miejsca na ich

spotkanie. Lecz w tej chwili nastąpiło drobne nieporozumienie. Orkiestra bez żadnej wiadomej przyczyny zagrała tusz. Żaden marsz, lecz zwykły tusz bankietowy, taki, jaki się rozlega u nas w klubie, gdy na obiedzie oficjalnym wznoszą czyjekolwiek zdrowie. Wiem, obecnie, że postarał się o to Lamszyn, korzystając z roli gospodarza. Niby to ku uczczeniu wchodzących Lembków. Oczywiście, mógł potem zawsze usprawiedliwić się, że zdziałał to przez nieświadomość, lub przez nadmierną żarliwość... Niestety, nie wiedziałem jeszcze wtedy, że już tym panom nie zależało na usprawiedliwianiu się, gdyż z dniem dzisiejszym cały ich bałagan miał zostać zlikwidowany. Nie skończyło się na tuszu. Jednocześnie z gniewnem zdziwieniem i sarkastycznemi śmiechami publiczności, w końcu sali i na chórach rozległo się „hurra!", także niby to ku uczczeniu Lembków. Nieliczne były to głosy, lecz okrzyki trwały przez pewien czas. Julja Michajłowna oblała się rumieńcem. Oczy jej błysnęły. Lembke stanął przed swoim fotelem, zwrócił się ku hałasującym i surowem, majestatycznem spojrzeniem ogarnął salę. Ze strachem dojrzałem na twarzy jego ten uśmiech niebezpieczny, z którym stał on wczoraj w salonie małżonki i wpatrywał się w Stepana Trofimowicza, zanim podszedł do niego. Wydało mi się, że i teraz po twarzy jego prześlizgnął się wyraz ponury, i co najgorsza, komiczny, — spojrzenie istoty, która sama z siebie składa ofiarę, byle dogodzić wysokim zamierzeniom małżonki... Julja Michajłowna gwałtownie skinęła na mnie i szepnęła, abym pobiegł do Karmazinowa i ubłagał go, niech przyjdzie i rozpocznie natychmiast. Ledwo zdążyłem się odwrócić, gdy nastąpił nowy zgrzyt, stokroć przykrzejszy od pierwszego. Na estradzie, na pustej estradzie, na którą skierowane były wszystkie spojrzenia i wszystkie oczekiwania, a na której widać było tylko niewielki stół, a za nim krzesło, na stole zaś szklankę wody na srebrnej tacy, — otóż na pustej estradzie ukazała się olbrzymia postać kapitana Lebiadkina we fraku i białym krawacie. Byłem tak zdumiony, że nie wierzyłem oczom własnym. Kapitan, jak się zdaje, zawstydził się i zatrzymał wgłębi estrady. Wśród publiczności rozległ się okrzyk: „Lebiadkin! To ty?" Głupia, czerwona twarz kapitana,

(a był zupełnie nietrzeźwy), na ten okrzyk wykrzywiła się w szeroki, tępy uśmiech. Podniósł dłoń, potarł czoło, wstrząsnął czupryną, zrobił dwa kroki naprzód, niby zdecydowany na wszystko, i wreszcie pasknął śmiechem, niezbyt głośnym, lecz zato tak rozlewnym, długim, szczęśliwym, że cała jego obwisła postać zakołysała się i najeżyły się oczęta. Na ten widok nieomal połowa publiczności roześmiała się; ze dwudziestu widzów klaskało. Poważna publiczność rozglądała się. Wszystko to razem nie trwało dłużej, niż pół minuty. Na estradę wbiegł Liputin we wstędze i z dwoma lokajami. Ostrożnie ujęli pod ręce kapitana, a Liputin coś mu szepnął na ucho. Kapitan zasępił się, wybełkotał: „jak tak, to zgoda", machnął ręką, odwrócił do publiczności swe olbrzymie plecy i znikł wraz z konwojem. Po chwili Liputin znów wybiegł na estradę. Miał na twarzy najsłodszy ze swych uśmiechów, przypominających zwykle ocet z cukrem, i trzymał w ręku arkusik papieru listowego. Drobnym kroczkiem przebiegł do brzegu estrady.

— Panowie, — zwrócił się do publiczności, — przez niedopatrzenie stało się drobne nieporozumienie, które już jest zlikwidowane. Pełen jednak otuchy podjąłem się pewnej misji, ulegając w tem głębokiej, pełnej szacunku prośbie jednego z miejscowych naszych wierszopisów. Przejęty nawskroś celem szczytnym a humanitarnym... pomimo wyglądu swego... tym celem, który nas wszystkich tu zgromadził... aby otrzeć łzy biednych a ukształconych obywatelek naszej gubernji... ten pan... chciałem rzec, ten poeta... pragnąc zachować *incognito*... błaga, aby utwór jego został odczytany tu na wstępie, przed balem... chciałem powiedzieć: przed porankiem literackim. Chociaż ten utwór nie wszedł do programu... nie mógł wejść... dostarczono go nam przed półgodziną, lecz sądziliśmy (jacy znów „my"? cytuję dosłownie to przemówienie rwane i bez związku), — sądziliśmy przez wzgląd na wyjątkową prostotę uczuć, połączoną z niesłychaną wesołością... nie jako coś poważnego, lecz jako coś, odpowiadającego naszej uroczystości... słowem, pod względem idei... tem bardziej, że to tylko parę wierszy... chciałem więc prosić łaskawą publiczność o pozwolenie odczytania...

— Czytać! — wrzasnął ktoś z końca sali.

— Więc mam czytać?

— Czytać, czytać! — rozległy się liczne głosy.

— A więc przeczytam, na żądanie publiczności, — wykrzywił się Liputin z tym samym wciąż cukrowym uśmieszkiem.

Lecz wciąż udawał, że się waha. Miało się nawet wrażenie, że jest zemocjowany. Tacy ludzie, pomimo całego zuchwalstwa, czasem jednak utykają. A zresztą — seminarzysta nie utknąłby. Liputin, pomimo wszystko, należał do dawnego środowiska.

— Uprzedzam... czyli mam zaszczyt uprzedzić... że nie jest to bądź co bądź oda... jak się dawniej pisało na uroczyste dni... jest to nieomal, że tak powiem, fraszka, lecz niepozbawiona niewątpliwego uczucia, połączonego z wesołością figlarną... i realistycznie prawdziwa...

— Czytać, czytać!

Liputin rozwinął arkusik. Nikt już , oczywiście, nie mógł go powstrzymać. Miał zresztą na ramieniu wstęgę gospodarza. Dźwięcznym głosem zaczął recytować:

— „Nauczycielce ojczystej z okolic naszych od poety z zabawy.

Witaj, witaj guwernantko!
Wesel się! O szczęściu rój!
Czyś wsteczniczką, czyś George Sandką
Wszystko jedno! Dziś dzień twój!"

— Ależ to Lebiadkin! On sam! — odezwały się głosy.

Rozległ się śmiech, a nawet rzadkie oklaski.

— „Sennym wbijasz w łby dzieciakom
Po francusku ABC,
Mizdrząc się, — chociażby djakom,
Może który — żony chce".

— Hurra! Hurra!

— „Nic nie będzie z tej roboty,
Gołej — nie chce nawet djak.
Tu, panienko, trzeba „floty".
Bez niej — nic! Już teraz tak!"

— Tak, tak! To właśnie realizm! Bez floty ani na krok!

— „Ale dziś, gdy w dzień godowy
Wyprawiliśmy ten bal,
I fundusik posagowy
Ślemy ci z tanecznych sal, —
Czyś wsteczniczką, czyś George Sandką,
Wszystko jedno! — Dziś — dzień twój!
Tyś — posażną guwernantką!
Raduj się! Na wszystkich pluj!"

Przyznam się, że nie wierzyłem uszom własnym. To wszystko było takie bezczelne, że trudnoby było usprawiedliwić Liputina nawet głupotą. A Liputin głupi nie był. Zamiar był wyraźny, dla mnie przynajmniej: starano się możliwie najprędzej wrowadzić zamęt. Niektóre wiersze tego idjotycznego utworu, chociażby ostatni, były w takim stylu, że żadna głupota nie przeoczyłaby ich nonsensowności. Liputin, jak się zdaje, sam czuł, że zbyt trudnej rzeczy się podjął, odważając się na taki czyn. Zuchwalstwo własne tak go zdetonowało, że nie opuszczał nawet estrady, jakgdyby zamierzał coś dodać. Przypuszczał prawdopodobnie, że cała scena rozegra się inaczej; lecz nawet garstka urwisów, która oklaskiwała przedtem, zamilkła, jakby zawstydzona. Głupio było, że niektórzy z pośród oklaskujących przyjęli wybryk patetycznie, traktując utwór jako realną prawdę o nauczycielkach, ujętą z pewną tendencją, nie zaś jako paszkwil. Lecz nadmierna bezceremonjalność wierszy zdziwiła ich. Reszta sali była nietylko zszokowana, lecz nawet obrażona. Nie popełniam omyłki, tak określając ogólne wrażenie. Julja Michajłowna mówiła potem, że jeszcze chwila, a zemdlałaby. Jeden z najbardziej szanownych starców dźwignął z krzesła staruszkę swoją i oboje wyszli z sali, żegnani trwożnemi spojrzeniami publiczności. Kto wie? Może ten przykład pociągnąłby innych, gdyby w tej chwili nie ukazał się na estradzie sam Karmazinow, we fraku i białym krawacie, z zeszytem w ręku. Julja Michajłowna zachwyconem spojrzeniem witała go, jak wybawcę... Byłem w tej chwili za kulisami; musiałem zobaczyć się z Liputinem.

— Urządziłeś to pan z rozmysłem — krzyknąłem, chwytając go w oburzeniu za ramię.

Liputin najeżył się, zaczął się wyłgiwać i udawać nieszczęśliwego.

— Na miły Bóg! Anim się spodziewał! Wiersze przyniesione zostały przed chwilą. Sądziłem, że jako żarcik niewinny...

— Nic podobnego pan nie myślał. Czyż istotnie uważa pan tę bezczelną bazgraninę za niewinny żart?

— Tak, uważam.

— Kłamiesz pan poprostu. Wcale nie przed chwilą przyniesiono to panu. Pan sam, razem z Lebiadkinem, skomponowałeś to. Może wczoraj jeszcze. Dla skandalu. Ostatni wiersz napewno pańskiego pomysłu. O djaku także. Dlaczego on zjawił się we fraku? To znaczy, żeś pan przygotował go do występu, tylko że przyszedł zbyt pijany.

Liputin spojrzał na mnie zimno i zjadliwie.

— A panu co do tego? — zapytał znienacka z dziwnym spokojem.

— Jakto? Jesteśmy obaj gospodarzami... Gdzie jest Piotr Stepanowicz?

— Nie wiem. Gdzieś tu. A o co panu chodzi?

— Chodzi o to, że przejrzałem was nawskroś. Jest to poprostu spisek przeciwko Julji Michajłownie, aby z jej zabawy uczynić skandal.

Liputin spojrzał na mnie zpode łba.

— A co to panu szkodzi?

Uśmiechnął się, wzruszył ramionami i odszedł ode mnie.

Osłupiałem. Wszystkie podejrzenia moje sprawdzały się. A wciąż myślałem, że się mylę. Co mogłem uczynić? Chciałem się naradzić ze Stepanem Trofimowiczem, ten jednak stał przed lustrem, dopasowywał rozmaite uśmiechy i wciąż zaglądał do arkusika, na którym były różne notatki. Figurował na afiszu zaraz po Karmazinowie, i nie był już w stanie rozmawiać ze mną. Czy miałem biec do Julji Mi-

chajłowny. Byłoby to przedwczesne. Jej przydałaby się nauka jeszcze brutalniejsza, któraby ją uleczyła z przekonania, o tem, że wszyscy są jej fanatycznie oddani. Nie uwierzyłaby mi i uznałaby, że boję się majaków. A zresztą, cóż mogła ona pomóc? „Ech, — pomyślałem, — cóż mi istotnie do tego? Gdy się zacznie, zdejmę wstęgę i pójdę do domu". Pamiętam dobrze, że sobie powiedziałem: „gdy się zacznie",

Trzeba było iść, posłuchać Karmazinowa. Rzucając po raz ostatni okiem za kulisy, zauważyłem, że snuło się tam sporo obcej publiczności, a nawet kobiet. Wchodziło to i wychodziło. „Za kulisami", — była to przestrzeń dość wąska, odgrodzona od publiczności głuchą kotarą i połączona ztyłu przez korytarz z innemi pokojami. Uczestnicy poranku literackiego oczekiwali tu kolei. Szczególnie uderzył mnie w tej chwili autor, który miał wystąpić po Stepanie Trofimowiczu. Był on czemś w rodzaju profesora (do dziś dnia nie wiem dokładnie, kto to był). Podobno usunął się dobrowolnie z pewnego zakładu naukowego po jakiejś awanturze studenckiej i zjechał do naszego miasta zaledwie przed paru dniami. Został przedstawiony Julji Michajłownie, która przyjęła go z całą atencją. Wiem obecnie, że przed porankiem literackim był u Julji Michajłowny raz tylko, cały wieczór milczał, dwuznacznie uśmiechał się, słysząc żarciki i cały ton towarzystwa, otaczającego gubernatorową, i pozostawił po sobie niemiłe wrażenie, z powodu wyglądu zbyt wyniosłego i jednocześnie obraźliwego aż do tchórzliwości. Sama Julja Michajłowna zwerbowała go na poranek literacki. Teraz oto błądził z kąta w kąt i coś szeptał, tak samo jak Stepan Trofimowicz. Patrzył jednak nie w lustro, lecz w podłogę. Nie wymierzał uśmiechów, chociaż uśmiechał się często i soczyście. Było wyraźne, że i z nim teraz nie możnaby się dogadać. Był małego wzrostu, w wieku pod czterdziestkę, łysy z bródką szpakowatą, ubrany przyzwoicie. Najciekawsze było, że na każdym zakręcie podnosił do góry prawą pięść, wywijał nią nad głową i gwałtownie spuszczał nadół, jakgdyby miażdżył jakiegoś przeciwnika. Tę samą operację powtarzał co chwila. Poczułem się nieswojo. Pobiegłem słuchać Karmazinowa.

III.

W sali było znów coś nie w porządku. Oświadczam zgóry: skłaniam czoło przed wielkością genjusza; lecz pocóż ci panowie, nasi genjusze, pod koniec pełnych chwały lat zachowują się nieraz jak małe dzieci? Cóż z tego, że nazywa się Karmazinow i że wyszedł na estradę z taką pompą, jakby to było pięciu kamerherów? Czyż może przetrzymywać taką publiczność, jak nasza, całą godzinę dla jednego utworu? Wogóle zauważyłem, że największy genjusz nie może bezkarnie przykuwać uwagi publiczności na lekkiej zabawie literackiej dłużej niż dwadzieścia minut. Wyjście genjusza powitane było w sposób należycie uroczysty. Najwięcej wymagający staruszkowie zdradzali zaciekawienie i uznanie, a panie — wprost zachwyt. Oklaski były wprawdzie dość krótkie i jakieś rozbite, niezgrane. Lecz zato w ostatnich rzędach — ani jednego wybryku, aż do chwili, kiedy Karmazinow zaczął mówić, — lecz i tu nie zaszło nic specjalnie złego. Tylko drobne nieporozumienie. Miałem już sposobność powiedzieć, że Karmazinow miał głos zanadto krzykliwy, prawie kobiecy, zabarwiony wytwornem arystokratycznem podszeplenianiem. Ledwo zdążył wygłosić parę słów, gdy ktoś poważył się roześmiać głośno, prawdopodobnie jakiś niedoświadczony głuptas, który nie widział nigdy nic wytwornego, a był śmieszkiem z natury. Lecz demonstracji nie było żadnej. Przeciwnie, rozległy się sykania w kieruku głuptasa, który zamilkł natychmiast.

I oto pan Karmazinow, przesadnie i sztucznie, oznajmił, że „z początku za nic nie chciał występować" (potrzebne było to oświadczenie!) „Bywają wiersze, które do tego stopnia wyśpiewane są z serca, że trudno je wygłosić, i trudno taką świętość nieść do publiczności" (więc pocóż przynosiłeś?), „ponieważ jednak uproszono go, więc niesie je, a ponieważ poza tem składa pióro na zawsze i już nigdy nie będzie pisał, więc zdecydował się napisać to ostatnie dzieło; a ponieważ poprzysiągł, że już nigdy, za żadne skarby, nie stanie przed publicznością, przeto zdecydował się odczytać publiczności to ostatnie dzieło"... i t. d., w tym samym rodzaju.

To jeszcze byłoby nic, któż bowiem nie zna przedmów autorskich? Zapewne, że wobec niedostatecznego wykształcenia naszej publiczności i pewnego podrażnienia w ostatnich rzędach, i to mogło mieć swój wpływ. Czyż nie lepiej było przeczytać małą nowelkę, jakieś drobne opowiadanie w tym stylu, w jakim dawniej pisywał, — trochę sztuczne, wymuskane, lecz nie pozbawione często finezji? W ten sposób wszystko dałoby się naprawić. Ale gdzie tam! Rozpoczęła się gadanina! Mój Boże, czego tam nie było? Twierdzę stanowczo, że nawet stołeczna publiczność ogłupiałaby, cóż dopiero nasza. Wyobraźcie sobie prawie dwa drukowane arkusze bezsensownej a kokieteryjnej paplaniny. Nadomiar odczytane to było tonem pogardliwie zasmuconym, w sposób dla słuchaczów obraźliwy. Temat... Lecz któż zdołałby połapać się w temacie? Była to jakaś relacja z jakichś wrażeń, z jakichś wspomnień. Lecz o czem? O czem? Nasze głowy gubernjalne wysilały się przez całą pierwszą połowę czytania, lecz nie mogły ogarnąć treści, tak, że druga połowa wysłuchiwana już była tylko przez uprzejmość. Prawda, było tam dużo o miłości, o miłości genjusza do jakiejś osoby, lecz wyznam, że wypadło to bardzo niezręcznie. Do małej, grubej figurki genjalnego pisarza nie pasowały, zdaniem mojem, opowieści o pierwszym pocałunku. Drażniło też, że te pocałunki odbywały się jakoś inaczej, niż u wszystkich ludzi. Tu koniecznie rośnie drok (koniecznie drok lub jakaś inna trawa której nazwy trzeba szukać w botanice). Na niebie musi być koniecznie odcień fioletowy, i to taki, jaki nie został dotychczas dostrzeżony przez żadnego ze śmiertelnych, — raczej był widziany, lecz nie zauważony, „a ja, widzicie, podpatrzyłem i opisuję wam, głupcom, jak rzecz najzwyklejszą". Drzewo, pod którem usiadła zakochana para, musi mieć koniecznie kolor pomarańczowy. Siedzą gdzieś w Niemczech. Raptem widzą Pompejusza, czy Kasjusza w przededniu bitwy i dusze ich przeszywa chłód zachwytu. Jakaś rusałka gwiżdże w krzakach. Gluck gra w trzcinie na skrzypcach. Dzieło, które gra, nazwane jest „*en toutes lettres*", lecz nikomu nie jest znane, tak że trzeba je odszukiwać w katalogach muzycznych. Tymczasem kłębi się mgła, a tak się kłębi, że

przypomina raczej tysiące poduszek, niż mgłę. I raptem niknie wszystko, a wielki genjusz przeprawia się zimą, w czasie odwilży, przez Wołgę. Przeprawia się wciągu paru stron druku, lecz wreszcie trafia pod lód. Genjusz tonie. Myślicie, że utonął? Ani mu to do głowy nie przyszło. Wszystko jest sfabrykowane w tym celu, aby w ostatniej chwili, gdy genjusz już tonął i dławił się, mignęła nad nim kra, malutka kra, jak ziarnko grochu, lecz czysta i przezrocza, „jak zamarzła łza", a w tej krze odbiły się całe Niemcy, raczej niebo niemieckie, i grą wielobarwną roztęczyło się wspomnienie tej łzy, która „pamiętasz Ty, spływała z oczu Twoich, gdyśmy siedzieli pod szmaragdowem drzewem, a Tyś krzyknęła radośnie: niema zbrodni! — Tak, — odparłem przez łzy, — lecz jeśli tak, to niema i cnoty. Zapłakaliśmy i rozstaliśmy się na zawsze". Ona wyruszyła na brzeg morza, on — do jakichś pieczar. Oto schodzi, coraz niżej, coraz niżej, przez trzy lata schodzi wdół w Moskwie, pod Sucharewą wieżą, i raptem, wgłębi ziemi, w nizinach jaskiniowych znajduje lampę oliwną, a obok niej pustelnika. Modli się pustelnik. Genjusz wtula twarz w małe zakratowane okienko i słyszy westchnienie. Czy myślicie, że to wzdycha pustelnik? Co genjuszowi do pustelnika! Nie, poprostu, to westchnienie przypomniało mu pierwsze jej westchnienie, z przed trzydziestu siedmiu lat. Kiedy, czy pamiętasz? siedzieliśmy pod drzewem agatowem, a Tyś odezwała się do mnie: Poco kochać? Patrz, wokół trawy ochrowe, lecz przestaną rosnąć, a ja — przestanę kochać. Tu znów zakłębiła się mgła, zjawił się Hoffmann, z ust rusałki zabrzmiały szopenowskie melodje i raptem, z pośród mgły, w wieńcu laurowym, nad dachami Rzymu, zjawił się Ankus Marcjusz. „Dreszcz zachwytu przeszył plecy nasze, i otośmy się rozstali na wieki" i t. p., i t. p. Bardzo być może, że źle to powtarzam i nie umiem odtworzyć, lecz sens paplaniny był właśnie taki. A wreszcie, co za namiętność do kalamburów wyższego gatunku u naszych wybitnych głów! Wielki filozof europejski, wielki uczony, wynalazca, pracownik, męczennik, — ci wszyscy strudzeni i umęczeni, u pierwszego lepszego genjusza rosyjskiego, grają rolę kucharzy w jego kuchni. On jest panem, oni zaś

stają przed nim w białych czapkach, i oczekują rozkazów. To prawda, że i z Rosji umie on żartować, i nie zna większej słodyczy, jak ogłoszenie bankructwa Rosji pod każdym względem w obliczu wielkich mózgów Europy, — ale co do niego osobiście, to zdołał on wywyższyć się ponad te mózgi: stanowią one co najwyżej materjał dla jego dowcipów. Jest zbrodnia, niema zbrodniarzy; niema cnoty i niema ludzi cnotliwych; ateizm, darwinizm, dzwony moskiewskie; Rzym, laury... Lecz nie wierzy on nawet w laury... Tu następuje oficjalny atak Byronowskiego smutku, grymas Heinego, coś z Lermontowskiego Pieczorына, i oto ruszyła, ruszyła, rozgwizdała się maszyna... „Poza tem chwalcie, chwalcie... Strasznie to lubię, przecież to tylko poza, że składam pióro; poczekajcie, jeszcze trzysta razy będę wam dokuczał, zmęczycie się, czytając"...

Oczywiście, to wszystko źle się skończyło. Najsmutniej, że właśnie zaczęło się od występu Karmazinowa. Już oddawna rozlegało się suwanie krzeseł, wycieranie nosów, kaszel, słowem, to wszystko, co się zdarza, gdy autor, wszystko jedno jaki, zatrzymuje publiczność na występie literackim dłużej niż dwadzieścia minut. Lecz genjalny pisarz nic nie słyszał. Wciąż szeplenił i rozwlekał, nie zwracając uwagi na publiczność, ku powszechnemu zdumieniu. Wreszcie z ostatnich rzędów rozległ się okrzyk, samotny, lecz donośny:

— Mój Boże, co za bzdury!

Wyrwało się to mimowoli i, jestem przekonany, bez widomej chęci zrobienia demonstracji. Poprostu zmęczył się jakiś człowieczyna. Lecz Karmazinow zatrzymał się, ironicznie rozejrzał się wokół, i raptem wyszeplenił z miną urażonego kamerhera:

— Mam wrażenie panowie, żem was dostatecznie wynudził?

Na tem polegał jego błąd, że odezwał się pierwszy; prowokując bowiem odpowiedź, uprawniał każdą kanalję do repliki, zupełnie nawet zrozumiałej. Gdyby milczał, pochrząkanoby trochę, i jakoś na temby się skończyło... Być może, spodziewał się oklasków w odpowiedzi na swoje py-

tanie, lecz nikt nie klasnął, przeciwnie, przestraszyli się wszyscy, najeżyli się i zamilkli.

Wtem rozległ się jakiś głos podrażniony, prawie obolały:

— Nigdyś pan nie widział Ankusa Marcjusza, to tylko dla stylu!

— Otóż to! — wtórzył mu ktoś inny. — Teraz niema już duchów, są tylko nauki przyrodnicze. Niech pan zajrzy do wiedzy przyrodniczej.

Karmazinow zdziwił się niesłychanie. Odzwyczaił się w Karlsruhe od ojczyzny.

— Panowie, najmniej oczekiwałem tego rodzaju zarzutów.

Znienacka zaterkotała jakaś dziewoja.

— W naszym wieku wstyd głosić, że świat spoczywa na trzech wielorybach. Pan, panie Karmazinow, nie mogłeś schodzić do jaskini do pustelnika. Kto dziś mówi o pustelnikach?

— Panowie, najwięcej mnie dziwi, że szanowna publiczność traktuje te rzeczy na serjo. A zresztą... zresztą... przyznaję słuszność... Nikt nie ceni prawdy realnej tak wysoce, jak ja...

Chociaż uśmiechał się ironicznie, był zdetonowany. Na twarzy jego malowało się wezwanie: „Nie jestem taki, jak sądzicie. Jestem duszą po waszej stronie. Byleście mnie chwalili. Chwalcie mnie jak najwięcej, strasznie to lubię..."

— Panowie, — odezwał się wreszcie, już zupełnie urażony. — Widzę, że biedny poemacik mój chybił celu. Sam zresztą, jak mi się zdaje, trafiłem nie podług właściwego adresu.

— Celował we wronę, a trafił w krowę, — krzyknął na cały głos jakiś idjota, prawdopodobnie pijany, na którego nie należało przeto zwracać uwagi. Natychmiast jednak rozległ się śmiech, najzupełniej pozbawiony szacunku.

— W krowę, mówisz pan? — replikował natychmiast Karmazinow. Głos jego rozbrzmiewał coraz krzykliwiej. — O wronach i krowach wolę zamilczeć. Zbyt sza-

nuję każdą publiczność, abym pozwolił sobie na porównania, nawet najniewinniejsze. Myślałem jednak...

Ktoś z ostatnich rzędów przerwał mu:

— Niechno szanowny pan niezanadto sobie pozwala!

— Sądziłem, że składając pióro i żegnając się z publicznością, zostanę wysłuchany...

— Tak, tak, chcemy słuchać, chcemy, — rozległy się nieliczne ośmielone głosy z pierwszych rzędów.

— Prosimy czytać dalej! — wtórzyły zachwycone damskie głosiki i wreszcie rozległy się oklaski, bardzo jednak rzadziutkie.

Karmazinow uśmiechnął się kwaśno i powstał z miejsca.

— Niech pan wierzy, że wszyscy traktują jako zaszczyt... — ośmieliła się nawet pani marszałkowa.

— Panie Karmazinow! — odezwał się znienacka jakiś głos zgłębi sali. To mówił młodziutki nauczyciel szkoły powiatowej, bardzo miły młodzieniec, cichy, szlachetny, niedawno przybyły. Powstał nawet z krzesła. — Panie Karmazinow! Gdybym miał szczęście tak kochać, jak pan to opisał, nigdy nie poważyłbym się mówić o takiej miłości w utworze, przeznaczonym dla publiczności.

Nauczyciel poczerwieniał cały.

— Panowie, — zawołał Karmazinow, — opuszczam koniec i odchodzę. Pozwólcie mi tylko odczytać ostatnich kilka wierszy.

„Tak, przyjacielu-czytelniku, żegnaj mi!" — rozpoczął natychmiast, nie zajmując już krzesła. — „Żegnaj mi, czytelniku, nie nastaję nawet, abyśmy się rozstawali w przyjaźni. Pocobym miał utrudzać ciebie? Możesz mnie łajać, wiele chcesz, o ile sprawia ci to przyjemność. Najlepiej będzie, jeżeli zapomnimy o sobie na zawsze. A gdybyście wszyscy, o czytelnicy moi, nabrali tyle łaskawości, że na klęczkach zaczęlibyście wzywać, ze łzami w oczach: Pisz, pisz dla nas, o Karmazinow, pisz dla ojczyzny, dla potomności, dla wieńców laurowych, — i wtedy nawet odpowiedziałbym, podziękowawszy, oczywiście, najuprzejmiej: O nie, już dość mamy siebie nawzajem, najmilsi rodacy, *merci!* Już czas nam się rozejść! *Merci, merci, merci!*"

Karmazinow ukłonił się ceremonjalnie, i czerwony, jak rak, schował się za kulisami.

— A nikt nie będzie klęczał! Dzika fantazja!

— Co za pewność siebie!

— To tylko humor! — korygował ktoś rozsądny.

— Och, oszczędźcie nam takiego humoru.

— Panowie, ależ to arogancja!

— Chwała Bogu, że wreszcie skończył.

— Ech! Co za nudy!

Wszystkie te tępe okrzyki ostatnich rzędów (a zresztą nietylko ostatnich) zagłuszone zostały przez oklaski reszty publiczności. Wywoływano Karmazinowa. Niektóre damy, z Julją Michajłowną i panią marszałkową na czele, skupiły się koło estrady. W ręku Julji Michajłowny zjawił się wieniec laurowy, na białej aksamitnej poduszce, otoczony wieńcem żywych róż.

— Laury! — wygłosił Karmazinow z subtelnym i nieco zjadliwym uśmiechem. — Oczywiście, wzruszony jestem i przyjmuję z wyższem uczuciem ten wieniec, przygotowany zawczasu, który nie zdążył zwiędnąć; lecz upewniam panie, żem się stał znienacka realistą. I sądzę, że w epoce naszej liść laurowy jest na miejscu raczej w ręku doświadczonego kucharza, niż w moich dłoniach.

— O tak, kucharz jest pożyteczniejszy, — wrzasnął ten sam seminarzysta, który był na posiedzeniu u Wirgińskich.

Porządek został nieco zamącony. Wiele osób zerwało się z miejsc, aby widzieć ceremonję z wieńcem laurowym.

— Dodałbym obecnie za kucharza jeszcze trzy ruble, głośno odezwał się ktoś inny, nawet za głośno, uporczywie.

— I ja.

— I ja...

— Czyż tu niema bufetu?

— Panowie, to oszukaństwo.

Muszę jednak stwierdzić, że ci wyuzdani goście nieco obawiali się naszych dygnitarzy, zwłaszcza szefa policji, znajdującego się na sali. Jakoś po dziesięciu minutach, wszyscy znów zajęli miejsca, lecz uprzedniego ładu już nie

było. W ten właśnie chaos wpadł mój biedny Stepan Trofimowicz.

IV.

Zdążyłem zajść do niego za kulisy i uprzedziłem go, że zdaniem mojem, wszystko się wali i że najlepiej będzie, gdy nie wyjdzie na estradę. Niech jedzie natychmiast do domu, usprawiedliwiwszy się chociażby choleryną, ja zaś zdejmę wstęgę i wyruszę razem z nim. W tym momencie Stepan Trofimowicz już szedł ku estradzie. Zatrzymał się, obejrzał mnie wyniośle od stóp do głów i wyrzekł uroczyście:

— Jak możesz pan sądzić, że jestem zdolny do podobnie nikczemnego czynu?

Cofnąłem się. Wiedziałem niezbicie, że bez katastrofy się nie obejdzie. Gdym stał przygnębiony, obok mnie mignęła postać przyjezdnego profesora, który miał produkować się po Stepanie Trofimowiczu, a który przed godziną tak podnosił i opuszczał pięść. Dotychczas kroczył tak samo tam i zpowrotem, zatopiony w sobie, i mamrotał coś pod nosem ze zjadliwym lecz triumfującym uśmiechem. Coś mnie pchnęło i zupełnie bezcelowo podszedłem do niego.

— Wie pan, — zauważyłem, — podług moich spostrzeżeń, gdy lektor zatrzymuje publiczność dłużej niż dwadzieścia minut, nikt go już nie słucha. Największa znakomitość nie utrzyma się przez pół godziny.

Stanął przede mną trzęsąc się z gniewu. Na twarzy jego odmalowała się niewysłowiona wzgarda.

W tej chwili brzmiał już na sali głos Stepana Trofimowicza.

„Bodaj to z wami!“ — pomyślałem i wybiegłem do sali.

Mój przyjaciel usiadł w fotelu jeszcze zanim zapanowała cisza. W pierwszych rzędach spotkały go spojrzenia nieżyczliwe. (Ostatniemi czasy w klubie jakoś przestano go lubić i znacznie mniej szanowano). Już dobrze że nie sykano. Od wczoraj opanowała mnie przykra myśl. Sądziłem,

że Stepana Trofimowicza wygwiżdżą, gdy tylko zjawi się na estradzie. Tymczasem zaś, z powodu zaniepokojenia, które jeszcze nie zdążyło się rozwiać, nawet nie zauważono go narazie. Czego mógł spodziewać się ten człowiek po tem, co się stało z takim Karmazinowem? Był blady. Od lat dziesięciu nie stawał przed publicznością. Z jego wzruszenia i z innych cech, tak dobrze mi znanych, widziałem dobrze, że on sam zapatruje się na swój występ, jako na moment decydujący, czy coś w tym rodzaju. Tego właśnie obawiałem się. Kochałem jednak tego człowieka. Jakże miałem się czuć, gdy otworzył usta i do uszu moich doszło pierwsze zdanie!

— Panowie! — zaczął głosem zdecydowanym, który jednak prawie załamywał się. — Panowie! Dziś rano jeszcze leżała przede mną jedna z rozpowszechnianych tu niedawno nielegalnych odezw. Po raz setny zastanawiam się: „na czem polega jej siła?"

Cała widownia zamilkła. Wszystkie spojrzenia skierowały się ku mówcy. Niektórzy patrzyli z przerażeniem. Należy przyznać, że przyjaciel mój potrafił podniecić zaciekawienie od pierwszego frazesu. Nawet z poza kulis wysunęły się głowy. Liputin i Lamszyn wsłuchiwali się łapczywie. Julja Michajłowna skinęła na mnie.

— Niech go pan zatrzyma! Za wszelką cenę! — szepnęła trwożnie.

Wzruszyłem ramionami. Jak można było zatrzymać człowieka, który się zdecydował na wszystko. Niestety! Zrozumiałem Stepana Trofimowicza.

Wśród publiczności szeptano: „Aha, to o proklamacjach". Powstał ruch na sali.

— Panowie! Rozstrzygnęłem tajemnicę. Zagadnienie wpływu tych papierków — polega na ich głupocie! (Oczy Stepana Trofimowicza błyszczały). Tak, panowie, gdyby to była głupota rozmyślna, sporządzona na obstalunek, — o, to byłoby wprost genjalne. Musimy jednak być sprawiedliwi: ci panowie nic nie podrabiali. Jest to naga, szczera, krótkowzroczna głupota, — *c'est la bêtise dans essence la plus pure, quelque chose comme un simple chimique.* Gdyby

to wszystko było wypowiedziane o włos inteligentniej, już każdy zauważyłby nędzę tej głupoty. A teraz każdy zastanawia się poważnie: nikt nie wierzy, aby rzecz mogła być tak prymitywnie głupia. „Nie może być, aby za tem nie kryło się coś więcej", powtarza każdy, szuka sekretu, dopatruje się tajemnicy, czyta między wierszami. Cel osiągnięty! Och! Nigdy dotychczas głupota nie była tak szczodrze wynagradzana, chociaż często zasługiwała na to. Gdyż, *en parenthese*, w dziejach ludzkości głupota jest niemniej potrzebna, niż największy genjusz...

— Paradoksy minionego pokolenia! — rozległ się jakiś głos, dość zresztą skromnie.

Lecz w tej chwili jakgdyby chmura się oberwała; podniósł się hałas i gwałt.

— Panowie, hurra! Wznoszę toast za głupotę! — krzyknął Stepan Trofimowicz, jakgdyby w szale jakimś chciał opanować widownię.

Podbiegłem do niego pod pretekstem nalania wody do szklanki.

— Stepanie Trofimowiczu, niech pan da spokój! Julja Michajłowna błaga pana.

Lecz Stepan Trofimowicz krzyknął na cały głos:

— O nie! Daj mi pokój, lekkomyślny młodzieńcze!

Uciekłem.

— *Messieurs*, — ciągnął mówca: — poco to oburzenie, poco hałas, który słyszę? Przyszedłem z różdżką oliwną. Przyniosłem tu ostatnie słowo ,gdyż w tej sprawie ostatnie słowo do mnie należy — a potem pogodzimy się .

— Precz! — krzyczeli jedni.

— Ciszej, dajcie mu wypowiedzieć się, — wołali inni.

Najwięcej wzburzony był ów młody nauczyciel, który, ośmieliwszy się raz zabrać głos, nie mógł już milczeć.

— *Messieurs*, ostatnie słowo w tej sprawie, to wszechprzebaczenie. Ja, odchodzący już starzec, oznajmiam uroczyście, że duch życia wybucha jak dawniej, a siły żywe nie wygasły w młodem pokoleniu. Entuzjazm młodzieży współczesnej jest tak samo czysty i jasny, jak za naszych czasów. Jedno tylko się zmieniło: przesunęły się cele, jedno

piekło ustąpiło drugiemu! A całe nieporozumienie tkwi w kwestji: Szekspir, czy buty? Rafael, czy nafta?

— To prowokacja! — szemrano na sali.

— Kompromitujące pytania!

— *Agent-provocateur!*

— Ja zaś oświadczam, — wykrzykiwał Stepan Trofimowicz, hazardując się coraz więcej, — oświadczam, iż Szekspir i Rafael są ważniejsi od zniesienia pańszczyzny, ważniejsi od haseł ludowych, od socjalizmu, od młodego pokolenia, od chemji, ważniejsi od całej nieomal ludzkości, stanowią bowiem owoc dojrzały, owoc całej ludzkości, może najpiękniejszy, jaki może być! To osiągnięty już kształt piękna, bez którego, kto wie, może nie zgodziłbym się żyć. Mój Boże! — tu mówca załamał dłonie: — przed dziesięciu laty tak samo nawoływałem w Petersburgu, z estrady, używałem tych samych słów, i tak samo nie rozumiano mnie. Śmiano się i gwizdano, jak dziś. Wy, mali ludzie, czego wam potrzeba, abyście zrozumieli? Pamiętajcie, że bez Anglika ludzkość da sobie rady, bez Niemca także, bez Rosjanina to już bezwarunkowo, przetrwa bez nauki, bez chleba, i jedynie bez piękna się nie obejdzie, gdyż bez piękna nie warto będzie żyć na świecie! W tem cała tajemnica, w tem cała historja! Nawet nauka bez piękna nie utrzyma się ani na chwilę, — czy rozumiecie to wy, którzy się śmiejecie? Nauka wyrodzi się w chamstwo! Gwoździa nie wymyślicie! Nie ustąpię wam! — zakończył Stepan Trofimowicz i z całych sił uderzył pięścią w stół.

Póki tak wykrzykiwał bez sensu i bez związku, chaos na widowni się wzmagał. Liczni słuchacze pozrywali się z krzeseł, fala ludzi ruszyła naprzód, ku estradzie. Wszystko to odbyło się znacznie prędzej, niż opisuję, tak że nie mogło być mowy o opanowaniu sali. Może zresztą wielu nie zależało na tem.

Koło estrady huknął ten sam seminarzysta, szczerząc radośnie zęby ku Stepanowi Trofimowiczowi.

— Dobrze panu gadać, żyjąc na łaskawym chlebie, bez roboty!

Stepan Trofimowicz dosłyszał i podbiegł do brzegu estrady.

— Czyż to nie ja, czyż nie ja przed chwilą głosiłem, że entuzjazm młodego pokolenia jest tak samo jasny i czysty jak dawniej, a młodzież marnuje się tylko, gubiąc się w kształtach piękna? Niedość wam tego? A jeżeli dodam, że mówi tak zrujnowany, znieważony ojciec, czyż nie mam prawa twierdzić, wy, mali ludzie, że trudno stanąć wyżej pod względem objektywizmu i równowagi?... Niewdzięczni, niesprawiedliwi!... Dlaczego, dlaczego nie chcecie pogodzić się z nami...

Histerycznie załkał. Ocierał palcami spływające łzy. Ramiona i piersi wstrząsały mu się od łkania. Zapomniał o całym świecie.

Prawdziwy przestrach ogarnął publiczność. Prawie wszyscy zerwali się z miejsc. Julja Michajłowna także opuściła fotel, schwyciła pod ramię małżonka, siląc się podnieść go. Skandal rósł do niesłychanych rozmiarów.

Wtem znów odezwał się seminarzysta, wykrzykując radośnie.

— Stepanie Trofimowiczu! Tu w mieście i w okolicach błąka się Fiedia, zbieg z katorgi. Rabuje, a niedawno dokonał nawego mordu. A teraz powiedz pan: gdybyś przed piętnastu laty nie uczynił z niego rekruta za dług karciany, poprostu gdybyś nie przegrał go w karty, — czy trafiłby on do katorgi? Czy zarzynałby ludzi, jak teraz w walce o byt? Cóż na to odpowiesz, panie esteto?

Nie jestem w stanie opisać, co się potem stało. Przedewszystkiem rozległy się frenetyczne oklaski. Klaskali nie wszyscy, może jakaś piąta część zebranych, lecz zato klaskali przeraźliwie. Reszta publiczności rzuciła się do wyjścia, ponieważ jednak grupa oklaskujących cisnęła się ku estradzie, powstał tłok. Panie krzyczały, niektóre panny płakały i rwały się do domu. Lembke, stojąc przy swym fotelu, dzikim wzrokiem biegał po sali. Julja Michajłowna straciła zupełnie głowę, — po raz pierwszy od przyjazdu do nas. Stepan Trofimowicz narazie, jak się zdawało, był zupełnie przytłoczony słowami seminarzysty; lecz znienacka wzniósł obie dłonie, jakgdyby chciał zakryć niemi całą publiczność i zawył:

— Otrząsam pył z moich nóg, i przeklinam... Wszystko skończone.

Odwrócił się i wybiegł za kulisy, wymachując i grożąc rękami. Za nim niosły się dzikie okrzyki:

— Obraził całą publiczność! Dać tu Wierchowieńskiego!

Chciano nawet ścigać go. Trudno było uspokoić tłum, przynajmniej narazie. Wtem ostateczna katastrofa wybuchła jak bomba wśród zebranych: oto trzeci mówca, ten manjak, który wymachiwał wciąż pięścią za kulisami, wybiegł na estradę.

Wyglądał nieprzytomnie. Z szerokim triumfującym uśmiechem, pełnym samozadawolenia i pewności siebie, ogarniał wzrokiem wzburzoną widownię, i zdać się mogło, że cieszy go ten nieład. Nie martwiło go bynajmniej, że ma przemawiać w takim chaosie. Przeciwnie, rad był. Było to tak widoczne, że zwracało na siebie uwagę.

— A to co znaczy? — rozległy się okrzyki. — Co to za jeden? Tss! Czego on chce?

Manjak zbliżył się do brzegu estrady i zaczął krzyczeć tak samo piskliwym głosem, jak Karmazinow, lecz bez arystokratycznego szeplenienia.

— Panowie! Panowie! Przed dwudziestu laty, w przeddzień wojny z połową Europy, Rosja uchodziła za ideał w oczach wszystkich radców stanu i tajnych radców. Literatura oddała się w pacht cenzurze; w uniwersytetach uczono maszerować; wojsko zmieniło się w balet, a lud płacił podatki i milczał pod batem pańszczyzny. Patrjotyzm wyrodził się w zdzieranie łapówek od żywych i umarłych. Nie-łapownicy uchodzili za buntowników, psuli bowiem harmonję. Laski brzozowe wycięto w pień na pomoc praworządności. Europa trzęsła się ze strachu. Lecz nigdy jeszcze Rosja, przez cały bezsens tysiącletniego bytu, nie dochodziła do takiej hańby...

Podniósł pięść, groźnie, a zapamiętale machnął nią nad głową, i wreszcie opuścił gwałtownie, jakgdyby miażdżył przeciwnika. Dzikie okrzyki rozbrzmiewały wokół, rozległy się ogłuszające oklaski. Oklaskiwała już prawie połowa sali;

ulegli nawet najniewinniejsi: wszak oto publicznie bezczeszczono Rosję, — czyż można było nie wyć z zachwytu?

— Tak! Tak! Brawo, hurra: to już nie estetyka!

Manjak w zachwycie prawił dalej:

— Od tego czasu minęło dwadzieścia lat. Otwarto uniwersytety, pomnożono ich ilość. Maszerowanie przeszło do legendy. Tysiące oficerów brakują do kompletu. Koleje pochłonęły wszystkie kapitały i oplotły Rosję, jak pajęczyną. Jeśli tak dalej pójdzie, to może istotnie za piętnaście lat można będzie z nich korzystać. Mosty palą się tylko od czasu do czasu, miasta zaś regularnie, w ustalonym porządku, pokolei, w sezonie pożarowym. W sądach — wyroki Salomona, sędziowie zaś przysięgli biorą łapówki jedynie w walce o byt, by nie umrzeć z głodu. Chłopi — już wolni, i sieką rózgami jeden drugiego, jak dawniej panowie ich siekli. Na ratunek budżetowi wypijało się morza i oceany wódki, a w Nowogrodzie, nawprost starożytnej i już zbytecznej św. Zofji, uroczyście wzniesiona została olbrzymia kula bronzowa ku upamiętnieniu minionego już tysiąclecia chaosu i bezsensu. Europa zachmurzyła się i znów ogarnia ją niepokój... Piętnastolecie reform! Tymczasem zaś Rosja, nawet w najbardziej karykaturalnych okresach bezładu, nie dochodziła...

Wśród hałasu zebranych nie słychać już było ostatnich słów. Widać było, jak mówca znów podniósł pięść i triumfalnie ją opuścił. Zachwyt zebranych przekroczył wszelkie granice. Krzyczano, klaskano, niektóre zaś panie wołały: „Dosyć już! Nic lepszego nie da się już powiedzieć!" Wyglądali wszyscy, jak pijani. Mówca ogarniał widownię spojrzeniem i zdawało się, że rozpływa się w triumfie własnym. Zauważyłem jak Lembke, niesłychanie zaniepokojony, coś komuś wskazywał. Julja Michajłowna, blada jak płótno, szeptała coś w pośpiechu księciu, który zbliżył się do niej. W tej chwili cała gromadka, składająca się może z sześciu panów, zajmujących u nas mniej więcej oficjalne stanowisko, rzuciła się z poza kulis na estradę, chwyciła mówcę i powlokła go za kulisy. Nie wiem, w jaki sposób zdołał się wyrwać, lecz wyrwał się, znów podskoczył do brzegu estrady i zdążył wrzasnąć z całych sił, potrząsając pięścią:

— Lecz nigdy jeszcze Rosja nie doszła...

Lecz już wleczono go znowu. Widziałem, jak grupa kilkunastu ludzi skoczyła za kulisy, aby go wyrwać, lecz nie przez estradę, a zboku, rozwalając cienką przegrodę, która runęła. Widziałem potem, nie wierząc oczom własnym, jak na estradę wyskoczyła niewiadomo skąd studentka (krewna Wirgińskiego) z nieodłączonym zwitkiem pod pachą, tak samo ubrana, tak samo czerwona, pulchniutka, w otoczeniu paru kobiet i paru mężczyzn, w towarzystwie ucznia, swego śmiertelnego wroga. Dosłyszałem nawet jej okrzyk:

— Panowie, przyjechałam tu, aby oświadczyć o cierpieniach nieszczęśliwych studentów i pobudzić ich wszędzie do protestu...

Lecz już biegłem. Wstęgę schowałem do kieszeni i znanem mi tylnem wyjściem wyrwałem się z domu na ulicę. Przedewszystkiem pomknąłem do Stepana Trofimowicza.

ROZDZIAŁ DRUGI.

KONIEC ZABAWY.

I.

Nie przyjął mnie. Zamknął się i pisał. Gdym zapukał powtórnie, wzywając go głośno, Stepan Trofimowicz przemówił:

— Przyjacielu, wszystko już skończone. Czegóż więcej można żądać ode mnie?

— Nic pan nie skończył i tylko przyczynił się pan do wywołania zamętu. Na miły Bóg, dość tych żartów, Stepanie Trofimowiczu. Niech pan otworzy drzwi. Trzeba zachować ostrożność: mogą przyjść tu do pana i znieważyć go.

Sądziłem, że mam prawo mówić surowo i stanowczo. Bałem się aby nie puścił się na jeszcze gorsze szaleństwa. Ku memu zdziwieniu, spotkała mnie bezwzględna odprawa.

— Więc niech pan pierwszy nie ubliża mi. Dziękuję panu za wszystko, co dawniej było, lecz powtarzam, że skoń-

czyłem już z ludźmi. Ze złymi i dobrymi. Piszę obecnie list do Darji Pawłowny; nie mogę przebaczyć sobie, żem ją tak zaniedbał ostatniemi czasy; jutro odniesie pan list, jeżeli łaska, tymczasem zaś *merci*.

— Stepanie Trofimowiczu, zapewniam pana, że sprawa przedstawia się poważniej, niż pan myśli. Pan sądzisz, żeś zmiażdżył tam kogoś. Nikogoś tam nie zmiażdżył. Sam się pan zniweczył, jak bańka mydlana (o, byłem brutalny, wspominam to z przykrością!). Do Darji Pawłowny nie potrzebuje pan wcale pisać... a beze mnie nie da pan sobie rady. W kwestjach praktycznych nie ma pan o niczem pojęcia. Napewno powziął pan jakiś nowy zamiar? Ależ pan zginiesz marnie, jeżeli puścisz sie na nowe kawały.

Zbliżył się do samych drzwi.

— Młodzieńcze, niedługo obcowałeś z tamtymi ludźmi, a jużeś przyjął od nich język i ton. *Dieu vous pardonne mon ami, et Dieu vous garde.* Lecz nieraz dostrzegałem w panu zarodki uczciwości. Może więc sam się pan opamięta, oczywiście *après le temps*, jak wszyscy rodacy nasi. Co się tyczy zarzutu niepraktyczności, powiem panu jedno moje dawne spostrzeżenie. Istnieje w Rosji liczna kategorja ludzi, którzy traktują jako jedno z głównych zadań swoich atakowanie innych za brak zmysłu praktycznego. Czynią to zawzięcie, z natrętnością much. Oskarżają wszystkich, oprócz siebie samych. *Cher*, nie zapominaj pan, że jestem podrażniony. Raz jeszcze *merci* za wszystko, i rozstańmy się, jak Karmazinow z publicznością. Wspaniałomyślnie zapomnijmy o sobie. A Karmazinow udawał tylko, gdy tak gorąco błagał czytelników, aby zapomnieli o niem. *Quant à moi*, nie jestem tak zarozumiały i szczerze liczę na młodość pańskiego niedoświadczonego serca: czyż potrafiłby pan pamiętać długo o niepotrzebnym starcu? „Żyj dużo", przyjacielu, jak życzyła mi Nastasja na ostatnie imieniny moje. *(Ces pauvre gens ont quelque fois des mots charmants et pleins de philosophie).* Nie życzę ci zbyt wiele szczęścia — to nudne; nie życzę też klęski. Zgodnie z filozofją ludową powtarzam: „żyj dużo", i staraj się nie nudzić się. To ostatnie próżne życzenie dodaję już od siebie. Żegnam. Że-

gnam na serjo. Nie stójże pan tam pode drzwiami. Wszystko jedno nie otworzę.

Odszedł od drzwi i już nie udało mi się dotrzeć do niego. Pomimo „podrażnienia", mówił płynnie, nie zatrzymując się, z powagą, widocznie pragnąc trafić do przekonania. Rzecz prosta, że miał do mnie pewien żal i mścił się, prawdopodobnie za wczorajsze „kibitki" i „rozwarte podwoje". A łzy publicznie wylane dzisiejszego poranku, pomimo poczucia pewnego zwycięstwa, postawiły go, (a wiedział o tem) w sytuacji nieco komicznej. Nie było zaś człowieka, któryby tak dbał o piękno i wytworność form w stosunkach z przyjaciółmi, jak Stepan Trofimowicz. Czyż można mieć mu to za złe? Lecz ta drażliwość i sarkazm, których się nie pozbył, po wszystkich wstrząśnieniach, uspokoiły mnie. Zdawało mi się, że człowiek, który najwidoczniej w niczem się nie zmienił, najmniej jest skłonny do czynów tragicznych i niezwykłych. Takem wtedy osądził, lecz jakże omyliłem się! Nie uwzględniłem zbyt wielu rzeczy.

Uprzedzając fakty, przytoczę tu pierwsze zdania listu, który istotnie Darja Pawłowna otrzymała nazajutrz.

„*Mon enfant*, drżą mi ręce, lecz skończyłem ze wszystkiem. Nie byłaś Pani obecna przy ostatniej potyczce mojej z ludźmi. Nie przyszłaś Pani na ów poranek literacki, i dobrze się stało. Lecz inni opowiedzą Pani, że w kraju naszym, tak pozbawionym silnych charakterów, powstał jednak odważny człowiek, i pomimo pogróżek śmiertelnych, któremi go zarzucono, powiedział tym głupcom, prawdę o nich, nazwał ich po imieniu. *O, ce sont des pauvres petits vauriens et rien de plus, des petits „gluptasy" — voila le mot!* Kości rzucone! Opuszczam to miasto na wieki i nie wiem sam, dokąd pójdę. Wszyscy, którzy mnie kochali, odwrócili się ode mnie. Lecz Pani, istota czysta, naiwna, Pani, któraś z pogardą może patrzyła, jakem wylewał małoduszne łzy w przeddzień ślubu, który się nie odbył; Pani, która nie możesz bądź co bądź patrzeć na mnie inaczej, jak na istotę komiczną, o, Pani, — do Ciebie ten ostatni krzyk serca mego, ostatnie spłacenie długu, do Ciebie tylko! Nie mógłbym przecież zostawić Panią na zawsze z myślą o mnie, jako

o głupcu niewdzięcznym, egoiście i złym człowieku, jak to Pani zapewne codzień twierdzi pewna niewdzięczna i okrutna istota, o której zapomnieć nie mogę..."

I tak dalej, i tak dalej, całe cztery strony dużego formatu.

Uderzywszy trzy razy pięścią w drzwi po jego ostatniem „nie otworzę", krzyknąłem mu, że napewno dziś jeszcze trzy razy przyśle po mnie Nastasję, lecz ja już nie przyjdę. Poczem dałem mu spokój i pobiegłem do Julji Michajłowny.

II.

Tu musiałem być świadkiem oburzającej sceny. Biedną kobietę oszukiwano w oczy, ja zaś nie mogłem temu zaradzić. Cóż istotnie mógłbym jej powiedzieć? Jużem się trochę opamiętał i zrozumiałem, że opieram się jedynie na wrażeniach, na przykrych przeczuciach, nic więcej. Zastałem ją we łzach, prawie w stanie histerji. Ratowała się zimną wodą, a do skroni przykładała sobie wodę kolońską. Przed nią stał Piotr Stepanowicz, gadający bez przerwy, i książę, milczący, jakgdyby miał zakneblowane usta. Ze łzami i jękami zarzucała Piotrowi Stepanowiczowi „zdradę". Uderzyło mnie to, że całe niepowodzenie dzisiejszego poranku, całą tę hańbę, traktowała jako skutek nieobecności Piotra Stepanowicza.

W nim zaś zauważyłem istotną zmianę. Wyglądał na człowieka bardzo zajętego jakąś myślą, miał minę dość poważną. Zazwyczaj nie bywał poważny, ciągle się śmiał, śmiał się nawet wtedy, gdy był zirytowany, a irytował się często. Był i teraz w złym humorze, mówił brutalnie, niedbale, i niecierpliwił się. Twierdził, że bolała go głowa i miał mdłości. Przeleżał w mieszkaniu Gaganowa, do którego wypadkowo zaszedł dziś rano. Ach, jak ta kobieta pragnęła być oszukiwaną! Przyszedłem w chwili, gdy omawiane było zasadnicze pytanie: czy ma się odbyć bal, czy nie? Julja Michajłowna za żadne skarby nie chciała pozostać na balu „po wszystkich tamtych obelgach". To znaczy, że

chciała koniecznie zostać do tego zmuszoną i mianowicie przez niego, Piotra Stepanowicza. Patrzyła na niego, jak na wyrocznię. Gdyby w tej chwili odszedł, napewno położyłaby się do łóżka. Lecz on nie odchodził. Widocznie niezmiernie zależało mu na tem, aby bal się odbył i aby Julja Michajłowna koniecznie była na nim obecna.

— Czego pani beczy! Nie może pani obejść się bez scen? Musi pani na kimś wyładować gniew? Dobrze, dobrze, niech pani zwala winę na mnie, byle jak najprędzej, gdyż czas upływa, a trzeba wreszcie zdecydować się. Nie udało się nam z literaturą, naprawimy balem. Wszak książę jest tej samej opinji? Och, gdyby książę nie był tam obecny, mogłoby się gorzej skończyć.

Książę był zrazu przeciwnikiem balu (raczej zjawienia się na balu Julji Michajłowny, gdyż bal bądź co bądź musiał się odbyć), lecz po paru apelacjach Piotra Stepanowicza do jego opinji zaczął pomrukiwać przytakująco.

Zdziwiła mnie nadmiernie nieuprzejmość tonu Piotra Stepanowicza. Och, odrzucam z oburzeniem podłe plotki, które potem rozpowszechniły się u nas, o jakiemkolwiek bądź zbliżeniu jego z gubernatorową. Nic podobnego nie było i być nie mogło. Osiągnął zaś przewagę nad nią tylko dlatego, że odrazu zaczął przytakiwać jej marzeniom o władzy nad społeczeństwem i wpływach na rząd, aprobował jej plany, sam stwarzał je dla niej, działał najprostszem pochlebstwem, oplątał ją od stóp do głowy i stał się jej potrzebny, jak powietrze.

Zobaczywszy mnie, Julja Michajłowna zawołała, błyszcząc oczyma:

— O, niech się pan jego zapyta, on, tak samo jak książę, nie odstępował ode mnie. Niech pan powie! Czyż to nie był spisek, przebiegły spisek, zmierzający ku najgorszemu pokrzywdzeniu mnie i mego męża? Och, to była zmowa! Opracowano plan! To cała partja!

— Ach, to się pani zagalopowała! Ciągle poematy w głowie. A zresztą, rad jestem panu... (udał, że zapomniał moje nazwisko), wysłuchamy i jego opinji.

— Moja opinja, — odparłem, — jest zupełnie zgodna z opinją Julji Michajłowny. Spisek jest nawidoczniejszy.

Odnoszę pani wstęgę, Juljo Michajłowno! Czy odbędzie się bal, czy nie, to oczywiście ode mnie nie zależy. Nie mogę mieć na to żadnego wpływu, lecz rola moja, jako gospodarza, skończona. Niech mi pani wybaczy moją gwałtowność, nie mogę jednak działać wbrew przekonaniu i wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Gubernatorowa załamała ręce.

— Słyszysz pan? Słyszysz pan?

— Słyszę i powiem tylko jedno. Sądzę, że wszyscy najedliście się czegoś takiego, co wywołało gorączkę. Mojem zdaniem, nie zaszło nic szczególnego. To wszystko już bywało w naszem mieście, lub też zawsze mogło się zdarzyć. Jaki spisek? Skończyło się brzydko i potwornie głupio, lecz gdzie tu spisek? Przeciw komu? Przeciw Julji Michajłownie, ich protektorce, która wybaczała im bez końca tę łobuzerkę? Juljo Michajłowno! O czem to od miesiąca stale przekonywałem panią? O czem uprzedzałem? Poco, poco, potrzebna była pani ta zgraja? Poco pani zbliżyła do siebie tych łobuzów? Chciała pani zjednoczyć całe towarzystwo? Na miły Bóg, toć przecież niemożliwe...

— Kiedy pan mnie uprzedzał? Przeciwnie, zachęcał mnie pan, nawet żądał ode mnie... Jestem wprost zdumiona... Przecież pan sam przyprowadzał do mnie rozmaite podejrzane osobistości.

— Ależ przeciwnie, nie zachęcałem, lecz odradzałem. Żem przyprowadzał — to prawda, lecz wtedy dopiero, gdy całemi tuzinami nachodzili już inni, i tylko w ostatnich dniach, w celu zorganizowania „kadryla literatury", bo bez tych chamów nie dałoby się zrobić. Lecz założyłbym się, że dziś niejeden dziesiątek innych chamów puszczony został bez biletów.

— Niezawodnie! — potwierdziłem.

— Widzi pan, już się pan ze mną zgadza. Niech państwo przypomną sobie, jaki ton zapanował ostatniemi czasy w całem mieście! Zuchwały, bezwstydny! Był to hałaśliwy skandal! A kto popierał? Kto uświęcał autorytetem swoim? Kto wprowadził wszystkich na manowce? Kto rozjątrzył publiczność? Przecież w albumie pani odtworzone

są wszystkie tajemnice rodzinne! Czyż to nie pani gładziła po główce paszkwilantów i karykaturzystów? Czyż to nie pani podawała Lamszynowi rękę do pocałunku? Czyż to nie w pani obecności seminarzysta złajał rzeczywistego radcę stanu i zepsuł sukienkę jego córki juchtowemi butami? A teraz dziwi się pani, że społeczeństwo jest oburzone?

— Ależ to pan sam! Mój Boże!

— Nie, ostrzegałem panią, sprzeczaliśmy się z panią, słyszy pani?

— Ależ pan kłamie w oczy!

— Oczywiście! Któż zabroni pani rzucać takie oskarżenia? Szuka pani ofiary, aby wyładować na niej gniew. Służę pani, już mówiłem. Lepiej będzie, jeżeli pomówię z panem... (znów nie przypomniał sobie mego nazwiska). Wyliczmy na palcach. Twierdzę, że poza Liputinem nie było żadnego spisku. Udowodnię to, lecz zatrzymajmy się na Liputinie. Wyszedł na estradę z wierszami idjoty Lebiadkina... Pan nazywa to spiskiem? Ależ Liputinowi mogło się to wydać dowcipem. Naprawdę dowcipem. Wyszedł, aby wszystkich zabawić i rozweselić, przedewszystkiem zaś protektorkę swoją, Julję Michajłownę. Nie chce pan wierzyć? Czyż jednak ton utworu nie odpowiadał temu, co się tu działo w ostatnim miesiącu? Powiem panu otwarcie. W innych warunkach jakośby to uszło, żarcik był dość brutalny, zbyt mocny, lecz zabawny...

— Jakto, pan traktuje wybryk Liputina jako dowcipny? — zawołała z oburzeniem Julja Michajłowna, — taki brak taktu, taki bezsens, taka podłość, taki zamach, o, pan udaje! Pan sam należysz do spisku.

— Otóż to! Siedziałem ztyłu, schowałem się, poruszałem całą maszynerją! Mój Boże! Gdybym należał do spisku, niechże pani zechce zrozumieć, przecież nie skończyłoby się na Liputinie! Więc, zdaniem pani, zmówiłem się z moim ojczulkiem, aby wywołał skandal? Czyjaż to wina, że ojcu pozwolono przemawiać? Czyż wczoraj jeszcze, tak, wczoraj, nie odradzałem pani?

— *Oh, hier il avait tant d'esprit*, tak liczyłam na niego, on jest taki wytworny. Myślałem, że on i Karamazinow, a tu...

— Otóż właśnie, a tu... Bo pomimo *tant d'esprit* tatuś nabroił. A gdybym mógł przewidzieć, że nabroi, to należąc do spisku przeciwko pani i jej zabawie, niezawodnie nie namawiałbym pani, aby nie wpuszczała kozła do ogrodu. Czyż nie? A przecież namawiałem wczoraj. Namawiałem, gdyż miałem przeczucie. Trudno było wszystko przewidzieć. On sam napewno na chwilę przedtem nie wiedział, co wypali. Czyż ci nerwowi starcy, podobni są do ludzi? Lecz to wszystko można naprawić. Niech pani jutro, dla zaspokojenia opinji, pośle do niego w trybie administracyjnym, ze wszystkiemi należnemi względami, dwóch lekarzy. Niech zbadają stan jego zdrowia. Można to zrobić nawet dzisiaj, a potem odwieźć go do szpitala na zimne okłady. Wszystkich to ubawi i zrozumieją, że niema powodu do oburzenia. Obwieszczę to dziś jeszcze na balu. Mam prawo, gdyż jestem synem. Co innego Karmazinow. Ten zachował się jak osioł zielony, męcząc publiczność przez całą godzinę. Może to on jest ze mną w zmowie? Może to z nim porozumieliśmy się, aby zepsuć pani gubernatorowej zabawę?

— O, Karmazinow, *quelle honte!* Paliłam się ze wstydu za całą publiczność.

— No, jabym się tam nie palił, co najwyżej przypiekłbym jego. Publiczność ostatecznie miała rację. A kto zawinił z Karmazinowem? Możem go pani narzucił? Możem uczestniczył w składanych mu hołdach? A zresztą, mniejsza o to. Lecz ten trzeci manjak, ten polityczny, to już inna afera. Tu już wszyscyśmy spudłowali, lecz gdzie znów mój spisek?

— Ach, nie mów pan! To straszne, straszne! To wyłącznie moja wina.

— Oczywiście, chociaż trudno oskarżać panią. Ktoby tam dopilnował tych nazbyt szczerych jegomościów! Nawet w Petersburgu nie mogą się ich pozbyć. Toć polecano go pani, i jak! Teraz zgodzi się pani, że musi pani być na balu. To rzecz poważna. Sama pani wprowadziła go na katedrę. Teraz musi pani publicznie oświadczyć, że nie solidaryzuje się z nim, że gość jest już w ręku policji, panią zaś wprowadzono w błąd w niewytłumaczony sposób. Musi pani oznaj-

mić z oburzeniem, że padła ofiarą warjata. Przecież to poprostu warjat. Trzeba go w ten sposób przedstawić. Nie znoszę tych kąsających panów. Sam nieraz mówię gorsze rzeczy, lecz nie z estrady. A tam już krzyczą o senatorze...

— O jakim senatorze? Kto krzyczy?

— Widzi pani, nie rozumiem sam. Czy pani nic nie słyszała o żadnym senatorze?

— O senatorze?

—Widzi pani, wszyscy są przekonani, że tu wyznaczono jakiegoś senatora, i że państwo zostaną odwołani rozkazem z Petersburga. Słyszałem to od wielu.

— I ja słyszałem, — potwierdziłem.

— Kto to opowiada? — zaniepokoiła się Julja Michajłowna.

— Pyta pani, kto pierwszy powiedział? Skądże ja mogę wiedzieć? Tak mówią. Mówi całe miasto. Wczoraj zwłaszcza o tem mówiono. Wszyscy są jacyś bardzo poważni, lecz trudno w tem się połapać. Ludzie mądrzejsi i bardziej wpływowi — nie mówią, lecz sami chętnie słuchają.

— Co za nikczemność! I co za głupota!

— Tak, więc teraz właśnie musi pani się pokazać, aby zamknąć im usta.

— Przyznam, że czuję to sama. Tak, powinnam... lecz co będzie, jeżeli oczekuje mnie nowa kompromitacja? Co będzie, jeżeli publiczność się nie stawi? Przecież nikt nie przyjdzie! Nikt, nikt!

— Co za przypuszczenie! Nie mieliby przyjechać? A cóż będzie ze strojami, z sukienkami panienek? Nie poznaję w pani kobiety! Nie zna się pani na ludziach!

— Marszałkowa nie przyjdzie...

— Ale cóż się takiego stało? Dlaczego nie ma przyjechać? — wybuchał już Piotr Stepanowicz.

— Co się stało? Kompromitacja, hańba! Nie wiem co się stało, lecz coś takiego, po czem nie mogę się ludziom na oczy pokazać.

— Dlaczego? A cóż pani winna? Dlaczego pani przyznaje się do winy? Czyż raczej nie jest winna publiczność, ci wszyscy staruszkowie, ojcowie rodzin? Powinni

byli powstrzymać zbytników i urwisów. Przecież oprócz urwisów i zbytników nic tam więcej nie było. Nic poważnego. Na żadnem zebraniu, nigdzie, policja nie dała sobie rady sama. U nas każdy chce, aby przydano mu posterunkowego dla osobistej ochrony. Nie rozumieją, że społeczeństwo powinno bronić samo siebie. Cóż robią u nas w takich wypadkach ojcowie rodzin, dygnitarze, ich żony i córy? Siedzą cicho i gniewają się. Nie wystarcza inicjatywy społecznej nawet na poskromienie urwisów.

— Ach, to złota prawda! Milczą, dąsają się i... rozglądają się naokoło.

— Więc dobrze, jeżeli to prawda, niech pani ją wypowie głośno, dumnie, surowo! Niech pani pokaże, że nie jest zmiażdżona. Właśnie tym staruszkom i matronom. O, pani potrafi, pani ma talent, byle mózg funkcjonował spokojnie. Pani skupi ich naokoło siebie, a wtedy głośniej, głośniej... A potem korespondencyjkę do „Głosu" i do „Giełdowej". Niech pani pozwoli, ja już sam to urządzę. Oczywiście, trzeba mieć oko na wszystko, zwłaszcza pilnować bufetu. Poprosimy księcia, poprosimy pana... Przecież pani nie wolno nas opuścić w chwili, gdy musimy wszystko naprawić. A wreszcie — pani pod rękę z Andrzejem Antonowiczem. Jak zdrowie małżonka?

Pod wpływem nieoczekiwanego wzruszenia, prawie ze łzami, podnosząc chusteczkę do oczu, zawołała Julja Michajłowna na wspomnienie męża:

— Och, jak niesprawiedliwie, jak niesłusznie, jak niegodnie oceniał pan zawsze tego wyjątkowej dobroci człowieka!

Piotr Stepanowicz nawet zaciął się w pierwszej chwili.

— Ależ co pani mówi! Ja? Ależ ja zawsze...

— Pan nigdy, nigdy! Nigdy pan nie doceniał go!

Piotr Stepanowicz uśmiechnął się kwaśno i mruknął:

— Nigdy nie można zrozumieć kobiety.

— To najuczciwszy, najdelikatniejszy człowiek! Dobry, jak anioł.

— Ależ, pani! Któż zaprzecza? Nigdy nie wątpiłem w jego dobroć!

— Nieprawda! Lecz dajmy temu spokój. Zbyt nie w porę ujęłam się za nim. A wczoraj ta jezuitka, marszałkowa, także pozwoliła sobie na parę uwag o dniu wczorajszym.

— Och, niema też o czem myśleć, tylko o wczorajszem! I dzisiejszego poranku jej wystarczy. Dlaczego panią niepokoi, że ona się nie zjawi na balu? Ależ napewno nie zjawi się, skoro wpadła w taką awanturę. Może nawet nie zawiniła, lecz cóż robić z opinją? Maczała rączki...

— Co takiego? W czem maczała rączki? — zdumiała się Julja Michajłowna.

— Nie twierdzę nic, lecz na mieście mówią, że to ona pośredniczyła.

— Komu? W czem?

Piotr Stepanowicz zawołał z doskonale udanem zdziwieniem:

— Jakto, jeszcze pani nie rozumie? Stawroginowi i Lizawecie Mikołajewnie!

— Jak? Co? — zawołaliśmy chórem.

— Więc państwo nie wiedzą o niczem? Fiuuu! Ależ tu rozegrał się dramat miłosny! Lizaweta Mikołajewna wprost z karety pani marszałkowej była łaskawa przesiąść się do karety Stawrogina i razem ze wspomnianym Stawroginem drapnęła wśród białego dnia do Skworeszników. Bardzo niedawno, zaledwie przed godziną.

Osłupieliśmy. Zaczeliśmy dopytywać się o szczegóły. Jednakże Piotr Stepanowicz, aczkolwiek „wypadkowo" był świadkiem zdarzenia, nie był w stanie nic dokładnie opowiedzieć. Miało się to odbyć w sposób następujący: gdy marszałkowa, wprost po widowisku, podwiozła Lizę i Maurycego Mikołajewicza do domu matki Lizy (wciąż chorującej na nogi), już niedaleko od wjazdu, na uboczu w odległości dwudziestu pięciu kroków, oczekiwała na nią jakaś inna kareta. Liza, wyskoczywszy na ulicę, podbiegła do niej; drzwiczki otworzyły się i zatrzasnęły za nią. Liza krzyknęła do Maurycego Mikołajewicza: „Błagam o litość" i kareta całym pędem pomknęła do Skworeszników. Na rzucane przez nas pytania: „Czy to było umówione zawczasu?"

„Kto siedział w karecie?" — Piotr Stepanowicz odpowiedał, że nie wie o niczem; prawdopodobnie było to umówione, lecz Stawrogina nie zauważył w karecie; bardzo być może, że siedział tam tylko kamerdyner, staruszek Aleksy Jegorycz. Badaliśmy dalej, skąd on sam się tam znalazł, i skąd wie, że kareta pomknęła do Skworeszników. Piotr Stepanowicz tłumaczył, że wypadkowo przechodził obok ulicą, zobaczywszy zaś Lizę, nawet podbiegł do karety (jakże więc przy znanej ciekawości swojej nie miał dojrzeć, kto jest wewnątrz?); Maurycy Mikołajewicz nie puścił się w pogoń, a nawet usiłował zatrzymać marszałkową, która wyrywała się i krzyczała na cały głos: „Ona do Stawrogina! Do Stawrogina!"

Nie mogłem dłużej wytrzymać. Straciłem równowagę i rzuciłem się z furją na Piotra Stepanowicza.

— Toś ty, nikczemniku, urządził wszystko! Tyś pomagał Stawroginowi! Sam przyjechałeś w karecie! Wsadziłeś ją! Ty, ty, ty! Juljo Michajłowno, to najgorszy wróg pani! On zgubi i panią! Niech się pani strzeże!

Jak warjat wybiegłem z pokoju.

Dotychczas nie rozumiem, dotychczas dziwię się, jak mogłem zdobyć się na ten okrzyk. Lecz zgadłem. Wyjaśniło się później, że wszystko prawie odbyło się w ten sposób, jakem twierdził. Zbyt zresztą przezroczysty był wybieg, za stosowany przez Piotra Stepanowicza. Opowiedział o zajściu nie zaraz po przybyciu, jak o najważniejszej nowinie, lecz udawał, że wszyscy już wiemy o niem, a było to niemożliwe ze względu na brak czasu. Gdybyśmy zresztą wiedzieli, nie milczelibyśmy przecie i nie czekali, aż on się odezwie. Nie mógł również słyszeć, także ze względu na brak czasu, jak to w mieście już trąbią o marszałkowej. Opowiadając, dwakroć uśmiechnął się jakoś podle, jakgdyby miał powody uważać nas za oszukanych głupców. Lecz nie czas było zastanawiać się nad nim; fakt zasadniczy niezawodnie odpowiadał prawdzie, wybiegłem więc od Julji Michajłowny jak nieprzytomny. Katastrofa przeszyła mi serce. Ból ścisnął mnie za gardło; może nawet płakałem. Nie miałem pojęcia, co robić. Pobiegłem do Stepana Trofimowicza, lecz

znów nie zostałem przyjęty. Nastasja oznajmiła mi półszeptem, że pan położył się spać — lecz nie wierzyłem. W domu Lizy udało mi się dogadać ze służbą. Fakt ucieczki został stwierdzony, poza tem nie wiedziano o niczem. W domu panował niepokój; chora pani mdlała, a doglądał jej Maurycy Mikołajewicz. Uznałem za niemożliwe wywołać go. Na pytania moje służba opowiedziała, że Piotr Stepanowicz od kilku dni ciągle zaglądał, czasem nawet dwa razy dziennie. Służba była smutna, a odzywała się o Lizie ze specjalnym szacunkiem. Lubiono ją. O tem, że zginęła, zginęła na zawsze, — nie wątpiłem. Nie rozumiałem jednak psychologicznej strony faktu, zwłaszcza po wczorajszej scenie ze Stawroginem. Wydawało mi się rzeczą wstrętną i poniżającą Lizę, bieganie i zbieranie informacyj po znajomych domach, w których już napewno wszystko wiedzą. Rzecz dziwna: skierowałem się do Darji Pawłowny, lecz nie dostałem się do niej. (W domu Stawroginej nie przyjmowano nikogo od wczoraj). Nie wiem nawet, o czem mógłbym z nią rozmawiać i poco szedłem do niej. Pobiegłem do jej brata. Szatow wysłuchał mnie w ponurem milczeniu. Zastałem go już w niesłychanie ponurym nastroju. Był zamyślony i wysłuchał mnie z wysiłkiem. Nic mi prawie nie powiedział, tylko począł biegać po swojej norze wzdłuż i wpoprzek, tupiąc nogami mocniej niż zwykle. Gdym już zbiegał ze schodów, krzyknął za mną, abym zaszedł do Liputina: „tam się pan dowie o wszystkiem". Nie poszedłem jednak do Liputina, lecz uszedłszy spory kawał drogi, powróciłem do Szatowa, uchyliłem drzwi i nie wchodząc, zapytałem go lakonicznie i bez żadnych wyjaśnień, „czy nie zechciałby zajść dzisiaj do Marji Timofiejewny". Szatow odburknął mi niegrzecznie, odszedłem. Notuję tu zaraz, aby nie zapomnieć, że tegoż wieczora Szatow istotnie powlókł się na koniec miasta do Marji Timofiejewny, której już dawno nie widział. Znalazł ją zdrową i dość pogodną, a Lebiadkin, pijany do nieprzytomności, spał na kanapie w pierwszym pokoju. Była to dziewiąta wieczorem. Opowiadał mi o tem Szatow nazajutrz, gdym go spotkał w przelocie na ulicy.

O dziesiątej wieczorem zdecydowałem się pójść na bal, lecz już nie w roli „młodzieńca ze wstęgą", gdyż nawet

wstęgę zostawiłem u Julji Michajłowny, a jedynie dla zaspokojenia gwałtownej ciekawości. Chciałem podsłuchać, nie dopytując się, co mówią w mieście o tych wszystkich zdarzeniach. Chciałem także spojrzeć choć zdaleka, na Julję Michajłownę. Miałem sobie za złe, żem tak burzliwie wyszedł dziś od niej.

III.

Cała noc wraz z jej bezsensownym przebiegiem i strasznem „rozwiązaniem" o poranku, tkwi mi dotychczas w mózgu, jak sen upiorny. Stanowi ona, dla mnie przynajmniej, najboleśniejszą część mojej kroniki. Spóźniłem się trochę na bal, a trafiłem już na epilog, — tak szybko sądzone mu było skończyć się. Już była jedenasta, gdym dotarł do domu pani marszałkowej, gdzie ta sama biała sala, w której odbywał się poranek literacki, uprzątnięta i wyglancowana, służyła jako główna sala taneczna dla całego, jak sądzono, miasta. Lecz chociaż obawiałem się o ten bal, jednakże nie przeczułem całej prawdy. Nie stawiła się ani jedna rodzina ze sfer arystokratycznych; nawet wyżsi urzędnicy nie przybyli — a już nad tem warto było się zastanowić. Co się tyczy pań i panien, to przewidywania Piotra Stepanowicza (widocznie nieszczere) całkowicie zawiodły. Zjechała ich nieznaczna ilość; na każdych czterech mężczyzn wypadło po jednej kobiecie. I jakież to były kobiety! Jakieś tam żony pułkowych ober-oficerów, jakaś mizerota pocztowa i gubernjalna, trzy felczerki z córkami, dwie — trzy ziemianki z liczby najuboższych, siedem córek i jedna siostrzenica sekretarzyny, o którym już mówiłem, kilka kupcowych... Czyż tego spodziewała się Julja Michajłowna? Nawet solidniejszych kupców nie było. Co do mężczyzn, to tłum ich był dość gęsty, pomimo wyraźnej nieobecności ludzi wybitniejszych, lecz tłum ten czynił wrażenie dwuznaczne i podejrzane. Rzecz prosta, że było też trochę cichych, skromnych oficerów z żonami, kilku posłusznych ojców rodzin, jak naprzykład ów sekretarz z siedmiu córami. Ci drobni i spokojni ludzie stawili się „z konieczności", jak sami mówili potem.

Z drugiej strony jednak znacznie wzrosła ilość osobników hałaśliwych i takich, których ja i Piotr Stepanowicz podejrzewaliśmy, że się wcisnęli bez biletów. Wszyscy oni siedzieli tymczasem w bufecie. Każdy, wchodząc, skierowywał się wprost do bufetu, jakgdyby do zawczasu umówionego miejsca. Robiło to przynajmniej takie wrażenie. Bufet znajdował się w końcu amfilady, w obszernej sali. Królował tam Prochorycz ze wszystkiemi smakołykami kuchni klubowej i z nęcącą wystawą wódek i zakąsek. Zauważyłem tu parę osób w podartych surdutach, w bardzo podejrzanych, wcale nie balowych przyodziewkach. Wyglądali, jak ludzie przemocą wytrzeźwieni na krótką chwilę. Niewiadomo, skąd byli, lecz nie należeli do mieszkańców naszego miasta. Wiedziałem dobrze, że podług intencyj Julji Michajłowny, bal miał nosić charakter wybitnie demokratyczny, a wejścia nie wzbraniano „nawet mieszczanom, gdyby który z nich zapłacił za bilet". Mogła te słowa wypowiadać śmiało w komitecie, wiedząc, że nikomu z mieszczan, którzy naogół stanowili biedotę, nie przyjdzie do głowy kupić biletu. Jednakże miałem poważne wątpliwości, czy można wpuszczać tych oberwańców, pomimo całego demokratyzmu komitetu. Któż jednak wpuścił ich i w jakim celu? Liputin i Lamszyn byli już bez wstąg, lecz byli obecni na balu, jako uczestnicy kadryla literatury. Ale ku memu zdumieniu miejsce Liputina zajął ten sam seminarzysta, który najbardziej skompromitował poranek literacki scysją ze Stepanem Trofimowiczem, miejsce zaś Lamszyna — sam Piotr Stepanowicz. Czegóż więc można było oczekiwać? Starałem się wsłuchać w rozmowy. Niektóre opinje były wprost dzikie. Twierdzono, naprzykład, w jednej z grup, że cały wypadek Stawrogina z Lizą zorganizowała Julja Michajłowna, otrzymawszy za to od Stawrogina pieniądze. Wymieniano nawet sumę. Mówiono, że całą zabawę urządziła specjalnie w tym celu. Z tego też powodu nie stawiła się jakoby połowa miasta, dowiedziawszy się, jak sprawy stoją, a sam Lembke takiego doznał wstrząśnienia, że „stracił rozsądek" i Julja Michajłowna oprowadza go teraz nieprzytomnego. Było dużo dzikiego śmiechu, głośnego lub cichutkiego, pod wąsami. Wszyscy krytyko-

wali ostro bal, a Julji Michajłownie urągali bez żenady. Wogóle rozmowy były bezładne, urywane, podniecone i niespokojne, tak że trudno było wysnuć wnioski.

Oprócz osobników, o których mówiłem, do bufetu schronili się także ludzie poprostu weseli. Było nawet kilka pań z liczby takich, które niczemu już się nie dziwią i niczego nie boją, kokieteryjnie rozbawionych, głównie z pośród żon oficerskich — w towarzystwie mężów. Pozajmowali własnemi kółkami osobne stoliki i wesoło popijali herbatę. Bufet stał się schroniskiem połowy zebranej publiczności. Strach brał na myśl, że za chwilę ta cała gromada wwali się do sali.

Tymczasem zaś w białej sali, przy pomocy księcia, zorganizowane zostały trzy rzadziutkie kadryle. Panny tańczyły, rodzice patrzyli na nie z zachwytem. Lecz co poważniejsze osoby już rozmyślały, jakby to, zabawiwszy córy, umknąć zawczasu, a nie wtedy, gdy „już się zacznie". Wszyscy bez wyjątku byli przekonani, że musi się „zacząć". Byłoby mi trudno odtworzyć stan psychiczny Julji Michajłowny. Nie rozmawiałem z nią, chociaż parokrotnie zbliżałem się do niej. Na mój pierwszy ukłon nie odpowiedziała, nie zauważywszy mnie (wiem, że naprawdę nie zauważyła). Twarz miała chorobliwą, wyraz pogardliwy i wyniosły, lecz jakiś niespokojny, zabłąkany. Widocznie z trudem panowała nad sobą. Poco i dla kogo męczyła się? Tak, powinnaby opuścić bal, przedewszystkiem zaś zabrać męża, — ona zaś trwała. Z twarzy jej było widać, że się jej oczy wreszcie otworzyły, i że się już niczego nie spodziewa. Nie przywoływała do siebie nawet Piotra Stepanowicza. On sam zresztą najwidoczniej unikał jej: widziałem go w bufecie, był w świetnym humorze. Pozostawała na balu i na krok nie puszczała od siebie Andrzeja Antonowicza. O, do ostatniej chwili gotowa była z najwyższem oburzeniem odrzucić wszelką myśl o jego chorobie, nawet po tem, co wczoraj zaszło. Lecz sądzone było jej oczom otworzyć się dzisiaj nawet pod tym względem. Co do mnie, zauważyłem odrazu, że gubernator ma się gorzej, niż dziś rano. Zdawało się, że jest jak nieobecny i niebardzo wie, co się

naokoło niego dzieje. Od czasu do czasu rozglądał się wokół niesłychanie srogo. Tak spojrzał parę razy i na mnie. Za pierwszym razem próbował coś powiedzieć, lecz nie skończył, przestraszywszy tem nawet jakiegoś skromnego staruszka, urzędniczynę, który znalazł się obok.

Nawet ta spokojna część publiczności, która znajdowała się w białej sali, ponuro i trwożnie boczyła się przed Julją Michajłowną, rzucając jednocześnie niezwykle zdziwione spojrzenia na jej małżonka. Przenikliwość i otwartość spojrzeń zupełnie nie licowała z normalną pokorą tych ludzi. Sama Julja Michajłowna przyznawała mi się potem:

— Te właśnie spojrzenia uderzyły mnie odrazu i zaczęłam domyślać się czegoś o mężu.

Znów zbłądziła. Kiedy, po gwałtownem mojem wyjściu dziś po południu, zapadła z namowy Piotra Stepanowicza decyzja, że bal się jednak odbędzie, i że trzeba być na balu, napewno Julja Michajłowna znów pobiegła do gabinetu męża, ostatecznie już wytrąconego z równowagi porankiem literackim, i użyła wszystkich swoich sposobów, aby go skłonić do towarzyszenia jej. Jakże musiała dręczyć się teraz! Jednakże nie opuszczała balu. Czy trawiła ją duma, czy poprostu straciła się, — nie wiem. Poniżając się, wbrew znanej wyniosłości swojej, i uśmiechając się mile, starała się nawiązać rozmowę z niektóremi paniami. One jednak rumieniły się, poprzestawały na nieufnych słówkach „tak" lub „nie", i najwidoczniej wolały unikać rozmowy.

Z solidniejszych dygnitarzy naszego miasta na balu był tylko jeden: ten sam dostojny dymisjonowany generał, o którym już raz mówiłem, a który po pojedynku Gaganowa ze Stawroginem „dawał wyraz niecierpliwości publicznej". Chodził teraz poważnie z sali do sali, przyglądał się i przysłuchiwał, starając się wykazać, że przybył tu nie dla przyjemności, lecz celem obserwowania obyczajów. Skończył na tem, że przyłączył się do Julji Michajłowny, i już nie odstępował od niej ani na krok, starając się uspokoić ją i dodać jej otuchy. Niewątpliwie był to człowiek bardzo dobry, bardzo poważny, a tak stary, że można było przyjąć od niego nawet litość. Przykro jednak było pani gubernatorowej przyznać się w duchu, że ten stary gaduła lituje się

nad nią, roztacza nad nią opiekę, i nawet jakgdyby sprawiał jej zaszczyt swojem towarzystwem. Generał nie odchodził i mówił bez przerwy.

— Niema miasta bez siedmiu sprawiedliwych... zdaje się, siedmiu... nie pamiętam dobrze ustanowionej liczby. Nie wiem, wielu z tych niezaprzeczalnych cnotliwców naszego miasta... miało zaszczyt przybyć na ten bal, lecz, pomimo ich niezawodnej tu obecności... przestaję się czuć bezpiecznym. *Vous me pardonnerez, charmante dame, n'est ce pas?* Mówię al-le-go-rycznie, lecz... zaglądałem do bufetu i cieszę się, że wyszedłem cały... Nasz nieoceniony Prochorycz nie jest tam na miejscu... zdaje się, że do rana namiot jego zostanie zmieciony. Żartuję zresztą. Czekam tylko, co to będzie „kadryl li-te-ra-tu-ry", a potem — do łóżka. Wybaczy pani staremu artretykowi. Kładę się spać wcześnie. I pani także radziłbym „luli", jak się mówi *aux enfants*. A ja tu właściwie przyjechałem dla młodych piękności, których jednak, pomimo bogatego kompletu, nigdzie odszukać nie mogę... oprócz, oczywiście, tego tu miejsca. Wszystkie z Zarzecza, a ja tam nie bywam. Żona jednego oficera... zdaje się, jegra... bardzo niebrzydka, bardzo... i wie o tem. Rozmawiałem z szelmutką. Jest śmiała. Są także świeżutkie dziewczynki, lecz nic więcej, nic, oprócz świeżości. A zresztą, patrzyłem z przyjemnością. Jak pączki... tylko wargi mają za grube. Wogóle piękno kobiet rosyjskich nie posiada tej prawidłowości rysów... są nieco podobne do blinów. *Vous me pardonnerez, n'est ce pas*... lecz oczęta ładne, śmiejące się... Te pączki przez dwa lata swej młodości są cza-ru-ją-ce, nawet trzy lata... a potem rozpływają się na zawsze, wytwarzając w mężach ten in-dy-fe-ren-tyzm, który przyczynia się do rozwoju kwestji kobiecej, o ile prawidłowo rozumiem tę kwestję... Hm! Sala jest piękna. Udekorowana nieźle. Mogło być gorzej. Orkiestra mogła być znacznie gorsza, — nie znaczy to, aby powinna była być taką. Źle, że mało jest pań. Nie będę wspominał o strojach. To źle, że ten pan w szarych ineksprymablach pozwala sobie tak otwarcie kan-ka-no-wać. Wybaczam mu, jeśli to czyni z radości, zwłaszcza, że jest to aptekarz miejscowy, lecz... o godzinie jedenastej to za wcześnie nawet dla

aptekarza... Tam w bufecie dwaj goście pobili się, i nie zostali wyprowadzeni. O jedenastej godzinie, niezależnie od obyczajów miejscowych, należy wyprowadzać bijących się... co innego o trzeciej w nocy... wtedy koniecznie będą pewne ustępstwa dla opinji publicznej... o ile wogóle ten bal dotrwa do trzeciej godziny. A Barbara Piotrowna nie dotrzymała słowa i nie przysłała kwiatów. Hm! Czy jej teraz do kwiatów! *Pauvre mère!* A biedna Liza! Słyszała pani? Mówią, że to tajemnicza historja... a Stawrogin znów na scenie... Hm! pojechałbym spać. Już kiwam nosem... Kiedyż zacznie się „kadryl literatury"?

Rozpoczął się wreszcie ów kadryl. W ostatnich dniach gdy gdziekolwiek rozpoczynała się rozmowa o przyszłym balu, schodziła ona natychmiast na „kadryl literatury", a ponieważ nikt nie mógł wyobrazić sobie, co to ma być, zainteresowanie było olbrzymie. Było to niebezpieczne dla sukcesu. A jakież nastąpiło rozczarowanie!

Otwarły się boczne drzwi, zamknięte dotychczas i do białej sali weszło kilka masek. Publiczność obstąpiła je. Cały bufet, aż do ostatniego gościa, tłumnie wpadł do sali. Maski stanęły do tańca. Zdołałem przecisnąć się naprzód i zająłem miejsce zaraz za Julją Michajłowną, jej mężem i starym generałem. W tej chwili podbiegł do niej Piotr Stepanowicz.

— Jestem w bufecie i wciąż obserwuję, — szepnął z miną sztubaka, który nabroił, lecz miną tak widocznie robioną, jakgdyby chciał jeszcze więcej ją podrażnić.

Julja Michajłowna wybuchnęła gniewem.

— Mógłbyś pan teraz przynajmniej przestać oszukiwać mnie. To zuchwalstwo!

Powiedziała to tak głośno, że słyszała jej słowa część zebranych.

Piotr Stepanowicz, zadowolony z siebie, odskoczył na stronę.

Trudno wyobrazić sobie bardziej płaską, bezmyślną i niesmaczną alegorję, jak ów „kadryl literatury". Trudno też było wymyślić coś mniej odpowiedniego dla naszej publiczności; tymczasem jednak autorem był podobno Karma-

zinow. Reżyserja należała wprawdzie do Liputina, który naradzał się z owym kulawym nauczycielem, obecnym na wieczorze u Wirgińskiego. Lecz pomysł dał Karmazinow, który zamierzał nawet sam się przebrać i odegrać jakąś specjalną i samodzielną rolę. Kadryl składał się z sześciu par marnych masek. Nie były to nawet maski, gdyż ubrane były tak, jak wszyscy. Tak, naprzykład, jakiś poważny jegomość, średniego wzrostu, miał przyczepioną długą, siwą brodę. Na tem polegał cały kostjum, gdyż ubrany był we frak, jak my wszyscy. Tańcząc, deptał wciąż na miejscu z solidnym wyrazem twarzy, gęsto poruszając nogami, lecz nie schodząc z miejsca. Wydawał jakieś dźwięki umiarkowanym, lecz ochrypłym basem i ta ochrypłość miała symbolizować jedną z gazet miejscowych. Naprzeciwko tej maski tańczyli jacyś dwaj olbrzymi X i Z, a litery te mieli przypięte do fraków; co jednak znaczy to X i to Z, — pozostało niewyjaśnionem. „Uczciwą myśl rosyjską" odtwarzał jakiś jegomość w średnim wieku, w okularach, we fraku, w rękawiczkach i... w kajdanach (w prawdziwych kajdanach). Pod pachą miał teczkę z jakiemiś aktami. Z kieszeni wyglądała mu otworzona koperta z listem z zagranicy, zawierającym zaświadczenie o uczciwości, „uczciwej myśli rosyjskiej", na wypadek, gdyby ktokolwiek zwątpił. Wszystko to tłumaczyli zebranym aranżerzy, gdyż naprzykład listu, wyglądającego z kieszeni, nie można było bądź co bądź przeczytać. „Uczciwa myśl rosyjska" trzymała w ręku podniesiony kielich, jakgdyby zamierzała wygłosić toast. Obok niej z obu stron drobnym kroczkiem posuwały się dwie ostrzyżone nihilistki, *vis-à-vis* tańczył jakiś starszy pan we fraku, lecz z ciężkim kijem w ręku. Miał on wyobrażać pewne wydawnictwo, niepetersburskie, lecz groźne: „Uderzę — miazga zostanie". Pomimo kija, pan ów nie mógł znieść uparcie skierowanych ku niemu okularów „uczciwej myśli rosyjskiej", starał się patrzeć wbok, gdy zaś robił *pas de deux*, wyginał się, skręcał, nie wiedząc gdzie się podziać, — tak dręczyło go sumienie. Nie będę już powtarzał tych wszystkich głupich pomysłów... Całość była w takim stylu, że wreszcie poczułem jakiś dręczący wstyd. I to samo uczucie wstydu widoczne było wśród publiczności, nawet na

obliczach najwięcej ponurych przybyszów z bufetu. Narazie milczeli wszyscy i przyglądali się w zdumieniu. Lecz człowiek, który się wstydzi, zazwyczaj zaczyna się irytować i skłonny jest do cynizmu. Stopniowo publiczność zaczęła burzyć się.

— Co tu się dzieje? — odezwał się jakiś gość z bufetu.

— Jakieś idjotyzmy.

— Jakaś literatura. Krytykują „Głos".

— A co mnie to obchodzi...

W innej grupie:

— Osły!

— Nie, to nie oni osły, lecz my.

— Dlaczego masz być osłem?

— Ja nie jestem osłem.

— Więc ja tem bardziej.

W trzeciej grupie:

— Wartoby zbić ich wszystkich, i precz z sali!

— Zdemolować salę!

W czwartej:

— Jak się nie wstydzą Lembkowie patrzeć?

— Dlaczego mają się wstydzić? Czyż tobie wstyd?

— Wstyd. A on — gubernator.

— A tyś świnia.

Tuż obok Julji Michajłowny odezwała się pewna dama z widoczną chęcią być usłyszaną:

— Nigdy w życiu nie widziałam tak pospolitego balu.

Dama ta miała około czterdziestki. Była zażywna i rumiana, w jaskrawej sukni jedwabnej. Znali ją wszyscy w mieście, lecz nikt z nią nie podtrzymywał stosunków. Była to wdowa po radcy stanu, który zostawił jej drewniany domek i skromną pensyjkę. Żyła jednak dobrze i trzymała konie. Przed paru miesiącami złożyła pierwszą wizytę Julji Michajłownie, lecz nie została przyjęta.

— Zresztą można było przewidzieć to wszystko, — dodała, zuchwale patrząc w oczy Julji Michajłownie.

Julja Michajłowna nie zdołała się powstrzymać.

— Jeżeli pani przewidywała, to poco było przychodzić?

— Przez wrodzoną naiwność, — odcięła się natychmiast tamta i nasrożyła się. Najwidoczniej szukała zaczepki.

W tej chwili rozdzielił panie generał. Schylił się ku Julji Michajłownie i szepnął:

— *Chère dame*, niech pani odejdzie. Przeszkadzamy im tylko, a bez nas zabawiliby się doskonale. Zrobiła pani wszystko, co do niej należało. Otworzyła pani bal, a teraz niech pani da im spokój. I Andrzej Antonowicz, zdaje mi się, nie czuje się za-da-wa-la-ją-co. Oby nie było nieszczęścia!

Lecz już było za późno.

Andrzej Antonowicz przez cały czas kadryla przyglądał się tańczącym z jakiemś gniewnem zdumieniem. Gdy rozległy się szmery wśród publiczności, zaczął się rozglądać niespokojnie. Tu po raz pierwszy dostrzegł niektóre osobistości bufetowe. Niesłychane zdziwienie odmalowało się na jego twarzy. W tej chwili rozległ się na sali śmiech z powodu jakiegoś figla kadrylowego. Wydawca „groźnego niepetersburskiego wydawnictwa", który tańczył z kijem w ręku, poczuł ostatecznie, że nie może znieść okularów „uczciwej myśli rosyjskiej". Nie wiedząc, gdzie się podziać, już w ostatniej figurze, poszedł naprzeciwko okularom do góry nogami. Miało to odtworzyć stałe przewracanie do góry nogami zdrowego sensu w „groźnem niepetersburskiem wydawnictwie". Ponieważ tylko Lamszyn umiał chodzić na rękach, jemu powierzona była rola wydawcy z kijem. Julja Michajłowna nie została uprzedzona, że będą chodzili do góry nogami. „Zatajli to przede mną, zatajli!", powtarzała potem z oburzeniem i rozpaczą. Wybuch śmiechu towarzyszył wybrykowi. Śmiano się nie z alegorji, która nie obchodziła nikogo, lecz poprostu z chodzenia do góry nogami we fraku. Lembke zatrząsł się.

— Nikczemnik! — zawołał, wskazując na Lamszyna. Schwycić tego zbója! Odwrócić nogami... głową... żeby głowa była u góry, u góry!

Lamszyn zerwał się na nogi. Śmiech wzrastał.

— Wypędzić wszystkich nikczemników, którzy się śmieją! — rozkazał znienacka Lembke.

Tłum zahuczał i zakołysał się.

— Tak nie wolno, ekscelencjo!

— Idjota! — krzyknął ktoś w rogu sali.

— Flibustjerzy! — zawołał ktoś inny w drugim końcu.

Lembke odwrócił się, słysząc krzyki, i zbladł gwałtownie. Na ustach jego ukazał się tępy uśmiech. Zdawało się, że teraz dopiero coś zrozumiał i uprzytomnił sobie.

— Panowie! — zwróciła się Julja Michajłowna do nasuwającego się tłumu, ciągnąc za sobą męża: — Panowie! Nie miejcie tego za złe Andrzejowi Antonowiczowi! On niezdrów... wybaczcie mu, panowie!

Wyraźnie słyszałem że powiedziała: „wybaczcie". Scena ta trwała krótko. Pamiętam dobrze, że część publiczności w tej chwili rzuciła się do drzwi, jak w panice, i to właśnie po tych słowach Julji Michajłowny. Pamiętam nawet histeryczny okrzyk kobiecy przez łzy.

— Ach, to samo, co rano!

I raptem w ten tłoczący się tłum wpadła bomba, właśnie „tak samo jak rano".

— Pożar! Zarzecze w ogniu!

Nie pamiętam gdzie rozległ się ten straszny okrzyk. Czy krzyknął ktoś na sali, czy może to wbiegł ktoś z przedpokoju, lecz nastąpiła taka trwoga, że nie potrafię jej opisać. Więcej niż połowa zebranej publiczności pochodziła z Zarzecza. Byli to właściciele drewnianych domków lub ich mieszkańcy. Rzucili się do okien, rozsunęli kotary, pozrywali firanki. Zarzecze paliło się. Pożar wprawdzie dopiero się zaczął, lecz ogień był widoczny w trzech miejscach, zupełnie rozmaitych. To właśnie przerażało.

— Podpalili! Szpigulinowscy! — krzyczano w tłumie.

Udało mi się schwycić parę charakterystycznych okrzyków.

— Szpigulinowscy! Szpigulinowscy! Nikt inny.

— Zebrano nas tu, aby tam podpalić!

Ten ostatni dziwaczny okrzyk należał do kobiety. Bezwiedny, mimowolny głos pogorzelca. Wszyscy rzucili się do wyjścia. Nie będę opisywał tłoku w przedpokoju przy odbieraniu futer, chustek i palt, ani pisku przerażonych kobiet, ani płaczu panien. Wątpię, aby miały miejsce jakie kradzieże. Nie dziwota jednak, że wobec takiego chaosu niejeden musiał odejść bez ciepłego przyodziewku, nie odszukawszy własnego, o czem długo potem z upiększeniami i dodatkami opowiadano w mieście. Lembke i Julja Michajłowna trafili w sam środek ciżby w drzwiach. Lembke, groźnie wyciągając dłoń w kierunku tłoczących się, wreszczał:

— Zatrzymać wszystkich! Nie wypuszczać nikogo! Wszystkich bez wyjątku poddać rewizji osobistej! Natychmiast!

Mocne słówka rozległy się na sali w odpowiedzi.

— Andrzeju Antonowiczu! Andrzeju Antonowiczu! — wołała Lembkowa w rozpaczy.

— Ją pierwszą aresztować! — krzyczał gubernator, wskazując żonę palcem. — Poddać rewizji osobistej! Bal był urządzony dla pożaru!

Julja Michajłowna krzyknęła i zemdlała (o, teraz napewno już naprawdę zemdlała). Książę, generał i ja rzuciliśmy się na pomoc, parę innych osób pomogło nam w tej chwili, nawet niektóre panie. Wynieśliśmy biedaczkę z tego piekła do karety. Ocknęła się dopiero dojeżdżając do domu, i pierwszy jej okrzyk był znów o Andrzeju Antonowiczu. Po zawaleniu się wszystkich fantazyj, pozostał jej on tylko. Posłaliśmy po doktora. Przeczekałem u niej całą godzinę, książę także; generał, w napadzie wspaniałomyślności, chociaż sam przerażony nie na żarty, zamierzał przez całą noc nie odchodzić od „łoża nieszczęsnej kobiety". Po dziesięciu minutach, nie doczekawszy się nawet doktora, zasnął w sali, na fotelu. Takeśmy go tam zostawili.

Komendant policji, śpiesząc z balu na pożar, zdołał wprowadzić Andrzeja Antonowicza zaraz po naszem wyjściu. Chciał nawet usadowić go w karecie Julji Michajłowny, namawiając ekscelencję „aby zechciała spocząć".

Dziwię się nawet, że nie nastawał na tem. Andrzej Antonowicz ani chciał słyszeć o odpoczynku i wyrywał się na pożar; lecz nie należało ulegać tym kaprysom. Skończyło się na tem, że właśnie sam komendant policji zawiózł gubernatora na pożar własnym powozikiem. Opowiadał potem, że Lembke przez całą drogę gestykulował i „wygłaszał takie idee, że nie można było ich wykonać z powodu niezwykłości". Potem w raporcie było napisane, iż „ekscelencja już w tym momencie była w stanie białej gorączki z powodu gwałtowności przerażenia".

Nie warto mówić jak się skończył bal. W sali pozostało parę dziesiątków hulaków, a z nimi kilka dam. Policji nie było już wcale. Orkiestrę zatrzymano i pobito muzykantów, którzy chcieli odejść. Nad ranem zdemolowano „namiot Prochorycza", pito do nieprzytomności, tańczono kamaryńskiego, w sposób niecenzuralny zanieczyszczono salę. O świcie część tej bandy, zupełnie pijana, skierowała się na pogorzelisko, aby tam broić dalej. Druga część urządziła sobie nocleg na sali, w stanie zupełnie nieprzytomnym, ze wszystkiemi następstwami przepicia, na kanapach pluszowych i na podłodze. Rano dopiero powyciągano ich za nogi na ulicę. Tak skończyła się zabawa na dochód dla nauczycielek naszej gubernji.

IV.

Pożar wystraszył naszą publiczność zarzecką głównie dlatego, że podpalenie było widoczne. To ciekawe, że po pierwszym okrzyku „gore!" rozległ się drugi: „Podpalili Szpigulinowscy!". Teraz już wiadomo, że trzej robotnicy z tej fabryki istotnie uczestniczyli w zbrodni—lecz na tem koniec. Inni robotnicy zostali zwolnieni od wszelkich zarzutów zarówno w drodze oficjalnej, jak i w opinji publicznej. Oprócz tych trzech łotrów (z których jeden został złapany i przyznał się do winy, a dwaj ukrywają się dotychczas), niezawodnie brał udział Fiedia Katorżny. Oto wszystko, co jest ściśle wiadome o pochodzeniu pożaru. Reszta — to tylko domysły. Czem się powodowali ci trzej robotnicy,

czy zostali przez kogoś nasłani? Trudno dać na to odpowiedź nawet obecnie.

Ponieważ był silny wiatr, a zabudowania na Zarzeczu były prawie wszystkie drewniane, i ponieważ podpalenie nastąpiło w trzech odrębnych punktach, ogień rozpowszechniał się niesłychanie szybko. (Zresztą pożar rozpoczął się naprawdę w dwóch miejscach, gdyż w trzeciem zatrzymano i zgaszono go zaraz na początku, o czem będzie tu mowa). W korespondencjach stołecznych nieco przesadzono rozmiary katastrofy: w istocie spaliła się mniej więcej tylko czwarta część Zarzecza. W każdym razie nie więcej. Nasza straż ogniowa, chociaż niedostateczna wobec przestrzeni i zaludnienia naszego miasta, działała sprawnie i dzielnie. Niewieleby jednak mogła zrobić, pomimo pomocy obywateli, gdyby nad ranem nie ustał wiatr.

Gdy w godzinę po ucieczce z balu dostałem się do Zarzecza, ogień był już w całej swej sile. Cała ulica, równoległa do rzeki, płonęła. Było jasno, jak w dzień. Nie będę opisywał dokładnie samego pożaru: kto w Rosji nie zna tego obrazu? W uliczkach przyległych do płonącej, panował tłok i gwałt niesłychany. Spodziewano się tu ognia lada chwila i mieszkańcy wyciągali ruchomości, lecz wciąż nie odchodzili od domków swoich. Siedzieli w oczekiwaniu na kufrach i pierzynach, każdy przed swemi oknami. Część ludności męskiej zatrudniona była żmudną robotą: bezlitośnie rąbała płoty i waliła całe domostwa, stojące bliżej od ognia pod wiatrem. Płakały rozbudzone dzieci, wyły kobiety, które zdążyły już powyciągać swoje ubogie sprzęty. Inne w milczeniu i energicznie wynosiły rzeczy. Iskry i wióry rozlatywały się na daleką przestrzeń. Usiłowano gasić je. Na pogorzelisku tłoczyli się widzowie z innych części miasta. Niektórzy pomagali ratować, inni gapili się z amatorstwa. Duży ogień w nocy wywiera zawsze wrażenie podniecające i wesołe. Na tem oparte są fajerwerki. Tam jednak ognie rozkładają się w linjach prawidłowych i wdzięcznych; całkowicie bezpieczne, wywołują nastrój lekki i wesoły, jak kielich szampana. Co innego prawdziwy pożar. Tu zgroza, a jednocześnie pewne po-

czucie bezpieczestwa osobistego, połączone z podniecającym wpływem ognia w nocy, powodują u widza (o ile nie jest nim sam pogorzelec) pewne wstrząśnienie mózgu i budzą w nim instynkty burzycielskie, które, niestety, spoczywają w każdej duszy: nawet w duszy najskromniejszego familijnego urzędniczyny... Ten ponury nastrój ma w sobie coś odurzającego. „Naprawdę wątpię, czy można patrzeć na pożar bez pewnej przyjemności?“ — powiedział mi to kiedyś Stepan Trofimowicz pod świeżem wrażeniem widowiska, gdy powrócił kiedyś z nocnego pożaru, na który trafił wypadkowo. Oczywiście, że taki amator pożarów nocnych samby się rzucił w ogień, gdyby trzeba było ratować dziecko lub kobietę. Lecz to już inna kwestja.

Przeciskając się wśród tłumu ciekawych dobrnąłem do głównego, najgroźniejszego miejsca, gdzie zobaczyłem nakoniec Lembkego. Szukałem go z polecenia Julji Michajłowny. Zastałem go w dziwnej i niezwykłej sytuacji. Stał na rumowiskach jakiegoś płotu. Na lewo od niego, o jakie trzydzieści kroków, sterczał szkielet dwupiętrowego, spalonego już domu drewnianego. Zamiast okien na obu piętrach były dziury, dach się zawalił, a płomyki wciąż jeszcze lizały zwęglone słupy. Wgłębi podwórka, o dwadzieścia kroków od spalonego domu, zaczynała płonąć oficyna, przy której zawzięcie pracowali strażacy. Z prawej strony strażacy i obywatele bronili zaciekle drewnianego budynku, który nie stał jeszcze w ogniu, lecz kilkakrotnie zajmował się. Los tego budynku był przesądzony. Lembke krzyczał i gestykulował, zwrócony twarzą do oficyny, i wydawał rozkazy, niespełniane przez nikogo. Wydało mi się narazie, że tak go tu porzucono i opuszczono. Otaczał go wprawdzie dość gęsty i różnobarwny tłum, w którym obok ludzi prostych byli i panowie, a także zdarzył się jakiś pop z soboru, lecz nikt nie odzywał się do niego, ani nie próbował go odprowadzić. Lembke blady, z iskrzącemi się oczami, wygadywał niestworzone rzeczy; był poza tem bez czapki; zgubił ją dawno.

— Podpalili! To nihilizm! To nihilizm się pali! — posłyszałem ku swemu przerażeniu. Chociaż trudno już

było dziwić się czemukolwiek, jednakże realna rzeczywistość zawsze ma w sobie coś wymownego.

— Ekscelencjo, — odezwał się przodownik, który był obok: — czy nie zechciałaby ekscelencja powrócić w domowe zacisze? A tu nawet niebezpiecznie dla ekscelencji.

Dowiedziałem się, że ów przodownik był pozostawiony przy Andrzeju Antonowiczu przez komendanta policji. Polecono mu pilnować gubernatora i za wszelką cenę skłaniać go do opuszczenia pożaru a w krytycznej chwili nawet użyć siły. Oczywiście, że przodownik nie mógł podołać temu zadaniu.

— Wyschną łzy pogorzelców, lecz miasto spłonie! To czterech łotrów! Półpiąta łotra: aresztować go! Porywa się na cześć rodzin! Dla pożaru użył nauczycielek: to podłość, podłość! Ach, co on tam robi! — krzyknął znienacka, zobaczywszy na dachu płonącej oficyny strażaka, pod którym przepalił się już dach, a wokół buchał ogień. — Ściągnąć go stamtąd! Zawali się, spali się! Gaście go... Co on tam robi?

— Gasi, ekscelencjo!

— To niemożliwe! Pożar jest w umysłach, a nie na dachach domów! Ściągnąć go i porzucić wszystko! Najlepiej dać spokój! Niech jakoś samo... A kto tam płacze? Starucha? Krzyczy staruszka! Dlaczego zapomnieli o staruszce?

Istotnie, na parterze płonacej oficyny krzyczała jakaś staruszka, osiemdziesięcioletnia krewniaczka właściciela domu. Nie zapomniano o niej, lecz sama wróciła do palącego się już domu, dopóki było to możliwe, z warjackim zamiarem wyciągnięcia pierzyny z bocznej komórki, jeszcze wówczas całej. Dławiąc się od dymu i krzycząc od gorąca, gdyż i komórka stanęła już w ogniu babina usiłowała jednak przecisnąć starczemi dłońmi pierzynę przez wybite okno. Lembke rzucił się jej na pomoc. Widzieli wszyscy, jak podbiegł do okna, schwycił róg pierzyny i z całych sił targnął przez okno. Na nieszczęście w tej chwili spadła z dachu wyłamana deska. Nie zabiła go, zadrasnąwszy tylko brzeżkiem kark, lecz na tem skończyła się działalność

Andrzeja Antonowicza (przynajmniej u nas). Uderzenie zwaliło go z nóg. Upadł nieprzytomny.

Nastał wreszcie ponury, mroczny świt. Pożar się zmniejszył. Po wichurze nastąpiła cisza, potem zaś zaczął kropić drobny deszczyk, jak przez sito. Byłem już wtedy w innej części Zarzecza, daleko od tego miejsca, gdzie upadł Lembke, i tu w tłumie posłyszałem dziwne opowieści. Ujawniony został zastanawiający fakt: na końcu dzielnicy, na pustkowiu, za ogrodami, przynajmniej o pięćdziesiąt kroków od najbliższego budynku, stał samotnie niedawno odbudowany domek drewniany, i ten właśnie domek zapalił się wcześniej od innych, na początku pożaru. Gdyby nawet spłonął cały, nie mógłby z powodu odległości zapalić innych zabudowań miejskich; gdyby, przeciwnie, spłonęło całe Zarzecze, ten jednak domek mógłby ocaleć, pomimo wiatru. Wyglądało na to, że podpalony został osobno i samodzielnie, a więc celowo. Nie zdążył jednak spłonąć i nad ranem wykryto wewnątrz dziwne rzeczy. Właściciel tego domku, mieszczanin, który mieszkał w nieodległej uliczce, zauważywszy odrazu pożar w swym nowym domku, rzucił się na ratunek i zdołał obronić domostwo, rozrzuciwszy przy pomocy sąsiadów palące się drwa, złożone przy bocznej ścianie. Lecz w domku tym byli lokatorzy — znany w mieście kapitan z siostrą, a przy nich starsza wyrobnica. Ci trzej mieszkańcy, kapitan, jego siostra i robotnica, zostali wszyscy zarżnięci w nocy, i prawdopodobnie obrabowani. (Tu właśnie był komendant policji wtedy, gdy Lembke wyciągał pierzynę). Nad ranem rozniosła się wieść o mordzie i tłumy najrozmaitszych ludzi, nie wyłączając pogorzelców, zwaliły na miejsce zbrodni. Tak było tłoczno, że trudno było się przecisnąć. Dowiedziałem się odrazu, że kapitana znaleziono na ławce, w ubraniu, z poderżniętem gardłem. Widocznie w chwili mordu był śmiertelnie pijany, i nic nie czuł, a krwi upłynęło z niego tyle, co z byka. Siostra jego, Marja Timofiejewna, cała pokłuta jest nożem i leży przy drzwiach na podłodze. Musiała bić się i walczyć z zabójcą zupełnie przytomnie. Służąca, która także musiała się zbudzić, ma kompletnie roztrzaskaną czaszkę. Podług opowiadań gospodarza, kapitan w przeddzień rano, już nietrzeźwy,

zachodził do niego i pokazywał pieniądze, tak ze dwieście rubli. Znaleziono na podłodze stary, porwany portfel zielony kapitana. Leżał pusty. Kufer Marji Timofiejewny był nieruszony, a srebrna szata na obrazie nietknięta. Ubranie kapitana także pozostało w całości. Widać było, że złodziej się śpieszył i widocznie znał dobrze sprawy kapitana: przyszedł po pieniądze i wiedział, gdzie leżą. Gdyby nie nadążył w porę gospodarz, od drew zapaliłby się dom i spłonął cały, a po zwęglonych trupach trudno byłoby wykryć prawdę.

Tak opowiadano. Dodawano jeszcze jedną informację: mieszkanie wynajął dla kapitana i jego siostry sam pan Stawrogin, Mikołaj Wsiewołodowicz, syn generałowej. Osobiście wynajmował, bardzo upraszał gospodarza, który nie chciał się zgodzić, gdyż przeznaczał dom na szynk. Lecz pan Stawrogin nie żałował pieniędzy i zapłacił odrazu za półrocze zgóry.

— Niedarmo był pożar, — mówiono w tłumie. Większość jednak milczała. Twarze były ponure, nie zauważyłem wszakże zbyt wielkiego podrażnienia. Lecz nie milkły opowieści o Mikołaju Stawroginie, o tem, że zabita jest jego żona, że wczoraj z jednego z najpiękniejszych domów w mieście, od generałowej Drozdowej, wykradł on w sposób podstępny pannę, córkę generałowej, i że idzie na niego skarga do Petersburga. A jeżeli żona jego zamordowana, to widocznie dlatego, aby umożliwić mu ślub z tamtą. Skworeszniki były w odległości półtrzeciej wiorsty; pamiętam, że mi przyszło do głowy: „może pójść uprzedzić ich". Nie zauważyłem zresztą, aby ktokolwiek podżegał tłum. Nie mogę tego twierdzić, chociaż zauważyłem parę figur z publiczności „bufetowej", które dobrnęły nad ranem na pożar. Poznałem je odrazu.

Najgłębiej jednak utkwił mi w pamięci pewien szczupły wysoki, młody mieszczanin, kędzierzawy, czarny, jakgdyby sadzą wysmarowany, o twarzy pijaka. Jakem się potem dowiedział, był to jakiś ślusarz. Obecnie był trzeźwy, lecz w stanie niesłychanego podniecenia, które odbijało od ponurego nastroju tłumu. Wciąż zwracał się z czemś

do zgromadzonych, lecz nie pamiętam słów jego. Były to zresztą oderwane okrzyki: „Bracia! Co to jest! Czy tak ma zostać?“ i inne w tym rodzaju. Okropnie wymachiwał rękami.

ROZDZIAŁ TRZECI

KONIEC ROMANSU.

I.

Z wielkiej sali w Skworesznikach (tej samej, w której odbyło się ostatnie spotkanie Barbary Piotrowny ze Stepanem Trofimowiczem) widać było pożar, jak na dłoni. Przed świtem, około szóstej rano, przy ostatniem oknie z prawej strony, stała Liza i uważnie przyglądała się dogasającej łunie. Była sama w pokoju. Miała na sobie wczorajszą sukienkę świąteczną, w której była na poranku literackim, jasnozieloną, strojną, w koronkach,—obecnie jednak zmiętą i widocznie nałożoną w pośpiechu, nieporządnie. Zauważywszy znienacka że stanik jest niedopięty, Liza zarumieniła się, szybkim ruchem poprawiła suknię, schwyciła z fotela rzucony tam wczoraj jeszcze szal czerwony i narzuciła sobie na szyję. Miała twarz zmęczoną, zakłopotaną, lecz oczy wciąż błyszczały z pod ściągniętych brwi. Znów zbliżyła się do okna i przytuliła rozpalone czoło do zimnej szyby. W tej chwili Mikołaj Wsiewołodowicz otworzył drzwi i wszedł.

— Wysłałem konno umyślnego, — odezwał się. — Za dziesięć minut dowiemy się o wszystkiem. Tymczasem zaś opowiadają ludzie, że spaliła się cześć Zarzecza, przyległa do rzeki, z prawej strony mostu. Pożar wybuchł jeszcze o północy. Teraz już wygasa.

Nie podszedł do okna, lecz zatrzymał się o trzy kroki za nią. Ona nie odwróciła się.

— Podług kalendarza już od godziny powinno świtać, a wciąż jeszcze ciemno, jak w nocy, — odezwała się gniewnie.

— Kłamią wszystkie kalendarze, — odparł z uprzejmym uśmiechem, lecz w tej chwili zawstydził się żartu i dodał: — Nudno, Lizo, żyć podług kalendarza.

Zamilkł znów, wstydząc się banalności słów własnych. Liza skrzywiła się.

— Pan jest tak smutny, że nie znajduje nawet odpowiednich słów dla mnie. Lecz to prawda: ja żyję zawsze podług kalendarza. Każdy krok mój jest obliczony podług kalendarza. Dziwi to pana?

Szybko odwróciła się od okna i usiadła w fotelu.

— Niech pan także siada. Niedługo już będziemy razem i chce mi się mówić wszystko co przyjdzie do głowy... Dlaczegóżby pan nie miał robić tak samo?

Stawrogin usiadł obok niej i łagodnie, nieomal trwożnie ujął jej dłoń.

— Co ma znaczyć taki ton, Lizo? Skąd te słowa? Co znaczy: „niedługo już mamy być razem"? To już drugie zagadkowe powiedzenie od pół godziny, od chwili, kiedyś się zbudziła...

Roześmiała się:

— Zaczyna pan liczyć moje zagadkowe frazesy? A pamięta pan, wczoraj? Wchodząc, przedstawiłem się panu, jako trup? O tem już pan zapomniał? A może pan nie zauważył?

— Nie pamiętam, Lizo. Dlaczego trup? Trzeba żyć...

— Znów pan zamilkł? Pan stracił wymowę... A ja... ja przeżyłam już na ziemi moją godzinę, i dosyć. Pamięta pan Chrystofora Iwanowicza?

Zachmurzył się.

— Chrystofora Iwanowicza w Lozannie. On panu strasznie dokuczał. Wchodząc, zawsze mówił: „ja na chwilę", a potem siedział cały dzień. Nie chcę być podobną do Chrystofora Iwanowicza i siedzieć cały dzień.

— Na twarzy jego malował się ból.

— Lizo, boli mnie ten styl nienaturalny. Ten grymas i pani przychodzi z trudnością. Poco? Dlaczego?

Zapałały mu oczy.

— Lizo — zawołał, — przysięgam ci, że kocham cię teraz więcej jeszcze niż wczoraj, gdyś wchodziła do mnie.

— Dziwne wyznanie! Poco tu „wczoraj" i „dzisiaj"? Poco te dwie mary?

— Nie opuścisz mnie, — mówił dalej z rozpaczą w głosie. — Pojedziemy razem dziś jeszcze! Dobrze? Tak?

— Ach niech mi pan nie ściska tak ręki! To boli! Dokądże to mamy dziś razem jechać? Znowu „zmartwychwstawać"? O nie, dość już tych prób... to nie dla mnie... nie nadaję się do tego... to zbyt wysoko dla mnie... Jak jechać, to do Moskwy, składać tam wizyty, podejmować gości — oto mój ideał... Pan to wie. Nie ukrywałam przed panem jeszcze tam, w Szwajcarji, jaką jestem. Ponieważ zaś nie możemy jechać do Moskwy i składać wizyt, gdyż pan jest żonaty, więc niema o czem mówić.

— Lizo! A cóż było wczoraj?

— Było to, co było.

— To niemożliwe, to okrutne!

— Więc cóż z tego, że okrutne. Jak okrutne, to niech pan zniesie.

— Pani mści się na mnie za własną fantazję wczorajszą... — wybąkał uśmiechając się z goryczą.

Liza oburzyła się.

— Co za nędzny pomysł!

— Więc pocóż pani dała mi „tyle szczęścia"? Czy mam prawo wiedzieć?

— O nie, obejdzie się pan bez tego prawa; niech pan nie pogłębia nędzy pomysłów swoich — naiwnością. Nie udaje się dziś panu. *A propos*, może pan obawia się opinji publicznej? Że mogą panu mieć za złe to „tyle szczęścia"? O, niech pan będzie zupełnie spokojny. Pan jest na stronie i żadnej odpowiedzialności nie ponosi. Gdym otworzyła wczoraj drzwi, nie wiedział pan nawet, kto wchodzi. To była moja fantazja, jak pan to sam określił. Nic więcej, Może pan śmiało i zwycięsko patrzeć ludziom w oczy!

— Z twych słów, z twego śmiechu, już od godziny wieje ku mnie chłód zgrozy. Za to „szczęście", o którem mówisz tak okrutnie, oddałem wszystko... Czyż mogę teraz

stracić ciebie? Przysięgam, przysięgam, że wczoraj mniej kochałem ciebie. Pocóż odbierasz mi wszystko dzisiaj? Czy wiesz, com zapłacił za tę nową nadzieję moją? Zapłaciłem życiem...

— Własnem, czy cudzem?

Zerwał się.

— Co to znaczy? — zapytał, uporczywie wpatrując się w nią.

— Pytam, czyjem życiem pan zapłacił. Własnem czy mojem? O to mi chodziło. Czyż pan już nic nie rozumie? — wybuchnęła gniewem. — Dlaczego pan się zerwał tak gwałtownie? Dlaczego pan patrzy na mnie z takim wyrazem? Straszy mnie pan! Czego pan się wciąż boi? Zauważyłam oddawna że pan się boi... O, teraz! Teraz właśnie... Jak pan zbladł!

— Jeżeli ty, Lizo, wiesz o czemś, to przysięgam ci, że ja o niczem nie wiem... i wcale nie *o tem* myślałem przed chwilą, kiedym ci mówił o cenie życia...

— Nie rozumiem pana, — wymówiła zacinając się trwożnie.

Wreszcie na wargach jego ukazał się uśmiech spokojny, zadumany. Usiadł znowu, położył łokcie na kolanach, a twarz ukrył w dłoniach.

— Zły sen i majaczenie... Mówiliśmy o rozmaitych rzeczach.

— Nie wiem, o czem pan mówił... Czyż istotnie nie wiedział pan wczoraj że ja od pana dziś odejdę? Wiedział pan, czy nie? Niech pan mówi prawdę: tak, czy nie?

— Wiedziałem... — wyszeptał.

— Więc o cóż panu chodzi? Wiedział pan i nie zrzekł się „chwili". Żadnych rachunków niema więcej pomiędzy nami.

— Powiedz mi całą prawdę, — zawołał boleśnie: — gdyś wczoraj wchodziła do mnie, czy wiedziałaś, że wchodzisz tylko na jedną godzinę.

Spojrzała na niego z nienawiścią.

— To racja, że najpoważniejsi ludzie zdolni są wypowiadać najdziwaczniejsze pytania. O co pan się niepokoi?

Czy to chodzi o miłość własną, że kobieta pierwsza porzuca pana, a nie pan ją? Wie pan, przekonałam się, że pan jest bardzo wspaniałomyślny dla mnie, a właśnie wspaniałomyślności takiej nie znoszę.

Zaczął chodzić po pokoju.

— Dobrze, niech się tak skończy... Lecz jak się to mogło stać?

— Też kłopot! A zresztą, wie pan sam doskonale i rozumie pan lepiej niż ktokolwiek bądź. I wszystko pan obliczył. Jestem panną; serce moje kształciło się na operach. Tu źródło wszystkiego i całe rozwiązanie zagadki.

— Nie.

— Niema tu niczego, co mogłoby zadrasnąć pańską miłość własną. Wszystko to prawda. Rozpoczęło się od pięknej chwili, w której poddałam się. Przedwczoraj, gdym „obraziła" pana publicznie, a pan zachował się tak po rycersku, pojechałam do domu i domyśliłam się odrazu, że pan unika mnie dlatego, że jest żonaty, nie zaś przez pogardę, której najwięcej boi się zawsze światowa panna. Zrozumiałam, że uciekając ode mnie, pan ratował mnie, lekkomyślną. Widzi pan, jak cenię wspaniałomyślność jego. A tu nadarzył się Piotr Stepanowicz i wszystko mi wytłumaczył. Wyjaśnił mi, że pana opanowała jakaś olbrzymia myśl, wobec której i ja i on jesteśmy niczem, lecz w każdym razie ja stoję panu wpoprzek drogi. I siebie jakoś tu wplątał, żądał, abyśmy byli razem, we trójkę, i mówił jakieś fantastyczne rzeczy, coś o łodzi i wiosłach klonowych z jakiejś pieśni rosyjskiej. Pochwaliłam go nawet, powiedziałam, że jest poetą, a on to przyjął za dobrą monetę. Lecz i bez tego dawno widziałam, że starczę tylko na chwilę. Zdecydowałam się przeto. To już wszystko. I dość tego. Dajmy spokój dalszym wyjaśnieniom. Moglibyśmy się pokłócić. Niech się pan nie boi nikogo. Całą odpowiedzialność biorę na siebie. Jestem zła, kapryśna... skusiła mnie łódź operowa... jestem taką sobie panienką... Wie pan, myślałam jednak, że pan mnie strasznie kocha. Niech pan nie śmieje się z tej łezki, która się stoczyła. Lubię płakać, litując się nad sobą. Dość tego. Niezdolna jestem do niczego, a i pan także; możemy

sobie to nawzajem wyrzucać i pocieszać się tem. Nie cierpi przynajmniej miłość własna.

— Majaczenia senne! — wołał Stawrogin, załamując ręce i biegając po pokoju. — Lizo, coś ty ze sobą zrobiła, biedaczko?

— Spaliłam się przy świecy, i nic więcej. Miałby pan płakać nade mną? Bądź pan przyzwoity, bądź pan mniej wrażliwy...

— Pocoś ty przyszła do mnie?

— Czyż nie rozumie pan wreszcie, jak komicznie wyglądałyby wobec opinji publicznej tego rodzaju pytania?

— Pocóż ty zgubiłaś siebie, tak potwornie, tak głupio? Co robić teraz?

— I to ma być Stawrogin! Krwiożerczy Stawrogin, jak tu nazywa pana pewna dama, mocno w panu zakochana. Niechże pan słucha, powiedziałam już wszystko. Całe życie moje sprowadziłam do jednej godziny i jestem spokojna. Niech pan zrobi tak samo. A zresztą, to dla pana zbyteczne. Czeka pana jeszcze dużo takich „godzin" i takich „chwil"!

— Tyleż co panią. Przysięgam, że ani jednej godziny więcej, niż u pani.

Chodził wciąż i nie widział jej ostrego, przenikliwego spojrzenia które na jedną chwilę zajaśniało nadzieją. Lecz ten jasny promień zgasł natychmiast.

— Gdybyś wiedziała... gdybyś znała cenę mej szczerości, dziś niemożliwej... gdybym mógł wyznać ci...

— Wyznać? Chce mi pan coś wyznać? Na miły Bóg, nie chcę wyznań pańskich — zawołała w przestrachu.

Stanął przed nią i niespokojnie czekał.

— Przyznam się panu do jednego. Tam jeszcze, w Szwajcarji, utrwaliła mi się w mózgu myśl, że pan ma na sumieniu coś strasznego, brudnego i krwawego. A jednocześnie coś takiego, co czyni pana bardzo śmiesznym. Jeżeli to prawda, strzeż się pan wyznań! Wyśmieję pana: przez całe życie będę śmiać się z pana. Ach, znów pan zbladł? Nie będę, nie będę... idę już...

Zerwała się z fotela ruchem pogardliwym, z wyrazem wstrętu na twarzy.

— Męcz mnie, karz mnie! — wołał Stawrogin z rozpaczą w głosie. — Masz prawo! Wiedziałem, że nie kocham ciebie, i zgubiłbym cię. Tak, „skorzystałem z chwili"; miałem nadzieję... oddawna już... ostatnią nadzieję... Nie mogłem sprzeciwić się światłu, które zalało mi serce, gdyś wczoraj weszła do mnie sama, pierwsza. Uwierzyłem... A może wierzę dotychczas...

— Za tak szlachetną szczerość zapłacę panu także szczerością. Nie chcę być panu siostrą miłosierdzia. Może istotnie kiedyś będę dozorczynią przy chorych, o ile nie potrafię dziś odrazu ;lecz będę nią nie przy panu, chociaż wart pan każdego kaleki bez nogi, czy bez ręki. Myślałam zawsze, że zaprowadzi mnie pan do takiego miejsca, gdzie mieszka ogromny, zły pająk wielkości człowieka, że przez całe życie będziemy patrzyli na tego pająka i bali się go. Na tem będzie upływała miłość nasza. Niech się pan zwróci do Daszy. Ona pojedzie dokąd pan zechce.

— Nawet tu nie mogła pani nie wspomnieć o niej!

— Biedna psina. Proszę pozdrowić ją ode mnie! Czy ona wie, że pan jeszcze w Szwajcarji wyznaczył ją sobie na starość? Co za troskliwość! Co za zapobiegawczość! Aj, kto tu?

Wgłębi sali rozchyliły się drzwi. Czyjaś głowa wysunęła się i natychmiast znikła.

— To ty, Aleksy Jegorowiczu? — zapytał Stawrogin.

— O nie, to tylko ja, — odezwał się Piotr Stepanowicz, znów wysuwając głowę. — Witam, Lizaweto Mikołajewno; dzieńdobry. Wiedziałem, że zastanę was oboje w tej sali. Ja tylko na sekundę, Mikołaju Wsiewołodowiczu, — musiałem koniecznie powiedzieć parę słów.

Stawrogin poszedł do niego, lecz po paru krokach odwrócił się do Lizy.

— Jeżeli zaraz coś posłyszysz, Lizo, wiedz: winien jestem.

Liza drgnęła i spojrzała trwożnie. On już wyszedł.

II.

Za drzwiami, przez które wyglądał Piotr Stepanowicz, mieścił się duży owalny przedpokój. Siedział tam przedtem Aleksy Jegorowicz, lecz został usunięty. Stawrogin zamknął za sobą drzwi od salonu i zatrzymał się w oczekiwaniu. Wierchowieński spojrzał na niego badawczo.

— A więc?

— Jeżeli już wszystko panu wiadome, — śpiesznie wyjaśniał Wierchowieński, wżerając się w oczy Stawrogina, — to, rzecz prosta, nikt z nas winy nie ponosi, przedewszystkiem zaś pan. Jest to taki zbieg okoliczności, zbieg zdarzeń... jednem słowem, jurydycznie nie dotyczy to pana... A ja pośpieszyłem zawiadomić...

— Spaleni? Zamordowani?

— Zamordowani, lecz nie zgorzeli. W tem sęk. Lecz daję panu słowo honoru, że nie jestem winien. Może pan mnie podejrzewać... przecież pan posądza mnie? Co? Chce pan wiedzieć prawdę? Widzi pan, istotnie, błąkał się we mnie pomysł... Pan sam mi podsunął, nie na serjo, lecz drocząc mnie (przecież na serjo panby tego nie zrobił), — lecz nie mogłem się zdecydować... i nie zdecydowałbym się za nic, za żadne pieniądze... zresztą nie zyskałbym nic na tem, ja osobiście... tak...

Śpieszył się strasznie i mówił bez przerwy, jak katarynka.

— Taki zbieg okoliczności... Z własnych pieniędzy... Słyszał pan: z własnych. Pańskich pieniędzy nie było tam ani grosza, pan wie o tem najlepiej.... otóż z własnych pieniędzy dałem temu głupiemu pijaczynie Lebiadkinowi dwieście trzydzieści rubli... przedwczoraj wieczorem... słyszy pan, przedwczoraj, a nie wczoraj po poranku literackim, proszę to sobie zapamiętać... to bardzo ważna okoliczność, gdyż wtedy nie wiedziałem jeszcze napewno, czy Lizaweta Mikołajewna pojedzie do pana. Dałem własne pieniądze dlatego, że pan przedwczoraj zblamował się... przyszła panu fantazja ujawnić tajemnicę własną. Nie chcę w to wglądać. To pańska sprawa... szlachetność uczuć... przyznam się

jednak, że uderzyło mnie to... jak pałką w łeb. Lecz że mi już dość obrzydły te tragedje, (mówię poważnie, chociaż używam niepoważnych zwrotów), i że to plany moje krzyżuje—dałem sobie słowo wyprawić za wszelką cenę, i bez pańskiej wiedzy, Lebiadkinych do Petersburga... a zresztą sam Lebiadkin o tem marzył. Zaszła tu jednak pomyłka. Dałem te pieniądze w imieniu pana. Czy była to pomyłka? Może nawet nie? A niech pan posłucha teraz, jakie to dało rezultaty...

Mówiąc gorączkowo, podszedł do Stawrogina i zaczął go chwytać za brzeg surduta (może nawet robił to naumyślnie). Stawrogin stanowczym ruchem uderzył go w ramię.

— Ależ panie... Co pan robi... tak może mi pan połamać kości....

Chodzi o to, jak się skończyło, — ciągnął Wierchowieński, niezrażony uderzeniem. — Od wczoraj tracę pieniądze na to, aby on, wraz z siostrzenicą, jutro nad ranem wyjechał. Powierzam tę sprawę łajdakowi Liputinowi, ufając, że sam wsadzi ich do pociągu i wyprawi. Lecz ten nikczemnik Liputin zapragnął zabawić się publicznością, — może pan słyszał o tem? W czasie uroczystości literackiej? Niechże pan teraz słucha. Obaj piją, obaj tworzą wiersze... Przecież połowa należy tam do Liputina... Liputin naciąga na kapitana frak, upewnia mnie, że już nad ranem wyprawił, sam zaś przechowuje Lebiadkina w jakimś zakamarku, aby go wypuścić na estradę. Lecz kapitan spaja się szybko i nieoczekiwanie. Potem następuje znany wszystkim skandal, potem odwożą nieprzytomnego Lebiadkina do domu. Liputin zaś wyjmuje mu z kieszeni dwieście rubli, zostawiając tylko drobne. Okazuje się jednak, że kapitan jeszcze przedtem wyjmował z kieszeni te dwieście rubli, chwalił się i pokazywał je, komu nie należy. Że zaś Fiedia tego tylko oczekiwał, a dowiedział się coś niecoś od Kiriłowa (niech pan sobie przypomni własne uwagi), postanowił przeto skorzystać.Oto cała prawda. Cieszę się przynajmniej, że Fiedia nie znalazł pieniędzy! Liczył na tysiączek! Śpieszył się, i mam wrażenie, że sam się przeląkł pożaru... Niech mi pan wierzy, że ten pożar to dla mnie prawdziwa niespodzianka...

To Bóg wie co! To jakaś samowola... Widzi pan: liczę na pana tak bardzo, a nie ukrywam nic. Tak, to prawda, że już dawno świtała mi w głowie ta myśl o pożarze, tak popularna i szczerze narodowa. Lecz rezerwowałem ją na chwilę decydującą, na tę jedyną chwilę, gdy powstaniemy wszyscy... Oni zaś poważyli się samowolnie, bez rozkazu, teraz, w takiej chwili, gdy właśnie trzeba było ukryć się i dech zataić. Ach, ta samowola!.. Słowem, nie wiem dotychczas o niczem; mówiąc o paru Szpigulinowcach... lecz jeśli i nasi tu się wplątali, jeśli choć jeden w tem uczestniczył, biada mu! Widzi pan, co to znaczy choć odrobinę rozpuścić ich! O nie, ta demokratyczna kanalja z jej piątkami jest słabą ostoją; potrzebna tu jedyna, wspaniała, wszechwładna, despotyczna wola... musi opierać się na zjawiskach niewypadkowych, stojących poza wszystkiem... A wówczas i piątki nagną się posłusznie i przydadzą się w razie potrzeby. W każdym razie chociaż fama już idzie, że Stawroginowi trzeba było żonę spalić i że dlatego miasto stanęło w ogniu, lecz...

— Czy naprawdę fama już idzie?..

— No, jeszcze nie. Przyznam się szczerze, żem jeszcze nie słyszał, lecz jak pan da sobie radę z tłumem, zwłaszcza z pogorzelcami? *Vox populi vox Dei.* Nic łatwiejszego, jak rozpowszechniać plotki. W istocie jednak, nie ma pan się czego obawiać. Pod względem jurydycznym jest pan bez zarzutu, z punktu widzenia sumienia — także. Przecież pan nie chciał tego? Prawda? Żadnych poszlak. Tylko zbieg okoliczności. Może chyba Fiedia przypomni sobie tamte nieostrożne słowa pańskie u Kiriłowa... Poco je pan powiedział wtedy? Lecz to niczego nie dowodzi, a Fiedi możemy zamknąć usta. Dziś go ukrócę.

— Trupy nie spaliły się wcale?

— Ani odrobinę. Ta kanalja nie potrafiła nic zrobić, jak należy... Lecz cieszy mnie, że pan jest taki spokojny. Bo chociaż pan tu nie zawinił, nawet myślą, lecz w każdym razie... A zresztą, musi pan przyznać, że pańskie sprawy niesłychanie na tem zyskują. Jest pan nadspodziewanie wolnym wdowcem i może pan natychmiast ożenić się z piękną dzie-

wicą z olbrzymim posagiem, którą zresztą ma pan już w ręku? Co może zrobić ordynarny, prosty zbieg okoliczności! Co pan o tem powie?

— Pan jesteś na tyle niemądry, że grozisz mi?

— Ale broń Boże... Dlaczego niemądry? Co za ton? Zamiast cieszyć się, pan... Leciałem tu naumyślnie, aby poinformować pana... czem mógłbym panu grozić? Co mi przyjdzie z groźby? Potrzebna mi jest wolna wola pańska, a nie decyzja, wywołana strachem. Jesteś pan światłem i słońcem. To ja się boję pana bezgranicznie, a nie pan mnie. Nie jestem Maurycym Mikołajewiczem... Wyobraź pan sobie, lecę tu do pana galopem, a Maurycy Mikołajewicz stoi w tylnym kącie ogrodu, przy parkanie... Zmokł cały. Napewno stał tam przez całą noc! Dziwne rzeczy! Jak to ludzie mogą tak warjować!

— Maurycy Mikołajewicz? Naprawdę?

— Ależ naprawdę. Siedzi przy parkanie. O trzysta kroków stąd, nie więcej. Przeszedłem obok niego, lecz nie zauważył mnie. Nie wiedział pan o tem? W takim razie cieszę się, żem nie zapomniał powiedzieć. Taki właśnie jest najniebezpieczniejszy, zwłaszcza gdy ma rewolwer. A tu noc, deszcz, normalne rozdrażnienie... trzeba przecie uwzględnić jego sytuację, cha-cha-cha! Jak pan myśli? Poco on tu siedzi?

— Najoczywiściej czeka na Lizawetę Mikołajewnę.

— Tak? Pocóżby miała wychodzić do niego? Zwłaszcza w deszcz... to głupiec!

— Ona zaraz wyjdzie do niego.

— Co? To ci nowina! A więc... Lecz słuchaj pan... teraz okoliczności się zmieniły. Po djabła jej teraz Maurycy? Jest pan wolnym wdowcem i może pan jutro żenić się z nią. Ona jeszcze nie wie o tem. Niech mi pan pozwoli, ja to wszystko urządzę. Gdzie ona? Muszę uradować ją.

— Uradować?

— Niewątpliwie. Chodźmy.

Stawrogin zmrużył oczy zagadkowo.

— Sądzi pan, że ona nie domyśli się niczego... co do tych trupów?

— Ależ oczywiście, — stanowczo zapewniał Piotr Stepanowicz:—Przecież pan, pod względem jurydycznym... Ech! A gdyby nawet domyśliła się! U kobiet takie rzeczy zacierają się łatwo. Pan nie zna kobiet. Poza tem, dla niej to proste wyrachowanie wyjść za pana; bądź co bądź skompromitowała się. A zresztą mówiłem jej o „łodzi", — to taki typ! najwięcej reaguje na ową „łódź", — to taki typ! Niech pan będzie spokojny! Przejdzie przez te trupy, tem bardziej, że pan jest zupełnie niewinny. Czyż nie? Zachowa je tylko na wszelki wypadek, aby kiedyś potem, może w drugim roku pożycia małżeńskiego, ukłuć pana. Każda kobieta, idąc do ołtarza, ma w zapasie coś w tym rodzaju z przeszłości męża, lecz wtedy... co tam zresztą może być za rok? Cha-cha-cha!

— Jeżeli masz pan ze sobą konie, podwieź ją do Maurycego Mikołajewicza. Powiedziała mi przed chwilą, że mnie nie znosi i odejdzie ode mnie. Napewno nie zechce skorzystać z moich koni.

— Co? Czyż naprawdę opuszcza pana? cóż to mogło się stać? — naiwnie badał Piotr Stepanowicz.

— Zrozumiała widocznie dziś w nocy że nie kocham jej wcale... wiedziała o tem zresztą zawsze.

— Lecz czyż pan jej nie kocha? — indagował Piotr Stepanowicz z niesłychanie zdziwioną miną. — Czemuż więc wczoraj pan, człowiek szlachetny, gdy weszła do pana, nie powiedział jej poprostu, że jej nie kocha, lecz przeciwnie zostawił ją pan u siebie. To było bardzo podłe. A mnie także naraził pan na zarzut nikczemności.

Stawrogin roześmiał się.

— Rozśmieszyła mnie małpa moja, — wyjaśnił natychmiast.

— Ach, tak! Domyślił się pan, że ja błaznuję — niesłychanie wesoło wtórzył Wierchowieński. — Tak, chciałem ubawić pana. Niech pan sobie wyobrazi, że natychmiast, jak tylko wyszedł pan do mnie, zrozumiałem, że stało się tu „nieszczęście". A może nawet całkowite niepowodzenie. Założyłbym się, — wykrzykiwał z wyrazem zachwytu — żeście tak z nią przesiedzieli całą noc w tym salonie, na krze-

selkach, jedno obok drugiego, i dyskutowaliście o jakichś materjach wyjątkowo wzniosłych... Niech się pan nie gniewa. Co mi do tego? Wczoraj jeszcze wiedziałem napewno, że skończy się tu na niczem. Przywiozłem ją tylko poto, aby zabawić pana i aby złożyć dowód, że nie będzie się pan przy mnie nudził. Setki razy przydam się panu w podobnych okolicznościach. Lubię robić innym przyjemność. Jeżeli zaś panna Liza już nie jest panu potrzebna, na co zresztą liczyłem, w takim razie...

— Więc przywiózł ją pan tylko poto, abym się zabawił?

— Jakież mogły być inne pobudki?

— A nie poto aby zmusić mnie do zabicia żony?

— Ależ panie! Czyż to pan ją zabił? Skąd ten tragiczny ton?

— Wszystko jedno... Zabił ją pan.

— Ja? Skądże znowu? mówię panu że nie odegrałem w tem żadnej roli. Zaczynam niepokoić się o pana...

— Mów pan dalej! Powiedział pan: „jeżeli jest już ona tu niepotrzebna, w takim razie"...

— W takim razie, rzecz prosta, już ja się nią zaopiekuję. Wydam ją doskonale za Maurycego Mikołajewicza, którego, mówiąc nawiasem, wcale tu nie nasyłałem. Niech tego przynajmniej pan na mnie nie zwala. Boję się go nawet obecnie. Mówił mi pan, abym ją odwiózł do niego, ja zaś starałem się, aby mnie nie zauważył... może ma rewolwer... Dobrze, że sam także wziąłem rewolwer. Oto go mam (wyjął broń z kieszeni i schował natychmiast). Wziąłem ze względu na odległość... A zresztą, urządzę wszystko. Przecież właśnie w tej chwili serduszko jej tęskni za Maurycym Mikołajewiczem. Powinno przynajmniej. Wyznam panu, że nawet żal mi jej. A gdy połączę ją z Maurycym Mikołajewiczem, zacznie wtedy wspominać pana, zachwalać pana, jego zaś krytykować w oczy. Już takie jest serce kobiece. Znów się pan śmieje? Cieszę się, żem pana rozśmieszył. Cóż? Chodźmy! Zacznę z nią od Maurycego, o tamtych zaś... o zabitych... wie pan: lepiej milczeć narazie. Sama dowie się zczasem.

W tej chwili Liza otwarła drzwi.

— O czem się dowiem? Kto zabity? Co pan mówił o Maurycym Mikołajewiczu?

— Ach, podsłuchała pani?

— Co pan mówił przed chwilą o Maurycym Mikołajewiczu? To on zabity?

— O, nie dosłyszała pani! Proszę się uspokoić. Maurycy Mikołajewicz żywy i zdrów. Może pani zaraz sama się o tem przekonać, gdyż jest tu na drodze, za parkanem... zdaje się, że przesiedział tam całą noc... przemókł cały... jest tylko w lekkim płaszczu. Jakem jechał, widział mnie.

— To nieprawda. Pan mówił „zabity"... Kto zabity? — nastawała nieufnie.

— Zabita jest moja żona, jej brat Lebiadkin i służąca, — twardym głosem odezwał się Stawrogin.

Liza drgnęła i zbladła. Piotr Stepanowicz natychmiast zaczął opowiadać.

— Dziki, dziwaczny wypadek, Lizaweto Mikołajewno! Najgłupszy wypadek rabunku, tylko rabunku, pod osłoną pożaru. To sprawka zbója Fiedi Katorżnego, z winy tego idjoty Lebiadkina, który wszystkim pokazywał pieniądze... Przyleciałem tu z nowiną. Dla Stawrogina było to jak pałką w łeb. Ledwo ustał na nogach, gdym mu opowiedział. Naradzaliśmy się tutaj, czy powiedzieć pani, czy nie.

Ledwo dosłyszalnym głosem odezwała się Liza:

— Mikołaju Wsiewołodowiczu! Czy on mówi prawdę?

— Nie, kłamie.

— Jakto kłamię? — zawołał Piotr Stepanowicz, — a to co znów?

— Mój Boże, zwarjuję chyba, — zawołała Liza.

— Niechże pani przynajmniej zrozumie, że on jest teraz nieprzytomny! — krzyczał Wierchowieński. — Bądź co bądź, żona jego nie żyje. Widzi pani, jak zbladł. Ależ on tu z panią całą noc spędził, nie odchodził ani na chwilę, jakże można podejrzewać go!

— Mikołaju Wsiewołodowiczu! Niech pan powie mi zaraz, jak przed Panem Bogiem, czy jesteś winien, czy nie?

I przysięgam, że każdemu słowu uwierzę, jak słowu Bożemu, i pójdę za tobą na kraj świata, wszędzie! Pójdę, jak wierny pies!

— Poco pan dręczy ją dla wszystkich fantazyj? — zawołał Piotr Stepanowicz. — Lizaweto Mikołajewno! Klnę się! Może pani mnie zabić, lecz on jest niewinny. Sam jest przygnębiony i bredzi. Czyż pani nie widzi? Niczem nie zawinił, nawet myślą... To wszystko sprawka bandytów, których napewno wciągu tygodnia złapią i wyćwiczą... To Fiedia Katorżny i Szpigulinowscy. O tem całe miasto mówi, więc wiem.

— Czy tak? Czy tak?

Liza drżała, jakby w oczekiwaniu ostatecznego wyroku.

— Nie zabijałem i byłem przeciwny zabójstwu, wiedziałem jednak, że mord ma być spełniony i nie powstrzymałem morderców. Odejdź ode mnie, Lizo — oświadczył Stawrogin i wyszedł z pokoju.

Liza ukryła twarz w dłoniach i wyszła z domu. Piotr Stepanowicz próbował wybiec za nią, lecz natychmiast powrócił do salonu.

— Więc pan tak? Więc tak? Nie boi się pan niczego? — rzucił się jak warjat na Stawrogina, bełkocząc bez związku, nie znajdując odpowiednich słów, pieniąc się.

Stawrogin stał pośrodku sali i nie odpowiadał. Lewą dłonią trzymał się za włosy i uśmiechał się niezupełnie przytomnie. Piotr Stepanowicz szarpnął go za rękaw.

— Chcesz pan zginąć? Takie są zamiary pańskie? Zadenuncjuje pan wszystkich, a sam pójdziesz do klasztoru, czy do djabła?.. Lecz ja, wszystko jedno, zabiję pana, chociaż nie boisz się mnie.

Zdawało się, że Stawrogin teraz dopiero zauważył go.

— Ach, to pan tak trajkoce?

Wreszcie ocknął się zupełnie.

— Niech pan biegnie, niech pan biegnie za nią... zaprząc karetę... nie opuszczać jej... Biegnij pan! Odwieź ją do domu, aby nie wiedział nikt, i niech ona nie chodzi tam... do trupów... Wsadzić ją siłą do karety! Aleksy Jegorowiczu!

— Nie krzycz pan! Ona już teraz w objęciach Maurycego... A Maurycy nie wsiądzie do pańskiej karety. Stój pan! Tu nie o karetę chodzi!

Wyjął znów rewolwer. Stawrogin spojrzał na niego poważnie. Odezwał się cicho, prawie pogodnie:

— Cóż? Zabij!

— Ach, do djabła! Tyle kłamstwa na duszy ludzkiej! — gadał znów Piotr Stepanowicz. — Naprawdę należałoby zabić! Istotnie, powinna była splunąć na pana. Jaka tam „łódź"? Jesteś pan starym, dziurawym statkiem, do niczego niezdatnym! Niechże pan ocknie się? Teraz przynajmniej! Na złość jej! E-ech! Toć już wszystko jedno panu, jeżeli zgadzasz się pan na kulę w łeb.

Stawrogin uśmiechnął się zdziwiony.

— Gdybyś nie był pan takim pajacem, może powiedziałbym teraz: tak! Gdyby miał pan choć trochę więcej rozumu...

— Tak, jestem pajacem, lecz nie chcę abyś pajacem był pan, który jesteś najlepszą cząstką moją! Rozumiesz pan?

Stawrogin rozumiał. Może on jeden rozumiał. Dziwił się kiedyś Szatow zapewnieniom Stawrogina, że Piotr Stepanowicz jest entuzjastą.

— Idź pan teraz do djabła! Przyjdź jutro! Może do jutra wyduszę coś z siebie.

— Tak? Tak?

— Kto wie? A teraz — precz!

Wyszedł z salonu.

— Może to wyjdzie na dobre, — mruknął Piotr Stepanowicz, chowając rewolwer.

III.

Pobiegł za Lizawetą Mikołajewną, która nie zdążyła jeszcze odejść daleko. Była o kilka kroków od domu. Zatrzymał ją Aleksy Jegorowicz, który i teraz kroczył za nią z tyłu, we fraku, z głową schyloną, bez czapki. Zaklinał ją, aby doczekała się koni. Staruszek był przerażony i prawie płakał.

Piotr Stepanowicz odtrącił go.

— Idźcie tam. Pan chce herbaty a niema komu podać.

Wziął Lizę pod rękę. Liza nie wyrywała się. Zdawało się jednak, że nie jest jeszcze zupełnie przytomna.

— Przedewszystkiem nie tędy droga, — zaczął mówić. — Trzeba iść w tamtą stronę, nie zaś obok ogrodu, powtóre, w każdym razie nie piechotą. Do pani domu trzy wiorsty, nie jest pani odpowiednio ubrana. Niech pani zaczeka chwilę. Mam tu dorożkę, koń stoi w podwórzu. W tej chwili przyprowadzę. Odwiozę panią. Nikt nie będzie widział

— Jacy wyście dobrzy, — łagodnie powiedziała Liza.

— Ależ pani, na mojem miejscu każdy człowiek kulturalny zrobiłby to samo...

Liza spojrzała na niego ze dziwieniem.

— Ach, Boże mój! Myślałam, że to tamten staruszek...

— Proszę pani! Cieszy mnie, że pani w ten sposób traktuje te rzeczy... przecież to wszystko przesądy... jeżeli Pani o to chodzi, to każę staruszkowi natychmiast przygotować karetę, potrwa to dziesięć minut. Tymczasem wrócimy i poczekamy na ganku pod dachem.

— Ja chcę... gdzie ci zabici?

— Nowa fantazja! Właśnie tego obawiałem się. O nie, tę nędzę pozostawi pani na stronie. Wcale nie powinna pani widzieć.

— Ja wiem gdzie, znam ten dom...

— Więc cóż z tego? Niech pani się zlituje: deszcz, mgła... (ależ ciężki jest ten święty obowiązek, zwalony na mnie!..) Lizaweto Mikołajewno! Albo — albo! Albo pani jedzie ze mną dorożką, a w takim razie proszę poczekać i nie robić ani kroku naprzód, gdyż jeżeli pani posunie się jeszcze o dwadzieścia kroków, to zobaczy nas Maurycy Mikołajewicz...

— Maurycy Mikołajewicz? Gdzie? Gdzie?

— No, jeżeli pani chce z nim, to dobrze, odprowadzę panią jeszcze parę kroków i pokażę, gdzie on siedzi, lecz sam — sługa uniżony! Wolałbym teraz nie zbliżać się do niego.

Zatrzymała się gwałtownie. Rumieńce oblały jej twarz.

— On czeka na mnie, Boże mój!

— Ależ pani! Jeżeli on nie ma przesądów... Wie pani, to wszystko mnie nie obchodzi; to nie moje sprawy, i pani wie o tem dobrze; bądź co bądź jednak życzę pani jak najlepiej... Jeżeli nie uda się nasza „łódź", jeżeli to był dziurawy statek, zdatny chyba na opał...

— Ach, tak! — zawołała Liza.

— Mówi pani „tak", a łzy płyną. Tu trzeba być mężną. Nie trzeba ustępować mężczyźnie. W naszych czasach, gdy kobieta... tam, do djabła (Piotr Stepanowicz aż skrzywił się ze wstrętem). Rzecz główna, że niema czego żałować: wszystko może się skończyć najlepiej. Maurycy Mikołajewicz jest człowiekiem... jest człowiekiem uczuciowym, chociaż małomównym, co zresztą jest tylko zaletą, o ile jest pozbawiony przesądów.

— Cudownie, cudownie, — histerycznie śmiała się Liza.

— Tam do djabła, — bąknął znów Piotr Stepanowicz. — Lizaweto Mikołajewno... przecież o panią tylko mi chodzi... co mi do tego... Oddałem pani wczoraj przysługę, skoro pani tego chciała, a dziś... O, stąd już widać Maurycego Mikołajewicza. Siedzi. Na nas nie patrzy. Wie pani? Czy pani czytała *Polinkę Zaks?*

— Co?

— Jest taka powieść, *Polinka Zaks*. Czytałem jeszcze za czasów studenckich... Tam jakiś urzędnik, Zaks, człowiek bogaty, łapie na letnisku swą żonę na gorącym uczynku... Mniejsza o to zresztą! Zobaczy pani, że Maurycy Mikołajewicz oświadczy się pani, zanim zdążycie dojść do domu.

Liza raptownie zaczęła wykrzykiwać, jak nieprzytomna.

— Ach, nie chcę, żeby mnie zobaczył. Uciekajmy, uciekajmy! Do lasu! W pole!

Zaczęła uciekać.

— Lizaweto Mikołajewno! — wołał Piotr Stepano-

wicz, biegnąc za nią: — to takie tchórzostwo! Dlaczego nie chce pani, aby on zobaczył? Przeciwnie, niech pani otwarcie i śmiało spojrzy mu w oczy. Jeżeli chodzi o tamto... o dziewictwo... to taki przesąd, takie zacofanie... Dokąd pani?... Ech, biegnie... Wrócę lepiej do Stawrogina po dorożkę... Dokąd to pani? Tam pole! O, upadła!

Zatrzymała się. Liza leciała jak ptak, nie wiedząc dokąd i Piotr Stepanowicz był już o jakie pięćdziesiąt kroków za nią... Upadła, potknąwszy się o jakąś grudę. W tej chwili zoddali rozległ się krzyk przeraźliwy. To krzyczał Maurycy Mikołajewicz, który dostrzegł jej ucieczkę i upadek, i leciał polem ku niej. Piotr Stepanowicz natychmiast wycofał się do bramy dworu Stawroginowskiego, aby jak najprędzej wskoczyć do dorożki.

Maurycy Mikołajewicz, okropnie przerażony, już stał obok Lizy, która zdążyła zerwać się na nogi. Nachylał się nad nią i trzymał jej dłoń w swojej. Nieprawdopodobne okoliczności tego spotkania oszołomiły go. Łzy spływały mu po policzkach. Widział tę, którą tak ubóstwiał, biegnącą przez pole o takiej godzinie, w taką pogodę, w jednej sukni, w tej pięknej sukni wczorajszej, dziś zmiętej i brudnej od upadku... Nie mógł słowa wymówić, zdjął płaszcz i drżącemi rękoma narzucał jej na ramiona. Raptem poczuł, jak Liza dotknęła wargami jego ręki.

— Lizo, — zawołał, — ja nic nie wiem lecz nie odpędzaj mnie od siebie.

— Tak, tak, uciekajmy stąd! Niech mnie pan nie opuszcza!

Schwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

— Maurycy Mikołajewiczu, — powiedziała ściszonym głosem, — ja tam udawałam odważną, lecz tu — boję się umierać, — szeptała, mocno ściskając jego dłoń.

— Ach, gdyby ktokolwiek! — rozglądał się zrozpaczony. — Gdyby jakiś przejezdny! Przemoczy pani nogi... Straci pani równowagę.

— To nic, nic — pocieszała go...—Ot tak, przy panu nie tak się boję, niech pan mnie trzyma za rękę, niech pan prowadzi mnie! Dokąd my idziemy? Do domu? Nie, ja

chcę pierwej zobaczyć zamordowanych. Oni zarżnęli jego żonę, a on mówi, że sam zarżnął. To przecież nieprawda? To kłamstwo! Chcę sama zobaczyć zabitych... Dla mnie... przez nich on przestał kochać mnie w tę noc... Zobaczę sama i dowiem się... Prędzej, prędzej! Znam ten dom. Tam pożar... Maurycy Mikołajewiczu! niech mi pan nie przebacza! Jestem nikczemna! Poco przebaczać mi! Dlaczego pan płacze? Niech pan spoliczkuje mnie i zabije tu, w polu, jak psa!

— Nikt nie ma prawa sądzić pani — mocno wypowiedział Maurycy Mikołajewicz. — Niech pani przebaczy Bóg, a ja już mam najmniej praw do sądzenia pani.

Trudno byłoby odtworzyć ich rozmowę. Szli tak dłoń w dłoń, szybko, jak półprzytomni. Szli wprost w kierunku pożaru. Maurycy Mikołajewicz nie tracił nadziei, że po drodze nadarzy się jakiś wóz, lecz nie spotkali nikogo. Drobny, przenikliwy deszczyk osnuł całą okolicę, chłonąc wszelkie blaski i cienie. Świat cały wyglądał jak ciężka, ołowiana, obojętna masa. Już dawno był dzień, lecz nie widać było świtania. I raptem z tej mgły zadymionej, zimnej, wysunęła się postać, dziwna i zagadkowa, sunąc im na spotkanie. Myślę, że nie uwierzyłbym oczom własnym, gdybym był na miejscu Lizy. Ona jednak krzyknęła radośnie i poznała natychmiast zbliżającego się. Był to Stepan Trofimowicz. Dlaczego szedł, w jaki sposób ziścił się bezmyślny, wymęczony pomysł jego ucieczki, o tem później. Tu zaznaczę, że był tego dnia jak w febrze, lecz słabość fizyczna nie odwiodła go od decyzji. Twardym krokiem posuwał się po mokrej ziemi, widać było, że uplanował całą eskapadę jak umiał najlepiej, zwłaszcza, gdy uwzględnimy jego książkową nieroztropność. Ubrany był w „strój podróżny", czyli palto mocno zapięte, ściśnięte szerokim skórzanym pasem ze sprzączką, wysokie, nowe buty i spodnie w cholewach. Prawdopodobnie już oddawna tak wyobrażał sobie wędrowców. Pas i buty wysokie z błyszczącemi huzarskiemi cholewami przygotował zawczasu przed paru dniami. Miał szeroki kapelusz i szal, mocno ociskający szyję. W prawem ręku trzymał laskę, a w lewem bardzo niewielki, lecz mocno

wypchany sak. Oprócz tego miał w prawem ręku parasol. Przez pierwszą wiorstę bardzo niewygodnie mu było trzymać trzy przedmioty — parasol, laskę i sak; na drugiej wiorście już czuł ich ciężar.

— Czy to naprawdę pan? — zawołała Liza, oglądając go ze smutnem zdziwieniem, które przyszło na zmianę po pierwszej nieświadomej radości.

— *Lise*,—zawołał Stepan Trofimowicz, rzucając się ku niej prawie nieprzytomny. — *Chère, chère*, czyż pani także? W taką mgłę? Widzi pani łunę? *Vous êtes malheureuse, n'est ce pas?* Widzę, widzę, proszę nie opowiadać. Lecz proszę mnie także nie pytać o nic! *Nous sommes tous malheureux, mais il faut les pardonner tous. Pardonons, Lise*, i stańmy się wolni na zawsze. Aby pożegnać świat i stać się wolnym — *il faut pardonner, pardonner et pardonner!*

— Niech pan nie klęka!

— Klękam, gdyż żegnając się ze światem, chcę w osobie pani pożegnać całą przeszłość moją.

Załkał i podniósł obydwie ręce do zapłakanych oczu.

— Klękam przed wszystkiem, co było piękne w mem życiu. Składam pocałunek i dziękuję. A teraz rozciąłem siebie na dwie połowy! Tam — szaleniec, który śnił o podniebnych wzlotach — *vingt deux ans!* Tu, — zgnębiony i zziębnięty starzec — belfer... *chez ce marchand, s'il existe pourtant ce marchand.* Lecz jakeś zmokła, Lizo! — zawołał, powstając z kolan, które, jak poczuł, przemokły mu od ziemi. — Dlaczego pani tak ubrana?.. i piechotą... w polu?.. Płaczesz? *Vous êtes malheureuse?* Ach, słyszałem o tem. Lecz skąd pani tu? — trwożnie ponawiał pytania, zerkając ze zdziwieniem na Maurycego Mikołajewicza, — *mais savez-vous l'heure, qu'il est?*

— Stepanie Trofimowiczu! Czy słyszał pan o tych zabitych... Czy to prawda? prawda?

— Ach, ci ludzie! Widziałem zgorzelisko ich czynów przez całą noc. Nie mogli skończyć inaczej... (zaiskrzyły mu się oczy). Uciekam od maligny, obłąkańczych snów, idę szukać Rosji. *Existe-t-elle, la Russie? Bah, c'est vous, cher capitaine!* Nie wątpiłem nigdy, że spotkałem pana w obliczu

bohaterstwa... Weźcie mój parasol! I dlaczego piechotą? Na miłość Boską, weźcie przynajmniej parasol, a ja znajdę gdzie wóz. Dlatego idę piechotą, że *Stasie* (moja Nastasja) narobiłaby gwałtu na całą ulicę, gdyby dowiedziała się, że wyjeżdżam. Ja zaś wyślizgnąłem się *incognito*. Trudno jednak przypuścić, aby wystarczyło wyjść na pole, aby spotkać rabusia? *Chère Lise*, powiedziała pani, że ktoś kogoś zabił? *Oh, mon Dieu!* Pani niedobrze!

— Chodźmy, chodźmy, — histerycznie wołała Liza, ciągnąc za sobą Maurycego Mikołajewicza. — Niech pan poczeka, Stepanie Trofimowiczu, — zwróciła się do niego. — Biedaku mój, chcę przeżegnać pana. Może lepiejby było związać pana, lecz ja wolę przeżegnać. Niech się pan także pomodli za „biedną" Lizę, lecz tylko trochę, nie warto fatygować się zbytnio. Maurycy Mikołajewiczu! Niech pan odda temu dzieciakowi parasol, koniecznie... tak... chodźmy już, chodźmy.

Przybycie ich do miejsca zbrodni nastąpiło w chwili, gdy zebrany przed domem gęsty tłum już się nasłuchał o Stawroginie i o tem, jak kazał zarżnąć żonę. Bądź co bądź, przeważająca część tłumu słuchała obojętnie i nieruchomo. Podnieceni byli tylko pijani krzykacze i ludzie „zarywający się", jak ów mieszczanin, który wymachiwał rękami. Wszyscy znali go, jako człowieka naogół spokojnego, od czasu do czasu jednak zrywał się i leciał, gdy coś nadmiernie go uderzyło. Nie widziałem, kiedy przyszła Liza z towarzyszem. Dopiero wtedy ze zdumieniem dostrzegłem ją w tłumie, gdy już daleko była ode mnie. Maurycego Mikołajewicza nawet nie zauważyłem narazie. Była, zdaje mi się, taka chwila, gdy o parę kroków oddalił się od niej, prawdopodobnie zepchnięty przez tłoczących się ludzi. Na Lizę, która rwała się przez tłum, jak w gorączce, jak człowiek, który uciekł ze szpitala, naoślep, nie widząc nic naokoło, — musiano zwrócić niezwłocznie uwagę. Zaczęto mówić głośno i krzyczeć. Ktoś zawołał: „To ta od Stawrogina!" Z innej strony rozległ się okrzyk: „Nie dość im, że zamordowali! Jeszcze chcą patrzeć!" Dostrzegłem, że nad jej głową podniosła się i opuściła czyjaś ręka. Liza upadła. Dosłyszałem straszny krzyk

Maurycego Mikołajewicza, który rzucił się na ratunek i z całych sił uderzył człowieka, który zasłaniał mu Lizę. W tej chwili ów mieszczanin złapał go oburącz z tyłu. Przez parę chwil nie można było nic widzieć; wszystko zakotłowało się. Mam wrażenie, że Liza zerwała się, lecz znów musiała ją zwalić czyjaś pięść. Po chwili rozstąpił się tłum i naokoło leżącej Lizy utworzył się pusty krąg. Okrwawiony, nieprzytomny Maurycy Mikołajewicz, stał nad nią. Krzyczał, płakał, załamywał ręce. Nie pamiętam dokładnie, co dalej było. Wiem, że wreszcie podniesiono i zabrano Lizę. Biegłem za nią. Żyła jeszcze, może nawet była przytomna. Z tłumu wyciągnięto mieszczanina i jeszcze trzech ludzi. Ci trzej dotychczas nie przyznają się do udziału w zbrodni, twierdząc uporczywie, że aresztowano ich przez pomyłkę. Może to prawda. Mieszczanin, bezspornie winny, nie może jednak, jako człowiek bezmyślny, opisać dokładnie przebiegu zdarzenia. Ja także, jako świadek wypadku (chociaż zdaleka), musiałem przed sędzią śledczym składać zeznania. Oświadczyłem, że wszystko stało się znienacka i że sprawcami byli ludzie odpowiednio usposobieni, lecz mało świadomi, pijani i półprzytomni. Pod tym względem nie zmieniłem opinji.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

OSTATNIA DECYZJA.

I.

Wiele osób widziało tego dnia Piotra Stepanowicza. Ci co go widzieli w godzinach porannych, twierdzili potem, że był bardzo podniecony. O drugiej po południu odwiedził Gaganowa, który w przeddzień dopiero powrócił ze wsi. Zebrało się tam dużo ludzi, którzy z ożywieniem rozmawiali o ostatnich zdarzeniach. Piotr Stepanowicz mówił więcej od innych i słuchano go chętnie. Traktowano go zawsze jako „gadatliwego studenta o dziurawej głowie", lecz teraz opowiadał o Julji Michajłownie: był to, w związku z sytu-

acją, bardzo pociągający temat. W charakterze jej dotychczasowego, najwięcej zaufanego powiernika, opowiedział o niej wiele nowych i nieoczekiwanych szczegółów; nieumyślnie i nieostrożnie powtórzył niektóre jej opinje o osobach znanych całemu miastu i zadrasnął tem ich miłość własną. Opowiadanie jego było niewyraźne i poplątane. Mógł ujść za człowieka zbyt prostolinijnego, który, w imię uczciwości, zmuszony jest wbrew woli wyjaśnić odrazu cały stek nieporozumień, robi to jednak niezgrabnie, nie wiedząc, od czego zacząć i na czem skończyć. Nieostrożnie wymknęło mu się, że Julja Michajłowna znała dobrze tajemnicę Stawrogina i sama przeprowadziła całą intrygę. Z nim,Piotrem Stepanowiczem, postąpiła także bardzo nieładnie. Sam on był zakochany w tej biednej Lizie, tymczasem jednak tak go oplątano, że „prawie" odwiózł ją do Stawrogina. Tak, tak, łatwo wam śmiać się, panowie!... — dodał. — „Lecz gdybym ja mógł wiedzieć, jak to się skończy, gdybym mógł przeczuć!"... Na natarczywe pytania o Stawroginie odpowiedział, że katastrofa z Lebiadkinem jest rzeczą przypadku i że winien tu tylko sam Lebiadkin, który niepotrzebnie pokazywał wszystkim pieniądze. Wyjaśnił to bardzo dokładnie. Jeden ze słuchaczów zwrócił uwagę, że napróżno obecnie wykręca się: jadł, pił, spał nieomal w domu Julji Michajłowny, a teraz pierwszy ją oczernia; nie jest to tak ładnie, jak mu się zdaje. Piotr Stepanowicz miał na to gotową odpowiedź.

— Jadłem i piłem nie dlatego, abym nie miał własnych pieniędzy, i nie jestem winien, że zapraszano mnie tam ciągle. A czy mam być za to wdzięczny, niech mi pan pozwoli mieć własną opinję w tym względzie.

Naogół odniósł sukces. „Może nie jest to człowiek poważny i rozsądny, bądź co bądź, nie powinien przecież ponosić odpowiedzialności za głupstwa Julji Michajłowny. Wygląda nawet na to, że powstrzymywał ją..."

Około drugiej rozeszła się wiadomość, że Stawrogin, o którym tyle rozprawiano, znienacka wyjechał południowym pociągiem do Petersburga. Zainteresowało to wszystkich; ten i ów chmurzył się. Piotr Stepanowicz był tak

zaskoczony, że twarz mu się zmieniła i krzyknął: „Jakże można go było wypuścić?" Pobiegł natychmiast od Gaganowa. Widziano go jednak potem jeszcze w paru domach.

O zmierzchu udało mu się dotrzeć do Julji Michajłowny. Nie była to rzecz łatwa, gdyż nie chciano go przyjąć. Dowiedziałem się o tym szczególe od niej samej, w trzy tygodnie później, przed wyjazdem jej do Petersburga. Nie powtórzyła mi całej rozmowy, stwierdziła jednak, że wówczas „nastraszył ją nie na żarty". Sądzę, że poprostu groził jej odpowiedzialnością za współudział, na wypadek, gdyby zaczęła za dużo mówić. Konieczność nastraszenia jej wynikała z ówczesnych jego planów, jej nieznanych. Potem dopiero, po pięciu dniach, domyśliła się, dlaczego tak mu zależało na jej milczeniu i dlaczego tak się sam obawiał wybuchów jej oburzenia.

O ósmej wieczorem gdy było już zupełnie ciemno, na krańcu miasta, w uliczce Fominowskiej, w małym, wykrzywionym domku, w mieszkaniu chorążego Erkla, zebrali się „nasi" w komplecie, w liczbie pięciu. Zebranie to wyznaczone było przez samego Piotra Stepanowicza, który jednak przyszedł ze znacznem opóźnieniem. Czekano go już od godziny. Chorąży Erkel — był to ten sam przyjezdny oficerzyna, który na zebraniu u Wirgińskiego, przesiedział cały czas z ołówkiem w ręku i notatnikiem przed sobą. Do miasta naszego przybył niedawno, mieszkał samotnie u dwu staruszek-mieszczanek, w głuchej części miasta, i miał wkrótce wyjechać. Najbezpieczniej było zebrać się u niego. Ten dziwny chłopak był wyjątkowo milczący. Był w stanie wysiedzieć dziesięć wieczorów zrzędu w najbardziej ożywionem towarzystwie, rozprawiającem o najrozmaitszych i najciekawszych rzeczach, i nie otworzył ust ani razu, wodząc po zebranych z niesłychaną uwagą dziecinnemi oczyma i wsłuchując się w bieg rozmów. Miał twarz ładniutką i nawet niegłupią. Do „piątki" nie należał. „Nasi" przypuszczali, że człowiek ten ma jakieś specjalne zlecenia wykonawcze. Teraz już wiemy, że nie miał żadnych zleceń, sądzę jednak, że pod tym względem sam się słabo orjentował. Uwielbiał Piotra Stepanowicza którego poznał nie-

dawno. Gdyby spotkał jakiegoś zwyrodniałego potwora, i gdyby ten potwór pod jakimś pozorem społeczno-romantycznym namówił go do założenia bandy rozbójniczej, a przedewszystkiem do zabicia i zrabowania na prośbę pierwszego chłopa, spotkanego na drodze, — Erkel napewnoby usłuchał. Miał gdzieś tam chorą matkę, której posyłał połowę swej skromnej gaży. Jakże musiała ona całować tę biedną jasną główkę, jak drżała o nią, jak się modliła! Mówię tak dużo o Erklu, gdyż żal mi go bardzo.

Wszyscy „nasi" byli podnieceni. Zdarzenia minione uderzyły ich i przeraziły. Zwykły, aczkolwiek usystematyzowany skandal, w którym wszyscy brali dotychczas udział tak żarliwy, skończył się w sposób nieoczekiwany. Pożar nocny, zabójstwo Lebiadkinych, rozprawa tłumu z Lizą, — były to niespodzianki, stojące poza ich programem. Oskarżali gorąco o despotyzm i nieszczerość dłoń, która kierowała nimi. Wobec tego, w oczekiwaniu Piotra Stepanowicza, tak się wzajemnie podniecali, że postanowili raz jeszcze kategorycznie zażądać, aby dał wyjaśnienia, gdyby zaś odmówił, rozwiązać nawet piątkę, z tem jednak, aby zamiast niej zawiązać nowe, własne już stowarzyszenie „propagandy idei", oparte na zasadach równouprawnienia i demokratyzmu. Liputin, Szilagew i ów „znawca ludu" specjalnie obstawali przy tej myśli. Lamszyn milczał, chociaż najwidoczniej także aprobował. Wirgiński wahał się i chciał przedewszystkiem wysłuchać Piotra Stepanowicza. Na tem się też zatrzymano. Jednakże Piotr Stepanowicz nie przychodził. Takie lekceważenie dolało goryczy do i tak już pełnego kielicha. Erkel milczał i tylko raz jeden odezwał się, prosząc o herbatę. Przyniósł ją potem zresztą sam sobie, na tacy, nie wpuszczając służącej i nie wnosząc samowaru.

Piotr Stepanowicz stawił się dopiero o pół do dziewiątej. Szybkim krokiem zbliżył się do okrągłego stołu przy kanapie, wokół którego siedziało całe towarzystwo. Trzymał w ręku kapelusz. Herbaty już nie chciał. Miał wygląd zły, surowy i wyniosły. Musiał zauważyć odrazu, że tu się szykuje „bunt".

— Zanim sam usta otworzę, gadajcie, o co wam chodzi. Macie najwidoczniej jakieś zamiary, — powiedział z ironicznym uśmiechem, rozglądając się po zebranych.

„W imieniu wszystkich", zabrał głos Liputin i z żalem oświadczył, że jeżeli dalej będzie tak trwało, to „dojdzie do rozbijania łbów". O, oni wcale nie boją się o własne łby, i gotowi są zawsze je nadstawiać, lecz wyłącznie w imię wspólnej sprawy. (Szmer ogólny był jakgdyby pospólną aprobatą twierdzeń Liputina). Niech więc i z nimi będą otwarci, aby wszyscy zawczasu o wszystkiem wiedzieli, bo „jakże może być inaczej". (I znów mruczenie zbiorowe poparło Liputina). Działać w dotychczasowy sposób — i wstyd, i niebezpiecznie. ...Wcale nie jesteśmy tchórzami, lecz jeśli działa jeden tylko, inni zaś grają rolę pionków, to wystarczy temu jednemu zbłądzić, aby odpokutowali za to wszyscy. (Okrzyki: tak! tak!).

— O co wam chodzi do djabła?

Liputin denerwował się.

— Jaki związek ze sprawą ogólną mają intrygi pana Stawrogina? Niech tam należy on sobie w jakiś tajemniczy sposób do tajemniczego centrum, o ile wogóle istnieje owo centrum fantastyczne, — lecz nam nic do tego. Tymczasem zaś dokonane zostało morderstwo. Cała policja na nogach. Po nitce łatwo dojść do kłębka.

— Wpadnie pan ze Stawroginem, to wpadniemy i my, — dodał „znawca ludu".

— Bez korzyści dla sprawy ogólnej, — ponuro zakończył Wirgiński.

— Co za głupstwa! Zabójstwo jest rzeczą wypadku! Dokonane zostało przez Fiedię w celach rabunkowych.

— Dziwny zbieg okoliczności, — skrzywił się Liputin.

— A chcecie wiedzieć? Samiście winni!

— Jakto? My?

— Przedewszystkiem pan, panie Liputin, uczestniczyłeś w intrydze, a najważniejsze to, że odebrałeś pan rozkaz wyprawienia Lebiadkina i otrzymałeś za to pieniądze. Gdyby rozkaz został wykonany, nie byłoby morderstwa.

— Ależ pan sam podsunął pomysł wysunięcia go na estradę z wierszami.

— Pomysł — to nie rozkaz. Rozkaz brzmiał: wywieźć Lebiadkina.

— Rozkaz... dziwne słowo... przeciwnie... nakazał pan, aby z tem się wstrzymać...

— Tu się pan omylił i ujawnił zarówno głupotę swoją, jak samowolę. Zabójstwo zaś, — to sprawdka Fiedi i tylko jego. Dla rabunku. Słyszał pan, że gdzieś dzwonią, — i odrazu pan uwierzył... Stchórzył pan... Stawrogin mądrzejszy. Najlepszy oto dowód: wyjechał dziś w południe, po widzeniu się z wice-gubernatorem. Gdyby coś w tem było, nie wypuszczonoby go w biały dzień do Petersburga.

— Ależ nie twierdzimy bynajmniej, że Stawrogin sam mordował, — zjadliwie i znacząco odparł Liputin. — Mógł tak samo o niczem nie wiedzieć, jak, naprzykład, ja... Pan zaś wie doskonale, że ja o niczem nie miałem pojęcia, chociaż chciałby pan wplątać mnie w tę historję.

— Kogóż pan oskarża? — ponuro pytał Wierchowieński.

— Tych samych którym potrzebne jest palenie miast...

— Najgorzej, że pan się wykręca. A zresztą czy nie łaska przeczytać i pokazać innym ten oto dokumencik? To tylko tak, dla wiadomości.

Wyjął z kieszeni list anonimowy Liebiadkina do Lembkego i oddał Liputinowi. Liputin przeczytał, najwidoczniej zdziwił się i wręczył sąsiadowi. List obszedł stół dokoła.

— Czy to napewno ręka Lebiadkina? — zapytał Szigalew.

— Jego, — oświadczyli Liputin i Tołkaczenko („znawca ludu").

— Podałem to wam do wiadomości tylko dlatego, żeście się zbyt rozrzewnili z powodu Lebiadkina, — oświadczył Wierchowieński, chowając list do kieszeni. — A teraz, panowie, jakiś Fiedia zupełnie wypadkowo wybawia nas

od niebezpiecznego człowieka. Jak dużo waży czasem prosty przypadek! Czyż nie jest to pouczające?

Zebrani zamienili ze sobą znaczące spojrzenia.

— A teraz, panowie, moja kolej pytać, — arbitralnie rozpoczął Wierchowieński. — Chciałbym wiedzieć, z jakiej racji podpaliliście miasto, nie mając odpowiedniego rozkazu?

— Co? Myśmy miasto spalili? Skąd takie oskarżenie? — rozległy się okrzyki.

Na okrzyki te Piotr Stepanowicz nie zwracał najmniejszej uwagi.

— Rozumiem, żeście się zagalopowali. To już coś więcej, niż skandaliki z Julją Michajłowną. Zgromadziłem u was, aby pozwolić wam zrozumieć niebezpieczeństwo, które ściągnęliście na siebie, a które zagraża rzeczom ważniejszym niż wasz osobisty los...

Wirgiński który milczał dotychczas, zawołał z oburzeniem w głosie.

— Przepraszam! To my właśnie chcieliśmy tutaj zaprotestować przeciwko despotyzmowi i samowoli, z jakiemi zastosowany został, bez zasięgnięcia opinji członków stowarzyszenia, tak dziwny a tak radykalny środek.

— Ach, więc zapieracie się? Ja zaś twierdzę, żeście wy spalili Zarzecze. Wy, i nikt inny. Panowie, nie łżyjcie, mam informacje absolutnie ścisłe. Samowolą swoją naraziliście na szwank sprawę ogólną. Jesteście wszak drobną tylko komórką w olbrzymiej sieci innych komórek i macie obowiązek bezwzględnego posłuszeństwa. Tymczasem trzej z pośród was namawiali Szpigulinowców do podpalenia miasta, — nie mając pod tym względem żadnych instrukcyj, — i pożar stał się faktem.

— Jacy trzej? Kto taki?

— Przedwczoraj o czwartej w nocy. Tołkaczenko w „Niezabudce" namawiał Fomkę Zawiałowa.

— Na miły Bóg, — zerwał się Tołkaczenko. — Szerpnąłem mu tylko jedno słówko, bez żadnego zamiaru, a wyłącznie dlatego, że go tegoż rana oćwiczono rózgami; przestałem natychmiast, widząc, że jest zanadto pijany.

Gdybyś mi pan nie przypomniał nie pamiętałbym nawet. Od jednego słówka nie mógł pożar wybuchnąć.

— Wygląda pan, jak człowiek, który dziwi się, że od drobnej iskry może wylecieć w powietrze prochownia.

— Mówiłem szeptem i na ucho. Siedzieliśmy w kąciku. Skąd mógł się pan o tej rozmowie dowiedzieć!? — dziwił się Tołkaczenko.

— Siedziałem tam pod stołem. Nie bójcie się, panowie. Znam każdy krok wasz. Uśmiecha się pan zjadliwie, panie Liputin? A wiem naprzykład, żeś pan przed czterema dniami szczypał bez litości żonę własną, o północy, w sypialni waszej, zanim położyliście się do łóżka.

Liputin otworzył szeroko usta i zbladł.

(Wyjaśniło się potem, że o zachowaniu się Liputina Piotr Stepanowicz dowiedział się od służącej Agafji, którą od początku opłacał za szpiegowanie).

— Czy wolno mi skonstatować pewien fakt? — odezwał się Szigalew.

— Konstantuj pan.

Szigalew, który powstał przed chwilą, usiadł znów na krześle, i skupiał myśli.

— O ile zrozumiałem, trudno zaś było nie zrozumieć, pan sam na początku, a potem jeszcze raz, bardzo wymownie, chociaż nieco teoretycznie, zarysował nam obraz Rosji, pokrytej nieskończoną siecią kółek. Z drugiej strony, każde z istniejących kółek, pozyskując nowych adherentów i rosnąc w nieskończoność bocznemi rozgałęzieniami, ma na celu, w drodze systematycznej demaskującej propagandy, obalać autorytet władz miejscowych, budzić zamęt na wsi, wkorzeniać cynizm i nieład, brak wiary w cokolwiek bądź, pragnienie czegoś lepszego — i wreszcie, działając zapomocą pożarów, jako środka najbardziej narodowego, doprowadzić kraj w pewnym momencie nawet do rozpaczy, gdy zajdzie tego potrzeba. Czy nie są to pańskie słowa? Starałem się zapamiętać je dokładnie. Czyż nie jest to pański program? Program, zakomunikowany nam imieniem centralnego komitetu, dotychczas zupełnie nam nieznanego i mitycznego nieomal?

— Tak, tak, lecz niech pan tak nie rozwleka!

— Każdemu przysługuje prawo głosu. Dając nam do zrozumienia, że odrębnych węzłów tej sieci ogólnej, która rzekomo Rosję całą pokrywa jest już obecnie kilkaset, i rozwijając myśl, że gdyby każde kółko spełniło należycie misję swoją, to Rosja, w określonym terminie, na dany sygnał....

Piotr Stepanowicz poruszył się na fotelu.

— Do djabła! I bez pana mamy tu dużo roboty!

— Dobrze więc! Skracam się i kończę jednem tylko pytaniem: widzieliśmy już skandale, widzieliśmy niezadowolenie ludności, byliśmy świadkami moralnego upadku administracji miejscowej, przyczyniliśmy się nawet do tego upadku. Wreszcie na własne oczy ujrzeliśmy pożar. Cóż pana martwi? Czyż to nie jest spełnienie pańskiego programu? O co pan nas oskarża?

— O samowolę! — zawołał Piotr Stepanowicz. — Póki jestem tu, nie wolno wam działać bez mego upoważnienia. Dość już zresztą tego. Denuncjacja jest gotowa, i może jutro lub dziś w nocy wyłapią was wszystkich. Tak się rzeczy przedstawiają. Informacje moje są zupełnie ścisłe.

Teraz już wszyscy pootwierali usta.

— Wyłapią nas nietylko jako podżegaczy do pożaru, lecz i jako piątkę. Denuncjant zna dobrze tajemnicę sieci. Sami teraz widzicie, jakeście nabroili...

— To napewno Stawrogin! — zawołał Liputin.

— Jakto? Dlaczego Stawrogin? — żachnął się Piotr Stepanowicz i zaciął się na chwilę. Opamiętał się jednak natychmiast. — Ależ bynajmniej. To Szatow. Wiecie napewno wszyscy, że Szatow dawniej należał do organizacji. Śledząc go przez ludzi, których on nawet nie podejrzewa, dowiedziałem się ze zdumieniem, że nawet cały stan sieci nie jest dla niego tajemnicą. Pragnąc więc uwolnić się od odpowiedzialności za dawny swój udział, chce zadenuncjować wszystkich. Dotychczas wahał się, i dlatego oszczędzałem go. Teraz ten pożar rozwiązuje mu język. Jest poruszony i przestał się wahać. Jutro będziemy aresztowani, jako podżegacze i przestępcy polityczni.

— Czy naprawdę? Skąd Szatow mógłby wiedzieć? Wiadomość ta poruszyła wszystkich.

— Absolutna prawda. Nie mam obowiązku zdradzać przed wami źródeł moich informacyj. Narazie mogę zrobić tylko jedno. Przez pewną osobę mogę podziałać na Szatowa w tym sensie, że, nie domyślając się niczego, odłoży swój raport na jeden dzień. Na jedną tylko dobę. Na dłużej nie mogę. Możecie więc uważać siebie za bezpiecznych do pojutrzejszego poranku.

Milczeli wszyscy.

— Trzeba go wyprawić na tamten świat, — pierwszy odezwał się Tołkaczenko.

— Już dawno mu się to należało, — zawołał Lamszyn, uderzając pięścią w stół.

— Lecz jak to zrobić? — bąknął Liputin.

Piotr Stepanowicz natychmiast zareagował i wyłuszczył swój plan. Polegał on na tem, aby zaciągnąć Szatowa, pod pozorem zwrotu tajnej drukarni, do tego głuchego miejsca, gdzie drukarnia jest zakopana, a tam już „rozporządzić się". Omówił szereg niezbędnych szczegółów, które tu pomijam i dokładnie wyjaśnił ten dwuznaczny stosunek Szatowa do centrali stowarzyszenia, który znany już jest czytelnikom.

— Tak, — chwiejnie zauważył Liputin, — lecz ponieważ znowu... nowe zdarzenie w tym samym rodzaju... zbyt poruszy tu umysły...

— Niewątpliwie, — zgodził się Wierchowieński. — Lecz i to jest przewidziane. Mam sposób na usunięcie podejrzeń.

Z tą samą precyzją opowiedział o Kiriłowie, o jego zamiarze odebrania sobie życia i o tem że obiecał oczekiwać sygnału, zostawić kartkę i zwalić na siebie wszystko, co zostanie mu podyktowane. (Czytelnicy znają już te rzeczy).

— Jego stanowcza decyzja odebrania sobie życia, niby to filozoficzna, a zdaniem mojem warjacka, wiadomą się stała t a m, — tłumaczył Piotr Stepanowicz. — Tam zaś nie ginie ani pyłek, wszystko idzie na korzyść sprawy ogólnej. Przewidując możliwość wyzyskania sytuacji i stwierdziwszy, iż postanowienie jego jest zupełnie poważne, zapro-

ponowano mu gotówkę na wyjazd do Rosji (niewiadomo dlaczego, chciał koniecznie umrzeć w Rosji), dano mu zlecenia, które obiecał spełnić (i spełnił) i zobowiązano go, aby palnął sobie w łeb wtedy dopiero, gdy mu powiedzą. Obiecał wszystko. Zauważcie, że jest on członkiem stowarzyszenia na odrębnych zupełnie podstawach i chce być użytecznym. Nie mogę powiedzieć wam nic więcej. Jutro po Szatowie, podyktuję mu kartkę, że on jest winowajcą śmierci Szatowa. Będzie to nawet prawdopodobne. Byli niegdyś przyjaciółmi i jeździli razem do Ameryki, pokłócili się tam... to wszystko napiszemy... a nawet, zależnie od okoliczności, można będzie podyktować mu coś więcej, naprzykład o proklamacjach, może poczęści i o pożarze. Zresztą pomyślę jeszcze o tem. Bądźcie spokojni, on nie ma przesądów. Podpisze wszystko.

Rozległy się słowa wyrażające wątpliwość. Cała historja wydała się nazbyt fantastyczną. Chociaż o Kiriłowie ten i ów słyszał. Przedewszystkiem zaś Liputin.

— A raptem rozmyśli się i nie zechce, — powiedział Szigalew. — Bądź co bądź, jest to warjat, trudno więc na nim polegać.

— Nie bójcie się panowie. Zechce, — przerwał Wierchowieński. — Zgodnie z umową, muszę uprzedzić go o dzień wcześniej, a więc dziś jeszcze. Niech Liputin idzie zaraz ze mną i przekona się. Potem powróci tu i wyjaśni, czy mówiłem prawdę. A zresztą,—zawołał w niesłychanem rozdrażnieniu, jakgdyby uświadomił sobie, że zbyt wiele zaszczytu sprawia tym ludziom, tak długo porając się z nimi i przekonywując ich, — a zresztą, róbcie co chcecie. Jeżeli nie zdecydujecie się, nasz stosunek zostanie zerwany, lecz jedynie z powodu waszego nieposłuszeństwa i waszej zdrady. W takim razie rozchodzą się drogi nasze. Pamiętajcie jednak, że oprócz przykrej denuncjacji ze strony Szatowa i jej następstw, ściągacie na siebie jeszcze jedną drobną nieprzyjemność, o której była mowa przy wciąganiu was do spisku. Co do mnie, panowie, ja się was boję. Nie sądźcie, abym tak bardzo był z wami związany... Zresztą, mniejsza o to...

— Nie. My jesteśmy zdecydowani, — oznajmił Lamszyn.

— Niema innego wyjścia, — bąknął Tołkaczenko. — I jeżeli Liputin potwierdzi o Kiriłowie, w takim razie...

Wirgiński zerwał się z miejsca.

— Sprzeciwiam się! Całą duszą protestuję przeciwko tak krwawej decyzji!

— Lecz co? — zapytał Piotr Stepanowicz.

— Jakto „lecz co"?

— Powiedział pan „lecz", więc czekam.

— Nie mówiłem żednego „lecz..." Chciałem jedynie powiedzieć, że skoro zapadła decyzja, to...

— To co?

Wirgiński zamilkł. Po chwili otworzył usta Erkel.

— Ja sądzę, że można pogardzać niebezpieczeństwem własnego życia... skoro jednak ucierpieć może sprawa ogólna, nie wolno nam pogardzać niebezpieczeństwem własnego życia...

Stracił wątek i zaczerwienił się. I chociaż każdy był pogrążony w myślach własnych, jednakże wszyscy patrzyli ze zdziwieniem. Było rzeczą najzupełniej nieprzewidzianą, że Erkel może także zabrać głos.

— Jestem za sprawą ogólną, — skończył Wirgiński.

Poruszyli się wszyscy. Postanowiono jutro w południe podzielić się wiadomościami, nie schodząc się jednak razem, i omówić szczegóły. Podane zostało do wiadomości miejsce, gdzie zakopana została drukarnia. Role i obowiązki podzielono. Liputin i Wierchowieński natychmiast wyruszyli do Kiriłowa.

II.

Wszyscy uwierzyli naprawdę, że Szatow ma zadenuncjować. Pojęli zarazem, że Piotr Stepanowicz gra nimi, jak pionkami. A jednak wiedzieli, że stawią się jutro wszyscy w komplecie, i że los Szatowa jest przesądzony. Czuli, że wpadli, jak muchy, w pajęczynę jakiegoś olbrzymiego pająka. Złościło ich to, lecz zarazem przejmowało strachem.

Niezaprzeczalnie, Piotr Stepanowicz zawinił wobec nich. Mogło odbyć się wszystko lżej i zgodniej, gdyby zechciał choć trochę upiększyć rzeczywistość. Zamiast tego jednak, aby przedstawić fakt w przyzwoitem świetle, w jakimś stylu klasycznie-obywatelskim, lub coś w tym rodzaju,—wysunął jedynie brutalny strach i troskę o własną skórę. Było to już wprost nieprzyzwoite. Rozumieli, że, prawda, wszędzie jest tylko walka o byt, że niema innych dźwigni, lecz bądź co bądź...

Ale Piotr Stepanowicz nie miał czasu budzić w nich starożytnych Rzymian. Sam był jak wykolejony. Ucieczka Stawrogina oszołomiła go i przygnębiła. Skłamał, jakoby Stawrogin widział się z wice-gubernatorem. O to właśnie chodziło, że wyjechał, nie zobaczywszy się z nikim, nawet z matką, i istotnie można się było dziwić, że nie robiono mu żadnych przeszkód. (Władze nasze musiały nawet potem specjalnie usprawiedliwiać się z tego powodu). Piotr Stepanowicz przez cały dzień chciał się czegoś dowiedzieć, lecz bezskutecznie, i był niespokojny, jak rzadko. Czyż mógł, czyż był w stanie, tak znienacka wyrzec się Stawrogina? Dlatego też trudno mu było zbyt czulić się z „naszymi". Poza tem czuł się przez nich skrępowany. Postanowił już pędzić za Stawroginem. Zatrzymywał go jednak Szatow. Trzeba było ostatecznie scementować piątkę, — na wszelki wypadek. „Poco pozbawiać się jej: może się kiedyś przydać". Sądzę, że takie były jego myśli.

Co do Szatowa, to istotnie był przekonany, że ten zadenuncjuje. Skłamał, gdy mówił o raporcie. Nigdy go nie widział, ani słyszał o nim, lecz nie wątpił, że raport będzie. Był przekonany, że Szatow nie wytrzyma obecnych zdarzeń — śmierci Lizy, śmierci Marji Timofiejewny, — i że teraz właśnie pójdzie i zacznie opowiadać. Może nawet miał jakieś dane do tych przypuszczeń. Wiadomo też, że nienawidził Szatowa osobiście. Miał między nimi kiedyś miejsce jakiś zatarg, a Piotr Stepanowicz nie przebaczył nigdy. Może tu właśnie kryła się główna przyczyna.

Chodniki w naszem mieście są wąziutkie, ceglane; w niektórych miejscach zwykłe deski. Piotr Stepanowicz

kroczył środkiem chodnika nie zwracając najmniejszej uwagi na Liputina, któremu już obok nie pozostawało miejsca. Musiał więc iść albo o krok ztyłu albo też, gdy chciał rozmawiać, — pakować się w błoto na ulicę. Piotr Stepanowicz przypomniał sobie, że niedawno tak samo kroczył w błocie, aby nadążyć za Stawroginem, który wówczas, jak on sam teraz, szedł środkiem chodnika. Przypomniał sobie ową scenę i ogarnęła go wściekłość.

Lecz i Liputin był wściekły. Niechby sobie Piotr Stepanowicz obchodził się z innymi jak chce! Ale z nim? Przecież on ze wszystkich „naszych" najwięcej wie, stoi najbliżej sprawy, najściślej jest z nią związany, i dotychczas, ubocznie przynajmniej, brał udział we wszystkiem. O, wiedział doskonale, że teraz nawet Piotr Stepanowicz mógłby go zgubić, gdyby zaszła potrzeba. Już nienawidził go oddawna, nie ze strachu, lecz na wyniosłość i pogardliwy ton w obcowaniu. Teraz, gdy trzeba było decydować się na taką rzecz, irytował się więcej, niż wszyscy „nasi", razem wzięci. Wiedział niestety, że jak niewolnik stawi się jutro pierwszy, i innych ściągnie. Gdyby mógł obecnie zabić Piotra Stepanowicza, nie narażając siebie, zabiłby napewno.

Pogrążony we własnych myślach, milczał i biegł za dręczycielem. Piotr Stepanowicz jakgdyby zapomniał o nim; tylko od czasu do czasu nieuważnie i niegrzecznie trącał go łokciem. Raptem Wierchowieński na jednej z ruchliwszych ulic zatrzymał się i wszedł do traktjerni.

— Dokąd pan? — zapytał Liputin z oburzeniem.

— Chcę zjeść befsztyk.

— Na miłość Boską, tu zawsze dużo ludzi...

— A co mi to szkodzi?

— Spóźnimy się... już dziesiąta...

— Nie, tam nie można się spóźnić...

— Ale ja się spóźnię. „Nasi" czekają mego powrotu.

— To poczekają. Ale byłoby głupio, gdyby pan wracał do nich. A ja z tą całą poraniną nie jadłem dziś obiadu. A do Kiriłowa im później, tem lepiej.

Piotr Stepanowicz zajął osobny pokój. Liputin gniewny i urażony, usiadł na uboczu i przyglądał się jak tamten

je. Minęło pół godziny i więcej. Piotr Stepanowicz nie śpieszył się, jadł ze smakiem, dzwonił parę razy, żądał jakiejś innej musztardy, kazał dać sobie piwa, i wciąż milczał. Był głęboko zamyślony. Umiał godzić te rzeczy: zamyślać się głęboko i jeść ze smakiem. Liputin tak znienawidził go, że nie mógł oczu od niego oderwać. Był jak w jakimś transie. Liczył każdy kawałek mięsa, który tamten wkładał do ust, nienawidził go za sposób otwierania ust, za sposób przeżuwania, za wysysanie tłuściejszych kawałków, znienawidził nawet befsztyk. Nakoniec uczuł, że mu się dwoi w oczach; poczuł zawrót głowy; czuł zimne dreszcze, a potem rzuciło go w gorączkę.

— Pan nic nie robi, niech pan to przeczyta, — odezwał się niespodziewanie Piotr Stepanowicz, rzucając mu jakiś papier.

Liputin zbliżył się do świecy. Papier był gęsto zapisany, niewyraźnie i z poprawkami w każdym wierszu. Gdy Liputin zdołał odcyfrować, Piotr Stepanowicz już zapłacił i wychodził. Na ulicy Liputin chciał mu oddać papier.

— Nie trzeba. Niech pan zostawi u siebie. Wyjaśnię potem. A co pan o tem myśli?

Liputin drgnął.

— Myślę, że taka proklamacja, to śmieszny bezsens.

Gniew jego znalazł ujście. Czuł się, jakgdyby został porwany i gdzieś leciał. Przeszywały go nieustanne dreszcze.

— Gdybyśmy zdecydowali się rozpowszechniać tego rodzaju proklamacje, to dzięki głupocie naszej i niezrozumieniu rzeczy wzbudzimy jedynie pogardę dla siebie.

— Hm! Ja myślę inaczej! — spokojnie mówił Piotr Stepanowicz.

— A ja inaczej! Czy pan sam skomponował?

— To pana nie obchodzi.

— Myślę także, że wiersze „Jasna Postać" są najnędzniejsze w świecie, i że nigdy nie mógł napisać ich Hercen.

— Kłamiesz pan. Wiersze są ładne.

Liputin angażował się coraz więcej. Coś go podnosiło.

— Dziwię się że proponują nam działać tak, aby

wszystko się zawaliło. Taki program dobry w Europie: tam jest proletarjat, a my tu jesteśmy dyletanci, tylko kurz podnosimy.

— Myślałem, że pan jest furjerzystą.

— U Fouriera nie to, zupełnie nie to.

— Wiem, że głupstwa... Przepraszam pana, lecz nie mogę uwierzyć, aby już w maju wybuchło powstanie.

Liputin czuł taki żar, że rozpiął palto.

— Mniejsza o to, — obojętnie zmienił temat Piotr Stepanowicz. — Ale ten papier, żeby nie zapomnieć pan złoży osobiście i wydrukuje. Odkopiemy drukarnię Szatowa i pan weźmie ją na swoją odpowiedzialność. W najbliższym czasie musi pan odbić jak najwięcej egzemplarzy, aby rozrzucać przez całą zimę. Wskażę panu środki materjalne. Trzeba jak największej ilości egzemplarzy, gdyż otrzyma pan zamówienia z innych miejsc.

— O nie, przepraszam... nie mogę podjąć się tego... obawiam się.

— To panu nic nie pomoże. Działam podług instrukcyj Centralnego Komitetu, pan zaś musi słuchać.

— A ja myślę że te pańskie centra zagraniczne zapomniały o rzeczywistości rosyjskiej, straciły wszelki związek z nią, i dlatego bredzą... Myślę także, że zamiast wielu setek piątek w Rosji, my tu stanowimy jedyną, i żadnej sieci niema...

Liputinowi brakło już tchu.

— Tem bardziej zasługuje pan na pogardę, że nie wierząc w sprawę pobiegł jednak za nią... i teraz biegnie pan za mną jak podły piesek...

— Nie, nie biegnę. Przysługuje nam prawo odejść i stworzyć własną organizację.

— Głupiec! — groźnie krzyknął Piotr Stepanowicz.

Stali przez chwilę naprzeciwko siebie. Piotr Stepanowicz odwrócił się i poszedł dalej pewnym krokiem.

W głowie Liputina błysnęła myśl, szybka jak błyskawica.

„Odwrócę się i pójdę zpowrotem. Jeżeli nie odwrócę się teraz, to już nigdy".

Tak myślał wciągu dziesięciu kroków. Przy jedenastym zapaliła mu się w mózgu myśl nowa i szalona. Nie cofnął się i poszedł za Wierchowieńskim.

Doszli do domu Filipowa. Nie dochodząc jeszcze, skręcili w boczną ścieżkę wzdłuż płotu, tak że przez jakiś czas musieli iść ukośnym brzegiem rowczaka, na którym trudno było utrzymać nogi. Musieli chwytać się płotu. W głuchym rogu Piotr Stepanowicz wyjął deskę i wszedł przez ten otwór. Liputin zdziwił się, lecz podążył w ten sam sposób. Wstawił potem deskę zpowrotem. Była to owa tajemnicza droga, którą przełaził do Kiriłowa Fiedia.

— Szatow nie powinien wiedzieć, że jesteśmy tu, — surowo szepnął do Liputina Piotr Stepanowicz.

III.

Kiriłow, jak zawsze o tej porze, siedział na sofie skórzanej i pił herbatę. Nie powstał na powitanie gości, lecz jakoś najeżył się i zaczął przyglądać się trwożnie:

— Zgadłeś pan, — powiedział Piotr Stepanowicz, — przyszedłem właśnie w tej sprawie.

— Dziś?

— Nie, jutro... mniej więcej o tej porze.

Śpiesznie usiadł przy stole i z pewnem zaniepokojeniem przyglądał się strwożonemu Kiriłowowi. Ten jednak rychło odzyskał spokój i patrzył swym zwykłym wzrokiem.

— A ci panowie nie chcą wierzyć. Nie gniewa się pan, że przyprowadziłem ze sobą Liputina?

— Dziś mi wszystko jedno, lecz jutro chcę być sam.

— Lecz nie zrobi pan tego przed mojem przyjściem, a więc przy mnie...

— Nie chciałbym przy panu.

— Pamięta pan, że ma pan napisać i podpisać wszystko, co podyktuję.

— Wszystko mi jedno. A teraz — długo pan tu będzie?

— Muszę z pewnym człowiekiem zobaczyć się za pół godziny, więc przesiedzę u pana ten czas.

Kiriłow zamilkł. Liputin ulokował się na uboczu, pod portretem archimandryty. Ta myśl szalona, która mu przyszła do głowy na ulicy, opanowywała go coraz silniej. Kiriłow nie zwracał na niego żadnej uwagi. Liputin jeszcze dawniej znał teorję Kiriłowa i nieraz śmiał się z niej, teraz milczał i rozglądał się ponuro.

— Napiłbym się herbaty, — odezwał się Wierchowieński. — Zjadłem przed chwilą befsztyk i liczyłem na herbatę u pana.

— Niech pan pije.

— Dawniej pan sam nalewał, — kwaśno zauważył Piotr Stepanowicz.

— Wszystko jedno. Niech i Liputin pije.

— O nie, nie... nie mogę.

— Nie chce pan, czy nie może? — ostro zapytał go Piotr Stepanowicz .

— Ja... u niego... nie będę, — znacząco wymawiał się Liputin.

Piotr Stepanowicz ściągnął brwi.

— Pachnie mistycyzmem; co z was wszystkich za ludzie!

Nie odpowiedział nikt. Po paru chwilach Wierchowieński dodał:

— Wiem jednakże, że żadne przesądy nie przeszkodzą nikomu z was spełnić obowiązek.

— Czy Stawrogin wyjechał? — zapytał Kiriłow.

— Wyjechał.

— Dobrze zrobił.

Piotr Stepanowicz zapanował nad sobą.

— Wszystko mi jedno, co pan myśli, byle każdy dotrzymał słowa.

— Ja dotrzymam słowa.

— Byłem zawsze przekonany, że pan, jako człowiek niezależny i postępowy, spełni swój obowiązek.

— A pan jest śmieszny.

— Niech będzie tak; rad jestem, że śmieszę pana. Zawsze chętnie dogodzę każdemu.

— Pan chce koniecznie, abym się zastrzelił, i drży pan ze strachu, że raptem zawiodę.

— Widzi pan! Pan sam połączył swój plan z naszą działalnością. Licząc na pana, jużeśmy to i owo zrobili. I teraz nie ma pan prawa zrezygnować, gdyż w ten sposób wyprowadziłby pan nas w pole.

— Nie uznaję żadnego prawa.

— Rozumiem, rozumiem, tu chodzi o wolną wolę pańską; my nie wpływamy na nią; trzeba jednak, aby ta wolna wola ziściła się.

— I będę musiał wziąć na siebie wszystkie wasze paskudztwa?

— Może pan stchórzył, panie Kiriłow? Jeżeli tak, niech pan zaraz się przyzna.

— Nie stchórzyłem.

— Dlatego tak powiedziałem, że pan zbyt dużo pytał.

— Czy prędko pójdzie pan sobie?

— Znów pan pyta?

Kiriłow spojrzał pogardliwie.

— Widzi pan, — ciągnął Wierchowieński — coraz więcej denerwując się i niepokojąc, i nie mogąc znaleźć odpowiedniego tonu. — Chce pan, abym pana opuścił, chce pan samotności, skupienia, — są to jednak niebezpieczne dla pana symptomaty, przedewszystkiem dla pana. Chce pan myśleć dużo. Sądziłbym, że lepiej nie myśleć, a tak, poprostu... Naprawdę niepokoi mnie pan.

— Martwi mnie tylko to, że wtedy będzie przy mnie taka gadzina, jak pan.

— To już jest obojętne. Jeżeli pan chce, wyjdę w ostatniej chwili i postoję na ganku. Jeżeli pan, umierając, nie jest obojętny na wszystko — to jest niebezpieczne. Wyjdę na ganek, a pan wyobrazi sobie, że ja nie rozumiem i że jestem istotą nieskończenie niższą od pana.

— Tak nie jest. Jest pan człowiekiem zdolnym. Nie rozumie pan wielu rzeczy, ale to dlatego, że jest pan człowiekiem nędznym.

— Ach, dobrze, dobrze. Jużem mówił, że rad jestem zawsze zrobić komuś przyjemność... zwłaszcza w takiej chwili.

— Pan nic nie rozumie.

— Tak, ale... w każdym razie słucham z szacunkiem.

— Pan nic nie może. Pan nie może nawet ukryć drobnej złości, chociaż zależy panu na tem, aby jej nie zdradzać. Rozgniewa mnie pan i gotów jestem odłożyć to na pół roku...

Piotr Stepanowicz spojrzał na zegarek.

— Nie rozumiałem nigdy teorji pańskiej. Sądzę jednak, że wymyślił ją pan nie dla nas, a więc i bez nas zostałaby spełniona. Wiem także, że nie pan zjadł ideę, lecz idea pana; nie może więc pan odłożyć.

— Jakto? Mnie — zjadła idea?

— Tak.

— A nie ja zjadłem ideę? To niezłe. Pan masz trochę rozumu. Lecz pan dręczy mnie, a ja jestem dumny.

— Doskonale, doskonale! Właśnie o to chodzi, aby pan był dumny.

— Już dosyć; skończył pan herbatę. Niech panowie idą.

— Trudna rada, trzeba będzie, — zgodził się Wierchowieński i zaczął ruszać się z miejsca, — chociaż jeszcze za wcześnie. Nie wie pan, czy zastanę teraz u rzeźniczki tamtego człowieka? Rozumie pan? A może i ona nakłamała?

— Nie zastanie pan, gdyż on jest tu, a nie tam.

— Jakto, u djabła, gdzie?

— Siedzi w kuchni, je i pije.

— Jak śmiał! — krzyknął Piotr Stepanowicz, czerwony od gniewu. — Powinien był czekać! Co za głupstwa! Nie ma ani paszportu, ani pieniędzy.

— Nie wiem. Przyszedł pożegnać się; jest ubrany i gotów do drogi. Odchodzi i nie powróci. Mówił, że jest pan nikczemnikiem, i że nie chce czekać na pańskie pieniądze.

— A-a! On się boi, że ja... ha, cóż? mogę i teraz, jeśli... Gdzie on? W kuchni?

Kiriłow otworzył boczne drzwiczki, prowadzące do małej ciemnej komórki; stamtąd po trzech stopniach schodziło się do kuchni, wprost do tej jej części, za przegródką, gdzie zwykle stało łóżko kucharki. Tu, w kącie, pod koszami, siedział teraz Fiedia przed ciosanym, nienakrytym stołem. Stała przed nim butelka wódki, chleb na talerzu i kawał mięsa z kartoflami w jakiemś glinianem naczyniu. Powolutku spożywał i był już trochę podchmielony. Siedział w kożuchu, widocznie gotów do drogi. Za przegródką kipiał samowar, lecz nie dla Fiedi. Już od tygodnia, a może i więcej, Fiedia co noc szykował samowar dla „Aleksego Niłycza, bo oni już bardzo przyzwyczajeni, aby w nocy była herbata". Mam wrażenie, że mięso i kartofle ugotował jeszcze za dnia sam Kiriłow, z myślą o Fiedi.

— Co ty tu robisz? — zawołał Piotr Stepanowicz, zbiegając wdół. — Dlaczego nie czekasz, gdzie ci kazano?

Z całego rozmachu uderzył pięścią w stół.

Fiedia nasrożył się.

— A ty niebardzo, Piotrze Stepanowiczu, niebardzo! —mówił zuchwale, wyraźnie wydzwaniając każde słowo.— Sam pierwszy zrozum, że jesteś na grzecznej wizycie u pana Kiriłowa, u Aleksego Niłycza, któremu nie wart jesteś butów czyścić, bo on ma rozum, wykształcony, a ty — tylko tfu!

Splunął na stronę. Widać było, że jest hardy i zdecydowany na wszystko, zdradzał ten niebezpieczny, sztuczny spokój mówienia, który lada chwila może zamienić się w wybuch. Lecz Piotr Stepanowicz nie był już zdolny zwracać uwagi na niebezpieczeństwo, a zresztą wszystko to nie godziło się z jego poglądem na rzeczy. Zdarzenia i niepowodzenia całego dnia wytrąciły go z równowagi.

Liputin, stojąc w ciemnej komórce, ciekawie spoglądał wdół z wysokości trzech stopni.

— Chcesz mieć dobry paszport i pieniądze na wyjazd tam, gdzie ci każą? Chcesz, czy nie?

— Widzisz, Piotrze Stepanowiczu, tyś mnie od samego początku oszukiwał, więc na to wychodzi, że jesteś wobec mnie nikczemny. Zupełnie, jak podła wesz ludzka... Za

takiego ciebie mam. Tyś mi za krew niewinną duże pieniądze obiecał, i za pana Stawrogina przysięgałeś, a wszystko na to, że to tylko oszukaństwo twoje. Nie pożywiłem się ani groszem, a gdzie już tam jakieś półtora tysiąca... A pan Stawrogin w mordę nabił ciebie, to już wiemy napewno. Ty mi teraz znów grozisz i obiecujesz pieniądze. A za co, milczysz. A ja tak myślę w swojej głowie, że do Petersburga mnie posyłasz, aby tam na nim złość swoją spędzić, i zemstę swoją, a liczysz na mnie, na moją naiwność... I na to wychodzi, że to ty jesteś najpierwszy zabójca. I cóż ty wart jesteś choć za to, że w samego Pana Boga, Stwórcę sprawiedliwego, przestałeś wierzyć w rozpuście swojej? Jesteś taki sam, jak poganin, a na jednej linji z Tatarzynem lub Mordwinem. Aleksy Niłycz, człowiek uczony, dużo razy tobie Boga prawdziwego wyjaśniał, Stworzyciela nieba i ziemi, i o początku świata i o przyszłym losie i przeobrażeniu wszelkiej istoty i wszelkiego zwierzęcia, jak w księgach Apokalipsy. A ty, jak bałwan bezmyślny, trwasz w głuchocie i oniemieniu, a do tego samego doprowadziłeś tego oficera... taki z ciebie złoczyńca kusiciel, a na imię ci — ateista.

— Ach, pijane bydlę! Sam okrada obrazy, a jeszcze tu Boga głosi.

— Ja, widzisz, Piotrze Stepanowiczu, mówię tobie... że okradałem obrazy, to prawda. Ale ja tylko perły pozdejmowałem... A skąd ty wiesz? Może i moja łza przed obliczem Boskiem w tej chwili zaważyła, za wielką krzywdę moją. Czy wiesz ty z książek, że onego czasu pewien kupczyk, z taką samą modlitwą i łzami, zabrał Świętej Bogarodzicy perłę z jej korony, a potem przed całym narodem stanął na kolana i oddał całą sumę do Jej stóp, a Matka Boska wobec wszystkich ludzi nakryła go chustką... taki cud się stał... a policja kazała to wszystko, jak było, zapisać do ksiąg rządowych. A ty — mysz wpuściłeś, to znaczy, że szydziłeś z palca Bożego. I gdybyś ty nie był z przyrodzenia panem moim, którego, chłopcem jeszcze, na ręku nosiłem, tobym zaraz skończył tutaj z tobą, nie ruszając się z miejsca.

Piotr Stepanowicz wpadł w furję.

— Mów! Widziałeś się dzisiaj ze Stawroginem?

— A ty nie śmiesz nade mną śledztwa robić. Pan Stawrogin ze zdziwieniem patrzy na ciebie i nie był w tem ani pomyśleniem, ani rozkazem, ani pieniędzmi. To ty nasłałeś mnie.

— Pieniądze otrzymasz, i tamte dwa tysiące także otrzymasz na miejscu, w Petersburgu, w całości, i otrzymasz więcej jeszcze.

— Ty, Piotrze Stepanowiczu, kłamiesz, i dziwnie mi patrzeć na ciebie, że jesteś taki głupi łgarz. Pan Stawrogin wobec ciebie jest jak na schodach, i ty na niego zdołu szczekasz jak głupi piesek, a on nawet plunąć na ciebie nie raczy.

— Czy ty nie rozumiesz, — krzyczał Piotr Stepanowicz,—że ja ciebie, łajdaku, nie wypuszczę stąd ani na krok i oddam w ręce policji?

Fiedia zerwał się i straszliwie błysnął oczyma. Piotr Stepanowicz wyciągnął rewolwer. W tej chwili nastąpiła gwałtowna i obrzydliwa scena: zanim Piotr Stepanowicz zdążył skierować lufę, Fiedia rzucił się i z całej siły uderzył go w szczękę. W tej chwili rozległ się drugi cios, trzeci, czwarty, wciąż po szczęce. Piotr Stepanowicz zmartwiał; oczy mu nawierzch wylazły; coś wybełkotał i zwalił się jak długi na podłogę.

— Macie go, bierzcie! — triumfalnie zawołał Fiedia; schwycił momentalnie czapkę, węzełek z pod ławy i wyleciał. Tyle go widziano.

Piotr Stepanowicz charczał nieprzytomnie. Liputin myślał, że kona. Kiriłow wpadł do kuchni.

— Oblać go wodą! — zawołał.

Zaczerpnął z wiadra i wylał na głowę leżącemu. Piotr Stepanowicz ruszył się, podniósł głowę, usiadł i bezmyślnie spojrzał przed siebie.

— Jakże tam? — zapytał Kiriłow.

Wierchowieński uważnie, wciąż nie poznając, wpatrywał się w Kiriłowa. Zabaczył jednak Liputina, uśmiechnął się brzydko, i zerwał się, chwytając rewolwer z podłogi.

Z furją rzucił się na Kiriłowa, blady jak płótno. Jąkał się i ledwo wymawiał słowa.

— Jeżeli przyjdzie panu do głowy uciec jutro, jak ten podły Stawrogin, to... znajdę pana na drugim końcu świata... powieszę... zduszę jak muchę... rozumiesz!

Przysunął Kiriłowowi rewolwer do skroni. W tej chwili jdnak opamiętał się, cofnął rękę, schował rewolwer do kieszeni i już nie mówiąc nic, wybiegł z domu. Liputin za nim. Wydostali się przez tę samą dziurę w płocie, prześlizgnęli się nad rowem, przytrzymując się płotu. Piotr Stepanowicz począł szybko iść uliczką, tak że Liputin ledwo nadążał. Na pierwszem skrzyżowaniu ulic zatrzymał się.

— No? — wyzywająco zwrócił się do Liputina.

Liputin nie zapomniał o rewolwerze i wciąż był pod silnem wrażeniem widzianej sceny. Odpowiedź jednak sama mu się wyrwała.

— Ja myślę... myślę... że „w Smoleńsku i Taszkencie" wcale znów nie oczekują „studenta" z taką niecierpliwością.

— A widział pan, co pił Fiedia w kuchni?

— Jakto co? Wódkę.

— Więc zapamiętaj pan sobie, że to ostatni raz w życiu Fiedia pił wódkę. Radzę panu zanotować to sobie. Może się przydać. A teraz idź pan do djabła! Do jutra nie jest mi pan potrzebny... Lecz pilnuj się pan: bez żadnych głupstw.

Liputin na łeb na szyję poleciał do domu.

IV.

Oddawna już miał przygotowany paszport na cudze imię. Nawet trudno uwierzyć że ten pedant, tyranizujący rodzinę, bądź co bądź urzędnik (chociaż poza tem fujerzysta), wreszcie kapitalista i lichwiarz, — już brdzo dawno powziął fantastyczną myśl zdobycia sobie na wszelki wypadek tego paszportu, aby móc uciec zagranicę, jeżeli... Dopuszczał więc możliwość owego „jeżeli", chociaż nigdy nie potrafiłby sformułować, jaką treść to słowo zawiera...

Teraz jednak sformułowało mu się w sposób najmniej

oczekiwany. Ta szalona myśl, z którą wszedł do Kiriłowa, po obeldze, doznanej na ulicy od Wierchowieńskiego, polegała na tem, aby jutro, o świcie, porzucić wszystko i wykraść się zagranicę! Kto mi nie wierzy, że tak fantastyczne rzeczy zdarzają się w naszej szarej rzeczywistości, niech zechce sprawdzić biografję wszystkich prawdziwych rosyjskich emigrantów. Żaden z nich nie uciekał rozważniej i realniej. Wciąż to samo królestwo upiorów i nic więcej!

Wpadłszy do domu, Liputin przedewszystkiem zamknął się, wydobył sak i zaczął nerwowo pakować rzeczy. Główny kłopot dotyczył pieniędzy. Chodziło o to, wiele i w jaki sposób zdoła uratować. Właśnie uratować, gdyż rozumiał, że już nie można odkładać i o świcie trzeba być już na szosie. Nie wiedział, w jaki sposób dostanie się do pociągu. Zdecydował się wsiąść dopiero na drugiej lub trzeciej większej stacji miasta, do niej zaś dobrnąć choć piechotą. W ten oto sposób, z nawałnicą myśli w głowie, porał się instynktownie i machinalnie z rzeczami. Wtem — zatrzymał się, porzucił wszystko i z głębokim jękiem zwalił się na sofę.

Poczuł jasno, uświadomił sobie, że może istotnie ucieknie, teraz jednak nie jest absolutnie w stanie rozstrzygnąć kwestji: przed Szatowem, czy po Szatowie. Poczuł, że jest obecnie tylko znieczulonem cielskiem, bierną masą, a porusza nim obca, straszna siła, i że chociaż ma paszport zagraniczny i mógłby uciec „przed Szatowem", (a przecież tylko dlatego tak się śpieszy), lecz ucieknie nie przed Szatowem, nie od Szatowa, a właśnie po Szatowie, — i że jest to już postanowione, podpisane i przypieczętowane. W tęsknocie niezmierzonej, wciąż dziwiąc się samemu sobie, na zmiany jęcząc i zamierając, dotrwał jakoś w zamknięciu, na sofie, do jedenastej rano. Wtedy to nastąpił fakt, który postanowił o jego decyzji. O jedenastej, gdy tylko otworzył drzwi i poszedł do domowników, dowiedział się od nich, że rozbójnik Fiedia Katorżny, który na wszystkich naprowadzał strach, łupieżca świątyń, zabójca i podpalacz, którego poszukiwała i nie mogła złapać nasza policja, znaleziony został nad ranem zabity, o siedem wiorst od miasta, na skręcie z szosy na boczną drogę do wsi Zacharjina. Już całe miasto

mówi o tem. Liputin gwałtownie wybiegł z domu, aby dowiedzieć się szczegółów. Dowiedział się, że Fiedię znaleziono z rozbitą czaszką, i że najwidoczniej został ograbiony. Policja miała podejrzenia, a nawet pewne poszlaki, że zabójcą był Fomka szpigulinowski, ten sam, który najprawdopodobniej brał udział w zamordowaniu i podpaleniu Lebiadkinych. Widocznie powstała między nimi już w drodze kłótnia o pieniądze, jakoby ukryte przez Fiedię... Liputin wpadł do mieszkania Piotra Stepanowicza. Dowiedział się tam od służby, że Piotr Stepanowicz powrócił wczoraj do domu wprawdzie około pierwszej po północy, lecz całą noc potem, aż do ósmej rano, spał najspokojniej w domu. W śmierci Fiedi nie było nic nadzwyczajnego, gdyż tego rodzaju karjery życiowe zwykle się kończą w ten sposób. Jednakże dziwny zbieg złowrogich słów „że Fiedia po raz ostatni w życiu pije wódkę" z natychmiastowem ziszczeniem się wróżby, był tak uderzający, że Liputin natychmiast przestał się wahać. Było to ostatnie pchnięcie. Jakgdyby kamień spadł na niego i przytłoczył go na zawsze. Powróciwszy do domu, odtrącił nogą pod łóżko swój sak, wieczorem zaś, o wyznaczonej godzinie, stawił się wcześniej od innych na umówione miejsce, aby spotkać Szatowa. Paszport zagraniczny miał jednakże wciąż w kieszeni.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Z WĘDRÓWEK.

I.

Katastrofa z Lizą oraz śmierć Marji Timofiejewny podziałały na Szatowa przygnębiająco. Jużem wspomniał, że widziałem go przelotnie owego poranka. Zrobił na mnie wrażenie człowieka niezupełnie przytomnego.

W rozmowie ze mną Szatow zakomunikował mi, że w przeddzień wieczorem, około godziny dziewiątej, a więc parę godzin przed pożarem, był u Marji Timofiejewny. Rano zaś poszedł obejrzeć trupy. Mam wrażenie, że z ni-

kim więcej o tem nie rozmawiał. Pod wieczór w duszy jego powstała jakaś burza. Zdaje mi się, mógłbym to chyba nawet twierdzić stanowczo, że miał taką chwilę o zmroku, kiedy chciał zerwać się, pójść — i zeznać wszystko. Jak miało wyglądać to „wszystko", prawdopodobnie sam nie wiedział. Rzecz prosta, że niczegoby nie osiągnął, a tylko siebie samego oddałby w ręce władz. Nie miał dostatecznych dowodów, które mogłyby się przyczynić do wykrycia zbrodni. Sam zresztą miał pod tym względem jedynie niewyraźne domysły, które tylko w jego głowie mogły przekształcić się w pewność. Gotów był jednak zgubić siebie, byle „zdławić tych nikczemników". Są to własne jego słowa, Piotr Stepanowicz poczęści słusznie oceniał jego nastrój i wiedział dobrze, jak dużo ryzykuje, odkładając do jutra wykonanie swych potwornych planów. Lecz był, jak zawsze, zuchwały i pogardzał wszystkimi, zwłaszcza zaś Szatowem. Pogardzał nim oddawna za jego „idjotyczną płaczliwość", jak to określał jeszcze zagranicą. Liczył więc na to, że poradzi sobie z tym prostaczkiem, mając go na oku przez cały dzień. W krytycznej chwili gotów był zastosować środki decydujące. Jednakże uratowała „nikczemników" na ten krótki czas zupełnie niespodziewana i nieoczekiwana przez nich okoliczność.

Około ósmej wieczorem, właśnie wtedy, gdy „nasi" zebrali się u Erkla, a w oczekiwaniu Piotra Stepanowicza oburzali się i protestowali, — Szatow leżał wyciągnięty na łóżku w swoim pokoju, pociemku, bez świecy. Cierpiał na ból głowy i ziębiło go. Dręczyły go wątpliwości, irytował się, chciał się na coś zdecydować i nie był w stanie. Przeklinał samego siebie, lecz czuł, że nie zdobędzie się na nic. Stopniowo zaczął go morzyć sen, i zjawiły się jakieś widziadła. Śniło mu się, że leży na łóżku, związany sznurami, że się ruszyć nie może, a tymczasem rozlegają się po całym domu jakieś stukania w płot, w bramę, w jego drzwi, w oficynę Kiriłowa, tak że dom cały drży, a jakiś daleki, znany mu dobrze, lecz męczący głos wzywa go żałośnie. Ocknął się i podniósł głowę. Ku wielkiemu jego zdziwieniu stukanie do bramy nie milkło. Nie było tak silne, jak mu się przez sen

zdawało, lecz niemniej ciągłe, uporczywe; a słychać było ów dziwny, a męczący głos. Nie był on jednak żałosny, lecz przeciwnie niecierpliwy, podrażniony, wtórował mu zaś głos inny, spokojny, równy. Szatow zerwał się, otworzył lufcik i wysunął głowę.

— Kto tam? — zawołał. Jakieś przerażenie przeszyło go mrozem.

— Jeżeli jesteś Szatow, — ostro i twardo odpowiedziano mu zdołu, — to proszę oświadczyć mi uczciwie i wyraźnie, czy zgadzasz się mnie przyjąć?

Tak. Poznał jej głos.

— Marjo! To ty?

— Ja, ja, Marja Szatow, i zapewniam, że już ani chwili dłużej nie mogę zatrzymywać dorożkarza.

— Zaraz... zaraz... wezmę świecę... — słabym głosem odpowiedział Szatow. Rzucił się po zapałki. Jak zawsze w takich razach, zapałek nie można było odszukać. Lichtarz ze świecą upadł na podłogę. W tej chwili Szatow posłyszał znowu zdołu niecierpliwe wołanie. Porzucił wszystko i poleciał na łeb na szyję po stromych schodach, aby otworzyć furtkę.

— Bądź łaskaw potrzymać mój tłumok, póki nie załatwię się z tym bałwanem.

Tak go spotkała na dole Marja Szatow, i wsunęła mu do ręki dość lekki, tandetny sak ręczny, drezdeńskiego wyrobu, z żaglowego płótna, z gwoździami bronzowanemi. Sama zaś wpadła z gniewem na dorożkarza.

— Powtarzam wam, że zdzieracie. Jeżeliście przez całą godzinę włóczyli mnie po waszych brudnych ulicach, to samiście winni, bo nie wiedzieliście, gdzie jest ta głupia ulica i ten idjotyczny dom. Bierzcie wasze trzydzieści kopiejek, i nie dam ani grosza więcej.

— Ech! Toć kazała mi pani jechać na Wozniesieńską, a tu Bogojawleńska. A Wozniesieńska daleko stąd. Tylkom konia zmordował.

— Wozniesieńska, czy Bogojawleńska, te głupie nazwy powinniście znać lepiej ode mnie, boście tutejsi. I nie

macie racji. Najpierw powiedziałam dom Filipowa, a wyście powiedzieli, że znacie ten dom. Możecie zresztą jutro iść do sądu, a dziś dajcie mi święty spokój.

— Macie tu jeszcze dziesięć groszy, — zawołał Szatow, gwałtownie wyciągając miedziaka z kieszeni i wpychając go dorożkarzowi.

— Ani mi się waż! — krzyknęła Marja Szatow. Lecz dorożkarz już ruszył. Szatow schwycił żonę za rękę i powlókł ją do bramy.

— Prędzej, prędzej, Marjo, to wszystko głupstwa... jak ty zmokłaś! Ostrożnie... tu, do góry... jak tu ciemno... Schody strome. Trzymaj się mocno poręczy. O, tu moja nora. Wybacz, że tak ciemno. Poczekaj, ja zaraz...

Podniósł z ziemi lichtarz, lecz zapałek długo nie mógł znaleźć. Ona zaś stała pośrodku pokoju, milcząca, nieruchoma.

— Chwała Bogu, nareszcie! — zawołał, oświetlając pokój.

Marja Szatow obejrzała lokal.

— Mówiono mi, że podle mieszkasz... nie przypuszczałam jednak, że aż tak dalece — rzuciła pogardliwie i skierowała się do łóżka.

— Ach, zmęczona jestem! — Usiadła bezwładnie na twardem posłaniu. — Połóż moje rzeczy i siadaj na krześle. Jak chcesz zresztą. Sterczysz mi przed nosem. Ja tu pobędę niedługo, aż znajdę pracę. Tymczasem jednak o niczem tu nie wiem i nie mam pieniędzy. Jeżeli zawadzam ci, bądź łaskaw, raz jeszcze proszę, oświadcz mi to natychmiast. Masz obowiązek to zrobić, o ile jesteś człowiekiem uczciwym. Mogę sprzedać jutro cokolwiek i zapłacę za hotel, ale do hotelu to już musisz sam mnie odprowadzić... Boże, jaka ja jestem zmęczona!

Szatow zaczął ciskać się nerwowo.

— Nie trzeba, Marjo, nie trzeba hotelu! Jaki hotel? poco hotel?

Złożył dłonie jak do modlitwy.

— Dobrze, jeżeli można obejść się bez hotelu, to w

każdym razie trzeba wyjaśnić sytuację. Pamiętaj, żeśmy żyli z sobą jako mąż i żona w Genewie dwa tygodnie i parę dni. Trzy lata temu rozeszliśmy się, nawet dość spokojnie. Nie myśl, że wracam tu, aby wznawiać stare głupstwa. Przyjechałam, aby szukać pracy, a jeżeli zatrzymałam się w tem właśnie mieście, to dlatego, że mi wszystko jedno. Nie przyjechałam, aby ujawnić skruchę. Proszę nawet nie posądzać mnie o to.

— O, Marjo! Poco ty tak mówisz? Poco?—mamrotał Szatow.

— Jeżeli tak, jeżeli jesteś dostatecznie inteligentny, aby te rzeczy zrozumieć, to powiem teraz, że zwróciłam się wprost do ciebie, przyszłam do twego mieszkania, po części dlatego, że zawsze traktowałam ciebie, jako przyzwoitego człowieka... Lepszy jesteś od tych... nikczemników.

Zalśniły jej oczy. Widocznie niejedno od owych „nikczemników" zniosła.

— I wierz mi, że wcale nie żartowałam przed chwilą, nazywając ciebie przyzwoitym człowiekiem. Mówię to poprostu, bez zbędnych słów, których nie znoszę. To wszystko zresztą głupstwa. Wierzę, że nie zabraknie ci rozumu, aby mi nie dokuczać. Ach, dosyć już! Jakże jestem zmęczona!

Skierowała ku niemu spojrzenie długie, bezwładne, znużone. Szatow stał przed nią o pięć kroków. Nieśmiało, lecz jakoś odświętnie, z niezwykłym blaskiem w oczach, — słuchał. Ten człowiek silny i szorstki, jakgdyby stale najeżony, zmiękł teraz i promieniał. Zadrżało mu w duszy coś niezwykłego, nieoczekiwanego. Trzy lata rozłąki, trzy lata życia bez niej, nie wywołały żadnych zmian w jego sercu. Kto wie? Może przez te trzy lata stale marzył o niej, o tej drogiej istocie, która kiedyś powiedziała mu: „kocham"... Znając dobrze Szatowa, wiem, że nigdy nie śnił nawet o tem, aby jakaś kobieta mogła mu powiedzieć to słowo: „kocham". Był wstydliwy i czysty. Uważał siebie za potwornie brzydkiego, nienawidził swej twarzy tak samo, jak swego charakteru, porównywał siebie do jakiegoś monstrum, które można obwozić i pokazywać po jarmarkach. Najwyżej cenił uczciwość, a przekonaniom swoim był wierny aż do

fanatyzmu. Był ponury, dumny, milczący i pełen gniewu. I oto jedyna istota, która kochała go przez dwa tygodnie (a nigdy nie wątpił, że tak było), istota, którą cenił nieporównanie wyżej, niż samego siebie, pomimo iż trzeźwo zdawał sobie sprawę z jej wad, — istota, której mógł przebaczyć wszystko, wszystko bez wyjątku (było to tak proste, że inaczej być nie mogło, a raczej się zdawało, że to on przed nią zawinił), — ta kobieta, Marja, znów jest w jego domu, znów przy nim... Wprost nie mieściło mu się to w głowie. Tak był zaskoczony, a fakt jej powrotu przeszywał go takiem przerażeniem, a jednocześnie szczęściem, że wprost nie mógł się opamiętać. A może nie chciał, może się bał? To był sen. Lecz gdy spojrzała na niego takim zmęczonym wzrokiem, zrozumiał, że ta ukochana istota może cierpi, może ktoś ją skrzywdził... Zamarło mu serce. Boleśnie wpatrywał się w jej rysy. Już dawno wygasł na jej twarzy blask pierwszej młodości. Była jeszcze ładna, a w jego oczach... przepiękna. Była to kobieta dwudziestopięcioletnia, dobrze zbudowana, dość wysoka (wyższa od Szatowa), o ciemnych, rozkosznych włosach. Miała twarz bladą, wychudłą, i wielkie, ciemne oczy, iskrzące się teraz, jak w gorączce. Dawna jej naiwna energja, lekkomyślna, prosta, tak dobrze mu znana,wyrodziła się obecnie w ponure rozdrażnienie, w jakieś rozgoryczenie, zbliżone do cynizmu, który jej samej ciążył, jako coś obcego. Przedewszystkiem zaś była chora, — widział to wyraźnie. Chociaż bał się jej, jednakże podszedł do niej gwałtownie i schwycił obie jej dłonie.

— Marjo... wiesz... ty może jesteś bardzo zmęczona... nie gniewaj się... Może zechcesz napić się herbaty... to wzmacnia... Chcesz?

— Poco pytasz? Rzecz prosta, że chcę. Jesteś takiem samem dzieckiem, jak dawniej. Daj herbaty! Jak tu ciasno u ciebie! Jak tu zimno!

Szatow zaszął biegać po pokoju.

— Zaraz, zaraz... drwa... ja mam drwa... a zresztą... zaraz przyniosę herbatę.

Machnął ręką, jakgdyby decydując się na coś, i schwycił czapkę.

— Dokąd ty? Nie masz w domu herbaty?

— Będzie, będzie, zaraz wszystko będzie... ja...

Schwycił z półki rewolwer.

— Zaraz sprzedam rewolwer, albo zastawię...

— Co za głupstwa! to za długo. Weź moje pieniądze, jeżeli nie masz sam. Tam jest osiemdziesiąt kopiejek. Więcej nie mam. Tu u ciebie, jak w domu warjatów.

— Nie trzeba, nie trzeba twoich pieniędzy, ja zaraz, za chwilę, ja bez rewolweru...

Rzucił się do Kiriłowa. Miało to prawdopodobnie miejsce na parę godzin przed wizytą, jaką złożyli Kiriłowowi Piotr Stepanowicz z Liputinem. Szatow i Kiriłow, mieszkając obok siebie, nie widywali się prawie. Przy spotkaniu ani witali się, ani rozmawiali. Widocznie zbyt długo przeleżeli razem w Ameryce.

— Kiriłow! Masz pan herbatę? Herbatę i samowar?

Kiriłow, który, jak zwykle, chodził po pokoju z kąta w kąt, zatrzymał się, spojrzał uważnie na Szatowa, bez nadmiernego zresztą zdziwienia.

— Herbata jest, cukier jest i samowar jest. Samowar zresztą zbyteczny. Masz pan tu zaparzoną, świeżą herbatę... Siadaj pan i pij sobie.

— Kiriłow, myśmy razem leżeli w Ameryce... żona do mnie przyszła... ja... dla niej... potrzebny samowar...

— Ha, jak żona, to tak. Lecz samowar później. Mam dwa. Tymczasem bierz pan imbryk. Gorący, zupełnie gorący. Bierz pan wszystko... Cukier. Cały cukier. Chleb... Tu dużo chleba. Bierz pan wszystko. Mam cielęcinę. I jeden rubel...

— Dawaj pan, dawaj, oddam jutro! Ach, przyjacielu!

— Czy to ta żona, co w Szwajcarji? To dobrze. I dobrze, żeś pan wbiegł do mnie tak gwałtownie.

— Kiriłow! — wołał Szatow, chwytając imbryk, cukier i chleb. — Kiriłow! Gdybyś pan zrzekł się swoich strasznych fantazyj i ateistycznych bredni, — coby z pana był za człowiek!

— Widzę, że kocha pan żonę po tem, co było w Szwajcarji. To dobrze. Jak zabraknie herbaty, wracaj pan do mnie. Przez całą noc. Ja nie śpię. I samowar będzie. Bierz

pan tego rubla. Wracaj do żony. Ja tu zostanę i będę myślał o panu i o pańskiej żonie.

Marja Szatow zadowolona była z pośpiechu i łapczywie zabrała się do herbaty. Obeszło się jednak bez samowara. Marja wypiła pół filiżanki i ledwo przełknęła mały kawałek chleba. Od cielęciny odwróciła się ze wstrętem.

— Chora jesteś, Marjo! Widzę, że tak źle się czujesz! — zauważył nieśmiało Szatow, krzątając się koło niej troskliwie.

— Rzecz prosta, że jestem chora. Skąd wziąłeś herbatę? Przecież nie miałeś w domu.

Szatow w paru słowach opowiedział o Kiriłowie. Słyszała już dawniej o nim.

— Wiem, ten warjat. Mniejsza o niego. Idjotów jest zawsze dużo na świecie. Więc byłeś w Ameryce? Ach tak, słyszałam o tem. Pisałeś...

— Tak, pisałem do Paryża...

— Mniejsza o to. Mów o czem innem. Jesteś z przekonań słowianofilem?

— Ja... poniekąd... Nie mogąc pozostawać Rosjaninem, stałem się słowianofilem.

Wykrzywił twarz, z wysiłkiem człowieka, który zażartował sztucznie i nie w porę.

— Nie jesteś Rosjaninem?

— Nie.

— To wszystko głupstwo. Dlaczego nie siadasz? Dlaczego tak się miotasz. Myślisz, że mam gorączkę? Może będę miała. Więc wy tylko dwaj mieszkacie w tym domu?

— Tak... na dole...

— I obaj tacy mądrzy... Co na dole? Powiedziałeś „na dole".

— Nie, nic...

— Jakto nic? Chcę wiedzieć.

— Chcę powiedzieć, że teraz my dwaj tu mieszkamy w podwórzu, na dole zaś mieszkał przedtem Lebiadkin z siostrą.

— To ta, którą zamordowano dziś w nocy? — nie-

spokojnie dopytywała się Marja. — Słyszałam już. Ledwom przyjechała, a już mi opowiedziano. Mieliście pożar?

— Tak, Marjo, i może popełniam w tej chwili czyn podły, przebaczając tym nikczemnikom.

Zerwał się, zaczął biegać po pokoju, ręce podnosząc do góry.

— Dziwne rzeczy dzieją się u was. Jakie to podłe! Jacy wszyscy podli! Ależ siadaj, proszę ciebie, denerwujesz mnie!

Z wyrazem straszliwego znużenia przytuliła głowę do poduszki.

— Marjo... już nie będę... możebyś położyła się... Marjo!

Nie odpowiadała i bezsilnie zamknęła oczy. Twarz miała trupio bladą. Zasnęła odrazu. Szatow rozejrzał się naokoło, poprawił świecę, raz jeszcze spojrzał niespokojnie na jej twarz, mocno zacisnął pięście i na palcach wyszedł z pokoju. Na klatce schodowej stanął twarzą do kąta i trwał tak z dziesięć minut, nieruchomo i milcząco. Stałby tak dłużej jeszcze, lecz na dole rozległy się ciche, ostrożne kroki. Ktoś szedł po schodach. Szatow przypomniał sobie, że nie zamknął furtki.

— Kto tu? — zapytał szeptem.

Nieznany gość powoli szedł do góry nie odpowiadając. Wszedłszy na schody, zatrzymał się. Trudno było dostrzec go pociemku. Rozległo się ostrożne pytanie:

— Iwan Szatow?

Szatow potwierdził, w tej chwili jednak wyciągnął rękę, aby nie puścić gościa dalej. Lecz ten schwycił go za rękę. Szatow drgnął, jakgdyby dotknął się czegoś ohydnego.

— Poczekaj pan, — szepnął. — Nie mogę puścić pana, nie mogę przyjąć. Powróciła do mnie żona. Zaraz wrócę ze świecą.

Gdy przyniósł świecę, zobaczył przed sobą młodego oficera. Nie pamiętał nazwiska, lecz gdzieś go już widział.

Oficer przedstawił się.

— Jestem Erkel. Widzieliśmy się u Wirgińskiego.

— Ach, pamiętam. Siedział pan, coś tam notując.

Słuchaj pan! — wyszeptał Szatow, ze wściekłością zbliżając się do Erkla. — Gdyś pan mnie schwycił za rękę, zrobiłeś znak. Lecz pluję na wszystkie znaki wasze. Nie uznaję, nie chcę... Mogę zaraz spuścić pana ze schodów... Pan to rozumie?

— Nie, nie rozumiem, i nie wiem dlaczego się pan irytuje, — łagodnie i dobrodusznie odpowiedział Erkel. — Mam tylko pewną rzecz do zakomunikowania panu i poto przyszedłem. Nie traćmy czasu. Pan masz pod swoją opieką drukarnię, za którą jesteś odpowiedzialny. Mam rozkaz zażądać od pana zwrotu drukarni Liputinowi, jutro o siódmej wieczorem. Kazano mi także zakomunikować panu, że na tem kończą się wszelkie zobowiązania pańskie.

— Zupełnie?

— Tak, zupełnie. Prośba pańska została uwzględniona. Jesteś wolny. Wyraźnie kazano mi to panu oświadczyć.

— Kto kazał?

— Ci sami, którym zawdzięczam tajemnicę znaku.

— Pan z zagranicy?

— To... dla pana obojętne.

— Dlaczegóż pan wcześniej z tem nie przychodził, skoro miałeś rozkaz?

— Miałem określone instrukcje. Nie decydowałem sam.

— Ach rozumiem. Tak, nie sam. Do djabła... A dlaczego nie przyszedł Liputin?

— A więc jutro punkt o szóstej wieczorem zajdę do pana i pójdziemy razem piechotą. Oprócz nas trzech nie będzie więcej nikogo.

— Wierchowieński będzie?

— Nie, nie będzie. Wierchowieński wyjeżdża jutro o jedenastej rano.

— Ach, nie wątpiłem w to! — wściekle szepnął Szatow, uderzając się pięścią w biodro. — Ucieka, kanalja!

Zamyślił się głęboko. Erkel przyglądał mu się uważnie. Czekał w milczeniu.

— Jakże wy weźmiecie drukarnię? To się nie da tak wziąć w rękę i odrazu wynieść.

— To zbyteczne. Wskażesz pan tylko miejsce, my zaś sprawdzimy. Znamy to miejsce tylko w przybliżeniu, nie ściśle. Czy nikomu pan nie pokazywał?

Szatow spojrzał na niego.

— I pan, pan, taki młodzieniaszek, taki głupi dzieciak, także włazłeś w to po uszy, jak baran? Ach, oni polują na takie smaczne kąski! No, idź już pan! Ech! Tamten łajdak oszukał was wszystkich i uciekł.

Erkel patrzył otwarcie i prosto w oczy, lecz zdawało się, że nie rozumie.

— Wierchowieński uciekł! Uciekł! — zgrzytał Szatow.

— Ależ on jest tu jeszcze, jeszcze nie wyjechał. Dopiero jutro wyjeżdża, — łagodnie przekonywał go Erkel. — Namawiałem go bardzo, aby jako świadek był przy tem obecny. Cała instrukcja moja była przecież skierowana do niego... (Erkel, jako niedoświadczony dzieciak, musiał być zanadto otwartym). Lecz on, niestety, nie zgodził się, pod pretekstem wyjazdu. A rzeczywiście bardzo mu pilno.

Szatow raz jeszcze współczująco spojrzał na biedaka, lecz po chwili machnął ręką, jakgdyby pomyślał: „czy to warto ich żałować"?

— Dobrze, — przerwał rozmowę. — Pójdę. A teraz wynoś się pan! Marsz!

— Więc będę punkt o szóstej, — uprzejmie odpowiedział Erkel, ukłonił się i pomału zaczął schodzić wdół.

Szatow nie wytrzymał i krzyknął mu z góry.

— Głuptas!

— Co? — zapytał Erkel z dołu.

— Nic, idź pan sobie.

— Myślałem, że pan coś powiedział.

II.

Erkel był „głuptasem" o tyle, że brakowało mu w głowie zasadniczego sensu; drobnego zaś, podrzędnego sensu miał dosyć; mógł nawet uchodzić za chytrego. Oddany fanatycznie „sprawie", właściwie zaś Piotrowi Wierchowień-

skiemu, działał zgodnie z instrukcją, otrzymaną od niego wtedy, gdy rozdzielano między „naszych" role. Piotr Stepanowicz, obrawszy go jako wysłańca, około dziesięciu minut rozmawiał z nim na stronie. Wykonywanie zleceń było potrzebą tej małej, nierozsądnej duszyczki, zawsze żądnej podporządkowania się cudzej woli, — o, oczywiście, dla dobra „wielkiej", „wspólnej" sprawy. Fanatycy tego pokroju, co Erkel, nie mogą inaczej służyć idei, jak tylko utożsamiwszy ją z osobą, reprezentującą podług ich mniemania, tę ideę. Czułostkowy, łagodny, poczciwy Erkel, był prawdopodobnie najbardziej zdecydowanym w liczbie morderców, sprzysiężonych przeciwko Szatowowi. Mógł nie drgnąć nawet przy zabójstwie, chociaż żadnej nienawiści do ofiary nie czuł. Kazano mu dokładnie rozejrzeć się w usposobieniu i sytuacji Szatowa przy spełnianiu zlecenia. Gdy Szatow, przyjąwszy go na schodach, wygadał się, może bezwiednie, że przyjechała do niego żona, — Erkel zdobył się na instynktowny spryt, aby nie zdradzić w tym kierunku żadnej ciekawości, chociaż przeszła mu przez głowę myśl, iż fakt powrotu żony może zadecydować o powodzeniu planów.

Tak było istotnie. Właśnie ta okoliczność uratowała spiskowców i dopomogła im do wykonania zamierzeń... Przedewszystkiem powrót żony niesłychanie poruszył Szatowa, wytrącił go z równowagi, pozbawił go moralnej nieufności i zagłuszył ostrożność. Nawet myśl o niebezpieczeństwie osobistem nie mogła mu przyjść do głowy, zajetej czemś innem. Przeciwnie, uwierzył całkowicie, że Piotr Wierchowieński jutro wyjeżdża; godziło się to zupełnie z podejrzeniami Szatowa. Powróciwszy do pokoju, usiadł znów w kącie, oparł się łokciami o kolana i ukrył twarz w dłonie. Osaczyły go myśli gorzkie.

Znów podniósł głowę, wstawał na palce i szedł spojrzeć na nią.

„Mój Boże! Jutro będzie miała gorączkę. A może już teraz ma! Przeziębiła się. Nie jest przyzwyczajona do tego strasznego klimatu, tu zaś wagon, trzecia klasa, wiatr, deszcz, a na niej leciutki paltocik. Nie ma w co się ubrać! I ja miał-

bym ją teraz opuścić, odmówić pomocy! A worek jej jaki mały, lekki, pomarszczony! Dziesięć funtów rzeczy! Biedaczka! Jaka ona zmęczona! Tyle wycierpiała. Jest dumna, więc nie skarży się! Lecz taka rozdrażniona! To z powodu choroby. Nawet anioł w czasie choroby będzie rozdrażniony. Jakie suche czoło! Musi być gorące. A pod oczyma sińce... a jak piękny jest ten owal twarzy, te cudowne włosy"...

Odwracał oczy, odchodził znów, jakgdyby przerażała go sama myśl, że dojrzy w niej coś więcej niż nieszczęśliwą, wymęczoną istotę, której trzeba dopomóc.

„Jakie tam mogą być nadzieje! O, jak nędzny i podły jest człowiek!"

Wracał do swego kąta, siadał i chował twarz w dłonie. Znów marzył, znów przypominał sobie... i znowu świtały mu w głowie — jakieś nadzieje.

„Ach, zmęczona jestem"! — przypominał sobie jej okrzyki i jej głos słaby, złamany. — „O, Boże! Porzucić ją teraz? A ona ma osiemdziesiąt kopiejek; wyciągnęła swą portmonetkę, starą, maleńką! Przyjechała szukać posady. Co ona może wiedzieć o posadach? Co oni tam wiedzą o Rosji? Toż to są szalone dzieci! Żyją fantazjami własnemi; i teraz gniewa się biedaczka, że Rosja nie przypomina w niczem ich zagranicznych fantazyj! Nieszczęśliwi! Niewinni... A jednak tu naprawdę zimno"...

Przypomniał sobie, że skarżyła się na chłód i że obiecał jej napalić w piecu.

„Drwa są, można przynieść, byle tylko nie zbudzić jej. Zresztą to można. A co robić z cielęciną? Wstanie i napewno zechce jeść. Lecz to na później. Kiriłow, wszystko jedno, nie śpi całą noc. Trzeba nakryć ją czemś. Śpi tak mocno, lecz napewno marznie, biedaczka."

Jeszcze raz podszedł do niej. Zagięła się jej sukienka i widać było łydkę, aż do kolana. Odwrócił się prawie przerażony, zdjął z siebie ciepłe palto i nakrył jej nogi, usiłując nie patrzeć. Sam pozostał w starem ubraniu.

Zapalanie drew, chodzenie na palcach, oglądanie śpiącej, marzenie w kącie, potem znów oglądanie śpiącej, wszystko to zajęło sporo czasu. Minęło parę godzin. Właśnie wte-

dy zdążyli złożyć wizytę Kiriłowowi Wierchowieński i Liputin. Nareszcie Szatow sam zasnął w kąciku. Rozległ się jęk. Zbudziła się, wołała go. Zerwał się jak winowajca.

— Marjo! Zasnąłem... Podły jestem, Marjo!

Podniosła głowę, rozglądała się, jakgdyby nie wiedziała, gdzie jest i wreszcie zerwała się oburzona, pełna gniewu.

— Zajęłam twoje łóżko. Zasnęłam ze zmęczenia, jak nieprzytomna. Jak śmiałeś nie zbudzić mnie? Jak śmiałeś posądzać mnie o to, że chcę być ci ciężarem?

— Jakże mógłbym budzić ciebie, Marjo?

— Mogłeś. Miałeś obowiązek. Nie masz tu innego łóżka, a ja zajęłam twoje. Nie miałeś prawa stawiać mnie w sytuację fałszywą. Czy sądzisz, że przyjechałam tu, aby korzystać z łaski twojej? Proszę natychmiast zająć własne łóżko, a ja położę się tu w kącie, na krzesłach...

— Marjo! Nawet niema tylu krzeseł. Niema nic do posłania...

— Więc wprost na podłodze. Przecież ty sam musiałbyś się położyć na podłodze. Chcę na podłogę... zaraz... natychmiast.

Wstała z łóżka, chciała ruszyć się, lecz silny kurczowy ból odebrał jej wszystkie siły i całą stanowczość. Z głośnym jękiem znów się zwaliła się na łóżko. Szatow podbiegł do niej, lecz Marja, wtuliwszy twarz w poduszkę, chwyciła go za rękę i zaczęła ją ściskać i wyłamywać z całych sił. Trwało to kilka chwil.

— Marjo, złota moja! Jeżeli pozwolisz, tu jest lekarz, Frencel, mój znajomy... Pobiegnę po niego...

— Głupstwa.

— Dlaczego głupstwa? Marjo, powiedz, co ciebie boli. A może dopomógłby kompres... może na żołądek... Mogę to sam zrobić, bez doktora... albo coś innego...

— Co to znaczy? — zapytała dziwnym głosem, podnosząc głowę i patrząc na niego z lękiem.

— O co chodzi? — nie rozumiał Szatow.

— O co ty pytasz? Marjo, przebacz mi, ja nic nie rozumiem, ja tracę się...

— Ech, daj spokój! Poco ci rozumieć?... Byłoby to

nawet śmieszne... — uśmiechnęła się gorzko. — Mów mi lepiej o czemś innem. Chodź po pokoju i mów. Nie stój koło mnie! Nie wpatruj się tak we mnie. Już tyle razy prosiłam ciebie o to.

Szatow zaczął chodzić po pokoju, wpatrzony w podłogę i usiłując nie patrzeć na nią.

— Marjo! Nie gniewaj się... błagam ciebie... tu jest cielęcina... niedaleko... i herbata. Tak mało wypiłaś...

Machnęła ręką i zrobiła grymas obrzydzenia. Szatow zamilkł zrozpaczony.

— Słuchaj. Mam zamiar otworzyć tu zakład introligatorski, oparty na zasadach spółdzielczych. Mieszkasz tu stale, więc powiedz: uda się to, czy nie?

— Ech, Marjo, tu nikt nie czyta książek. Niema ich tu wcale. I cóż mu przyjdzie z oprawiania książek?

— Komu?

— Czytelnikowi, mieszkańcowi naszemu wogóle...

— Mów tak odrazu! A tu jakieś „mu", a kto to taki, niewiadomo. Nie znasz nawet gramatyki.

— Tak się mówi... — wyszeptał Szatow.

— Daj mi spokój z tem, jak się mówi! Nudny jesteś! A dlaczego mieszkaniec, lub czytelnik tutejszy nie ma oprawiać książek?

— Dlatego, że czytanie książek i oprawianie ich to dwa okresy rozwoju, zupełnie odrębne. Zpoczątku uczy się człowiek czytać od czasu do czasu. Nauka ta trwa wieki. Książkę rwie, trzepie, wala, nie traktuje jej poważnie. Oprawa zaś świadczy o szacunku do książki, świadczy o tem, że człowiek nietylko czytać ją lubi, lecz traktuje ją poważnie. Do tego okresu Rosja nie dorosła. W Europie już dawno oprawiają książki.

— Jest to myśl pedantyczna, lecz przynajmniej niegłupia. Przypomina mi ciebie z przed trzech lat. Byłeś wtedy czasem dość spostrzegawczy.

Wypowiedziała to z takiem samem skrzywieniem, jak wszystkie dotychczasowe kapryśne frazesy.

— Marjo, Marjo! — zwrócił się do niej Szatow, zupełnie rozrzewniony. — Gdybyś wiedziała, ile przeżyło się

przez te trzy lata! Słyszałem, że pogardzałaś mną potem za zmianę przekonań. Lecz z kimże zerwałem? Z wrogami żywego życia, z zastarzałymi liberałami, bojącymi się niezależności własnej; lokajami duchowymi, wrogami jednostki i wolności, zgrzybiałymi apostołami martwoty i stęchlizny! Co w nich jest ? Marazm starczy, złoty środek, mieszczańska, podła przeciętność, zazdrosna równość bez godności własnej, równość taka, jaką wyobraża sobie lokaj, — lub Francuz 93-go roku! Co zaś najgorsze, — to wszystko są nikczemnicy, ludzie podli...

— Tak, nikczemników jest sporo, — odezwała się Marja głosem chropowatym.

Leżała wyciągnięta, nieruchoma, jakgdyby bała się drgnąć. Odrzuciła głowę na poduszkę i wpatrywała się w sufit zmęczonemi lecz błyszczącemi oczyma. Miała twarz bladą, wargi suche, spieczone.

— Rozumiesz mnie, Marjo? Zgadzasz się ze mną? — wołał Szatow.

Próbowała kiwnąć głową przecząco, lecz znów przeszyły ją dreszcze. I znów schowała twarz i z całej siły ścisnęła aż do bólu dłoń Szatowa, który podbiegł do niej i warjował z przerażenia.

— Marjo, Marjo! Może to co poważnego?

— Milcz... Nie chcę, nie chcę... — krzyczała w zapamiętaniu. Znów podniosła twarz. — Nie śmiej patrzeć na mnie, tak współczująco!

Chodź po pokoju! Mów coś, mów!

Szatow, zupełnie bezradny, próbował coś mówić.

— Co ty tu robisz? — zapytała, przerywając mu niecierpliwie.

— Pracuję w biurze u jednego kupca. Marjo, gdybym zechciał, to mógłbym i tu zarabiać nieźle...

— To się ciesz...

— Ach, Marjo, nie myśl nic złego. Ja tak tylko...

— A co robisz poza tem? Jakie prawdy głosisz? Napewno nie możesz się obejść bez apostołowania! Taki już charakter.

— Głoszę wiarę w Boga, Marjo.

— A sam nie wierzysz. Nigdy nie mogłam tego zrozumieć.

— Pomówimy o tem później.

— Kto to była ta Marja Timofiejewna?

— I o tem później, Marjo!

— Jak śmiesz tak ze mną rozmawiać? Czy to prawda, że jej śmierć, — to także zbrodnia tych ludzi?

— Bezwątpienia, — zgrzytnął Szatow.

Marja podniosła głowę i zawołała boleśnie:

— Nie śmiej mówić mi o tem! Nigdy!

Znowu zwaliła się na poduszkę w ataku tego samego kurczowego bólu. Był to już trzeci raz. Lecz teraz jęki były głośniejsze, wyrosły w krzyk.

— Och, nieznośny człowiek! Okropny człowiek!

Ciskała się na łóżku, odtrącając Szatowa.

— Marjo! Będę robił, co zechcesz! Będę chodził, będę mówił...

— Boże jedyny! Czyż ty nie widzisz, co się zaczęło?

— Co takiego, Marjo?

— Skąd ja mogę wiedzieć! Czy ja to rozumiem? Och, przeklęta! Och, niech będzie przeklęte wszystko!..

— Marjo! Powiedz mi, co się zaczyna... skądże inaczej zrozumiem?

— Jesteś niepotrzebnym, oderwanym od życia gadułą! Och, niech będzie przeklęte wszystko na świecie!

— Marjo, Marjo!

Myślał na serjo, że ona jest w stanie obłędu.

Marja podniosła się na łóżku i spojrzała na niego z wyrazem bezbrzeżnego, strasznego, bolesnego gniewu.

— Czy ty naprawdę nie widzisz, że to zaczynają się bóle połogowe! Niech będzie przeklęte to dziecko!

— Marjo! — zawołał Szatow, zrozumiawszy wreszcie, co się dzieje. — Marjo! Czemuś mi nie powiedziała odrazu?

Opamiętał się i energicznie schwycił czapkę.

— Skądże mogłam wiedzieć, wchodząc tu? Czyżbym przyszła do siebie? Mówiono mi, że to dopiero za dziesięć dni... Dokąd ty? Dokąd? Nie odchodź!

— Po akuszerkę! Sprzedam rewolwer! Przedewszystkiem trzeba pieniędzy!

— Nie waż mi się! Żadnej akuszerki! Przyprowadź zwykłą babę, staruchę... mam tam osiemdziesiąt kopiejek... Przecież kobiety na wsi rodzą bez akuszerek... A zdechnę, to tem lepiej...

— Będzie i baba! Lecz jak ja tu ciebie zostawię samą?

Skombinował jednak, że lepiej teraz zostawić ją samą, pomimo jej stanu, niż potem pozostawić ją bez pomocy. Nie słuchając już jęków, ani zirytowanych okrzyków, puścił się ze schodów na złamanie karku. Liczył teraz tylko na własne nogi.

III.

Przedewszystkiem do Kiriłowa. Była już pierwsza po północy. Kiriłow stał pośrodku pokoju.

— Kiriłow, żona rodzi!

— Co? jak?

— Rodzi, dziecko rodzi!

— Pan się nie myli?

— Nie, nie, już kurcze ją chwytają! Potrzebna jakaś baba, starucha, byle zaraz... Czy można teraz dostać? Pan znasz dużo akuszerek...

— Jaka szkoda że ja nie umiem rodzić, — poważnie odpowiedział Kiriłow. — To znaczy nie rodzić, a zrobić tak, żeby rodzić, to jest... nie, ja nie mogę się wysłowić.

— To znaczy, że pan nie możesz sam pomóc przy połogu... nie o to chodzi; starucha mi potrzebna, baba, kucharka, wszystko jedno...

— Znajdzie się baba, lecz nie zaraz. Jeżeli można, to ja tymczasem...

— O nie! Biegnę zaraz po Wirginską, po akuszerkę...

— Podła baba.

— Wiem, lecz najlepsza specjalistka. O tak, wszystko to odbędzie się nieświątobliwie, bez radowania się, z wymyślaniem, z bluźnierstwami... przy takiej tajemnicy, jak narodziny nawej istoty! Och, ona sama już przeklina!

— Jeżeli pan chce to ja...

— Nie, nie. Lecz póki będę biegał (o, przyciągnę Wirgińską), niech pan podchodzi do mych drzwi od czasu do czasu... Niech pan słucha... Lecz nie odważaj się pan wchodzić; wystraszyłbyś ją. Tylko wsłuchaj się pan, na wszelki wypadek. Dopiero w razie ostateczności możesz pan wejść.

— Rozumiem. Masz pan jeszcze jednego rubla. Chciałem sobie kupić jutro kurę, lecz teraz już nie chcę. Biegnij pan prędzej, z całych sił. Samowar będzie całą noc.

Kiriłow nic nie wiedział o spisku na Szatowa i nie zdawał sobie wogóle sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Wiedział, że ma on jakieś porachunki z „tamtymi ludźmi". Sam był z nimi poniekąd związany z powodu instrukcyj, udzielonych mu zagranicą (bardzo zresztą powierzchownych gdyż ściślej do niczego nie należał), lecz ostatniemi czasy porzucił wszystko, wyrzekł się wszelkiego współdziałania, wszelkich spraw, zwłaszcza zaś „wspólnej sprawy", i pogrążył się w życiu kontemplacyjnem. Piotr Wierchowieński zaproponował na posiedzeniu, aby Liputin poszedł z nim do Kiriłowa i przekonał się, czy ten gotów jest wziąć na siebie „sprawę Szatowa". Jednakże w rozmowie z Kiriłowem nie mówił o Szatowie ani słowa, nie zająknął się nawet; najwidoczniej uważał to za niewskazane, i nie żywił stuprocentowego zaufania do Kiriłowa. Pozostawił to do jutra, kiedy już będzie po wszystkiem, więc Kiriłowowi będzie „wszystko jedno". Tak przynajmniej myślał o Kiriłowie Piotr Stepanowicz. Liputin doskonale zauważył, że o Szatowie, wbrew zapowiedzi, nie było wzmianki. Był jednak sam zbyt wzburzony, aby móc protestować.

Szatow biegł jak wiatr, przeklinając odległość i nie widząc końca drogi.

Należało zapukać do Wirgińskich. Wszyscy już dawno spali. Szatow bez żadnej ceremonji począł walić w okiennicę. Pies łańcuchowy na podwórzu jął się ciskać i szczekać zawzięcie. Odpowiedziały mu psy z całej okolicy. Rozległo się straszne ujadanie.

Wreszcie zabrzmiał za oknem dość miękki i niewspół-

mierny z atakiem głos Wirgińskiego.

— Kto tam i czego trzeba?

Odchyliła się okiennica, otworzył się lufcik.

— Kto tam, co za łajdak? — zazgrzytał zirytowany głos kobiecy, zupełnie już współmierny z napaścią. To mówiła stara panna, krewna Wirgińskiego.

— Jestem Szatow. Powróciła do mnie żona i rodzi.

— To niech sobie rodzi! Idź pan do djabła!

— Ja tu po Arinę Prochorownę, i nie odejdę bez niej!

— Nie może przecie łazić do każdego... W nocy to specjalna praktyka... Idź pan do Makszejewej, i nie śmiej pan hałasować, — wrzeszczał kobiecy głos.

Słychać było, że Wirgiński mityguje; lecz stara panna odpychała go i nie chciała się uspokoić.

— Nie odejdę! — zawołał Szatow.

— Daj spokój, daj spokój! — wołał Wirgiński, odsuwając starą pannę. — Proszę pana, niech pan poczeka pięć minut. Zbudzę żonę. Niech tylko pan nie stuka i nie krzyczy... Jakie to wszystko okropne!

Po upływie pięciu minut, które dłużyły się, jak wieczność, zjawiła się Wirgińska.

— Żona przyjechała? — rozległ się przez lufcik jej głos, ku zdziwieniu Szatowa nie było w nim złości, a tak tylko, normalnie rozkazujący ton; inaczej przecież Arina Prochorowna mówić nie mogła.

— Tak, żona, i rodzi...

— Marja Ignatjewna?

— Tak, Marja Ignatjewna. Oczywiście. Któż inny?

Zapanowało milczenie. Szatow czekał. W domu rozlegały się szepty.

— Dawno przyjechała? — zapytała znów Wirgińska.

— Dziś wieczorem, o ósmej. Prędzej, proszę prędzej!

Znowu zaszeptano w domu, jakgdyby naradzając się.

— Czy pan się czasem nie myli? Czy to ona sama posłała po mnie?

— Nie, nie posyłała. Żądała baby, prostej baby, aby nie obarczać mnie kosztami. Lecz niech pani będzie spokojna. Ja zapłacę.

— Dobrze, przyjdę, chociażby pan nie zapłacił. Ceniłam zawsze niezależność uczuć Marji Ignatjewny, chociaż ona prawdopodobnie nie pamięta mnie. Czy są u pana niezbędne rzeczy?

— Niema nic, lecz będzie, będzie wszystko...

— „Jednakże i tacy ludzie umieją być wspaniałomyślni", — myślał Szatow, podążając do Lamszyna. — „Przekonania i człowiek, są to rzeczy różne. Może zawiniłem przed nimi!... Wszyscy są winni... wszyscy... gdyby tylko chcieli się o tem przekonać!"....

Do Lamszyna Szatow stukał niedługo. Zdziwił się nawet, że Lamszyn natychmiast otworzył lufcik, stanął na łóżku bosy, w bieliźnie, ryzykując, że się przeziębi. A przecież tak zazwyczaj drżał o zdrowie własne. Istniała jednak pewna przyczyna czujności i pośpiechu. Lamszyn drżał ze strachu przez cały wieczór i dotychczas nie mógł zasnąć pod wrażeniem wieczornych rozmów. Wciąż mu się roiło przybycie nieproszonych i zupełnie niepożądanych gości. Najwięcej dręczyły go wiadomości o denuncjacji Szatowa... I oto właśnie, jak na złość, ktoś zastukał tak głośno do okna!

Lamszyn tak się przeraził, zobaczywszy, że natychmiast znów zamknął lufcik i schował się do łóżka. Szatow począł stukać i krzyczeć przeraźliwie.

— Jak pan śmie tak hałasować w nocy? — zawołał wreszcie Lamszyn, groźnie, lecz drżąc ze strachu. Otworzył znowu lufcik i zdążył przekonać się, że Szatow jest sam.

— Masz pan rewolwer; bierz pan go sobie zpowrotem i oddawaj piętnaście rubli.

— Czy jesteś pijany? To rozbój! Przeziębię się przez pana. Poczekaj pan, coś narzucę na siebie.

— Dawaj pan zaraz piętnaście rubli. W przeciwnym razie będę walił w okno do świtu. Rozbiję szyby.

— A ja zawołam policję. Zapakują pana do kozy.

— A cóż ja? Nie jestem niemy. Mogę także sprowadzić policję. Dla kogo z nas policja jest niebezpieczna?

— Takie podłe posądzenie... Wiem, o czem pan myśli... Poczekaj pan na miłość boską, nie stukaj! Kto w nocy trzyma pieniądze w domu? Poco panu pieniądze, jeżeli nie jest pan pijany?

— Żona wróciła. Ustąpiłem panu dziesięć rubli. Ani razu nie strzelałem. Zabieraj pan sobie rewolwer, byle zaraz.

Lamszyn machinalnie wyciągnął rękę przez lufcik i wziął rewolwer; przeczekał chwilę, poczem wysunął głowę i wrzasnął zapamiętale, gorączkowo.

— Kłamiesz pan, żadna żona nie przyjechała do pana... To pan... poprostu chce pan uciec...

— Głupstwa pan gada! Dokądbym uciekał? Niech sobie wasz Piotr Wierchowieński ucieka, nie ja! Byłem przed chwilą u Wirgińskiej. Zgodziła się natychmiast pójść. Możesz się pan przekonać. Żona męczy się; potrzebuję pieniędzy; dawaj pan pieniądze.

Całe fajerwerki pomysłów rozświetliły się w pomysłowej głowie Lamszyna. Wszystko zmieniało się do gruntu, a jednak strach przeszkadzał wysnuć wnioski.

— Jakże to? Przecież pan nie żyjesz z żoną?

— Łeb ci rozbiję za takie pytania.

— Ależ przepraszam... rozumiem... narazie tylko nie zorjentowałem się... Rozumiem... tak... Lecz czy naprawdę Wirgińska pójdzie? Mówisz pan, że poszła już? To nieprawda. Widzisz pan! Kłamiesz na każdym kroku.

— Ona napewno już siedzi przy żonie. Nie zatrzymuj mnie pan. Nie jestem winien, że pan taki głupi.

— To nieprawda. Wcale nie jestem głupi. Przepraszam, absolutnie nie mogę...

Sam już nie wiedział co robić i po raz trzeci zaczął zamykać lufcik, lecz Szatow tak huknął, że Lamszyn znów wychylił głowę.

— To zamach na moją osobę! Czego pan żądasz? Prędzej, byle prędzej! Nie zapominaj pan, że to noc.

— Żądam piętnastu rubli, barania głowo!

— A może wcale mi niepotrzebny rewolwer. Nie masz pan prawa. Sprzedałem rzecz — i na tem koniec. Nie mogę w nocy dać takiej sumy. Skąd ja wezmę.

— Masz zawsze pieniądze; ustąpiłem ci dziesięć rubli, żydziaku!

— Przychodź pan pojutrze. Słyszysz pan: pojutrze, punkt o dwunastej. Oddam ci wtedy wszystko. Dobrze?

Szatow wznowił walenie pięścią w okno.

— Dawaj dziesięć rubli, a jutro rano pięć.

— Nie, pojutrze rano pięć. Jutro nie będę miał. Nawet nie warto przychodzić.

— Dawaj dziesięć, ty, podły!

— Za co pan tak wymyślasz? Czekaj pan, zapalę światło. Rozbiłeś pan szybę... Jak pan śmie tak wymyślać w nocy! Masz pan!

Wysunął przez okno papierek. Szatow schwycił. Była to pięciorublówka.

— Nie mogę więcej, chociażbyś mnie pan zarżnął. Nie mogę. Pojutrze — wszystko, a dziś nie mogę.

— Nie odejdę! — krzyczał Szatow.

— Dobrze już, masz pan jeszcze. A więcej nie dam. Możesz pan krzyczeć na całe gardło, a nie dam. Za nic nie dam. Nie dam!

Był w rozpaczy, w przerażeniu, spocony. Dwa papierki, które wysunął, były po rublu każdy. W ten sposób Szatow zebrał siedem rubli.

— Do djabła z łaską. Zajdę jutro. Zbiję ciebie, jeżeli nie przygotujesz ośmiu rubli.

„Myślisz, że zastaniesz mnie w domu, głupcze", pomyślał Lamszyn.

— Stój pan, stój! — krzyknął za Szatowem, który już biegł dalej. — Stój pan, wróć się! Niech mi pan powie na serjo: czy to prawda, że wróciła pańska żona.

— Idjota! — syknął Szatow. Splunął i poleciał do domu.

IV.

Muszę tu zaznaczyć, że Wirgińska nic nie wiedziała o powziętych decyzjach. Jej mąż, powróciwszy do domu, zgnębiony i wyczerpany, nie miał odwagi zakomunikować jej o wszystkiem. Nie powstrzymał się jednak i zdradził częściowo to, o czem była mowa na posiedzeniu. Opowiedział jej relację Wierchowieńskiego o denuncjacji Szatowa; dodał jednak natychmiast, że niezupełnie dowierza Piotrowi Stepanowiczowi. Dlatego też, gdy przybiegł po nią Szatow, zdecydowała się pójść do niego, chociaż była naprawdę zmę-

czona po nocy, spędzonej przy położnicy. Była zawsze przekonana, że takie zero, jak Szatow, „może się zdobyć na podłą zdradę", lecz przyjazd Marji Ignatjewny zmieniał sytuację. Przerażenie Szatowa, zrozpaczony ton jego prośby świadczyły o przewrocie w duszy zdrajcy. Człowiek, zdecydowany na to, aby zgubić siebie samego, byle zgubić innych, napewno inaczejby wyglądał, inaczejby przemawiał, niż obecnie Szatow. Słowem, pani Wirgińska postanowiła naocznie przekonać się o wszystkiem. Wirgiński aprobował całkowicie jej decyzję. Jakgdyby kamień spadł mu z serca. Nawet jakaś nadzieja drgnęła w jego duszy. Wygląd Szatowa zupełnie nie odpowiadał domysłom Wierchowieńskiego.

Szatow nie omylił się. Gdy wrócił do domu, zastał już Wirgińską. Przyszła przed chwilą i pogardliwie wypędziła Kiriłowa, który sterczał na schodach. Śpiesznie wznowiła znajomość z żoną Szatowa, która nie chciała przypomnieć sobie, że się dawniej znały. Zastała ją w opłakanym stanie, zdenerwowaną, zirytowaną i oddającą się „małodusznej rozpaczy". Po kilku minutach Wirgińska stanowczo opanowała sytuację.

— Co to pani przyszło do głowy, że zbyteczna jest droga akuszerka? — mówiła w chwili, gdy wchodził Szatow. — To są głupstwa, fałszywe myśli przywołane przez stan anormalny. Przy pomocy jakiejś staruchy, zwykłej baby, ma pani pięćdziesiąt szans na smutny wynik; a wtedy kłopotów i kosztów będzie więcej, niż przy najdroższej akuszerce. Skąd pani wie, że jestem drogą akuszerką? Zapłaci pani później, nie wezmę ani grosza zbytecznego, a ręczę za rezultat. Przy mnie nie umrze pani. Z gorszemi miałam do czynienia. A dziecko także mogę jutro oddać do przytułku, a potem na wieś na wychowanie, i na tem się skończy. Wyzdrowieje pani, weźmie się do odpowiedniej pracy i w krótkim terminie wypłaci pani mężowi za lokal i koszta, zresztą wcale nieduże.

— Nie o to chodzi... Nie mam prawa obarczać...

— Są to uczucia mądre i świadczące o uspołecznieniu pani. Lecz niech mi pani wierzy, że Szatow nic prawie nie wyda, o ile zgodzi się na chwilę powrócić do przytomności i zapomnieć o fantazjach. Niech tylko głupstw nie robi, niech

nie bije w bęben, i nie biega po mieście z wywieszonym ozorem. Gdyby mu dać swobodę ruchów, gotów jest do rana poruszyć wszystkich lekarzy w mieście, jak poruszył już wszystkie psy na mojej ulicy. Lekarze tu niepotrzebni. Już mówiłam, że biorę na siebie odpowiedzialność... Jakąś kobiecinę możnaby było nająć do posług. To tanio kosztuje. A zresztą sam on może się na coś przydać, zamiast robić głupstwa. Ma ręce i nogi, może pobiec do apteki, nie urażając uczuć pani. To żadna dobroczynność! Nie może być mowy o dobroczynności! Czyż nie on sam doprowadził panią do tego stanu? Czyż to nie on poróżnił panią z rodziną, w której była pani nauczycielką, a kierował się jedynie egoistycznym zamiarem ożenienia się z panią? Słyszeliśmy o tem... Sam zresztą przylatywał po mnie, jak warjat, i podnosił hałas na całą ulicę... Nie narzucam się nikomu i przyszłam tylko przez wzgląd na panią. Uważam, że wszystkie musimy być solidarne. Oświadczyłam mu to, zanim wyszłam z domu. Jeżeli pani sądzi, że jestem zbyteczna, to do widzenia. Uprzedzam jednak, że może stać się nieszczęście, któremu zapobiec łatwo.

Nawet powstała z krzesła przy tych słowach.

Marja tak była bezsilna, tak cierpiała, i, trzeba stwierdzić, tak bała się tego, co nastąpi, że nie miała odwagi rozstać się z Wirgińską. Czuła jednak nienawiść do tej kobiety, która mówiła wcale nie o tem, o czem myślała Marja. Lecz zapowiedź niechybnej śmierci przy udziale niedoświadczonej baby zabiła wstręt. Natomiast w stosunku do Szatowa zaczęła od tej chwili zachowywać się coraz bardziej wymagająco i bezwzględnie. Zabroniła mu nawet nietylko patrzeć na nią, lecz nawet odwracać się do niej twarzą. Boleści stawały się coraz ostrzejsze. Przekleństwa i wyzwiska coraz soczystsze.

— Ech, wyprawimy go, — ucięła Wirgińska. — Nie widać na nim twarzy, zbladł jak trup! A o co panu chodzi, zabawny dziwaku? To ci komedja!

Szatow nie odpowiadał. Uparcie nie odpowiadał ani słowa.

— Widywałam już głupich ojców w takich sytuacjach. Także warjują. Lecz oni przynajmniej...

— Niech pani przestanie, lub porzuci mnie! Niech zdechnę! Niech pani nie mówi ani słowa! Nie chcę! — rozkrzyczała się Marja.

— Ani słowa, to niemożliwe, o ile pani sama nie straciła rozsądku. Tak sądzę. Trzeba przynajmniej mówić do rzeczy. Czy tu coś już przygotowano? Niech pan odpowiada, bo ona nie może...

— A co właściwie jest potrzebne?

— To znaczy, że nic nie przygotowano.

Wyliczyła wszystko, co jest niezbędnie konieczne. Trzeba przyznać, że ograniczyła się do rzeczy najniezbędniejszych, aż do nędzy. To i owo znalazło się u Szatowa. Marja wydobyła klucz, i oddała mu, aby poszukał w jej saku. Drżały mu ręce. Porał się więc dłużej, niż trzeba było, otwierając nieznajomy zamek. Marja obruszyła się na niego, gdy jednak podbiegła Wirgińska, aby odebrać mu klucz, Marja nie pozwoliła jej zajrzeć do rzeczy swoich i z krzykiem i płaczem nastała, aby szukał wśród nich sam Szatow.

Po niektóre rzeczy trzeba było pobiec od Kiriłowa. Gdy tylko Szatow zerwał się, Marja zaczęła krzyczeć przeraźliwie, wołała go zpowrotem, i uspokoiła się wtedy, gdy Szatow zawrócił i zapewnił ją, że wychodzi tylko na chwilę, po rzeczy najniezbędniejsze, i wróci natychmiast.

— Trudno pani dogodzić, — śmiała się Wirgińska. — To trzeba stać twarzą do ściany i nie ośmielać się spojrzeć na panią, to znów nie wolno odejść ani na chwilę. Zaraz w płacz. No, no, nie trzeba się gniewać, ani boczyć. Żartuję przecież.

— On nie ma prawa myśleć o niczem.

— Ta-ta-ta! Gdyby nie był zakochany w pani po uszy, toby nie latał po ulicy z wywieszonym ozorem i nie budził wszystkich psów. Rozbił u mnie szybę.

V.

Szatow zastał Kiriłowa wciąż chodzącego z kąta w kąt po pokoju. Był tak roztargniony, że zapomniał nawet o przyjeździe żony Szatowa. Słuchał i nie rozumiał.

— Ach, tak, — przypomniał sobie wreszcie, jakgdyby

odrywając się z wysiłkiem i tylko na chwilę, od myśli, która opanowała go całkowicie. — Ach tak, baba... Baba, czy żona? Poczekaj pan: i żona, i baba, tak? Pamiętam. Chodziłem. Starucha przyjdzie, lecz później. Bierz pan poduszkę. Co jeszcze? Tak... poczekaj pan! Szatow! Czy zdarzają się panu chwile harmonji wieczystej?

— Kiriłow! Panu nie wolno tak nie spać po nocach.

Kiriłow ocknął się zupełnie i, rzecz dziwna, zaczął mówić ściślej i wyraźniej, niż zwykle. Najwidoczniej już dawno sformułował, a może nawet zapisał te myśli.

— Bywają sekundy, nie więcej, jak pięć-sześć naraz, kiedy się czuje znienacka obecność wieczystej harmonji, osiągniętej całkowicie. To nie są rzeczy ziemskie. Nie mówię o tem, aby szły z nieba, lecz mówię, że człowiek, jako istota ziemska, nie może tego znieść. Trzeba się odmienić, lub umrzeć. Jest to uczucie jasne i bezsporne. Raptem odczuwa się całą przyrodę, i człowiek mówi sobie: tu jest prawda. Gdy Bóg stwarzał świat, mówił pod koniec każdego dnia stworzenia: „to jest dobre, to jest prawda". Nie jest to rozczulenie, lecz tak... radość. Nie przebacza się nikomu, gdyż niema nic do przebaczenia. Nie kocha się... Och, to jest wyższe od miłości. Najstraszniejsza rzecz, że tak jasno i tak radośnie. Gdyby to trwało dłużej, niż pięć sekund, nie wytrzymałaby dusza. Musiałaby zamrzeć. Przez te pięć sekund przeżywam całe życie i za te sekundy oddałbym całe życie, gdyż warto... Aby wytrzymać dziesięć sekund, trzebaby było się odmienić. Myślę, że człowiek powinien przestać się rozmnażać. Poco dzieci, poco rozwój, gdy cel już osiągnięty. W Ewangelji jest powiedziane, iż we święta nie będą rodzili, a będą jak aniołowie. To wskazówka. Żona pańska w połogu?

— Kiriłow! Często się panu to zdarza?

— Raz na trzy dni, lub raz na tydzień.

— Nie masz pan epilepsji?

— Nie.

— To znaczy, że będziesz pan miał. Strzeż się pan. Mówiono mi, że tak się zaczyna ta choroba. Pewien epileptyk tak samo opisywał mi wrażenia przed atakiem. Zupełnie, jak pan. Tak samo wyznaczał pięć sekund i mówił, że

dłużej nie można wytrzymać. Niech pan przypomni sobie dzban Mahometa, który nie zdążył się wylać, chociaż prorok obleciał na koniu cały raj. Dzban — to te same pięć sekund. To wszystko przypomina pańską harmonję, a Mahomet był epileptykiem. Strzeż się pan! To choroba!

— Nie nadąży, — uśmiechnął się Kirilow.

VI.

Mijała noc. Szatowa posyłano, łajano, wołano. Marja doszła do kulminacyjnego momentu obawy o życie. Krzyczała, że chce żyć „koniecznie, koniecznie!", a boi się umrzeć. „Nie trzeba, nie trzeba!" — wołała. Gdyby nie Arina Prochorowna, byłoby źle. Wirgińska stopniowo opanowała pacjentkę, która zaczęła poddawać się każdemu jej słowu, każdemu okrzykowi, jak małe dziecko. Wirgińska zwyciężała nie łagodnością, lecz surowym tonem. Pracowała natomiast po mistrzowsku. Zaczęło już świtać. Arina Prochorowna raptem oświadczyła, że Szatow wyszedł na schody, aby się pomodlić, i roześmiała się. Marja także roześmiała się złośliwie, jadowicie, jakgdyby sprawiało jej to ulgę. Wreszcie wypędzono Szatowa zupełnie. Nastał poranek wilgotny i zimny. Szatow przylgnął twarzą do muru, w kącie, zupełnie jak wtedy, gdy przyszedł Erkel. Drżał jak liść i bał się myśleć, lecz mózg jego chwytał się każdej zjawy, jak bywa we śnie. Marzenia wciąż opanowywały go, lecz natychmiast rwały się, jak przegniłe nici. Z pokoju rozległ się wreszcie nie jęk, lecz przeraźliwy, zwierzęcy krzyk, nieznośny, niemożliwy. Chciał zatknąć uszy, lecz nie mógł. Padł na kolana, wołając nieprzytomnie: „Marjo, Marjo!" Aż wreszcie usłyszał krzyk, już inny, od którego zadrżał i zerwał się na równe nogi: krzyk niemowlęcia, słaby, niewyraźny. Przeżegnał się i wbiegł do pokoju. Na ręku Wirgińskiej krzyczała i trzepotała drobnemi rączynami i nóżkami malutka, czerwona, pomarszczona istota, bezradna zupełnie i zależna, jak pyłek, od każdego powiewu wiatru, lecz krzycząca i świadcząca o sobie, i o swem własnem prawie do życia. Marja leżała bezwładna, po chwili jednak otworzyła oczy i spojrzała na Szatowa jakimś dziwnym wzrokiem.

Było to spojrzenie zupełnie nowe. Szatow nie mógłby pojąć tego, lecz nigdy przedtem nie widział, nie pamiętał takiego spojrzenia.

— Chłopak? Chłopak? — szepnęła Marja.

— Chłopiec! — zawołała Wirgińska, spowijając dziecko.

Gdy już spowiła je całkowicie i miała położyć na łóżku, pomiędzy dwiema poduszkami, oddała je na chwilę Szatowowi do potrzymania. Marja, jakgdyby w sekrecie przed Wirgińską, skinęła. Szatow zrozumiał i schylił dziecko, aby jej pokazać.

— Jaki... milutki... — szepnęła z uśmiechem.

— Fe! Jak on patrzy! — roześmiała się wesoło Wirgińska, patrząc triumfująco na Szatowa. — Co to za twarz?

— Powinna się pani weselić, Arino Prochorowno!... To olbrzymie szczęście...—bełkotał Szatow idjotycznie rozradowanym uśmiechem. Tak go rozrzewniły te dwa słowa Marji o dziecku.

— Jaka tam dla pana radość? — bawiła się Wirgińska, krzątając się i pracując bez przerwy.

— Tajemnica zjawienia się nowej istoty, wielka tajemnica, Arino Prochorowno. Szkoda, że pani tego nie rozumie.

Szatow bełkotał bez związku, w stanie zachwytu i podniecenia. Coś mu się chwiało w mózgu i rwało się z duszy wbrew woli.

— Było ich dwoje, i oto trzeci człowiek, nowa dusza, całkowita, skończona, nie ludzkich rąk twór; myśl nowa i nowa miłość... aż strach... Niema nic wyższego na ziemi!

— Pleciesz pan! Poprostu dalszy rozwój organizmu i nic więcej. Niema tu żadnej tajemnicy, — śmiała się Wirgińska szczerze, wesoło. — W ten sposób każda mucha jest tajemnicą. Lecz wogóle zbyteczni ludzie nie powinni na świat przychodzić. Trzeba pierwej przetworzyć świat, a wtedy dopiero rozmnażać się. Ot tego bąka także trzeba będzie pojutrze oddać do przytułku... Tak lepiej zresztą.

Szatow odpowiedział stanowczo, wpatrzony w podłogę.

— Nigdy nie oddam go do przytułku.

— Usynowisz pan?

— On jest synem moim.

— Oczywiście, także Szatow, podług prawa Szatow. Nie udawaj pan dobroczyńcy ludzkości. Nie mogą się ludzie obejść bez frazesów. Dobrze, dobrze, lecz pora mi już iść. Rano przyjdę znowu i wieczorem przyjdę, jeżeli trzeba będzie, a teraz, gdy wszystko tu skończyło się szczęśliwie, muszę lecieć do innych. Czekają oddawna. Tam u pana siedzi jakaś baba; to dobrze, lecz i mężulek niech nie odchodzi; posiedź pan, możesz się przydać. Może nie wypędzi pana żona... nie, nie... żartuję.

Już przy bramie powiedziała do Szatowa, który ją odprowadził.

— Ubawił mnie pan doskonale. Pieniędzy nie wezmę. Będę się śmiała nawet przez sen. Nie widziałam nigdy w życiu nic śmieszniejszego od pana w tę noc.

Wyszła zupełnie zadowolona. Z wyglądu Szatowa i z jego rozmów rozumiała najwyraźniej, że ten człowiek „zabiera się do ojcowstwa i jest fujarą". Chociaż musiała nałożyć drogi, wpadła jednak do domu przed pójściem do nowej pacjentki, aby złożyć relację Wirgińskiemu.

Szatow nieśmiało odezwał się do żony:

— Marjo, ona zabroniła ci zasypiać zaraz... wiem, że to trudno. Ja tu posiedzę przy oknie i będę pilnował. Dobrze?

Usiadł przy oknie w ten sposób, że nie mogła go widzieć z łóżka. Po chwili jednak zawołała go i kazała mu poprawić poduszkę. Starał się to zrobić. Ona patrzyła w ścianę.

— Nie tak, ach, nie tak... co za ręce!

Szatow wciąż poprawiał poduszkę.

— Schyl się do mnie, — zawołała, nie patrząc na niego.

Drgnął i nachylił się.

— Jeszcze... nie tak... bliżej... — i oto lewa jej reka gwałtownie ogarnęła mu szyję, a na czole poczuł jej mocny, wilgotny pocałunek.

— Marjo!

Drżały jej wargi. Starała się opanować siebie, lecz raptem podniosła się, błysnęła oczyma i zawołała:

— Mikołaj Stawrogin podły!

Bezwładnie, jak podcięta, upadła twarzą do poduszki, i rozpłakała się histerycznie, mocno ściskając w swej dłoni rękę Szatowa.

Od tej chwili go nie puszczała od siebie ani na chwilę. Zażądała, aby siadł u jej wezgłowia. Niewiele mówiła, lecz wciąż patrzyła na niego i uśmiechała mu się, jak błogosławiona. Stała się jak dziecko. Wszystko się zmieniło. Szatow to płakał rzewnie, to znów opowiadał jej niestworzone rzeczy, jak pijany, lub jak natchniony. Całował jej ręce. Słuchała w upojeniu, może nie rozumiejąc nawet, a osłabioną dłonią gładziła łagodnie jego włosy, bawiła się niemi. Opowiadał jej o Kiriłowie. Opowiadał, jak teraz zacznie się dla nich życie „nowe i na zawsze". Mówił, że Bóg istnieje, że wszyscy dobrzy... W zachwycie wyciągnął znów malca i zawołał, trzymając go na ręku:

— Marjo, skończone stare widma, hańba i martwota! Będziemy pracowali. Na nowe życie! We troje, tak, tak! Jakże nazwiemy go, Marjo?

— Jego? Jak nazwiemy? — powtórzyła ze zdziwieniem, i natychmiast opanowała ją gorycz.

Załamała ręce, spojrzała na Szatowa z wyrzutem i znowu ukryła twarz w poduszce.

— Marjo, co ci jest? — zawołał wystraszony.

— I ty mogłeś, mogłeś... Ty, nikczemniku!

— Marjo, przebacz mi... Zapytałem tylko, jak będzie mu na imię. Nie wiem...

— Iwan, Iwan. — odpowiedziała ze łzami w oczach. — Czyż mogłeś przypuszczać, że dam mu jakieś inne, jakieś straszne imię?

— Marjo, uspokój się, jesteś tak zdenerwowana.

— To impertynencja. Wszystko tłumaczysz nerwami. Ręczę ci, że gdybym kazała nazwać go tamtem, okropnem imieniem, anibyś zauważył. Zgodziłbyś się natychmiast! Niewdzięczni, marni, wszyscy, wszyscy.

Za chwilę pogodzili się. Szatow namówił ją, aby już zasnęła. Natychmiast zmorzył ją sen, lecz nie wypuszczała jego dłoni. Często budziła się, patrzyła na niego, jakgdyby w obawie, że odejdzie, i zasypiała znów.

Kiriłow przysłał staruchę, aby „powinszować". Przysłał też herbatę, świeże kotlety i buljon z bułką. To wszystko „dla Marji Ignatjewny". Chora chciwie wypiła buljon. Baba spowiła dziecko. Marja zmusiła Szatowa, aby zjadł kotlet.

Mijały godziny. Szatow zasnął ze zmęczenia na krześle, z głową na poduszce Marji. W takiej pozycji zastała ich Wirgińska, która dotrzymała słowa i przyszła. Wesoło zbudziła ich, pomówiła z Marją o rzeczach niezbędnych, obejrzała malca i znów nakazała Szatowowi, aby nie odchodził. Rzuciła tonem pogardliwym i wyniosłym parę dowcipów o „małżonkach" i wyszła jeszcze bardziej zadowolona, niż po pierwszej wizycie.

Już było ciemno, gdy znowu zbudził się Szatow. Zapalił świecę i pobiegł po babę. Ledwo wszedł na klatkę schodową, gdy uderzyły go kroki człowieka, który cicho, spokojnie szedł na spotkanie. Był to Erkel.

— Nie wchodź pan! — szepnął Szatow, schwycił go za rękę i gwałtownie pociągnął do bramy. — Poczekaj pan tu! Zupełnie zapomniałem o panu! Jak to nie w porę!

Tak się śpieszył, że nie zaszedł nawet do Kiriłowa, a tylko wywołał stamtąd staruchę. Marja wpadła w rozpacz, pełna oburzenia, że on „ośmiela się nawet myśleć o opuszczeniu jej".

— Słuchaj! — wołał w zachwycie. — To już ostatni krok! Potem zaś nowa droga! I już nigdy nie powrócimy do dawnych okropności.

Jakoś przekonał ją i obiecał powrócić punkt o dziewiątej. Mocno ją pocałował, pocałował dziecko i szybko pobiegł do Erkla.

Skierowali się obaj do parku Stawroginowskiego w Skworesznikach, gdzie półtora roku temu, w odludnem miejscu, w samym końcu parku, tam, gdzie już zaczynał się las sosnowy, zakopana została drukarnia. Była to miejscowość dzika i pusta, dość odległa od pałacu i stamtąd niewidzialna. Od domu Filipowa trzeba było iść piechotą trzy i pół wiorsty, a może i cztery.

— Całą drogę piechotą? Wezmę dorożkę.

— Nie — zaprzeczył Erkel. — To bardzo ważne. Dorożkarz — także niepotrzebny świadek.

— Dobrze już, dobrze! — Byle prędzej z tem skończyć.

Szli bardzo szybko.

— Erkel, ty mój chłopaku mały! — zawołał Szatow, — czyś ty był kiedy szczęśliwy?

Erkel spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— A pan, jak widzę, jest teraz bardzo szczęśliwy...

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

FATALNA NOC.

Wirgiński wciągu dnia poświęcił dwie godziny, aby obejść wszystkich naszych i oznajmić im, że Szatow napewno nie zadenuncjuje, gdyż wróciła do niego żona i urodziło się dziecko, normalna więc znajomość psychologji ludzkiej wystarcza, aby stwierdzić, że nie może on być obecnie niebezpieczny. Ku wielkiemu zmartwieniu nie zastał w domu nikogo, oprócz Erkla i Lamszyna. Erkel wysłuchał go w milczeniu, jasnem spojrzeniem patrząc mu w oczy. Na wyraźne pytanie: „czy pójdzie do niego o szóstej?", odpowiedział z łagodnym uśmiechem, że „oczywiście pójdzie".

Lamszyn leżał w łóżku, z głową pod kołdrą. Wyglądał na poważnie chorego. Przestraszył się Wigińskiego i po pierwszych jego słowach zaczął wymachiwać rękami, błagając o pozostawienie go w spokoju. Jednakże wysłuchał relacji o Szatowie. Wiadomość zaś o tem, że Wirgiński nikogo w domu nie zastał, niewiadomo dlaczego niesłychanie poruszyła Lamszyna. Ze swej strony zadziwił Wirgińskiego wiadomością o śmierci Fiedi, o której poinformowany został przez Liputina. Na wyraźne pytanie Wirgińskiego: „trzeba iść, czy nie?", zaczął znowu wymachiwać rękami i błagać, „aby dano mu spokój, gdyż to od niego nie zależy".

Wirgiński powrócił do domu wyczerpany i niespokojny. Ciężko mu też było ukrywać całą rzecz przed rodziną. Zwykł żonie opowiadać wszystko. Gdyby w tej chwili

w rozpalonym mózgu jego nie powstała nowa myśl i nowy plan działania, prawdopodobnie położyłby się do łóżka tak samo, jak Lamszyn. Lecz ta nowa myśl sił mu dodała. Zaczął nawet niecierpliwie oczekiwać godziny spotkania, i wcześniej, niż trzeba było, wyruszył na umówione miejsce.

Był to bardzo ponury zakątek w końcu ogromnego parku w Skworesznikach. Chodziłem tam potem, aby obejrzeć to miejsce. Jakże ponuro musiało wyglądać ono w ten surowy wieczór jesienny. Zaczynał się tu stary las ochronny. Olbrzymie, wiekowe sosny rysowały się w mroku niewyraźnemi plamami. Było tu tak mroczno, że już o dwa kroki trudno było kogoś dostrzec. Lecz Wierchowieński, Liputin, a potem i Erkel, przyszli z latarkami. Niewiadomo poco i kiedy, już bardzo dawno, postawiono tu kiedyś jakąś dziwaczną grotę z paru nieociosanych kamieni. Stół i ławki wewnątrz groty dawno już spróchniały i rozsypały się. O dwieście kroków na prawo kończył się trzeci staw parkowy. Te trzy stawy, zaczynając od samego pałacu, szły jeden za drugim, na przestrzeni wiorsty, aż do końca parku. Trudno było przypuścić, aby jakikolwiek krzyk, hałas, czy nawet wystrzał, mogły dojść do uszu mieszkańców pałacu, zresztą dość nielicznych. Po wczorajszym wyjeździe Mikołaja Stawrogina i po odejściu Aleksego Jegorycza, w całym domu znajdowało się nie więcej, niż pięć, sześć osób, przeważnie emerytów. W każdym razie można było być przekonanym, że gdyby nawet ktokolwiek z tych samotników posłyszał kroki — to co najwyżejby się przeraził, a żaden z nich nie ruszyłby się od ciepłego pieca.

Dwadzieścia minut do szóstej wszyscy, oprócz Erkla, posłanego do Szatowa, byli już na miejscu. Piotr Stepanowicz natenraz nie spóźnił się. Przyszedł z Tołkaczenką. Tołkaczenko był ponury i zakłopotany. Cała jego sztuczna zuchwałość znikła. Nie odstępował ani na krok Piotra Stepanowicza, jakgdyby był mu niesłychanie oddany. Wciąż przysuwał się do niego i coś mu szeptał, lecz Wierchowieński prawie nie odpowiadał, albo mruczał coś odniechcenia, byle się odczepić.

Szigalew i Wirgiński zjawili się jeszcze przed Wierchowieńskim. Po jego przybyciu odeszli nieco na stronę,

w głębokiem, prawie demonstracyjnem milczeniu. Wierchowieński podniósł latarkę i bezceremonjalnie, wprost obrażająco, obejrzał ich wszystkich. „Chcieliśmy jeszcze pogadać", — przemknęło mu w myśli.

— Niema Lamszyna? — zapytał Wirgińskiego.

— Jestem tu — odezwał się Lamszyn, wysuwając się z za drzewa.

Był w palcie zimowem, zawinięty w szal, tak że trudno było poznać go nawet przy latarni.

— A więc niema tylko Liputina?

Liputin milcząco wyszedł z groty. Piotr Stepanowicz znów podniósł latarnię.

— Pocoś pan tam się schował? Dlaczegoś pan nie wyszedł odrazu?

— Sądzę, że każdy z nas zachowuje wolność ruchów, — wybełkotał Liputin, sam nie wiedząc, co chce przez to powiedzieć.

— Panowie, — odezwał się głośno Wierchowieński, po raz pierwszy nie szeptem, co wywarło na wszystkich wrażenie. — Jak sądzę, rozumiecie wszyscy, że niema tu już o czem gadać. Wczoraj wszystko powiedziane zostało wyraźnie i jasno, i zostało dostatecznie przetrawione. Widzę jednak z twarzy waszych, że może który z was ma jeszcze coś do powiedzenia. W takim razie proszę zaraz. Do djabła! Nie mamy czasu. Erkel może go zaraz przyprowadzić.

— Napewno przyprowadzi, — wtrącił Tołkaczenko.

— O ile się nie mylę, przedewszystkiem ma się odbyć zwrot drukarni, — powiedział Liputin, znów nie rozumiejąc, o co pyta.

— Rozumie się. Poco mamy tracić inwentarz, — odpowiedział Piotr Stepanowicz, podnosząc latarnię do twarzy Liputina. — Lecz wczoraj przecie uchwaliliśmy, że nie będziemy odbierali drukarni. Byle pokazał miejsce, gdzie jest zakopana, a potem odkopiemy sami. Wiem dobrze, że to o dziesięć kroków od któregoś z kątów tej groty... Lecz do djabła, jakżeście to zapomnieli! Było umówione, że przedewszystkiem spotka go sam Liputin,a potem już wyjdziemy i my. A pan, panie Liputin, stawia jakieś pytania! Czy to naumyślnie?

Liputin zmilczał. Panowała cisza. Wiatr kołysał wierzchołki drzew.

— Mam jednak nadzieję, panowie, że każdy z was spełni swój obowiązek, — odezwał się niecierpliwie Wierchowieński.

Znienacka zabrał głos Wirgiński. Denerwował się i śpieszył, ledwo wymawiał słowa i gestykulował.

— Wiem, że do Szatowa przyjechała żona i urodziła dziecko... Znając serce ludzkie, można twierdzić napewno, że teraz nie zadenuncjuje... jest teraz szczęśliwy... Biegałem do wszystkich, lecz nie zastałem w domu... może już teraz nic nie potrzeba...

Zatrzymał się. Brakło mu tchu.

Piotr Stepanowicz podszedł do niego.

— Gdybyś tak pan, panie Wirgiński, stał się znienacka szczęśliwy? Czy odłożyłbyś pan — nie denuncjację, bo o tem nie może być mowy,—lecz jakiś hazardowny czyn obywatelski, któryś planował, jako spełnienie obowiązku, niezależnie od ryzyka i wbrew osobistemu szczęściu?

— Nie! Nie odłożyłbym! Za nic! — odpowiedział Wirgiński, nienormalnie podniecony, gorączkujący.

— Wolałbyś pan pozostać znów nieszczęśliwym, niż stać się nikczemnikiem?

— Tak.. Tak... Zupełnie przeciwnie. Nie będę nikczemnikiem... nie, nie... wolę być nieszczęśliwym, niż nikczemnikiem.

— Pamiętajcie więc, panowie, że Szatow traktuje denuncjację jako spełnienie obowiązku, jako spłacenie długu najgłębszym przekonaniom własnym. Przecież sam ryzykuje wobec rządu, chociaż, niezawodnie, dużo mu przebaczą za denuncjację. Och! Taki człowiek nie będzie odkładał. Żadne szczęście nie załamie go! Opamięta się jutro. Zacznie kruszyć się. Pójdzie — i wykona. A zresztą nie dostrzegam szczęścia w tem, iż żona, po trzech latach rozłąki, wraca do niego, aby powić dziecko spłodzone przez Stawrogina.

Raptem przerwał mu Szigalew. Mówił stanowczym głosem.

— Lecz nikt przecie nie widział jego denuncjacji!

— Ja widziałem! — zawołał Piotr Stepanowicz. — Są dowody, panowie. To wszystko takie głupie!

— Ja zaś... — krzyknął Wirgiński, — protestuję! Protestuję z całych sił! Jabym chciał... Jabym chciał, panowie... gdy on przyjdzie, abyśmy wyszli wszyscy i zapytali go. Jeżeli to prawda, niech się skruszy... jeśli da słowo honoru, można dać mu spokój. W każdym razie niech będzie sąd! Osądźmy go! Tak nie wolno, aby się chować i napadać z ukrycia...

— Ryzykować na słowo honoru sprawę wspólną, — to szczyt głupoty! Do djabła! Jak to głupio, panowie! Dziwnej roli podjąłeś się pan, panie Wirgiński, w stanowczej chwili.

— Protestuję, protestuję! — wołał Wirgiński.

— Mógłbyś pan nie krzyczeć. Nie posłyszymy sygnału. Szatow, panowie... (Boże, jak to nie w porę!). Jużem wam mówił, że Szatow jest słowianofilem. To znaczy, że należy do ludzi najgłupszych... To zresztą wszystko jedno! Nie o to chodzi! Sami plączecie mnie! Szatow, panowie, jest człowiekiem rozgniewanym... Ponieważ należał bądź co bądź do stowarzyszenia, może nawet wbrew woli, przeto aż do ostatniej chwili spodziewałem się, że można będzie wyzyskać go dla sprawy wspólnej, jako człowieka, pełnego gniewu. Oszczędzałem go i chroniłem, wbrew najściślejszym instrukcjom... Oszczędzałem go stokroć więcej, niż zasługiwał na to. Lecz skończyło się na tem, że zadenuncjował. Tak, możemy gwizdać na to! Lecz niech który z was poważy się teraz wyślizgnąć! Żaden z was nie ma prawa opuścić sprawy! Możecie całować się z nim, jeśli to wam dogadza, nie wolno jednak dla słowa honoru zdradzać sprawy ogólnej! Tak postępują świnie, lub ludzie, przepłaceni przez rząd.

— Któż tu kupiony jest przez rząd? — wycedził Liputin.

— A może pan! Lepiejbyś pan milczał, panie Liputin. Gadasz pan z nałogu. Przekupieni są wszyscy, którzy zdradzają w chwili niebezpieczeństwa. Zawsze znajdzie się idjota, który w ostatniej chwili podda się obawie, zacznie biegać i wołać: „Wybaczcie mi, a sprzedam wszystkich"! Wiedzcie jednak, że żadnemu z was za żadną denuncjację już

nikt nie przebaczy. Może o dwa stopnie zniżą karę, bądź co bądź czeka was Sybir. A zresztą nie ominie was inna zemsta. A ta inna groźniejsza jest od rządowej.

Piotr Stepanowicz był wściekły i nagadał zbyt dużo. Szigalew twardym krokiem posunął się ku niemu. Zaczął mówić równo, metodycznie, jak zawsze. Myślę, że gdyby ziemia się pod nim waliła, nie zmieniłby ani jednego tonu, ani jednej nuty przemówienia.

— Od wczoraj przemyślałem całą sprawę. Przemyślałem i przekonałem się, że zamierzone zabójstwo nietylko jest stratą czasu, który winien być użyty na rzeczy więcej realne i istotne, lecz oprócz tego byłoby zgodnem odchyleniem od drogi normalnej, zawsze szkodzącem sprawie i na dziesiątki lat odsuwającem pożądane rezultaty. Tak zawsze bywa, gdy zwyciężają wpływy ludzi lekkomyślnych i politykujących, obcych zasadom czystego socjalizmu. Przyszedłem tu poto tylko, aby zaprotestować przeciw zamierzonej zbrodni, dla pouczenia innych, potem zaś, aby odsunąć tę chwilę, którą nazywacie wszyscy, niewiadomo dlaczego, chwilą wspólnego niebezpieczeństwa. Odchodzę — nie z obawy przed niebezpieczeństwem i nie przez litość względem Szatowa, z którym całować się nie zamierzam, lecz dlatego jedynie, że cała ta sprawa, od początku do końca, jest sprzeczna z moim programem. Co się zaś tyczy możliwej denuncjacji i przekupienia przez rząd, — to bądźcie spokojni. Żadnej denuncjacji nie będzie.

Odwrócił się i poszedł.

— Do djabła! — zawołał Wierchowieński, wyjmując rewolwer. — Spotka ich i uprzedzi Szatowa.

Rozległ się trzask odwodzonego kurka.

Szigalew odwrócił się znowu.

— Bądźcie spokojni, spotkawszy Szatowa na drodze, może mu się ukłonię, lecz nie będę go uprzedzał...

— Czy wiesz pan, panie furjerzysto, że możesz odpokutować za to?

— Zauważ pan sobie, że nie jestem furjerzystą. Identyfikując mnie z tą ckliwą, oderwaną teorją, składa pan dowód, że nie zna pan wcale mego rękopisu, chociaż miał go pan w ręku. Co zaś do zemsty, to powiem panu, że odpro-

wadzanie sprawy było zupełnie zbyteczne. Takie załatwienie sprawy byłoby w tej chwili niewygodne dla pana. Jeżeli zaś jest to groźba na jutro lub pojutrze, to znówby pan nic nie zyskał. Możesz pan mnie zabić, lecz pomimo to powrócisz pan do mojej teorji. Żegnajcie, panowie!

W tej chwili o paręset kroków, od strony parku, od stawku, rozległo się gwizdanie. Liputin, zgodnie z wczorajszą umową, odpowiedział tak samo świstem. (W tym celu, nie licząc zbytnio na bezzębne usta, kupił rano na targu za dwa grosze gliniany gwizdek dziecinny). Szatow był uprzedzony przez Erkla, że będą sygnały, żadna wątpliwość nie powstała w jego głowie.

— Nie bójcie się, — poważnie wyszeptał Szigalew. — Przejdę obok, tak, że nie zauważą mnie nawet.

Pomału, nie przyśpieszając kroku, skierował się do domu przez ciemny park.

Już teraz ściśle wiadomo, do najdrobniejszych szczegółów, jak się ta straszna rzecz odbyła. Liputin spotkał Erkla i Szatowa tuż przy grocie. Szatow nie ukłonił się, ani podał ręki, lecz natychmiast odezwał się głośno, śpiesznie:

— Gdzie wy tu macie rydel? Czy niema drugiej latarni? Nie bójcie się. Nikogo tu niema, a w Skworesznikach nie posłyszą, choćbyśmy z armat strzelali. To tu, tu, w tem miejscu właśnie...

Stuknął nogą o dziesięć kroków od tylnego rogu groty, w kierunku lasu. W tej chwili z za drzewa skoczył na niego Tołkaczenko, Erkel zaś schwycił go ztyłu za łokcie. Liputin rzucił się zprzodu. Natychmiast podskoczył i Wierchowieński z rewolwerem. Mówią, że Szatow zdążył zwrócić ku niemu twarz i mógł mu się przyjrzeć i poznać. Trzy latarnie oświetlały całą scenę. Szatow krzyknął krótko i przenikliwie. Nie dano mu krzyczeć. Piotr Stepanowicz chłodno i dokładnie przystawił mu rewolwer do skroni, i — spuścił cyngiel. Wystrzał, jak się zdaje, nie był zbyt głośny. W każdym razie w pałacu nic nie słyszano. Mógł oczywiście, usłyszeć Szigalew, który nie zdążył chyba odejść dalej, niż o trzysta kroków. Słyszał istotnie i krzyk i strzał, lecz jak sam potem zaświadczył, nie odwrócił się nawet, ani zatrzymał. Śmierć nastąpiła momentalnie. Całkowitą przytomność (wątpię, czy

i zimną krew) ujawnił tylko Piotr Stepanowicz. Przysiadł przy trupie i zaczął śpiesznie, lecz spokojnie, przeszukiwać kieszenie. Pieniędzy nie było (portmonetka została pod poduszką Marji Ignatjewny). Było parę nic nie znaczących notatek: jakiś świstek biurowy, tytuł jakiejś książki i zagraniczny rachunek restauracyjny, który niewiadomo dlaczego przeleżał dwa lata w kieszeni. Papiery te Piotr Stepanowicz schował do własnej kieszeni. Zauważywszy, że wszyscy skupili się, patrzą na trupa i nic nie robią, zaczął brutalnie, z irytacją w głosie, łajać ich i popędzać. Tołkaczenko i Erkel opamiętali się, wbiegli do groty i przynieśli stamtąd dwa kamienie, po dwadzieścia funtów wagi, przyniesione tam od rana, i przygotowane, czyli mocno obwiązane sznurkiem.

Ponieważ, zgodnie z postanowieniem, należało wrzucić trupa do najbliższego (trzeciego) stawu, zaczęto przywiązywać te kamienie do nóg i do szyi. Przywiązywał Piotr Stepanowicz, a Tołkaczenko i Erkel podtrzymywali i pomagali. Erkel podał pierwszy kamień, i póki Piotr Stepanowicz, irytując się i wymyślając, przywiązywał ten kamień, Tołkaczenko przez cały ten czas trzymał swój kamień w ręku, poważnie nachylony, aby podać na pierwsze żądanie, i nie domyślał się nawet, że może położyć tymczasem swój ciężar na ziemi. Gdy wreszcie przywiązane były oba kamienie, Piotr Stepanowicz podniósł się i rozejrzał po obecnych. W tej chwili stał się wypadek zupełnie nieoczekiwany i zadziwiający.

Mówiłem już, że wszyscy stali bezczynnie, oprócz chyba Tołkaczenki i Erkla. Wirgiński rzucił się w odpowiednim momencie na Szatowa, tak samo, jak inni, lecz nie tknął go i nie pomagał trzymać. Lamszyn zaś znalazł się pośrodku grupy dopiero po strzale. Potem zaś wszyscy, przez cały czas dziesięciominutowej poraniny z trupem, byli półprzytomni. Skupili się naokoło i czuli narazie raczej zdziwienie, niż trwogę i niepokój. Liputin stał zprzodu, przy samym trupie. Wirgiński tuż za nim, wyglądając z poza jego ramienia z jakąś dziwną, jakgdyby obcą ciekawością; nawet stanął na palcach, aby lepiej widzieć. Lamszyn schował się za Wirgińskiego i tylko od czasu do czasu trwożnie wyglądał i znów się chował. Gdy kamienie zostały już przywiązane, a Wier-

chowieński podniósł się, Wirgiński zaczął drżeć gwałtownym drobnym dreszczem, załamał ręce i zawołał na cały głos z rozpaczą.

— To nie to! Nie to! Nie, to zupełnie nie to.

Możeby jeszcze coś dorzucił do tak spóźnionego okrzyku, lecz Lamszyn nie dał mu skończyć: schwycił go raptem ztyłu, wczepił się w niego i zaczął wyć dzikim głosem. Bywają chwile przerażenia, gdy człowiek krzyczy nie swoim głosem, lecz takim, który nigdyby chyba nie wyszedł mu z gardła, — są to rzeczy straszne. Lamszyn wydobył z siebie jakieś wycie nie ludzkie, lecz zwierzęce. Wciąż głośniej i głośniej, kurczowo ściskając ztyłu Wirgińskiego, wył bez przerwy, wytrzeszczywszy oczy, szeroko otworzywszy usta i tupał nogami, jakgdyby bijąc w bęben. Wirgiński tak się przestraszył, że sam zaczął krzyczeć, jak szalony. Z wściekłością i zapamiętaniem, zupełnie obcem mu, zaczął wyrywać się z rąk Lamszyna, drapiąc go i bijąc, na ile mógł sięgnąć od tyłu. Erkel pomógł mu wreszcie odciągnąć Lamszyna. Lecz gdy Wirgiński odskoczył w przestrachu o dziesięć kroków wbok, Lamszyn, zobaczywszy Piotra Stepanowicza, zawył znowu i rzucił się już na niego. Potknąwszy się o trupa, upadł na Piotra Stepanowicza i tak mocno schwycił go wpół, wciskając głowę swoją w jego pierś, że ani Piotr Stepanowicz, ani Liputin w pierwszej chwili nie mogli nic zrobić. Piotr Stepanowicz krzyczał, łajał, bił pięścią po głowie napastnika, wreszcie oderwał się jakoś, wyjął rewolwer i nastawił lufę wprost w szeroko otwarte usta wciąż jeszcze wyjącego Lamszyna, którego zdążyli mocno schwycić za ręce Tołkaczenko, Erkel i Liputin; lecz Lamszyn nie przestawał wyć, pomimo rewolweru. Wreszcie Erkel zwinął swój szalik i zręcznie wsadził Lamszynowi do ust, i wtedy dopiero wycie umilkło. Tołkaczenko tymczasem związał mu ztyłu ręce pozostałym kawałkiem sznura.

— To dziwne, — rzekł Piotr Stepanowicz, trwożnie oglądając nieprzytomnego.

Najwidoczniej był tem zaskoczony.

— Myślałem o nim inaczej, — dodał zamyślony.

Pozostawiono przy nim tymczasem Erkla. Trzeba było śpieszyć z trupem. Tyle było hałasu, że mógł wreszcie ktoś

posłyszeć. Tołkaczenko i Piotr Stepanowicz podnieśli latarnie i wzięli trupa pod głowę, Liputin z Wirgińskim za nogi i ponieśli. Ciało z dwoma kamieniami było ciężkie, a odległość — ze dwieście kroków. Tołkaczenko był najsilniejszy. Doradził iść w nogę, lecz nikt mu nie odpowiedział i każdy szedł po swojemu. Piotr Stepanowicz szedł z prawej strony, pochłonięty całkowicie tem, co czynił, i niósł na ramieniu głowę trupa, lewą zaś ręką podtrzymywał zdołu kamień. Tołkaczenko przez pół drogi nie domyślił się pomóc trzymać kamień, wreszcie Piotr Stepanowicz głośno krzyknął na niego. Okrzyk ten był nieoczekiwany i odosobniony; wszyscy nieśli dalej w milczeniu i dopiero przy samym stawie Wirgiński, uginając się pod ciężarem, jakgdyby wyczerpany, wykrzyknął znowu głosem płaczliwym a donośnym.

— Nie, to nie to, to zupełnie nie to!

Miejsce, gdzie się kończył ten trzeci, dość duży staw Skworesznikowski, i dokąd donieśli zabitego, należało do najbardziej głuchych w parku. Rzadko kto tam zaglądał, zwłaszcza o tak późnej porze roku. Staw był zarośnięty u brzegu. Postawiono latarnie, rozbujano trupa i wrzucono go do wody. Rozległ się szum głuchy, przeciągły. Piotr Stepanowicz podniósł latarnię, a za nim wyciągnęli się wszyscy, aby zobaczyć, jak pogrążył się zabity. Lecz nie było widać. Ciało z dwoma kamieniami natychmiast poszło na dno. Szerokie kręgi, rozchodzące się po wodzie, szybko znikły. Było już po wszystkiem.

— Panowie, — zwrócił się Piotr Stepanowicz do zebranych. Rozejdźmy się teraz. Niewątpliwie odczuwać powinniście wszyscy tę dumę wolności, która towarzyszy zawsze spełnieniu czynu wolnego. Jeżeli teraz, niestety, zbyt podnieceni jesteście dla takich uczuć, nie wątpię, że poznacie je jutro, gdyż jutro już wstyd wam będzie poddawać się nerwom. Zbyt hańbiące zachowanie się Lamszyna gotów jestem traktować, jako chorobliwe majaczenia, tem bardziej, że istotnie jest on chory od dnia wczorajszego. Wirgińskiemu zaś wykaże chwila spokojnej rozwagi, że w imię sprawy wspólnej nie wolno było polegać na słowie honoru, lecz trzeba było zrobić tak, jak zrobiliśmy. Przekonacie się w przyszłości, że powody do obawy nie były płonne. Gotów

jestem zapomnieć o krzykach waszych. Obecnie niema już żadnego niebezpieczeństwa. Nikomu nie przyjdzie nawet do głowy podejrzewać was, o ile zwłaszcza będziecie się zachowywali odpowiednio. Bądź co bądź wszystko zależy od was samych i od waszej mocy. Przekonacie się o tem nie dalej, jak jutro. Potoście się połączyli w odrębną organizację wolnych ludzi jednakowo myślących, aby dla sprawy wspólnej dodawać jeden drugiemu energji, a gdy zajdzie potrzebaby pilnować jeden drugiego i obserwować. Każdy z was zosobna ponosi odpowiedzialność wobec władz wyższych. Powołani jesteście, abyście ożywili sprawę zaskorupiałą i stęchłą: niech świadomość tego dodaje wam otuchy. Każdy krok wasz zdążać winien do tego, aby waliło się wszystko: państwo i jego moralność. Zostaniemy tylko my, którzyśmy zawczasu wyznaczyli siebie do zagarnięcia władzy. Mądrych pozyskamy, a na głupich wyjedziemy. Nie trzeba tego się wstydzić. Trzeba wychować na nowo całe pokolenie, aby uczynić je godnem wolności. Jeszcze będą tysiące Szatowych. Organizujemy się, aby porwać ster. Wszystko, co źle leży i samo ku nam idzie, musimy brać. Wstyd nie brać. Teraz idę do Kiriłowa. Do rana uzyskam dokument, w którym ten warjat, umierając, da zeznania i całą winę weźmie na siebie. Ta kombinacja jest aż nadto wiarygodna. Przedewszystkiem, był on wrogiem Szatowa. Mieszkali razem w Ameryce, więc mieli czas się poróżnić. Wiadomo, że Szatow zmienił przekonania. To znaczy, że wrogość Kiriłowa opiera się na tle programowem i na obawie przed denuncjacją. Taka wrogość nigdy nie przebacza. To wszystko będzie napisane. Będzie też wzmianka o tem, że u niego, w domu Filipowa, mieszkał Fiedia. W ten sposób wszystkie podejrzenia będą odsunięte od nas. Te baranie głowy zabłąkają się do reszty. Już nie zobaczymy się jutro, panowie. Na krótki okres wyjeżdżam z miasta. Pojutrze otrzymacie ode mnie wiadomości. Radziłbym wszystkim jutro nie opuszczać mieszkań. Teraz rozejdźmy się parami, rozmaitemi drogami. Tołkaczenko niech zaopiekuje się Lamszynem i odwiezie go do domu. Trzeba jakoś podziałać na niego, przedewszystkiem zaś wytłumaczyć mu, do jakiego stopnia sam siebie naraża swojem zachowaniem się. Co do pańskiego krewnego, i co do pana,

panie Wirgiński, nie mam żadnych obaw. Z tej strony nie grozi nam niebezpieczeństwo. Pozostaje tylko ubolewać nad uczynkiem Szigalewa. Ponieważ jednak sam nie oświadczył dotychczas, że opuszcza stowarzyszenie, przedwcześnie byłoby likwidować go. Prędzej, panowie. Chociaż tamto są baranie głowy, lecz ostrożność nie zawadzi.

Wirgiński ruszył z Erklem. Erkel, oddając Lamszyna Tołkaczence, zdążył przedtem podprowadzić go do Piotra Stepanowicza i oświadczyć w jego imieniu, że opamiętał się, błaga o przebaczenie i nie pamięta nawet, co się z nim stało. Piotr Stepanowicz poszedł sam, obchodząc naokoło stawy od strony parku. Była to najdłuższa droga. Zdziwił się, gdy wpół drogi dopędził go Liputin.

— Piotrze Stepanowiczu, przecież Lamszyn wygada się.

— O nie, już opamiętał się, i rozumie, że pierwszy poszedłby na Sybir. Teraz wszyscy będą milczeli. Pan także.

— A pan?

— O, napewno zapakuję was wszystkich, gdy tylko ruszy się który, aby zdradzić. Pan wie dobrze o tem. Teraz pan nie zdradzi. Czy poto pan biegłeś za mną dwie wiorsty?

— Piotrze Stepanowiczu! Piotrze Stepanowiczu! Przecież my może już nigdy nie zobaczymy się.

— Skąd panu to przyszło do głowy?

— Niech mi pan powie jedno tylko słowo!

— O co chodzi? Wolałbym, żebyś się pan wyniósł!

— O jedną odpowiedź proszę, ale prawdziwą: czy my jesteśmy jedyną piątką na świecie? Czy to prawda, że istnieją setki tych piątek. Tu nie o mnie chodzi, Piotrze Stepanowiczu, lecz o sprawę!

— Widzę to z podniecenia pańskiego. Czy wie pan, że pan jest niebezpieczniejszy od Lamszyna?

— Wiem, wiem... lecz proszę o odpowiedź.

— Głupi pan jesteś! Teraz to już chyba wszystko jedno panu, czy jest jedna piątka, czy tysiące.

— Więc tylko jedna! Wiedziałem! — zawołał Liputin. — Wiedziałem zawsze, że tylko jedna. Aż do tej chwili...

Nie doczekawszy się innej odpowiedzi, odwrócił się i znikł w mroku.

Wierchowieński zamyślił się.

— Nie, nie zadenuncjuje nikt, — zdecydował wreszcie. — Lecz kółko powinno zostać kółkiem i słuchać mnie, inaczej... Jacy oni jednak wszyscy marni!

II.

Zaszedł przedewszystkiem do swego mieszkania i starannie, bez pośpiechu, spakował rzeczy. Nazajutrz o szóstej odchodził ekstra-pociąg. Ten ekstra-pociąg poranny odchodził tylko raz na tydzień i został wprowadzony niedawno, narazie na próbę. Piotr Stepanowicz uprzedzał „naszych", że wyjeżdża na jakiś czas na prowincję, okazało się jednak potem, że miał plany zupełnie inne. Skończył z kufrem, załatwił rachunek z gospodynią, która już była uprzedzona o jego wyjeździe, i pojechał dorożką do Erkla, który mieszkał wpobliżu dworca. Potem już, około pierwszej w nocy, wyruszył do Kiriłowa, przedostawszy się do niego przez dziurę w płocie.

Piotr Stepanowicz był w fatalnym humorze. Niezależnie od innych, bardzo poważnych przykrości (nie wiedział naprzykład dotychczas nic o Stawroginie), otrzymał wciągu dnia, mam przynajmniej dane po temu, tajne zawiadomienie o grożącem mu jakoby jakiemś niebezpieczeństwie. Zdaje się, że wiadomość ta była z Petersburga. U nas w mieście krążą dotychczas najrozmaitsze legendy o tamtym okresie; chyba tylko ci, którzy wiedzieć o wszystkiem powinni służbowo, mają informacje ścisłe. Ja zaś, opierając się wyłącznie na domysłach, sądzę, że Piotr Stepanowicz mógł mieć jeszcze ze dwie lub trzy piątki gdzie indziej, naprzykład w Petersburgu, lub Moskwie. A jeżeli nawet nie piątki, to przynajmniej stosunki, może nawet bardzo interesujące. Nie więcej, jak w trzy dni po jego wyjeździe, nadesłany został na ręce naszych władz rozkaz aresztowania go. Nie wiem, za jakie sprawki: te, co się u nas odbyły, czy jakieś inne. Rozkaz ten zdążył akurat w porę, aby wzmocnić tu wstrząsające wrażenie strachu, nieomal mistycznego, który opanował władze nasze i tak lekkomyślne dotychczas społeczeństwo. Ten strach rozpowszechnił się zwłaszcza po wykryciu zabójstwa

studenta Szatowa, zabójstwa, które wyczerpało już miarę wszelkich potworności, a odbyło si- w okolicznościach niezmiernie zagadkowych. Rozkaz spóźnił się. Piotr Stepanowicz był już w Petersburgu pod cudzem nazwiskiem, stamtąd zaś, zwietrzywszy niebezpieczeństwo, umknął zagranicę. Uprzedzam jednak wypadki.

Wszedł do Kiriłowa zły, skłonny do sprzeczki. Niezależnie od kwestji zasadniczej, chciało mu się oprócz tego spędzić złość na Kiriłowie, zemścić się na nim.

Kiriłow jakgdyby ucieszył się z jego przybycia. Widać było, że zbyt długo i zbyt niecierpliwie czekał. Miał twarz bledszą, niż zwykle, a spojrzenie jego ciemnych oczu było ciężkie i nieruchome.

— Myślałem, że już pan nie przyjdzie, — odezwał się ponuro z kąta kanapy. Nie ruszył się na powitanie.

Piotr Stepanowicz stanął przed nim, i zamiast witać się z nim, zaczął mu się bacznie przyglądać.

— To znaczy, że wszystko w porządku i nie odstąpiliśmy od naszych postanowień. Brawo! — Wierchowieński uśmiechnął się pogardliwie. — Jeżeli tak, — dodał tonem niesmacznie żartobliwym, — nie może się pan skarżyć na to, że się spóźniłem: podarowałem panu trzy godziny.

— Nie chcę od pana tych trzech godzin. I wogóle nie możesz mi nic darować, głupcze!...

— Co? — obruszył się Piotr Stepanowicz, po chwili jednak opanował siebie. — Co za obraźliwość! Widzę, że jesteśmy wściekli! — wypowiedział znowu pogardliwie. — W takiej chwili przystałby raczej spokój. Najlepiejby było, gdyby pan traktował siebie teraz jak Kolumba, a mnie, jak mysz, i nie obrażał się na mnie. Już wczoraj doradzałem to panu.

— Nie chcę traktować ciebie, jak mysz.

— Czy to ma być komplement? Ach, i herbata zimna: to znaczy, że wszystko do góry nogami. Nie, tu dzieją się rzeczy niepomyślne. Ba! Coś tam widzę na oknie, na talerzu. (Podszedł do okna). Oho, potrawka z kury z ryżem! Lecz dlaczego dotychczas nietknięta? Byliśmy więc w takim usposobieniu, że nawet kura...

— Jadłem, i nic to pana nie obchodzi. Milcz pan!

— O, tak, rozumiem. Dla pana już wszystko jedno. Lecz nie dla mnie. Niech pan sobie wyobrazi, że prawie nic nie jadłem dzisiaj, jeśli więc ta kura, jak sądzę, już jest niepotrzebna, to...

— Jedz pan, jeżeli możesz.

— O, dziękuję, a potem poproszę o herbatę.

Momentalnie usadowił się na drugim końcu kanapy, przy stole, i rzucił się na kurę z niesłychaną łapczywością. Nie spuszczał jednak z oczu ofiary swojej. Kiriłow patrzył na niego ze wstrętem, lecz nie był w stanie oderwać oczu.

— Lecz prawda! — zawołał Piotr Stepanowicz, nie przerywając jedzenia. — Do rzeczy! Więc nie cofamy się, co? A notatka będzie?

— Już oświadczyłem, że wszystko mi jedno. Napiszę. O proklamacjach.

— Tak, o proklamacjach także. Zresztą podyktuję. Panu wszystko jedno. Czyż mogłaby pana obchodzić w takiej chwili treść pisma?

— To do ciebie nie należy.

— Oczywiście. Chodzi tu zresztą tylko o kilka wierszy. Żeście z Szatowem rozrzucali proklamacje, korzystając też z pomocy Fiedi, którego przechowywaliście w mieszkaniu pańskiem. Ta rzecz o Fiedi i o mieszkaniu jest bardzo ważna, może najważniejsza. Widzi pan, jaki jestem szczery.

— O Szatowie? Poco? Nie napiszę o Szatowie.

— Co znowu? Dlaczego? Już mu pan nie może zaszkodzić.

— Żona przyjechała do niego. Zbudziła się i przysyłała do mnie, aby dowiedzieć się, gdzie on jest.

— Przysyłała do pana? Ha! To niedobrze! Może przysłać znowu. Nikt nie powinien wiedzieć, że jestem tu.

Piotr Stepanowicz był niespokojny.

— Nie dowie się. Śpi znowu. Przy niej tam akuszerka, Wirginska.

— To dobrze. Sądzę... że nie dosłyszy. Wartoby było zamknąć drzwi od ganku.

— Nic nie posłyszy.

— I napisze pan, żeście się z nim posprzeczali z powo-

du obaw o jego zdradę... i że dziś wieczorem... że jest pan sprawcą śmierci jego.

— Umarł?! — zawołał Kiriłow, zrywając się z kanapy.

— Dziś o ósmej wieczorem, Ściśle — wczoraj, gdyż teraz już po północy.

— To tyś go zabił! Przeczuwałem to wczoraj jeszcze!

— Trudno było tego nie przewidzieć. Z tego samego rewolweru. (Wyjął rewolwer, niby to chcąc go pokazać, lecz potem nie schował już, lecz dalej trzymał w ręku, jak na pogotowiu). — Dziwny z pana człowiek. Pan dobrze wiedział, że tego głupca musiał spotkać taki koniec. Jakie tam przeczucia? Już nieraz tłumaczyłem to panu. Szatow szykował zdradę. Obserwowałem go. Dłużej nie można już było zwlekać. Pan sam zresztą otrzymał instrukcję obserwowania Szatowa. Pan sam zakomunikował mi przed paru tygodniami, że...

— Milcz! Zabiłeś go za to, że on ci w Genewie plunął w twarz.

—Za to, i za inne rzeczy. Za szereg rzeczy. Zresztą nie czułem do niego żalu. Dlaczego pan się tak zerwał? Co za komedje? Ach, to my tak!...

Zerwał się i podniósł rewolwer. Chodziło o to, że Kiriłow schwycił z okna swój rewolwer, przygotowany i nabity od rana. Piotr Stepanowicz stanął w pozycji i skierował lufę na Kiriłowa. Tamten śmiał się zjadliwie.

— Przyznaj się podły, żeś poto wziął rewolwer, abym ja nie zastrzelił ciebie. Nie, nie będę strzelał... A zresztą... Może...

Znów skierował lufę na Piotra Stepanowicza, jakgdyby celował. Widocznie nie mógł wyrzec się przyjemności wyobrażenia sobie, jak zabiłby Wierchowieńskiego. Piotr Stepanowicz, wciąż w pozycji, wyczekiwał, wyczekiwał do ostatniej chwili, nie spuszczając cyngla, chociaż ryzykował, że sam dostanie kulą w łeb. Ów „manjak" mógł się na to zdobyć. Lecz manjak opuścił wreszcie rękę. Drżał cały i nie był w stanie odezwać się. Piotr Stepanowicz także spuścił broń.

— Pobawiliśmy się i dosyć. Wiedziałem, że pan się bawi tylko. Lecz ryzykował pan. Mogłem wystrzelić.

Dość spokojnie usiadł na kanapie i nalał sobie herbaty. Ręce mu trochę drżały. Kiriłow położył rewolwer na stole i zaczął chodzić po pokoju.

— Nie napiszę, że zabiłem Szatowa, i... nic teraz nie napiszę... Nie zostawię żadnej notatki.

— Nie?

— Nie!

— Co za podłość i co za głupota! — irytował się Piotr Stepanowicz. — Przeczuwałem zresztą coś podobnego. Nie jestem tem zaskoczony. Jak pan chce. Gdybym mógł zmusić pana siłą, to zmusiłbym. Jest pan podły. — Piotr Stepanowicz irytował się coraz więcej. — Wtedy prosił mnie pan o pieniądze. Nie szczędził pan obietnic. A jednak, ja nie wyjdę stąd bez rezultatu. Zobaczę przynajmniej, jak pan sobie łeb rozwali.

Kiriłow stanął przed nim.

— Chcę, abyś zaraz wyszedł stąd.

— O nie, to zupełnie niemożliwe, — odparł Piotr Stepanowicz, chwytając znów rewolwer. — Obecnie przez złość i przez tchórzostwo gotów pan wszystko odłożyć i zadenuncjować jutro, aby znowu otrzymać za to pieniądze. Za takie rzeczy płacą... Do djabła! Tacy ludzie, jak pan, mogą się zdobyć nawet na to. Lecz niech się pan uspokoi. Nie wyjdę stąd, dopóki nie rozwalę ci łba z tego rewolweru, jak to zrobiłem już z Szatowem, jeżeli stchórzysz, i cofniesz decyzję.

— Chcesz koniecznie widzieć i moją krew?

— Nie mam do pana żadnego żalu. Wszystko mi jedno. Chodzi mi tylko o dobro sprawy. Nikomu nie można zaufać. Pan sam to widzi. Nie rozumiem zupełnie, skąd przyszła panu do głowy fantazja uśmiercenia samego siebie. Nie jam to wymyślił. Pan sam, nie znając mnie jeszcze. I oświadczył pan to nie mnie, lecz towarzyszom zagranicą. Nikt z nich nie zmuszał pana, nikt z nich nie znał pana. Przyszedł pan sam z wynurzeniami, przez tkliwość serca. Cóż mamy robić, jeżeli na tem oparty był plan, — pewien plan naszych

działań, którego już cofnąć nie można. Działo się to za zgodą pańską, a nawet na wniosek pański, (niech pan o tem nie zapomina!). Tak się stało, że wie pan zbyt dużo. Jeżeli pan stchórzy i pójdzie jutro opowiadać, to możemy być poszkodowani. Co pan myśli o tem? O nie! Zobowiązał się pan. Dał pan słowo. Otrzymał pan pieniądze. Są to rzeczy niezaprzeczalne...

Piotr Stepanowicz gorączkował się, lecz Kiriłow już go oddawna nie słuchał. Znów biegał po pokoju, głęboko zamyślony.

— Szkoda mi Szatowa, — powiedział wreszcie, zatrzymując się przed Wierchowieńskim.

— Ależ i ja go żałuję. Czyż pan nie rozumie...

— Milcz, nikczemniku! — ryknął Kiriłow, i zrobił ruch groźny i niedwuznaczny. — Milcz!

— Dobrze, dobrze, zgadzam się, skłamałem, wcale go nie żałuję. Dosyć już, dosyć! — wołał Wierchowieński, zrywając się z miejsca i zasłaniając twarz ręką.

Kiriłow zamilkł znowu i chodził po pokoju.

— Nie będę odkładał. Teraz właśnie chcę uśmiercić siebie. Wszyscy są podli!

— To racja! Oczywiście, wszyscy są podli, i ponieważ porządny człowiek nie może się czuć dobrze na tej ziemi, więc...

— Głupi jesteś! Sam jestem tak samo podły jak ty, jak wszyscy. Wcale nie jestem porządny. Porządnego człowieka jeszcze nie było.

— Domyślił się pan wreszcie. Czyż pan, panie Kiriłow, przy pańskim rozumie, nie wiedział dotychczas, że wszyscy są jednakowi, niema lepszych i gorszych, a tylko mądrzejsi i głupsi? A jeżeli wszyscy są podli (co, zresztą, jest tylko frazesem), to świadczyłoby o tem, że nie powinno być ludzi niepodłych...

— A! Czy ty naprawdę nie kpisz? — popatrzył Kiriłow ze zdziwieniem. — Mówisz tak gorąco i poprostu... Czyż tacy ludzie, jak ty, mogą mieć przekonania?

— Kiriłow! Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego pan chce odebrać sobie życie. Wiem tylko, że z głębokiego przekonania. Jeżeli jednak czujesz pan potrzebę, że tak po-

wiem, wylać uczucia, to służę panu... Trzeba jednakże liczyć się z czasem...

— Która godzina?

— O, już druga, — odpowiedział Piotr Stepanowicz, patrząc na zegarek. Zapalił papierosa.

„Zdaje się", — pomyślał — „że można jeszcze dogadać się z nim".

— Nie mam o czem mówić z tobą, — bąknął Kiriłow.

— Pamiętam, że było tam coś o Bogu... Już mi pan kiedyś tłumaczył. Nawet dwa razy. Jeżeli się pan zastrzelisz, to staniesz się Bogiem? Zdaje się, że tak?

— Tak. Stanę się Bogiem.

Piotr Stepanowicz nie uśmiechnął się nawet. Czekał. Kiriłow spojrzał na niego przenikliwie.

— Jesteś pan szarlatanem, intrygantem politycznym. Chcesz pan teraz skierować mnie ku filozofji, pogodzić się ze mną na tem tle, rozwiać gniew, a wtedy wyprosić kartkę o tem, że zabiłem Szatowa.

Piotr Stepanowicz odpowiedział zupełnie spokojnie.

— Dobrze. Niech tak będzie. Lecz czyż panu w ostatniej chwili już nie wszystko jedno? O co właściwie my się kłócimy? Jesteś pan takim człowiekiem, jak inni. O cóż chodzi? Zresztą obaj jesteśmy...

— Podli.

— Może i tak. Wie pan przecie, że to tylko frazesy.

— Przez życie całe chodziło mi o to, aby nie było to frazesem. Dlatego tylko żyłem. I teraz chcę, aby nie było pustych słów.

— Cóż? Każdy urządza się, jak woli. Ryba, naprzykład... Każdy szuka własnego komfortu. To wszystko. rzeczy dawno znane.

— Powiedziałeś pan „komfortu"?

— Mniejsza o słowa.

— Nie, to dobrze było powiedziane. Niech będzie „Komfort". Bóg jest niezbędny, i dlatego musi istnieć.

— Zgoda.

— Lecz wiem, że Boga niema i nie może być.

— To słuszniejsze.

— Czyż nie rozumiesz, że człowiek nie może pogodzić tych dwu myśli i nie może żyć?

— Więc co? Ma strzelić do siebie?

— Czyż ty nie rozumiesz, że to wystarcza, aby zastrzelić siebie. Czyż nie rozumiesz, że może znaleźć się człowiek, jeden na tysiąc miljonów, który nie zechce i nie zniesie.

— Rozumiem jedynie, że pan najwidoczniej się waha. To bardzo źle.

Kiriłow, krocząc po pokoju, nie zwrócił uwagi na słowa Piotra Stepanowicza. Snuł dalej swoje myśli.

— Stawrogina także zjadła idea...

— Co? — zainteresował się Wierchowieński. — Jaka idea? Czy mówił o tem z panem.

— Nie. Domyśliłem się sam. Jeżeli Stawrogin wierzy, to sam nie wierzy, że wierzy. A jeżeli nie wierzy, to także sam nie wierzy, że nie wierzy.

— No, Stawrogina trapią i inne myśli, może trochę mądrzejsze... — gderliwie odezwał się Wierchowieński. — Niepokoił go kierunek rozmowy. Niepokoił go Kiriłow.

„Do djabła, nie zastrzeli się" — myślał: „zawsze przeczuwałem. To tylko spekulacje mózgowe i wykręty. Nic więcej. Ech, marni są ludzie!"

Raptem Kiriłow zmienił ton.

— Jesteś ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiam. Nie chciałbym źle rozstawać się z tobą.

Piotr Stepanowicz nie odpowiadał narazie. „Co to takiego? Co to znaczy?" — pomyślał.

— Wierz mi pan, panie Kiriłow, że nigdy nie miałem nic przeciwko panu osobiście, i zawsze...

— Jesteś podły i fałszywy. Lecz jam nie lepszy. I oto ja zastrzelę się, a ty pozostaniesz przy życiu...

— Chcesz pan powiedzieć, że jestem tak nikczemny, że wolę żyć?

Nie wiedział sam, czy korzystnie mu obecnie podtrzymywać tego rodzaju rozmowę. Postanowił „poddać się biegowi zdarzeń". Lecz ton wyższości i niemaskowanej pogardy, z którym traktował go Kiriłow, drażnił go zawsze, teraz zaś więcej, niż kiedykolwiek. Może dlatego, że Kiriłow, który miał umrzeć za jaką godzinę (Piotr Stepanowicz nie zapo-

minał o tem), wydawał mu się już czemś prawie nieistniejącem, jakąś pół-istotą, która nie ma żadnego prawa do zarozumiałości.

— To są chyba przechwałki, że pan się zastrzeli?

Kiriłow nie dosłyszał nawet tej uwagi.

— Dziwiło mnie zawsze, że wszyscy obstają przy życiu.

— Hm! W tem tkwi jakaś myśl, lecz...

— Powtarzasz za mną, jak małpa, byle mnie zdobyć. Milcz! Nic nie rozumiesz. Jeżeli niema Boga, ja jestem Bogiem.

— Tego właśnie momentu nigdy nie rozumiałem. Dlaczego masz pan być Bogiem.

— Jeżeli Bóg jest, to cała wola jest Jego, i wyjść poza tę wolę nie mogę. Jeżeli niema, to wola jest moja i mam obowiązek ją wypełnić.

— Wypełnić? Dlaczego?

— Bo cała wola jest moja. Czyż nikt na całej ziemi, uwierzywszy w swobodę woli własnej, nie odważy się ujawnić wolę swoją w najistotniejszej rzeczy? To tak, jakgdyby nędzarz otrzymał spadek i przestraszył się, i bał się podejść do worka, uważając, że brak mu sił do zagarnięcia go. Pragnę spełnić wolę moją. Niech ja jeden, lecz uczynię to.

— Ależ doskonale.

— Mam obowiązek uśmiercić siebie, gdyż najważniejsze ziszczenie swobody woli — to zabicie siebie samego.

— Ależ nietylko pan to robi. Tylu jest samobójców.

— Ci mają powody. A bez żadnego powodu, jedynie dla zrealizowania swobody woli — tylko ja.

Znowu Piotra Stepanowicza przeszyła myśl: „nie zastrzeli się".

— Wie pan — powiedział w podrażnieniu, — na pańskiem miejscu, chcąc spełnić akt woli, zabiłbym kogo innego, nie siebie samego.

Mógłby pan stać się użytecznym. Wskazałbym panu, kogo należy zabić, o ile pan nie stchórzy. Jeżeli tak, mógłby pan nawet nie odbierać sobie dziś życia. Moglibyśmy dojść do porozumienia.

— Zabicie kogoś innego byłoby najniższą formą zisz-

czenia woli. Całego ciebie widzę w tej propozycji. Nie jestem tobą. Szukam najwyższej formy i zabiję siebie.

„Doszedł wreszcie do tego", mruknął Wierchowieński.

Kiriłow wciąż biegał po pokoju.

— Mam obowiązek złożyć świadectwo niewierze. Niemasz dla mnie wyższej idei, jak to, że Boga niema. Opieram się o całą historję ludzkości. Człowiek nic innego nie robił, tylko wciąż stwarzał Boga, aby żyć i nie pozbawiać siebie życia. Na tem polegają dotychczasowe dzieje ludzkości. Ja pierwszy od stworzenia świata nie chciałem budować Boga. Niech się dowiedzą o tem, raz na zawsze.

„Nie zastrzeli się", — trwożnie myślał Wierchowieński.

— Kto ma się o tem dowiedzieć? — drażnił Kiriłowa. — Tu niema nikogo oprócz nas dwóch. Może Liputin dowie się?

— Dowiedzą się wszyscy, wszyscy. Niemasz rzeczy tajnych, które nie staną się jawne. Tak powiedział On.

Z gorączkowym zachwytem wskazał obraz Zbawiciela, przed którym paliła się lampka. Piotr Stepanowicz irytował się już nie na żarty.

— Więc w niego nie przestałeś pan wierzyć? Nawet lampka się pali. Może to „na wszelki wypadek"?

Kiriłow nie odpowiadał.

— Wiesz pan? Mam wrażenie, że wierzysz pan głębiej od niejednego popa.

— W kogo? W niego? Słuchaj! — zawołał Kiriłow, zatrzymując się i wpatrując w przestrzeń fanatycznym, obłąkańczym wzrokiem. — Wysłuchaj wielkiej myśli. Był jeden taki dzień na ziemi, a pośrodku ziemi stały trzy krzyże. A jeden z ukrzyżowanych tak wierzył, że rzekł do drugiego, „będziesz dziś w niebie razem ze mną". Dzień ów się skończył, umarli obaj, odeszli, i nie znaleźli ani nieba, an zbawienia. Słuchaj! ów człowek był największy na świecie. Stwarzał to, dla czego żyć warto. Cała planeta nasza, ze wszystkiem co jest na niej, bez tego człowieka, byłaby czemś obłąkańczem. Ani przedtem, ani potem, nie było nikogo, równego mu, — nigdy, że aż to wygląda na cud. W tem jest cud, że nigdy nie było i nie będzie równego Mu. Jeśli zaś tak, jeśli

prawa przyrody nie poszanowały nawet Jego, jeśli nie pożałowały nawet własnego cudu, a zmusiły i Jego żyć wśród kłamstwa i umrzeć dla kłamstwa, — widocznie cała planeta nasza jest kłamstwem, na kłamstwie się opiera i na głupiem szyderstwie. To znaczy, że prawa planety naszej są kłamstwem i szatańską farsą. Pocóż więc żyć? Powiedz, jeżeli jesteś człowiekiem.

— To zupełnie inne postawienie kwestji. Mam wrażenie, że plączą się u pana dwie odrębne przyczyny. A to niedobrze. Lecz pozwól pan. A jeżeli pan jesteś Bogiem? A jeżeli skończyło się kłamstwo i zrozumiałeś pan, że całe kłamstwo pochodziło od dawnego Boga?

— Zrozumiałeś, nakoniec! — zawołał Kiriłow. — Więc można było zrozumieć, jeżeli zrozumiał nawet taki człowiek, jak ty. Czy rozumiesz teraz, że zbawienie wszystkich — w zrozumieniu tej myśli? Kto ją wyjaśni Ja! Nie rozumiem, jak mogli dotychczas ateiści wiedzieć, że niema Boga i żyć dalej? Uświadomić sobie, że niema Boga i nie uświadomić sobie jednocześnie, że się samemu jest Bogiem — to bezsens. Inaczej bowiem trzeba koniecznie zabić siebie. Gdy już to będzie uświadomione, samobójstwa staną się niepotrzebne, gdyż zacznie się życie w nowej chwale. Lecz jeden, ten pierwszy, musi koniecznie zabić siebie. Któż bowiem zacznie? Kto dowód złoży? To ja właśnie zabiję siebie, aby zacząć i udowodnić. Jestem tymczasem Bogiem pomimo woli, i nieszczęśliwy jestem, gdyż mam obowiązek ujawnić wolną wolę. Wszyscy są nieszczęśliwi dlatego, że boją się ziścić wolę. Człowiek dlatego był dotychczas tak biedny, tak nieszczęśliwy, że bał się ziścić wolę w rzeczy najważniejszej; ujawniał ją gdzieś z brzegu, jak sztubak. Jestem bardzo nieszczęśliwy, gdyż bardzo się boję. Strach jest klątwą człowieka. Lecz spełnię wolę swoją. Muszę uwierzyć, że nie wierzę. Zacznę i skończę. Otworzę wrota. Zbawię. To jedno zbawi wszystkich ludzi i w przyszłem pokoleniu przerodzi ich fizycznie. Bo w dzisiejszym kształcie fizycznym, o ile się przekonałem, człowiek nie może żadną miarą obejść się bez dawnego Boga. Trzy lata szukałem atrybutu boskości mojej, i znalazłem. Jest nim — samowola! Bo dzięki niej mogę w najważniejszej rzeczy

zaprzeczyć pokorze i wykazać nową, straszną wolę moją. Jest ona straszna. Zabijam siebie, aby się zaprzeć pokory i ziścić straszną wolę swoją.

Miał twarz nienormalnie bladą i spojrzenie ciężkie, jak kamień. Był jak w gorączce. Piotr Stepanowicz myślał nawet, że ta gorączka zwali go zaraz na ziemię.

— Daj pióro! — niespodziewanie zawołał Kiriłow, jak w natchnieniu. — Dyktuj. Podpiszę wszystko. Napiszę, że zabiłem Szatowa. Dyktuj, gdyż śpieszę się. Nie lękam się myśli dumnych niewolników. Sam widzisz, że wszystko, co tajne, jawnem się stanie! Będziesz rozdeptany! Wierzę w to! Wierzę!

Piotr Stepanowicz natychmiast zerwał się z miejsca, podał niezwłocznie papier i atrament i zaczął dyktować, pragnąc wyzyskać moment i niepokojąc się o rezultat.

„Ja, Aleksy Kiriłow, oświadczam"...

— Poczekaj! Nie chcę! Komu oświadczam?

Kiriłow trząsł się, jak w febrze. To oświadczenie i jakaś niespodziewana myśl o niem, pochłonęły go całkowicie. Jakgdyby zmęczona dusza jego szukała choć na chwilkę punktu oparcia.

— Komu oświadczam? Chcę wiedzieć komu?

— Nikomu. Wszystkim. Pierwszemu, kto przeczyta. Nie trzeba precyzować. Całemu światu.

— Całemu światu? Brawo! I bez skruchy. Nie chcę skruchy. Nie zwracam się do władz.

— Ale nie! Do djabła z władzami! Pisz pan, jeżeli to na serjo... — histerycznie nawoływał Piotr Stepanowicz.

— Stój! Chcę narysować u góry twarz z wysuniętym językiem.

— Głupstwa! — irytował się Piotr Stepanowicz. — Nie trzeba rysunku. To samo można wyrazić tonem.

— Tonem? To dobrze. Tak, tak, tonem! Dyktuj!

„Ja, Aleksy Kiriłow", — rozkazującym głosem dyktował Piotr Stepanowicz, schylony nad Kiriłowem i śledząc każdą jego literę, wyprowadzoną drżącą ze wzruszenia ręką: — „ja, Kiriłow, oświadczam, że dziś — października, wieczorem, o ósmej godzinie zabiłem studenta Szatowa, za zdradę, w parku, i za denuncjację o proklamacjach

i o Fiedi, który u nas obu, w domu Filipowa, mieszkał i nocował przez dziesięć dni. Odbieram sobie dziś życie strzałem z rewolweru nie dlatego, abym czuł skruchę, lub bał się, lecz dlatego, że jeszcze zagranicą powziąłem zamiar odebrania sobie życia".

— Tylko tyle? — zawołał Kiriłow ze zdziwieniem i oburzeniem.

— Ani słowa więcej! — krzyczał Piotr Stepanowicz, starając się schwycić arkusz.

— Poczekaj! — Kiriłow mocno oparł dłoń na papierze. — Poczekaj! To głupstwa! Chcę napisać, z kim zabijałem. Poco tu Fiedia. A pożar? Chcę o wszystkiem... i chcę naurągać tonem, tak, tonem.

— Dosyć, Kiriłow, zapewniam pana, że dosyć! — błagał Piotr Stepanowicz w obawie, że Kiriłow podrze arkusz. — Na to, aby uwierzyli, trzeba pisać niewyraźnie, właśnie tak, półsłówkami. Trzeba pokazać tylko koniuszek prawdy. Akurat tyle, aby ich rozdroczyć. Dokłamią sami więcej, niż mybyśmy potrafili, a potem sami sobie uwierzą więcej, niż nam. A tak właśnie będzie najlepiej. Dawaj pan! Jest już doskonale! Dawaj pan, dawaj!

Wciąż usiłował odebrać papier. Kiriłow, wytrzeszczywszy oczy, słuchał i usiłował zrozumieć, lecz zdaje się, że już rozumieć przestawał.

— Do djabła! — obruszył się Wierchowieński. — Przecież on jeszcze nie podpisał! Cóżeś pan oczy wytrzeszczył? Złóż pan podpis!

— Chcę nawymyślać... — wybełkotał Kiriłow; wziął jednak pióro i podpisał. — Chciałbym złajać.

— Podpisz pan: *Vive la république*, i koniec.

— Brawo! — zawołał Kiriłow, zachwycony. — *Vive la république démocratique, sociale et universelle, ou la mort!*... Nie, nie tak. *Liberté, égalité, fraternité ou la mort!* Tak lepiej, tak lepiej! — Z rozkoszą wypisał to na arkusiku pod podpisem.

— Dosyć już, dosyć! — powtarzał Wierchowieński.

— Poczekaj, jeszcze chwila... Wiesz, podpiszę jeszcze raz po francusku: „*de Kiriloff, gentilhomme russe et*

citoyen du monde". Cha-cha-cha! — wybuchnął śmiechem. — Nie, nie, poczekaj, znalazłem coś lepszego, *heureka! Gentilhomme-séminariste russe et citoyen du monde civilisé!* Tak będzie najlepiej!

Zerwał się z kanapy. Szybkim ruchem porwał z okna rewolwer, wybiegł z nim do drugiego pokoju i szczelnie zamknął za sobą drzwi.

Piotr Stepanowicz stał przez chwilę w zadumie, wpatrzony w drzwi.

„Jeżeli zaraz, to może wystrzeli. A jak zacznie myśleć, to nic z tego nie będzie".

Wziął tymczasem papier, usiadł i zaczął odczytywać. Redakcja zadawalała go całkowicie.

„O co tu chodzi? Chodzi o to, by na krótki przeciąg czasu zamydlić im oczy i zbić z tropu. Park? W mieście niema parku. Domyślą się, że to w Skworesznikach. Zanim się domyślą, upłynie trochę czasu. Zaczną szukać — znów czas upływa. Znajdą trupa — to znaczy, że wszystko prawda, więc i o Fiedi. A Fiedia? Fiedia — to pożar, to morderstwo Lebiadkina i jego siostry; więc stąd, z domu Filipowa, prowadzą wszystkie nici. A oni tam nic nie wiedzieli. A oni tam przeoczyli. Naprawdę, zakręci się im w głowach! O „naszych" nawet mowy nie będzie. Szatow i Kiriłow, i Fiedia i Lebiadkin. A poco oni się wzajem pomordowali— będzie to prawdziwa zagadka. Lecz jakoś nie słychać strzału!"

Niby to czytał i zachwycał się redakcją, lecz bez przerwy wsłuchiwał się niespokojnie. Stracił wreszcie cierpliwość. Spojrzał nerwowo na zegarek, było już późno. Tamten wyszedł dziesięć minut temu. Wziąwszy świecę Wierchowieński poszedł ku drzwiom pokoju, w którym zamknął się Kiriłow. Już przy drzwiach zauważył, że świeca się dopala, i zgaśnie za jakie dwadzieścia minut. Innej niema. Dotknął klamki i wsłuchiwał się uważnie, nie słysząc najmniejszego dźwięku. Otworzył znienacka drzwi i podniósł świecę. Coś zawyło w pokoju i cisnęło się ku niemu. Wierchowieński gwałtownie zatrzasnął drzwi i mocno je trzymał. Lecz znów zapanowało grobowe milczenie.

Długo stał w niepewności ze świecą w ręku. W chwili,

gdy otwierał drzwi, niewiele mógł zobaczyć. Jednakże mignęła mu twarz Kiriłowa, który stał wgłębi pokoju, przy oknie, i ta zwierzęca wściekłość, z jaką się na niego rzucił. Piotr Stepanowicz drgnął, postawił świecę na stole, ujął rewolwer i dobiegł na palcach do drugiego końca pokoju. Stanął tak, że gdyby Kiriłow otworzył drzwi i rzucił się z rewolwerem do stołu, zdążyłby wycelować i spuścić cyngiel wcześniej, niż Kiriłow.

Już przestał wierzyć w możliwość samobójstwa. Po głowie latały mu najrozmaitsze myśli.

„Stał pośrodku pokoju i myślał. A pokój ciemny, ponury... zaryczał i rzucił się na mnie... Tu są dwie możliwości: albo przeszkodziłem mu właśnie w stanowczej chwili, gdy miał już spuścić cyngiel, albo też... stał i rozmyślał, jakby to mnie zabić, dlatego że zabiję go, jeżeli sam stchórzy. To znaczy, że musi zabić mnie pierwej, nim ja zdążę zabić jego... Tak! Napewno o tem myślał... On wie, że nie wyjdę. A tam taka cisza! Aż strach! Raptem otworzy drzwi. To podle, że on wierzy w Boga więcej, niż pop... Za nic nie zastrzeli siebie! Namnożyło się dziś takich, którzy „doszli własnym rozumem"... świnie! ale świeca, świeca! Dopali się napewno za kwadrans... Trzeba z tem skończyć... Trzeba skończyć za wszelką cenę... Cóż? Teraz można już zabić go. Można go potem tak ułożyć na podłodze z wyładowanym rewolwerem w ręku, że nikt się na tem nie pozna... Ten papier odsunie ode mnie wszelkie podejrzenie... Do djabła! Ale jak go zabić? Otworzę, a on znów rzuci się na mnie i wystrzeli wcześniej, niż ja. Lecz napewno chybi...

Tak się dręczył Piotr Stepanowicz, drżąc cały wobec niepewności sprawy i wobec własnego niezdecydowania. Wziął wreszcie świecę i znów podszedł do drzwi, trzymając w ręku rewolwer na pogotowiu. Lewą ręką, w której trzymał świecę, nacisnął klamkę. Wyszło to niezgrabnie. Klamka zgrzytnęła i cisza została zamącona. „Zaraz wystrzeli!" pomyślał Piotr Stepanowicz. Pchnął w całej siły drzwi nogą, podniósł świecę i wystawił rewolwer. Nie było jednak ani krzyku, ani strzału. Pokój był pusty.

Wierchowieński drgnął. Z pokoju nie było innego wyjścia. Ucieczka była niemożliwa. Podniósł świecę jeszcze

wyżej i wpatrzył się uważnie. Nikogo nie było widać. Zawołał półgłosem na Kiriłowa, potem drugi raz głośniej. Nikt nie odzywał się.

— Czyżby uciekł przez okno?

Istotnie w jednem z okien lufcik był otwarty. „Głupstwo, przecież nie mógł uciec przez lufcik". Przeszedł przez cały pokój aż do okna. „Oczywiście nie mógł". Raptem odwrócił się szybko. Uderzył go widok niezwykły.

Przy ścianie, przeciwległej oknu, na prawo od drzwi, stała szafa. Z prawej strony szafy, w kąciku, znajdującym się między szafą a ścianą stał Kiriłow. Stał jakoś dziwacznie. Nieruchomy, wyciągnięty, ze spuszczonemi rękami, głową podniesioną i przytuloną do ściany. Stał w samym kącie, chcąc widocznie ukryć się, stać się niewidzialnym. Nie wątpliwie schował się, chociaż wyglądało to nieprawdopodobnie. Piotr Stepanowicz stał naukos od tego kąta i mógł widzieć tylko wysunięte zarysy postaci. Nie odważał się wciąż przesunąć się na lewo, skąd mógłby obejrzeć całego Kiriłowa i zrozumieć zagadkę. Serce tłukło mu gwałtownie w piersiach... Raptem ogarnęła go wściekłość. Zerwał się z miejsca, krzyknął, zaczął tupać nogami i gwałtownie rzucił się ku strasznemu mejscu.

Nie dochodząc, znów stanął jak wryty; przeszyło go jeszcze gorsze przerażenie. Uderzyło go to przedewszystkiem, że pomimo jego krzyku i rozpędu, postać nie ruszyła się, nie drgnęła nawet, nie drgnęła żadnym członkiem — jak figura kamienna lub z wosku. Bladość twarzy była niezwykła, czarne oczy — nieruchomo wpatrzone w jakiś punkt przestrzeni. Piotr Stepanowicz przeprowadził świecą zgóry do dołu i znowu zdołu do góry, oświetlając ze wszystkich stron i oglądając tę twarz. Zauważył, że Kiriłow, patrząc gdzieś w przestrzeń, jednakże widzi go i może nawet obserwuje zukosa. Przyszła mu do głowy myśl, aby podsunąć ogień wprost do twarzy „tego łajdaka", podpalić i zobaczyć, co tamten zrobi. Wtem wydało mu się, że podbródek Kiriłowa drgnął, a na ustach jego ukazał się uśmiech pogardliwy, jakgdyby zgadł myśl Wierchowieńskiego. Piotr Stepanowicz zatrząsł się, i, jak nieprzytomny, schwycił mocno Kiriłowa za ramię.

Potem stało się coś tak potwornego a szybkiego, że Piotr Stepanowicz nie mógł potem zupełnie odtworzyć w pamięci całej sceny. Ledwo dotknął Kiriłowa, gdy ten szybko schylił głowę i głową wytrącił świecę z rąk. Lichtarz z hałasem upadł na podłogę i świeca zgasła. W tej chwili Wierchowieński poczuł gwałtowny ból w małym palcu lewej ręki. Krzyknął i już nie wiedząc, co robi, zaczął tłuc rewolwerem po głowie Kiriłowa, który wczepił się w niego i ściskał mu palec zębami. Wyrwał nareszcie palec i na złamanie karku zaczął uciekać, szukając drogi poomacku. A za nim leciały z pokoju straszliwe okrzyki:

— Zaraz, zaraz, zaraz, zaraz!...

Tak z dziesięć razy. Lecz Wierchowieński biegł. Już był na ganku, gdy rozległ się głośny strzał. Wtedy dopiero zatrzymał się i zaczął obmyślać sytuację. Stał tak pociemku około pięciu minut. Wreszcie powrócił znów do mieszkania. Trzeba było jednak zdobyć świecę. Wystarczyło odszukać na podłodze koło szafy wytrącony mu z rąk lichtarz. Lecz czem zapalić świecę? Tu przemknęło mu przez głowę drobne wspomnienie. Przypomniał sobie, że wczoraj, gdy zbiegł do kuchni, aby zwymyślać Fiedię, wpadło mu w oczy w kącie, na półce, duże, czerwone pudełko zapałek. Poomacku skierował się na lewo, do drzwi kuchennych, odszukał je, przeszedł przez przedsionek i doszedł po schodach do kuchni. Na półce, w tem samem miejscu, które zamajaczyło mu w pamięci, natrafił palcami na nierozpoczęte jeszcze pudełko zapałek. Nie zapalając ognia, wrócił natychmiast na górę. Dopiero przy szafie, tam gdzie bił rewolwerem po głowie kąsającego go Kiriłowa, przypomniał sobie o ukąszonym palcu i uczuł natychmiast nieznośny ból. Zacisnął zęby, zapalił świecę, wstawił ją do lichtarza i rozejrzał się naokoło. Przy oknie z otwartym lufcikiem, nogami do prawego kąta pokoju, leżało ciało Kiriłowa. Strzał był wymierzony w prawą skroń, a kula wyszła wyżej, z lewej strony, przebiwszy czaszkę. Widać było naokoło krew i strzępy mózgu. Rewolwer pozostał w leżącej na ziemi ręce samobójcy. Śmierć widocznie nastąpiła momentalnie. Obejrzawszy wszystko najuważniej, Piotr Stepanowicz wyszedł na palcach, przymknął drzwi, zostawił świecę na stole w pierw-

szym pokoju i, po namyśle, nie zgasił jej, widząc, że nie może wywołać pożaru. Spojrzał raz jeszcze na dokument, leżący na stole, uśmiechnął się bezwiednie i potem już znowu na palcach (niewiadomo dlaczego) wyszedł z domu. Przelazł znów przez dziurę w płocie i uważnie zasunął ją za sobą.

III.

O szóstej godzinie bez dziesięciu minut, na dworcu kolejowym, wzdłuż wyciągniętego dość długiego szeregu wagonów, spacerował Piotr Stepanowicz z Erklem. Wierchowieński odjeżdżał, a Erkel odprowadzał go. Bagaż oddano, ręczny pakunek odniesiono do wagonu drugiej klasy, na wybrane miejsce. Już było po pierwszym dzwonku. Oczekiwano drugiego. Piotr Stepanowicz rozglądał się naokoło, przypatrując się wchodzącym do wagonów pasażerom. Bliższych znajomych nie było; wypadło tylko dwa razy skinąć głową: raz jakiemuś kupcowi, ledwo znajomemu, potem młodemu proboszczowi wiejskiemu, który wracał do swojej parafji, odległej o parę stacyj. Erkel chciał najwidoczniej pomówić w ostatniej chwili o czemś ważnem, — może sam nie wiedział o czem; lecz bał się rozpocząć rozmowy. Miał wrażenie, że ciąży Piotrowi Stepanowiczowi, który niecierpliwie oczekuje drugiego dzwonka.

— Pan patrzy na wszystkich tak śmiało, — odezwał się lękliwie, jakgdyby chciał ostrzec.

— A o cóż chodzi? Jeszcze nie wolno ukrywać się. Za wcześnie. Nie bój się pan. Obawiam się tylko, aby nie przyniosło tu licho Liputina; gotów przewąchać i przybiec.

— Piotrze Stepanowiczu! Na nich liczyć nie można, — stanowczo oznajmił Erkel.

— Na Liputina?

— Na wszystkich, Piotrze Stepanowiczu.

— Głupstwo. Teraz wszyscy związani są wczorajszem. Nie zdradzi nikt. Któżby poszedł na pewną zgubę, nie tracąc zdrowych zmysłów.

— Piotrze Stepanowiczu! Oni potracą zdrowe zmysły.

Ta myśl najwidoczniej nie była już obca Piotrowi

Stepanowiczowi, tem bardziej więc rozgniewała go uwaga Erkla.

— Może i pan stchórzył? Najwięcej na pana liczyłem. Wiem teraz, co wart jest każdy. Proszę pana wszystko im dziś osobiście zakomunikować. Polecam ich pańskiej pieczy. Niech pan od rana obiegnie ich. Piśmienną instrukcję moją odczytajcie razem jutro lub pojutrze, gdy tamci zdolni już będą do rozumienia. Wierz mi pan jednak, że będą zdolni już jutro, gdyż strasznie boją się i będą ulegli, jak wosk. Najważniejsze, abyś pan nie tracił otuchy.

— Ach, Piotrze Stepanowiczu, lepiejby było, gdybyś pan nie wyjeżdżał

— Przecież ja tylko na parę dni. Wkrótce powrócę.

— Piotrze Stepanowiczu, — ostrożnie, lecz stanowczo powiedział Erkel: — a jeżeli nawet wyjeżdża pan do Petersburga? Przecież ja rozumiem, że robi pan to tylko dla dobra sprawy.

— Zawsze wierzyłem w pana. Jeżeli domyśliłeś się pan, że jadę do Petersburga, to mogłeś pan zrozumieć, że wczoraj, w tamtej chwili nie mogłem im mówić o dalszym wyjeździe, aby ich nie straszyć. Widział pan sam, co to za ludzie. Lecz pan rozumie, że czynię to dla sprawy, dla głównej, najważniejszej sprawy, dla sprawy ogólnej, a nie dlatego, aby uciec, jak mógłby sądzić jakiś Liputin.

— Piotrze Stepanowiczu! A gdyby nawet zagranicę? Przecież ja rozumiem, że musi pan strzec siebie, gdyż pan jest wszystkiem, a my — niczem. Rozumiem to, Piotrze Stepanowiczu.

Głos mu drżał ze wzruszenia.

— Dziękuję panu... Aj, przycisnął mi pan chory palec... (Erkel nieostrożnie uścisnął mu rękę; chory palec był obwiązany czarnym bandażem). — Lecz stanowczo powtarzam panu, że jadę do Petersburga tylko na zwiady, może tylko na dobę, i powrócę tu. Po powrocie zamieszkam narazie na wsi u Gaganowa. Gdyby zagrażało im jakieś niebezpieczeństwo, zjawię się natychmiast, aby dzielić je z nimi. Gdybym zatrzymał się w Petersburgu, natychmiast zawiadomię pana — w wiadomy sposób — a pan już poinformuje ich.

Rozległ się drugi dzwonek.

— Ach, pięć minut mamy jeszcze do odejścia pociągu. Wiesz pan, nie chciałbym, aby rozsypała się grupa tutejsza. Nie o mnie tu chodzi; niech pan się o mnie nie boi. Tych węzłów sieci ogólnej mam poddostatkiem, i nie mam racji zbyt drożyć się z nimi; lecz żadna komórka nie zawadzi, każda przyda się. A zresztą jestem tu o was spokojny, chociaż zostawiam tu pana prawie samego z temi miernotami. Nie bój się pan. Nie zdradzą. Nie ośmielą się... Ach, i pan dziś jedzie? — zawołał innym już, wesołym głosem do jakiegoś młodzieniaszka, który podszedł, aby przywitać się z nim. — Nie wiedziałem, że i pan tym pociągiem. Dokąd? Do mamy?

Matka tego młodzieńca była bardzo bogatą ziemianką sąsiedniej gubernji. Sam on był dalekim krewnym Julji Michajłowny i spędził w naszem mieście około dwóch tygodni.

— Nie, jadę dalej, do R... Około ośmiu godzin wypadnie spędzić w wagonie. Pan do Petersburga? — zaśmiał się młodzieniec.

— Skąd pan przypuszcza, że mianowicie do Petersburga? — śmiejąc się także odpowiedział Piotr Stepanowicz.

Młodzieniec pogroził mu palcem w rękawiczce.

— Tak, tak, zgadłeś pan, — tajemniczo szepnął Piotr Stepanowicz. — Wiozę listy Julji Michajłowny i muszę tam odwiedzić szereg bardzo wysokich osobistości. Otwarcie mówiąc, nie bawi mnie to. Nudna robota!

— Powiedz mi pan, dlaczego ona tak się przelękła?— szeptał młodzieniec. — Przecież wczoraj nie puściła mnie nawet do siebie; sądzę, że nie powinna obawiać się o męża. Przeciwnie, tak bohatersko upadł na pożarze, ryzykując życiem...

— A cóż pan z nią zrobi? — śmiał się Piotr Stepanowicz. — Boi się naprzykład, że już stąd ktoś napisał... jakieś osobistości... Słowem, tu chodzi głównie o Stawrogina... I książę K. także... Ech, tu cała historja... Może panu opowiem w drodze to i owo w granicach, nakazanych przez dyskrecję... To mój krewny, chorąży Erkel, z naszego powiatu.

Młodzieniec, który dotychczas spoglądał zukosa na Erkla, dotknął brzegu kapelusza. Erkel ukłonił się.

— Wie pan, że to nuda śmiertelna wysiedzieć osiem godzin w wagonie. Tu ze mną w pierwszej klasie jedzie niejaki Berestow, bardzo zabawny pułkownik, sąsiad ze wsi: ożeniony z Garinową *(née de Garine)*, i bardzo porządny człowiek. Ma nawet jakieś tam idee. Możebyśmy zorganizowali? Czwartego już mam na widoku. — Prypuchłow, kupiec brodaty z T., miljoner, ale to prawdziwy miljoner, mówię panu... Zaznajomię was. To arcyciekawy worek pieniężny. Ubawimy się doskonale.

— Co do jerełasza, to najchętniej. Lubię, zwłaszcza w wagonie. Lecz chodzi o to, że siedzę w drugiej klasie.

— To głupstwo! Siadaj pan z nami. Każę zaraz przenieść rzeczy pańskie do pierwszej klasy. Oberkonduktor słucha tu mnie. Co pan tam ma? Pled? Sak?

— Doskonale! idziemy!

Piotr Stepanowicz schwycił rzeczy swoje i z nadzwyczajną gotowością przeniósł się do pierwszej klasy. Pomagał mu Erkel. Rozległ się trzeci dzwonek. Piotr Stepanowicz wyciągnął do Erkla rękę przez okno wagonu i odezwał się tonem człowieka, który się śpieszy.

— No, Erkel! Widzi pan! Przecież siadam z nimi do kart.

— Poco pan mi tłumaczy, Piotrze Stepanowiczu? Ja rozumiem, ja sam wszystko mogę zrozumieć!

— No, do widzenia.

Odwrócił się na wołanie towarzysza podróży, który chciał przedstawić go sąsiadom.

I Erkel nie zobaczył już więcej Piotra Stepanowicza. Smutny powrócił do domu. Nietyle nawet bał się, że Piotr Stepanowicz tak gwałtownie ich wszystkich opuścił, ile dręczyło go, że tak prędko odwrócił się przed chwilą na wołanie jakiegoś młokosa. A mógł przecie powiedzieć na pożegnanie coś innego, niż to banalne „do widzenia"... mógł zresztą chociażby mocniej uścisnąć mu dłoń.

To ostatnie było najważniejsze. Coś nowego zaczynało dręczyć biedne, drobne serduszko Erkla. Coś takiego, co

się dziwnie wiązało z tragedją wczorajszego wieczora. Erkel sam jeszcze tego nie rozumiał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

OSTATNIA WĘDRÓWKA STEPANA TROFIMOWICZA.

I.

Jestem przekonany, że Stepan Trofimowicz bał się serdecznie, gdy czuł zbliżanie się terminu jego szalonego przedsięwzięcia. Musiał cierpieć ze strachu, zwłaszcza w ostatnią noc, w tę straszną noc. Opowiadała mi potem Nastasja, że położył się późno i spał. Niczego to nie dowodzi. Skazani na śmierć, śpią podobno bardzo mocno w noc przed egzekucją. Chociaż wyszedł już po wschodzie słońca, gdy każdy człowiek nerwowy czuje przypływ energji (a ów major, krewny Wirgińskiego, przestawał nawet w Boga wierzyć, gdy noc minęła), lecz pewien jestem, że nigdy przedtem nie mógłby bez przerażenia wyobrazić siebie na szerokiej drodze, samego, w takim stanie. Oczywiście, że szaleństwo decyzji osłabiało narazie to straszne wrażenie samotności, które opanowało go, gdy porzucił swoją *Stasie* i zdawna wygrzane gniazdko. Wszystko jedno! Gdyby nawet najwyraźniej widział całą grozę oczekujących go przejść, wyszedłby pomimo to na szeroką drogę. Było w tem coś dumnego! Było w tem, bądź co bądź, samoupojenie! O, mógł przecież przyjąć dogodne warunki Barbary Piotrowny i pozostać na jej łasce „jak zwykły rezydent". Nie przyjął jednak łaski i nie pozostał! Teraz sam ją opuszcza i wznosi „sztandar wielkiej idei". Idzie szukać śmierci na szerokiej drodze. Tak mu się w głowie roiło. W takich barwach widział czyn własny.

Nieraz zastanawiałem się, dlaczego właśnie poszedł na własnych nogach, zamiast poprostu wyjechać. Narazie tłumaczyłem to sobie jego półwiekową niepraktycznością i fantazyjnym biegiem myśli, działającej pod wpływem sil-

nego wzruszenia. Sądziłem, że myśl o papierach podróżnych i o koniach (nawet z dzwoneczkami) mogła mu się wydawać zbyt prostą i prozaiczną. Przeciwnie — piesza pielgrzymka, nawet z parasolem w ręku, była piękna i mściwa. Teraz jednak, gdy już wszystko należy do przeszłości, dochodzę do wniosku, że te sprawy wyglądały znacznie prościej. Stepan Trofimowicz bał się poprostu wynajmować konie, gdyż Barbara Piotrowna mogłaby zwęszyć i zatrzymać go przemocą, co uczyniłaby napewno, a on napewnoby uległ. Po drugie, na to, aby wziąć dokumenty podróżne, trzeba było wiedzieć, dokąd się jedzie. Wiedzieć zaś o tem byłoby mu w tej chwili najtrudniej. Za nicby nie potrafił określić i wskazać miejsca. Gdyby zdecydował się na jakiekolwiek miasto, natychmiast cała pielgrzymka wydałaby się jemu samemu i niemożliwą i bezsensowną. Cóż będzie robił w owem mieście, i dlaczego nie w jakiemkolwiek innem? Szukać *ce marchand?* Lecz jakiego *marchand?* Tu natychmiast wyłaniała się nowa i najstraszliwsza kwestja. Nie było dlań rzeczy potworniejszej, niż ów kupiec, którego ma on szukać, a którego w istocie najwięcej bał się znaleźć. Nie, już lepiej wyjść na szeroką drogę i iść nie myśląc o niczem, póki można będzie o niczem nie myśleć. Szeroka droga — to coś długiego, długiego, i nie widać końca. Jak życie ludzkie, jak ludzka tęsknota. W szerokiej drodze jest idea, a jakaż idea w dokumentach podróżnych? W nich—koniec idei... *Vive la grande route*, a reszta w ręku Boga.

Po niespodziewanem spotkaniu z Lizą, o którem już mówiłem, puścił się dalej, coraz mniej świadomy swych kroków. Droga szła o pół wiorsty od Skworeszników, lecz ani zauważył, jak wkroczył na trakt. Nie był w stanie zastanawiać się i zdawać sobie ze wszystkiego sprawy. Deszczyk chwilami przestawał kropić, a potem znów padał. Stepan Trofimowicz nie czuł nawet deszczu. Nie zauważył nawet jak zarzucił sobie worek na plecy, co mu znacznie ulżyło. Przeszedł tak wiorstę, czy półtorej, gdy zatrzymał się i spojrzał przed siebie. Stara, czarna, pożłobiona od kół droga, wysadzona wierzbami, ciągnęła się przed nim jak sznur bez końca. Z lewej — krzaki, a za krzakami lasek. A daleko, daleko, ledwo dostrzegalna linja toru kolejowego, przecho-

dząca naukos, a na niej dymek jakiegoś pociągu. Dźwięki tu żadne nie dochodziły. Stepan Trofimowicz poczuł strach, lecz tylko na chwilę. Westchnął, umieścił pod wierzbą swój worek i usiadł, aby odpocząć. Poczuł w tej chwili ziąb i owinął się w pled. Zauważył deszcz — i rozpiął parasol. Gorączkowe szeregi widm niosły się przed nim, zmienne i nieuchwytne... „*Lise, Lise*,—myślał—a z nią ten *Maurice*... dziwni ludzie... Co to za pożar o którym oni mówili?... i kto to zabity? Myślę, że *Stasie* jeszcze nie zdążyła się opatrzeć i czeka na mnie z kawą... W karty? Czyż przegrywałem w karty ludzi? Ha! U nas w Rosji, za czasów pańszczyźnianych, bywało i to... Ach, mój Boże, a Fiedia?"

Zadrżał ze strachu i rozejrzał się.

— A co, jeśli gdzieś tu za krzakami siedzi ten Fiedia? Przecież mówią, że on ma tu całą bandę opryszków! Boże! Przecież ja wtedy... Ale powiem mu całą prawdę, przyznam się do winy, i powiem że z jego powodu cierpiałem o dziesięć lat dłużej, niż on tam w wojsku. I oddam mu portmonetkę. Hm! *j'ai en tout quarante roubles. Il prendra les roubles et il me tuera tout de même.*

Ze strachu niewiadomo dlaczego zamknął parasol i wsunął pod siebie. Zdala, od miasta ukazał się wóz. Stepan Trofimowicz wpatrywał się niespokojnie.

„*Grace à Dieu* — to wóz. Jedzie stępa. To nie może być niebezpieczne. Miejscowe, wymęczone koniki... zawsze mówiłem o rasie... Nie, to Piotr Iljicz mówił w klubie o rasie, a ja go wtedy tylko ograłem. *Et puis*... lecz co to tam ztyłu? Zdaje się, że to baba siedzi na wozie. Baba i chłop. *Cela commence à être rassurant.* Baba ztyłu, a chłop zprzodu. — *C'est très rassurant.* Ztyłu do wozu przywiązana za rogi krowa — *c'est rassurant au plus haut degré*".

Wóz zrównał się z nim. Był to dość porządny i mocny zaprząg włościański. Baba siedziała na wypchanym worku, a chłop na drabinie, z nogami wyciągniętemi w stronę Stepana Trofimowicza. Ztyłu wlokła się ruda krowa, przywiązana za rogi. Chłop i baba wytrzeszczyli oczy na Stepana Trofimowicza, a on na ich. Gdy wyminęli go o jakie dwadzieścia kroków, szybko zerwał się i zaczął ich doganiać. Wydawało mu się jakoś pewniej i bezpieczniej iść obok

wozu. Gdy już dopędził, znowu zapomniał o wszystkiem i osaczyły go jakieś urywki myśli i wyobrażeń. Kroczył obok wozu i nie dostrzegał nawet, że sam stanowi dla chłopa i baby najciekawszy, najbardziej zagadkowy przedmiot, jaki można spotkać na drodze.

— A wy z jakich będziecie, jeżeli nie grzech zapytać? — nie wytrzymała wreszcie babina w chwili, gdy Stepan Trofimowicz roztargnionym wzrokiem spojrzał na nią.

Babina mogła mieć około dwudziestu siedmiu lat. Była zażywna, czarnobrewa, rumiana. Czerwone jej usta, z poza których lśniły białe, równe zęby, łagodnie się uśmiechały.

Stepan Trofimowicz zapytał ze smutnem zdziwieniem.

— Pani... do mnie się zwraca?

— Musi być z kupców, — z pewnością siebie odezwał się chłop.

Był to mężczyzna czterdziestoletni, o otwartej i niegłupiej twarzy, z szeroką, rudawą brodą.

— Nie, nie z kupców jestem, ja... *moi c'est autre chose*, — jakoś tam reagował Stepan Trofimowicz i na wszelki wypadek cofnął się odrobinę, tak że szedł już nie obok wozu, lecz obok krowy.

— Musi być z panów, — orzekł chłop, posłyszawszy nierosyjskie słowa, i cmoknął na konia.

Babina nie dawała za wygraną.

— Toż to widzimy, że niby na spacer pan wyszedł.

— Czy... Czy pani do mnie mówi?

— Cudzoziemcy czasem przyjeżdżają do nas pociągiem, a u pana buty nietutejsze.

— Buty wojskowe, — odezwał się chłop, zadowolony z siebie.

— Nie, nie jestem wojskowy.

Stepan Trofimowicz gniewał się w duszy. „Ciekawa jakaś baba... Czemu oni mnie tak oglądają? *Mais enfin*... Słowem, to dziwne. Jakgdybym zawinił wobec nich... A ja wobec nich nie zawiniłem"...

Baba poszeptała z chłopem.

— Możebyście podsiedli, jak nie obraza. Podwieziemy...

Stepan Trofimowicz natychmiast się zgodził.

— Tak, tak, moi drodzy, z przyjemnością, bo bardzo się zmęczyłem, ale jak ja tam się wydrapię?

„To dziwne" — pomyślał: „tak długo szedłem obok krowy i nie przyszło mi na myśl poprosić ich o podwiezienie mnie... To życie realne ma w sobie coś bardzo charakterystycznego".

Chłopek jednak nie zatrzymywał konia.

— A wam dokąd? — zapytał nieco nieufnie.

Stefan Trofimowicz narazie nie zrozumiał pytania.

— Pewnikiem do Chatowa.

— Do Chatowa? Niezupełnie do Chatowa. Nie wiem nawet. Coś słyszałem.

— Wieś Chatowo. Taka wieś. Dziewięć wiorst drogi.

— Wieś? *C'est charmant*... Tak, tak, słyszałem.

Stepan Trofimowicz szedł wciąż piechotą. Nie sadzano go. Błysnął mu w głowie genjalny pomysł.

— Wy może myślicie, że ja... to znaczy, jak chcecie, nauczycielem, ale głównym. Ja jestem głównym nauczycielem. *Oui, c'est comme ca qu'on peut traduire.* Jabym bardzo chciał przysiąść się. Kupię wam za to... kupię wam pół butelki wódki.

— Pół rubla pan da. Droga ciężka.

— Pół rubla? Dobrze, pół rubla. *C'est encore mieux, j'ai en tout quarante roubles, mais...*

Chłop zatrzymał konia, i wspólnym wysiłkiem Stepan Trofimowicz wciągnięty został na wóz i usadowiony obok babiny na worku. Zwichrzone myśli nie opuszczały go. Chwilami sam się spostrzegał, że jest strasznie roztargniony i myśli nie o tem, o czem należy. Dziwiło go to. Świadomość chorobliwej niemocy umysłowej stawała się ciężka i bolesna.

— To... dlaczego ztyłu krowa?

— Kupiło się w mieście, — wtrącił chłop. — Własne bydlę zdechło na wiosnę. Zaraza była. Wszystko padało naokół, połowy nie zostało, choć płacz!

Trącił batem konika, który zastrzągł w błocie.

— Tak, tak. To bywa u nas w Rosji... i wogóle my, Rosjanie... tak, tak, bywa... — bąkał Stepan Trofimowicz, lecz nie dokończył swej myśli.

— A wy, jak nauczycielem jesteście, to poco wam do Chatowa? Chyba dalej?

— Ja? Nie... nie powiem, żeby dalej... *C'est à dire*, ja do jednego kupca.

— To niby do Spasowa?

— Tak, tak, do Spasowa. Zresztą wszystko jedno.

— Wam, panie, do Spasowa, w takich butach tydzień iść, — śmiała się baba.

— Tak, tak, to wszystko jedno, *mes amis*, wszystko, jedno, — niecierpliwie przerwał jej Stepan Trofimowicz.

„Dziwnie ciekawi ludzie", — myślał. — „Baba lepiej mówi od niego. Uważam wogóle że po 19-tym lutego chłopi zmienili nawet styl... lecz co im do tego, czy ja jadę do Spasowa, czy nie do Spasowa? Zapłacę im, więc czego czepiają się?"

— Jak do Spasowa, to na statku, — nie dawał za wygraną chłop.

Babina wtrąciła się z ożywieniem.

— A jakże inaczej? Jak końmi po brzegu, to będzie haku ze trzydzieści wiorst.

— Będzie i czterdzieści.

— Jutro o drugiej akuratnie zastaniecie, panie, statek w Ustjewie, — dodała kobieta.

Stepan Trofimowicz milczał uporczywie. Zamilkli wreszcie i jego towarzysze podróży. Chłop szarpał lejce, a baba od czasu do czasu przerzucała się z nim oderwanemi zdaniami. Stepan Trofimowicz począł drzemać. Zdziwił się bardzo, gdy baba śmiejąc się, zaczęła go tarmosić, i zobaczył siebie w środku dość dużej wsi przed chatą o trzech oknach.

— Spało się wam, panie?

— Co to? Gdzie to ja jestem? Ach, mniejsza o to, — westchnął Stepan Trofimowicz i zwlókł się z wozu.

Smutnie rozglądał się. Widok wsi wydawał mu się dziwnym i straszliwie obcym. Wtem zwrócił się do chłopa z jakimś niespokojnym gestem.

— Ach, prawda! — Zapomniałem zapłacić pół rubla.

Już żal mu było rozstawać się z tymi ludźmi.

— Rozliczycie się, panie, w izbie, — mówił chłop i zapraszał do wejścia.

— Tutaj dobrze, — namawiała babina.

Stepan Trofimowicz wstąpił na ganeczek o chwiejącej się podłodze.

„Czyż to możliwe", — szeptał w głębokiem i trwożnem zdumieniu, lecz wszedł do izby. — „*Elle l'à voulu*".

Poczuł jakieś ostrze, wrzynające mu się w serce. I znów na chwilę zapomniał o wszystkiem, nawet o tem, że wszedł do chaty.

Była to jasna, dość czysta chata chłopska, o trzech oknach i dwóch izbach. Nie był to zajazd, lecz zwykła chata, że jednak stała przy drodze, znajomi przejezdni przyzwyczaili się stawać przy niej.

Stepan Trofimowicz dość odważnie przeszedł do kąta izby, zapomniał wypowiedzieć słów pozdrowienia, usiadł i zamyślił się. Tymczasem zaś niesłychanie miłe uczucie ciepła po trzechgodzinnej wilgoci na drodze zaczęło rozlewać mu się po żyłach. Były mu przyjemne nawet dreszcze, biegające po plecach, jak zwykle u ludzi nerwowych i zziębniętych przy gwałtownej zmianie chłodu na ciepło. Podniósł głowę i węch jego został rozkosznie podrażniony cudownym zapachem gorących blinów, nad któremi porała się przy piecu gospodyni. Z dziecięcym uśmiechem skierował się do niej i zagadał.

— Co to? Bliny? *Mais c'est charmant...*

Gospodyni natychmiast najuprzejmiej zaproponowała:

— Chcecie, panie?

— Owszem, owszem, i poprosiłbym także o herbatę, — ożywiał się Stepan Trofimowicz.

— Nastawić samowar? Nastawimy, a jakże.

Na dużym wzorzystym talerzu zjawiły się bliny — znane chłopskie bliny, cieniutkie, półpszenne, zalane gorącem masłem, wyborne. Stepan Trofimowicz spróbował z rozkoszą.

— Takie tłuste i takie smaczne! I gdyby tak można jeszcze *un doigt d'eau de vie.*

— Czy nie wódeczki wam, panie?

— Tak, tak, odrobinę, *un tout petit rien...*

— Za wiele? Za dziesięć groszy?

— Za dziesięć, tak, tak, za dziesięć *un tout petit rien*, — potwierdzał Stepan Trofimowicz z uśmiechem, pełnym zachwytu.

Poproście prostego człowieka, aby coś zrobił dla was; jeżeli zechce, a będzie mógł, odda każdą przysługę starannie i szczerze; lecz poproście go, aby przyniósł wódki, a natychmiast normalna uprzejmość zamieni się w jakąś usłużność pośpieszną, radosną, nieomal w serdeczność braterską. Ten, który idzie po wódkę, chociaż sam nie będzie jej pił, i dobrze wie o tem, czuje zawsze jakąś cząstkę waszego zadowolenia... Szynk był o parę kroków, to też po paru minutach przed Stepanem Trofimowiczem stała buteleczka wódki i duży, zielonkawy kieliszek.

— To wszystko dla mnie? — zdziwił się niesłychanie. — Zawsze miałem u siebie wódkę, lecz nie wiedziałem, że za pięć kopiejek tak dużo.

— Ech, panie, nie widzieliście nigdy? — śmiała się kobieta.

Nalał kieliszek, wstał i uroczyście przeszedł przez izbę do przeciwległego kąta, gdzie rozlokowała się jego towarzyszka podróży, czarnobrewa kobiecina, która tak mu dokuczyła w drodze swoją ciekawością. Babina zawstydziła się i próbowała się wymówić, lecz wypowiedziawszy wszystko, co nakazywała przyzwoitość, wstała wreszcie, wypiła sumiennie, trzema łykami, jak zwykle kobiety, potem wyraziła na twarzy niesłychane cierpienie, oddała kieliszek i ukłoniła się Stepanowi Trofimowiczowi. Stepan Trofimowicz poważnie oddał ukłon i wrócił na swe dawne miejsce z dumą na twarzy.

Wykonał to wszystko pod wpływem jakiegoś natchnienia. Sam nie wiedział na chwilę przedtem, że pójdzie częstować babinę.

„Ja umiem świetnie obcować z ludem", — pomyślał, zadowolony z siebie: — „zawsze to mówiłem". Wypił pozostałą wódkę, i chociaż było już mniej, niż kieliszek, rozgrzał się, i nawet trochę uderzyło mu do głowy.

„*Je suis malade tout à fait, mais ce n'est pas trop mauvais d'être malade*".

Posłyszał obok siebie cichy głos kobiecy.

— Może pan coś kupi?

Podniósł oczy i ku wielkiemu zdziwieniu zobaczył koło siebie jakąś damę — *une dame et elle en avait l'air* — mniej więcej trzydziestoletnią, ubraną skromnie, lecz po miejsku, w ciemnej sukni i z dużą szarą chustką na plecach. W twarzy jej było coś miłego, co spodobało się odrazu Stepanowi Trofimowiczowi. Przed chwilą wróciła do izby, w której zostawiła przedtem na ławce swoje rzeczy, obok miejsca, zajętego przez Stepana Trofimowicza. Między innemi był tam portfel, na który Stepan Trofimowicz, wchodząc do izby, zwrócił uwagę i bardzo duży ceratowy worek. Z worka tego wyciągnęła dwie książeczki w ładnej oprawie z wytłoczonemi krzyżami, i podała je Stepanowi Trofimowiczowi.

— *Eh... mais je crois que c'est l'Evangile;* z najmilszą chęcią... Ach, już rozumiem... *Vous êtes ce qu'on apelle...* sprzedawczyni ksiąg. Tak, wiem, słyszałem. Po pół rubla?

— Trzydzieści pięć kopiejek.

— Owszem, owszem, z przyjemnością. *Je n'ai rien contre l'Evangile, et...* Oddawna już chciałem przeczytać.

Błysnęło mu w głowie, że już przynajmniej od trzydziestu lat nie czytał Ewangelji i tylko przed siedmiu laty przypomniał sobie to i owo z Renanowskiego „Życia Chrystusa". Nie miał drobnych, więc wyciągnął z kieszeni wszystkie cztery papierki dziesięciorublowe: wszystko co miał. Gospodyni podjęła się zmienić. Teraz dopiero zauważył, że w izbie zgromadziło się dużo ludzi, że wszyscy obserwują go i mówią prawdopodobnie o nim. Była także mowa o pożarze w mieście, przyczem najwięcej miał do powiedzenia właściciel wozu i krowy, ponieważ powrócił z miasta. Podejrzewano robotników Szpigulinowskich o podpalenie.

Stepana Trofimowicza zastanowiła jedna rzecz.

„Dlaczego to on ze mną nie mówił o pożarze, gdy mnie wiózł? A przecież gadał o wszystkiem".

Wtem jeden z obecnych, człowiek już starszy, podobny z wyglądu do starego sługi, z ogoloną brodą, ubrany w palto z długim wykładanym kołnierzem, zawołał:

— Stepanie Trofimowiczu! Czy to wy, panie? Tom się nie spodziewał. Nie poznajecie mnie, panie?

Stepan Trofimowicz nawet się zląkł na dźwięk własnego imienia.

— Przepraszam, — powiedział, — nie przypominam sobie.

— Zapomnieliście, panie! Toż ja jestem Anisim, Anisim Iwanowicz. U nieboszczyka pana Gaganowa byłem na służbie, a was, panie, sto razy widziałem z Barbarą Piotrowną u nieboszczki Awdotji Siergiejewny. Do was, panie, posyłała mnie często z książkami, a i cukierki petersburskie dwa razy nosiłem.

Stepan Trofimowicz uśmiechnął się.

— Ach, tak, pamiętam. Ty mieszkasz tu?

— Koło Spasowa, przy klasztorze, na fermie, u Marji Siergiejewny, siostry nieboszczki, pani Awdotji Siergiejewny. Pamiętacie, panie? Nogę sobie złamała: wyskoczyła z powozu. Na bal jechała. Teraz przy klasztorze mieszka, a ja koło niej. A teraz jadę do miasta, krewnych zobaczyć.

— Tak, tak.

Anisim wciąż uśmiechał się radośnie.

— Zobaczyłem was, panie, i radość mnie wzięła. Ale gdzieżeście to się wybrali, samiuteńcy... Nigdy chyba nie wyjeżdżaliście sami.

Stepan Trofimowicz spojrzał na niego trwożnie.

— Czy czasem nie do Spasowa wam droga?

— Tak, tak, do Spasowa. *Il me semble que tout le monde va à Spasoff.*

— Czy nie do Fiodora Matwiejewicza? To się ucieszą! Tak zawsze poważali was, panie. I teraz często wspominają.

— Tak, tak, do Fiodora Matwiejewicza.

— Trzeba, trzeba. A tu ludzie się dziwią, że to was na trakcie znaleźli piechotą. Głupi ludzie.

— Ja, widzisz, Anisimie, ja... założyłem się, jak Anglicy, że pójdę piechotą.

Pot mu uderzył na twarz, ukazał się na skroniach.

Anisim przysłuchiwał się bezlitośnie. Lecz Stepan Trofimowicz już nie mógł dłużej znieść tej indagacji. Tak się wstydził, że chciał nawet wyjść z izby. Lecz zjawił się na stole samowar i powróciła sprzedawczyni ksiąg, która wy-

szła była z chaty. Ruchem człowieka, ratującego siebie, zwrócił się do niej i zaproponował jej szklankę herbaty. Anisim odszedł nabok.

Istotnie, chłopi byli mocno zdziwieni. „Co za człowiek? Znaleziono go na drodze piechotą, mówi, że jest nauczycielem, ubrany jak cudzoziemiec, a rozumu ma tyle, co małe dziecko; odpowiada nie do rzeczy, jakgdyby uciekł skądś, i ma pieniądze". Powstała nawet myśl zawiadomić władze, — „bo przy tem wszystkiem w mieście niespokojnie". Lecz Anisim usunął wszystkie wątpliwości. Wyszedłszy na ganek, oznajmił wszystkim, kto tylko chciał słuchać, że Stepan Trofimowicz to nie nauczyciel, lecz „największy uczony i zajmuje się mądremi naukami, sam z panów tutejszych a już dwadzieścia dwa lata mieszka u generałowej Stawroginej, jak pierwszy człowiek w domu, a w całem mieście ma takie poszanowanie, jak nikt. W klubie szlacheckim nawet po sto rubli w jeden wieczór zostawiał, a z rangi jest radcą, to znaczy to samo, co podpułkownik, tylko o jeden stopień młodszy od pułkownika. A że ma pieniądze, to miał ich zawsze bez liku od generałowej".

Tymczasem Stepan Trofimowicz odpoczywał po ataku Anisimowym, ciekawie przyglądając się sąsiadce, która piła herbatę ze spodka, odgryzając po kawałeczku cukru.

„*Mais c'est une dame et très comme il faut*" myślał. „*Ce petit morceau de sucre ce n'est rien...* Ma w sobie coś szlachetnego i niezależnego, a jednocześnie jest cicha. *Le comme il faut tout pur*, tylko w swoim rodzaju".

Dowiedział się wkrótce od niej, że nazywa się Zofja Matwiejewna Ulitina i mieszka właściwie w K., ma tam siostrę wdowę, z mieszczan. Sama także jest wdową, a mąż jej podporucznik, z wachmistrzów, zginął pod Sewastopolem.

— Lecz pani była wtedy bardzo młoda, *vous n'avez que trente ans?*

— Trzydzieści cztery, — odpowiedziała z uśmiechem.

— Jakto? Pani rozumie po francusku?

— Troszeczkę. Ja po śmierci męża mieszkałam cztery lata w bogatym domu i nauczyłam się od dzieci.

Opowiedziała, że zostawszy po śmierci męża osiemnastoletnią wdową, spędziła jakiś czas w Sewastopolu, jako

„siostra", a potem żyła w rozmaitych miejscach. Teraz chodzi i sprzedaje ewangelję.

— *Mais mon Dieu*, czy to nie z panią zaszła w mieście ta dziwna, bardzo dziwna historja.

Zawstydziła się. Widać było, że z nią.

— *Ces vauriens, ces malheureux!...* — zaczął głosem drżącym z oburzenia; bolesne a nienawistne wspomnienie niemile odezwało się w jego sercu.

Pogrążył się w rozmyślaniach. Zauważył po chwili, że znowu niema jej przy nim. „Znowu wyszła", — pomyślał: — „Wychodzi często i jest czemś zajęta. Uważam nawet, że jest zaniepokojona... *Bah, je deviens égoiste*"...

Podniósł oczy i znów zobaczył Anisima, teraz jednak w groźnem otoczeniu. Izba wypełniła się chłopami, których najwidoczniej, sprowadził Anisim. Był tu i gospodarz izby, i chłop z krową, i jeszcze dwaj chłopi, jak się okazało, furmani, jakiś półpijany człowieczyna, ubrany z chłopska, lecz ogolony, podobny do mieszczanina-pijanicy, niesłychanie wymowny. A wszyscy mówili o nim, o Stepanie Trofimowiczu. Chłop z krową upierał się przy swojem, dowodząc, że wzdłuż brzegu będzie ze czterdzieści wiorst dalej i że lepiej jechać statkiem. Półpijany mieszczanin i gospodarz izby namiętnie oponowali.

— To się widzi, że jak na statku, to przez jezioro im będzie bliżej. Tak to tak. A jak ten statek, w taki czas, zupełnie nie przyjdzie?

— Przyjdzie, przyjdzie, jeszcze tydzień będzie chodził, — gorączkował się najszczerzej Anisim.

— Tak to tak! Ale nieakuratnie chodzi. Jak czasem, że to jesienna pora, to w Ustjewie naród czeka i po trzy dni.

— Będzie jutro. Jutro akuratnie o drugiej. Przyjedziecie, panie, do Spasowa, jeszcze na wieczór, — perorował Anisim.

Stepan Trofimowicz drżał, oczekując swego losu.

— *Mais qu'est ce qu'il a, cet homme?* — dziwił się.

Wystąpili naprzód woźnicowie. Zaczęli się umawiać. Żądali trzech rubli do Ustjewa. Inni obecni zaczęli dowodzić, że to po Bożemu, że taka tu cena, że całe lato za te same pieniądze wozili stąd do Ustjewa.

Stepan Trofimowicz zaczął bąkać.

— Ależ... i tu dobrze... Ja nie chcę...

— Sprawiedliwie mówicie, panie. W Spasowie teraz ach jak dobrze! I Fiodor Matwiejewicz duszę uraduje.

— *Mon Dieu, mes amis*, wszystko to jest dla mnie taką niespodzianką.

Wróciła wreszcie Zofja Matwiejewna. Usiadła na ławce smutna i przygnębiona. Odezwała się do gospodyni.

— Nie sądzono mi do Spasowa!

— Jakto? To i pani do Spasowa? — drgnął Stepan Trofimowicz.

Okazało się, że pewna ziemianka, Nadieżda Jegorowna Swietlinowa, kazała jej czekać tu w Chatowie i obiecała podwieźć ją do Spasowa, lecz jakoś nie przyjeżdża.

— Co ja teraz poczne? — powtarzała Zofja Matwiejewna.

— *Mais ma chère et nouvelle amie*, przecież i ja mogę podwieźć panią do tej wsi, jak tam się ona nazywa, do której nająłem konie, a jutro, jutro — pojedziemy razem do Spasowa.

— Czyż pan także do Spasowa?

— *Mais que faire, et je suis enchanté*... Z największą radością podwiozę panią. Ja już nająłem. Którego to z was ja nająłem?

Zechciało mu się gwałtownie do Spasowa.

Za kwadrans wsiadali już do krytej bryki. On — niesłychanie ożywiony i zadowolony, ona — obok niego ze swoim workiem i z wdzięcznym uśmiechem na twarzy. Anisim podsadzał i czynił rozmaite energiczne zabiegi przy bryczce.

— Szczęść Boże, panie... Tak się tam ucieszą!

— Żegnaj, żegnaj, mój drogi.

— Zobaczycie, panie, Fiodora Matwiejewicza.

— Tak, tak, zobaczę... Fiodora Piotrowicza... ale żegnaj już...

II.

Gdy tylko bryka ruszyła, Stepan Trofimowicz zaczął mówić gorączkowo.

— Przyjaciółko moja, pani pozwoli mi tak siebie nazywać? *N'est-ce-pas?* Widzi pani... *j'aime le peuple, c'est indispensable, mais il me semble, que je ne l'ai jamais vu de près. Stasie... cela va sans dire, quelle est aussi du peuple... mais le vrai peuple...* prawdziwy, na szerokiej drodze, mam wrażenie, że nie ma innej roboty, jak gapić się na mnie i interesować się moją podróżą.

Ale dajmy spokój obrazom. Zdaje mi się, że mówię bez związku, ale to z pośpiechu.

Zofja Matwiejewna przyglądała mu się uważnie z szacunkiem.

— Pan jest niezdrów?

— Nie, nie, wystarczy otulić się dobrze, a wiatr taki świeży, zdaje się, że zanadto świeży... lecz zapomnijmy o tem. Nie to chciałem powiedzieć. *Chère et incomparable amie*, mam wrażenie, że jestem szczęśliwy, a przyczyną jest pani. Dla mnie szczęście jest niewygodne, gdyż natychmiast śpieszę przebaczać nieprzyjaciołom moim.

— Cóż, to nawet bardzo po Bożemu.

— Nie zawsze, *chère innocente. L'Evangile... Voyez vous, désormais nous le prêcherons ensemble.* Będę najchętniej sprzedawał te piękne książeczki. Tak, czuję, że to idea, *quelque chose de très nouveau dans ce genre.* Lud jest religijny,*c'est admis*, lecz nie zna Ewangelji. Będę mu wykładał...W wykładzie ustnym dadzą się naprawić błędy tej znakomitej książki, która napawa mnie całkowitym szacunkiem. Mogę się przydać nawet na szerokiej drodze. Zawsze przynosiłem korzyść i mówiłem to im *et à cette chère ingrate...* Och, przedewszystkiem przebaczmy, przebaczmy wszystkim i wszędzie. Miejmy nadzieję, że i nam będą odpuszczone nasze winy. My wszyscy jesteśmy winni, każdy wobec każdego. Wszyscy są winni.

— To już pan powiedział bardzo piękne słowa.

— Tak, tak... Czuję, że mówię dobrze. Będę im mówił bardzo pięknie. Lecz cóż to ja chciałem powiedzieć? Plączę się i zapominam? Czy można mi będzie nie rozstawać się z panią? Czuję, że wzrok pani i... i dziwi mnie sposób bycia pani: pani jest prosta, wymawia słowa po mieszczańsku, nalewa pani herbatę na spodek... z tym potwornym kawa-

łeczkiem cukru w zębach, — a jednak ma pani w sobie coś cudownego, widzę to dobrze... O, niech się pani nie rumieni i nie boi się mnie, jako mężczyzny. *Chère et incomparable, pour moi une femme c'est tout.* Nie mogę żyć inaczej, niż obok kobiety... lecz tylko obok... Strasznie, strasznie plączę... Nie mogę przypomnieć sobie, co chciałem powiedzieć.. Och, błogosławiony mąż, któremu Bóg zsyła zawsze niewiastę. Zdaje mi się, że wpadam w zachwyt... Na szerokiej drodze także króluje wielka myśl. Tak, tak, to właśnie chciałem powiedzieć. Teraz przypomniałem sobie, a przedtem nie mogłem. Poco powieźli nas dalej? Tam było dobrze, tu zaś— *cela devient trop froid. A propos, j'ai en tout quarante roubles et voilà cet argent.* Niech pani schowa u siebie. Ja nie umiem, zgubię, zabiorą mi. Zdaje mi się, że jestem senny. Kręci mi się w głowie. Kręci się i kręci. Och, jaka pani jest dobra! Pani mnie okrywa.

— Pan ma gorączkę. Okryłam pana moją kołdrą, a co do pieniędzy...

— Na miłość Boską, *n'en parlons pas, parce que cela me fait mal.* Ach, jaka pani jest dobra!

Przerwał i szybko zasnął gorączkowym snem. Droga polna, którą jechało się te siedemnaście wiorst, nie była zbyt równa i bryka często podskakiwała wgórę. Stepan Trofimowicz budził się raz po raz, podnosił głowę z poduszeczki, którą podsunęła mu Zofja Matwiejewna, chwytał ją za rękę, pytał: „Pani tu?", jakgdyby bał się, aby go nie porzuciła. Upewniał ją, że przyśniła mu się jakaś paszczęka z zębami i że to jest wstrętne. Zofja Matwiejewna była poważnie zaniepokojona.

Podwieziono ich wprost do chałupy o czterech oknach z przybudówkami. Stepan Trofimowicz zbudził się, wszedł do chaty i śpiesznie przeszedł do drugiego, szerokiego i jasnego pokoju. Jego zaspana twarz zaczęła nabierać wyrazu troski. Oznajmił gospodyni, wysokiej i tęgiej czterdziestoletniej babie, ciemnej brunetce, prawie wąsatej, że wymaga całego pokoju dla siebie, „i żeby pokój był zamknięty i żeby nikogo nie wpuszczano, *parce que nous avons à parler. Oui, j'ai beaucoup â vous dire, chère amie.* Zapłacę wam, zapłacę!" — wołał do gospodyni.

Chociaż mówił szybko, poruszał jakoś ciężko językiem. Gospodyni wysłuchała niezbyt uprzejmie, lecz milczenie jej było świadectwem zgody, w której jednak można było wyczuć pewną groźbę. Nie zauważył tego i niezwłocznie zażądał, aby wyszła i natychmiast, jak najprędzej, przyniosła obiad, „bez żadnej zwłoki".

Baba zaprotestowała.

— Tu wam nie karczma. Obiadów dla przyjezdnych nie trzymamy.

Możemy raków nagotować, samowar nastawić, a więcej niema nic. Świeża ryba będzie, ale jutro.

Stepan Trofimowicz wymachiwał rękami, niecierpliwie i gniewnie wołając: „ja zapłacę, ale prędzej, prędzej". Zatrzymano się na zupie i kurze pieczonej, gospodyni oświadczyła, że w całej wsi nie znajdzie kury. Zgodziła się jednak poszukać, z taką miną, jakgdyby robiła łaskę.

Ledwo zdążyła wyjść, Stepan Trofimowicz siadł na kanapie i posadził obok siebie Zofję Matwiejewnę. W pokoju była i kanapa, i fotele, lecz w strasznie opłakanym stanie. Był to duży pokój, z przegródką, za którą stało łóżko. Żółte, stare, podarte tapety, okropne litografje mitologiczne na ścianach, długi rząd obrazów w kącie, dziwna kolekcja najrozmaitszych mebli, czyniły z niej jakąś smutną mieszaninę miejskiego z odwiecznie chłopskiem. Stepan Trofimowicz nic nie widział, nie spojrzał nawet przez okno na ogromne jezioro, którego brzeg był o trzydzieści kroków od izby.

— Jesteśmy sami, nie wpuścimy nikogo! Muszę opowiedzieć wszystko, od samego początku...

Zofja Matwiejewna niespokojnie przerwała mu.

— Czy panu wiadomo, Stepanie Trofimowiczu...

— *Comment, vous savez mon nom?* — uśmiechnął się radośnie.

— Słyszałem od Anisima, z którym pan rozmawiał. Ale ośmielę się powiedzieć...

Zaczęła mu szybko szeptać, oglądając się na drzwi zamknięte, aby nikt nie mógł podsłuchać, że tu, w tej wsi jest niepomyślnie, wszyscy chłopi, chociaż rybacy, żyjący głównie z rybołóstwa, zdzierają latem od przyjezdnych taką płacę, jaka im się żywnie podoba. Droga do wsi głucha i za-

jeżdżają tu ludzie tylko dlatego, że tu zatrzymuje się parostatek. Gdy parostatek nie przychodzi, a zdarza się to zawsze w czasie niepogody, to wciągu kilku dni zgromadza się na wsi tyle ludzi, że wypełniają po brzegi wszystkie chaty. A gospodarzom w to i graj! Za każdą rzecz łupią wtedy potrójną cenę. A tutejszy gospodarz jest dumny i nieuprzejmy. Jak na miejscowe stosunki, — to bogacz. Ma samych sieci na tysiąc rubli.

Stepan Trofimowicz patrzył z wyrzutem na ożywioną twarz Zofji Matwiejewny i parę razy robił gesty, aby jej przerwać. Ona jednak nie ustawała. Opowiedziała, że już kiedyś latem była tu z jedną panią, bardzo ważną damą z miasta. Zanocowały tu i dwa dni czekały na parostatek. Zaznały takiej biedy, że strach.

— Stepanie Trofimowiczu! Pan zażądał tu osobnego pokoju wyłącznie dla siebie... Ja muszę uprzedzić... Tam, w tamtym pokoju, już są przyjezdni, jakiś starszy pan, a drugi młody, i jakaś pani z dziećmi, a na jutro do godziny drugiej będzie pełna izba gości, gdyż parostatku dwa dni nie było, więc jutro przyjdzie napewno. To za ten pokój osobny i za to że pan zażądał obiadu i za obrazę innych gości zedrą z pana tyle, jak nawet w stolicach nie słyszano.

Lecz Stepan Trofimowicz cierpiał szczerze.

— *Assez mon enfant*, błagam panią, *nous avons notre argent et après le bon Dieu*. Dziwię się nawet, że pani, mając tak szczytne ideały... *Assez, assez, vous me tourmentez*, — zawołał histerycznie. Przed nami cała przyszłość nasza, a pani straszy mnie przyszłością.

Zaczął natychmiast opowiadać jej życie swoje, a tak śpieszył, że narazie trudno było zrozumieć. Opowiadanie trwało długo. Przyniesiono zupę, przyniesiono kurę, zjawił się wreszcie samowar, on zaś mówił bez przerwy. Dziwnie i chorobliwie brzmiały jego słowa. Wszak istotnie był chory. Było to jakieś gwałtowne wytężenie władz umysłowych. Musiało się to skończyć, — a ze smutkiem przeczuwała to Zofja Matwiejewna przez cały czas opowieści, — gwałtowną depresją wytrąconego z równowagi organizmu. Zaczął od lat dziecinnych, gdy „ze świeżą piersią biegał po polu", po godzinie doszedł do dwóch żeniaczek swoich i do życia w Ber-

linie. Nie chciałbym zresztą żartować. W tem wszystkiem było istotnie coś głębszego, była to dla niego, mówiąc językiem współczesnym, jakaś walka o byt. Miał przed sobą tę, którą już obrał sobie na dalszą drogę i chciał jak najprędzej wtajemniczyć ją we wszystko. Genjalność jego nie powinna była pozostać dla niej tajemnicą. Może zbyt fantazjował co do Zofji Matwiejewny, lecz już wybrał ją. Nie mógł się obejść bez kobiety. Z wyrazu jej twarzy widział, że ona go nie rozumie, nie rozumie w najistotniejszem.

„*Ce n'est rien, nous attendrons*, tymczasem może będzie mnie rozumiała sercem".

— Przyjaciółko moja! Potrzebne mi jest tylko serce twoje, — wołał do niej, przerywając opowieść, — serce twoje i to spojrzenie miłe, czarujące! Niech się pani nie rumieni! Mówiłem już...

Najzawilsza dla Zofji Matwiejewny była ta część opowieści, która przekształciła się w dysertację o tem, jak nikt i nigdy nie mógł zrozumieć Stepana Trofimowicza, i o tem „jak giną w Rosji talenty". Potem opowiadała biedaczka, że to wszystko było „strasznie uczone". Słuchała z bólem na twarzy, szeroko otwierając oczy. Gdy zaś Stepan Trofimowicz puścił się na sarkazm i na zjadliwe wycieczki w kierunku naszych „panujących postępowców", próbowała parę razy uśmiechnąć się w odpowiedzi na śmiech Stepana Trofimowicza, sam się zawstydził i z tem większym zapałem rzucił się na nihilistów i „nowych ludzi". Tu już naprawdę Zofja Matwiejewna przeraziła się, a odpoczęła na chwilę, bardzo przelotnie, dopiero wtedy, gdy się rozpoczął właściwy romans. Kobieta nie przestaje być kobietą, chociażby była mniszką. Uśmiechała się, kiwała głową, rumieniła się i spuszczała oczy, wprowadzając tem Stepana Trofimowicza w zachwyt. Pod wpływem natchnienia nawet upiększył to i owo. Barbarę Piotrownę przedstawił jako cudowną brunetkę, która wprowadzała w zachwyt Petersburg i niejedną stolicę Europy, mąż jej padł „przeszyty w Sewastopolu kulą", tylko dlatego, że nie czuł się godnym jej miłości, i ustępując rywalowi (to znaczy jemu, Stepanowi Trofimowiczowi).

— Nie bój się, cicha chrześcijanko moja! — uspakajał Zofję Matwiejewnę, sam prawie wierząc w to, co opowia-

dał. — Nasza miłość była tak wzniosła, tak szczytna, żeśmy jej nawet nigdy nie wyznali sobie.

W dalszym toku opowiadania przyczyną takiego stanu rzeczy już była blondynka (chyba Darja Pawłowna, bo kogóż innego mógł on mieć na myśli?). Blondynka ta wszystko zawdzięczała brunetce i jako daleka krewna wyrosła w jej domu. Brunetka dostrzegłszy wreszcie miłość blondynki do Stepana Trofimowicza, zamknęła się w sobie. Blondynka zaś dostrzegłszy miłość brunetki do Stepana Trofimowicza, także zamknęła się w sobie. I wszyscy troje dręcząc się nawzajem wspaniałomyślnością, milczeli tak przez lat dwadzieścia, zamknięci w sobie. „Widziałem przepyszny rozkwit jej urody (mowa była o brunetce), patrzyłem z sercem skrwawionem, jak codzień przechodziła obok mnie, jakgdyby wstydząc się swego ciała". Wreszcie zbiegł, porzucając ten dwudziestoletni gorączkowy sen. *Vingt ans!* i oto teraz na szerokiej drodze... Potem w stanie naprawdę gorączkowym, zaczął opowiadać Zofji Matwiejewnie, co znaczy dzisiejsze „tak niespodziewane a decydujące ich spotkanie na wieki wieków". Zofja Matwiejewna, zapłoniona, zerwała się wreszcie z kanapy; próbował nawet uklęknąć przed nią, lecz ona rozpłakała się. Zgęszczał się mrok. Już kilka godzin pozostawali w zamkniętym pokoju.

Zofja Matwiejewna zaczęła błagać:

— Nie, niech mnie pan wypuści z tego pokoju. Ludzie Bóg wie co pomyślą.

Wyrwała się wreszcie. Puścił ją i obiecał natychmiast położyć się spać. Przy pożegnaniu skarżył się na ból głowy. Zofja Matwiejewna zostawiła swą torbę i rzeczy w pierwszym pokoju i zamierzała spędzić noc z gospodarzami. Nie udało się jej jednak odpocząć.

W nocy Stepan Trofimowicz uległ atakowi choleryny, tak dobrze znanemu wszystkim jego przyjaciołom, — normalne następstwo nerwowego i moralnego wstrząśnienia. Biedna Zofja Matwiejewna nie spała całą noc. Ponieważ musiała, doglądając chorego, niejednokrotnie wychodzić z chałupy przez pokój gospodarzy, drzemiący tam goście i gospodarze gniewali się. Pod koniec, gdy chciała nad ranem nastawić samowar, zaczęli już urągać. Stepan Trofimowicz

przez cały czas trwania ataku był pół-nieprzytomny. Czasem roiło mu się, że kipi samowar, że czemś go poją (były to maliny), że mu kładą ciepłe kompresy na żołądek i piersi. Czuł też przez czas, iż „ona jest tuż przy nim". Wchodziła i wychodziła, ściągała go z łóżka i znów go kładła. Około trzeciej po północy poczuł się lepiej. Podniósł się, spuścił nogi z łóżka i, nie myśląc o niczem, zwalił się przed nią na podłogę. Nie było to już klęknięcie. Poprostu padł do jej stóp i całował kraj jej szaty.

Ona zaś siliła się podnieść go i bełkotała.

— Nie trzeba, nie jestem tego warta.

Stepan Trofimowicz złożył dłonie modlitewnie.

— Pocieszycielko moja. *Vous êtes noble, comme une marquise.* Jestem nikczemny. Całe życie moje było nikczemne...

— Niech się pan uspokoi, — upraszała Zofja Matwiejewna.

— Wszystko kłamałem, dla sławy, dla rozkoszy, przez pustkę życia. Wszystko to, do ostatniej sylaby, jest nieprawdą! Niegodny jestem, niegodny!

Choleryna przeszła w inny atak, w atak histerycznego biczowania się. Już wspominałem o takich atakach, opisując listy jego do Barbary Piotrowny. Przypomniał sobie raptem Lizę i wczorajsze z nią spotkanie.

— To było takie straszne! Tu napewno kryje się dramat, a jam nie zapytał nawet! Nie dowiedziałem się! O sobie tylko myślę! Co się z nią dzieje? Nie wie pani, co się z nią dzieje? — dopytywał się błagalnie.

Potem zaś przysięgał, że nie zdradzi, że wróci „do niej" (prawdopodobnie do Barbary Piotrowny).

— Będziemy codzień podchodzili do jej drzwi (my — to znaczy on i Zofja Matwiejewna), będziemy podchodzili, gdy siada do karety, jadąc jak na spacer poranny, i cichutko będziemy patrzyli na nią... Och, jakżebym chciał, aby uderzyła mnie w drugi policzek! Poczułbym rozkosz. Nastawiłbym jej drugi policzek *comme dans votre livre!* Teraz, teraz dopiero zrozumiałem, co znaczy „nadstawić drugi policzek". Nigdym tego przedtem nie rozumiał.

Dla Zofji Matwiejewny były to straszne dni jej życia.

Dotychczas drży na ich wspomnienie. Stepan Trofimowicz zachorował tak poważnie, że nie był w stanie pojechać parostatkiem, który natenraz przyszedł akuratnie o drugiej po południu. Ona zaś nie mogła go opuścić i także nie pojechała do Spasowa. Jak opowiadała później, Stepan Trofimowicz ucieszył się nawet, gdy parostatek odpłynął.

— Dobrze, doskonale, — bełkotał. — Wciąż się bałem, że pojedziemy. Tu tak dobrze. Tu najlepiej... Nie opuści mnie pani? Och, pani mnie nie pozostawi samego!

Nie było tam jednak tak dobrze. Nie wiedział nic o jej kłopotach. Głowę jego wypełniały fantazje. Chorobę swoją traktował jako coś chwilowego, przelotnego. Nie myślał o niej. Wciąż śnił o tem, jak to on pójdzie z Zofją Matwiejewną sprzedawać „te książki". Prosił ją, aby mu czytała Ewangelję.

— Jużem dawno nie czytał... z oryginału. Ktokolwiek zapyta i mogę się omylić. Trzeba przypomnieć sobie.

Siadła obok niego i otworzyła książkę. Po pierwszych paru wierszach przerwał jej.

— Pani cudownie czyta!

Potem dodał niewyraźnie, lecz z zachwytem.

— Widzę, żem się nie omylił.

Wogóle był ciągle w stanie upojenia. Przeczytała mu „Kazanie na górze".

— *Assez, assez, mon enfant*, dosyć już... Czyż sądzisz, że to nie wystarcza.

Bezwładnie zamknął oczy. Był bardzo osłabiony, lecz przytomny. Zofja Matwiejewna powstała, myśląc, że Stepan Trofimowicz chce zasnąć. Zatrzymał ją jednak.

— Przyjaciółko moja, kłamałem przez całe życie. Nawet wtedy, gdy mówiłem prawdę. Nigdym nie mówił dla prawdy, a tylko dla siebie. Wiedziałem o tem oddawna, lecz widzę teraz dopiero. Och, gdzie są ci przyjaciele, których obrażałem przez całe życie przyjaźnią moją? I wszyscy, wszyscy! *Savez vous*, może i teraz kłamię; napewno kłamię. Najgorzej, że sam wierzę sobie, gdy kłamię. Najtrudniej jest żyć i nie kłamać... i... nie wierzyć we własne kłamstwo. Tak, tak, właśnie o to chodzi... Tak, ale o tem później. My razem! Razem! — dodał entuzjastycznie.

— Stepanie Trofimowiczu, — nieśmiało odezwała się Zofja Matwiejewna. — Możeby posłać do miasta po doktora?

Był zdumiony.

— Poco? *Est-ce que je suis malade? Mais rien de sérieux.* Poco nam obcy ludzie? Dowiedzą się, — a co wtedy? Nie, nie, nie chcę obcych ludzi! My z panią!...

— Wie pani, — odezwał się po chwili: — niech mi pani przeczyta cokolwiek, na chybił trafił.

Zofja Matwiejewna otworzyła książkę i zaczęła czytać.

— Gdzie wypadnie, gdzie się wypadkowo otworzy, — powtarzał jeszcze.

— „Aniołowi zaś Kościoła Laodycyjskiego napisz"...

— Co to takiego? Z czego to?

— To z Apokalipsy.

— *Oh, je m'en souviens, oui, l'Apocalipse. Lisez, lisez,* ja chcę wywróżyć sobie przyszłość moją, chcę wiedzieć, co wypadnie. Niech pani zaczyna od tego anioła!

— „Aniołowi zaś Kościoła Laodycyjskiego napisz: To mówi Amen, świadek wierny i prawdziwy, który jest początkiem stworzenia Bożego. Znam sprawy Twoje, iżeś nie jest ani zimny, ani gorący: bodajbyś był zimny, albo gorący! Ale iżeś letni, i ani zimny, ani gorący: pocznę cię wyrzucać z ust moich. Iż mówisz: żem jest bogaty i zbogacony i niczego nie potrzebuję: a nie wiesz, iżeś ty nędzny i mizerny, i ubogi, i ślepy, i nagi".

— To... to jest napisane w pani książce?! — wykrzyknął Stepan Trofimowicz. Błyszczały mu oczy. Zrywał się z poduszki. — Nigdym nie znał tego wielkiego fragmentu! Słyszy pani: lepiej zimny, zimny, niż ciepły, tylko ciepły! Och, udowodnię to! Lecz niech pani mnie nie opuszcza! Udowodnimy to razem!

— Ależ ja nie opuszczę pana, Stepanie Trofimowiczu! Nigdy nie opuszczę!

Schwyciła jego rękę, ścisnęła i podniosła do serca, patrząc na niego ze łzami w oczach. („Taka mnie żałość ogarnęła" — opowiadała potem).

Usta jej zadrżały nerwowo.

— Lecz co ja mam robić, Stepanie Trofimowiczu? Może zawiadomić kogo ze znajomych, lub krewnych?

Przeraził się nie na żarty, tak że sama pożałowała słów swoich. Trzęsąc się i drżąc, błagał ją, żeby nie sprowadzała nikogo, nie czyniła zabiegów; żądał, aby mu to obiecała. Powtarzał: „Nikogo, nikogo! My sami, tylko my, *nous partirons ensemble*".

Źle było, że gospodarze już się niepokoili. Coś tam mruczeli i atakowali Zofję Matwiejewnę. Zapłaciła im i nie omieszkała pokazać, że ma jeszcze pieniądze. To udobruchało ich na pewien czas, lecz gospodarz żądał pokazania „dokumentu" Stepana Trofimowicza. Chory z wynioslym uśmiechem wskazał swój sak. Zofja Matwiejewna odszukała tam jakiś dekret o dymisji, czy inny dowód, który służył Stepanowi Trofimowiczowi przez całe życie. Gospodarz nie uspokoił się jednak i twierdził, że „trzeba jego stąd zabrać, bo u nich to nie szpital, a jak umrze, to niewiadomo co będzie: same przykrości". Zofja Matwiejewna pomówiła i z gospodarzem o doktorze. Wyjaśniło się jednak, że posyłanie do miasta będzie tak drogo kosztowało, że trzeba było wyrzec się wszelkiej myśli o pomocy lekarskiej. Z bólem w sercu wróciła do chorego. Stepan Trofimowicz był coraz więcej osłabiony.

— A teraz, niech mi pani przeczyta jeszcze jedno miejsce, o wieprzach, — odezwał się znienacka.

— Co-o-o? — przeraziła się Zofja Matwiejewna.

— O wieprzach... to także tam... *ces cochons*... przypominam sobie... czarci weszli w wieprze i utonęli... niech mi pani koniecznie przeczyta. Potem wytłumaczę pani, dlaczego. Chcę przypomnieć sobie dosłownie. Trzeba mi dosłownie.

Zofja Matwiejewna znała dobrze Pismo Święte i natychmiast odszukała ten fragment Ewangelji św. Łukasza, który wystawiłem jako motto kroniki mojej. Znów przytaczam te słowa.

„A było tam stado wielu wieprzów, pasących się na górze: i prosili go, aby im w nie dopuścił wnijść. I dopuścił im. Wyszli tedy czarci od człowieka i weszli w wieprze; i pędem wpadło stado z przykra w jezioro i utonęło. Co gdy

ujrzeli, że się stało, którzy paśli, uciekli: i dali znać do miasta i do wsi. I wyszli, aby oglądali co się stało: a przyszli do Jezusa i znaleźli człowieka, od którego wyszli czarci, siedzącego, ubranego i z dobrą pamięcią u nóg Jego i bali się. I powiedzieli im też ci, którzy widzieli, jako był uzdrowiony od czarta".

— Przyjaciółko moja, — przerwał jej Stepan Trofimowicz, niesłychanie wzruszony: — *Savez vous*, przez całe życie zastanawiał mnie ten cudowny i niezwykły fragment... *dans ce livre*... tak, że od dzieciństwa zapamiętałem to. A teraz przyszła mi do głowy jedna myśl... *une comparaison*. Wogóle tyle myśli przychodzi mi teraz do głowy! Widzi pani, to zupełnie tak, jak Rosja. Te złe duchy, wychodzące z chorego i wchodzące w świnie, — to nasze rany, nasze miazmaty, cały brud, wszystkie djabły i djabliki, które nagromadziły się przez wieki, w naszym wielkim i miłym chorym, jakim jest Rosja! *Oui, cette Russie, que j'aimais toujours*. Lecz wielka myśl i wielka wola zleją na nią łaskę, jak na owego chorego, i wszystkie złe duchy, cały brud, całe plugastwo, gnojące się na powierzchni, wyjdą, i będą prosiły same, aby wejść w wieprze. Może nawet już weszły. To my, my i oni, i Piotruś... *et les autres avec lui*, i ja, może ja pierwszy. I rzucimy się, nieprzytomni i opętani, ze skały w morze i utoniemy wszyscy. Taki nasz los, gdyż na nic innego nie jesteśmy przydatni. Lecz chory będzie uzdrowion i siądzie u stóp Chrystusowych... a wszyscy będą patrzyli zdziwieni... Moja najdroższa, *vous comprendrez après*, obecnie zaś męczy mnie to bardzo...*Vous comprendrez après*... *Nous comprendrons ensemble*...

Zaczął majaczyć i wreszcie zupełnie stracił przytomność. Nie wracał do przytomności przez cały dzień następny. Zofja Matwiejewna siedziała obok niego i płakała. Nie spała już prawie trzy noce i bała się pokazać na oczy gospodarzom, którzy, jak domyślała się, już coś uknuli. Ratunek przybył dopiero na trzeci dzień. Rano Stepan Trofimowicz ocknął się, poznał ją i wyciągnął do niej dłoń.

Przeżegnała się z ulgą. Chory zechciał koniecznie spojrzeć przez okno.

— *Tiens, un lac*, — wyszeptał, — Mój Boże, nie widziałem dotychczas.

W tej chwili jakiś pojazd stanął przed domem, a w izbie zapanował rwetes.

III.

Była to Barbara Piotrowna we własnej osobie, która zjechała w karecie, czwórką koni, z dwoma lokajami i z Darją Pawłowną. Cud stał się w sposób bardzo prosty. Trawiony ciekawością, Anisim, po przybyciu do miasta, zjawił się nazajutrz w domu Barbary Piotrowny i opowiedział służbie, że spotkał Stepana Trofimowicza samego na wsi, że chłopi widzieli go na trakcie, jak szedł sam, piechotą, i że wyruszył dalej do Spasowa, przez Ustjewo, już w towarzystwie Zofji Matwiejewny. Ponieważ wiedziano, że Barbara Piotrowna jest bardzo zaniepokojona i poszukuje zbiegłego przyjaciela, przeto natychmiast powtórzono jej relacje Anisima. Wysłuchała uważnie całej opowieści, zwłaszcza zaś szczegółów wspólnego wyjazdu do Ustjewa z jakąś Zofją Matwiejewną, zebrała się natychmiast i wyruszyła po świeżych śladach do Ustjewa. O chorobie Stepana Trofimowicza jeszcze nie wiedziała.

Rozległ się groźny, rozkazujący głos jej, który przeraził nawet gospodarza. Zatrzymała się tu, aby zasięgnąć języka, przekonana, że Stepan Trofimowicz już dawno w Spasowie. Dowiedziawszy się, że jest tu i leży chory, weszła nerwowym krokiem do izby.

— No, gdzie on tu? Ach, to ty! — zawołała zobaczywszy Zofję Matwiejewnę, która właśnie w tej chwili ukazała się na progu drugiego pokoju. — To ty! domyśliłam się z twej twarzy bezwstydnej! Precz! niegodziwa! I żeby tu śladu jej nie było w tym domu! Wypędzić ją! Inaczej matko, zapakuję ciebie na zawsze do więzienia. Pilnować jej w innej chacie! Ona już w mieście raz siedziała w więzieniu, posiedzi jeszcze. A wy, gospodarzu, nie wpuszczajcie nikogo, póki tu jestem. Jestem generałowa Stawrogina i zajmuję cały ten dom. Ty zaś, gołąbko, odpowiesz mi za wszystko!

Znajome dźwięki poruszyły Stepana Trofimowicza. Zadrżał. Lecz ona była już za przepierzeniem. Błyszcząc oczyma, przysunęła nogą krzesło i oparła się o poręcz. Krzyknęła na Daszę:

— Wyjdź stąd. Posiedź u gospodarzy. Poco ta ciekawość? A drzwi mocno zamknij za sobą!

Przez chwilę w milczeniu a drapieżnie wpatrywała się w jego twarz.

— No, jakże się mamy, Stepanie Trofimowiczu? Jakże udała się wyprawa? — odezwała się wreszcie z zabójczą ironją.

— *Chère*, — wybełkotał Stepan Trofimowicz, prawie nieprzytomny. — Poznałem rzeczywistość rosyjską... *Et je prêcherai l'Evangile...*

— Ty, bezwstydny, niewdzięczny człowieku! — krzyknęła gwałtownie, załamując ręce. — Nie wystarczało ci shańbić mnie, jeszcześ się związał z tą... Ty, stary, bezwstydny rozpustniku!

— *Chère...*

Głos mu się załamał. Nie mógł nic więcej wymówić. Patrzył tylko, a oczy miał szeroko otwarte z przerażenia.

— Kto to taki, ta kobieta?

— *C'est un ange... C'était plus qu'un ange pour moi*, ona tu przez całą noc... O, nie krzycz pani! Nie strasz jej, *chère, chère!*

Barbara Piotrowna hałaśliwie zerwała się z krzesła. Krzyknęła przeraźliwie „wody, wody!" I chociaż chory ocknął się, jednakże wciąż drżała ze strachu, zbladła i wpatrywała się w jego zmienione rysy. Teraz dopiero zrozumiała, że choroba jest rzeczywiście poważna.

— Darjo, — zaczęła szeptać, — zaraz po doktora, po Salzfischa. Niech jedzie Jegorycz. Niech najmie tu konie, a w mieście weźmie drugą karetę. I żeby na noc już był zpowrotem.

Darja pośpieszyła wykonać rozkaz. Stepan Trofimowicz wciąż patrzył wytrzeszczonemi oczyma, przerażony. Jego blade wargi drgały.

— Poczekaj, Stepanie Trofimowiczu, poczekaj, złociutki! — uspokajała go, jak dziecko, Barbara Piotrow-

na. — Poczekaj, zaraz wróci Dasza... Ach, Boże mój, gdzie tu gospodyni? Niech ona przynajmniej...

Niecierpliwie wybiegła do gospodyni.

— Zaraz, zaraz, w tej chwili, niech wraca t a m t a... Przysłać ją tu!

Na szczęście Zofja Matwiejewna nie zdążyła jeszcze opuścić domu i właśnie wychodziła za próg ze swoim sakiem i węzełkiem. Kazano jej wrócić. Była tak wystraszona, że trzęsły się jej ręce i nogi. Barbara Piotrowna schwyciła ją za ramię, jak jastrząb kurczę, i pociągnęła gwałtownie do Stepana Trofimowicza.

— Masz ją pan! Nie zjadłam jej! Pan myślał, że ją zjem!

Stepan Trofimowicz ujął dłoń Barbary Piotrowny, podniósł ją do swoich oczu i zalał się gorącemi łzami. Łkał boleśnie, rzewnie, jak w ataku.

— Uspokój się, uspokój, mój złociuśki, mój drogi! Ach, Boże. Uspokój się, — krzyczała. — O, dręczycielu mój, wieczysty dręczycielu!

— Droga moja, — wyszeptał wreszcie Stepan Trofimowicz, zwracając się do Zofji Matwiejewny. — Niech pani wyjdzie na chwilę, muszę tu coś powiedzieć.

Zofja Matwiejewna pośpiesznie opuściła pokój.

— *Chérie... chérie...* — zaczął bełkotać, lecz brakło mu tchu.

— Poczekaj pan, Stepanie Trofimowiczu, odpocznij trochę. Napij się pan wody. Poczekaj pan.

Znowu usiadła. Stepan Trofimowicz trzymał ją mocno za rękę. Długo nie pozwalała mu mówić. Podniósł jej dłoń do ust i zaczął całować. Zacisnęła usta, wpatrzona w jakiś kąt.

— *Je vous aimais!* — wyrwało mu się wreszcie. Nigdy przedtem nie słyszała z ust jego takich słów, i tak wymówionych.

— Hm! — bąknęła w odpowiedzi.

— *Je vous aimais toute ma vie... vingt ans!*

Milczała parę minut. Wreszcie rozległ się jej nerwowy szept.

— A kiedy szykowałeś się pan dla Daszy, toś się perfumami oblewał.

Stepan Trofimowicz poczuł chłód w plecach.

— Zawiązałeś sobie nowy krawat...

Znów parę chwil milczenia.

— Pamięta pan cygaro?

— Droga przyjaciółko, — próbował oponować w przerażeniu.

— Cygaro, wieczorem, pod oknem... księżyc świecił... potem co było w altanie... W Skworesznikach... Pamiętasz? pamiętasz? — Zerwała się z krzesła, schwyciła poduszkę za dwa rogi i zaczęła potrząsać nią razem z głową Stepana Trofimowicza. — Pamiętasz ty, pusty, pusty, małoduszny, zawsze pusty człowieku? — Już wprost syczała, ledwo powstrzymując się od krzyku. Porzuciła go wreszcie i opadła na krzesło, ukrywszy twarz w dłoniach. — Dość tego! — rzekła, wyprostowując się. — Minęło lat dwadzieścia. Nie zawrócisz ich. A ja także byłam głupia.

— *Je vous aimais*, — szepnął znowu, modlitewnie składając dłonie.

— Co pan będziesz mi tu powtarzał *aimais* i *aimais!* Dość już tego! — wybuchła znowu. — I jeżeli pan w tej chwili mi nie zaśnie, to ja... Panu spokój potrzebny. Śpij pan! Zaraz! Zamknij oczy! Ach, mój Boże! Może on głodny? Co pan tu jada? Co on jadł? Mój Boże! Gdzie ona jest? Gdzie tamta?

Zaczął się rwetes. Lecz Stepan Trofimowicz cichutkim głosem oświadczył, że chętnie zasnąłby *une heure*, a potem... *un bouillon, un thé... enfin il est si heureux.* — Wyciągnął się i istotnie jakgdyby zasnął. (Prawdopodobnie udawał). Barbara Piotrowna przeczekała chwilkę i wyszła na palcach z pokoju.

Usiadła w pokoju gospodarzy, wypędziła ich samych i kazała Daszy przyprowadzić „tamtą". Rozpoczęło się ścisłe badanie.

— Opowiedzno teraz, matko, wszystko po porządku! Siadaj tu obok. Tak. A więc?

— Spotkałam Stepana Trofimowicza...

— Poczekajno! Uprzedzam, że jeżeli coś skłamiesz, lub cokolwiek ukryjesz, znajdę ciebie pod ziemią. Mów!

— Ja ze Stepanem Trofimowiczem... jak tylko przyszłam do Chatowa... — prawie bez tchu wymówiła Zofja Matwiejewna.

— Poczekaj, poczekaj! Co się tak śpieszysz? Przedewszystkiem opowiedz, coś ty za ptaszek?

Opowiedziała jako tako, w krótkich słowach, o sobie, zaczynając od Sewastopola. Barbara Piotrowna słuchała w milczeniu, wyprostowana na krześle i przenikliwie wpatrzona w oczy opowiadającej.

— Czegoś ty taka wystraszona? Dlaczego spuszczasz oczy? Lubię takich, którzy patrzą mi prosto w twarz i sprzeczają się ze mną. No, mów dalej.

Opowiedziała o spotkaniu, o książkach, o tem, jak Stepan Trofimowicz częstował babę wódką.

— Tak, tak! Nie pomijaj żadnego szczegółu!

Opowiadała dalej, jak pojechali razem, jak Stepan Trofimowicz mówił bez przerwy, „już w chorobie", i jak tu już całe życie swoje, od samego początku, przez kilka godzin opisywał.

— Mów o życiu...

Zofja Matwiejewna zacięła się. Była zmieszana.

— Nic tu nie mogę powiedzieć, — wyszeptała ze łzami w oczach. — I nic z tego wyrozumieć nie mogłam.

— Kłamiesz! To niemożliwe, abyś nic nie zrozumiała.

— Długo opowiadał o pewnej damie... o brunetce...— bąknęła Zofja Matwiejewna i zaczerwieniła się strasznie. Zauważyła blond włosy Barbary Piotrowny i jej całkowite niepodobieństwo do owej „brunetki".

— O brunetce? Cóż o niej mówił? Opowiadaj!

— Mówił, jak ta dama była w nim zakochana. Przez całe życie. Przez dwadzieścia lat. Lecz nigdy nie odważyła się powiedzeć mu o tem i zawsze wstydziła się go, gdyż była bardzo otyła...

— Idjota! — zawołała Barbara Piotrowna. Zastanowiła się jednak.

Zofja Matwiejewna rozpłakała się nie na żarty.

— Nie mogę nic dobrze opowiedzieć, bo sama byłam w strachu o niego, i nic nie rozumiałam, bo Stepan Trofimowicz taki uczony...

— Nie takiej sroce, jak ty, sądzić o jego rozumie.

Zofja Matwiejewna była przerażona.

— Zakochał się w tobie? Mów! Ofiarował ci rękę? — nastawała Barbara Piotrowna.

— Prawie, że tak było. — mówiła tamta przez łzy. — Ale ja tego nie słuchałam, bo to w chorobie, — dodała podnosząc oczy.

— Jak się nazywasz?

— Zofja Matwiejewna...

— Więc pamiętaj, Zofjo Matwiejewno, że to marny, pusty człowiek... Boże mój, Boże! Ty uważasz mnie za niegodziwą?

Tamta szeroko otwierała oczy.

— Za niegodziwą? Za tyrankę? Za taką, która zmarnowała, zniszczyła jego szczęście?

— Jakże to mogłoby być? Toć pani sama płacze!

Istotnie Barbara Piotrowna miała łzy w oczach.

— No, siadaj, siadaj, nie bój się. Spójrz mi jeszcze raz w oczy. Dlaczego spiekłaś raka? Daszo, chodź tu! Popatrz na nią! Prawda, że ona musi mieć dobre serce?

Ku zdumieniu, a może nawet ku większemu jeszcze przerażeniu Zofji Matwiejewny, pogładziła ją po twarzy.

— Szkoda tylko, żeś głupia. Za głupia na swój wiek. Dobrze już, moja droga. Zaopiekuję się tobą. Widzę, że to wszystko głupstwa. Pobądź tymczasem tu obok. Pokój dla ciebie wynajmiemy, a stołować się będziesz u mnie. Oto wszystko... dopóki nie zawołam ciebie.

Zofja Matwiejewna zająknęła się, że pilno jej już odjechać.

— Nie masz dokąd się śpieszyć. Książki twoje — wszystko kupuję. A ty siedź tu. Milcz tylko. Żadnych wyjaśnień. Przecież, gdybym nie przyjechała, tobyś go tu samego nie porzuciła?

— Za nic w świecie nie porzuciłabym, — stanowczo stwierdziła Zofja Matwiejewna, ocierając łzy.

Doktór Salzfisch przyjechał późnym wieczorem. Był to poważny staruszek, niezły praktyk. Niedawno utracił stanowisko służbowe z powodu zatargu ze zwierzchnikami i od tego czasu Barbara Piotrowna otaczała go swą protekcją.

Uważnie zbadał chorego, wypytywał o wszystko i ostrożnie oznajmił Barbarze Piotrownie, że stan cierpiącego jest bardzo poważny, głównie z powodu przykrych komplikacyj w przebiegu choroby, że można oczekiwać nawet rzeczy najgorszych. Barbara Piotrowna od dwudziestu lat odzwyczaiła się nawet od myśli o czemkolwiek poważnem i stanowczem, skoro chodziło o Stepana Trofimowicza. Była więc głęboko poruszona. Zbladła nawet.

— Czyż naprawdę niema żadnej nadziei?

— Tak na świecie nie bywa, aby już zupełnie i znikąd nie mogło być nadziei, lecz...

Nie kładła się przez całą noc i ledwo doczekać się mogła poranku. Gdy tylko chory otworzył oczy, i ocknął się (a był wciąż jeszcze przytomny, chociaż słabł z godziny na godzinę), zbliżyła się do niego krokiem stanowczym.

— Stepanie Trofimowiczu. Trzeba przewidywać wszystko... Posłałam po kapłana. Niech pan spełni obowiązek.

Znając przekonania jego, strasznie bała się odmowy. Spojrzał na nią zdziwiony.

— Głupstwa! głupstwa! — zawołała, sądząc, że już odmawia. — Tu nie czas na żarty. Dość już pan w życiu nażartował.

— Ale... czyż jestem tak bardzo chory?

Zgodził się w milczeniu. Z prawdziwem zdziwieniem dowiedziałem się potem od Barbary Piotrowny, że wcale nie bał się śmierci. Może nie wierzył że umrze i traktował chorobę swoją, jako coś przemijającego.

Wyspowiadał się i przyjął komunję bardzo chętnie. Wszyscy, zarówno Zofja Matwiejewna, jak i służba, przyszli powinszować mu ostatniego sakramentu. Wszyscy powstrzymywali łzy, patrząc na jego twarz wymęczoną i bezwładną, na jego wargi zbielałe i drżące.

— *Oui, mes amis*, dziwię się tylko, że tak się wysila-

cie. Jutro, napewno, wstanę, i... pójdziemy... *Toute cette cérémonie...* którą traktuję z całym szacunkiem, była...

Barbara Piotrowna stanowczym ruchem zatrzymała popa, który zdejmował już szaty.

— Byłabym wdzięczna, gdyby Ojciec zechciał pozostać przy chorym... Niech Ojciec, przy herbacie, zacznie mówić o rzeczach boskich, aby podtrzymać w nim wiarę.

Kapłan zaczął mówić. Wszyscy zgromadzili się przy łożu chorego.

— W naszym wieku grzesznym, — płynnie prawił pop, trzymając w ręku filiżankę herbaty, — wiara w Boga jest jedyną ostoją rodu ludzkiego i jedyną ucieczką od cierpień i prób życiowych, a także jedynem źródłem nadziei na byt wieczny, przyobiecany ludziom sprawiedliwym.

Stepan Trofimowicz prawie ożywił się. Subtelny uśmiech prześlizgnął się po jego wargach.

— *Mon père, je vous remercie, vous êtes bien bon, mais...*

— Jakie tam „*mais*", żadnego „*mais*", — zawołała Barbara Piotrowna, zrywając się na równe nogi. — Ojcze, zwróciła się do popa, — to taki człowiek, że... trzeba będzie zaraz spowiadać go na nowo! Taki charakter!

Stepan Trofimowicz uśmiechnął się powściągliwie.

— Przyjaciele moi, — wymówił. — Bóg jest mi potrzebny chociażby dlatego, że jest to jedyna istota, którą kochać można wiecznie.

Czy istotnie wiarę odzyskał, czy też tak poważna ceremonja sakramentu poruszyła go i podnieciła artystyczną wrażliwość jego duszy, trudno to określić. A jednak mocnym głosem, z głębokiem uczuciem, wypowiedział parę zdań, zupełnie sprzecznych z dotychczasowemi jego poglądami.

— Mój żywot zagrobowy dlatego jest czemś nieuniknionem i nieodwołalnem, że Pan Bóg nie zechce popełnić niesprawiedliwości i zgasić płomienia miłości do Niego, która w mojem sercu rozgorzała. A cóż jest większe od miłości? Miłość jest wyższa od bytu, miłość jest uwiecznieniem bytu, więc byt musi się przed nią ukorzyć. Jeżelim ukochał Boga i rozradował się miłością ku Niemu, czyż jest to moż-

liwe, aby zgasił On i mnie i radość moją? Aby unicestwił nas? *Voilà ma profession de foi...*

— Bóg istnieje, Stepanie Trofimowiczu, jak Boga kocham, istnieje, — zaklinała Barbara Piotrowna. — Niech się pan zaprze, niech się pan wyrzeknie głupstw swoich! Choć raz w życiu! (Mam wrażenie, że niezupełnie zrozumiała jego *profession de foi*).

— Przyjaciółko moja — mówił z coraz większem ożywieniem, chociaż głos mu się rwał co chwila. — Przyjaciółko moja... gdy zrozumiałem tamto... o nadstawionym policzku... zrozumiałem jednocześnie coś więcej. *J'ai menti toute ma vie*, całe, całe życie! Chciałbym... może jutro... jutro wyruszymy wszyscy.

Barbara Piotrowna płakała. Chory szukał kogoś oczyma.

— Ona jest tu, ona tu! — uspokajała Barbara Piotrowna, podprowadzając Zofję Matwiejewnę. Uśmiechnął się łagodnie.

— Ach, tak chciałbym żyć znowu!—zawołał z niezwykłą energją. — Każda godzina, każda chwila życia, powinny być radością dla człowieka! Powinny! Muszą być! To obowiązek człowieka tak urządzić! To jego przykazanie, ukryte lecz istniejące. Ach, tak chciałbym zobaczyć Piotrusia... i wszystkich ich... i Szatowa.

Zaznaczam, że o losie Szatowa jeszcze nie wiedział tu nikt. Ani Barbara Piotrowna, ani nawet doktór Salzfisch, który przyjechał z miasta ostatni.

Stepan Trofimowicz podniecał się coraz bardziej, chorobliwie, ponad siły.

— Już sama myśl, że istnieje ktoś bezgranicznie sprawiedliwy i szczęśliwszy ode mnie, napawa mnie całego niewymowną radością i chwałą! Niezależnie od tego, kim byłem, co robiłem. Ponad szczęście własne potrzebna jest człowiekowi świadomość i wiara nieustanna, że istnieje gdzieś szczęście skończone, spokojne, dla wszystkich ludzi i rzeczy. Zasadą bytu ludzkiego jest to, aby człowiek mógł zawsze korzyć się przed nieskończenie wielkiem. Człowiek, pozbawiony nieskończenie wielkiego, nie zechce żyć, umrze w roz-

paczy. Nieskończoność i wszechmoc są tak samo człowiekowi potrzebne, jak ta mała planeta, na której żyjemy. Przyjaciele moi! Wszyscy, wszyscy! Niech żyje Myśl Najwyższa! Myśl wieczna, bez kresu! Każdy człowiek, każdy bez wyjątku, niech się ukorzy przed tem, co jest Myślą Najwyższą. Najgłupszy człowiek musi mieć coś wielkiego dla duszy. Piotruś... Och, jakże chciałbym raz jeszcze zobaczyć ich wszystkich! Oni nie wiedzą, nie wiedzą, że w nich samych przebywa także Myśl Najwyższa.

Doktór Salzfisch nie był obecny przy całej ceremonji. Wszedł teraz znienacka, przeraził się i rozpędził zgromadzenie, nakazując, aby nie niepokojono chorego.

Stepan Trofimowicz, skonał o trzy dni później. Umierał w stanie zupełnej nieprzytomności. Zgasł jakoś cicho, jak spalona świeca. Barbara Piotrowna po nabożeństwie, odprawionem na miejscu, odwiozła ciało biednego przyjaciela do Skworeszników. Złożono go wewnątrz ogrodzenia cerkiewnego i nakryto płytą marmurową. Napis na płycie i ogrodzenie specjalne, zostaną prawdopodobnie sporządzone na wiosnę.

Nieobecność Barbary Piorowny w mieście trwała osiem dni. Razem z nią, obok w karecie, przyjechała Zofja Matwiejewna, która chyba osiedli się u niej już na zawsze. Gdy Stepan Trofimowicz w ów poranek stracił przytomność, Barbara Piotrowna natychmiast usunęła Zofję Matwiejewnę, wypędziła ją z domu, i doglądała chorego już sama, do końca. Gdy skonał, natychmiast zawołała ją znowu. Nie chciała słuchać żadnych zastrzeżeń kobieciny, niesłychanie przerażonej propozycją (raczej rozkazem) zamieszkania na zawsze w Skworesznikach.

— Głupstwa! będę sama chodziła z Pismem Świętem. Będę także sprzedawała. Nie mam już nikogo na świecie.

— Ma pani syna, — zaprotestował doktór Salzfisch.

— Nie mam syna! — odcięła Barbara Piotrowna. Nie wiedziała, że słowa jej będą prorocze.

VIII

EPILOG

Wszystkie dokonane u nas potworności i zbrodnie wykryte zostały niesłychanie szybko, znacznie szybciej, niż przewidywał Piotr Stepanowicz. Zaczęło się od tego, że nieszczęsna Marja Ignatjewna, w dzień zabójstwa męża, zbudziła się przed świtem, obejrzała się i zaniepokoiła się ogromnie, nie znalazłszy go obok siebie. Nocowała z nią najęta przez Arinę Prochorownę posługaczka, która napróżno starała się uspokoić chorą, i o świcie sama pobiegła do Wirgińskiej, zapewniwszy Marję Ignatjewnę, że tam napewno można będzie się dowiedzieć, gdzie jest Szatow, i kiedy powróci. Tymczasem Arina Prochorowna miała także kłopot. Wiedziała już od męża o nocnym czynie w Skworesznikach. Powrócił do domu późno, około jedenastej, w strasznym stanie; załamywał ręce, rzucał się plackiem na łóżko i powtarzał w dreszczach konwulsyjnych: „To nie to, nie to, zupełnie nie to!" Skończyło się na tem, że przyznał się do czynu. Pozostawiła go w łóżku, groźnie zapowiedziawszy, „że jeżeli chce skomleć, niech skomli do poduszki, i że będzie głupi, jeżeli jutro zdradzi się; i poczyniła pewne przygotowania. Pochowała lub zniszczyła zbyteczne książki, niepotrzebne papiery, może nawet proklamacje. Potem zdecydowała, że nadmierne niebezpieczeństwo nie grozi ani jej, ani jej siostrze, ciotce, studentce ani nawet kłapouchemu braciszkowi. Gdy posługaczka przyszła po nią nad ranem, poszła natychmiast, bez chwili namysłu. Chciała zresztą wybadać jak najprędzej, czy prawdą jest to, co wczoraj przerażonym, półobłąkańczym szeptem opowiedział jej mąż o rachubach Piotra Stepanowicza na Kiriłowa.

Spóźniła się jednak do Marji Ignatjewny. Ta, wyprawiwszy służącą i pozostawszy sama, nie wytrzymała, zwlokła się z łóżka i narzuciwszy na siebie co miała pod ręką, zdaje się, że coś bardzo lekkiego i nieodpowiedniego na taką pogodę, skierowała się sama do oficyny, do Kiriłowa, mając nadzieję, że może tam się dowie czegokolwiek o mężu. Łatwo sobie wyobrazić, jak podziałało na położnicę to,

co tam zobaczyła. Notatki przedśmiertnej Kiriłowa, która leżała na widocznem miejscu, nie przeczytała, nie zauważyła jej nawet. Wbiegła zpowrotem do swego pokoiku, schwyciła niemowlę i wyszła z niem z domu, na ulicę. Był poranek wilgotny i mglisty. Na głuchej ulicy nie było przechodniów. Biegła wciąż, aż do utraty tchu, po błocie zimnem i grząskiem, wreszcie zaczęła dobijać się do domów; w jednym nie chcieli otworzyć, w drugim zaś długo nie otwierano; nie doczekała się i poczęła walić do trzeciego. Był to dom naszego kupca Titowa. Narobiła tu hałasu, wyjąc i zapewniając bez żadnego związku, że „zabili jej męża". W rodzinie Titowa wiedziano trochę o Szatowie i o jego historji. Marja Ignatjewna przysporzyła im niemało lęku: powiada, że powiła dziecko wczoraj, a teraz już biega w takiem ubraniu, w taki chłód, po ulicach, z ledwo okrytem niemowlęciem na ręku. Pomyślano narazie, że bredzi, tem bardziej, że z jej opowiadania trudno było wywnioskować, kto jest zabity: jej mąż, czy Kiriłow. Widząc, że nie dają jej wiary, chciała biec dalej, lecz zatrzymano ją przemocą. Ktoś poszedł do domu Filipowa, i w dwie godziny potem samobójstwo Kiriłowa i jego notatka przedśmiertna znane już były całemu miastu. Policja zwróciła się do położnicy, która była jeszcze jako tako przytomna. Wyjaśniło się, że nie widziała nawet notatki Kiriłowa, i nie można było od niej się dowiedzieć, skąd wie o zabójstwie męża. Krzyczała wciąż, że „jeżeli tamten zabity, to i mąż zabity; byli razem". Około południa straciła przytomność i już jej nie odzyskała. Umarła w trzy dni potem. Przeziębione dziecko zgasło jeszcze wcześniej.

Arina Prochorowna, nie zastawszy w domu ani Szatowej, ani dziecka, i zrozumiawszy, że to źle się może skończyć, chciała wracać do domu, lecz zatrzymała się przy bramie i posłała posługaczkę aby „dowiedziała się w oficynie, od pana, który tam mieszka, czy niema tam Marji Ignatjewny, i czy niewiadomo, co się z nią dzieje?" Kobieta wróciła po chwili, krzycząc przeraźliwie na całą ulicę. Wirgińska zmusiła ją do milczenia i do nieopowiadania nikomu, używszy niezawodnego argumentu, że „zasądzą", i uciekła z podwórza.

Rzecz prosta, że badano ją tegoż dnia, jako akuszerkę, która była przy położnicy. Spokojnie i dokładnie opowiedziała wszystko, co sama widziała i słyszała u Szatowa, lecz o katastrofie, mówiła, że nic nie wie i nic nie rozumie.

Łatwo sobie wyobrazić, jaka burza rozpętała się w mieście. Nowa historja, nowe zabójstwo! Lecz teraz rzeczy nabierały innej barwy. Stawało się jasnem, że rzeczywiście istnieje tajna organizacja zabójców, podpalaczy - rewolucjonistów, buntowników. Straszna śmierć Lizy, zabójstwo żony Stawrogina, sam Stawrogin, pożar, bal dla nauczycielek, rozwiązłość otoczenia Julji Michajłowny... Nawet w zniknięciu Stepana Trofimowicza chciano dopatrzeć się tajemnicy. Dużo, dużo szeptano o Stawroginie, pod wieczór, dowiedziano się też o wyjeździe Piotra Stepanowicza, lecz o nim najmniej mówiono. Najwięcej rozmaitych pogłosek szerzyło się o „senatorze". Przed domem Filipowa od rana stał tłum. Władze istotnie wprowadzone zostały w błąd kartką Kiriłowa, że samobójca był zabójcą. Zresztą, chociaż władze straciły głowę, to jednak nie do szczętu. Naprzykład słowo „park", użyte w sposób tak nieokreślony w liście Kiriłowa, nikogo nie zbiło z tropu, jak liczył na to Wierchowieński. Policja rzuciła się odrazu do Skworesznikow, i nietylko dlatego, że był to jedyny park w okolicy, lecz także z tego powodu, że wszystkie okropności dni ostatnich były bezpośrednio lub pośrednio związane z Skworesznikami. Prosty instynkt prowadził w tamtą stronę. Tak przynajmniej sądzę. Dodam tu, że Barbara Piotrowna, nie wiedząc o niczem, wyjechała tegoż dnia rano na poszukiwanie Stepana Trofimowicza. Do wieczora odszukano już ciało w stawie, kierując się pewnemi śladami: na miejscu zabójstwa znaleziono czapkę Szatowa, lekkomyślnie porzuconą przez zabójców. Oględziny lekarskie, a zresztą sam wygląd trupa i inne poszlaki odrazu nasunęły myśl, że Kiriłow nie mógł działać bez wspólników. Jasnem stało się istnienie jakiegoś spisku Szatowsko - Kiriłowskiego i związek tego spisku z proklamacjami. Co za jedni byli ci wspólnicy? O „naszych" tego dnia nie myślano nawet. Dowiedziano się, że Kiriłow żył, jak pustelnik, tak dalece, że przez tyle dni mógł się ukrywać u niego wszędzie poszukiwany Fiedia Katorżny. Była o tem

mowa w notatce. Najwięcej męczyło wszystkich, że z tej plątaniny nie można było wydobyć nic konkretnego, wiążącego całość. Niewiadomo nawet, do jakich przypuszczeń i fantazyj mogliby dojść mieszkańcy naszego miasta, przerażeni panicznie zdarzeniami, gdyby nie wyjaśniło się wszystko odrazu, już nazajutrz, dzięki Lamszynowi.

Lamszyn nie wytrzymał. Stało się z nim to, co przeczuwał już w ostatniej chwili Wierchowieński. Oddany pod opiekę Tołkaczenki, potem zaś Erkla. Lamszyn cały dzień przeleżał w łóżku, napozór spokojnie, odwrócony do ściany i nie mówiąc do nikogo ani słowa, nawet gdy się do niego zwracano. Nie dowiedział się o niczem, co się działo w mieście. Lecz Tołkaczenko, doskonale o wszystkiem poinformowany, zdecydował się pod wieczór zrezygnować z roli, wyznaczonej mu przez Wierchowieńskiego i wyruszył z miasta, czyli poprostu uciekł. Potracili głowy, jak wyprorokował Erkel. Liputin także znikł jeszcze przed południem. O jego zniknięciu dowiedziano się jednak dopiero następnego wieczora, gdy zaczęto indagować zaniepokojoną jego nieobecnością, lecz milczącą ze strachu rodzinę. Wróćmy jednak do Lamszyna. Gdy został sam, bowiem Erkel, licząc na Tołkaczenkę, wyszedł jeszcze wcześniej, Lamszyn natychmiast wybiegł z mieszkania i dowiedział się, jak rzeczy stoją. Nie zachodząc nawet zpowrotem, rzucił się pędem w nieokreślonym kierunku. Noc jednak była ciemna, a całe przejście zbyt straszne i skomplikowane. Przebiegł parę ulic, wrócił do domu i zamknął się na klucz. Zdaje się, że nad ranem popełnił nieudaną próbę samobójstwa. Przesiedział tak w zamknięciu do południa — i pobiegł do władz. Podobno pełzał na kolanach, łkał, piszczał, całował podłogę, krzyczał, że nie jest godzien całować butów stojących przed nim dostojników. Uspokojono go i pocieszono. Badanie trwało trzy godziny . Wyjaśnił wszystko, wszystko, całą stronę zakulisową, wszystko, co wiedział, każdy szczegół. Wyskakiwał naprzód, śpieszył z wyznaniami, mówił dużo rzeczy niepotrzebnych, o które nikt go nie pytał. Przekonano się, że wie dużo, i że dość dobrze scharakteryzował sprawę. Tragedja Szatowa i Kiriłowa, pożar, śmierć Lebiadkina i jego siostry, wszystko to zeszło na drugi plan. Na pierwsze

miejsce wysunął się Piotr Wierchowieński, tajne stowarzyszenie, organizacja, sieć organizacyjna. Na pytanie: „w jakim celu dokonano tylu zabójstw, skandalów, łajdactw?", odpowiedział w pośpiechu, że robiono to „w celu systematycznego wstrząsania podstaw, w celu systematycznego rozkładu społeczeństwa i zasad; w tym celu, aby wszyscy stracili głowę, aby powstał chaos, i aby potem pochwycić można było w garść społeczeństwo chore i bezwolne, cyniczne i niewierzące, lecz nieskończenie spragnione jakiejś myśli kierowniczej i samozachowania; dokonać tego zapomocą buntu, wspierającego się o sieć piątek, które do tego czasu będą zorganizowane i praktycznie zaznajomione ze wszystkiemi słabemi punktami, w które można uderzyć". Dodał, że tu, w naszem mieście urządzona została przez Wierchowieńskiego pierwsza próba takiego systematycznego nieładu, jako program dalszego działania dla wszystkich piątek. Zastrzegł się, że to już jego własny domysł i błagał, „żeby zechcieli to wszystko zapamiętać , żeby nie omieszkali wziąć pod uwagę, jak otwarcie i lojalnie on, Lamszyn przedstawia całą sprawę, czyli że może się przydać władzom w przyszłości". Na wyraźne pytanie: czy dużo jest tych piątek? odpowiedział, że nieskończona ilość, że cała Rosja zasnuta jest ich siecią. Nie złożył żadnych dowodów tego, sądzę jednak, że mówił szczerze. Przedstawił drukowany program stowarzyszenia, sporządzony zagranicą, a także projekt rozwoju dalszej akcji, napisany własnoręcznie przez Piotra Stepanowicza. Okazało się, że o „wstrząsaniu podstaw" Lamszyn cytował dosłownie z tamtego projektu, pamiętając każde zdanie, każdy przecinek, chociaż zapewniał, że to własny jego wywód. O gubernatorowej odezwał się w sposób zabawny, — niepytany przez nikogo i bez związku z biegiem opowiadania,— że „jest ona niewinna, i że poprostu dała się złapać". Dziwnem było, że całkowicie odgrodził Mikołaja Stawrogina od udziału w stowarzyszeniu i od zmowy z Wierchowieńskim. (Fantastyczne nadzieje Wierchowieńskiego na Stawrogina nie były znane Lamszynowi). Podług jego słów, śmierć Lebiadkinych zaaranżowana została tylko przez Piotra Stepanowicza, bez żadnego udziału Stawrogina. Wierchowieński chciał w ten sposób wplątać Stawrogina w zbrodnię i uza-

leżnić od siebie, zamiast jednak wdzięczności, na którą liczył, wywołał tylko oburzenie i rozpacz „szlachetnego" Stawrogina. Uwagi o Stawroginie zakończył wyraźną wskazówką, że gra tu rolę napewno jakaś gruba ryba, ale jest w tem jakaś tajemnica; że Stawrogin mieszkał u nas, jakgdyby *incognito*, lecz miał ważną misję, i że prawdopodobnie znów do nas zawita z Petersburga (Lamszyn był przekonany, że Stawrogin jest w Petersburgu), lecz już zupełnie w innej roli, w innych warunkach i w otoczeniu takich ludzi, o których wkrótce będzie głośno. Mówił to wszystko śpiesząc się i nie czekając aż go zapytają. Dodał, że wie o tem od Wierchowieńskiego, który jest ukrytym wrogiem Stawrogina.

Tu uprzedzę fakty. W dwa miesiące potem Lamszyn przyznał się, że starał się oczyścić Stawrogina w rachubie na jego protekcję. Liczył na to, że Stawrogin wystara się w Petersburgu o złagodzenie dla niego kary o dwa stopnie i zaopatrzy go przed zesłaniem w pieniądze i w listy polecające. Świadczy to o tem, że Lamszyn miał istotnie przesadne przekonanie o wpływach Stawrogina.

Tego samego dnia aresztowano, oczywiście, Wirgińskiego i przy sposobności wszystkich jego domowników. (Wirgińska, jej siostra, ciotka, a nawet studentka są już oddawna na wolności; mówią, że i Szigalew ma być w najbliższym czasie uwolniony, gdyż trudno go zaliczyć do jakiejkolwiek kategorji oskarżonych; może są to tylko pogłoski). Wirgiński odrazu do wszystkiego się przyznał. Gdy przyszli po niego, był chory, leżał w gorączce. Nawet ucieszył się i podobno powiedział: „spadł mi ciężar z duszy". Podobno składa obecnie zeznania zupełnie otwarcie, lecz z pewną godnością; nie chce się wyrzec swych „jasnych nadziei", lecz przeklina tę drogę polityczną, (w przeciwieństwie do socjalnej), na którą został wbrew woli wciągnięty przez „wicher zdarzeń". Jego zachowanie się w czasie zabójstwa zawiera pewne okoliczności łagodzące. Może więc spodziewać się nieco łagodniejszego wyroku. Tak przynajmniej mówią u nas.

Wątpliwe jednak, aby można było złagodzić los Erkla. Ten człowiek od chwili aresztowania milczy i stara się

w miarę możności fałszować prawdę. Dotychczas nie wydobyto z niego ani słowa skruchy. A jednak zdobył on pewną sympatję dla siebie nawet wśród najsurowszych sędziów. Zrobiła to jego młodość, jego bezbronność i wyraźne dowody że stał się jedynie ofiarą politycznego kusiciela, najwięcej zaś, gdy dowiedziano się o jego stosunku do matki, której stale posyłał prawie połowę swej skromnej pensji. Matka jego nadal mieszka w naszem mieście; jest to kobieta sterana i chora, przedwcześnie zgrzybiała; płacze wciąż i błaga na kolanach o łaskę dla syna. Niewiadomo, jak się to skończy, lecz Erkel budzi w wielu współczucie.

Liputin został aresztowany w Petersburgu, gdzie hulał, aż dwa tygodnie. Stała się z nim rzecz dziwna i niezrozumiała. Miał podobno paszport na cudze imię, dość dużo pieniędzy przy sobie i mógł doskonale uciec zagranicę, a jednak pozostał w Petersburgu. Przez jakiś czas szukał Stawrogina i Wierchowieńskiego, wreszcie pogrążył się bez miary w pijaństwie i rozpuście, jak człowiek, który stracił zdrowy rozsądek i zrozumienie swojej sytuacji. Aresztowano go pijanego w jakimś lupanarze. Podobno nie traci obecnie fantazji, w zeznaniach łże i szykuje się do sądu jakość uroczyście i z pewną nadzieją (?). Ma zamiar mówić w czasie rozpraw. Tołkaczenko, aresztowany gdzieś na wsi w dziesięć dni po ucieczce, zachowuje się znacznie skromniej, nie kłamie, nie wykręca się, mówi wszystko, co wie, nie stara się usprawiedliwiać siebie, przyznaje się całkowcie do winy, lecz także ma skłonność do gadulstwa. Mówi dużo i chętnie. Gdy zaczyna mówić o ludzie i o jego elementach rewolucyjnych (?), pozuje nawet i szuka efektu. Podobno ma zamiar wypowiedzieć mowę również w sądzie. Wogóle ani on, ani Liputin, nie są zanadto przerażeni, co nawet zastanawia.

Powtarzam, że sprawa jeszcze nie jest skończona. Teraz, po trzech miesiącach, społeczeństwo nasze odpoczęło, uspokoiło się, wytchnęło, może już mieć sąd własny, o tyle nawet, że wielu ludzi uważa Piotra Stepanowicza za jednostkę genjalną, przynajmniej zaś „wysoce utalentowaną". „Tak, to organizacja"! mówią w klubie, podnosząc palec do góry. To wszystko jest zupełnie niewinne. Niewszyscy

zresztą podzielają taki sąd. Niektórzy, przeciwnie, nie odmawiają mu pewnych zdolności, lecz podkreślają jednocześnie zupełną nieznajomość życia, oderwanie od rzeczywistości i tępy, uparty rozwój w jednym tylko kierunku, połączony z niesłychaną lekkomyślnością. Co do jego charakterystyki moralnej, godzą się wszyscy. Tu niema dwóch zdań.

Nie wiem, naprawdę, co mam jeszcze dorzucić, aby nie zapomnieć o niczem. Maurycy Mikołajewicz wyjechał stąd na zawsze. Stara Drozdowa zdzieciniała do szczętu... Lecz muszę opowiedzieć jeszcze jedną ponurą historję. Poprzestanę tylko na faktach.

Barbara Piotrowna zatrzymała się po powrocie w swym domu w mieście. Zwaliły się na nią odrazu wszystkie te wiadomości, wywołując w jej uczuciach istną burzę. Był już wieczór. Wszyscy w domu byli zmęczeni i wcześnie położyli się spać.

Rano służąca z tajemniczą miną wręczyła Darji Pawłownie list. List ten jak się okazało, nadszedł jeszcze wieczorem, lecz późno, gdy wszyscy spali, i dlatego nie został odrazu oddany. Przyszedł nie pocztą, lecz do Skworeszników, pod adresem Aleksego Jegorowicza, przez jakiegoś obcego człowieka. Aleksy Jegorowicz sam wczoraj wieczorem przewiózł list do miasta i oddał pokojówce, poczem wrócił do Skworeszników.

Dasza z biciem serca patrzyła długo na list, bojąc się otworzyć. Wiedziała od kogo. To pisał Mikołaj Stawrogin. Przeczytała napis na kopercie: „Aleksemu Jegorowiczowi dla wręczenia w sekrecie Darji Pawłownie".

Oto ów list, dosłownie, bez poprawiania żadnych błędów stylu panicza rosyjskiego, który, pomimo całego wykształcenia europejskiego, niezupełnie opanował język własny.

„Droga Darjo Pawłowno!

„Pani kiedyś zechciała do mnie na „dozorczynię" i przyjęła moją obietnicę, że zawołam, kiedy będzie potrzeba. Jadę za dwa dni i nie wrócę. Czy chce Pani ze mną?

„W zeszłym roku, jak Hercen, zapisałem się na obywatela kantonu Uri, i nikt o tem nie wie. Tam już kupiłem mały domek. Mam jeszcze dwanaście tysięcy rubli. Poje-

dziemy i będziemy tam mieszkać do śmierci. Nie chcę nigdy wyjeżdżać stamtąd.

„Miejsce bardzo nudne. Wąwóz. Góry ściskają myśl i wzrok. Bardzo mroczno. Ja dlatego, że sprzedawał się mały domek. Jak się Pani nie spodoba, sprzedam i kupię inny w innem miejscu.

„Jestem chory, lecz przy tamtem powietrzu myślę uwolnić się od halucynacyj. To fizycznie. A moralnie Pani wie wszystko. Ale czy wszystko?

„Ja Pani opowiedziałem dużo z mojego życia. Ale nie wszystko. Nawet Pani — nie wszystko! Tu także potwierdzam, że w sumieniu jestem winien śmierci żony. Ja nie widziałem Pani od tego czasu, a dlatego potwierdzam. Winien jestem i wobec Lizawety Mikołajewny. Ale to pani wie. Pani wszystko przepowiedziała.

„Lepiej niech Pani nie przyjeżdża. To, że wzywam Panią, jest nikczemnością. Poco Pani grzebać siebie na całe życie? Jest mi Pani miła i dobrze mi było z nudy przy Pani. Przy Pani jednej mogę głośno mówić o sobie. Ale z tego nic nie wynika. Pani skazała siebie na to, aby być dozorczynią. To Pani słowa. Naco taka ofiara? Niech Pani także zrozumie, że nie żałuję Pani, jeżeli wzywam, i nie szanuję, jeżeli czekam. A wzywam i czekam. W każdym razie muszę mieć odpowiedź, bo trzeba jechać jak najprędzej. W takim razie sam pojadę.

„Niczego się od Uri nie spodziewam. Poprostu jadę. Nie staram się wybierać mrocznego miejsca. Z Rosją niczem nie jestem związany. Tutaj najmniej lubiłem życie. Ale nawet tutaj nie mogłem życia nienawidzić.

„Próbowałem wszędzie swojej siły. Pani mi tak radziła, „aby poznać siebie". W próbach dla siebie samego i na pokaz, tak samo jak dawniej przez całe życie, siła moja okazała się bez granic. W oczach Pani zniosłem policzek od brata Pani. Przyznałem się publicznie do żony. Lecz nigdy nie wiedziałem, nie wiem i teraz, pomimo zapewnień Pani w Szwajcarji, w które wierzyłem, — do czego mam siłę moją zastosować. To samo, jak i dawniej, mogę zechcieć zrobić dobry uczynek i robi mi to przyjemność. Ale tuż obok pragnę złego i tak samo czuję przyjemność. I to, i tamto

uczucie jest, jak zawsze, zbyt płytkie, a nigdy nie chcę bardzo. Moje chęci są zawsze słabe: nie mogą kierować. Na belce można przepłynąć rzekę. Na szczapie nie można. Ja tak dlatego, by Pani nie myślała, że jadę do Uri z jakąś nadzieją.

„Jak dawniej nikogo nie oskarżam. Próbowałem wielkiej rozpusty i trwoniłem na nią siły. Lecz nie lubię i nie chciałem rozpusty. Pani w ostatnich czasach przyglądała mi się. Czy Pani wie, że patrzyłem ze złością nawet na naszych nihilistów przez zazdrość do ich nadziei. Lecz Pani niepotrzebnie się bała. Nie mogłem być ich wspólnikiem, bo to wszystko było mi obce. A tak przez złość, dla pośmiewiska, także nie mogę, nie dlatego, abym bał się śmieszności — ja nie mogę przestraszyć się śmieszności, — lecz dlatego, że mam jakieś przyzwyczajenia porządnego człowieka i brał mnie wstręt. Lecz gdybym czuł do nich więcej złości i zawiści, możebym poszedł razem z nimi. Niech Pani teraz sądzi, jak mi lekko było i jak się ciskałem.

„Przyjaciółko droga, istoto szlachetna i tkliwa, którą odgadłem! Może marzysz dać mi tyle miłości i tyle zlać na mnie piękna ze swej pięknej duszy, że masz nadzieję wskazać mi wreszcie cel? Niech Pani będzie ostrożna. Miłość będzie tak samo płytka, jak ja sam, a Pani będzie nieszczęśliwa. Mówił mi brat Pani, że ten, kto traci związek z ziemią swoją, traci bogów swoich, to znaczy wszystkie swoje cele. O wszystkiem można dyskutować bez końca, lecz ze mnie wysączyło się tylko przeczenie, bez wielkoduszności i bez siły. A nawet przeczenie nie wysączyło się. Wszystko zawsze płytkie i mdłe. Wspaniałomyślny Kiriłow nie udźwignął idei — i zastrzelił się, lecz ja widzę, że on był wspaniałomyślny tylko dlatego, że nie był przy zdrowych zmysłach. Ja nigdy nie mogę stracić rozsądku i nie mogę uwierzyć w ideę w tym stopniu, co on. Nie mogę nawet w tym stopniu zainteresować się ideą. Nigdy, nigdy nie mógłbym się zastrzelić!

„Wiem, że powinienem zabić siebie, zmieść siebie ze świata, jak szkodliwego owada. Lecz boję się samobójstwa, gdyż boję się zdradzić wspaniałomyślność. Wiem, że to byłoby znowu oszukaństwo, ostatnie oszukaństwo po tylu innych. Jakaż korzyść oszukiwać siebie, aby odegrać rolę

wspaniałomyślnego? Oburzenia i wstydu nigdy niema we mnie. Nie może więc być rozpaczy.

„Proszę się nie gniewać, że piszę tak dużo: opamiętałem się jakoś wypadkowo. Tak, stu stron za mało, a dziesięć wierszy wystarczy. Wystarczy dziesięć wierszy zaproszenia do roli „dozorczyni".

„Od tego czasu, jak wyjechałem, mieszkam na szóstej stacji u zawiadowcy. Zetknąłem się z nim przed pięciu laty na hulance w Petersburgu. Nikt nie wie, że jestem tu. Proszę pisać pod jego adresem. Łączę adres.

„Mikołaj Stawrogin".

Dasza poszła natychmiast pokazać list Barbarze Piotrownie. Barbara Piotrowna przeczytała i poprosiła Daszę że chce zostać samą, gdyż musi odczytać jeszcze raz bez nikogo. Zawołała ją jednak po krótkiej chwili.

— Jedziesz? — zapytała nieśmiało.

— Jadę, — odpowiedziała Dasza.

— Zbierz rzeczy! Pojedziemy razem.

Dasza spojrzała ze zdziwieniem.

— A co mam tu robić teraz? Czyż nie wszystko już jedno? Ja także zapiszę się tam w Uri i przeżyję w wąwozie. Nie bój się. Przeszkadzać nie będę.

Zaczęły szybko pakować rzeczy, aby zdążyć na południowy pociąg. Lecz minęło niespełna pół godziny, gdy zjawił się ze Skworeszników Aleksy Jegorowicz. Zameldował, że Mikołaj Wsiewołodowicz niespodziewanie przyjechał dziś rannym pociągiem i znajduje się w Skworesznikach, lecz „w takim stanie, że na pytania nie odpowiada; przeszedł przez wszystkie pokoje i zamknął się u siebie".

— Wbrew ich rozkazom przyjechałem zameldować,— dodał z miną tajemniczą.

Barbara Piotrowna spojrzała na niego wzrokiem przeszywającym i nie pytała o nic więcej. Kareta za chwilę była gotowa. Pojechały razem z Daszą. W drodze Barbara Piotrowna ciągle żegnała się i modliła.

Wszystkie drzwi apartamentów Mikołaja Wsiewołodowicza były otwarte. Nie było go nigdzie.

— Może na poddaszu, — ostrożnie odezwał się Fomusza.

Za Barbarą Piotrowną weszło do apartamentów kilka osób ze służby. Inni skupili się w sali. Nigdy przedtem nie odważyliby się na takie pogwałcenie etykiety. Barbara Piotrowna widziała to i milczała.

Na poddaszu były trzy pokoje. Nikogo nigdzie nie było.

— Może tam poszedł? — wskazał ktoś na drzwi prowadzące na strych.

Istotnie drzwi te, zwykle zamknięte, otwarte były naoścież. Trzeba było drapać się po schodkach drewnianych, bardzo wąskich i krętych. Tam na strychu, był malutki pokoik.

—Ja tam nie pójdę. Poco on miałby tam chodzić? — powiedziała Barbara Piotrowna, blada jak ściana, rozglądając się po twarzach sług. Wszyscy stali w milczeniu. Dasza drżała.

Barbara Piotrowna rzuciła się ku schodkom, Dasza za nią; ale zaledwie znalazły się na górze, krzyknęła i upadła nieprzytomna.

Obywatel kantonu Uri wisiał tuż za drzwiami, na stoliku leżał skrawek papieru, z napisem: „Nie oskarżać nikogo. Ja sam". Tuż obok, na stoliku, leżał młotek, kawał mydła i duży gwóźdź, widocznie przygotowany zawczasu. Mocny sznur jedwabny, na którym powiesił się Stawrogin, prawdopodobnie rozmyślnie wybrany, był mocno natarty mydłem. Wszystko świadczyło o przytomności umysłu i świadomości do ostatniej chwili.

Lekarze, po dokonaniu sekcji zwłok, stanowczo i całkowicie odrzucili myśl o obłędzie Mikołaja Stawrogina.

KONIEC.

Mając na względzie możliwie największą zgodność niniejszego wydania z wydaniem rosyjskiem, kontrolowanem przez Dostojewskiego, redakcja „Roju" postanowiła do całości „Biesów" nie włączać fragmentów, znanych pod wspólnym tytułem „Spowiedź Stawrogina". Fragmenty te powstały niewątpliwie już w trakcie pisania powieści; wręczając rękopis redakcji „Rosyjskiego Gońca", autor nie pominął także rozdziałów, które dziś wchodzą w skład „Spowiedzi".

Jako integralna część „Biesów", powędrowały te fragmenty do zecerni, i wraz z całością, przesłane zostały autorowi do korekty. Przypuszcza się, że to redaktor „Gońca", znany słowianofil Kotkow, postawił swoje veto, nie jest też wykluczone, że działały tu inne pobudki. Fakt, że do druku „Spowiedzi Stawrogina" za życia Dostojewskiego nie doszło.

Gdy umarł, wszelkie jego pośmiertne rękopisy i papiery przechowywała pani Dostojewska, osłaniając je najgłębszą tajemnicą i nikomu, nawet badaczom, nie pozwalając na wgląd. W jubileuszowem wydaniu dzieł męża (Petersburg, 1906) ogłosiła tylko jeden z fragmentów, odmawiając informacyj co do reszty.

Na 12 listopada roku 1921 przypadało stulecie urodzin Dostojewskiego. Pani Dostojewska nie żyła już od

kilku lat. Na rozkaz władz sowieckich, w lokalu moskiewskiego Centrarchiwu nastąpiło uroczyste otwarcie skrzynki z papierami po Dostojewskim. Wśród papierów tych znaleziono notatnik z wklejonemi wewnątrz 15 kartkami korekty. Były to właśnie owe tajemnicze fragmenty „Biesów". Równolegle do odbitek korektorskich, istnieje rękopis „Spowiedzi", pisany ręką pani Dostojewskiej i znajdujący się obecnie w Puszkinowskim Domu Rosyjskiej Akademji Umiejętności w Petersburgu. Zdaje się, że rękopis ten zgodny jest z oryginałem, który zaginął, i wcześniejszy, niedoskonalszy od tekstu moskiewskiego.

„Spowiedź Stawrogina" jest kluczem do zrozumienia „Biesów" i rzuca światło na wszystkie te problematy, które naczelna postać powieści skupia i koncentruje w sobie, jak olbrzymia soczewka. Jako niezbędne uzupełnienie całości, „Spowiedź Stawrogina" ukaże się w końcowych tomach naszego zbiorowego wydania dzieł Dostojewskiego.